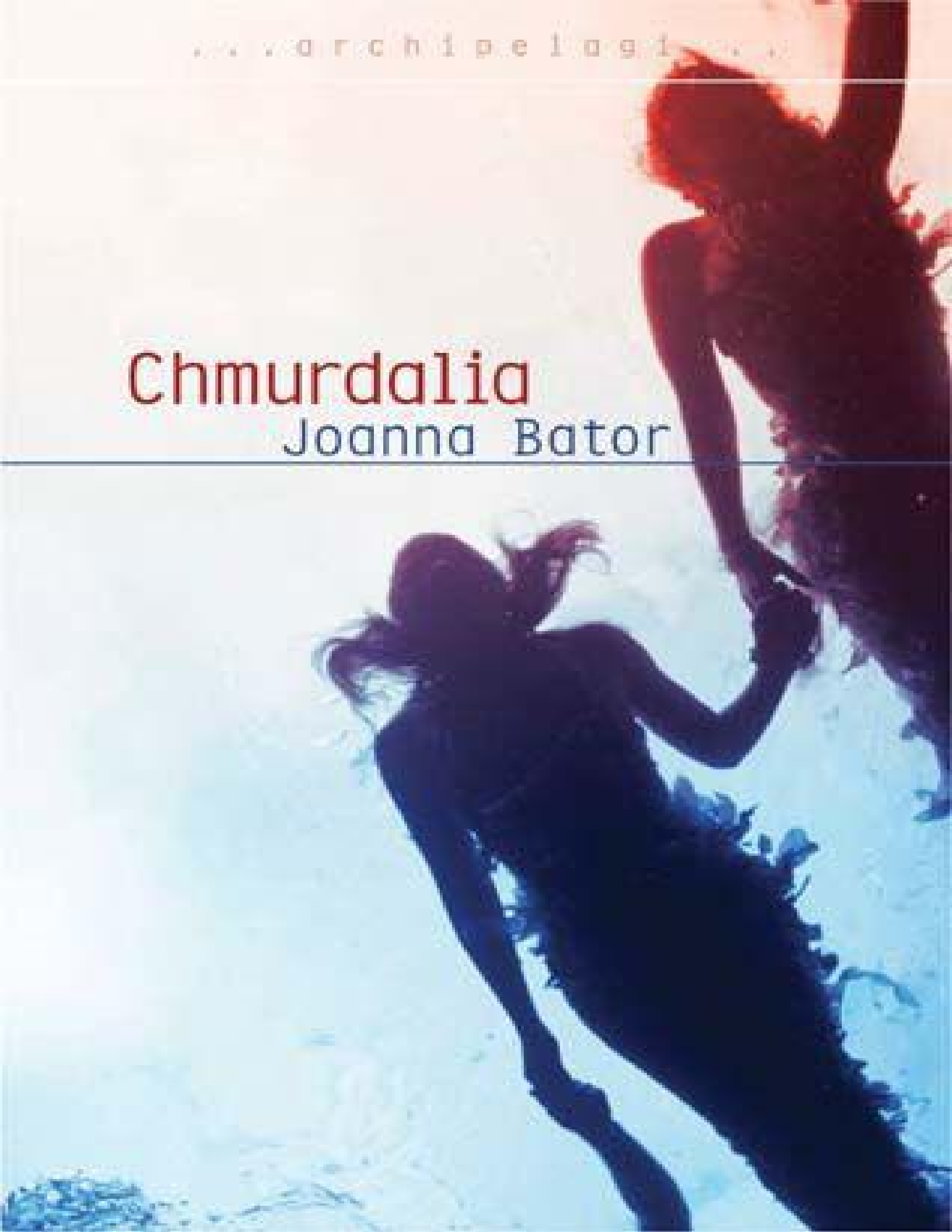


www.archiologia.pl

Chmurdalia

Joanna Bator



...w archipelagu...

Chmurdalia
Joanna Bator



Bator Joanna

Chmurdalia

Coś srebrnego dzieje się w chmur dali.

Bolesław Leśmian, Szczęście

- Nie można, Joasiu, wszystkiemu wierzyć co ludzie gadają.

- Tak, mamó, wiem o tym, ale można to samo dalej opowiadać.

"Ilustrowany Kurier Polski", Kraków, 20 grudnia 1942

Historia musi mieć początek ...

Pod mym oknem Cyganka stała cała zboczona w krwi, śpiewa córce Jadzia Chmura. Matka wydobywa z siebie głos, kusi śpiewem syrenim i krąży jak nakręco-na. Córka jest nieruchoma i cicha, jak zasnęła, tak śpi.

Obudź się, śpiąca królewno! Dominika nie słyszy słów Jadzi, tylko puste dźwięki, opadają jak wirujące w wodzie strzępki materii. Najgorsze, że w jej śnie niczego nie można policzyć. Zaczyna od jeden, ale już dwa wymyka się i rozplywa, a na jego miejsce nadciągają białe ławice, chmary, roje, chmury. Czasem Dominika czuje zapach i chwytą się go jak nici Ariadny; korzenny zapach sklepów kolonialnych, egzotycznych bazarów, o których kiedyś czytała, i zapach spalonego mięsa, splecione.

Epicentrum białych wybuchów jest głowa Dominiki, a dokładnie jej prawa strona. Stąd rozchodzą się fale bólu i łagodnieją, gasnąc na opuszkach jej palców, któ-

re drżą leciutko w rytm wewnętrznych eksplozji. Odkąd ranną Dominikę znaleziono obok płonącego samochodu, nie otworzyła oczu ani nie powiedziała słowa. Spa-

ła w wałbrzyskim szpitalu i spała podczas podróży do niemieckiej kliniki, gdzie przywieziono ją dzięki Grażyn-ce i jej niemieckiemu mężowi. Spała nawet podczas po-dróży helikopterem! Tu też śpi; śpiączka, mówią lekarze, 7

i to słowo przeraża jadzię, bo przyzwyczała się przez osiemnaście lat do dziecka fiksum-dyrdu, niesfornego i ruchliwego jak bąk. Obudź się, prosi więc w rozpacz, i obudź się, śpiewa. Od jakiegoś czasu, którego tu, gdzie jest Dominika, nie da się policzyć, z bieli wyłaniają się rzeczy nie rzeczy pozbawione koloru, niepoliczalne i rozedrgane. Być może dostają się do snu Dominiki za sprawą ruchliwej i pełnej słów matki, która czuwa nad jej łóżkiem. Te okruchy świata są białe jak stopy Matki Boskiej w niedzielę, jak mąka z młyna pradziadka Adama, jej drobiny tańczące w świetle wpadającym przez szpary; Dominika pragnie unieść ku nim rękę ciężką jak z kamienia. Są białe jak kwiaty pomarańczy z wałbrzyskiej palmiarni, jak bezy pieczone córce przez jadzię w kuchni na Piaskowej Górze, na języku Dominika prawie czuje ich smak i przełyka ślinę. Białe bezy i cukier puder, w którym obtoczone są kostki rachatlukum, słodycz chleba ze śmietaną; Dominika pamięta rękę babci Kolomotywy, która ją tym chlebem karmiła przy białym stole.

Białe zęby greckiego chłopca, który wgrzyza się w słodką galaretkę, uśmiecha i biegnie, biegnie z tornistrem podskakującym na plecach. Dominika próbuje odpowiedzieć mu uśmiechem, ale tuż obok są popioły, białe kości, i jej uśmiech ścina lód. Dominika widzi białe schody prowadzące ku morzu i zaczyna po nich zbiegać coraz szybciej i szybciej, byle dalej od śmierci i zniszczenia, jednak obraz pęka jak mydlana bańka, zanim uda jej się dotrzeć do wody. Zamiast niego pojawiają się białe warkoczyki zaginionej przed laty wujenki Basieńki, nucącej o dziew-czynce malince słodkiej jak szynka i miód; zapach spalonego mięsa. Dominika widzi nagle popioły zaleskiego 8

domu babci Zofii, pada na nie śnieg, na wietrze poruszają się prześcieradła sztywne od mrozu, stukają o siebie jak kości. Dominika czuje nowy piękny zapach i straszny zapach znajomy, ktoś śpiewa, pod mym oknem Cyganka stała, ktoś woła jej imię tak, jakby z całej siły krzyczał

w głąb studni: Dominika!

Prąd niesie ją ku górze, skąd płynie głos, Dominika czuje coś, co prawie jest ruchem i życiem; jeden, szepcze albo śni swój szept. Tuż nad nią jest teraz tylko cienka warstwa lodu albo lustra i wystarczy ją rozbić, by przekonać się, do kogo głos należy, a wtedy po jeden nastąpi dwa, trzy, świat. Dominika cały wysiłek wkłada w to jeden, które powinno być pierwszą kostką domina, dokładnie na początku, bo przecież nie ma nic piękniejszego niż porządek liczb. Głos ciągle ją kusi i przyzywa; teraz już wie, że jest piękny, i chce wyciągnąć w jego kierunku ramiona, ale słabnie i już czuje, że nie da rady, nie tym razem; opada w ciemność, bezruch i ciszę. Przez opuszki jej palców znów przebiega dreszcz, który widzi tylko matka, Jadzia, ale jej nikt nie uwierzy, tym bardziej że ruch zaraz mija, a palce, które już, już nabierały koloru, są znów białe.

Nie przewidziałam się, samą siebie umacnia w cudzie Jadzia i krzyczy po polsku do pielęgniarki. Każde jej słowo jest precyzyjnie oddzielone, wyraźne, jakby miało to pomóc, jakby dzięki temu słowa różnych języków upodabniały się do siebie. Ruszyła! Ręką! Co do tego Jadzia jest przekonana, więc tupie nogą i wrzeszczy. Ruszyła!

Ręką! jak można nie rozumieć po polsku?' jak można nie rozumieć, gdy człowiek wyraźnie i powoli mówi, że ruszyła! Ręką! Moja córka! Trzęsie przed twarzą ciem-9

noskórej pielęgniarki dłonią, demonstrując w przesad-ny sposób ten drobniutki ruch, którego była świadkiem.

O, tak ruszyła, jakby złapać coś chciała, mogę się na Matkę Boską przysiąc!

Co się Jadzia nadziwiła, gdy pierwszy raz zobaczy-

ła Sarę w niemieckiej klinice pod Monachium. Matko Boska! Co za szok. Grażynka przekonywała ją, że Sara Jackson jest godną zaufania i doświadczoną pielęgniarką, której spokojnie może powierzyć śpiącą córkę. Ale, Matko Boska! Jadzia długo przekonana nie była. No bo jak to tak? Dlaczego akurat ona ma się opiekować Dominiką? Innych nie było? Może komuś trzeba tu w łapę dać? Od ust siebie odejmie, zaskórniaczki ukryte pod podszewką zakietu wygrzebie i da, byle tylko Dominika miała to, co najlepsze, a nie byle co. Sfiksować można z nerwów, wszystko się może normalnemu człowiekowi pokićkać w tym Enerefie. Jadzia bała się, że Dominika obudzi się podczas matczynej

nieobecności i przestraszy czarnej Sary, ale jeszcze bardziej się bała, że jej córka się nie obudzi w ogóle. Grażynka od początku była pewna, że Dominika wyjdzie ze śpiączki; obudzi się, mówiła, spokojna głowa, i Jadzia bardzo chciała jej wierzyć, ale z drugiej strony irytowała ją ta spokojna pewność wobec jej niepokoju i niepewności. Jasnowidzka jedna! sarka-

ła; ledwo igłę już może nawlec, ślepa jak kret, a przyszłość niby widzi! A gdy zobaczyła Sarę, mało się z Gra-

zynką nie poprzytykała; mało się z nią nie poprzytykałam, będzie Jadzia opowiadać, gdy szpitalny koszmar stanie się historią. Czarna taka ma coś wiedzieć na temat tych wszystkich maszyn podłączonych do Dominiki, kiedy to dla niej, Jadzi, czarna magia? Ma wiedzieć i nie pokić-

10

kać tyłu przycisków, przełączników, pokręteł i rurek?

Czarna, a włosy na żółto ufarbowane, przy skórze ob-cięte, fiu-bździu jakieś. Widział kto czarnych Niemców?

Sturczałych to jeszcze, to się zdarza w dzisiejszym świecie, ale całkowicie czarnych? Jak świnta zimia, z żółty-mi włosami? Jadzi to się niezbyt podoba, bo od zawsze nie przepada za fiksum-dyrdum i fiu-bździu, Gdy dowiaduje się, że Sara jest Amerykanką, humor wcale jej się nie poprawia, Eneref, Ameryka i śpiączka to naprawdę za wiele. Ruszyła! Ręką! Sara Jackson sprawdza dane na monitorze, na którym ruch widziany przez matkę jest nie do zauważenia albo znaczy coś mniej ważnego, pyknięcie zderzających się elektronów, łagodne spotkanie mózgowych fal, i uspokaja tę, która od dawna jest nie do uspokojenia, a poza tym nie rozumie ani po angielsku, ani po niemiecku.

Gdy pielęgniarka wychodzi, Jadzia Chmura wzdycha tak, jak tylko ona potrafi. Napęlnia się powoli jak dmuchana piłka plażowa, powietrze wypełnia stopniowo jej łydki, uda, pośladki i okrągły brzusek, rozpiera się w piersiach, toczonych ramionach, a potem jakby ktoś na niej usiadł, powietrze schodzi i schodzi; dziwne, że nie zostaje z Jadzi pomarszczony flaczek skóry na pod-

łodze. Ona wie, że córka ruszyła ręką, i jeszcze to czarne fiksum-dyrdum z żółtymi włosami przekona się, że miała rację. Po spuszczeniu powietrza Jadzia zaczyna chodzić i mówić, nic innego nie robi od paru tygodni. Kazali jej mówić do śpiącej córki, ale nie wiedziała, jak zacząć, bo jak to tak, mówić do kogoś, kto nie odpowie, nie uśmiechnie się, nie odpyskuje, wystają z niego rurki i ma całą głowę poowijaną bandażem? Zaczynała więc i ury-11

wała w pół zdania, prosiła, obudź się, córeczko, zaklina-

ła, obudź się, a pójdę na kolanach na Jasną Górę Matce Boskiej podziękować, i przeklinała, wstawaj, kurtka na wacie mać, bo strzelę tu w kalendarz, czy ty zawsze musisz wydziwiać? Ile można spać? Na złość mi tak śpisz?!

Matce na złość! Matko Boska! Jadzia nie mogła znaleźć słów na takie mówienie w śpiącą ciszę, na takie niesłuchanie. Aż jej Grażynka poradziła, mów tak, jakbyś pisała list. Wyobraź sobie, że

Dominika jest daleko, może pojechała na kolonie albo na studia do Warszawy, za granicą jest, a ty do niej piszesz spokojnie przy stole. W swojej kuchni na Piaskowej Górze siedzisz i piszesz o tym, co robiłaś, i o niezrobionym, o tym, co chcesz pamiętać, i o zapomnianym, o dobrym i złym, które jeszcze na dobre nie wyszło. A jak już zabraknie ci słów, jak zostaną ci same okruchy - ulep z nich coś i jak się do mówienia nie będzie nadawało, śpiewaj, Jadzia, śpiewaj.

I nagle Jadzia zobaczyła początek tego, co chce powiedzieć, westchnęła i zaczęła: córeczko. Zaczyna, córeczko, i nie może usiedzieć w miejscu ani przestać mówić, jakby jej słowa i spacer wokół łóżka mogły zrównoważyć bezruch córki i ciszę. Mówi Jadzia o tym, co robiła, i o niezrobionym, o tym, co zapamiętała, i o przeznaczonym do zapomnienia, o dobrym i złym, które jeszcze na dobre nie wyszło. Mówi o rosnących cenach i ciśnieniu, o padającym deszczu i ciśnieniu, co spada, o żylakach i nadziejach na przyszłość, która była-by cudowna, gdyby na ten przykład wygrała w totolotka.

Ale by sobie pokupowały! Mogłyby wtedy w Szczawnie Zdroju się pobudować, gdzie wałbrzyskie burzuje sobie pałacyki postawiały, cztery pokoje i tylko dla nas, córcia, 12

z ogrodem, z tarasem. A latem do Sopotu by na cały lipiec wyjeżdżały jodu się nawdychać. Mówi Jadzia o duchu swojego męża Stefana, który czasem przychodzi na Babel w odwiedziny i siada w swoim gnieździe przed telewizorem; przychodzi tylko wtedy, gdy jest sama, i oprócz Dominiki i księdza na spowiedzi nikomu o tym nie mówiła. Oglądają sobie razem losowanie totolotka i znów nie wygrywają, bo jak komuś wiatr za życia wiał

w oczy, to wieje tak samo na tamtym świecie. Potem jest zwykle program przyrodniczy i Jadzia sama by nie mogła, ale ze Stefanem to owszem, popatrzeć może. Tak się kiedyś Jadzia złękła, gdy razem o waranach z Komodo program oglądali, że spać nie mogła. Córcia, jak ja się złękłam! Matko Boska, te warany! O waranach więc mówi śpiącej córce Jadzia Chmura, że wielkie jak smoki, pyski mają plugawe, na wyspach żyją egzotycznych i są zupełnie przedpotopowe. Przedpotopowe, wyobraź

sobie. Smakuje Jadzia na języku słowa, które jej się po-dobają, a przedtem nie miała okazji ich używać, jakby tatarą świeżutkiego popróbowała: warany z Komodo, córeczko, przedpotopowe. Mięso żrą tylko, jak twój świętej pamięci ojciec, chociaż on to z ziemniaczkami.

Pamiętasz? Tylko ziemniaczków, Dziunia, i ziemniaczków prosił. Ajakie mordy mają, Matko Boska, córeczko, te warany! Podobno z pysków im strasznie jedzie, tym przedpotopowym waranom z Komodo. A plują, charkają jak Józek Sztygar, gdy się brzożówką uchła pod Babelem.

Córcia, taki waran tylko mordą kłap-kłap i cielę pożar-te, świnia czy Murzyn z wioski na wyspie Komodo. Bo one tam czarne są jak ta pielęgniarza, gdybyś ty ją, córcia, zobaczyła! Matko Boska! Murzynek Bambo w Afryce 13

mieszka, czarną ma skórę ten nasz koleżka. Córcia, jak ty ją zobaczysz! Już po to warto się obudzić. Tyle jest dziwnych rzeczy na świecie, warany, śpiące od tygodni córki, czarne pielęgniarzy, Jadzi Chmurze kręci się w głowie. Czarne fiksum-dyr dum ma dupę dwa razy taką jak Jadzia, i jeszcze córka, co matkę od grubasów wyzywała, na własne oczy zobaczy, jak grubas wygląda. Córcia, matka przybliży twarz do ucha śpiącej Dominiki i szeptem przenikliwym próbuje wkląć się w jej sen, córcia, ona dupę ma jak szafa trzydrzwiowa, a oczyskami strzela, aż strach, choć wydaje się, że

czysta z niej dziewczyna.

Gdy już naprawdę nie ma nic do powiedzenia, Jadzia zaczyna śpiewać o Cygance, co pod oknem stała cała zboczona w krwi, bo tak śpiewała jej matka Zofia w rzadkich chwilach, gdy miała nastrój do śpiewania. Jadzia widziała ostatnie cygańskie tabory w Zalesiu, zza krzaków dzikich malin patrzyła na lśniące końskie brzuchy i długie spódnice kobiet, które dzisiaj mogły być tu, a jutro zupełnie gdzie indziej, i do tej pory być może dają sobie radę bez własnej kuchni pełnej fajansowych ozdób z Włocławka, bez wyszorowanego na glanc pece-fału. Ta możliwość niemożliwa napełnia Jadzię niezrozumiałym uczuciem tęsknoty. Śpiewa Jadzia, oczy mówiły mi, że nadejszła godzina rozstania, a wienc poszłam ja z niom w noc posempnom i złom. Nie płacz, mamó, ach nie, nie pomogom twe łzy, nie uleczysz głębokiej mej rany. On najdroższy mi był, który serce me skradł. Oszu-kanom żyć bym ja nie chciała.

Niektóre z tych słów przebijają się, Dominika widzi je od spodu jak podbrzusza liści, które opadły na lód. Są żyłkowane precyzyjnie jak witraże, mają kształt 14

mówiący, że jest przedtem i potem, jest zapach; jeden, liczy. Coś zaczyna się dziać i Dominika czuje, jakby prze-dostawała się przez tunel tak ciasny, że brakuje jej tchu i zaraz się udusi, krzyczy więc z całej siły, ale z jej ust nie wydobywa się żaden dźwięk. Wtedy miejsce, w którym zrasta się jej czaszka, boli tak, jakby głowa znów rozłupywała się, ukazując pokryte błoną wnętrze, białe kości.

Dominika widzi wirujące kręgi bieli rozpalonej jak rozgrzane żelazo i wraca tam, gdzie nie ma liczb ani słów.

Mózg jest bardzo delikatny, tłumaczą lekarze zropczono-nej Jadzi, jak budyń w puszcze; wystarczy lekko potrząs-nać i nieszczęście gotowe, a pani córka miała pękniętą czaszkę. To cud, że przeżyła. Musimy czekać, powtarzają. Lekarze widzą zakłócenie w aktywności mózgu Dominiki Chmury, lat osiemnaście, drobną usterkę, której znaczenie wyjaśni się, kiedy dziewczyna się obudzi. Jeden, myśli Dominika, ale jeden to ostry kawałek metalu, który wbija się w bolące mięso i nie może poruszyć świata zatrzymanego ponad dwa miesiące temu. Po każdej próbie przebicia się przez twardą lśniącą powierzchnię opada tam, gdzie docierają tylko wypłukane, półprzejrzyste cienie, białe.

Im bardziej milczy Dominika, tym więcej mówi Jadzia, i im bardziej nieruchoma jest córka, tym więcej ruchu w matce krążącej po szpitalnym pokoju jak liliowy bąk. Wpada tu co rano, przywożona przez Grażyn-kę, i trzeba siłą wyciągać ją wieczorem, gdy wyczerpana opowieściami, ale niezmordowana nuci, pod mym oknem Cyganka stała cała zboczona w krwi, oczy mówi-

ły mi, że nadejszła godzina rozstania. Jadzia nie zauważa drogi do domu państwa Kalthofferów i nigdy nie uświa-15

domi sobie, że spędziła prawie dwa miesiące w Enerefie, o którym kiedyś marzyła, oglądając katalogi mody

"Otto". Pobyt minął jej przy łóżku córki, pogrzebie go w pamięci i będzie się upierała, że co za życie, nigdy nie ruszyła się z Piaskowej dalej niż do Świnoujścia czy Karpacza. A jak raz się wyrwała do Warszawy Izaurę i Leoncia zobaczyć, to w drodze powrotnej w Warsie się zatrąła, paprzą

paparuchy, a coś ją podkusiło, by flaczków sobie zjeść.

Jadzia wciąż jest przy łóżku Dominiki, gdy zaczyna się jesień i zapach dymu znad pól dobiega do szpitala. Jadzia po raz nie wiadomo który śpiewa, nie płacz, mamó, ach nie, nie pomogom twe łzy, nie uleczysz głębokiej mej rany. Wiatr zamyka okno pokoju, a wtedy Dominika Chmura otwiera oczy.

Grażynka kilka razy w miesiącu chodzi do lasu, któ-

ry zaczyna się za pasmem pól; widać go z okien jej domu, ciemnogrnatowa poszarpana linia drzew na wzgórzu.

W całej wiosce Mehrholtz nikt oprócz niej tego nie robi, bo nie wiadomo do końca, czyj ten las jest, i swego czasu toczył się o to nierozwiązany do tej pory spór. Z każ-

dej strony otaczają las pola uprawne, porządne pola, które mają właścicieli, a on jest bezpański i prowadzi do niego tylko jedna ścieżka z domu Grażynki i Hansa Kalthofferów,

W Mehrholtz jeździ się samochodem do supermarketu, jak trzeba, a na piechotę to najwyżej do kościoła albo do piekarni. Jak już spacerować, to świątecznie po parku, czy po centrum handlowym się przejść, a nie tam do lasu. Takie rzeczy są niedopuszczalne, niedopuszczalna jest sama Grażynka Kalthoffer, z domu Rozpuch, pochodzenia polskiego i mocno podejrzanego; jest w Mehrholtz wielu takich, co by jej tu nie wpuścili, gdyby mieli coś do powiedzenia. Do powiedzenia właściwie mają dużo i mówią, licząc na to, że waga nagromadzonych słów zaważy na losie obcej. Patrzy Frau Korn zza firanki i powtarza potem innym zainteresowanym życiem żony ich Hansa, a takich jest wiele, że ta Polka jak głupia po dworze lata, do lasu się zapuszcza, jak ona bezczelnie do lasu zapuszcza się, ciekawe po co tak się zapusz-17

czać w las? Frau Zorn, która ma stanowisko obserwacyjne w sąsiednim domu, zna odpowiedź, bo ma gotową odpowiedź na wszystko, pewnie się puszcza! Puszcza się, a jak, zgadza się Frau Kom. Gdy ten fakt podstawowy zostaje ustalony, wyobraźnia Frau Kom i Frau Zorn może puścić się w ślad za Grażynką, która w lesie puszcza się na stojąco, drzewa się trzymając, w trawie leśnej w poziomie, dziko, zwierzęco, i kto wie, najakie inne cudzoziemskie sposoby, wywłoka, eine Schlampe, oto kim jest. Nie popuszczają sąsiadki polskiej żonie Hansa. Bo mało ma roboty w domu? W domu jest robota, kto wie, co w lesie być może bezpańskim. A co Grażynka wraca z lasu, to z jakimś przybłądą jak ona. Kot, pies, Murzynka. Murzynka, czarna jak diabeł, z lubością powtarza raz Frau Korn, raz Frau Zorn. Czarną kobietę z lasu przyprowadziła, z żółtymi włosami, to nie jest normalne, rzeczy normalne od nienormalnych tu, w Mehrholtz, potrafi się odróżnić na pierwszy rzut oka, i tak powinno być. Wzdycha Frau Zorn, wzdycha Frau Korn, ożeniłby się Hans z tutejszą kobietą, to posprzątane miałyby do-kładniej, ugotowane jak należy, pożywnie i oszczędnie, a tak, nie dość, że cudze bachory karmi i ubiera, to jeszcze ta latawica, zamiast usiąść na tyłku, po lesie lata.

Cieka się jakby nie żona, tylko jakaś zwierzyna rodzaju żeńskiego, czy pani, droga Frau Korn, ostatnio widziała?

Widziałam, droga Frau Zorn, potwierdza Frau Korn. Kto wie, kogo znowu do domu sprowadzi? Frau Kom i Frau Zorn mają nadzieję, że one wiedzieć będą jako pierwsze, jeśli tylko pozostaną

wystarczająco czujne na po-sterunkach za firanką. Zgadzą się, że wszystkiego się można po Grażynce, żonie ich Hansa, spodziewać, oczy 18

ma dzikie, nietutejsze, włos długi farbowany. Frau Korn i Frau Zorn uważają, że kobieta w pewnym wieku powinna strzyć się krótko, ubierać przyzwoicie, a w obejściu psa porządnego trzymać, co na obcego szczeka, zanim jeszcze go zobaczy. A u Grażynki? Wzdycha Frau Korn, wzdycha Frau Zorn. U żony ich Hansa znajdy się płaczą, skundlone pokraki łaszą się do każdego. Psa trzeba wytresować! A kotów ile, nie policzysz. Frau Korn i Frau Zorn zgadzają się, że kota wytresować się nie da, ale jak nie da mu się jeść, polować będzie, by nie zdechnąć

'z głodu. Sąsiadki Grażynki liczyć lubią i liczyły na to, że związek ich Hansa z Polką nie przetrwa zimy, nie dociągnie do jesieni. Nie dogadają się, droga Frau Korn. Pogoni je), droga Frau Zorn, na wschód razem z bachorami i ku-symi kieckami. Kto to widział? One dotąd nie widziały, ani Frau Korn, ani Frau lam nie, i przed samymi sobą udają, że wcale przyjemności im nie sprawia oglądanie czegoś, do czego nie przywykły; przyklejają się do szyb jak glonjady, gdyby mogły, przykleiłyby się tak bezpo-

średnio do Grażynki. O proszę! Rano na przykład Gra-

zynka do chlewni idzie ubrana jak na festyn, falbanki, groszki, pół tyłka na wierzchu.

Frau Korn na własne oczy widziała, przysiąc może, gdy pod fałszywym pretekstem pożyczenia kosiarki odwiedziła sąsiada krótko po tym, jak przywiózł sobie z Polski tę irytującą żonę, co na żonę nie wyglądała i nie wygląda, a więc przysiąc może, że widziała. Frau Korn ma duże doświadczenie w rzucaniu szybkich spojrzeń, które niczym piłeczki do golfa wpadają w odpowiednie miejsce, precyzyjne i prawie bezgłośnie, pyk, pyk. Potem z Frau Zorn omawiają i porównują celne rzuty. Gdy nie 19

mają nic nowego, przypominają sobie dawniejsze tra-fienia i dodają im nowych smaczków, obracają triumfy językiem i wysysają z nich słodycz. Cisnęła więc Frau Zorn okiem w kierunku chlewni Hansa Kalthoffera, a takiej nowoczesnej nikt w okolicy nie miał, i zobaczyła w prostokącie światła ruch jakby taneczny, którego nie powinno tam być, bo chlewnia to nie miejsce na tańce, zum Teufel! Rzadko się Frau Korn zdarzało, żeby pierwszy rzut wymagał poprawki, a jednak dopiero za drugim razem zobaczyła, że Grażynka naprawdę tańczy. Nie do wiary! Nie słyszała muzyki, tylko chrupkanie świń, które też wydało jej się jakieś wariackie, bo w rytmie ruchów tyłka tej Polki obciągniętego czerwonym materiałem w białe groszki chrupkały na melodię Makareny.

Grażynka przeginała biodra i okręcała wokół siebie zielony szlauch, którym myła podłogę, a może to był wąż, bo tylko siły piekielne mogły wprawić w ruch taneczny Frau Korn, i omal na miejscu szlag jej nie trafił, gdy zdała sobie sprawę, że zamiast się ze zgrozy wzdrygać, podryguje.

Tłumaczyła Hansowi żona roztańczona, że od muzyki świnię lepiej rosna i są szczęśliwsze, niech no tylko spojrzy na ich ryje uśmiechnięte, uszy radośnie sterczą-

ce, a ważne, by być szczęśliwym, nawet jeśli wkrótce pójdzie się pod nóż. W końcu życie świńskie nie różni się tak bardzo od ludzkiego, a każdemu życiu potrzeba tańca i muzyki, nawet kwiatom,

którym Grażynka zawsze nuci przy podlewaniu. Na początku dręczyło Hansa, że przez to tańczenie i rozgardiasz wie bei Hempels unterm Sofa, co miało być zrobione na czas, odwlecze się, zaplanowane przypadnie i przetańczą tak w diabły 20

obowiązki i terminy. Jednak świnie, mimo braku porząd-ku i nieregularnych pór karmienia, rosły lepiej niż u sąsiadów, a to znaczyło pieniądze, a pieniądze z kolei oznaczały rzeczy, które Hans pragnął wymieniać na szczęście Grażynki. Kupował więc jej na początku to, czego, jak sądził, potrzebują kobiety do szczęścia: apaszki, perfumy, wisiorki, kolczyki, moherowe sweterki, szkatułki, ozdobne ramki na zdjęcia, komplety jedwabnej bielizny zapakowane w pudełka z elegancką kokardą. Kupował sprzęty domowe i ciężkie meble dębowe, im więcej mebli, tym lepiej: stoliki kawowe i szafki nocne, półki na bibeloty, drapowane zasłony i elektryczne roboty wieloczynnościowe, gipsowe kolumny złożone, jak prawdziwe, pod kwiat, pod wieżę stereo, pod zgrabną replikę Wenus z Milo, która, zdaniem Hansa, urodą nie dorównywała Grażynce. I jeszcze piękne lampy migające trzema kolorami w rytm muzyki, na które Grażynka mówiła fonobłyski, bo tak się mówiło w Wałbrzychu i zazdrości-ło tym, którzy mieli fonobłyski z Enerefu, więc proszę bardzo, w każdym pokoju fonobłyski, bo dlaczegóż by nie, skoro w każdym był jakiś sprzęt grający. Grażynka tak lubiła muzykę, że nieraz nie mogła się zdecydować, od czego zacząć dzień, dlatego w każdym pokoju grało coś innego, a ona płaśała z kolorową miotełką do kurzu i w każdym pokoju tańczyła inaczej, wzbijając w powietrze drobinki pyłu. Grażynka nie wydawała się kochać Hansa ani bardziej, ani mniej po każdym z prezentów, i po jakimś czasie hojny mąż zaczął podejrzewać w zdumieniu, które nie opuści go aż do śmierci, że ta kobieta łakoma na jego ciało i muzykę nie potrzebowała do szczęścia rzeczy, bo jej szczęściu niczego nie brakowało.

21

Wypróbowała miksery i szatkownice, by zrobić przyjemność mężowi, ale potem porzucała je w swojej wielkiej kuchni, gdzie porastały kurzem, podczas gdy ona rękoma miesiła ciasto i uplaskiwała krokiety, a gdy piekła ciasteczka ze swoimi bezojcowymi córkami i Hanso-wym synem, ściany, sufit i podłoga pokryte były warstwą cukru, cynamonu i kakao. Hans siedział w kącie kuchni z miską po słodkiej masie, którą pozwolono mu wylizać, patrzył na dziewczyny niepodobne ani do swojej matki, ani do siebie nawzajem, na syna, który mógłby być jego odmłodzonym lustrzanym odbiciem, i myślał, że tak wy_

gląda szczęście: roztańczona żona, dobrze odkarmione dzieci i miska z esami-floresami słodkiej masy. Gdy kochał się potem z Grażynką i szeptał jej, Graschynka ich liebe dich, w małżeńskim łóżu pod baldachimem, które sam wybrał, bo tylko tak królewskie posłanie wydawało mu się godne ukochanej, znajdował pod językiem słodycz ciasteczek, wiórki kokosowe, ocukrzoną skórkę pomarańczową i rodzynki sułtanki.

Grażynce ze wszystkich podarunków Hansa najbardziej spodobał się walkman, bo dzięki niemu mogła mieć muzykę cały czas przy sobie, gdy pracowała albo szła do piekarni. Potrafiła tańczyć do wszystkiego i gdy jechali z Hansem do marketu, kupowała kasety z piosenkami Abby i argentyńskimi tangami, niemieckimi szlagierami i amerykańskim popem, rockiem i przebojami operowymi, w których jej ciało odnajdywało rytm, jakiego nie do-słuchałby się żaden z trzech tenorów, a jednak jej ramiona ruszały, by jak huśtawka rozkołysać piersi, a potem biodra nawet przy kawałkach tak mało tanecznych, jak aria Penelopy z Powrotu Ulissesa do ojczyzny. Zatańcz dla 22

mnie, prosił Hans, i Grażynka tańczyła, i choć tańczyła tak pięknie, z zamkniętymi oczami, z różowymi ustami, w legginsach w panterkę, w sukience w groszki, jej męża ogarniała melancholia, jakby już ją utracił, bo wiedział, że tańczyłaby tak samo, tak samo piękna i szczęśliwa, gdyby go tu nie było, gdyby nie było go wcale.

Gdy córki Grażynki były małe, chodziły za nią krok w krok, zapatrzone w ciało, które wydawało im się ogromne i piękne w swej żywotności, ciało jak karuzela, która wiruje coraz szybciej i szybciej, aż brakuje tchu, a jednak nie można przestać się kręcić, zachłystywać pędem powietrza pachnącego matczynym potem. Tań-

czymy! wołała do nich i niezależnie od tego, czy były w domu biednym, czy bogatym, zaczynały podskakiwać, wirować i wycinać hołubce aż do zatracenia, czkawki, konwulsyjnego śmiechu na łóżku albo rzuconym na pod-logę materacu, który akurat był ich pościeleniem. Grażynka przypuszczała, kto jest ojcem jej naj starszej córki, wysokiej, szczupłej Róży, której twarz zawsze jej coś przypominała, jakieś wydarzenia z miasteczka o nazwie Radomsko, a może to już był Piotrków Trybunalski, bo raczej nie Częstochowa. Nawet prosiła nieraz, stań profilem albo pochyl głowę, wpatrując się w miłą, lecz pozbawioną wyrazistości buzię, aż dziecko w wieku lat siedmiu zaczęło eksperymentować z makijażem, by domalowu-jąc niebieskość oka i czerwień ust, naprowadzić w końcu matkę na jakiś trop. Co do młodszej, Anieli, która była niska, pulchna i ciemna, Grażynka nie miała podejrzenia bardziej konkretnego, niż że to musiał być jeden z tych sześciu w Skierniewicach, o ile nie ten chudy z Warszawy, jak wzdychała w rzadkich chwilach, gdy sprawa 23

ojcostwa w ogóle przychodziła jej do głowy. Najmłodsza, Hawa, miała w dokumentach wpisane imię Monika, Monika Rozpuch, ojciec nieznany, bo Hawy nie chcieli Grażynce zarejestrować w wałbrzyskim urzędzie, tłumacząc, że imię to niepolskie i w spisie imion nie figuruje, a może po prostu otyła urzędniczka znała złą sławę Grażynki Rozpuch i wkurzyła ją kolejna ekstrawagancja z jej strony. Jak niepolskie, skoro ona znała je z Polski?

tłumaczyła Grażynka, gdzie, jak nie w Polsce, mieszkała Hawa, żona Ludka Borowica, fotografa z Kamieńska, któ-

ra łatwo się wzruszała, mówiła po polsku dzień dobry i miała piękne oczy? Zgodziła się w końcu na Monikę, bo i tak mało obchodziły ją przepisy i prawne regulacje, co za głupoty, wzruszała ramionami, a Hawa i tak została Hawą. W tym przypadku Grażynka nie zastanawia-

ła się nad kwestią ojcostwa bardziej niż przy starszych córkach, może Januszek z Wałbrzycha, bidota, co miał

żonę w wariatkowie, może prawa ręka zastępcy ministra z Warszawy, może kulawy Mirek od pieczarek, co grał na akordeonie, i za każdym razem, gdy patrzyła na najmłod-szą córkę, mówiła, hej, Hawa, Hawa, tu mama, by jakoś rozkojarzoną dziewczynkę zakotwiczyć w zmieniających się okolicznościach dzieciństwa. W domu Hansa Hawa zaczęła zyskiwać na obecności, i dopiero teraz było wi-dać, jaka jest wysoka, potężnie zbudowana i silna; już w piątej klasie zaczęła trenować podnoszenie ciężarów .

i zapamiętała siłowała się z ojczymem na rękę. Grażynka dawała dzieciom z siebie tyle, by cieszyły

się na jej widok, ale nie tyle, by każdy dar musiały odwijać z ozdobnej bibułki matczynego poświęcenia. Co to znaczy, że ty się poświęcasz, Jadzia? dziwiła się. Nie możesz po prostu 24

Dominiki kochać? Nie tresowała psów przybłądów i nie karała półdzikich kotów, które łąziły jej po stołach i ka-napach, zalegały w atłasach łóżka z baldachimem, a dzieci nie chciała urabiać na niczyj obraz i podobieństwo, bo od początku wydawały jej się osobnymi istotami, które zostały tylko na krótko oddane pod jej opiekę. Mijały lata i córki coraz częściej odrywały się od Grażynki, nie zostawiając ran, zносиło je w miejsca lepsze i gorsze, ale w żadnym z nich nie mogły powiedzieć, to twoja wina, mamó, ani, to wszystko dzięki tobie; i cudem, którego zazdrościła Grażynce niejedna matka, wyrosły na kobiety przekonane, że są tam, gdzie powinny, że ich ciała i myśli należą do nich. Ona sama chwilami zapominała, że przez tyle lat była matką trzech dziewczynek niepodobnych ani do niej, ani do siebie nawzajem, bo macierzyństwo zajmowało tylko jeden z zakamarków jej serca. Nie kry-tykowała ich wyborów, a to, co trafiło się jej dzieciom, przyjmowała bez zdumienia, jakby zawsze wiedziała, że będzie właśnie tak, a nie inaczej. Najstarsza, Róża, od dziecka zainteresowana cieniami do powiek i szmin-kami, którymi z upodobaniem podkreślała rysy swojej twarzy, została kosmetyczką w Monachium, Aniela, kolekcjonerka przepisów na słodycze, otworzyła cukiernię w Gelnhausen, starym miasteczku w Hesji, jej przyjęcia ogrodowe zasłynęły w całej okolicy z najlepszego Apfel-kuchen i tłustej bitej śmietany, a Hawa poszła do liceum sportowego i odnosiła pierwsze sukcesy w podnoszeniu ciężarów na zawodach międzynarodowych. Raz nawet pokazano ją w telewizji i cała wioska Mehrholtz o tym mówiła, patrzcie, patrzcie, córka tej polskiej przybłądy karierę sportową robi, ciekawe, ile ma z tych występów 25

na rękę. Najmłodsze dziecko Grażynki, Daniel, syn Hansa, co do czego wątpliwości nikt mieć nie mógł z powodu niezaprzecznego podobieństwa, był chłopcem spokojnym, poważnym i cichym; w wieku, gdy jego rówieśnicy chcieli zostać policjantami, bandytami, strażakami, on mówił, że zostanie hodowcą jak ojciec. Z powagą powtarzał, że będzie mieszkać w Mehrholtz i hodować zwierzęta, i co dziwniejsze, słowa dotrzymał.

Gdy córki wyprowadziły się, Grażynka nie zaniecha-

ła swoich wieczornych spacerów do lasu, a Hans dawno przestał już pytać, po co tam chodzi, bo najważniejsze, że Grażynka wraca taka sama, a może nawet jeszcze wspa-nialsza, z włosami lśniącymi od rosy i oczami tak czarnymi, jakby wsączyła się w nie ciemność. Czasem towarzyszy jej nowy kot lub pies przybłąda, czasem ma w ręce kiść jarzębiny albo bukiet ziół, w który raz po raz zanurza twarz. Każdy, kto ją wtedy widzi, nawet Frau Kom i Frau Zorn ukryte za firankami, nagle przypomina sobie nieużywane na co dzień słowa, takie jak morskie fale, przepaści, syreny, odmęty; albo obrazy z jakiejś książki, a może ze szkolnej wycieczki do muzeum, gdzie na ścianach wisiały wizerunki kobiet o perłowych ciałach, które, bezwstydni-ce jedne, kąpały się w leśnych jeziorach albo jadły nago śniadanie na trawie. Gdy przychodzi czas spaceru Grażyn-ki, Hansa ogarnia niepokój, bo choć jego żona zawsze wraca do domowych pieleszy, czuje on, że jej wyprawy są czymś zupełnie odrębnym od niego, ich domu pełnego rzeczy, ich wspólnego życia. W takie wieczory powietrze gęstnieje, jakby ich dom wypełniała mgła, która zaciera kontury sprzętów i gromadzi się w kątach; Hans Kalthoffer patrzy więc, jak Grażynka zakłada gumki, oplątuje 26

szyję szalem, odwraca się do niego w drzwiach. Macha jej wtedy ręką i robi zabawną minę, że to nic takiego, przecież tylko spacer, a ona odpowiada uśmiechem, który ani nie potwierdza, ani nie

zaprzecza. Hans Kalthoffer, hodowca świń spod Monachium, czuje, że w tym momencie kobieta, w której zakochał się w sali dancingowej sanatorium w Szczawnie Zdroju, matka jego syna, należy do niego jeszcze mniej niż na co dzień. Co moje, to twoje, powtarzał Grażynce, od kiedy się poznali, choć na początku, zanim nauczyła się niemieckiego, po prostu przykładał jej dłoń do kolejnych rzeczy, domu, powietrza nad polem, linii horyzontu, swojej różowej klatki piersiowej poroś-

niętej jasnymi włoskami. Ona nigdy nie powtórzyła gestu swojego niemieckiego męża, ale nigdy go też nie okłamała. Hans obserwuje Grażynkę przez okno do momentu, gdy wchłania ją ciemność lasu, a potem stoi i czeka; dopiero gdy zobaczy powracającą, odetchnie, usiądzie na kanapie i włączy telewizor, udając, że spokojnie oglądał

mecz albo program rolniczy.

Grażynka idzie najpierw koło chlewni, które należą do niej, potem przez swoje pole wspina się na wzgó-

rze, gdzie wchodzi w las, który nie należy do nikogo; niezależnie od pory dnia panuje tu mrok, ani światła, ani głosy wsi nie docierają między drzewa rosnące tak gęsto. Jakby strzegły jakiejś tajemnicy. Grażynka posuwa się do przodu, dotykając pni, mimo doskonałego zdrowia, zawsze miała słaby wzrok, co zresztą jej specjalnie nie przeszkadza. Jej szal w groszki powiewa na wietrze i czasem Hans z okna dostrzega błysk czerwieni między drzewami, który znika zaraz jak zduszony płomień. Na szczycie wzgórza, pośrodku bezańskiego lasu, Grażyn-27

ka siada na kamieniu tak gładkim, jakby wyrzuciło go morze, i patrzy na dom, który z tej odległości przypomina domek dla lalek, kwadrat ciemności z wykrojonymi okienkami światła. Las wokół niej szumi jak fale, powietrze jest ożywczyste i czyste; Grażynka widzi stąd swoje życie i jest to jedyne miejsce, gdzie przeszłość ma dla niej znaczenie, ale nawet teraz nie jest ona ciągiem wynikających z siebie wydarzeń, ale kalejdoskopem, w którym za każdym razem pojawia się inny wzór. Są tu rzeczy, które zdarzyły się, a których nie ma, oraz takie, które nie zdarzyły się, ale są, jest wiele rzeczy, które dopiero się przydarzą; są Róża i Aniela, jest Hawa, trzy kobiety, po których jej córki dostały imiona, są one same, raz małe, raz dorosłe, uśmiechnięte, z buziami umazanymi czekoladą. Grażynka na co dzień nie myśli o wcześniej i później, bo musiałaby przypomnieć sobie, ile ma lat, co uczyniłoby ją jedną z najstarszych matek odnotowanych przez światową medycynę. Jej życie to ciągle teraz, któ-

rego centrum jest ten brzydki i bogaty dom na niemieckiej wsi, jej mąż, który zna się na hodowli świń i nieraz płacze nocami, oglądając rodzinne fotografie, jej syn Daniel, który wygląda jak ojciec, bo to on naprawdę go pragnął. Grażynka sama nie pragnęła żadnego ze swoich dzieci, bo niczego jej nie brakowało nawet wtedy, gdy nie miała nic własnego prócz odkopanego gramofonu, a Halina Chmura szyła jej spódnice z farbowanych na czerwono pieluszek w zapyziałej wałbrzyskiej kamienicy. Z tego miejsca w bezańskim lesie Grażynka widzi przeszłość i przyszłość, które jak mgliste planety krążą wokół jej niemieckiego domu, ale to centrum wszech-

świata jest przypadkowe i nietrwałe.

Oprócz Wałbrzycha jest więc miasteczko Kamięnsk, między Kleszczową a Gorzkowicami, plamka na mapie centralnej Polski tak mała, że zwrócić na nią uwagę może tylko ktoś, komu naprawdę zależy i czyjej uwagi nie od-ciągną dwa pobliskie miasta, też zresztą niewielkie i niepięknę, Radomsko i Piotrków Trybunalski. Kamięnsk leży na glebie piaszczystej i lichej, a dzieci przychodzą tu na świat z umiejętnością zbierania kamieni z pól, które co roku rodzą ich więcej, jakby ziemia wiosną wypychała twarde płody ze swoich trzewi. Dobrze tu rosną sosny, brzozy i wrzosy, a ludzie są niewielcy, susi i ziemni, ich ciała mają kolor ziemniaczanej skórki. Gdy wojna czy inny kaprys losu rzuci ich gdzieś daleko, rozglądają się dookoła, ale tak, by ogarnąć wzrokiem tylko to, co w za-sięgu rąk; zaczynają przykrawać, łątać, sklejać, mościć, wędzić i kisić, by po krótkim czasie czuć się u siebie na jakiejś Piaskowej Górze, Greenpoincie czy Hammersmi-sie. Przesadzeni w inne miejsce nie zmieniają się wiele, CI gdy zmienić się muszą, wyrodnęją i wymierają; się porobiło, mówią, wyrolowali nas, narzekają, odkujemy się, grożą, gdy ich tak los przyciśnie, że ledwo mogą złapać oddech. Niepodobnych do siebie trą tak długo, aż się dotrą i upodobnią, a wtedy nazywają ich jakoś po swojemu, mówią na przykład, te dwie to Cioce Herbatki, i zaraz czują się pewniej, bo najgorsze dla nich jest nienazwane. Gdy wojna zmiecie żydowskich krawców, cieśli, nosiwodów, sklepikarzy, handlarki i fotografów, kowali i piekarzy, bez sentymentu zajmą ich miejsce w domach wzdłuż brukowanych uliczek Kamięnska. Czasem tylko Marianna Gwózdź westchnie, ach, jak te Żydówki umiały takie coś słodkie ugotować z rodzynekami, z marchewką, 29

cymes czy jakoś, że jadłby człowiek i jadł, a jakoś samej mi zrobić nie wychodzi. Trzeba się zapytać było, zanim przepadło na amen. A gdyby pomęczyć trochę Mariannę Gwózdź i dać jej następny kieliszeczek nalewki more-lowej, wypiłaby go, wylizała resztę z odchyloną do tyłu głową i być może przypomniała sobie, że jeszcze takie coś na drzwiach Żydzi mieli, jakby drewniane pudełeczko, do modlitwy służące, przyglądała mu się, gdy w sza-bas żona aptekarza wołała ją, Marianka! Marianka! by zapaliła im ogień. Tylko jak to się nazywało? Marianna Gwózdź, jedna z najstarszych mieszkanek Kamięnska, czasem śni, że wszystko jest tu znów tak, jak było przed wojną, ale ona jest teraz kimś innym, siedzi na weran-dzie dworu Fabrykanta, gdzie była służącą, i nikt jej nie goni do roboty. Pije sobie nalewkę morelową Cioć Herbatek i pogryza ciasteczka, zamiast czekać jak na zmiłowanie na panią z opieki społecznej.

Być może nie mają ludzie w Kamięnsku wielkich marzeń, ale często pamiętają wielką przeszłość, to jest marzenie mające tę przewagę nad skierowanym w przyszłość, że nieustannie się spełnia. Dla jednego to dziadek, który ziemi miał więcej niż inni, hen aż po las, a jak huknął, to zaraz słuchali, i bić nawet nie musiał. Mała Grażynka lubiła dróżnika Barnabę Midziaka z Kamięnska, który o dziadku opowiadał tak, jakby jego w ziemię za-sobny przodek był jednocześnie blisko, na wyciągnięcie dłoni, i bardzo daleko, jakby za każdym razem odjeż-

dzał na zawsze jednym z pociągów przemyskających koło dróżniczej budki, nie większej od kurnika. Zatrzymywała się tam, gdy wracała ze szkoły, a Barnaba Midziak machał

do niej z ławeczki, na której w wolnej chwili palił skręca-30

ne własnoręcznie papierosy; siadali i patrzyli na tory. Mój dziadek, opowiadał Grażynie dróżnik, miał ziemi tyle, że jak ruszył z pługiem rano w jedną stronę, to dopiero koło południa wracał, a my z bratem patrzyli, patrzyli tylko w stronę Kleszczowej, czy już go widać, i bawili się, który pierwszy zobaczy. A jak huknął, gdy coś było nie po jego myśli! Jak huknął, to aż w uszach dzwoniło. Jak

zegarek śmy wszyscy chodzili i nawet bić nie musiał. Dla tych, którym w przeciwieństwie do dróżnika Barnaby nie dane było umrzeć w Kamieńsku, nadal tu bije źród-

ło opowieści. Dla Antoniego Mopsińskiego, przed wojną zwanego w Kamieńsku Fabrykantem, opowieść wypływa stąd, bąbelkując jak szampan w sylwestrową noc w klubie Biały Orzeł na Greenpoincie. Właśnie tak, z niesłabnącą siłą, mimo iż od czasu, gdy Fabrykant opuścił Kamieńsk, minęło tyle lat. Moja szanowna prababka, mówił Antoni Mopsiński, a mała Grażynka patrzyła z podziwem na lśniące guziki jego surduta; moja prababka z miasteczka Kamieńsk, mówi ciągle Antoni Mopsiński po wielu latach, a jego własne amerykańskie wnuczki, Lilia Rose i Violet Rose, szczypią się pod stołem porozumiewawczo. Co za pierdoła z tego polskiego dziadka, co je obchodzi prababka z Kamieńska, prapraprababka, a nawet jeszcze starsza, praprapraprababka z ery prapradinozau-rów; dziewczynki nabierają powietrza i sprawdzają, ile razy uda im się powiedzieć pra na jednym wydechu. Taka prababka mogłaby zamieszkać co najwyżej w muzeum, a nie w ich three-bedroom semi. Poza tym one naprawdę nie mają chęci mówić po polsku, to im do niczego nie jest potrzebne, już wystarczy, że nazwisko mają nie do wymówienia, Mopsinsky, a do tego ich tata, Napoleon, 31

ożenił się z pół-Hinduską i wnusie dziadka Mopsińskiego są w związku z tym trochę polskie, trochę amerykańskie, a trochę półhinduskie, nie licząc tego, co mogło wdać się po drodze. Moja szanowna prababka z Kamieńska zapisała mi w testamencie nocnik Napoleona, ciągnie niezrażony dziadek Mopsiński, a Lilia Rose i Violet Rose wbijają sobie paznokietki w skórę tak mocno, aż zostają ślady, jeszcze chwila i posikają się z tłumionego śmiechu, który dostał im się do młodziutkich pęcherzyków moczowych i rozsadza je od środka. Nocnik Napoleona!

Co za pierdoła z tego dziadka. Nocnik i prapraprababka.

Tata każe im z dziadkiem posiedzieć, bo niedługo dzie-dzia nie będzie, pójdzie do nieba, ale dziewczynkom trudno znieść zapach starego człowieka i potem opowiadają sobie, chichocząc, że cuchnie skarpetami weł-

nianymi suszonymi na kaloryferze, nieświeżą gąbką do mycia naczyń, skajową torbą na zakupy, w której rogach pełno okruszków, paprochów, materacami z sali gimnastycznej, fuj, fuj. Lilia Rose i Violet Rose mają brata, któ-

ry odwiedza dziadka osobno, bo poważnego nad wiek chłopca irytują chichoty i piski dziewczynek. Ich zarozumiały brat otrzymał po ojcu imię Napoleon, a siostry mówią do niego Napi-okapi i złośliwie pytają o nocnik.

Napi-okapi! wrzeszczą, gdy widzą brata wracającego z kolegami ze szkoły, dzwonił z Francji cesarz Napoleon, mówił, że świsnąłeś mu nocnik! Nocnik Napoleona, dziadek ciągle opowiada im o nocniku Napoleona i właściwie o niczym innym już nie mówi. Nocnik Napoleona, co za szkoda, że go tu nie ma, bo wnusiom by pokazał nocnik złoty, lśniący, w kwiaty malowany, w huzarów na koniach i co tam jeszcze. Byłby im po śmierci zostawił nocnik 32

francuskiego cesarza w spadku. Żeby go pamiętały, żeby dla swoich dzieci nocnik w dobrej kondycji przechowa-

ly. Niestety, mówi dziadek, nocnik Napoleona przepadł, ale on go wciąż widzi przed oczami i przez całe życie na obczyźnie z oczu duszy go nie spuścił. W domu szanownej prababki w Kamieńsku, ciągnie opowieść dziadek Mopsiński, prapraprababki, podpowiadają wnusie, tłumiąc chichot, a tak, prapraprababki, Napoleon zatrzymał się, wracając z Rosji. Napoleon? dziwią się wnusie przesadnie i szczypią ukradkiem, bo słyszą tę samą opowieść podczas cotygodniowych odwiedzin w domu starców, tak samo jak kilkadziesiąt lat temu słyszała ją już Grażynka. Gdyby to chociaż był naszyjnik, kuferek, pierścionki, ale nocnik, co komu w Nowym Jorku po nocniku, i to starym, używanym przez jakiegoś Napoleona. Na-po-leon? pytają dziadka Mopsińskiego jak co tydzień: jak ciastko z polskiej cukierni na Greenpoincie?

A tak, odpowiada dziadek, bo Napoleon lubił polskie ciastka, nic, tylko polskie napoleonki by jadł, bo, mówił, najlepsze, nawet od francuskich smaczniejsze. A najbardziej smakowały mu w Kamieńsku, w cukierni Mateusza Suligi, zajadał się nimi, aż mu miętę trzeba było potem parzyć, bo żołądek miał słaby. Lepsze były napoleonki od batoników Mars? pyta Lilia Rose. Lepsze, potakuje dziadek, pewnie, że lepsze. A od Snickersa? pyta Violet Rose, bo skoro siostra spytała, ona nie może pozostać w tyle. Lepsze! Wielki cesarz Francuzów, przyjaciel Polaków wielki, Napoleon Bonaparte mówił, że najlepsze polskie ciastka i żołnierze polscy. O, żołnierzy to on innych nie chciał, tylko naszych. Zamierzała go szanowna prababka we dworze ulokować, w pokoju gościnnym, 33

a on że nie, że w chacie, którą z okien widać, przeno-cuje, by koło żołnierzy pozostać blisko. W trymiga mu wszystko tam przygotowali, bo babka służby miała, że ho ho, dywany mu tam zanieśli, łóżko wielkie, że czterech chłopów dźwigać musiało, kobierce, żeby na ścianach raz-dwa porozwieszać. I nocnik, nocnik babka sama zaniósła i jeszcze pod drodze brzegiem sukienki polerowała do połysku. A chatę, w której wódz nocował, od tej pory nazywano w Kamieńsku Napoleonówką. Dał nam przykład Bonaparte, jak zwyciężać mamy, nuci senior rodu Mopsińskich, i to już jest dla wnuczek za wiele, parszają śmiechem, który rozsypuje się jak szklane ko-raliki, odbija od podłogi, kuleczki śmiechu wskazują na fotel, na którym owinięty pledem pradziadek zastyga z uśmiechem, zamyka oczy i pogrąża się w jednej z tych drzemek bliższych śmierci niż snu, gdzie Napoleon wracający z Rosji, Kamieńsk, nocnik, prababka, wnuczki Lilia Rose i Violet Rose dzieją się jednocześnie, wodospad obrazów układających się inaczej przy każdym oddechu, nie do zatrzymania.

Antoni Mopsiński jak relikwię przechowywał w Kamieńsku nocnik Napoleona, z którego wielki wódz skorzystał, gdy go przypiliło w czasie odwrotu z Rosji. Nocnik wodza za szybą gabloty we dworku kamińskim stał

zawsze świeżo wypolerowany, lśniący, a klucz od kłódki leżał na klucz zamknięty w szufladzie biurka, w szkatułce też zakluczonej. Własnoręcznie wyjmował go pan Mopsiński i dawał służącej, młodziutkiej Mariannie Gwóźdz, ale niechże ostrożna będzie i łapy naprzód umyje. Gdy miał ważniejszych gości, wyjmował nocnik zza szkła i pokazywał, dawał dotknąć, choć drżał przy tym, by kto 34

nie upuścił, nie uszkodził tej cennej pamiątki rodzinnej.

Dwór w Kamieńsku, ziemię, las i Napoleonówkę Antoni Mopsiński kupił kilkanaście lat przed wojną od dziedzica bankruta, ale to drobiazg, który nie był w stanie umniejszyć siły jego napoleońskich

marzeń i piękna wspomnień. Gdy usłyszał, że dziedzic Eugeniusz Borowiecki z Kamińska jest w posiadaniu nocnika, spać nie mógł, a od kiedy relikwię zobaczył, wiedział, że to zrządzenie losu, na niego nocnik czekał i wszystko, łącznie z dziedzicą skłonnością do dalekich podróży, kart i wyścigów, złożyło się na ciąg wydarzeń prowadzących do spotkania Antoniego Mopsińskiego, fabrykanta z Łodzi, z nocni-Idem Napoleona.

Antoni Mopsiński zawsze fascynował się Napoleonem i już jako chłopiec przeczytał na jego temat wszystko, co mógł znaleźć w łódzkich bibliotekach. Młody Napoleon z rozwianym włosom w epoce Dyrektoriatu, zwycięski wódz pod Austerlitz, władca świata przema-wiający pod piramidami, dostojny cesarz z obrazów Davida. Młody Antoni Mopsiriski przyjmował pozy napoleońskie przed lustrem, głowę zadzierał, bo podobnie jak cesarz Francuzów wzrostu był mizernego, ramię jedno za plecy zakładał, dłoń po napoleońsku lokował na brzuchu i mówił, żołnierze, pamiętajcie, że ze szczytów tych piramid czterdzieści wieków patrzy na was, albo, od wzniosłości do śmieszności jeden tylko krok. Stary Mopsiński, ukryty za winklem, na migi wołał wtedy małżonkę Mopsińską, by zobaczyła, co ich syn wyprawia i czy na to wariactwo nie trzeba by mu puścić krwi albo zwiększyć dawki tranu, bo on jako ojciec czuje się poważnie zaniepokojony. Mały Mopsiński marzył, by zostać histo-35

rykiem, skoro nie było już szans na zostanie gwardzistą Napoleona, ale dla jedyne go syna właściciela fabryki guzików z Łodzi inna przyszłość była zaplanowana i ojciec tłumaczył jedynakowi, że książki będzie sobie czytał wieczorami, jeśli już musi, czy na letnisku, jak do wód pojedzie, bo z książek to żyją ci, którzy do żadnej porządnej roboty się nie nadają albo z biednych żydowskich rodzin pochodzą. Okazało się, że otumaniony napoleońskimi fantazjami Antoni Mopsiński miał zadziwiający talent do interesów guzikowych, bo wszystkie podejmowane przez siebie decyzje analizował z punktu widzenia strategii bitewnej wielkiego wodza Francuzów; układał armie z guzików na perskim dywanie, dumał, palił i dochodził do wniosku, że najlepiej będzie nabyć kość na guziki kościane i masę perłową na perłowe od ormiańskiego kupca, którego w mieście jeszcze nikt nie znał, a któ-

ry miał okazyjne ceny. Antoni Mopsiński szybko potro-ił majątek ojca, ożenił się z kobietą imieniem Józefina, bo jakże mógł wybrać Krystynę czy Genowefę w obliczu najprawdziwszej Józefiny, mimo iż tamte większy miały posag, żywszy temperament i urodę wyraźniejszą, kupił

dwór w Kamińsku, a synowi, co mu się rok po ślubie urodził, dał na imię Napoleon.

Dziedzic sprzedał Antoniemu Mopsińskiemu wszystko łącznie z portretami i meblami, rzeźbami afrykańskimi i dwiema suszonymi główkami od ludożerców z Nowej Gwinei, zastawami porcelanowymi i srebrami rodowymi, a tę piękna napoleońską historię i nocnik dorzucił na dokładkę. Dziedzic Borowiecki pozbawiony funduszy, bo wszystko poszło na spłatę długów, i zamierający popeł-

me honorowe samobójstwo, w zamian za zrzeczenie się 36

praw do nocnika Napoleona wymusił na Antonim Mopsińskim umowę dzentelmeńską. A mianowicie przyjmie on do siebie w Kamińsku, zapewni dach nad głową i wyposaży w wypadku zamążpójścia dwie siostry rodziny pozbawione, a właściwie kuzynki, sieroty, Różę i Anielę Rozpuchówny z Częstochowy, których dotąd on, Eugeniusz Borowiecki, był prawnym i nieudanym opiekunem.

Wstydu nie przyniosą; ukończyły kurs gospodarstwa domowego, na suchoty nie chorują, pracowite są i silne.

Nic nie wydawało się fabrykantowi z Łodzi ceną zbyt wysoką za nocnik Napoleona, panowie dobili targu.

Eugeniusz Borowiecki znikł z Kamieńska i nigdy już o nim nie słyszano, a we dworze pojawiły się wkrótce dwie dziewczyny o trudnym do określenia wyglądzie i wieku. Antoni Mopsiński przywitał je tak, jakby był od-wiecznym panem tego miejsca, pokazał im nocnik Napoleona przez szybkę, bo nie uznał dwóch panien za osoby godne bezpośredniej prezentacji, po czym już nigdy nie poświęcił siostronom więcej uwagi i nigdy nie nauczył

się, która z nich jest Anielą, a która Różą. jego żona, Jó-

zefina, ucieszyła się z niespodziewanego towarzystwa, bo nie udało jej się w Kamieńsku z nikim zaprzyjaźnić.

W przeciwieństwie do swej imienniczki, ukochanej francuskiego cesarza, była osobą spokojną i nieskłoną do flirtu, nieco niezdarną; cierpiała na niezidentyfikowaną przypadłość maciczną, wymagającą długich nasiadówek w misce z gorącym wywarem ziołowym, i często popadała w apatię. Ulubioną rozrywką pani Mopsińskiej było robienie na drutach, sztrykowanie, jak mówiła, sądząc, że jest to słowo francuskie, i jej małżonek oraz syn, Napoleon, zwany w domu Napciem, przy każdej okazji 37

dostawali w prezencie swetry, skarpety i szale. Rzadko przy tym zdarzało się, by rozmiar był właściwy czy rękaw-y jednakowej długości, a bywało, że przez zbyt mały otwór obdarowany nie mógł przepchać głowy i stał jak głupia pałuba, bliski uduszenia. Pani Mopsińska patrzyła wtedy ze smutkiem na swoją kolejną klęskę i obiecywa-

ła, że zaraz to poprawi i będzie jak ulał, ale zapominała, co miała poprawić i jak, a kolejny nieudany efekt sztrykowania wkrótce dziurawiły mole. Roztargnienie józefiny nieraz doprowadzało do większych domowych katastrof niż podduszenie pana domu lub jego potomka w swetrze o zbyt małym wycięciu na głowę. Raz na przykład zatrzasnęła w kufrze z wełną francuskiego pieska i dopiero gdy rozłożył się na dobre, służącą Mariannę Gwóźdz doprowadziła do zguby gruba jak powróż nieć smrodu, innym razem Józefina tak się zagapiła przy ką-

pieli małego Napoleonka, że się mało dzieciak nie utopił

i musiano głową w dół wodę z niego wytrząsnąć, a co przy tym wrzasku było, bo wisząc w tej nieprzyjemnej pozycji, ugryzł w łydkę biedną Mariannę. jeszcze kiedy indziej zapomniała Józefina Mopsińska sztrykując, że na bieliznę przymierzyła robiony dla małżonka pulo-wer, i wyszła do ogrodu naciąć róż, a kamizelka pruća się stopniowo i pani zdziwiona, czemu tak się na nią gapią ludzie z drogi, zorientowała się w końcu, że stoi w pan-talonach, haleczce i reszcie czegoś szarego wełnianego przy szyi. Józefina nie martwiła się koniecznością przyję-

cia pod swój dach dwóch rezydentek, a nawet ucieszyła się, że może ich towarzystwo ją rozrusza.

Rozruszałabyś się trochę, mawiał jej mąż z pretensją w głosie, gdy sam fakt, iż ma na imię Józefina, nie wystarczał mu do szczęścia-

38

cia; kupił jej pieska, jakiego miała cesarzowa, to zwierzę udusiła, chciał potańczyć, skrzyła kostkę, na polowanie ją zabrał, postrzeliła reagenta z Radomska. Siedzi tylko i sztrykuje; to ma być żona? Rozruszałabyś się trochę, Józefino! Antoni Mopsiński coraz częściej zamykał

się w swoim gabinecie i w samotności podziwiał nocnik Napoleona.

Antoni Mopsiński nazywany był w Kamieńsku Fabrykantem i nikt nie mówił o nim inaczej jak Fabrykant.

Wiedziano, że Żyd z Łodzi, przechrzta z żoną gojką, bo takie rzeczy ludzie tu umieli zwęszyć z wiatrem i pod wiatr co najmniej do trzech pokoleń. Zaraz na początku Fabrykant ufundował nawet nowe figury Drogi Krzy-

żowej do kościoła, ale poza tym żył na uboczu i wiele czasu spędzał w Łodzi, bo musiał doglądać interesów.

Jeszcze jakiś czas po wojnie na zaśnieżonej tablicy w kamieńskim kościele można było przeczytać nazwisko hojnych darczyńców, Antoniego Mopsińskiego i Józefiny Mopsińskiej z domu Kloc, ale którejś nocy ktoś włamał

się i odkręcił tablicę, kradnąc przy okazji dwa kielichy srebrne i dywanik spod ołtarza. Gdy więc po wielu latach prawnuk Antoniego Mopsińskiego, Andrew, student Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku, przyjedzie do Kamieńska szukać śladów przodka, nikt już nie przypomni sobie Fabrykanta, choć po ukradzionej tablicy w kościele wciąż będzie jaśniejszy ślad. Ksiądz pomógłby, bo sam się trochę historią interesował, zwłaszcza średniowieczem, ale niestety archiwum kościelne z czasów mniej odległych poszło z dymem razem z połową plebanii, gdy w drugi dzień wojny Niemcy zrzucili na Kamieńsk bomby.

Zaprosił jednak gościa z Ameryki na lampkę wina domo 39

wej roboty i tak im się dobrze rozmawiało, że opróżnili trzy butelki. Nazajutrz Andrew Mopsinsky, skacowany, z językiem jak piętka chleba pokryta pleśnią, miejsce po tablicy obfotografuje ku zdumieniu wikarego, który zachęcać go będzie, by zrobił też zdjęcie całemu kościo-

łowi albo obrazom miejscowego artysty, który właśnie namalował piękny portret polskiego papieża ze zdjęcia, proszę, jaki podobny, jakie kolory, lepsze niż w naturze.

Niechże zrobi papieżowi, bo potem za granicą pokaże komuś zdjęcie szarej plamy i co sobie ludzie o kamień-

skim kościele pomyślą? Młody człowiek na koniec wizyty w Kamieńsku sfotografował jeszcze ruiny dworu oraz Napoleonówkę opuszczoną i do połowy ścian zarośniętą łopianami; przez płot przelazł i

pewnie w gówno jakieś wdepnął, bo potem go Marianna Gwóźdź widziała, jak buty o trawę czyścił.

Napoleonówka, obszerna chata kryta strzechą, któ-

ra opadała na niewielkie okna jak futrzana czapka, stała w wilgotnym ogrodzie, zbiegającym aż do rzeki Kamionki. Grażynka potrafi odtworzyć w pamięci każdy szczegół

tego domu z czasów, gdy toczyło się w nim życie; okiennice malowane na zielono, fakturę szorstkich ścian, które nagrzane słońcem wydawały się żywe jak skóra bardzo starego zwierzęcia, zapach zsiadłego mleka, suszonych grzybów i lawendy, który był pierwszym, jaki czuli w sieni goście zaproszeni na herbatkę. Grażynka nie musi zamykać oczu jak dziadek Mopsiński, wystarczy, że wyjdzie z domu i zanurzy się w las, by znów widzieć, jak przy cięż-

kim drewnianym stole siedzą w Napoleonówce dwie kobiety i dziewczynka w blasku naftowej lampki; ta dziewczynka to ona, kobiety to Ciocie Herbatki.

40

Ostatnimi lokatorkami Napoleonówki były pod-opieczne dziedzica hazardzisty, które zgodnie z umową przygarnął Antoni Mopsiński, Róża i Aniela Rozpuchówny. Najpierw mieszkały razem z rodziną Antoniego Mopsińskiego, grzecznie witały się z Fabrykantem, który za każdym razem sprawiał wrażenie, jakby musiał sobie przypomnieć, kim one, do diabła, są; cieszyły się, wydając ciche okrzyki och i ach, ze swetrów, szali i lizesek, jakie wysztrykowała dla nich Józefina Mopsińska, zajmowały się małym Napciem. Były łagodne w obejściu, niewymagające i ciche, obie miały ciemnoblonde warkocze, szare oczy i przerwę między górnymi jedynkami, ale podczas gdy Aniela, szybka i zamaszysta, trajkotała, łącząc ze sobą słowa, szafując przymiotnikami i łykając w pośpiechu samogłoski, Róża przed każdym słowem zastanawiała się i wzdychała, jakby użycie go wiązało się z wydatkiem. Owo niepodobieństwo w podobieństwie wydawało się wręcz niewłaściwe i niektórzy mieszkań-

cy Kamieńska podejrzewali, że wcale nie są siostrami, nawet nie kuzynkami. Mimo zwykłości wyglądu Róży i Anieli, który ani nie raził, ani nie zachwycał, jakiś drobny, trudny do zdefiniowania szczegół sprawiał, że nigdy do końca nie wydawały się swoje. W hierarchii domowej siostry lub nie siostry zajmowały pozycję niedookreśloną, trochę niżej niż znająca podstawy francuskiego guwernantka z Piotrkowa Trybunalskiego, zatrudniona dla Napcia, wyżej jednak bez wątplenia niż Marianna Gwóźdź

i dwie służące z Kleszczowej, dlatego mniej uprzywilejowani konkurenci sądzili, że za wysokie progi, a wyżej postawieni uważali, że nie wypada. Miały niewiele ponad trzydzieści lat, gdy spisano je na straty, uznając za 41

zbyt stare na zamążpójście, a nigdy właściwie nie stały się przedmiotem plotek i romansowych spekulacji. Róża i Aniela przedkładały własne towarzystwo nad spotkania z mężczyznami i nawet wówczas, gdy bracia Sopli-cowie z Gorzkowic zaprosili je do Radomska do kina, o czym niejedna panna na wydaniu marzyła, wydawały się zainteresowane przede wszystkim sobą nawzajem.

W pełnym przeciągów i nieużywanych pokoi kamińskim dworze siostry nie siostry zajmowały się malowaniem akwarelek, suszeniem ziół i kwiatów na potpourri, z talentem przyrządzały lecznicze nalewki i mikstury; wszę-

dzie zostawał po nich ziołowo-apteczny zapach czegoś, co zbyt długo leżało w szafie i nie zepsuło się wprawdzie, ale straciło świeżość. Ich blade i niewyraźne obrazki nie-odmienne przedstawiały zaaranżowane na stole martwe natury albo morze, obie marzyły, by pojechać kiedyś nad Bałtyk, jak wspominały przy lada okazji. Róża i Aniela Rozpuchówny herbatę nalewały z wdziękiem, ubierały się ponad wiek poważnie, na stole stawiały świeże ciasteczka i owoce ułożone na liściach winorośli w sposób, który wydawał się elegancki. Na koniec wizyty obdarowywały wszystkich gośćmićkami w postaci słoika kiszzonej kapusty, ogórków w miodzie lub konfitury i namawiały, by ponownie, może w następny czwartek, przyszli na herbatkę. Potrafiły prowadzić lekkie, niezobowiązujące rozmowy, ograniczając się do zadawania dokładnie takich pytań, na jakie rozmówca pragnął odpowiedzieć, bo dotyczyły jego ogrodu, ołtarza, dziecka, sukni albo wrzodów na żołądku; stłumione okrzyki zachwytu lub zdziwienia, jakie wydawały z siebie Róża i Aniela, były pełne zrozumienia i doskonale wyważone. Podejmowały 42

herbatą księdza, lekarza, właścicieli sklepu z towarami kolonialnymi, dyrektora poczty i aptekarżową, a robi-

ły to z łagodną przyjemnością, odciążając roztargnioną i wiecznie sztrykującą panią domu. Gdy Antoni Mopsiń-

ski uznał wydanie Róży i Anieli za sprawę beznadziejną, bez szemrania przenieśli się do Napoleonówki i tam kontynuowały herbaciane ceremonie przy domowych konfiturach i ciasteczkach, jakby nie zauważyły, że standard ich życia obniżył się z dworu pod strzechę. Zaczęły robić przetwory i w ich spiżarni zawsze stały trzy beczki kiszzonek, do kapusty dodawały z fantazją raz całe jabłka, raz paprykę i kminek, a ci, którzy spróbowali, mówili, że inne te ich kiszkonki niż normalnie, ale, o dziwo, smaczne. Wierzono, że likiery, mikstury i nalewki ich produkcji pomagają na wiele schorzeń i często, zanim wybrano się do lekarza, radzono się mieszkanek Napoleonówki, co najlepsze na pieczenie w żołądku, uporczywe skrofu-

ły czy dzwonięcie w uchu.

Róża i Aniela Rozpuchówny miały zdolność niezwracania na siebie zbytnej uwagi; ich istnienie tak naprawdę dostrzeżono dopiero wówczas, gdy oddzieliły się od rodziny Fabrykanta Mopsińskiego i zamieszkały w Napoleonówce. Wystawione na zewnątrz rodzinnego układu wydały się jakoś drażniące i niedopasowane, no coś takiego, mówili mieszkańcy Kamińska. Znano tu stare panny rezydentki, w każdym okolicznym dworze była taka ciotka-pociotka, kuzynka bez posagu, lekko uszkodzona stryjenka czy wujenka w drucianych okularach, ale dwie niezamężne kobiety zamieszkujące osobny dom?

Może gdzieś w mieście, w Piotrkowie czy Radomsku, ale nie w Kamińsku, chyba żeby współlokatorki były sta-43

re i wyraźniej spokrewnione. To wówczas nazwano je Ciociami Herbatkami i to wspólne imię

wszystkim zainteresowanym odpowiadało, a niewypowiedziane podejrzenia pozostały nienazwane, tym bardziej że nazw brakowało na takie rzeczy w Kamieńsku. Ciocie Herbatki wydawały się zadowolone z nowego przydomku i zdecydowanie były zadowolone z własnego domu, powiesi-

ły w oknach Napoleonówki świeże firanki i zasłony, po-bieliły ściany i wyplewiły ogród, a wszystko to robiły na cztery ręce. W ciepłe dni siadały na ławeczce i łuskały groch albo obierały jabłka; niektórzy trochę się irytowali na ten widok, bo nie dość, że takie podwójne i niezamężne, to jeszcze nie wiadomo, pańskie czy chłopskie, bo jak popatrzysz, to na dwoje babka wróżyła, raz wy-strojone jak ze dworu, a raz rozmamłane jak byle baba groch sobie łuskają w chustkach na głowie. Czasem Ciocie Herbatki po prostu siedziały beczynn timer, patrząc na drogę, jakby na coś czekały, jedna obok drugiej, takie do siebie podobne w gęstniejącym zmierzchu, nieruchome.

I doczekały się.

W Napoleonówce przyszła na świat Grażynka, a właściwie została nań przyniesiona marcowym przed-

świtem, gdy pierwsza fala szarego światła dobiegała do rogatek Kamieńska od strony Kleszczowej. Co najmniej trzy osoby ją na świat przyniosły, nie licząc nieznannej matki, która ją nosiła, i trudno dociec, dlaczego światem w tym wypadku był akurat Kamieński, spośród sąsiednich wiosek wyróżniający się jedynie Górą Kamieńską. dziwnym wzniesieniem, które na płaskim krajobrazie centralnej Polski wygląda jak grudka pod wyprasowanym obrusem. To mikroskopijne miasteczko, łatwe do pomylenia 44

z wsią, leżało jak kurza kupka na skrzyżowaniu dróg wiodących do miejsc o wiele ważniejszych; przez Kamieński prowadziła droga z Katowic do Gdańska i z Warszawy aż do Wiednia, który z perspektywy Kamieńska wydawał się tak daleki, że aż nieprawdziwy, choć tutejsza nauczycielka muzyki, Aurelia Borowiecka, katowała swoich uczniów wiedeńskimi walczykami, na raz, dwa, trzy. Twarzą pierwszej osoby, która przyniosła na świat Grażynkę, nikt nie widział; cierpiący na bezsenność fotograf Ludek Borowicz i Marianna Gwóźdź, która ze słu-

żającej Fabrykanta awansowała wówczas na gospodynię proboszcza Wenancjusza Pielasy, dostrzegli co prawda obcą postać w Kamieńsku, ale mieli sprzeczne zdania na temat jej płci, wieku i ubioru. Ludek pewny był, że kobieta, wysoka, rudowłosa, biegła drogą w stronę rzeki, jakby ją gonili, a gospodyni zapierała się, że gówn tam widział, patrzcie go, fotograf, a ślepy jak kret, przecież to chłop był, mały, lecz w sobie, przy kości, w kapeluszu jak Cygan, i nie pędził, lecz jakby lisio się przemykał, a takie lisie przemykanie w kapeluszu cygańskim jest oczywistą oznaką nieczystego sumienia. Stan sumienia mężczyzny przy kości i w kapeluszu, o ile nie był wysoką rudowłosą kobietą, pozostał tajemnicą, bo Ludek Borowicz, fotograf z Kamieńska, nie przyznał się, że tak naprawdę widział kobietę średniego wzrostu, i to cał-

kiem z bliska, podeszła bowiem do jego drzwi, by na progu zostawić zapakowane w kokon szmat niemowlę.

Gdyby to żona Ludka, piękna Hawa, otworzyła drzwi, dziewczynka prawdopodobnie zostałaby pod numerem siódmym na ulicy Prostej, między piątką, gdzie mieściła się cukiernia Mateusza Suligi, a

fryzjerski prowadził Tadeusz Kruk. Jednak fotograf nie chciał mieć dzieci i z pewnością uznano by go w Kamień-

sku za odmieńca, gdyby się do tego przyznał, dawał więc do zrozumienia, że w kwestii rozmnażania to z żoną coś jest nie tak. Użył tchórzliwego wybiegu, choć nie był

tchórzem i gdy wzdychał, wymieniając imię żony, Hawa, w oczach zbierały mu się łzy. Mówiono w miasteczku, że bardzo ją musi kochać, skoro nie rozwiódł się, mimo iż bezpłodna. Ludek nie miał nic przeciw dzieciom jako takim i fascynowały go miniaturowe ludziki, którym robił

zdjęcia z okazji chrztu, bar micwy czy komunii, a jego niechęć do posiadania dzieci związana była ze straszną tajemnicą, z którą musiał żyć i z którą umrze, nie pis-nawszy nikomu słowa.

Biedny Ludek Borowic. na którego próg przyniesio-no Grażynkę, miał dar przepowiadania nagłej śmierci, widział ją nie na twarzach fotografowanych, ale na ich podobiznach. Wizerunek człowieka mającego umrzeć nagle i nie z choroby, na zdjęciu zrobionym przez Ludka był zamazany, jakby drżący, a twarz niewyraźna i zatarta.

Krzyczał na niego ojciec, u którego w tym samym zakładzie uczył się fotografii, że rękę ma do łopaty, a nie sztuki tak wysublimowanej jak zdejmowanie wizerunków.

Ja się pytam, grzmiał na syna, czy tak wygląda Marek Słowik? Ja się pytam, czy Marek Słowik ma gębę bladą i oczy trupie? To dybuk jakiś, nie Słowik! Stary Borowic umarł, zanim związek między prześwietlonym zdjęciem a nieszczęśliwym wypadkiem modela stał się oczywisty.

Szedł właśnie ojciec Ludka na pocztę z listem do kuzyna z Grodna za pazuchą, gdy na ławce pod kamińskim kościołem zobaczył śmierć; siedziała tam i skubała sło-46

necznik wielki jak młyńskie koło. Nie miał wątpliwości, że to ona, więc pokazał tylko na list, że chciałby go jeszcze wysłać, jeśli można, a ona lekko wzruszyła ramionami: proszę bardzo, niech wysyła, ona może poczekać, aż tak jej się nie spieszy. Umarł ojciec Ludka, zanim zdążył

spełnić swoje marzenie o podróży do Grodna, gdzie żyło wielu jego kuzynów i kuzynek, a jeden krewny do tego miał na imię Ludek, jak on i jego syn, i też był fotografem, co za zbieg okoliczności. A ciekaw jestem, wzdychał Ludek, ojciec Ludka, czy tamten Ludek z Grodna taki sam jak ja, czy inny? ale nie miał swej ciekawości zaspokoić, bo śmierć splunęła ostatnią łupiną słonecznika, pasiastą jak skrzydełka stonki, podeszła do niego i wzięła go pod ramię.

Pierwsza śmierć przepowiedziana przez Ludka Borowica, wówczas dwunastoletniego, dotknęła Marka Słowika, hodowcę z Kleszczowej, którego pod okiem ojca sfotografował z okazji sukcesu w dorocznej wystawie bydła. Krowa mleczna Marka Słowika zajęła pierwsze miejsce i na fotografii wyszła jak trzeba, wyraźna, po-

łyskliwa, aż chciało się dotknąć, podczas gdy właściciel stojący przy niej w pozie dumnej i sztywnej wyglądał jak wymoczony w wybielaczu. Dostał Ludek przez łeb i aż się popłakał, a jego ojciec

pomstował, retuszując fotografię, że tylko taka niezguła jak jego syn może spaprać pół zdjęcia, bo jeszcze jakby całe, toby jakoś człowiek rozumiał, a tu pół jak się patrzy, a drugie pół spapra-ne. Po tygodniu Marek Słowik zginął pod kołami pocią-

gu do Wiednia, gdy po pijanemu przechodził przez tory, podczas gdy krowa pozostała w dobrym zdrowiu i rok później znowu zdobyła medal na wystawie. Mógł Ludek 47

wybrać inny zawód, tak czasem podpowiadał mu głos rozsądku, ale wewnętrzne przekonanie, silniejsze niż rozsądek, mówiło z kolei, że to los wybiera nas i nie ma co się silić, by zrozumieć, dlaczego jest tak, a nie siak, weźmy na przykład jego naród wybrany przez Boga, któ-

ry niekiedy wyraźnie nie wie, po co to zrobił, ale jest już za późno, by wszystko odwołać. Boże, wzdychał więc Ludek, a każde wywoływane zdjęcie sprawiało, że jego serce waliło jak pociąg, który przejechał po Marku Słowiku, hodowcy krów mlecznych z Kleszczowej, bo jeśli śmierć pojawiła się na odbitce, nie było odwrotu. Śmierć na fotografiach Ludka Borowica mogła być młoda, ledwie opierzona, a wtedy potrzebowała trzech do czterech lat, by dojrzeć, albo już wyrosnięta, gotowa i lśniąca jak lukier na wielkanocnym mazurku z cukierni Mateusza Suligi, a wówczas zabierała się do roboty w ciągu miesiąca.

Władysława Przetak, zdjęta z powodu ślubu z Wojciechem Przetakiem, spadła z drabiny tak nieszczęśliwie, że już nie wstała, Ludwika Poznańskiego, weterynarza, sfotografowanego z okazji narodzin syna, koń kopnął

w czoło, a mała Ada Witz wpadła do starej studni, zważona swoim dalekim zielonkawym odbiciem, wyłowiono ją dopiero po dwóch tygodniach poszukiwań, i to tylko dlatego, że nocą cembrowina studni zaczęła świecić na seledynowo, bo obsiadały ją całe chmary robaczek świętojańskich. Ludek opanował do perfekcji sztukę retuszu i ci, których śmierć dopadła na jego fotografiach, niczego się nie domyślali, zabierając do domu zdjęcie przy greckiej kolumnie albo na tle morza, a Ludek powoli godził się z tym, że jego ostrzeżenia rzucane jakby nigdy nic - a na wodę uważajcie, Macieju - na nic też się 48

nie zdają, bo śmierć znajduje tych, których naznaczyła.

Najgorsze miało jednak dopiero przyjść i wtedy Ludek, tuż po ślubie z piękną Hawą, zdecydował, że nie będzie miał dzieci.

Na początku Ludek Borowic, fotograf z Kamińska.

nie wierzył w to, co widzi, bo na ślubnej fotografii starszej siostry Ady Witz, Aliny, wszystkich trzydziścioro dwoje gości, włączając państwa młodych, nosiło biały cień śmierci. Śmiercią jak szronem pokryci byli od stóp do głów Ida i Mosze Lipszycowie, szronem - ich nowo narodzona córka Ida, młodzi Dalia i Eli z córeczkami bliź-

niaczkami, Gołda i Herszel Kac, właściciele sklepu żelaznego, oraz ich dzieci, oprócz jednego, nieobecnego na zdjęciu Icka, a także syn zegarmistrza Feliksa, Janek, któ-

ry przyszedł sfotografować się w czapce studenckiej, by dumny ojciec mógł chwalić się klientom, to mój syn student z Łodzi; śmierć jak celofan owijała się wokół Mordki, rzeźnika, i jego żony, rudej Salomei, dotknięty był śmiercią wuj Ludka, też Ludek, i rzeźnik Kowalski o ogromnym brzuchu, a także siostra rzeźnika, stara panna Wala, przyjaciółki Ajla i Bajla, oraz ośmioro z dwunastu uczniów polskich i żydowskich na szkolnej wycieczce nad rzeczką Fryszerką; śmierć otulała Adi, szwaczkę, któ-

ra pozowała przy kolumnie z tajemniczym uśmiechem, bo fotografia miała zostać wysłana do Ameryki, gdzie w ślad za nią planowała udać się i Adi, by dołączyć do narzeczonego. Retuszował Ludek i płakał nad uróżowanymi ustami Adi, które były już martwe i nie otworzą się w zachwycie na widok Statui Wolności, płakał nad mar-twym brzuchem rzeźnika i piersiami Salomei, płakał nad Aurelią Borowiecką i jej kasztanowym kokiem. Płakał też 49

tego dnia, gdy Hawa poprosiła, Ludku, zrób mi zdjęcie w tej pięknej nowej sukience, bo wokół jej postaci po-

łykiwał nieomylny znak śmierci, dopiero dojrzewającej, ale pewnej jak w przypadku wielu innych mieszkańców Kamińska, Kleszczowej i Gorzkowic, których fotografował. Nie musiał Ludek już żałować, że sam sobie nie może zrobić zdjęcia, by dowiedzieć się, co go czeka, bo wiedział, że bez żony nie może być mowy o żadnym życiu. Dlatego właśnie Ludek Borowic, fotograf z Kamiń-

ska, nie mógł zatrzymać tego dziecka, które podrzucono pod jego drzwi.

Pochylił się i zobaczył oczy, spojrzały na niego dziwnie dorośle i z powagą o wiele większą niż to ciało, któ-

re niezdarnie wziął w ramiona; nie miał najmniej szych wątpliwości, że to dziewczynka. Rozejrzał się Ludek, ulica Prosta była pusta i szara, na jej końcu majaczyła sylwetka kościoła. Nie miał wiele czasu na myślenie i po-gnał tam z duszą na ramieniu, by zostawić pakunek na schodach plebanii. Ksiądz Wenancjusza Pielasę akurat ostatnio zdejmował, wyszedł mu cały i zdrowy, wyraż-

ny; wiedział poza tym, że to ktoś, komu może zaufać, bo niejedną nalewkę Cioć Herbatek razem wypili, dys-kutując na temat Boga. Ukryty za węglem najbliższego domu, gryząc paznokcie zniszczone przez chemikalia, Ludek Borowic czekał, aż pojawi się nowa księża gospodyni. W Kamińsku ludzie znali nawzajem swoje zwyczaje, a Marianna Gwóźdź znana była z tego, że przychodzi na plebanię jeszcze przed świtem. Żartowano, że na księżą gospodynię za młoda, ale brak urody ratował ją przed podejrzeniami, musiała żyć z piętnem naj-brzydszej dziewczyny w okolicy, ale do gorszych rzeczy 50

się człowiek przyzwyczajają. Pięciominutowe spóźnienie Marianny Gwóźdź omal nie przyprawiło Ludka o zawał, spocił się cały, główkując, czy zabrać małą i gdzie indziej podrzucić, czy może jeszcze poczekać, i już, już trzecia możliwość zaczynała kiełkować w jego głowie, niezwyk-

ła i sprzeczna z pierwotnym postanowieniem, gdy gospodyni wytoczyła się z bocznej uliczki. Ludek widział, jak Marianna Gwóźdź podniosła kokon i zajrzała do wną-

trza, tak jakby podnosiła pokrywkę żeliwnej brytfanny, sprawdzając, czy dobrze upiekł jej się kurczak nadzie-wany wątróbką i kaszą; widział, jak rozejrzała się wokół

i z szybkością, której nie spodziewał się po jej obfitym ciele, ruszyła ulicą Proszą z dzieckiem w ramionach. Ludek odczekał chwilę i wynurzył się z cienia, by podążyć za Marianną Gwóźdz, gospodynią księdza Wenancjusza Pielasy. Biegli tak przez uśpione miasteczko ulicą Proszą, a potem Poprzną i Krótką, biegli pod oknami, za któ-

rymi ludzie kończyli śnić ostatnie sny, aż oczom Ludka Borowca ukazała się rzeka Kamionka z pierwszym pro-mieniem słońca, który przeciął ją jak nożem, i w głowie fotografa zakiełkowało straszne podejrzenie. Gospodyni zatrzymała się porażona nagłą jasnością, wstającą z nad-rzecznych zarośli młodego łopianu, i skręciła na ścieżkę do jedyne go domu, który stał w tej okolicy. Zaczajony w wiosennej zieleni Ludek widział, jak kobieta kładzie zawiniątko na progu Napoleonówki i rzuca się do ucieczki na przełaj, omal nie nokautując go biodrem. Zanim ścieżkami nad Kamionką znanymi tylko wędkarzom i pływakom sam przemknął do domu, od strony ogrodu białego od przebiśnięgów widział jeszcze otwierające się drzwi Napoleonówki i jedną z Cioć Herbatek, która 51

zawołała, o Matko Boska! Ludek Borowic miał nadzieję, że jeśli nie dobre serce, to świt odwiedzie mieszkanki domu od podrzucenia dziecka w inne miejsce, i odetchnąłby z ulgą, gdyby zobaczył, jak jedna Cioć Herbatka delikatnie kładzie zawiniątko na kanapie, na której oparciach akurat suszą się cienkie makaronowe placki na niedzielny rosół, a druga wznosi ręce do twarzy w geście łączącym przerażenie i zachwył.

Od tej chwili fotograf Ludek Borowic czekał, aż Cioć Herbatki przyjdą do niego z dzieckiem, by zrobić sobie zdjęcie, a on będzie mógł przekonać się, co znajdzie przeznaczone. Myślano w Kamieńsku, że skończą się zaproszenia na herbatkę, gdy ku zgrozie Fabrykanta i wbrew jego radom, żeby oddać bachora do przytułku, Cioć Herbatki przygarnęły podrzuconą dziewczynkę.

Ale nie, nadal zapraszały a to księdza Wenancjusza Pielasę, a to aptekarza i aptekarzową, a to fotografa Ludka Borowica z jego piękną smutną żoną, dziecko zaś pokazywały wszystkim z matczyną dumą, jakby było oczywiste, że dwie stare panny, przy tym nie wiadomo, siostry czy kuzynki, mogą stać się matkami. Fabrykant Antoni Mopsiński nie był z tego zadowolony, coś takiego, fukał

po domu, coś takiego, a jego żona, Józefina, zupełnie nie wiedziała, jak wobec męzowskiej dezaprobaty poradzić sobie z własną ciekawością i zadowoleniem, więc zabrała się do sztrykowania niebieskich ubranek, uwa-

żanych w owym czasie za właściwe dla dziewczynki. Wy-syłała do Napoleonówki swojego syna Naptia i chciwie wysłuchiwała relacji kilkulatka, który wkrótce sam zaczął

wymykać się do Cioć Herbatek kierowany jakąś dziwną tęsknotą; mógł ją zaspokoić tylko widok malutkiej 52

dziewczynki o włosach w kolorze karmelu i błyszczących oczach. Grażynka! powiedział matce Naptio, chciałbym mieć taką siostrę albo żonę, bo jest naj piękniejsza na świecie! I wkrótce potem Józefina przemknęła do Napoleonówki z naręczem wysztrykowanych ubranek. To nasza Grażynka!

obwieściły Ciocie Herbatki Józefinie. tak jak obwieszczały wszystkim.

Rozpieszczały swoją znajdę, jakby w tym jednym przypadku ich zdolność do mimikry i odgadywania cudzych życzeń przerodziła się w coś o wiele większego i lepszego niż uprzejmość. Zachwycone, z rumieńcem na policzkach stały nad kołyską i patrzyły na małą buzię, doskonałość muszelek uszu, miękkość loków. Dziecko uspokajała muzyka, więc mu Ciocie Herbatki śpiewa-

ły wszystkie znane sobie piosenki, chociaż uważały, że żadna nie ma ani dobrego głosu, ani słuchu; Grażynka jednak uwielbiała, jak fałszowały na dwa głosy miłość ci wszystko wybaczy, przybieżeli do Betlejem i pije Kuba.

Ludzie stawali pod płótem Napoleonówki i zdumieni słuchali kolęd w maju, a było w tym śpiewaniu tyle radości, że sami zaczęli nucić, a potem długo jeszcze słyszeli głos Cioć Herbatek w głowie. Gdy Ciocie Herbatki usłyszały kataryniarza, chudego Moszkę Witza, wołały go do ogrodu, gdzie stawał pod starym orzechem i grał, a one pytały gulgoczące ze szczęścia dziecko, a to ci się podoba? a to? Kataryniarz grał tanga milongi i mazurki, melodie hiszpańskie i żydowskie, włoskie i polskie, raz panna Mania gra na mandolinie, potem marsza, walczyka, o sole mio jakieś na gondoli, a Grażynka klaskała tak długo, aż słońce zachodziło za Kamionką, grajek żegnał

się, uchylając kapelusza, i odchodził z ręką zdrętwiałą 53

od kręcenia. Mówiły Ciocie Herbatki, nasza Grażynka, i większość mieszkańców Kamińska powtarzała, ta ich Grażynka, nie mogąc się zdecydować, czy silniej odczuwają podziw dla aktu miłosierdzia, czy niechęć wobec nowego dziwactwa mieszkanki Napoleonówki. Nieraz widziano Różę i Anielę w Kamińsku, jak prowadziły między sobą za ręce pulchną dziewczynkę, która czasem biegła przed siebie na coraz szybszych nóżkach i wołała do nich, zawsze w liczbie mnogiej: Ciocie Herbatki!

Ludek Borowic obserwował dziewczynkę z daleka i czekał, wiedział, że nastąpi nieuniknione, każdy prę-

dziej czy później do niego trafia. Gdy po kilku tygodniach sporów i awantur dziecku wypisano papiery na nazwisko Rozpuch, jak nazywały się siostry, o ile były siostrami, i ochrzczono je, Ciocie Herbatki zjawily się w jego zakładzie odstrojone, z małą Grażynką całą na biało, w towarzystwie rodziców chrzestnych, na których poprosiły Aurelię Borowiecką, nauczycielkę muzyki, i Mateusza Suligę, cukiernika. Chwilę zajęło Ludkowi ustawienie do zdjęcia tej nietypowej rodziny, drżały mu ręce, a siostry, zwykle tak zgodne, nie mogły dojść do porozumienia, która ma trzymać dziecko, aż w końcu nieco nadąsane ustaliły, że weźmie je matka chrzestna, usiądzie obok ojca chrzestnego, a one staną sobie skromnie z tyłu i będzie sprawiedliwie. Ciocie Herbatki zamarły bez kokieterii, bo nigdy jej w sobie nie miały, patrząc w obiektyw tak, jak patrzyły w lustro, by zetrzeć sadzę z policzka albo wyjąć rzęsę z oka. Aurelia przechyliła lekko głowę w lewo, bo kiedyś, jeszcze w konserwatorium, ktoś jej powiedział, że tak wygląda po prostu prześlicznie, Mateusz Suliga w ogóle się nie poruszył, żona tak mu wykrochmalila na 54

tę okazję koszulę, że brzeg sztywnego kołnierzyka omal nie poderzwał mu gardła, a Grażynka spozjrzała na Ludka Borowica ze spokojem i powagą. Błysnęła magnezja i chrzestna, Aurelia

Borowiecka, przyzwyczajona przecież do corocznych fotografii z uczniami, przestraszyła się i zamknęła powieki, pod którymi, ku swojemu zdumieniu, zobaczyła nagle długą kolejkę ludzi z walizkami na kolejowym nasypie, pod niebem czerwonym i pulsującym jak membrana. Gdy tego wieczoru Ludek robił

odbitki, po jednej dla każdej Cioci Herbatki, dwie dla chrzestnych i jedną zapasową, czuł taką potrzebę chro-nienia tego dziecka, które kiedyś musiał odrzucić, że gotów był w razie czego wyretuszować jego wizerunek tak, że najbardziej przebiegła śmierć dałaby się nabrać na zdrowy rumieniec i błękit oczu. W gniewie mamrotał

Ludek, że niech się nawet śmierć nie waży, i obiecywał

wszystko, co niezamożny fotograf z Kamieńska może dać w zamian, ale nie było takiej potrzeby, bo na wywo-

łanym zdjęciu twarz dziewczynki była samym życiem. Jej usta wyszły różowe, a oczy niebieskie, prawdziwy cud na czarno-białej fotografii, a uroda dziecka była tym wy-raźniejsza, że trzymając ją w ramionach Aurelię Borowiecką spowijał srebrny obłok śmierci, jakby dmuchnął

jej ktoś w twarz papierosowym dymem, i rozlewał się, obejmując ojca chrzestnego, Mateusza Suligę, w koszuli wykrochmalonej na sztywno, aż w końcu dosięgał Cioć Herbatek, na których wizerunku wprawne oko fotografa dostrzegło złowieszczy cień nieopierzonej jeszcze śmierci. Odtąd Ludek Borowic fotografował Grażynkę, kiedy tylko była ku temu okazja, a potrafił tak zagad-nać Ciocie Herbatki, tak pochwalić wygląd dziewczynki, 55

że splendor splotywał na siostry po równo i kraśniały jak po likierze morelowym z goździkami, który wydzielały sobie po naparstku codziennie wieczorem. Zrobił więc Ludek Borowic Grażynce, gdy miała rok, zdjęcie z piłką plażową w kolory domalowane przez niego precyzyjnie i z miłością, na tle morza z falą zatrzymaną tuż przy jej bosych stopach o doskonałych paznokciach jak bałtyckie muszelki, a potem w futerku baranim i czapce pilotce przy sankach, na letnio w sukience w kwiatki, i na jesien-nie z tornistrem skórzanym, z którym poszła do szkoły w Kamieńsku. Za każdym razem podziwiał Ludek doskonałość jej podobizny, a ona wyostrzała się i piękniała pod jego wzrokiem, jakby Grażynka miała umiejętność wchłaniania marzeń fotografa. Na ostatnim wizerunku zdjętym przez Ludka Borowica, żydowskiego fotografa z Kamieńska, Grażynka ma około dziesięciu lat i nadal nie trzeba nic retuszować, bo wychodzi wyraźna, niemal trójwymiarowa i z oczami dla odmiany piwnymi, lśniącymi jak świeże kasztany. Gdy wychodziła z zakładu Ludka Borowica, czekało na nią kilku chłopców przykle-jonych do szyby, był tam jak zawsze melancholijny lcek Kac i Napcio Mopsiński w eleganckim ubranku, i był ktoś jeszcze, obecny, choć niewidoczny mężczyzna, którego spojrzenie zza firanki zakładu fryzjerskiego Ludek poczuł wraz z falą chłodu, uświadomił sobie wtedy, że Tadeusz Kruk nigdy jeszcze nie przyszedł, by zrobić sobie zdjęcie.

Sytuacja Cioć Herbatek i ich córki uległa kolejnej zmianie, gdy parę lat przed wojną Fabrykant wyemigrował z Polski z żoną i synem Napciem. Ciocie Herbatki zostawił w Napoleonówce z Grażynką, bo nie zarnie-56

rzeał zabierać ani dalekich krewnych, ani tym bardziej podrzutka, choć trzeba mu oddać, że słowa

dotrzymał

i zostawił im środki na skromne utrzymanie. Studiowanie historycznych ksiązek z epoki napoleońskiej oraz doświadczenie wyniesione z fabryki guzików sprawiły, iż Antoni Mopsiński miał rzadką umiejętność przewidywania wydarzeń politycznych w skali lokalnej i między-narodowej. Podczas gdy inni mieszkańcy Kamieńska na groźbę wojny mówili, iiiitam, bokiem przejdzie, panie, on patrzył w niebo i wzdychał, niedobrze, aj niedobrze się dzieje, aż w końcu zarządził: pakujemy się, Józefino.

I zaczęło się we dworze wielkie pakowanie, ale Antoniego Mopsińskiego interesowało jedynie, by w całości za morze dotarł nocnik Napoleona, osobiście nadzorował

owijanie go pakułami, trzema metrami jedwabiu w kolorze purpurowym, który Józefina zamówiła nie wiadomo po co i trzymała w kufrze, aż nadzarły go mole. Prawie dobrze, uznał, ale dla pewności kazał jeszcze pakunek z nocnikiem, który zamierzał w drodze trzymać przy sobie, owinać dwoma swetrami wysztrykowanymi przez niestrudzoną małżonkę.

W bagażu podręcznym Józefiny Mopsińskiej były druty różnej grubości, motki wełny i zapas guzików, reszta jej nie obchodziła i Józefina nie zauważyła nawet, że Napcio, który z pędraka szybko stał się podrostkiem, snuje się markotny i nieswój. Powodowana wdzięczność-

cią za dotrzymanie jej towarzystwa, bo jak w skrytości ducha podejrzewała, dla nikogo nie była zbyt interesują-

ca, chciała zostawić coś Ciociom Herbatkom i Grażynce, jedynym osobom, które z własnej woli nosiły jej swetry, lizeski i szale. Może do wdzięczności domieszane było 57

parę kropel poczucia winy, Józefina Mopsińska wiedzia-

ła przecież, że jej wola jest zbyt słaba, głos zbyt cichy, by mąż wysłuchał prośby i pozwolił Ciociom Herbatkom i Grażynce zabrać się z nimi do Ameryki. Co by im tu, myślała, podarować na pożegnanie? Gdyby chociaż sztrykowały, ale do sztrykowania Ciocie Herbatki drygu nie miały, a do czego mieć będzie Grażynka, trudno było jeszcze przewidzieć. Za to pitrasić lubiły, gości podejmować, tak, wzrok Józefiny Mopsińskiej padł na kryszta-

łową ponczówkę, którą opakowała porządnie i położyła na stole obok innych przygotowanych do drogi rzeczy.

Elegancko w niej poncz gościom podadzą i może wspomną wtedy ją, Józefinę Mopsińską z Kamieńska. Gdy Ciocie Herbatki przyszły z Grażynką, by się pożegnać, pani Mopsińska dała im w prezencie ponczówkę, dwie ciepłe kamizelki i sukienkę dla małej, które mimo ogólnego rozgardiaszu udało jej się wysztrykować. Gdy Józefina Mopsińska zobaczyła, jak jej syn czerwieni się na widok kilkuletniej Grażynki, przyjrzała się dziecku o pięknych oczach i zdziwiła ją własna myśl, że oto od tego momentu będzie tęsknić za Kamieńskiem i wszystkim, co mogłoby się jej tu przydarzyć, ale się już nie przydarzy.

Ciocie Herbatki odeszły z prezentami i Grażynką, a Jó-

zefina Mopsińska patrzyła za nimi w gęstniejącą ciszę ostatniego wieczoru i nie myliła się, sądząc, że ta chwila przesycona smutkiem zapowiada w końcu coś więcej, coś lepszego w jej życiu kobiety, która zawsze wszystkich zawodziła.

Dopiero na miejscu, w ponurym nowojorskim hotelu, Antoni Mopsiński zorientował się, że zaszła straszna pomyłka. Przydźwigał w bagażu podręcznym i strzegł

58

przez całą podróż jak oka w głowie nie nocnik Napoleona, lecz zwykłą kryształową ponczówkę; jego roztar-gniona żona Józefina pomyliła paczki. Antoni Mopsiński padł na miejscu rażony wylewem, który na długo pozbawił go mowy, czucia w lewej stronie ciała i połowy świadomości; ponczówkę też szlag trafił, bo wyrznęła o podłogę i rozprysła się na tysiąc kawałków. Cały bałagan musiała posprzątać Józefina, a gdy Antoni Mopsiński doszedł do siebie, a miał do przejścia kawałek i to nie prostą drogą, okazało się, że nic już nie jest takie, jak było. Mieszkali nie w domu, jaki sobie wymarzył, lecz w dwupokojowym mieszkaniu na Lower East Side, bo pieniądze rozpląnęły się niezwykle łatwo w tym mieście otoczonym przez dwie rzeki i ocean. Józefina już nie sztrykowała, tylko zarabiała na chleb w wytwórni parasoli należącej do sąsiadki, Polki Władzi, i jej męża Węgra o tak trudnym do wymówienia imieniu, że wszyscy, łącznie z małżonką, wołali nań Wacek. No, dzięki Bogu, jak nie umrze, to żyć będzie! powiedziała Władzia i razem z Józefiną postawiły uszkodzonego, lecz zdrowiejącego Antoniego Mopsińskiego do pionu. Fabrykant, który nie był już fabrykantem, lecz inwalidą, patrzył w zdumieniu na przysadzistą kobietę o agrestowych oczach, która nie była jego żoną, i na żonę Józefinę, która też wydawała mu się kimś obcym. Po raz pierwszy w życiu to, co robiła Józefina, inni uznawali za udane i pożyteczne, jej aktywność przynosiła rezultaty i pani Mopsińska, uro-biona po pachy składaniem parasoli, wychowywaniem na ludzi syna Napcia oraz myciem, karmieniem i prze-wijaniem męża, czuła nagle przyływy satysfakcji, ale myliła je z uderzeniami gorąca. Gdy po kilku ładnych la-59

tach żona Mopsińska wyprowadziła kulejącego i nie do końca jeszcze przytomnego małżonka Mopsińskiego na pierwszy spacer, akurat zaczęło padać; Józefina otworzy-

ła parasol, jeden z tych, które produkowano w zakładzie Władzi i Wacka. Złota czasza, która nagle rozpięła się nad głową Antoniego Mopsińskiego, przypomniła mu utracony nocnik Napoleona i zrozumiał wtedy, że jest to strata bezpowrotna i że zdarzyła się z jakiegoś powodu, na którego zgłębienie będzie miał wszystkie bezsenne noce, jakie mu w życiu zostały. Płakał tak, jak nie płakał

od czasu, gdy jako mały chłopiec przeczytał o ostatnich chwilach Napoleona, podtruwanego systematycznie na Świętej Helenie, tamte dziecinne łzy wróciły falą słonej powodzi i zalały małżonków Mopsińskich na rogu Czwartej Ulicy i Pierwszej Alei. Po powrocie do domu i zdjęciu przemoczonych ubrań były fabrykant napisał długi list do Cioć Herbatek, w którym tłumaczył im szczegółowo zasady przechowywania nocnika i wyluszczał jego wartość, ale list przepadł w powojennej zawierusze i nigdy nie dotarł do Kamieńska . Nawet jeśliby trafił w ręce Cioć Herbatek, byłoby za późno.

Ciocie Herbatki przypuszczały, że niespodziewany prezent musiał być wynikiem jakiegoś nieporozumienia, więc po długiej dyskusji spakowały go ponownie i ukryły w beczce z podwójnym dnem; na wierzchu była kapusta, w drugiej komorze bezpieczny przed złym okiem nocnik cesarza. Ciocie Herbatki nie tylko złego oka się obawiały, lecz także niefrasobliwości Grażynki, która od najmłodszych lat wykazywała kompletny brak zainteresowania dobrami materialnymi i trzeba było pilnować, by nie rozdała wszystkiego wykorzystującym jej słabość 60

dzieciakom z Kamieńska. Gdyby ktoś zobaczył nocnik i poprosił o niego, dałaby go tak samo bez wahania, jak wstążki, które z uśmiechem darowywała innym dziewczynkom, prawie nowe buciki, które odjechały któreś wiosny z cygańskim taborem, bo spodobały się starej Cygance, co to, trzeba jej przyznać, odwzajemniła się dziecku porządną patelnią. Ale zanim Grażynka doniosła ją do domu, trafiła na Mariannę Gwóźdź; co za zbieg okoliczności, że ta akurat takiej patelni potrzebowała.

Ciocie Herbatki łapały się za głowę i nieraz musiały lecieć za Grażynką, by powstrzymać jej hojność, uratować wyniesiony przez nią domowy sprzęt, niedzielną halkę albo złoty zegarek; utrapienie z tym dzieckiem, wzdychały i ze szczęścia jaśniały im twarze. Ukryły więc nocnik i czekały na list z Ameryki, minął jednak kolejny rok, a instrukcje w sprawie nocnika nie nadeszły; wtedy Ciocie Herbatki podobnie jak Antoni Mopsiński zaczęły podejrzewać, że rzecz dostała się w ich posiadanie nie przypadkiem. Ano zobaczymy, wzdychały podczas corocznych oględzin nocnika, do których dochodziło zwykle na przednówku, gdy zjadały resztę kapusty z beczki o podwójnym dnie. Ani bombardowanie Kamieńska, w wyniku którego zginęło sto pięćdziesiąt osób i w pe-rzynę obróciło się kilkanaście domów przy ulicy Prostej, a także zamknięty na głucho dwór Fabrykanta, ani wo-jenna bieda nie wytrąciły Cioć Herbatek z rutyny życia towarzyskiego, nadal napełniały gościom filiżanki i zadawały pytania dokładnie takie, jakich oczekiwano, z tym że zamiast herbaty indyjskiej czy chińskiej serwowały ziołowe napary, a ciasteczka, jak zawsze podane na pa-terach ozdobionych a to kwiatem, a to paroma świeży-61

mi liśćmi, słodzone były melasą. Mieszkańcy Kamieńska mówili, że gdy skończą się herbatki u Cioć Herbatek, nastąpi koniec świata, i mieszkanki Napoleonówki czuły na swych barkach ciężar odpowiedzialności. Od czasu do czasu jechały na targ do Radomska albo do Gorzkowic, ale przysła chwila, że wszystko, co miało jakąś wartość, zostało sprzedane, a zapasy wyczerpane do ostatniej grudki kaszy. Tylko bezcenny nocnik tkwił w beczce i poprzez warstwy materiału, pakuł i drewna świecił blaskiem, który sprawiał, że nawet w najgłębszej nocy nie trzeba było zapalać świeczki w spiżarni. Ostatnio jakby wzmógł się jego blask; dziwne, kręciły głowami Ciocie Herbatki i cicho zamykały za sobą drzwi na klucz. Zresztą na ogół nie bardzo było po co wchodzić do spiżarni, bo Ciociom Herbatkom i Grażynce naprawdę głód zajrzał

w oczy i trochę się przestraszyły jego spojrzenia, które było białawe jak oszukane wodą mleko. Wkrótce liczba gości zapraszanych do Napoleonówki na skromną herbatkę mocno się zmniejszyła, bo na początku wojny za-

łożono w Radomsku getto, do którego trafili kamieńscy Żydzi, i nie było już ani aptekarza, ani państwa Kac, ani Ludka Borowica i jego pięknej żony Hawy; część z nich wywieziono do Treblinki, inni znaleźli się pośród tysią-

ca pięciuset zastrzelonych na radomszczańskim cmentarzu. W trzecim roku wojny Grażynka

zachorowała, co Ciocie Herbatki przeraziło nie na żarty; dziewczynka nigdy przedtem nie miała nawet kataru, chociaż już od marca brodziła w Kamionce i całą zimę latała bez czapki. Mówiła zawsze, jak mi gorąco, wcale nie czuję zimna, a teraz straciła zdrowe rumieńce i cała energia jakby z niej wyparowała, jej stopy i dłonie były wciąż zimne 62

i nie pomagały butelki z wrzątkiem, którymi Ciocie Herbatki okładały ją na noc. Z promiennego dziecka, które nieustannie śmiało się, tańczyło lub śpiewało, o ile nie robiło tych trzech rzeczy naraz, został blady pokrowiec w kształcie dziewczynki o brązowych oczach i kręconych włosach w kolorze laskowego orzecha. Mówiła, że śnią jej się zabici sąsiedzi z Kamieńska i całe noce mówią do niej w języku, którego nie rozumie, że proszą ją o coś, ale nie wie, o co. Nie przynosiły pożądanego rezultatu ani nalewki, ani ziołowe mikstury na wzmocnienie, z których wyrobu słynęły Ciocie Herbatki w Kamieńsku i okolicach. Grażynka nagle wpadała w taki stupor, jakby wewnątrz zatrzaśniwała jej się jakaś brama odcinająca ją od światła i powietrza. Trwała nieruchoma, z otwartymi oczami, które poruszały się tak, jakby śledziła coś widocznego tylko dla niej. Temperatura spadała jej do trzydziestu pięciu stopni, włosy strzelały iskrami, dłonie bieleły, a pod paznokciami widać było świecące błękitne punkciki.

Którejś nocy Ciocie Herbatki obudziły się jednocześnie tak gwałtownie, jakby ktoś wrzasnął im do ucha; od razu wiedziały, że Grażynki nie ma w domu. Wybiegły do ogrodu i wydało im się, że całą zieleń i życie przykrywa szary całun śmierci, nie zaszczekał żaden pies, nie krzyknął ptak, ciche były wiejskie koty. Rozejrzały się w tej . szarości i ciszy, zobaczyły uchyloną drewnianą furtkę na końcu ścieżki prowadzącej ku rzece Kamionce. Tylko nie do wody! Pobiegły przez zeschnięte łopiany i dziki koper, z ich ust wydobywały się obłoczki pary.

Stały na skarpie, rzeka u ich stóp płynęła szara jak rtęć, księżyc rozlewał się po niej. Grażynka była tam.

63

Stała tyłem do Cioć Herbatek na zanurzonej w wodzie pniu drzewa, naga i jasna; śpiewała. Co to był za śpiew!

Słowa piosenek, które wszyscy znali, pod mym oknem Cyganka stała, żydowskie śpiewy z synagogi, panna Mania i wierzby płaczące, ale tak śpiewała, że wydawały się czymś innym, nie z tego świata. Grażynka śpiewała i wykonywała takie ruchy ramionami, jakby płynęła albo unosiła się w powietrzu; na wschodzie niebo zaczynało się różowić. Matko Boska, przestraszyły się Ciocie Herbatki, jeszcze kto zobaczy, że ich znajda goła tu po nocy wyśpiewuje, i będzie klops. Zsunęły się ze skarpy, zamo-czyły po kolana nogi, wzięły Grażynkę pod ręce z dwóch stron i zaprowadziły do domu. Gdy staremu Słowikowi dwa razy z rzędu urodziło się dwugłowe ciele, ktoś mu podpalił stodołę; lepiej się z dziwactwem takim w wojnę ludziom nie narażać, bo są już wystarczająco zdenerwo-wani. Coś trzeba było zrobić.

W Radomsku był aptekarz, Maurycy Mak, biegły w sztuce lekarskiej bardziej od lekarzy, których recep-ty poprawiał po swojemu ku pożytkowi pacjentów, a w wolnej chwili sporządzał napoje miłosne, maści na trądzik, porost włosów i biustów, a także odtrutki. Kon-kurować z nim mógł tylko Berek Mintz, ale Berka Mintza wywieźli razem z rodziną do Treblinki, a wtedy Maurycy Mak stał się

monopolistą w branży aptecznej i znacznie podwyższył ceny swoich usług. Tak, nie jest tani Maurycy Mak, westchnęły na myśl o aptekarzu z Radomska Cioce Herbatki. A i choroba Grażynki z pewnością nie należy do przypadłości, na które wystarczy parę zwykłych zió-

łek czy tanie tabletki na przeczyszczenie; liczyły więc, co mogą sprzedać, i za ile, na targu w Radomsku. Wszystko 64

na nic, za mało. Popatrzyły na siebie, westchnęły, pokiwały zgodnie głowami, bo nie potrzebowały wielu słów, by się porozumieć. Nocnik Napoleona, trudna sprawa, ale trzeba będzie go zaproponować aptekarzowi jako zapłatę za wyleczenie Grażynki; może, jak poproszą, w zastaw weźmie, a będą pieniądze miały, wykupią? Tak czy inaczej, sprawa jest poważna i trzeba jechać. Gdy zapadła decyzja o wymianie nocnika Napoleona na miksturę leczącą Grażynkę z nocnych śpiewów nad rzeką, Cioce Herbatki, kobiety praktyczne i zaradne, postanowiły przy okazji sprzedać parę rzeczy na targu w Radom-sim. Dwa pęta kiełbasy zrobionej z podejrzanego mięsa przez melancholijnego nauczyciela, cztery kilo nielegal-nej wieprzowiny oraz parę słoików kapusty rozmieściły zmyślnie pod płaszciami, upchały po kieszeniach, a na szyjach zawiesiły naszyjniki z suszonych grzybów. Naszyły też majtek miesięczkowych ze starego prześcieradła; wojna nie wojna, kobiety i tak krwawią. Podobno we Francji wymyślono jednorazowe majtki miesięczkowe, ale czy to prawda? zastanawiały się Cioce Herbatki, które były kobietami ciekawymi świata, choć nie dane im było go wiele zobaczyć. Po ile je liczyć, żeby nie zdzie-rać, ale i wyjść na swoje, kalkulowały i na koniec spakowały do plecaka nocnik Napoleona, założyły go Grażynce na plecy; były gotowe do drogi. Na dworcu w Radomsku wpadły w tłum, podobno z drugiego peronu miał

odjechać pociąg do Piotrkowa, i Grażynka nagle znikła im z oczu. Przez straszną chwilę Cioce Herbatki stały, krzycząc imię swojego dziecka, i zdumiał je strach ich tak wielki, że utonęłyby w nim, gdyby nie trzymały się za ręce. Gdy pojawiła się w końcu, oddzielona od swoich 65

opiekunek parą otyłych, dziwnie podobnych do siebie mężczyzn, nie mogły już wyjść z dworca ani do miasta, ani na perony, bo oba wejścia zastawili Niemcy. Jakaś starsza zakonnica koło nich potknęła się i przewróciła; Grażynka pomogła jej wstać. Łapanka! krzyknął ktoś, ale było za późno na ostrzeżenie. Zepchnięto ich kolba-mi w jeden kąt, a młody mężczyzna, który rzucił się do ucieczki, poległ pod kasą biletową i jedna z Cioć Herbatek, chyba Aniela, pomyślała, że to dziwne, ale inaczej wyobrażała sobie odgłos strzału. Gdy Niemiec podniósł

broń i strzelił, oczekiwała nieświadomie, że usłyszy pif-paf, którym Fabrykant Antoni Mopsiński straszył przygarnięte pod swój dach krewne dziedzica, wyśmiewając ich niechęć do polowań na zające. Przychodził z kłocią martwych ciałek, a gdy Róża i Aniela uciekały, zasłaniając oczy, wołał za nimi, pif-paf, pif-paf Ta śmierć była tak samo prawdziwa jak śmierć zające i Cioce Herbatki pomyślały, że ludzki język nadal nie umie oddać dźwię-

ku zabijania, choć z samym zabijaniem ludzie radzą sobie przecież bardzo dobrze. Stały obok siebie, trzymając Grażynkę pośrodku, i można było już tylko czekać.

Nie mają szans, dwie kobiety z nielegalnym mięsem na handel, przepadły. Cioce Herbatki popatrzyły na siebie z rozpaczą, bo ogarnęło je jedno z tych przeczuć, któ-

re zawsze się sprawdzają. Obok stała zakonnica i modliła się szeptem. Może to Róża, a może Aniela pierwsza wdarła się szeptem w jej szept, niech siostra ją weźmie.

Z siostrą dziewczynka ma szansę. Niech ją siostra weź-

mie, zaszeptały Ciocie Herbatki unisono, a Grażynka mocniej ścisnęła je za ręce w proteście. Niech ją siostra weźmie, nazywa się Grażynka Rozpuch, nasza Grażynka, 66

lat jedenaście, katoliczka, dobre papiery. Siostra, zawa-hała się i zrobiła pół kroku w tył, wezmę, powiedziała.

Wraca do Częstochowy, pracuje w sierocińcu, zna niemiecki, wystarczy, że mała też zrobi pół kroku do tyłu.

Jak ją znajdą? Ma na imię Bernadeta, siostra Bernadeta ze Zgromadzenia Sióstr Adoraterek Krwi Chrystusa, tak się nazywa, znajdą ją, jak wrócą; jak wrócą, to ją znajdą.

Ciocie Herbatki, religijne umiarkowanie i żyjące bez porywów mistycznych, przeraziła nagle ta krew Chrystusa i perspektywa jej grupowej adoracji, ale z zakonnice Grażynka miała szansę większą niż z dwiema kobietami trzymającymi pod pazuchą nielegalne mięso. Powoli, ale zdecydowanie uwolniły więc ze swoich dłoni dłonie Gra-

żynki, odklejając jej oporne palce, i zrobiły pół kroku do przodu; bez Grażynki między sobą chwyciły się za ręce.

Ukryta za nimi dziewczynka podniosła oczy na twarz obramowaną kornetem tak ciasno, że ślad na policzku był głęboki jak szrama, a sucha i gorąca dłoń chwyciła ją mocno za rękę. Po selekcji z dwudziestu osób przy-partych do muru na stacji Radomsko wypuszczono tylko zakonnice z Grażynką i chudą zabiedzoną kobietę, kto-rej prawdopodobnie nie spotkało dotąd nic dobrego, bo szła, oglądając się za siebie, jakby nie wierzyła, że to Jej darowano życie. Ciocie Herbatki widziały, jak Grażynka znika w drzwiach dworca ciągnięta przez siostrę Bernadetę, i powtarzały w myśli, siostra Bernadeta, adoratorka, krew Chrystusa, Częstochowa. Te słowa stały się za-klęciem, które szeptały w obozie, gdy traciły nadzieję: Róża cichutko zaczynała, siostra Bernadeta, adoratorka; krew Chrystusa, Częstochowa, kończyła Aniela, i wracała im chęć, by przeżyć.

67

Ostatni raz widziano Ciocie Herbatki w Kamieńsku, jak bladym świtem szły na dworzec objuczone koszyka-mi i pakunkami, z Grażynką pośrodku. Marianna Gwóźdź

opowiadała zaraz potem w piekarni, że dziewczynka niosła na ramionach plecaczek skórzany, który świecił tak, jakby w nim miała słońce, ale wiedziano, że księża gospodyni ma skłonność do zmyślania, i na początku nikt się jej opowieścią nie przejął. Dopiero gdy okazało się, że Ciocie Herbatki i Grażynka znikły podczas wyprawy na targ, przypomniano sobie opowieść Marianny Gwóźdź

i dopytywać się ludzie zaczęli, a jak świeciło Grażynce w plecaku, złoto czy raczej srebrno?

Słonecznie czy księż-

ycowo? Jak świetlik zielonkawo czy bardziej jak ogień bagienno-niebiesko? A smutne były Ciocie Herbatki? Czy jakoś były odrobinę niecodzienne, odmienione perspektywą zniknięcia? Czy coś po nich było znaczące? To, że tego dnia w Radomsku ślad po Ciociach Herbatkach i Grażyn-ce zginął, nikogo nie dziwiło, bo w tym czasie raczej pozostawione ślady były czymś wyjątkowym i zdarzało się, że ludzie, chodząc po śniegu, żegnali się krzyżem co parę kroków, bo odciski ich stóp znikły, jakby nigdy nie zanurzyli nóg w białym puchu. Nie były Ciocie Herbatki jedynymi, które znikły, bo najpierw ten los spotkał

Żydów z Kamieńska, a potem ślad zginął po fryzjerze Tadeuszu Kruku, cukierniku Mateuszu Su lidze i jego żonie Beacie, przepadła Franciszka Pyłek z poczty, jej rodzice i bracia, i tylu innych. Niezwykłość Cioć Herbatek dawała jednak nadzieję, że ich zniknięcie będzie równie niezwykle i pozwoli poznać samą istotę znikania, a wtedy ci, którzy pozostali w Kamieńsku, uchronią się przed złym losem. Czekano więc, że wrócą i powiedzą, ach, 68

wcale nie było tak źle, już po wszystkim, nie było się czego bać, znikliśmy i wróciliśmy, i znowu zapraszają na herbatkę.

Wojna dobiegała końca i ludzie w Kamieńsku, zaczęli się niecierpliwić, bo fryzjer Tadeusz Kruk wrócił: a inni powrócili przynajmniej wieścią, mniej lub bardziej precyzyjną, o śmierci w łapance, ucieczce z wagonu, o tym, że widziano tego czy tamtą w Piotrkowie czy Radomsku, i na pewno to był on, z całą pewnością ona, choć nieco odmienieni, z blizną, bez nogi, ręki, z twarzą jakby nie swoją, po chorobie. Tymczasem o Ciociach Herbatkach i Grażynce nie wiedziano nic. Pewnie me wrócą, westchnęła raz i drugi Marianna Gwóźdź, pewnie nie wrócą, odbiło się echem po pustych żydowskich domach przy ulicy Prostej. Powoli zaczęto robić podchody do tego, co zostało, bo wydawało się oczywiste, że nie wróci ani ich Fabrykant, ani fabrykanci w ogóle, podobnie jak nie wrócą Żydzi i to, co im przepadło, przepadnie temu, kto pierwszy położy łapę, bo tak jest życie.

Niewiele jednak było już do zabrania i nie wiadomo, kto pierwszy westchnął, że ach, gdyby tak mieć nocnik ~apoleona, gdyby tak mieć ten nocnik cały ze złota, karnie-niami wysadzany. Ach, proszę pana, proszę panią, nagle wszyscy w Kamieńsku coś tam słyszeli o nocniku Napoleona we dworze przechowywanym. Jak przyjemnie było myśleć o takim cacko pośród chaosu, głodu, biedy i śmierci, ach, taki nocnik w rajskie ptaki, malowany, smoki i bógwico można by sprzedać, na pierścionki, obrączki ślubne przetopić, na dobra wszelakie zamienić, albo po prostu mieć, zatrzymać w rozpustnym akcie posiadania. Marianna Gwóźdź szybko skojarzyła blask 69

w plecaku Grażynki z zaginionym nocnikiem Napoleona, znalazły skarb ukryty przez Fabrykanta i wywiozły gdzieś tego dnia, co zniknęło, przekonywała wszystkich. Ale czy nie mógł powrócić samopas? Mógł! Marianna Gwóźdź

była tego pewna i wielu udało jej się przekonać. Dziwniejsze rzeczy się w wojnę zdarzały. Po jakimś czasie wszyscy w Kamieńsku szukali nocnika Napoleona i każdy miał jakąś teorię na temat miejsca jego ukrycia i wyglą-

du, z każdym dniem piękniał i stawał się cenniejszy. Cały ze złota, z wygrawerowaną inskrypcją i

herbem, a ukryty w skrzyni zakopanej w dworskim sadzie pod jabłonią, którą? A tą, co papierówki rodzi tak lśniące i gładkie jak pozłacane, co za pech, że od dwóch lat papierówki owoców nie dają i znaleźć jej nie można. A gdzie tam złoty, malowany, malowany w huzarów na koniach, z porcelany chińskiej cienkiej jak papier, cenniejszej od złota, złoto przy tym to nic; i w ścianie dworu zamurowany. Plotka, rozpuszczając się, bąbelkowała jak tabletki musujące o smaku truskawkowym, które produkował nowy aptekarz z ulicy Prostej i sprzedawał jako antidotum najlepsze na melancholię, kaca i zgagę. Taki nocnik to majątek!

Przetopić na biżuterię albo lepiej trzymać, jaki jest, jako lokatę kapitału, bo papierowy pieniądz dziś jest, jutro go nie ma, a złoto to zawsze złoto, czy w ostateczności chiń-

ska porcelana. Tak czy inaczej tropy opowieści o nocniku Napoleona zbiegały się na Ciociach Herbatkach i Grażyn-ce. Zaglądano więc przez okna Napoleonówki i powoli wynoszono z obejścia to, co dało się wynieść bez włamywania się, bo w końcu Ciocie Herbatki były swoje, nawet jeśli nie do końca, więc czekano jeszcze z tłuczeniem okien i wyważaniem zamków. Znikły tylko grabie opar-70

te o drzwi komórki, drewniana łopata do chlebowego pieca, cebulki tulipanów i kłacza hortensji rozkrzewio-nej bujnie w podmokłej części ogrodu. Dopiero dzień czy dwa przed powrotem Cioć Herbatek ktoś nie wytrzymał i włamał się do spiżarki, skąd zabrał metalową wagę z kompletem odważników i beczkę z podwójnym dnem, która jednak okazała się wypełniona tylko nieswieżym zapachem kiszzonej kapusty.

Ciocie Herbatki i Grażynka wróciły późną jesienią, w któryś sobotni wieczór, tak niepostrzeżenie, że dopiero po świetle w oknach Napoleonówki sąsiedzi poznali, że dom znowu ożył. Czekano niecierpliwie, aż wyjdą, za-stanawiano się, kogo pierwszego zaproszą na herbatkę, ale nie pokazały się na niedzielnej mszy ani nikt nie widział ich w sklepie czy w ogródku. Czy to na pewno one?

Zdarzało się, że po wojnie wracały tylko duchy, jak na przykład duch zabitego podczas bombardowania dróż-

nika Barnaby Midziaka, mieszkający w zarośniętej trawą budce przy torach, ale wiadomo, że duchy nie zapalają światła. Pierwsza odważyła się Marianna Gwózdź, która z racji faktu, iż zanim została księżą gospodynią, służyła u Fabrykanta i widziała nocnik Napoleona na własne oczy, ozuła się do zaspokojenia ciekawości szczególnie upraw-niona. O podrzuceniu Ciociom Herbatkom Grażynki nie powiedziała nikomu i Bóg jeden wie, ile ją, kobietę lubią-

cą mówić i smakującą każde słowo, tak jakby to były czekoladki nadziewane, to milczenie kosztowało. Zastukała do drzwi Napoleonówki, ale mimo palącego się światła nikt jej nie odpowiedział i tylko pionowy cień przemknął

wewnątrz, jakby ktoś ukucnął, kryjąc się poniżej okna.

Marianna Gwózdź nie zrażała się łatwo, więc zastukała 71

drugi raz, zawołała, jest tam kto?! a gdy i to nie dało rezultatu, zajrzała przez okno i w szparze

między zasłonami w kolorze nasturcji zobaczyła czyjaś łysą głowę. Co to była za głowa! Gdy Marianna Gwóźdź była dziewczynką i dopiero zaczynała pracę tej, która dla innych sprzą-

ta, pierze i gotuje, dziedzic Borowiecki pokazał jej małą rzecz, jakby ulepioną z popiołu, a gdy obracała ją w dłoniach zakłopotana tym nadmiarem uwagi, jaki jej poświę-

cono, powiedział, że to głowa ludzka z dzikich wysp, ta-Ide miał poczucie humoru. Marianna Gwóźdź opowiadała później o tym u rzeźnika i pod kościołem, ale porównanie na nic jednak się nie zdało, bo oprócz niej nikt w Kamięnsku nie widział suszonych główek z dzikich wysp.

Jeżu i wszyscy święci, co to była za głowa, powtarzała więc, aż w końcu poszła do spowiedzi, to było dobre lekarstwo na wszystko o działaniu porównywalnym tylko z nalewką morelową, którą częstowały ją Cioście Herbatki przed wojną. Obie te rzeczy, spowiedź i nalewkę, Marianna Gwóźdź lubiła z powodu ilości słów, do których wypowiedzenia dawały jej okazję.

Gdy w końcu Cioście Herbatki zaczęły wychodzić, wszyscy odgadli, że były w obozie; a ci, którzy wracali stamtąd, dzielili się na mówiących i milczących, o tym też wiedziano, bo parę miesięcy wcześniej wrócili fryzjer Tadeusz Kruk i telegrafistka z poczty Franciszka Py-

łek. Ten pierwszy mówił, ta druga milczała jak kamień.

Mieszkańcy Kamięnska czekali więc cierpliwie, licząc w duchu na to, że Cioście Herbatki, tak zawsze rozmow-
ne i miłe, zaliczą się do mówiących, bo tego, kto mówił, łatwiej było z powrotem umieścić pośród swoich, nawet jeśli to, co mówił, nie chciało pomieścić się w głowie.

72

Tadeusz Kruk każdemu klientowi pokazywał numer na chudym przedramieniu i wywijając nożycami albo brzytwą, mówił; za każdym razem, gdy wokół czyjejś szyi zawijał białe prześcieradło, mówił, nawet jeśli klient słyszał tę jego historię po wielokroć, jak Marianna Gwóźdź albo nowy dyrektor szkoły. Obozem odpowiadał fryzjer na niewinną uwagę o pogodzie, bo co prawda to prawda, proszę szanownej pani Marianny, pada, ale co to za deszcz, jak byłem w obozie, to tak padało, że spaliśmy w błocie, jedli błoto, proszę panią, i żuli smołę z głodu; obozem odpowiadał na niewinną uwagę dotyczącą zbiorów cebuli, bo cebula, szanowny panie derektorze, warzywo samo w sobie prymitywne i rzadko występujące solo, w obozie może uratować życie; a o jabłkach, panie derektorze, o pierwszych letnich papierówkach pełnych kwaskowego soku, to śniło się w obozie tak wyraźnie, że, nie uwierzy pan, panie derektorze. tuż po przebudzeniu jeszcze czuć było ich zapach. Tadeusz Kruk mówił i przetykał ślinę, a każdy, kto go słuchał, nabierał ochoty na cebulę w zgrabnych talar-kach ułożoną na kromce chleba ze smalcem, posypaną solą, albo na jabłko prosto z drzewa, wilgotne od rosy.

A to pan przeżył, mówili goleni i podcinani mężczyźni, a kobiety nakręcane i farbowane prosiły, Matko Boska, panie Tadiusi, i fryzjer nigdy nie był pewny, czy proszą, by przestał, czy przeciwnie, domagają się więcej strasznych opowieści o odmrożonych palcach, uszach i nosach, któ-

re odpadały więźniom tak, że rano trzeba było je zmiatać z podłogi baraku. Mówił więc o

paznokciach, które robiły się miękkie jak ciasto, i ożębach - można je było lak po prostu wyjmować z krwawiących dziąseł, a rany 73

puchły i robaczywiały. Sprawiał mu przyjemność fakt, że go słuchają, i korzystał z tego, wiedząc, że tym, którzy stamtąd wrócili, nie wypada przerywać opowieści. Nikt nie mógł też podważyć jego bohaterstwa, jabłek, cebul i kawałków chleba, które oddawał w obozie słabszym, bo nawet jeśli części naocznych świadków już nie ma, ci, którzy przeżyli, musieli zapamiętać to tak samo jak on; Tadeusz Kruk, fryzjer z Kamieńska uważał, że prawda to coś, co rodzi się, gdy powtarzamy swoją opowieść. Powtarzał więc opowieści o jabłkach i cebulach, o głodnych kobietach, które obdarowywał, odejmując sobie od ust.

Mówił i łykał ślinę, a lustra powtarzały ruch jabłka Adama na szyi fryzjera, który patrzył na swoje odbicie z gładko zabrylantynowanymi włosami.

Tadeusz Kruk należał do tego smutnego rodzaju mężczyzn, którym na pozór nic nie brakuje, mają zwykłą twarz, ani ładną, ani brzydką, średni wzrost i przyzwoity zawód, a jednak wszystkie dziewczyny z Kamieńska i okolic zamiast niego wybierały w końcu alkoholika, co to na żadnym stanowisku nie wytrzymał dłużej niż miesiąc, albo jechały do Łodzi, dostawały robotę w tkalni, i tyle je widział. Nie miał przyjaciół, tylko Mateusz Suliga, znany z miękkiego serca, dawał się czasem namó-

wić na bokserski trening na szkolnym boisku, podczas którego łagodny cukiernik, wbrew swojej woli świadomej i łagodnej, a zgodnie z nagłym wewnętrznym nakazem, przywalał fryzjerowi w szczękę lub brzuch. Nawet ciężarna nieślubnie Elwira Strąg z Kleszczowej, dla której szybkie zamążpójście było jedynym wyjściem, co powtarzali jej wszyscy wtajemniczeni, jakby sama nie wiedziała, zdecydowanie odsunęła fryzjera na bok; tak 74

zrobiłoby z trującym chwastem głodne zwierzę wężą-

ce w poszukiwaniu jagód. Gdy pobiegł za nią na stację, właśnie podjechał pociąg do Radomska, ale Tadeusz Kruk zdążył chwycić ramię w szarej bluzce i zacisnął na nim palce mocniej, niż zamierzał, w poczuciu, że wymyka mu się ostatnia szansa na to, co nazywano w Kamień-

sku normalnym życiem. Gdy Elwira, już na schodach wagonu, odwróciła się w jego stronę, zdumiony zobaczył

w jej oczach przerażenie i wstręt, wyraźne jak krew na śniegu. Cofnął rękę i pozwolił jej odjechać; stał na stacji jak skamieniały, bo nagle to, co dostrzegł w szarych tęczęwkach kobiety, wezbrało jak fala gdzieś w środku jego ciała o średnim wzroście i średniej urodzie. Tadeusz Kruk nagle zrozumiał, że ma wewnątrz coś strasznego - silnego i lepkiego jak smoła. Tadeusz Kruk zgiął

się wpół, jakby dostał cios w splot słoneczny od Mateusza Suligi, i poczuł, że wszystkie sny o władzy i przemocy, o strachu kobiet, który go cieszy i podnieca, były prawdziwsze od jawy. Na stacji kolejowej w Kamieńsku zrozumiał nagle z przerażającą jasnością, że to gwałcień i oprawca śnił sen o przyzwoitym fryzjerze z małego miasteczka, a nie odwrotnie, i jego serce odnalazło spokój. Nadal przychodził punktualnie do pracy i otwierał

swój zakład, trzaskając drewnianymi okiennicami, nadal prasował białe płachty zakładane klientom pod szyję, układał wałki potrzebne do trwałej tak, by je mieć pod ręką, ale ten świat nie był już dla niego realny. Go-lił i z wprawą wycinał dzikie włosy z nosa rzeźnika czy uszu zegarmistrza, spryskiwał męskie twarze wodą ko-łońską o zapachu geranium i cytryny, a kobietom robił

modne krótkie fryzury, wypomadowane na sztywno, bo 75

jego niezamożne klientki wymagały przede wszystkim, by trzymało się co najmniej tydzień, dwa po weselu, pogrzebie czy chrzcinach. Jednak tak naprawdę nie było Tadeusza Kruka w zakładzie przy ulicy Prostej w Kamień-

sku: krzątał się tam jego dzienny duch w czystym fartuchu i tylko czasem, gdy widział kobiecy kark, ciepły i bezbronny, przez jego umysł przelatywała myśl o przemocy, do której nie trzeba zaciskania palców i ciosów i w brzuch, wystarczy wzbudzić strach. Zamierał na chwilę bliską ekstazy, a wtedy klientka nakręcana na wałki do trwałej, lokowana albo fryzowana pod włos wzdrygała się i prosiła, by przymknąć okno, bo przeciąg. Fryzjer budził się rano tak, jakby zasypiał, a kolacja, którą zjadał

samotnie, dokładnie przeżuując każdy kęs żółtawymi ząbkami, pozwalała mu nabrać sił na życie senne, i wtedy stawał się sobą. Pożywki jego fantazjom dostarczały kobiety przychodzące do zakładu, a jeszcze bardziej te, których stopa, jak w przypadku Cioć Herbatek czy Hawy Borowic, żony fotografa, nigdy tam nie powstała, bo fascynował go opór, który trzeba złamać. Fryzjer wymyślał

zagrożenia z dużą dbałością o szczegóły: w jego snach rzeczka Kamionka zamieniała się w oszalały jakiś Jeni-sej, wylewała gwałtownie i z nagłą tak, że na mizernej tratwie tylko on uratować się zdołał, on i kobieta w mokrym ubraniu przylegającym do ciała. A jeśli nie powódź, to pożar, pożar trawil Kamieńsk, pękały od gorąca szyby, płonęły drzewa i dachy domów, płonęły włosy, które wcześniej uczesał, a on znajdował się sam na sam z kobietą, której krzyków nikt nie słyszał prócz niego. Czasem była to Hawa, czasem nauczycielka Aurelia Borowiecka, częściej niż czasem były to Cioć Herbatki, zawsze 76

w duecie, bo podobnie jak wszyscy Tadeusz Kruk traktował je jako jeden byt, coś w rodzaju syjamskich sióstr połączonych w niewidzialny wprawdzie, lecz oczywisty sposób. Cioć Herbatki, niezamężne, ale z dzieckiem, i to podrzutkiem, niby dwie matki, które matkami prawa być nie miały, posiadały w jego oczach irytujący rodzaj wolności. Zapach zwietrzałego potpourri, brak kokieterii i daleko idąca obojętność Cioć Herbatek wobec mężczyzn, nie będąca ani wystudiowaną przynętą, ani rezygnacją, ale samą prawdą ich istnienia, pociągała go bardziej niż młodość i uroda. Coraz mniej wystarczały fryzjerowi sny, bo pozbawione były zapachów, tej delikatnej woni tłuszczu i piżma, zjedzonych obiadów i perfum, unoszącej się z kobiecych włosów przed myciem.

Przestał je wyrzucać, każdego dnia zbierał z podłogi obcięte kosmyki, puch przypalonych trwałych ondu-lacji i, zdobycz to była najcenniejsza, całe warkocze, śliskie i zimne jak węże. Gromadził je w parcianym worku pod łóżkiem i tak się zapamiętał w tym kolekcjonowaniu, że niezadowolone klientki sykały, a co mnie pan tak wyhe-błał do gołej skóry, gdzie pan ma oczy, panie Tadziu. Ciął

i patrzył łakomie na włosy, których obciąć nie mógł, ko-munijne anglezy dziewczynek, ciasne warkoczyki uczeń-nic, kok Aurelii Borowieckiej, wijące się loki małej Gra-

zynki Rozpuch, ciął włosy kobiet, aż uzbierał ich tyle, że mógł wypchać sobie materac i poduszkę. Na posłaniu z kobiecych włosów, które nocami ożywały w ciepłe jego ciała, Tadeusz Kruk, fryzjer z Kamińska, śnił najpiękniejsze sny i zauważył, że wybuchła wojna, dopiero wtedy, gdy z horyzontu jego życia znikły Hawa Borowic, Aurelia Borowiecka, Cioce Herbatki i Grażynka wraz ze swoimi
77

włosami. Gdy wybrał się do Radomska po peruki zamó-

wione przez wciąż wypłacalną żonę rzeźnika z Kleszczowej, trafił na łapankę i się nie wywinął. Przez areszt w Radomsku i Częstochowie, zawszony, pobity i wygłodzony trafił do obozu, bo mimo twarzy zupełnie niesemi-ckiej wzbudził tyle podejrzeń z powodu peruk i pomady, że na wszelki wypadek uznano go za Żyda i homosek-sualistę,

Już po dwóch tygodniach, które spędził w baraku z pięćdziesięcioma obcymi mężczyznami, Tadeusz Kruk zauważył, że jest coś, co go od nich różni. W przeciwień-

stwie na przykład do Wojciecha Popioła z pryczy górnej, który bał się tak, że przez sen wołał mamomamo, czy Janusza Kukułki śpiącego po lewej, który przestał wołać i mówić w ogóle, a potem umarł skurczony do wielko-

ści noworodka, on czuł tylko cudzy strach, a najbardziej ten dolatujący ze strony kobiecych baraków. Omijały go najgorsze szykany i rzadko trafiał w niego wzrok kapo o pocziwej twarzy i rumianej skórze, Martin Kalthoffer sam dziwił się swojej łagodności wobec tego więźnia, który w jego oczach nigdy nie zasługiwał na żadną specjalną karę, i nie miał nawet ochoty jego kosztem zaba-wić się w lizanie podłogi albo zjedanie gówna. Być może czuł jakąś częśćią swojej istoty, że fryzjer, wykonujący wszystkie polecenia z automatyczną skrupulatnością i spuszczonej oczami, znajdował się po tej samej stronie strachu, co oprawcy, nie było w nim miejsca na banie się. Strach się nie boi! Strach o wiele większy niż ten, który można wyśnić na materacu z kobiecych włosów, przerażenie, które sprawia, że ptaki umierają w locie, a krew ścina się jak mleko, fryzjer z Kamińska czuł to 78

-woim małym, zaokrąglonym na końcu nosem i doszedł

do wniosku, że nie zginie w miejscu, gdzie strach panuje. Zjadał wodę z nadgniętymi liśćmi kapusty, żuł swoimi małymi zębami chleb twardy jak kora, a gdy szukano fryzjerów do pracy przy transportach więźniów, zgłosił się bez zastanowienia, bo wiedział, na czym będzie polegać jego zajęcie.

Było ich dwunastu, ale tylko Tadeusz Kruk szedł

do pracy z radością w sercu; było ich dwunastu i dwanaście stołków, na których stawały nagie kobiety tak, by fryzjerzy nie musieli schylać się przy goleniu ich włosów lonowych. Wybrane do przeżycia po wstępnej selekcji, miały wkrótce stracić miesiączkę, zęby i często życie, ale przedtem musiały stracić włosy. Najpierw opadały z głowy, jasne, ciemne, rude, siwe, krótkie i zaplecione w wiejskie warkocze, które nigdy fryzjera nie widziały.

Kręcone i podkręcane, falowane i kędzierzawe, gładkie i splątane, dla niepoznaki utlenione na żółto i

niepa-sujące do czarnych oczu i brwi, płukane w korze dębu i w rumianku, z już niepotrzebnymi wstążkami, spinka-mi, pachnące ziołami, z krwią zaschniętą i resztkami ró-

zanej pomady, pachnące strachem, pachnące śmiercią. Liczyła się szybkość, najszybszy z dwunastki fryzjerów był

Tadeusz Kruk, przy czym jeden z nich udawał tylko, że zna się na tym zawodzie, zwabiony większymi racjami żywności i pracą pod dachem, bo naprawdę był hodowcą owiec i tylko owce golił do tej pory. Liczyła się szybkość, ale to nie sztuka ciąć szybko i byle jak - Tadeusz Kruk ciął, nie raniąc skóry, i golił bez zacinań, jednak kobiety stojące na jego stołku drżały najbardziej, bo o ile pozostałych jedenastu cięło, by przeżyć, fryzjer z Kamieńska 79

zył, by ciąć. Po włosach z głowy była kolej na włosy łonowe i gdy kobieta z ogoloną głową wchodziła na stołek, jej strach przybierał formę czystego destylatu, bo przekraczała granicę wstydu i upokorzenia, a fryzjer z wy-rażną przyjemnością delikatnie rozsuwał jej uda i zbliżał

dłoń uzbrojoną w brzytwę. Stawały przed nim dorosłe kobiety o miękkich brzuchach, które nosiły dzieci, zadbane i zaniedbane, z delikatnym jasnym puchem i bujnym gąszczem, który rozrastał się na wewnętrzną stronę ud i wędrował w stronę pępka, stare, ale nie na tyle, by je posłano prosto do gazu, młode, ale nie na tyle, by uznać je za dzieci. Tadeusz Kruk ciął i golił, a kupka włosów koło jego stołka rosła najszybciej i pod koniec dnia stał

po kolana w kobiecych włosach, upojony zapachem strachu. Podczas gdy pozostałych jedenastu czekało końca dnia z nadzieją na dodatkową rację chleba czy strzęp mięsa, a każdy starał się w myśli znaleźć jak najdalej od miejsca pracy, fryzjer z Kamieńska kończył jedną kobietę i już marzył o następnej, zastanawiając się, jaki aromat wyczuje w jej przerażeniu. Im bardziej się bały, tym lepiej pracował, a tu nie było małego strachu, tylko subtel-ne odcienie największego z wielkich. Świeży strach tych, które dopiero przywieziono, podzielony na strach matek o dzieci i dzieci o matki, krzyczący strach rozdzielonych kochanków i strach przed głodem, strach przed gwałtem i ogólniejszy strach przed bólem, strach przed niewytrzy-maniem i strach, że się wytrzyma, podszyty na czerwono strach tych, którym już kogoś najdroższego odebrano, i strach kobiet, którym udało się ukryć ciążę. Był też strach stary i zużyty, stwardniały i niemy, mieszkający we włosach kobiet, które przysłano na golenie po kilku mie-80

siącach w baraku specjalnym. Tym najładniejszym, o peł-

nych piersiach i krągłych biodrach, pozwalano zachować włosy, dostawały lepsze jedzenie, nawet jakieś witaminy, wodę do mycia, co za hojność w zamian za obowiązek obsługiwanie kilkunastu, a czasem kilkudziesięciu męż-

czyzn dziennie w małych jak szafy celach kopulacyjnych.

Dla pewności wybrane kobiety wypróbowywali najpierw esesmani, choć to było verboten, a potem po dwadzieś-

cia minut na mężczyznę, który przychodził do baraku specjalnego z talonem, bo tak zarządził Heinrich

Him-mler, a porządek musi być, grunt to porządek, dzień po dniu, przez całe miesiące, zawsze na leżać, pod czuj-nym okiem strażnika, który obserwował, czy ludzki~

uczucia nie poczynają się przy kopulacji, bo z poczętym: dziećmi łatwiej sobie poradzić. Gdy kobieta z baraku specjalnego zużyła się, włosy przestawały jej być potrzebne i trafiała do baraków normalnych, gdzie, jeśli miała szczęście, ale to może nie najważniejsze słowo, udawa-ło jej się przeżyć, ale nigdy nie udawało się zapomnieć.

Tylko Tadeusz Kruk czuł, jak różne zapachy strachu mieszają się na podłodze, na której rosła góra włosów. Wło-sy zbierano potem do worków, to był przydatny materiał, bo nie tylko fryzjer z Kamieńska wpadł na pomysł

wypychania nimi materacy, i zmiatał teraz skrupulatnie puch, loki, pukle i warkocze, przejęty faktem, że można to robić na skalę przemysłową• Były hodowca owiec my-

ślał, owce, gołę owce, z owiec jest wełna, swetry, ciepło, z owiec jest mleko, ser, dom; on nie posiadał mistrzow-skiej wprawy Tadeusza Kruka, ale za każdym razem, gdy zaczynał golić kobietę, szeptał, przepraszam, i chociaż robił to po rumuńsku, sam ton jego głosu sprawiał, że 81

na chwilę łagodniał strach i to przepraszam dla wielu kobiet było jak talizman, niespodziewany prezent, którego nikt nie był w stanie im odebrać. Gdy rumuński hodowca owiec dowiedział się, że jego ciężarna żona i dwoje dzieci nie żyją, a raczej gdy pozwolił tej wiedzy przebić się przez obronną warstwę myśli o owcach wełnie mleku serze, ostatni raz powiedział przepraszam i poderznął sobie gardło brzytwą świeżo naostrzoną, przygotowaną do golenia więźniarek. Zostało ich więc tylko jedenastu, ale Tadeusz Kruk z Kamieńska pracował za dwóch i wkrót-ce esesmani docenili jego mistrzostwo przewyższające umiejętności wszystkich obozowych fryzjerów, z których usług korzystali dotychczas. Oprócz włosów więźniarek miał odtąd do czynienia również z włosami oprawców i ich jasnowłosych żon, którym własnoręcznie utleniał

odrosty. Dostawał więcej jedzenia, dano mu czyste ubranie, a nawet muszkę w czerwone grochy, i cóż to był za zabawny widok, uwijający się fryzjer w muszce i nagie, łyse kobiety. Między gorliwym fryzjerem i kapo, Marti-nem Kalthofferem, rolnikiem spod Monachium, wywiązał

się rodzaj komitywy, jaka może połączyć tylko osoby głę-

boko do siebie podobne. Wprawna ręka fryzjera goliła więc połowę głowy kobiety o włosach tak długich i gę-

stych, że słyhać było, jak spadają niczym zsuwająca się suknia, i przez chwilę pozostawiano ją właśnie tak, mię-

dzy pięknem i brzydotą, straszną i śmieszną. Ale ogolić pół głowy to nie sztuka, byle pomoc fryzjerska z Radomska to potrafi, natomiast kilkoma ruchami brzytwy wygo-lić swastykę w trójkącie między kobiecymi udami to już prawdziwy majstersztyk i sposób, by wywołać naprawdę dobry humor Martina Kalthoffera, das ist ja wirklich 82

cin Prachtstücker! Tadeusz Kruk nabrał ciała i wypełniły mu się zapadnięte policzki, zarumienił się jak przypieczony, właściwie nigdy nie wyglądał tak dobrze.

Takiego zobaczyły go Cioce Herbatki, które po selekcji i przeszukaniu zaklasyfikowano jako zdolne do pracy i warte tymczasem zachowania przy życiu. Gdy tylko weszły, fryzjer poczuł ich strach, wielki spasiony strach o siebie nawzajem, i jeszcze większy o kogoś, kogo me było przy nich, domyślił się więc, z żalem, że Grażynka nie trafiła do obozu. Nagość Cioć Herbatek odkryła coś, co tylko nieliczni w Kamieńsku podejrzewali, siostry nie siostry z Napoleonówki wcale nie były do siebie podobne, gdzie tam! Pod pozorem podobieństwa, pod długimi ciemnobłond włosami jak pod zasłoną kryła się różnica iada miękkiego, jasnego jak nadzienie w kremówkach oraz chudego, żyłastego. Jedne biodra były szerokie i krągłe, drugie zrównane z talią, z kośćmi wystającymi jak ostrza łopatek. Nagle fakt, że pod wspólnym imieniem kryły się imiona własne, stał się oczywisty. Róża miała piersi gruszkowate, ciężkie, żyłkowane na niebiesko, jakby półprzezroczyste, u Anieli dwie ciemne brodawki zwieńczały niewielkie wzniesienia, rozśmieszając Martina Kalthoffera, sie ist ja flach wie ein Brett! W świetle, które w pokoju golenia było ostre jak na sali operacyjnej, włosy Cioć Herbatek też nie były już identyczne: a warkocz Anieli okazał się do tego sztuczny, przyczepiony do krótkiej fryzury za pomocą wsuwek. Tylko przez mgnienie oka Tadeusz Kruk był dla nich kimś znajomym, zaraz potem dostrzegły w jego twarzy to, czego przecież się spodziewały w głębi serca, omijając jego zakład w Kamieńsku - rozkosz tego, kto żywi się strachem I kto te-83

raz ku uciezce strażnika Kathoffera między nogami Anieli wyciął z włosów napis Fuse.

Cioce Herbatki wkrótce spotkało to, czego bały się bardziej niż zimna, głodu i nawet śmierci, rozdzielono je. Różę odesłano do baraku specjalnego. Więźniarki, którym włosy odrastały siwe w miejsce zgolonych czarnych, rudych, brązowych czy złotych, smarowały głowy węglem zmieszonym ze śliną, i tak samo zrobiła Róża.

Sposób, który kobiety stosowały, by wydawać się młodsze w codziennej selekcji na nadające się i nienadające do życia, w jej przypadku przyniósł skutek daleki od zamierzonego, zaliczono ją do nadających się do użycia.

Gdy Różę uznano za zużytą, wróciła do normalnego baraku i razem z Anielą zachorowała na tyfus, a z tyfusu w obozowym szpitalu wychodziło się tylko do pieca - tak sądził Tadeusz Kruk. Gdy po wyzwoleniu obozu wracał

do Kamieńska, czuł ulgę, że Cioć Herbatek już tam nie zostanie. Tadeusz Kruk powtarzał sobie, że nie ma czego się wstydzić, była wojna, nie miał wyjścia, inni nie takie rzeczy robili, a w końcu on nikogo nie zabił, przeciwnie, jabłka, cebule rozdawał kobietom, dzieciom. Ucieszył

się, gdy zgodnie z jego przewidywaniami zastał Napoleonówkę pustą, i zaczął robić to, co potrafił: marzyć nocami, a za dnia golić, strzyc, kręcić i podcinać w swoim zakładzie przy ulicy Prostej, który cudem ocalał, bo cuda na ogół nie trafiają się tym, którzy na nie zasługują.

A jednak Cioce Herbatki wróciły, a z nimi Grażynka, która przeżyła całą wojnę w sierocińcu w Częstochowie.

Po dwóch czy trzech tygodniach odosobnienia w Napoleonówce, gdzie odwiedzała je tylko Franciszka Pyłek, Ciocie Herbatki zaczęły wychodzić do miasteczka, trzy-84

mając się pod ramię. Znikły ich skromne, ale eleganckie suknie i długie włosy; teraz obie nosiły spodnie, wojskowe buty, a ich jakby zmniejszone głowy pokrywał nie-dbale odrastający jeź: u Róży siwy jak szron na Kamionce, u Anieli zielonkawy jak zgniłe siano. Straciły zęby, a ich policzki zapadły się; Ciocie Herbatki przypominały teraz dwa dziwne wyleniałe ptaki. Grażynka, która przez te lata zmieniła się w piękną kobietę wyglądającą na wię-

cej niż szesnaście lat, nie odstępowała ich na krok, jakby chciała chronić je swoją młodością i zdrowiem; ale ta mała wyrosła, wyładniała, szeptali mieszkańcy Kamień-

ska. We trzy uprzętnęły ogród i naprawiły dach, a jesienią zabrały się do robienia zapasów z energią tych, którzy znają głód, i takim rozmachem, jakby zima miała trwać dłużej niż ostatnia wojna. Cały Kamieńsk widział

dwie wielkie beczki do kiszenia, które jak wyrzuty sumienia wiozły aż z Kleszczowej, bo stare im z komórki ukradziono. Doktor Jedwabny, dentysta z Kamieńska, jeden z kilku tutejszych Żydów, którzy przeżyli Zagładę, zrobił Róży i Anieli nowe sztuczne szczęki i gdy miały ochotę, co nie zdarzało się często, mogły znów śmiać się, nie zasłaniając ust. Gdy trochę podrosły im włosy, pojechały do Radomska i wróciły ze sztywnymi trwały-i ondulacjami ufarbowanymi na kasztanowo, a mieszkańcy Kamieńska odetchnęli z ulgą, bo znów były do siebie podobne, podwójne jak syjamskie siostry, które pamiętali z dawnych lat. Gdy szły z dworca przez miasteczko, każdy przechodzień pozdrawiał je, jakby właś-

że wróciły z dalekiej, pięknej podróży, dzień dobry, panno Rózo, panno Anielo, ładna dziś pogoda, jak się pani ma, panno Rózo, panno Anielo, co u was słyhać, 85

wszystkiego dobrego, panno Rózo, panno Anielo. Jako pierwszych zaprosiły na herbatkę doktora Jedwabnego i milczącą pracownicę poczty Franciszkę Pyłek, która jakimś cudem przeżyła obóz w Treblince; przez otwarte okna Napoleonówki znów płynął zapach świeżej esencji i ciasta.

Świat Kamieńska wrócił do równowagi i nikt chyba nie zauważył, że Ciocie Herbatki od powrotu ani razu nie przeszły ulicą Prosta, główną ulicą Kamieńska, przy której znajdował się zakład fryzjerski Tadeusza Kruka i gdzie powoli odbudowywano zburzone podczas bombardowania domy. Wstydzą się, wydedukował fryzjer, który w miarę upływu czasu nabierał coraz większej pewności siebie, wstydzą się, bo widziałem je nago. Nie brakowało mu roboty. Kobiety teraz nie chciały mieć długich włosów i przychodziły do niego po trzy, cztery, po sześć, ścinały warkocze, chwytaly tekturowe walizeczki i wyjeżdżały do miasta, już nie tylko do Łodzi czy Piotrkowa, ale dalej, na Ziemię Odzyskane. Fryzjer nigdy nie widywał Cioć Herbatek, ale przyglądał się przez szybę Grażynce, i nie był w tym odosobniony, bo gdy szła przez Kamieńsk, dorośli mężczyźni podnosili twarze znad roboty, dziadkowie przecierali oczy, a podrostki gwizda-

ły, pochrząkiwały i poświstywały niezdarnie, wprawiając się dopiero w męskich sposobach zwrócenia na siebie uwagi. Piękna! Co za dupa! Dobrze jej 'L oczu patrzy! Jakie cyce! Sposoby wyrażenia podziwu każdy miał swoje, a gdyby próbowali użyć do tego większej liczby słów, relacje

mężczyzn z Kamieńska różniłyby się od siebie tak bardzo, jakby za każdym razem dotyczyły zupełnie innej osoby. Tych, dla których Grażynka była objawieniem, łą-

86

czyła zawsze jakaś wada fizyczna lub psychiczna, mniej lub bardziej zawiniona: garb, niemożność utrzymania pieniędzy w kieszeni, chorobliwe poczucie krzywdy, krótsza noga, zupełny brak orientacji w przestrzeni, daltonizm, alkoholizm, melancholia i alergia na słońce, dysleksja, na którą jedynym wówczas sposobem było zostawianie de-likwenta rok po roku w tej samej klasie, aż wyrósł z ławki, zrezygnował z marzeń o wyrwaniu się choćby do Radomska i poszedł pracować do tartaku. Piękno Grażynki rosło na niedostatkach mężczyzn z Kamieńska, którzy jakimś półzwierzęcym instynktem wyczuwali jej hojność w dawaniu nie tego, na czym jej zbywa, lecz dokładnie tego, czego pragnie proszący, nawet jeśli sam o tym nie wie. Tadeusz Kruk przysysał się wzrokiem do Grażynki i pił jej widok, aż mu się ruszało jabłko Adama: czerwony beret z antenką, sztukowany powojenny płaszcz, grube rajstopy, zniszczone buciki, czuł nieznaną słodycz i pragnął pochłonąć ją do ostatniej kropli, tak że ciągle miał

minę, jakby trzymał w ustach słomkę i wysysał resztki oranżady z dna szklanki. Podobnie jak szewc, który stracił całą rodzinę, włączając ośmioro dzieci, kulawy kierownik poczty, który obraził się na świat z powodu swej chorej nogi, nierozróżniający kolorów stolarz, który uważał, że daleko by zaszedł, gdyby rozróżniał, melancholijny nauczyciel, który czuł się niedoceniony, poeta cierpiący na brak talentu i uporczywe alergie oraz wiecznie pijany zawiadowca stacji Kamieńsk, który pił, irytując się, że pije, chociaż nie ma żadnego powodu - tak jak oni wszyscy fryzjer marzył, że pewnego dnia piękna córka Cioć Herbatek stanie przed nim i zaspokoi jego pragnienie do końca, a brak, który czuł, zasklepi się jak rana.

87

Gdy któregoś ranka Grażynka po prostu weszła do zakładu fryzjerskiego przy ulicy Prostej, Tadeusz Kruk omal nie stracił głowy, a ona usiadła na fotelu, zanim zdążył poprosić, okręciła się kilka razy, chwyciła warkocz, uniosła go i powiedziała, niech pan tnie na krótko, panie Tadziu. Ciął więc powolutku i drżał na samą myśl, że obcięte włosy będą należały do niego, a ona nie przestawała zadawać pytań, a do czego to? po co te gumki recepturki? czy to ciężko trwałą nakręcić? a co to tak pachnie różami prześlicznie, panie Tadziu? aż w końcu olśniony własną genialnością Tadeusz Kruk zaproponował, by przyszła i mu pomogła, nie spodoba jej się, trudno, spodoba, nauczy się fachu pod jego okiem, a nawet dwoma, które przylegały do jej twarzy, szyi, piersi jak pijawki. Grażynka nie miała wielkiego powołania do fryzjerstwa, tak jak nie pociągał jej żaden inny zawód, ale czuła wobec fryzjera wielką litość, podobnie jak litość budził w niej szewc, który stracił całą rodzinę, włączając ośmioro dzieci, kulawy kierownik poczty, który obraził

się na świat z powodu swej chorej nogi, nierozróżniający kolorów stolarz, który sądził, że zaszedłby daleko, gdyby rozróżniał, melancholijny nauczyciel, który czuł się niedoceniony, poeta cierpiący na brak talentu i uporczywe alergie oraz wiecznie pijany zawiadowca stacji Kamieńsk, który pił bez powodu i irytował się, że pije. Jej współczucie dla mężczyzn było najgłębszym uczuciem do niedoskonałości istnienia i gdyby nie fakt, że każda skaza budziła w niej nieprzepartą chęć, by naznaczonego skazą rozebrać do naga i przytulić do piersi, Grażynka Rozpuch z Kamieńska miałaby

szansę zostać świętą.

Współczuła i wzdychała, a każdy, kto wiedział bądź czuł, 88

że mu czegoś brakuje, miał szansę doczekać się westchnienia skierowanego właśnie do niego; ach, co za bi-dulek, niezguła, mizerota. A bardziej od szewca, który stracił całą rodzinę, włączając ośmioro dzieci, kulawego kierownika poczty, który obraził się na świat z powodu swej chorej nogi, nierozróżniającego kolorów stolarza, który pewnoś miał, że daleko by zaszedł, gdyby rozróż-

niał, melancholijnego nauczyciela, który czuł się niedoceniony, pozbawionego talentu i cierpiącego na alergię poety i wiecznie pijanego zawiadowcy stacji Kamięnsk, który nie miał powodu do picia - budził w niej litość ten fryzjer, bo uważała, że trudno o większe kalectwo niż brak sumienia. Grażynka nie znała w szczególach wojennej historii Cioć Herbatek, bo zatajenie jej było jedną z tych dobrych intencji matczynych, które obracają się w swoje przeciwieństwo, przynosząc skutki tak niespodziewane jak każda katastrofa.

To prawdziwy cud, że się odnalazłyśmy, wzdychały Ciocie Herbatki, gdy znów we trzy z Grażynką siedziały przy stole w Napoleonówce; to prawdziwy cud, szeptały przed zaśnięciem, pokazując sobie nawzajem złotą smugę światła wypływającą spod drzwi pokoju ich przybra-nej córki, to prawdziwy cud, powtarzały, gdy budziły się w nocy i przerażone snem pełnym wzburzonej wody, jednocześnie śnionym przez obie, skradały się na palcach i uchylały drzwi, by przekonać się, że Grażynka śpi spokojnie, z włosami rozrzuconymi na poduszce. Uspokajały jedna drugą; nie, nie, na pewno nie, mówiła do Anieli Róza, i ależ skąd, w żadnym razie, do Róży Aniela; ale wydawało im się, że w ciepłym zapachu sypialni czują coś obcego niczym złowieszcze cienie, jakie po wojnie 89

snuły się nocą po ulicach Kamięnska. Miały wrażenie, że Grażynka im się wymyka, i bały się obcości, która pokrywała ich córkę przezroczystą skorupką jak warstwa lodu, bo nie wiedziały, skąd się wzięła i co podczas tych lat w sierocińcu tak ją od nich oddaliło. Nie zapytały nawet o nocnik Napoleona, który przepadł; co tam nocnik! Na pewno komuś dała, chyba że jej zakonnice świsnęły. Nie chciały jej śledzić, bo wiedziały, że nie ma wielu rzeczy gorszych dla miłości niż brak zaufania, i czekały, czekały, aż wróci z zabawy w remizie, od koleżanki z Gorzkowic, spotkania z tym czy owym w Kleszczowej, aż drugiej po wojnie jesieni, w listopadowy wtorek po południu, Gra-

żynka wróciła bez warkocza, z włosami obciętymi niemal przy skórze i oświadczyła, że od jutra uczy się na fryzjerkę w zakładzie Tadeusza Kruka. Mizerota, biedny, sam zupełnie sobie nie radzi! Strasznie jej tego fryzjera szkoda.

Ciocie Herbatki tej nocy nie spały i gdyby ktoś znów zajrzał do Napoleonówki przez szparę między zasłonami w kolorze nasturcji, zobaczyłby płonąca świecę i pochylone ku sobie szepczące głowy w kordonkowych siatkach chroniących fryzurę. Rano Ciocie Herbatki były spokojne i blade, nastawiły wodę, zalały wrzątkiem liście gruziń-

skiej, westchnęły, że przed wojną to była herbata, a teraz same farfocle i zmiotki sprzedają, wypily po trzy filiżan-ki i poszły na ulicę Prosta, by zaprosić fryzjera Tadeusza Kruka na poważną rozmowę. Gdy szły przez Kamięnsk, lód chrupał pod ich butami jak ptasie kostki, bo kałuże po listopadowych deszczach ściał pierwszy mróz.

Jeden, dwa, dwie twarze pochylają się nad Dominiką i obie wydają się jej znajome, tak jak czasem znajome wydają się widoki, które śnimy po raz kolejny. Wciąga powietrze i czuje zapach, który pamięta i o którym wie, że nie знаła go, zanim zasnęła, słodko-gorzki, drzewny, trochę podobny do woni potraw, jakich próbowała kiedyś w Domu Spółdzielcy na Piaskowej Górze, gdy gościła tam grupa harekrisznowców. Jeden, dwa, między twa-rzami biały prostokąt okna, wiatr unosi białą zasłonkę; muślin, muślinowa sukienka, myśli Dominika i wyciąga rękę w kierunku światła. Szaroniebieskie niebo, chmury, topolowe liście, wiatr, ptaki, raz, dwa, trzy, cały klucz ptaków, już je gdzieś kiedyś widziała. Jedna pochylona nad Dominiką twarz jest pociągła i ciemna, ma żółtawe oczy i wysokie kości policzkowe, uśmiecha się i odsłania bardzo białe zęby; druga jest jasna jak ciasto, płacze czarnymi łzami, jej usta noszą ślady pomadki i ruszają się jak u karpia. Dominika przenosi wzrok z twarzy na twarz i widzi, że obie mają obramowanie żółtych wło-sów, uśmiecha się, jakby znała sens odkrytego właśnie podobieństwa i mówi: mamó? Córeczko! Jesteś! Nareszcie! Jadzia Chmura czuje, jakby rodziła to duże kanciaste dziecko jeszcze raz; najpierw widzi główkę pokrytą gąszczem włosów buszmeńskich, potem twarz z policzkiem przeciętym czerwoną blizną, oczy otwierające się coraz szerzej, usta, które łapią pierwszy ziemski oddech, powtarzają, mamó. W momencie, gdy do pokoju szpitalne-go wbiegają dwaj zaalarmowani lekarze, usta powtórnie 91

narodzonego dziecka Jadzi Chmury formułują pierwsze pytanie córczyne: gdzie ja jestem, mamó? Matka na po-wrót obdarowana córką, przy której łóżku spędziła tyle tygodni, mówiąc, płacząc i śpiewając o Cygance, co pod oknem stała cała zboczona w krwi, czuje, że poród dobiegł końca. Nie pozwoli już wynieść dziecka do innej sali, o nie, swoje wie, czytała w kolorowych gazetach, nie jest już taka głupia, jak wtedy gdy przyjechała do Wałbrzycha z Zalesia i spadła ze schodów dworca w ramiona Stefana. Dziecko trzeba matce położyć na brzuchu, musi je przytulić. Jadzia wyciąga ramiona; dziecko jest i jej potrzebuje.

Gdy na drugi dzień po przebudzeniu Dominiki Jadzia Chmura przychodzi wczesnym rankiem do szpitala, jej świeżo umyte i zalakierowane włosy lśnią jak wielkanocny baranek z cukru, a usta pomalowane nową szminką od Grażynki gotowe są udzielić córce wyczerpującej odpowiedzi na pytanie o to, gdzie jest, już układają się w pierwsze słowa matczyne, przygotowane zawczasu na tę wyczekiwaną okazję. Lekarze, których tłumaczy na polski Grażynka, każą Jadzi utrzymywać słowny kontakt z córką, nie wspominać wypadku, mówić o przyszłości najbliższej, i już ona będzie mówić, mogą być spokojni, bo wraz z przebudzeniem Dominiki wróciła przyszłość, a dziś wydaje się piękna jak nigdy. Nic jej tłumaczyć nie muszą, matka wie najlepiej, czego potrzebuje dziecko, które urodziła po raz drugi; człowiek uczy się na błędach. A więc żadnej przeszłości Jadzia nie miałaby nic przeciwko temu, by Dominika w ogóle zapomniała o przeszłości, szast-prast i nie ma, zaczęłyby wszystko od nowa, byłoby po prostu cudownie. Jak po wielkim 92

sprzątaniu z praniem wykładzin i solidną dezynfekcją łazienki, gdy świat pachnie świeżo i czysto, a bakterie i złe wspomnienia nie istnieją. Liczy się przyszłość! Dopiero w niemieckiej telewizji pokazywali nowego polskiego premiera i Grażynka przetłumaczyła jej najważniejsze słowa wystąpienia: gruba kreska. Co za mądry człowiek!

Przyklasnęła Jadzia Chmura, ma rację! Siada Jadzia przy łóżku córki, która wodzi za nią oczami i uśmiecha się niepewnie; mamó? powtarza, jakby ćwiczyła to pierwsze słowo wypowiedziane po

przebudzeniu, mammo?

Czasem jej wychodzi, a czasem wydobywa się z niej tylko coś jakby chrobot myszy, nieprzyjemny zgrzyt; boli ją ciało i chciałaby się wykapać, zanurzyć w wodzie, zmyć z siebie zapach spalonego mięsa, który czuła we śnie.

Nadal go czuje i boi się, że emanuje z jej ciała, unosi się wokół matki. Mammo? już nigdy Dominika nie powie, mammo, inaczej niż z małym znakiem zapytania, jakby co do relacji łączącej ją z Jadzią mogły być jakieś wątpliwo-

ści; Jadzia żadnych nie ma, bo śpiewaniem wyprowadziła córkę z ciemności. Córcia! jak ja się modliłam, żebyś ty się obudziła, co ja się naśpiewałam o tej Cygance. Twarz Dominiki jest wychudzona i blada, ta blizna, myśli Jadzia, da się na pewno jakoś zamazać, zapudrować, nic nie bę-

dzie widać. A może tu mają na blizny jakieś maści lepsze niż w Polsce? Zapyta Grażynki. W Enerefie powinni takie maści mieć, tu wszystko jest, wystarczy Grażynce do lo-dówki zajrzeć, do spiżarki. Wszystko, a tyle tego, że nie przejesz, ciuchy nawet pod łóżko poupychane jeszcze z metkami, bo za porządna to ta Grażynka nie jest, o nie.

Fleja i bałaganiara, choć dobre ma serce. Dominika czuje wzrok matki i sięga ręką do policzka. Miałam wypadek, 93

mówi, był ogień, samochód, ktoś krzyczał, straszny zapach. Co było dalej? Mammo?

Biedna Jadzia, nie uda jej się mówić o przyszłości z pominięciem tego, co było, a tak bardzo chce opowiedzieć córce o planie, jaki wymyśliła podczas tygodni czuwania - oto wrócą razem na Piaskową Górę i Dominika pójdzie do studium medycznego, znajdzie potem pracę w jakimś prywatnym gabinecie, po co gdzieś wyjeżdżać na studia, jak wszystko jest pod nosem w Wałbrzychu, a potem się zobaczy. Dobrze zdała maturę i egzaminy na studia, do dwuletniego studium na pewno ją przyjmą. Na protetyka dentystycznego niech się przyuczy, z tego jest pieniądz i nigdy nie braknie roboty, bo ludzie na tym ko-munizmie zęby potracili, oj, potracili, a i na demokracji potracą; biednemu zawsze wieje w twarz. Sama Jadzia niedługo będzie potrzebowała trzeciego kompletu zę-

bów i wie, ile to kosztuje prywatnie. Majątek! Odpocznie sobie Dominika, nabierze ciała, włoski zapuści, można takie pazurki na policzki wycieniować, jakie ma Troja-nowska, ta piosenkarka, co w Sopocie śpiewała. Straszny z niej wyjec, Jadzia takiej muzyki nie rozumie, ale fryzura jej się podoba. Kto wie, może właścicielem gabinetu, w którym znajdzie pracę ostrzyżona na Trojanowska Dominika, będzie dentysta stanu wolnego? Fryzurkę na Trojanowską sobie zrobisz, może cię Iwona u siebie w za-kładzie na Piaskowej Górze uczesze, mówi do córki, ale czuje, że to nie jest to, o czym jej cudem ocalone dziecko chce rozmawiać. Co było dalej? pyta Dominika, co było dalej, mammo? Pamiętam ogień, białe schody, białe ko-

ści. Gdy spałam, czułam zapachy. Coś pachniało pięknie, ale czułam też zapach spalonego mięsa, ciągle go czu-94

ję. Mammo? Matko Boska! Jadzia jest bliska łez. W innych rodzinach z pokolenia na pokolenie

przechodzą domy, ziemia, srebra rodowe, a u nich zapach spalonego mię-

sa. Wnuczka najwyraźniej po babce go dostała; Zofia Ma-

ślak, matka Jadzi, czuła go przez całe życie i lała ocet z takim zapamiętaniem, że parę kropel dodawała nawet do wody święconej w pojemniczku na drzwiach. Powiedz mi, mamó, upiera się Dominika. Mamó?

Jadzia ściąga umalowane usta w kurzą dupkę, nie wiedząc, jak opowiedzieć córce tamte dni, przez które, jak już mówiła sąsiadce Krysi Śledź i nieraz jeszcze powie, o mało sama nie strzeliła w kalendarz i nie wyciągnęła kopyt. Chciałaby przeszłość oddzielić grubą linią jak premier Mazowiecki, ale nic z tego. Mało kopyt nie wyciągnęłam jak stara kobyła, wzdycha więc, mało się, córcia, nie przekręciłam, nie strzeliłam w kalendarz na tym bocianim gnieździe. Matko Boska! Tylko modlitwa ją uratowała przed wyciągnięciem, przekręceniem i strze-leniem, dzięki Bogu i Matce Przenajświętszej jakoś przetrwała. Ile ja nerwosoli wypiałam, aż mi się odbijało, ile herbatek z melisy! Mów, mamó, co było dalej; nie wywi-nie się Jadzia. Choć tak bardzo chciałaby matka Chmura popędzić wprost ku, przyszłości świetlanej, gdzie jej odmieniona córka jest technikiem dentystycznym w mod-nej fryzurze na Trojanowską, to jednak musi wrócić do tamtego dnia, gdy jej Dominika omal nie umarła, a ona klęczała w szpitalnej toalecie, waliła głową o ścianę i obiecywała niebiosom wszystko, co mogłaby dać Jadzia Chmura z domu Maślak, wdowa po nadgórniku z Piaskowej Góry, gdyby niebiososa skłonne były do handlowej wy-miany. Matko Boska, do końca życia nie tknie słodyczy, 95

nawet tych nowych niskosłodzonych i niesmacznych, pójdzie na pielgrzymkę do Częstochowy, na kolanach, na brzuchu się czołgając, odłoży i da na kościół czy dzieci w Afryce, choć, widzisz, Panie Boże, że nie ma z czego odkładać, ale z gardła sobie wyrwie, od ust odejmie, flaki sobie wypruje, krwi utoczy, byle tylko jej dziecko przeżyło. Jadzia Chmura po równo ofiarowywała Matce Boskiej i Panu Bogu swoje wyrzeczenia i umartwienia, ale inne miała oczekiwania wobec tych dwóch świętych postaci. Matce Boskiej, w szczególności Czarnej Madon-nie z Jasnej Góry, powierzyła opiekę nad ranną córką, czuwaj przy niej, błagała, nie pozwól jej umrzeć, Matko Boska, zachowaj moje jedyne dziecko przy życiu; Panu Bogu, ojcu w niebiesiech, pozostawiła zadanie ukara-nia winnych zupełnie tak samo, jak zrobiłyby inne matki z Piaskowej Góry, które mówiły do swoich pociech, czekaj no, czekaj, gówniarzu, jak ojciec wróci z pracy, to ci dupę złoł. A więc, Panie Boże, wznosiła Jadzia oczy w pokryty zaciekami sufit szpitalnej toalety cuchnącej lizolem, Panie Boże, tych, co za to odpowiadają, co moją córkę ukrzywdzili, słuchaj, Panie Boże, choć to będzie ci powtórzone jeszcze wiele razy - niech ich co najgorsze spotyka z nawiązką, niech im zęby zmiękną i wypadną, dziąsła zgniją, parchem niech się pokryją, raka niech dostaną złośliwego i hifa śmiertelnego, pieniądze wszystkie niech z bożą twą pomocą tracą, niech tracą nadzieję, domy niech im się popalą, dzieci z dałnem urodzą, telewizory wybuchną, samochody rozwalą, a ziemia ciężką niech im będzie jak kamień, amen.

Dwie osoby niemal równocześnie przybiegły na miejsce wypadku Dominiki i o ile dla jednej z nich bieg 96

był czymś zwyczajnym, to druga nie biegała od lat, więc tym bardziej należy docenić szybkość, jaką osiągnęła, pędząc wzdłuż ulicy Wrocławskiej. Małgosia Lipka po-

zegnała się z Dominiką dzień wcześniej i było to dobre pożegnanie, bo przecież miały spotkać się po wakacjach w Warszawie, zamieszkać na Chomiczówce, gdzie blok do bólu przypominający Babel z Piaskowej Góry wydawał

się jednak zupełnie inny, prawie piękny, tonący wprost w zieleni, w jaśminach i bzach. W wieczór wyjazdu Dominiki Małgosia siedziała w otwartym oknie swojego pokoju i słuchała kłótni rodziców. Powietrze było ciepłe, rozedrgane, widziała stąd światła Piaskowej Góry; czuła, że już nie należy do tego miejsca, że już prawie wyjecha-

ła i niech nikt się nie łudzi, że wróci. Ty śmierdząca pi-jaczko, krzyczał jej ojciec; ty chuju, krzyczała jej matka, a pomiędzy inwektywami padały zdania o życiu zmarnowanym, losie zasranym, które jedyna córka państwa Lipków знаła na pamięć. Przez ciebie, piję, ty chuju od skrobanek, oświadczała matka i Małgosia odpowiadała unisono z doktorem Lipką, on wrzaskiem, ona szeptem, wykrzywiając się do swojego odbicia w szybie, nawet przy księciu Monaco byś chłała, bo się do niczego nie nadajesz. Wedle scenariusza powtarzanego od lat, matka powinna teraz powiedzieć, a będę chłała, aż zdechnę, i sobie tu dziwek swoich nasprawdzasz, a ojciec, który zaraz zaczynał pracę i czekały na niego pacjent-ki, powinien wycofać się rakiem, rzucić ostatni ochłap zgnilizny w rodzaju, a chleję, i tak nikomu do niczego się nigdy nie przydałaś, i trzasnąć drzwiami. Jednak tego wieczoru lipcowego poniosło ich i sięgnęli po cięższą broń, której cały arsenał każde miało w zapasie na wy-97

padek poważniejszej potyczki; wystarczyło otworzyć szufladę w domu państwa Lipków, a tam pistolety, ręcz-ne armatki, granaty powiązane w pęczki jak rzodkiew-ki, w stojaku na parasole - kałasznikowy. Zanim doktor Lipka zdążył się wycofać, pani doktorowa przyłożyła mu z armaty, tylko uważaj, żebyś znów potwora nie spłodził z jakąś młodą dziwką. Trafiła celnie, mimo że ledwie stała na nogach, co było w zasadzie jej codziennym sposobem stania; doktor Lipka w serce ugodzony zdo-

łał jednak odpowiedzieć strzałem z biodra - może jakbyś ty nie była dziwką zachlaną, byłaby normalna. Dwa strzały rykoszetem poszły przez przedpokój obity wraz z sufitem boazerią, co jeszcze parę lat temu tak czytel-nie wskazywała na bogactwo i dobry smak, a dziś jakby straciła na urodzie, poszły wzdłuż galerii obrazów w gip-sowych ramach złożonych, aż się pozłota sypnęła - pejzaże tam były wiejskie, słoneczniki van Gogha, konie w galopie. Śmignęły kule nad kredensem dębowym, na pół przecięły bordowe zasłony z lambrekinem, wpadły do pokoju Małgosi, wywałając dwie dziury w solidnych poniemieckich drzwiach, na których od środka przyklejony był portret Virginii Woolf. Trzeba było uciekać, żeby przeżyć.

Małgosia zeskoczyła z parapetu na dach komórki i potem w wilgotną od wieczornej rosy trawę, trzeba było biec i kluczyć, bo każda chwila bezruchu groziła śmiercią od zabłąkanej kuli; dopiero po chwili zauważyła, że jest bosa. Pobiegnęła w kierunku Piaskowej Góry, pomyślała, że zdąży na przystanek, a jak nie, to na dworzec, nieważne, co powie Dominice, trzeba biec, biec trzeba, bo gdzieś tam są jeszcze czyste rzeki i źródła, z których tryska 98

światło. Były z Dominiką we Wrocławiu na koncercie kra-kowskiego śpiewaka w sali gimnastycznej jakiejś szkoły, ludzie hałasowali, przeszkadzało dziecko, potem podeszły, by artyście o napuchłej twarzy i bladych rozmytych oczach powiedzieć coś dobrego, a on popatrzył na me tak, jakby zobaczył dno w butelce, inie zrozumiał. Poczuli w jego oddechu zapach alkoholu, a Dominika przypomniła

sobie ojca, który czasem na jej widok smutniał

w podobny sposób i pytając, co w szkole, oddalał Się, jakby w jego gnieździe na kanapie otwierała się czarna dziura. Śpiewały więc z Dominiką o czystych rzekach i źródłach, z których tryska światło, niby prześmiewczo, bo były ironiczne i jak ognia unikały egzaltacji, mówiły, egzaltacja oazowa, i przewracały oczami, ale gdy Mał-

gosia biegła bosą przez Szczawienko i potem Piaskową Górę, myślała o czystych rzekach, o źródłach, z których tryska światło, o Chmurdalii, którą sobie wymyśliły Podczas wagarów na dachu Babela, o śpiewaniu pełną piersią przez otwarte okno nocnego pociągu do Warszawy, gdy pęd powietrza rzuca jej w twarz włosy noroimki.

W tym czasie proboszcz postronek zażywał na plebanii krople walerianowe wykończony emocjami, jakich dostarczyła mu awantura z Adasiem, Bożeżymój. Wykończony jestem, wzdychał, od seminarium im się tłumaczy, jak na spacer na miasto, to nigdy samemu, zawsze po dwóch, trzech, a potem też, niewiast unikać, bronić się, modlić, starych o pomoc prosić, a nie płakać, jęczeć, kiedyś już za późno i skandal na pół miasta. Ale dzięki Bogu! Ulga, jaką czuł, gdy za wikarym i jego matką Leokadią Wawrzyniak zamknęły się drzwi, była wielka, ale jego serce nie chciało się uspokoić. Leokadii Wawrzy-99

niak, matki Adasia, proboszcz bał się zresztą zawsze, a jej obecność, intensywna, emanująca zapachem talku jakiejś nie do końca zmytej nieświeżości i wilgoci, jak łazienka po sobotniej kąpeli, nasuwała mu na myśl wszystko to, czego tak długo się pozbywał ze swojej ascetycznej codzienności. Nawet wietrzenie nie pomogło i na plebanii zalegał kobiecy zapach Leokadii przyprawiający proboszcza Postronka o zawroty głowy, na które nie zadziałały ani krople walerianowe, ani jeżynowy likier. To by dopiero było, gdyby zaległ tu na zawsze, gdyby woń Leokadii Wawrzyniak zamieszkała w kątach, pod łóżkami, pod, nie daj Boże, sutanną jegoż. Dobra z niej matka, z tej Leokadii, zdecydował w myśli, jakby zamknięcie Leokadii w matce było egzorcyzmem przeciw jej irytującej kobiecości, ale spokój nadal nie wracał. Skupiał się więc na matce jeszcze bardziej, matka jakże synowiż oddana! bo dla proboszcza Postronka macierzyńskość matek stanowiła jedyną formę kobiecości obok święto-

ści męczennic, którą był w stanie znieść na widnokręgu swych myśli. Od czasu, gdy poszedł do seminarium, tylko matkę wolno mu było mieć, bo nawet siostra, nieważ-

ne, młodsza czy starsza, chociaż już lepiej starsza niż młodsza, była postacią źle widzianą w życiu celibaty. Kto wie, co diabeł podszepta, na bezrybiu i rak ryba. Taką siostrę nie swoją albo swoją, ale z koleżankami, rozchichotanymi, w sukienkach cienkich, w pończoszki, spotkać na mieście i tragedia gotowa, dlatego właśnie powtarzali seminarzystom - dwójkami chodźcie, trójkami, jeden z drugim pilnujcie się, a zwłaszcza na wakacjach, szczególnie wiosną. Ale czy to słuchają? W pokoju Adasia, do którego niespokojny proboszcz Postronek 100

wszedł po raz kolejny w ciągu piętnastu minut, panował

bałagan i dopiero teraz stary ksiądz zauważył list oparty o figurę Matki Boskiej z krzywo przyklejoną głową. Pochyłe dziewczęce pismo Adasia przez cztery bite strony mówiło o pragnieniu zostawienia

ślądu, dzieci, rodziny; ja chciałbym, pisał Adaś, i ja nie chciałbym, pragnę ja i się ja boję, że ja-ja; proboszcz Postronek takie rzeczy słyszał nie raz i zawsze budziły uśpioną przez lata tęsknotę jego serca, bo też kiedyś pragnął i bał się, choć jego ja było o wiele mniej wybujałe. Czytając pożegnalny list, którego treść dzięki matce Leokadii, co syna z paszczy zła wyrwała, była już nieaktualna, proboszcz Postronek czuł, że w całej historii zapomniano o czymś ważnym i że ten list pełen wzniosłych słów i cytatów też o zapomnianym nie wspomina; co to może być? Stary ksiądz oparł czoło o szybę i raz jeszcze pomyślał, czy naprawdę wszystko, co trzeba, zrobiono, a kogo trzeba, ocalono, gdy za tuj owym żywopłotem swojego ogrodu zobaczył

czerwonego poloneza sąsiadów, państwa Rodnych. Wsiadł z niego stary Rodny, jego matka Rodna, Rodna żona oraz ich czworo dzieci w wieku szkolnym, plus piąte w drodze pod wzdętą sukienką Rodnej, bo Rodni byli rodziną wielodzietną i przykład dobry dającą, mimo że wrzask małych Rodniątek nieco proboszcza denerwował

podczas poobiednich drzemek. Dopiero przy trzecim z Rodnych ksiądz zrozumiał, co mu przypomina kolor samochodu, i obraz dziewczyny w czerwonej sukience przemknął mu przed oczami jak kometa; Panienkoż Przenajświętsza! Bożeżymój! Dziewczyna w czerwonej sukience, dwie inne czające się za nią, niepokój, który wtedy poczuł i porzucił, bo nie lubił niepokoju, dziew-101

czyna, która miała spełnić Adasia potrzebę zostawienia po sobie śladu, i o której na koniec wszyscy zapomnieli.

Dominika Chmura, córka wdowy z Piaskowej Góry, krew-na Kazimierza Maślaka z grupy obrońców życia poczę-

tego, co ufundował ostatnio pamiątkową tablicę niewi-niątkom pomordowanym. Mała Chmura, chudzina taka, półsierota, podobno nadzwyczaj utalentowana mate-matycznie, z pobożnej rodziny. Bożeżymój, westchnął

proboszcz Postronek i ruszył najszybciej, jak potrafił, drogą przez Krzaki na Piaskowa Górę, by niekomplet-ną rodzinę Chmurów po chrześcijańsku pocieszyć. Były lata, gdy potrafił jeździć konno na oklep i przebiec pięć kilometrów leśnej drogi, nie zawsze w świętej sprawie, I gdy teraz zmusił do biegu swoje krótkie nogi, przed oczami stanął mu tamten las, młodnik jodłowy, poczuł

tamtą dobrą noc tej złej nocy, zaraz potem brzozy biele-jące w mroku, tak było; przypomniało się proboszczowi ze Szczawienka, że był żywy i młody. Chciał wtedy zbawić świat, choć mówili mu, świata nie zbawisz, księżulu, pragnął nakarmić wszystkie głodne dzieci, uratować bite i nawrócić bijących, choć mówili mu, że się nie da, niech się tak nie szasta, niech pomodli się za nich; jakie to było piękne, tak wierzyć i chcieć! Biegł, niosąc przed sobą po-każny brzuch i siedem krzyżyków na karku, biegł, podwinąwszy sutannę, przeskakiwał śmieci i śpiących pijaków, śmigłonogi był i chyży. Jeszcze moment i proboszcz Postronek wypadł na ulicę Wrocławską; serce waliło mu jak górniczy młot.

Już nie wiedział proboszcz Postronek, dokąd właś-

ciwie tak pędzi i po co, gdy koło przystanku zderzył się z dziewczyną, którą wziął za chłopaka. Nie

się, że z dwojga złego - a więcej do wyboru nie było -

wolała, by ją za niego właśnie brali, była bosa, miała kolczyk w nosie, niebieskie włosy i złe przeczucia; musi ksiądz ze mną pojechać na dworzec! Zbiegną jeszcze ka-walek i spróbują złapać taksówkę na skrzyżowaniu, tu akurat nie widać ani jednej, wiadomo, sobota. Niech się ksiądz pospieszy! Po co na dworzec? zapytał proboszcz Postronek, jednak w odpowiedzi usłyszał tylko, szybciej!

chodzi o Dominikę! Małgosia zdążyła dowiedzieć się od pijaczka zbierającego pety na przystanku, że tak, dziewczyna z plecakiem tu była, taka pyłata, wysoka, stała, autobusy przepuszczała, potem wsiadła do malucha, pojechały zygzakiem. Pobiegli więc tą samą drogą, którą kilkanaście minut wcześniej jechał turkusowy mały fiat, i proboszcz Postronek nie mógł się nadziwić, jaką siłę ma ta dziewczyna ciągnąca go za rękę. Doprawdyż! Nie dam już rady, skarżył się, ale nie, ciągnęła i poganiała, szybciej, szybciej, jakby więcej od niego wiedziała o celu tego biegu, szybciej! musimy dogonić Dominikę. Na skrzyżowaniu był jakiś wypadek, stały trzy samochody, kilku mężczyzn kłóciło się o coś; w ogrodzeniu, za któ-

rym leżało jeziorko topielicy-pajęczycy, ziała dziura, za nią łuna pożaru. Pochwalony! Turkusowy mały fiat pędził

jak głupi! Popiły się, bo żeby tak pędzić, to nie na trzeź-

wo. One? A kto ich tam wi uni czy une. Jeden świadek widział dziewczuchę za kierownicą, drugi nie jest pewny, bo jakby więcej tam było ludzi, ze trzy osoby, ale się nie przysięgnie. Bo przysięgnie się i będą go potem po są-

ciach ciągać, a jak raz zaczną ciągać, to umar w butach.

Być może jednak, że baba za kierownicą. Chłop nawet pijany by wyrobił. Powinni tego zabronić! A maluch nie 103

wyrobił, w ogrodzenie wyrznął, potem w kupę żelastwa.

Ajak rąbło! Rąbło, proszę księdza, aż się ziemia zatrzęs-

ła. Wybuchło paliwo, gorąc taki, że podejść nie można.

Patrzyli, czy da się co uratować, ale gdzie tam. Z tego już nikt żywy nie wyjdzie, proszę księdza. Małgosia jednak ruszyła w stronę pożaru, bosymi stopami po szkłe z roz-bitej szyby, za nią proboszcz Postronek, który zrozumiał, że to nie niepokój go dręczył, lecz gniew; ten sam, który czuł kiedyś, przed laty, a potem tak stłumił w sobie, że z łatwością mógł go pomylić z niestrawnością i ugasić miętową herbata.

Wrak samochodu płonął, w jeziorku odbijał się jego ognisty cień, w ogniu czarny szkielet samochodu i rzeczy straszne, rzeczy niewiadome, które mogły, ale nie musiały być ciałem za kierownicą, ciałem obok, ciałem na tylnym siedzeniu. Czy ksiądz rozumie, że ona musi żyć, to nie było pytanie, dziewczyna do złudzenia przypominająca chłopaka patrzyła na niego, a w jej źrenicach płonęły miniaturowe fiaty 126p. Ogień przypalał włosy i rzęsy, piekł skórę, zapach był straszny, bo jednocześnie obcy i znany, zapach czegoś, co kiedyś było żywe, albo użyteczne, a teraz jest przypalonym mięsem, stopionym plastikiem, zwęgloną kością. Dziewczyna do złudzenia przypominająca chłopaka krzyczała, Dominika! i rozgar-niała chwasty, szarpała resztki żelastwa, pokazywała, gdzie szukać, brodziła w wodzie, na której powierzchni dopalały się kawałki materii, co to za woda, która płonie, myślał proboszcz Postronek i modlił się, by w tym piekle było jeszcze coś do ocalenia, a jeśli ktoś ma tu umrzeć, niech to będzie on, bo zawiódł na całej linii, skoro nie zrozumiał, że to nie księdza Adasia powinien 104

był ratować, Bożeżymój. Można ją było pomylić z kawał-

Idem drewna, kupą szmat. Leżała zanurzona do połowy w wodzie, z twarzą w oleistym błocie jeziora i rozrzuconymi ramionami, miała na sobie tylko majtki i bu-ty, ścisnęła coś w lewej dłoni. Ona żyje. Oddycha. Nie wolno jej ruszać, kręgosłup, może mieć uszkodzony krę-

gosłup. Małgosia już nie krzyczała i proboszcz postronek pomyślał, że ta dziwna dziewczyna, o której plotko",;ah, że homoniewiadomo, fiksum-dyr-dum i bógwico, o wiele bardziej nadaje się na lekarza niż on na księdza, bo każde zdanie, które odtąd padło z jej ust, ratowało teraz skuteczniej być może niż jego modlitwa uratowała kogokol-wiek. Proboszcz Postronek trzymał w dłoniach zaciśniętą w pięść dłoń Dominiki i czuł, jak jego dawny gniew zajmuje się ogniem, rozpala. Jak to dziś młodzież mówi, da-

łem ciała, jasna cholera, Panienko Przenajświętsza, ale dałem ciała, tę dziewczynę powinienem być ratować, Bo-

żeżymój, stary głupek. Dupa, nie ksiądz! Stara dupa wo-

łowa. Odtąd będą ludzie z Piaskowej Góry i Szczawienka mówić, że bardzo się zmienił ich proboszcz, kiedyś to tylko trzy zdrowaśki albo ojczenasz, puk, puk i po sprawie, a teraz aż strach do niego do spowiedzi iść, bo jak nieraz wrzaśnie na cały kościół, jak do słuchu przemówi, to można ze wstydu się spalić.

Proboszcz Postronek, mówi Jadzia, co za dobry człowiek, córca, prawdziwy skarb. To on cię znalazł, on mnie i babcię Halinę zawiadomił, wszystko załatwić pomógł, z plebanii pozwolił dzwonić nawet do Enerefu, a takie międzynarodowe to przecież majątek. O mało w kalendarz nie strzeliłam, gdy mi cię w szpitalu poka-zali; przez szybę, wejść mi nie dali, chyba żeby bakterii 105

nie nawnosić, przez szybę na ciebie patrzyłam jak wtedy, gdy się urodziłaś. Cała poowijana, nogi, głowa, pół twarzy pod bandażem, a w każdej ręce kroplówka, w każ-

dą rękę igła wbita wielka jak gwóźdź. A Grażynka z tym swoim Niemcaszkiem za dwa dni byli w Wałbrzychu, wszystko załatwili, papiery, transport, koszty na siebie wzięli. Ta to miała szczęście, że

takiego Niemcaszka trafiła, jak człowiek, córca, pomyśli. Xzasern dziewczyna szanuje się, porządna, subtelna i nic, a innej się trafi, chociaż nie pierwszej młodości, z dziećmi nieślubnymi.

Ale serce ma dobre, nie można powiedzieć, chociaż, tak między nami, za czysto to u nich w domu nie jest, grzyba znalazłam w brodziku, wyobraź sobie. Nie żebym plotkowała, znasz mnie, córca, westchnęła Jadzia i otarła łzy. Za to tu w szpitalu masz, że z podłogi można jeść, taka higiena. U nas to nie wiem, czyby cię wyleczyli, ope-rować nie chcieli, jakiejś aparatury nie mieli czy czegoś.

A tu od razu. Wiadomo, że nie ma, jak prywatnie, a do tego w Enerefie, na pierwszy rzut oka widać, że żadnych bakterii tu nie uświadczysz. Mówię Grażynce, w ratach im się odda, niech przetłumaczy temu swojemu Hansowi, a ten się tylko śmieje, nein i nein, nic oddawać nie trzeba. Nawet powiedzieć nie chcą, ile ich wyniosło twoje leczenie. Nein i nein, kein Geld, bo Geld to po ichniemu pieniądze; parę słów się, córca, nauczyłam przez ten czas, co spałaś, ale powiem ci, że nie jest to ludzka mowa. Wiem, jak są pieniądze, chleb, ja, nein, i nazy-wam się: Ich heilße Jadzia Chmura, i jeszcze Mutter, matka, i meine Tochter, moja córka. No i nic nie chce ten Hans, kein Geld, nein, nein. Chociaż im na koniec jakąś bombonierę porządną trzeba sprezentować, a z Polski 106

wyśle się coś z Cepelii; pójdziemy do Cepelii na Piaskowej Górze i razem wybierzemy.

Dominika patrzy na matkę, na jej niespokojne ręce, usta, z których w miarę mówienia znika perłowa pomadka, oczy żyłkowane jak agrest, które unikają jej wzroku, lecz krążą w pobliżu, czujne. Wszystko, co mówi Jadzia, wydaje się Dominice puste, słucha matki i rozumie sło-wa, ale nie niosą one żadnych emocji, są jak wydmuszki; gdyby unieść je do światła, prześwietliłoby je na wskroś.

Pamięta niemal wszystko oprócz samego wypadku, a z opowieści Jadzi wyławia informacje, które wypełniają luki. Wie już, że oprócz proboszcza Postronka była przy niej Małgosia Lipka, chociaż Jadzia, jak umie, tak pomniejsza jej udział, i to Dominika też widzi. Dobra dziewczyna, ale powiem ci, że jednak nie powinna tak zupełnie jak chłopak się nosić; ta kwestia dręczy Jadzię od lat. Przecież człowiek się może normalnie pomylić.

Może też, na ten przykład, jakiegoś chłopaka wprowa-dzić w błąd albo dziewczynę, co ją weźmie za chłopaka.

Może jej coś szepniesz, córca, jak przyjaciółce, kiedy wrócimy do Polski, jakoś delikatnie, że to dla jej dobra.

Co jej szkodzi sukienkę założyć? Ale może ona na tych studiach w Warszawie się zmieni? Może tam na taki wy-gład nie będą jej pozwalają? Nie powinni, w końcu ma zostać lekarzem. Dominika myśli, Małgosia moja przyjaciółka; dzieli imię Mał-go-sia na sylaby, ale oprócz obrazów twarzy, miejsc i zdarzeń nie pojawia się nic, my-

śli, Adaś, A-daś; ale w miejscu dawnej miłości, bo Jadzia mówi, że Dominika zakochała się głupio i stąd to wszystko, więc była jakaś miłość - jest teraz pustka. Czekala na niego, ale nie przyszedł, matka mówi jej teraz, że znikł

z Piaskowej Góry, podobno wyjechał do Rzymu, do Watykanu. Rzym, myśli Dominika, i ta nazwa jest równie pusta jak miłość, Adaś, Małgosia, matka; pamięta, że kiedyś rozmawiały o Rzymie z Małgosią, która mówiła, że światło nawet zimą jest tam złote, rzeki złotego światła płyną spokojnie przez ulice, a rano handlarze sprzedają owoce i warzywa na Campo dei Fiori. Na Campo dei Fiori kosze oliwek i cytryn! Takiego światła nigdy nie zobaczy się w Wałbrzychu, tak mówiła Małgosia. Mał-go-sia, Campo dei Fiori, myśli Dominika. I dobrze, że do Rzymu pojechał, ciągnie Jadzia, krzyżyk na drogę, bardzo dobrze, chociaż planowała powiedzieć mu do słuchu, bo żeby tak dziewczynie w głowie zawrócić, a potem nogi za pas, to świnia, nie ksiądz. Świnia, cedzijadziajadowi-cie, nie ksiądz, gdyby Stefan żył, już on by się z Adasiem policzył, bo kawał chłopa z taty był. Pamiętasz, córcia?

Nic, tylko na barana by cię brał i dalej hopsasa, aż mi serce do gardła podchodziło, że cię upuści. Te dwie, tak jadzia mówi o Jagience i Edycie, same sobie winne, Lepka widziała, jak się na tarasie uchlały, uchlane do samochodu wsiadły. Ona zawsze złe miała zdanie o tej Jagience Pasiak, ona, Jadzia Chmura, nie da się łatwo wyprowadzić w pole, nabrać na miłą buzię, eleganckie sukienki, dzień dobry, do widzenia. Jest sprawiedliwość na świecie, chociaż dla rodziców to jednak straszne nieszczę-

ście. Obie zginęły, Jagienka i Edyta, zbierać co nie było.

Jagienka i Edyta, powtarza Dominika, ale ich nieszczę-

ście jest jak nekrolog kogoś obcego na bramie mijane-go przypadkiem domu, ich wina ani wybaczona, ani nie.

Sama nie czuje nic, jakby część jej nadal spała, ale czyta w Jadzi jak w otwartej księdze i widzi, że matka ukry-108

wa coś ważniejszego. Każdą chwilę ciszy, w której może paść pytanie, zasypuje słowami o pogodzie, westchnie-niami na temat cen, żyłaków, ciast, które Dominice upie-cze, gdy wrócą na Piaskową Córę. Ma nowe przepisy od Grażynki, ale na początek zrobią coś swojskiego, na ten przykład murzynka albo może drożdżowca z kruszon-ką. A pleśniaka, takiego domowego, byś nie zjadła? pyta córkę matka Chmura. Izaury jakoś się już nie piecze, ale jak Dominika chce, to znajdzie stary przepis, gdzieś go ma, wystarczy po szufladach poszperać. Co byś, córcia, wołała? Murzynek czy pleśniak? Izaura? Gdy tylko otwiera się niejasna możliwość, że rozmowa może zmierzać w kierunku Zalesia, Jadzia rzuca się jak Rejtan na ścieżkę i woła, nie tędy, zamknięte, po moim trupie.

Na szczęście dla niej lekarze nie dają im dużo czasu, bo te pierwsze dni po przebudzeniu poświęcone są prześwietlaniu i opukiwaniu Dominiki, świeceni. Jej w oczy i zagłębieniu do wnętrza głowy; zostaje wsunięta w wielką metalową tubę i jej mózg pokrojony światłem na plastry, ciśnienie zmierzone, krew i mocz rozłożone na czynniki pierwsze. Przy wszystkich badaniach towarzyszy jej pielęgniarka Sara, która powtarza polecenia lekarzy po angielsku; Dominika uczyła się tego języka w liceum, chociaż Jadzia była za niemieckim, po co ci ten angielski, córcia, gdzie tam masz do jakichś Anglii jeździć, a brzmi, jakbyś miała kluski w gębie, blebleble: Eneref jest bliżej i niemiecki zawsze się człowiekowi w Polsce przyda, mówiła, i proszę, miała rację, wylądowały w Enerefie. Matka ma zawsze rację! Nie wie Jadzia: że Dominika ku własnemu zdumieniu rozumne więcej z tego, co mówi

podczas których musiała wkuwać czytanki i zasady gramatyczne, tak dalekie od żywej mowy jak przepis od gotowego ciasta. Sara uśmiecha się do niej i grymas, który otrzymuje w odpowiedzi, wygląda tak, jakby Dominika знаła tylko teorię uśmiechu - unieść do góry kąciki ust, lekko obnażyć zęby, gotowe. Sara tłumaczy, a Dominika zgina nogi i ręce, dotyka palcem czubka nosa i kopie, jak trzeba, gdy gumowy młoteczek uderzają w kolano. Wie, że lekarze nie widzą tego, co najważniejsze, nawet jeśli niepokoi ich jej obojętność i zamknięcie w sobie.

Dominika próbuje w myśli potęgować i wyciągać pierwiastki, ale nie udaje jej się wyjść poza tabliczkę mno-

żenia, przepadło całe piękno. Kiedyś liczby trzycyfrowe zderzały się w jej umyśle i eksplodowały jak małe tęcze, a wynik mnożenia 325 przez powiedzmy 768 pojawiał

się w ułamku sekundy i nie było żadnych wątpliwości, że jest poprawny, proszę bardzo, możecie sobie sprawdzić na kalkulatorze, ale przecież to widać na pierwszy rzut oka, że 249600. Dominika potrafiła wyrecytować liczbę pi do 12678 miejsca po przecinku; teraz potyka się na piętnastym, a wszystkie cyfry są dla niej tylko tym, czym są dla zwykłych ludzi, codziennymi narzędziami, dzie-

ki którym możemy poprosić o dwa jabłka, trzydzieści deka czekoladowych cukierków i policzyć muchy na suficie. Przed wypadkiem każda liczba miała własny kolor i kształt, mogła być lśniąca i twarda jak landrynka, chropowata jak kora drzewa, pulsować seledynowo jak te, których suma cyfr wynosiła 7, albo odznaczać się kryształową przejrzystością, jak liczby pierwsze. Liczby były pejzażami, które otwierały się przed oczami Dominiki jak chińskie szkatułki, potrafiła dzięki temu wyobrazić 110

sobie, jak wyglądał dzień jej narodzin, 24 dzień 12 miesiąca 1972 roku był dla niej szarosrebrny, nakrapiany fioletem i jaskrawą żółcią, jak ścięta przymrokiem łąka, na której zakwitły pierwsze krokusy. Teraz nie było tam nic, jakby ktoś zatarł jej początek gąbką do tablicy; Dominika nie ma pojęcia, kim będzie bez matematyki.

Dla lekarzy Dominika jest ciekawym przypadkiem, analizują wyniki jej badań i wpatrują się w zdjęcia mózgu, szczególnie interesują ich płyty czołowe, gdzie zderzają się ich palce wskazujące i metalowe wskaźniki.

Widzą tam coś, co pragnęliby zmierzyć, zważyć i wytłumaczyć, ale tego nikt nie potrafi, używają więc wielu liczonych słów, a tak naprawdę mówią: zobaczymy, to się okaże, albo tak, albo siak. Nauka zna różne przypadki, a bywa, że wbrew nauce zdarza się nawet cud, za cudarni oni jako lekarze nie przepadają, choć w sytuacjach tak skomplikowanych nie można wykluczyć takiej moż-

liwości. Dominika zaczyna powoli rozumieć sens utraty, ale jeszcze nie wierzy do końca, że można ją przeżyć i nadal oddychać, widzieć niebo w białym prostokącie okna, ostatnie topolowe liście, ptaki, matkę w liliowym moherowym sweterku, czarną pielęgniarkę o niesamowicie wybujałych pośladvach. Nie umie już liczyć i nie czuje radości wyzwania, którą czuła kiedyś, gdy marzy-

ła, że odkryje kolejną liczbę pierwszą; w miejscu tamtej Dominiki jest ktoś inny, nieznany. Jej pamięć wypeł-

nają imiona i nazwy rzeczy, ale związki między nimi wydają się przypadkowe, płynne i pozbawione znaczenia. Trzeba to wszystko pozahaczać, przychodzi Dominice do głowy dziwna myśl, zebrać to wszystko i pozahaczać.

111

Drugiego dnia po przebudzeniu Dominika pyta wprost o babcię Zofię z Zalesia i Jadzia wybucha płaczem tak gwałtownym, że obserwująca je Sara zrywa się gotowa do pomocy, obejmuje plecy Jadzi ramieniem, a ta szlocha jeszcze głośniejsze, bo dotyk czarnej pielęgniarki uświadamia jej, jak dawno nikt jej nie przytulał. Nieśmiałe marzenie Jadzi, by wszystko zacząć od nowa z dzieckiem pozbawionym pamięci, rozpada się w nicość, Dominika pamięta wszystko, to dziecko zawsze fiksum-dyr dum.

Pamięta, że miała poznać w Zalesiu u babci Zofii swojego dziadka, Ignacego Goldbauma z Ameryki, chciała po drodze ze stacji nazbierać malin w lesie i przynieść im na śniadanie. Mówi, maliny, te, które rosną obok krzyża, mówi, Pasadena, tak nazywa się miasto Ignacego, i pyta, co z nimi? Mamo? Gdy Dominika dowiaduje się o pożarze zaleskiego domu, pojawia się coś, co mogłoby wypełnić pustkę, gdyby podrosło, nabrało sił i koloru, ale puka, zanim przybierze kształt. Dominika znów nie czuje nic, chociaż dom, który spłonął, zapamiętała w najdrobniejszych szczegółach, tak jak pamięta twarz babki Zofii, wątrobowe plamki, mokre oczy, uśmiech, rozpadające się w palcach wianki dla Matki Boskiej Zielnej wetknię-

te za święte obrazy, królicze skórki w szufladach, mysie gniazda, łyżeczkę postukującą o szklaną musztardówkę w domu pani Gorgólowej, sąsiadki, która zapraszała je na herbatę i tęczowiec, piękne wiejskie ciasto. Janek Kos, płacze Jadzia, od dziecka go znałam, grzyby nam przynosił, zalewajki pojadł pod orzechem, proszę, mó-

wił, dziękuję, kto by pomyślał, że podpalacz, że wariat, a Dominika przypomina sobie prawie czarne georginie i martwą jak kamień twarz sąsiada, którą obserwowa-

ła ukryta pośród 'kwiatów. Nie czuje jednak ani tamtej niechęci i lęku, ani nienawiści, zaczyna rozumieć, że nie czuje też żalu, bo ma w środku swoje własne pogorzelisko, Patrzy na głowę matki, która zsunęła się z krzesła i klęczy oparta o jej łóżko, Widać ciemniejsze korzonki żółtych włosów, skóra między nimi jest szaroróżowa, żyłkowana jak mysi osesek, Zasznięte krople lakieru posklejały się na kosmykach zbyt mocno podkreślonych nad czołem, pachnie czymś czystym, strachliwym i smutnym, spod spodu przebija ledwo uchwytny, ale jednak -

zapach spalonego mięsa, Gdyby ten Żyd nie przyjeżdżał, szlocha Jadzia, gdyby nie wyskoczył jak diabeł z pudeł-

ka, nic by się nie stało, Widział to kto, żeby tak nagle przyjeżdżać z Ameryki i wszystko wywracać do góry nogami! Zostałoby po staremu, nowe wcale nie musi być lepsze od starego, po co jej, Jadzi Chmurze, nowy ojciec na stare lata; dziękuję bardzo, Jednego miała, bohatera wojennego, zginął

kwiatami jabłoni obsypany, gołą ręką esesmana przedtem zadusił i dwa owczarki niemieckie.

A ten przyjechał nagle z Ameryki i wariatwo takie obudził w Janku Kosie, że spalił dom Zofii. Nie żyją? Upewnia się Dominika, chociaż właściwie zna odpowiedź. Matka podnosi na nią oczy i płacze jeszcze żałośniej.

Osierocone dzieci Ignacego z Ameryki chciały po-móc Jadzi, gdy dowiedziały się o wypadku Dominiki, ale nikt nikogo dobrze nie zrozumiał. Jadzia potrzebowała winnego i chwilę wahała się między księdzem Adasiem i Jankiem Kosem, ale traf chciał, że obaj byli poza jej zasięgiem; Adaś w Rzymie, z którego nie wrócił już na Piaskową Górę, Janek Kos, jak miała nadzieję, w piekle, bo powiesił się w celi zaraz po aresztowaniu, i niech się 113

smaży na wieki wieków amen. Ignacy! Gdyby Ignacy nie przyjeżdżał, wariat nie spaliłby babki Zofii, bo bez powodu się nikogo nie pali, Polacy to nie żadni hitlerowcy, nawet wariat musi mieć powód, takie jest zdanie Jadzi Chmury. Córka kładzie dłoń na głowie matki, ale to nie wyraz współczucia, tylko mechaniczny gest, który pasuje do sytuacji. Jadzia jest przygotowana na rozpacz córki, ale nie na jej brak, więc płacze za dwie, bo właściwie dopiero teraz, gdy Dominika się obudziła, może opłakać to, co zdarzyło się wcześniej. Gdy matka wychodzi, Dominika podnosi do ust dłoń, najpierw przygląda się jej, długie palce o bladych paznokciach, ślady po igle na nad-garstkach, a potem wbija zęby w miękką część między kciukiem a placem wskazującym. Trwa chwilę, zanim po-czuje ból, i dopiero wtedy zaczyna płakać, ale wygląda to tak, jakby płakały tylko jej oczy, jakby zapamiętały, co to łzy i kiedy powinny płynąć.

Pierwszą rzeczą, jakiej chce Dominika, jest ruch, to chcenie nie ma nazwy i jest zbyt słabe, by było pragnieniem życia, kiedy pojawia się wraz z bólem w jej nieru-chornym od kilku tygodni ciele. Najpierw jest ugniatana, rozciągana i stawiana do pionu, a gdy okazuje się, że postawiona nie przewraca się, uczy się na nowo pierwszych kroków przy pomocy Sary. Jej ciało jest drżące i miękkie, jakby na ptasich kościach poowijano watę, a nie mięśnie, jednak gdy raz już wstała, nie chce wracać do pozycji horyzontalnej, zaciska zęby, aż jej czerwie-nieje blizna na policzku, czarna pielęgniarka podtrzymu-je ją z wprawą. Dominika najpierw sunie przez korytarze białe jak Antarktyda pod ramię z Sarą, potem oparta na balkoniku - wysoka, chuda postać w szpitalnej koszuli, 114

z głową jak czarna georginia. Podczas wizyt dołącza do niej matka. Już coraz dłuższe masz te włoski, cieszy się Jadzia, tak ładnie ci w dłuższych, dziewczęco, jak Troja-nowska. Wszystko, czego dziś chcę, pamiętaj o tym, polecieć chcę, z ramion twych wprost do nieba, nuci Jadzia Chmura, której ta jedna piosenka Trojanowskiej wpadła w ucho. Tam i z powrotem, i jeszcze raz. Odsapnij, córcia, radzi, gdy po kolejnym tygodniu nie nadąza już za córką zaciętą w uporze, co matkę i cieszy, i złości, bo trudno opowiadać o planach na przyszłość, gdy się człowiek tak zasapie i spoci, że ledwo zipie. Gdy któregoś dnia Dominika przesadza i mdleje, w porę łapie ją Sara; nie szalej, spokojnie, take it easy, mówi, i odtąd nie pozwala jej chodzić dłużej niż przez dwie godziny. Wkrót-ce Dominika idzie już sama przez biel korytarzy i dodając kroki, na próżno szuka w tym mizernym liczeniu dawnej melodii, sens utraty rozlewa się w niej szarą falą.

Gdy po dwóch tygodniach przewożą Dominikę do centrum rehabilitacji, potrafi sama przejść spory dystans i wszyscy są zachwyceni jej postępami w powrocie do zdrowia fizycznego; silna

dziewczyna, brawo, poklepują ją po łopatkach wystających jak załączki skrzydeł. Dominika chodzi, lekko powłócząc prawą nogą, która była złamana w dwóch miejscach, ale za to pływa w towarzystwie innych paralityków, jak nazywa ich Jadzia, tak jakby nigdy nie miała żadnego wypadku. Jadzia patrzy na cór-kę przez szybę oddzielającą ją od basenu i jest nieco zaniepokojona faktem, iż w tej samej wodzie zanurzają bardzo otyłego mężczyznę bez nóg. Czy aby wziął przedtem prysznic i nie nawnosi bakterii, które mogłyby zaatakować jej dziecko? Czy tak bez nóg da się aby same-115

mu porządnie wymyć, co trzeba? Te małe wątpliwości pozwalają Jadzi ukryć większy niepokój. Zdrowie psychiczne Dominiki Chmury to dla lekarzy niewiadoma; jedni mówią o zahamowaniu reakcji emocjonalnych pod wpływem mechanicznego urazu, inni żywią nadzieję, że przyczyną wycofania Dominiki jest bariera językowa, jedni i drudzy liczą na zbawienne działanie czasu. Czas leczy rany, fuka niezadowolona Jadzia, to w Enerefie trzeba się na lekarza wyuczyć, żeby takie gównu wymy-

ślić? Znajdują polskiego psychologa, który zgadza się porozmawiać z Dominiką, choć Jadzia umiera z niepokoju, gdy to słyszy. No tego jeszcze brakowało! Przecież moja córka nie jest jakąś wariatką, żeby wzywać psychiatryka! Wariatem to był Janek Kos, podpalacz, a ona nikogo nie podpaliła, ona nic nie jest winna. Wróci do Wał-

brzycha, może z księdzem porozmawia, a nie będzie obcemu się zwierzać, co obcy może wiedzieć. Taki proboszcz Postronek to jest tęga głowa, tak zawsze ładnie w kościele mówi, mądrze, on jej coś poradzi na pewno na ten smutek. jednak protesty Jadzi zostają zignorowane, na co zapewne ma wpływ również fakt, iż wyraża je po polsku, a gdy rozmówca w sposób oczywisty jej nie rozumie i nie ma w pobliżu Grażynki, Jadzia Chmura mówi po prostu głośno i wyraźnie. Moja córka nie jest wariatką, tyle to chyba każdy normalny człowiek może zrozumieć, Niemiec nie Niemiec. Psycholog jest mężczyzną w średnim wieku, niewielkim, okrągłym i różowym, nosi białą brodę, którą pielęgnuje starannie, bo wie, że bez niej nie wyglądałby na psychologa, jego wschodnio-europejska twarz nie budziłaby zaufania, a ciężko sobie na nie musiał zapracować. Gdy zaraz po studiach przy-116

szedł na rozmowę kwalifikacyjną, recepcjonistka, zmył-na jego akcentem i poliestrowym sweterkiem w serek, myślała w pierwszej chwili, że chodzi mu o pracę hydrauliczka, którego w klinice akurat też brakowało. Od tej pory pracował nad wyglądem i językiem, teraz nawet Niemcy biorą go za Niemca, a w najgorszym razie za Austriaka. Czyta dużo amerykańskich książek i swobodnie łączy elementy naj nowszych metod terapeutycznych z klasyczną psychoanalizą; wydaje mu się, że przy odpowiednim oświetleniu nawet trochę przypomina Freuda.

Gdyby jeszcze jego twarz była odrobinę bardziej pocią-

gła, ale trudno, człowiek musi sobie radzić z tym, co ma.

Mówi pacjentom, z których większość to kobiety, o konieczności pozostawania w kontakcie ze swoimi emocjami, jakby emocje były krewnymi o dziwnych przyzwyczajeniach i niezdrowych nawykach, których trzeba odwiedzać, mimo iż są irytujący i śmierdzą im nogi. Pan psycholog umie słuchać, ma kilka wypróbowanych sposobów podpierania brody i daje mówiącym kojące poczucie, że zajmie się ich psychiką z taką samą wprawą, z jaką dentysta zajmuje się ich zębami, prawnik

finansami, chirurg plastyczny twarzą i piersiami, a masażysta nieużywanymi mięśniami. Jego asystentka parzy ziołowe herbaty, niekiedy zapala kadzidła, on w tym czasie zaleca pacjentkom odnalezienie i uwolnienie swojego we-wnętrznego dziecka, jakby każda nosiła w sobie skamieniały płód powodujący od czasu do czasu bolesne skurcze duszy, a dzieciństwo, co za pomysł, było krainą szczę-

cia. To potrwa długo, ale poradzimy sobie, zachęca psycholog i przez kolejne lata pozwala pacjentkom o ner-wowych twarzach i pokręconych życiorysach, by myliły 117

go z najlepszym przyjacielem i powiernikiem, który ma wytrych do ich duszy. Gnają do niego po każdej kłótni z mężem czy sprzeczce w pracy i czują się coraz bardziej bezradne i uzależnione. Pyta je za każdym razem, i co wtedy czułaś? a gdy już zupełnie nie mogą żyć bez jego pytań, pracuje z nimi nad problemem przeniesienia. Pan psycholog ma pełne ręce roboty! Terapeutę interesują rodzice Dominiki i każe jej ułożyć konstelację rodzinną z miękkich poduszek w kolorze wątroby, a ona myśli o konstelacjach gwiazdnych i układu Wielki Wóz. Pyta ją, co teraz czujesz? a Dominika wylicza nazwy emocji: smutek, radość, podniecenie, rozzalenie, zakłopotanie, zagubienie, zacierzenie, euforię, ekstazę, tęsknotę, melancholię, poczucie odrzucenia oraz poczucie akcep-tacji. Dorzuca swędzenie, bo rzeczywiście swędzi ją biodro, tam gdzie niedawno zrosła się operacyjna blizna, i jest to uczucie najbardziej dojmujące. Na trzecim spotkaniu przestaje odpowiadać na pytania, bo żadne nie zbliża jej do odpowiedzi, których sama szuka. Obserwuje język terapeuty, sinoróżowy, obsceniczny pojawia się w szczelinie wypielęgnowanej brody zawsze, gdy wymawia samogłoski e i ę: e-mocje i języczek, b-ę-dzi-e-my pracować nad e-mocjami, języczek. Jakoś nie mogą się dalej z panem psychologiem posunąć, co Dominice jest obojętne, a jego denerwuje; taki przypadek mógłby opisać i może udałoby mu się to opublikować w prestiżowym amerykańskim periodyku, w którym odrzucono mu poprzedni tekst. Terapeuta mówi Dominice, że terapia potrwa długo, ale sobie poradzą. Poradzą sobie! Dominika ma problem, a jego źródła leżą głęboko w nieświadomości. Powinna najpierw odkryć i uwolnić swoje we-118

wnętrne dziecko, to im zajmie nie więcej niż dwa, góra trzy lata, raz w tygodniu godzinka, pięćdziesiąt marek.

Dominika mówi Grażynce, że nie chce już rozmawiać z psychologiem, i posyłają go do diabła ku uldze Jadzi, która jednak odczuwają z innego powodu niż córka. Jak dobrze, że się pozbyliśmy tego psychiatryka, cieszy się.

Po co ma ci kto obcy, psychiatryk fiu-bździu, w głowie grzebać, mącić. Musisz odpocząć i pojeść, oto, czego ci trzeba, już ja cię podtuczę, Tadku Niejadku. Ciało Dominiki wymaga jeszcze specjalnej uwagi, urozmaiconej diety, masażu i ostrożności, bo ma w sobie parę metalowych płytek i śrub, którymi poskładano do kupy roztrzaskane biodro i kość udową. Konsylium orzeka, że pacjentka Chmura może już wrócić do domu, gdzie będzie ćwicz-

ła pod okiem Sary, doświadczonej rehabilitantki, za któ-

ra płaci Grażynka. Grażynka obejmuje ramieniem znie-szanajadnię i mówi, nic się nie martw o finanse, będziesz ~

kiedyś miała, to się komuś innemu odwdzięczysz.

Teraz, gdy Dominika jest już prawie zdrowa, Jadzia siedzi w wielkim domu Grażynki jak na szpilkach. Niby taki cudowny ten Eneref, ale jakoś człowiekowi nieswojo, monologuje w bezsenne noce. Na Piaskowej Górze moż-

na chociaż na bazarek Manhattan się przelecieć, a w tym Mehrholtz żadnych sklepów, żadnego życia, wszyscy po chałupach swoich siedzą. Jak już pojedą z Grażynką na zakupy, to tyle tego, takie obce wszystko, że można się zupełnie pogubić; zamiast normalnego pedetu całe miasto pod dachem, sklep koło sklepu, wjeżdżasz schodami ruchomymi wyżej, znów sklepy, Matko Boska, głowa pęka. Albo te ich spożywcza, w ogóle się Jadzi nie po-dobają. Człowiek chce sera kupić na ten przykład, naj-119

lepiej, żeby gouda, ostatecznie morski, a tu w gablocie serów ze sto, a wielkie jak młyńskie koła, na plasterki niekrojone, a sama w domu tak cienko nie ukroisz, żeby na chleb położyć. Zresztą tak po prawdzie, mówi Jadzia Dominice, to ten ich niemiecki chleb, ten ich Brot, do niczego się nie nadaje i nazywa się jakoś nie bardzo; Brot do chleba wcale, zdaniem Jadzi, nie pasuje. To ma być chleb? Polski chleb jaki ma zapach, a tu sama chemia, trociny bez smaku. I wyobraź sobie, że białego sera Niemcaszki w ogóle nie znają; to jak pierogi ruskie zrobić czy leniwe? Albo wędliny. Ta ich szynka, sucha, ciemna, a tak cienko kroją, że Paryż widać przez plaster. Nie to co nasza, różowa, z tłuszczkiem mięciutkim, z socz-Idem; dziwi się Jadzia, po co tak cienko szynkę kroić, jak nie trzeba oszczędzać? Ser ma być cienko, szynka grubo!

W związku z szynką niepokoi się jeszcze z jednego powodu; jej córka od przebudzenia nie chce wziąć do ust ani kawałka mięsa. Ani szyneczki, ani gotowanego kur-czaczka, nie mówiąc już o paróweczkach, które w wersji niemieckiej też mniej odpowiadają Jadzi niż polskie, ale to zawsze mięso, samo zdrowie i siła. Powąchaj, jakie pyszne, podsuwa jej pod nos kęsy, powąchaj, a nabierzysz apetyczku, ale dziecko odwraca się tak samo jak przed osiemnastu laty odwracało się od jej piersi, co gorsze, zaczyna wymiotować. Nie będziesz miała siły, la-mentuje Jadzia, przecież siła bierze się z mięsa, ale Dominika jest stanowcza. Jej ciało po prostu zamknęło się na .

wszystko, co kiedyś było zwierzęciem, i widzi w mięsie to, czym ono jest - martwe ciało, mięśnie, tłuszcz i krew innej istoty, która też miała oczy, język, serce. Przypalo-ne ludzkie mięso, najstraszniejszy z zapachów, którego 120

przecież nie знаła przed wypadkiem, ale teraz wie, że pamięć o nim żyła gdzieś w niej, straszna jak płonące jezioro topielicy-pajęczycy, w którym niemal utonęła.

Gdy nikt nie widzi, wacha swoje dłonie, kolana, zagłę-

bienia ramion i najchętniej nie wychodziłaby z basenu lub wanny pełnej aromatycznej piany. Grażynka kupuje Dominice na próbę tofu, a Jadzia dziabie palcem białą masę i pyta, takie wapno będziesz jadła? Będzie, miesza wapno z jakimś ciemnym sosem, który Jadzi przypomina z zapachu maggi, posypuje szczypiorkiem i nie kłóci się z matką jak kiedyś, chociaż ta próbuje ją sprowokować w nieświadomym przekonaniu, że dopiero porządna awantura z trzaskaniem drzwiami pozwoli jej naprawdę odzyskać swoje dziecko. Jest zazdrosna o rozmowy Dominiki z Grażynką, które zwykle koncentrują się wokół

babci Haliny; czuje się z nich wykluczona i dziwi się, że można tyle gadać o jej teściowej. Paczki! Rozmawiają o paczkach, które Grażynka wysyłała z Enerefu Halinie, śmieją się, i Jadzia zdaje sobie sprawę, że teściowa mia-

ła swoje sekrety, życie jakieś własne poza niedzielnymi obiadkami, i że z nich dwóch to Jadzia była po śmierci Stefana bardziej samotna.

Jadzia zza firanki obserwuje, jak Dominika ćwiczy z Sarą w ogrodzie, oparta o pień, naprężone plecy i nogi, wygląda, jakby chciała przesunąć drzewo. Czy to na pewno jest zdrowe? A to co znowu? Dominika i Sara stają na jednej nodze jak bociany i wykonują dziwne, powolne ruchy, jakby skradały się, odpychały niewidzialnego przeciwnika, obejmowały ramionami kulę z powietrza. Czy o aby nie jaka sekta? Ta czarna to pewnie kocia wiara czy inne fiu-bździu, dziecku w głowie namąci, martwi 121

się Jadzia, gdy Dominika i Sara siedzą na bujanej ławce i kołyszają się wśród opadłych liści. Chciałaby wiedzieć, o czym rozmawiają, a właściwie, o czym mówi Sara, bo Jadzia widzi ze swojego punktu obserwacyjnego za firanką, że Dominika głównie słucha. Objęła ramionami chude kolana i od czasu do czasu zwraca twarz w kierunku swojej towarzyszki. Jakie to oczyska żółte ma ta czarna, jak kot, jak wiedźma. Dupa jak szafa trzydrzwiowa, żadnej subtelności, i żeby w džinsach z taką figurą, to naprawdę, kręci głowę Jadzia. Chciałaby chronić swoje dziecko cudem wyrwane śmierci, ale ono znów jej się wymyka w jakimś dziwnym kierunku. Dlaczego to dziecko, nawet uszkodzone i osłabione, jest takie trudne do urobienia? Matka czuje, jakby wokół Dominiki było pole minowe, po którym niełatwo dotrzeć do celu bez utraty ręki lub nogi, jeden nieostrożny krok i nieszczęście gotowe. Gdy wieczorem piją herbatę, Jadzia pyta, co to czarne fiksum-dyrdum tak opowiada całymi godzinami? ale zaraz poprawia się, że wprawdzie fiksum-dyrdum, ale trzeba przyznać, bardzo pracowite i czyste, bo córka patrzy w taki sposób, że aż zimno jej się robi. Jednak nie następuje wybuch, który przed wypadkiem byłby pewny, żadnych krzyków i wyrzutów, żadnego a bo ty nic nie rozumiesz; Dominika tylko wzdycha i zdziwiłaby się, gdyby wiedziała, jak podobne jest jej westchnienie do matczynego. Sara opowiada mi różne historie, mówi Dominika, o swoim życiu, skąd tu się wzięła i w ogóle.

I skąd się wzięła? Z Ameryki, z Nowego Jorku, z dzielnicy Brooklyn, mieszka tam jej babcia La-Teesha. Znów ta Ameryka, Jadzia ma wrażenie, że wszystko, co robi córka, każda osoba, którą spotyka jakby jej na złość nazna-122

czona jest obcością, która obcość córki potęguje. Czy naprawdę nie mogłaby raz, ten jedyny raz, zrobić matce przyjemności i zaprzyjaźnić się z kimś normalnym? Najpierw ni to Grek, ni to Cygan, potem ta Małgosia schłopiała i ksiądz na dokładkę, teraz Murzynka, Nowy Jork, drapacze chmur po sto pięter, że w głowie się kręci od samego myślenia. Jadzia pragnie, by Dominika zaprzyjaź-

niła się z jakąś miłą dziewczyną z Piaskowej Góry. Albo lepiej z chłopakiem o poważnych zamiarach i szerokich perspektywach, studentem prawa albo medycyny.

Jadzia Chmura coraz bardziej chce wracać do domu, na Piaskową Górę. Na tę okazję matka Dominiki ma kilka przysłów i mądrości, niekiedy sprzecznych, którymi okraszone są jej westchnienia pełne tęsknoty. Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma, nie ma jak w domu, mówi i wołałaby być .na

Piaskowej Górze, skąd Eneref wydawał się o wiele piękniejszy niż z bliska, chleb pachniał

chlebem, a ona królowała w kuchni, łazience i dwóch pokojach niepodzielnie. Na pewno kwiaty jej zdechły, kurz pokrył bibeloty i kryształ, Matko Boska! Czy Krysia Śledź, której zostawiła klucze, aby nie myszkuje jej lam po szafkach, czy dba o paproć jak trzeba? Żeby nie przesuszyła, nie przelała! Niby porządna kobieta, ale bo to wiadomo? Złoto na czarną godzinę Jadzia ukryła pod zlewem, taśmą przylepiła za kolankiem, ale co, jak rura pęknie, mieszkanie zaleje i się wyda? Wróć przed Wszystkimi Świętymi, unikną ruchu na drogach i zdążą świeczkę na wałbrzyskim cmentarzu zapalić za zmarłych, których im przybyło; zapada decyzja i wkrótce matka Chmura i córka Chmura pakują walizki, do których nie mieszczą się liczne prezenty od Grażynki i Hansa. Jadzia 123

ogląda te wszystkie dobra, wycenia i pieczołowicie zawija w worki foliowe, Dominice i roboty wieloczynnoś-

ciowe, i moherowe sweterki są zupełnie obojętne. Na kilka dni przed wyjazdem Grażynka daje jej jeszcze jeden prezent, aparat fotograficzny, który Hans przywiózł

z Monachium. Dominika waży go w dłoni i po namyśle przykładła do oka; mierzy w kierunku pijącej kawę matki, wędruje okiem po jej twarzy, skupia uwagę na uszku filiżanki i odgiętym małym palcu, naciska guzik. Aparat fotograficzny staje się jedną z niewielu rzeczy po wy-

padku, jakie wzbudzają w niej coś na kształt ekscytacji; pstryka zdjęcie za zdjęciem, palce swoich stóp, ucho Jadzi, twarz Grażynki odbita w okularach Hansa, miękką linię biodra Sary, fragmenty zwierząt łączących po domu, strukturę kory. Na żadnym ujęciu nie ma całej ludzkiej postaci, są dłonie, palec w uszku filiżanki w różę, usta i pomadka, świńskie oko, oko kocie, psie i wróble. Tylko Grażynka pozuje Dominice z przyjemnością, bo od czasu, gdy przed laty Ludek Borowic zrobił jej w Kamieńsku pierwszy portret, uwielbia sztukę zdejmowania wizerunków. W przeciwieństwie do Jadzi, która miota się po pokoju, większym niż jej całe wałbrzyskie M3, narzeka na ścisk i z nerwów co rusz łyka raphacholin. Nic nie może znaleźć, wszystko leci jej z rąk; przestań już tak pstrykać, strofuje córkę, jak ja wyjdę taka niezrobiona, upocona?

Z kieszeni letniej garsonki, w której Jadzia przez lipiec i sierpień czuwała nad łóżkiem śpiącej córki, wy-

pada zawiniątko powiązane gumką recepturką, Dominika pstryka jedno zdziwione oko matki i jeden kącik jej zdziwionych ust. Jak mogła zapomnieć! Gdzie ona ma 124

głowę? Jadzia wyjmuje z chusteczki pierścionek, zło-

śc jest ciemne i nie lśni tak jak kupowane od Ruskich, mimo iż czyściła je pastą do zębów i polerowała flanelą, kamień, skrzący jak ogień, raz szmaragdowo, raz rubi-nowo, wydaje się Jadzi tak piękny, że pewnie nieprawdziwy; Dominika pstryka pierścionek na dłoni matki.

Prawdziwy? nawet jak szkiełko, myśli Jadzia, ogląda-jąc klejnot pod światło, to sama oprawa pewnie sporo warta i można w razie czego dać do przetopienia albo spieniężyć. Dominika ścisnęła ten pierścionek w dłoni, gdy Małgosia i proboszcz Postronek znaleźli ją na brzegu jeziora

pajęczycy-topielicy. Że też w karetce jej nie świsnęli, to cud, dziwiła się Jadzia, gdy w szpitalu oddali jej pierścionek, którego nigdy przedtem nie widziała.

Nawet chciała powiedzieć, a co to za pierścionek? chyba nie nasz, ale z drugiej strony wyjaśnić zawsze się zdąży, a jak dają złoto, to lepiej brać i się nie zastanawiać. Przyszło jej potem do głowy, że Dominika dostała klejnot od księdza Adasia. Bo jak nie od niego, to skąd? Chciała oddać pierścionek córce zaraz po przebudzeniu, bo ja-koś wydawał jej się ważny, i dlatego nosiła przy sobie do szpitala, ale potem zapomniała w natłoku zdarzeń.

Jadzia przymierza klejnot, ale wchodzi tylko na jej mały palec, i to nie dalej niż do drugiego stawu. Pewnie na jakiegoś chudzielca robiony; Dominika pstryka upierście-niony palec matki, w jej oczach odbija się zielonkawy blask. A skąd ty to, córcia, masz? Myślisz, że dużo warte? Tombak by ściemniał, więc chyba złoto? Dominika nie zaspokaja ciekawości matki. Na moment widoczny tylko dla matczynego oka nieruchomieje, ale zaraz za-kłada pierścionek na środkowy palec lewej ręki i wzru-125

sza ramionami. Chyba go znalazła, nie pamięta. Po twarzy Dominiki przebiega cień, który może, lecz nie musi, być błyskiem rozpoznania; pstryka pierścionek na swoim palcu i ku uldze Jadzi, chowa w końcu ten diabelny aparat.

Dzień wyjazdu z Mehrholtz jest mglisty i chłodny, niebo opuchłe od śniegu, który zaczyna padać, gdy wsia-dają do samochodu. Grażynka odwozi je do Monachium, a Sara im towarzyszy, chociaż Jadzia wolałaby, żeby już nic nie zakłócało ich matczyno-córczanej diady. Pragnie już Dominikę oderwać od innych i mieć tylko dla siebie, no, córcia, jedziemy do domku, bo wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma, ale w domu najlepiej! Na dworcu autobusowym Jadzia po raz pierwszy od dawna widzi innych Polaków, ładują do luków wypchane torby w kratę, ich twarze wydają jej się jednocześnie swojskie i odpycha-jące. Sama nie wie, czy stać tak, żeby wyglądało, że jest po ich stronie, czy się dystansem odgradzić, łowi uchem polskie słowa i krzywi się dramatycznie na każde kurwa i pierdołę. Patrz, córcia, ile to wiozą, szepcze Jadzia, na-chapali się, dorobili na cudzej ziemi, to wiozą; ci nasi, wszędzie ich pełno, na dupie nie usiedzą. Przyciska do brzucha torebkę gestem kobiet, które zawsze się boją, że tracą, i denerwuje się, czy będą mogły zająć dobre miejsca, bo niby mają numerki na biletach, ale nigdy nic nie wiadomo. A nuż ktoś się wepcha? Ten, co tak przeklina, dupę bez kolejki wciśnie! Świat pełen jest cwaniaków, którzy tylko patrzą, jak kogoś takiego jak Jadzia Chmura naciąć, jak wyrolować; biednemu zawsze wiatr w oczy. Długa podróż przed nimi, czy Dominika nie bę-

dzie głodna, może by jeszcze Coś przekąsiła, proponuje 126

Lidzia, ale tak naprawdę to ona czuje głód, który wmawia córce, bo od dłuższej chwili jej wzrok przyciąga budki z kebabem. Co za zapaszek! Pachnie mięskiem prawie po naszymu, chociaż ten, który obsługuje, to dzicz ja-kaś, czarny, włochaty, oczyska, że strach się bać. Ustawia się Jadzia Chmura od nawietrznej i węszy; to chyba nie wieprzowe? Może kurczaczek? Nie przekąsiłabyś? pyta córkę, która patrzy na nią tak, jakby dopiero teraz zauważyła, że jest na dworcu autobusowym w Monachium.

Oczy Dominiki są ogromne, dwa jeziora pajęczycy-topielicy, w których odbija się ogień, pobielałe

kostki pal-niw zaciskają się na uchwycie torby z prowiantem na drogę. Jadzia wie, że dzieje się coś złego, zanim jeszcze padną słowa. Jej córka robi krok w tył, tam gdzie stoi Sara, i mówi: Ja nie wracam do Polski, mam.

III

Pojadę z tobą, jeśli chcesz, Sara obejmuje dłońmi butelkę piwa; żółte włosy prześwietlone od tyłu słońcem okalają jak aureola jej trójkątną twarz, pojadę z tobą, nawet jeśli nie masz pojęcia, dokąd się wybierasz. Dominika już wie, że zapach, który wyprowadził ją ze snu i któ-

ry zawsze towarzyszy Sarze, to paczuli; w słońcu rozparała się tak, że otacza Sarę niczym ciepłą pulsująca chmurka.

Dominika opiera się na łokciu i robi zdjęcie, na którym jest oko Sary, kawałek szklanki z piwem, słońce i pełne słońca żółte włosy; gdyby sfotografować paczuli, mówi, byłoby jak słońce, kora i złoto, Po wypadku zapachy są 127

wyraźniejsze, inne zmysły nie nadążają jeszcze za powo-nieniem, ale Dominika próbuje do każdego zapachowe-go wrażenia dobrać obraz. Ma nadzieję, że w ten sposób na nowo pozahacza rozsypane elementy świata, zapach, obraz, znaczenie. Inaczej teraz widzi kolory; jakby każ-

dy ukazywał jej się na tle bieli ze snu, wydestylowany i wyraźny, podszyty zapachem. Dominika ubiera się na czarno, szaro i biał, gdy widzi większą plamę czerwieni albo błękitu, bolą ją oczy.

Tak widzisz świat? pyta Sara, gdy ogląda zdjęcia, które Dominika robiła od rana; są na nich oczy, palce, włosy, uszy, ale żadna żywa istota, łącznie z nią, nie jest przedstawiona w całości. Tak, śmieje się Dominika, zobacz, przecież świat tak wygląda: okulary w złotych oprawkach, sari w kolorze fuksji, czerń burki odbita w szybie baru McDonald's. Tak wygląda Europa, odpowiada Sara i zatacza ręką krąg, w którym mieści się cała łąka w monachijskim parku; jesteśmy w Europie, Dominiko Chmuro, tu jest bardzo ciasno. To jeden wielki pieprznik, kocioł pełen nóg, oczu, paznokci i łokci, butów i toreb w kratę, drogich walizek, kościołów, twierdz i dworców, z nieba zamiast śniegu padają tu bilety kolejowe, auto-busowe i samolotowe. Powiedz mi, jak ona pachnie, jak zdaniem Dominiki Chmury, polskiej imigrantki pochodzenia bardzo mieszanego, pachnie Europa? Dominika unosi głowę i węszy; trawa wokół Chińskiej Wieży pełna jest piknikujących ludzi, którzy piją piwo, jedzą kielbas-ki, grillują, pocą się. Mięsem, które się przypaliło, tak pachnie Europa, Saro Jackson, mówi Dominika, ten zapach śnił mi się, gdy byłam w śpiączce, zapach spalonego mięsa, ciągle go czuję. Nim przesiąknięte jest wszystko, 128

nie pomogą żadne diory i odświeżacze powietrza o zapachu morskiej bryzy, może Europa przestanie śmier-dzieć gównem, ale nie spalonym mięsem.

To nieładnie,

marszczy nos Sara. Nieładnie, zgadza się Dominika, bardzo nieładnie; zamyka oczy, kładzie głowę na kolanach Sary i węszy, zapach spalonego mięsa jest podszewką wszystkich innych, najpiękniejszych nawet zapachów, czasem odpływa, zawsze wraca. Dym z grillowania płóży się, ciężki, wsiąka we

włosy; to, co już gotowe do zje-dzenia, miażdżone jest zębami tubylców, aż pryska sok.

cedzenie, na które ma się apetyt, a nie głód, o nie, gło-du nie dopuszcza się do głosu na łące Europa; tu jedzenie służy przyjemności albo zastępuje to, czego mieć nie można. Meat, mówi Dominika po angielsku, i po polsku, mięso, Fleisch, dodaje po niemiecku. Najbardziej mięsne jest mięso po polsku, decyduje; powiedz mięso, powiedz po polsku, prosi Sarę. Żle! Mię-so, a nie minso. Zapach mięsa płynie z miejsc, gdzie piknikują starzy Europejczy-cy z dziada pradziada, rozpierają się na kocach; niektó-

rym może się wydawać, że ta łąka powinna należeć tylko do nich, a także wszystkie inne łąki, i dlatego gdy jadą na wczasy do Egiptu czy Tunezji, raniutko zajmują sobie ręcznikami najlepsze leżaki przy morzu lub basenie, bo one im się należą. Inni muszą się dopiero nauczyć triku z ręcznikiem, wszyscy aspirujący do bycia Europejczyka-mi muszą się jeszcze dużo nauczyć, nie ma lekko. Na łące pod Chińską Wieżą są wyspy zamieszkałe przez smagłe rodziny, grupy albo pary, dla których ten kraj nie jest ojczyzną; Dominika wwąchuje się w obce zapachy płynące z ich strony. Kobiety w sari, kobiety w burkach, kobiety już przebrane po tutejszemu, tyle że w wersji uboż-

129

szej, otwierają plastikowe pudełka z lunchem, pachnie z pudełek plastikowych ojczyzną kardamonu, cynamonu i chili, do której nie wrócą. Gdyby tak całą ojczyznę dało się zapakować do pudełka, przyprawić curry, sosem so-jowym albo zataarem i nosić przy sobie! Matki w sari, matki w burkach, matki przebrane po tutejszemu wkładają kęsy do dziecięcych ust; te usteczka już wkrótce odwrócą się od smaków nieznannej ojczyzny, które kojarzyć im się będą głównie z odstawianiem od reszty. Jeśli uda im się nie odstawać za bardzo i nie będą zmuszeni do prowadzenia rodzinnego sklepiku albo poślubienia kuzyna, może kiedyś znajdą się na jednej z wysp stu-denckich, wielokolorowych, wielokulturowych. Jak tu miło! Tuż obok Dominiki i Sary tutejsi młodzi mężczyźni obejmują ramieniem ciemnowłose i ciemnookie dziewczyny, a tubylki o różowych policzkach rumienia się pod spojrzeniem smagłych kolegów o dziwnych imionach, które skraca się dla wygody. Te wyspy, węszy Dominika, pachną chipsami ziemniaczanymi i colą, tym dziwnym napojem o chemicznym posmaku, którego nie lubiła nawet wówczas, gdy cola była rarytasem przywożonym do Wałbrzycha przez górników pracujących na niemieckich kontraktach.

Pojadę z tobą, jeśli chcesz, powtarza Sara, albo ty pojedź ze mną, to wszystko jedno, skoro obie nie zna-my celu. Na razie nie chce mi się pracować w szpitalach, wystarczy, że ciebie pomogłam poskładać do kupy, czas w drogę. Jest kilka osób, z którymi chcę się spotkać w Niemczech, a potem pojedziemy gdziekolwiek, w świat. Nie jesteś dla mnie ciężarem, tylko towarzyszką podróży. Naprawdę? Naprawdę! Ile razy mam ci powta-130

rzać. O taką właśnie towarzyszkę podróży mi chodziło, o Polkę chudą jak bocian, lekko kulawą, nielegalną imigrantkę, małomówną i z paszportem, na który nikt nie chce dawać wizy. Żadna z nas nie zna kierunku, i tyle tylko wiem, Dominiko Chmuro, że obie oddaliśmy się od domu. Dominika patrzy na przyjaciółkę i myśli o po-dróży, której pragnienia w sobie szuka, ale to tak, jakby szukać jakiegoś drobiazgu w domu pełnym popakowa-nych pudeł, gotowych do przeprowadzki. Pamięta, że kiedyś chciała właśnie tego, bycia w drodze, zmieniają-

cych się pejzaży, ruchu obrazów za oknami pociągów, samolotów, zwłaszcza samolotów odrywających się od ziemi, od Piaskowej Góry, od Jadzi, samolotów mkną-

cych nad chmurami coraz dalej i dalej; czuje, że powinna iść tropem tego uczucia, po którym w ogóle został jakiś-kolwiek ślad. Poszukamy pracy, ciągnie Sara, możemy jechać do córki Grażynki, Anieli, która ma cukiernię gdzieś koło Frankfurtu nad Menem; Grażynka mówiła, jedźcie koniecznie, Aniela się ucieszy, gdy byłam u was ostatnio. Cukiernia, czy to nie brzmi kusząco? Nie możesz clo końca życia karmić świń na niemieckiej wsi. To jak?

Sara leży na trawie i wygląda, jakby mówiła przez sen, w pełnym słońcu widać, że wcale nie jest taka czarna, jak ją widziała Jadzia; jej skóra ma ciepły odcień oliwnego drewna. Dominiko Chmuro, mówi, nie otwierając oczu, czuję, że na mnie patrzysz, wsłuchaj się w siebie, Dominiko Chmuro, czas odlecieć. Wiem, odpowiada Dominika, wiem, a teraz nie ruszaj się, zrobię zdjęcie motyla na twoim palcu u stopy.

Dominika nadal mieszka u Grażynki i pomaga jej w pracy; razem przygotowują jedzenie w rozgardiaszu 131

i bałaganie, od którego Jadzię trafiał szlag. Dominika jest coraz silniejsza, wstaje o świcie i zasypia niedługo po zmroku wśród przygarniętych kotów i psów, w ciemnoś-

ci słyszy ich cichutkie sapanie i wie, że odtąd źle będzie się czuła w domach bez zwierząt. Lubi dotyk i zapach kociej sierści, miękkie brzuchy ufnie nadstawiane do głaskania i łapki ugniatające jej uda, gdy któryś szkuje się do snu. Do zwierząt żyjących w domu Grażynki ostatnio dołączyła papuga Franca; nie wiadomo, jaką drogę przebyła, zanim kierowana nieomylnym instynktem innych stworzeń, trafiła do państwa Kalthofferów, Pewnego dnia po prostu wleciała przez okno, wylądowała na stole i powiedziała, *vie de merde*: wszyscy spojrzeli w kierunku otwartego okna i nikt się specjalnie nie zdziwił, tylko Hans przysunął bliżej siebie talerz z ulubioną golonką w kapuście, bo już nieraz się zdarzyło, że na chwilę odwrócił wzrok, a mięso zniknęło ściągnięte przez jakieś zwierzę. Papuga, czerwona i wielka jak kura, wy-

glądała na głodną, powtórzyła przekleństwo, podrepta-

ła od talerza do talerza, jakby zastanawiając się, co jest najsmaczniejsze, i wybrała sałatkę ziemniaczaną, w któ-

rej zanurzyła dziób. Gdy pojadła, wrzasnęła, *va te faire plumer!* i pofrunęła na żyrandol, piękny, pełen kryształowych wisiorków jak krople wody, który Hans osobiście nabył w Monachium w czasach, gdy myślał, że miłość Grażynki trzeba karmić prezentami jak ogień w kominku drewnem. *Vie de merde*, powtórzyła papuga sennym głosem i natychmiast zasnęła spokojnie, a koty wpatrywały się w żyrandol i śledziły jego kołysanie się z ogromnymi oczami drapieżników. Grażynka i Dominika rozkleiły ogłoszenia pod kościołem i na tablicy w piekarni, *achtung*, 132

achtung, papuga barwy czerwonej, rozmiarów słusznych, przeklinająca w języku francuskim, przybłąkał~ się 25 maja 1990 roku do państwa kalmofferów, zarmieszkałych w Mehrholtz przy ulicy takiej i takiej, czeka ~a właściciela, ale nikt się nie zgłosił. Grażynka ochrzciła więc papugę Franca,

bo tak nazywano ją, franca, choler-na franca, franca puszczańska, stara franca i jeszcze gorzej, gdy mieszkała w Wałbrzychu; niech ktoś spróbuje wymówić to niezbyt ładne słowo z taką słodyczą, jak ona wymawia je teraz: Franca, chodź, malutka, na śniadanko!

Franca upodobała sobie pokój Dominiki i spędza noce na różowym tremo, w którym można obejrzeć się ze wszystkich stron jednocześnie, odpowiednio ustawiając boczne lustra; w przeciwieństwie do Dominiki, która po wypadku unikała luster i ograniczała zabiegi kosmetycz-ne do wsmarowania w bliznę maści ze ślimaka, Franca wydawała się zainteresowana cudem lustrzanego wizerunku, być może brała go za swoją zaginioną siostrę.

Gdy Dominika budzi się, widzi Francę, która wita ją trzepotem skrzydeł i wrzeszczy, *putin de vie!* tak głoś-

no, że urażone koty przeciągają się i wychodzą na poranny spacer; pokój tonie w różowawym świetle, wpadającym przez połyskliwe zasłony w kolorze wnętrza muszli. To najprawdziwszy sztuczny jedwab, mówiła z podziwem Jadzia, lejący, u nas się teraz takiego nie dostanie, za Gierka bywał, ale wystać się trzeba było pod sklepem Merino, aż nogi w dupę wchodziły. Dominika wstaje i podchodzi do okna, a Grażynka w legginsach w panterkę i turkusowym moherowym swetrze macha clo niej z podwórka; niesie pełne wiadro do chlewni tak lekko, jakby była to wieczorowa torebka, na uszach ma 133

słuchawki. Dni są spokojne i wypełnione krzątaniem, nie rozmawia się wiele, a jeśli już, mówi głównie Grażynka; to nie są opowieści, tylko kojący potok słów jak muzyka, ale nie można powiedzieć, że mówi o niczym, bo jest tak, Jakby umiała dobrać słowa wyrażające samo życie.

Dominika patrzy na twarz Grażynki ani młodą, ani starą, na ciało, które nawet melodia deszczu wprawia w taniec, a co dopiero ulubiona Abba czy Gloria Gaynor, i wie, że ta kobieta pozostanie w jej życiu nawet wtedy, gdy już trzeba będzie opuścić jej gościnny dom. Daleka droga przed tobą, wzdycha czasem Grażynka i głaszcze Dominikę po głowie. Zabiera ją niekiedy na swój wieczorny spacer do lasu, to dowód dużego zaufania, i wtedy milczą, bo jest to pora, do której pasuje milczenie; siedząc na ramieniu, patrzą na dryfujący w mroku dom i oddychają zapachem żywicy, czują, jak przepływa wokół nich czas. Podczas któregoś z tych spacerów Dominika ma wrażenie, jakby w jej wnętrzu coś zaskoczyło, jakby ruszył Jeden z zatrzymanych mechanizmów i pragnienie podróży, o którym mówi Sara, stało się jej własnym.

Sara zna ten las. Trzy lata wcześniej znalazła ją tu Grażynka, która myślała, że na ścieżce duch stoi, bo skąd nagle czarna dziewczyna z żółtymi włosami, i nawet za-częła przypominać sobie, co Ciocie Herbatki z Kamień-

ska, a co Halina Chmura z Wałbrzycha radziły robić w takiej sytuacji, bo w przeciwieństwie do nich przez całe życie miała kłopoty tylko z żywymi, i to zwykle mężczy-znarru. A tu nagle w ciemności stoi coś o drzewo oparte, dyszy, oczami świeci, na kobietę wygląda, a na duchy żeńskie cioce Herbatki mówiły duszne, to Grażynka dobrze pamięta. Wracały z wyprawy na bagna po borówki 134

I jedna do drugiej mówiła, a ta duszna, co ją pod dębem widziałyśmy, to nasza z Kamieńska czy jakaś zamiejsco-wa? Grażynka nie wiedziała więc, duszna czy żywa, i nie znając lepszego sposobu na to, by zagadać do obcej, zapytała cudaka, czy może potrzebuje pomocy. Mam na linie Sara, Sara Jackson, odpowiedziała duszna lub żywa w obco brzmiącym, choć płynnym niemieckim; to sprawy nie rozwiązało, bo wiadomo, że duchy mogą przedstawiać się imionami ziemskimi, gdy jeszcze nie nadano im pozaziemskich, i mówić w dowolnym języku, nawet po łacinie czy japońsku. Czarna

postać wytłumaczyła, że zobaczyła ścieżkę i chciała na przelaj dostać się na dworzec I olejowy w Mehrholtz, bo wybiera się do Monachium, ale chyba zablądziła; Grażynka dostrzegła w półmroku zarys plecaka i wydało się już niemal pewne, że obca jest kobietą z krwi i kości, bo na cholere duchowi osobowy do Monachium, który wlecze się jak zółw. A co się stało?

Sara przyjechała do Mehrholtz tego samego dnia po południu i miała pracować u państwa Kom, gdzie głowa rodziny, Adolf Kom, z dnia na dzień tracił głowę z powodu alzheimera, ale odesłali ją natychmiast. Dlaczego? Wynikło nieporozumienie, bowiem państwo Kom w osobie starej pani Kom, jej syna i synowej, oraz starego pana Korna, za którego oni w pełni ręczą, iż podziela ich zdanie, spodziewali się czegoś innego, niż dostali w osobie Sary. Nie, referencje miała bardzo dobre, jest dyplomo-waną pielęgniarką i rehabilitantką. To znaczy co? Białej się spodziewali! Myśleli, że będzie biała. Biała być mia-la! Biała? Biała. Nie chcieli, by mieszkała z nimi czarna.

Gdyby dochodząca, to jeszcze, ale mieszkać? Powiedzieli, że nieporozumienie, straszne nieporozumienie, 135

że oni wyraźnie mówili w agencji, czego im potrzeba, a nie dodali, że biała, bo to się samo przez się rozumie. Osobiście nie mają nic przeciw, ale swoje wiedzą i widza, wystarczy, że telewizję się poogląda i wiadomo, co widać i co wiedzieć, ile wszędzie się Czarnych, Turków, Polaków namnożyło. Obecność Sary miałaby wpływ wprost fatalny na alzheimera, przez którego głowę traci głowa rodziny Korn w takim tempie, że niedługo zostanie na jego szyi pusta kulka obciążona szarą skórą, jak makówka, z której wysypał się mak. Gdyby taka czarna opiekunka co rano pana Korna budziła, myła, karmiła, wszystko by mu się na amen pomieszało, bo to byłby dla staruszka straszny szok. Mogłoby go to wpędzić do grobu, zanim sobie przypomni, gdzie ukrył te dwie stare ikony, co to jeszcze z wojny je miał i o których mówił, że cenne, a z latami cena ich wzrasta, więc niech trzymają ręce przy sobie, on w swoim czasie sam da wnukowi będzie miał pamiątkę po dziadku. Wnuk już się na świat pcha i kopie od środka brzuch młodej Frau Korn: co jakiś czas prowadzą więc młodą panią Korn do łóżka starego Korna, by mu zademonstrowała brzuch z wnukiem może sobie co przypomni w obliczu przyszłych pokoleń: Jednak stary ślini się i nic sobie nie przypomina; posiał

gdzieś te ikony, cały dom przekopali, ogród zryli i nie znaleźli. Nie mają już do niego siły, do tego alzheimera, pieluch zmieniania, więc zgłosili do agencji, że pomocy potrzebuje w osobie wykwalifikowanej pielęgniarki. No ale białej! Żadnych czarnych, zółtych czy Turczynek. Frau Korn widziała w telewizji, jak jedna turecka sprzątaczką niemieckiego staruszka na swoją wiarę przekabaci-

ła, tak że rodziny się wyrzekł, powiedział im, raus, ja 136

się będę z Turczynką moją heiraten. One tylko patrzą, te Turczynki! Gorsze niż Polki, bo przyjechały z daleka, nie I akie robotne, i wieprzowiny podobno nie jedzą, Frau Kom rozmawiała potem z Frau Zorn, co też oglądała, że jak to tak, trzeba naprawdę sumienia nie mieć, żeby do cudzego chorego staruszka się zabierać. I on się potem z nią nawet ożenił, widziały w telewizji, z tą Turczynką czy Hinduską, ten staruszek podobny do starego Korna, d na ślubie mu jakiś naszyjnik z kwiatów założyli na szyję jak głupiemu, bo tak robią w Turcji czy u Hindusów.

Przeżyli więc szok państwo Korn z Mehrholtz, gdy na progu zobaczyli Sarę Jackson. Frau Korn nie

chciała ryzykować i chwyciła za telefon, krzyku było co niemiara, bo agencja kazała jej zapłacić Sarze za dojazd plus odszkodowanie, a nawet poprosili Sarę do telefonu, nie zważając na to, że to rodzina Kornów obciążona zostanie kosztami połączenia. Wszystko, co Frau Kom mówiła do Sary, miało formę prostych zdań w czasie teraźniejszym wypowiedzianych głośno i wyraźnie, jakby nie docierał

do niej fakt, że dziewczyna odpowiada jej w płynnym niemieckim, i potem będzie opowiadać Frau Zorn, nie dość, że czarna, moja droga Frau Zorn, to jeszcze ani be, ani me, ani kukuryku. Sarze nie podobało się u państwa Kom, ale zostałyby, gdyby chcieli, bo nie miała dokąd wrócić i potrzebowała pracy. To był komunikat, na który Grażynka nastawiła swój wewnętrzny radar; znaleziona w lesie dziewczyna potrzebuje pomocy, a więc to jasne, że los zetknął je ze sobą nieprzypadkowo. Chodź ze mną, odpoczniesz, zjesz ciepłej zupy, a jutro się pomyśli, co dalej. Jutro przyszło i odeszło, a Sara została przez miesiąc, uczyła syna Grażynki, Daniela, jazdy na desko-137

rolce, a ją przyrządzania aromatycznych potraw, które Hans zjadał z przyjemnością jak wszystko, co mu żona podawała.

Grażynka i Sara poczuły zew siostrzeństwa, mimo że urodziły się na dwóch różnych kontynentach i wbrew różnicy wieku; Sara miała dwadzieścia siedem lat, Gra-

żynka lat swoich od dawna nie liczyła i dwa razy zmieniała datę urodzenia w dokumentach, ale z pewnością dźwigała na barkach więcej niż dwa razy tyle. Gdy Sara znalazła pracę w szpitalu w Monachium, nadal odwiedzała Grażynkę prawie co niedzielę, a pobyt Dominiki zbliżył je jeszcze bardziej; dopiero potem okaże się, że Sarze, podobnie jak Dominice, Grażynka tak naprawdę nie powiedziała o sobie nic i żadna z nich nie potrafi-

ła odtworzyć historii jej życia ze sprzecznych i poplą-

tanych fragmentów opowieści. Sara pamiętała, że Gra-

żynka chyba pochodziła z Radomska, Dominika mogłaby prawie przysiąc, że nie z Radomska, tylko z Częstochowy; na resztę składały się niepołączone ze sobą wydarzenia, mężczyźni, którym czegoś brakowało, miasta, miasteczka i wioski, z których pewne wydawały się tył-

ko Wałbrzych i Mehrholtz. Grażynka wiedziała, że z nich trzech tylko ona jest w miejscu, w którym powinna pozostać, przynajmniej przez jakiś czas, i liczyła się z tym, że czeka ją pożegnanie. Nie zdziwiła się, gdy w lipcu, podczas jednej z wielu burz, jakie tamtego roku nawiedziły Mehrholtz, Dominika powiedziała jej, że wyjeżdża z Sarą, odwiedzą po drodze jej córkę Anielę. Przyzwyczajona do tego, że odchodzili mężczyźni i dzieci, psie znajdy trafiały do domów, w których dostawały miskę na wyłączność, świnie zabierano do rzeźni, a koty znikwały, 138

by pojawić się znów bądź nie, Grażynka uważała utratę za tak samo konieczną część życia jak przyjemne niespodzianki. Właściwie to, że szczęście mija, a nie trwa, że ludzie raczej odchodzą, niż zostają, że na przykład wraca się do Napoleonówki z tańców w Gorzkowickiej remizie, a po Ciociach Herbatkach nie ma śladu, tylko zapach lawendy i parę błękitnych kropli likieru w kieliszku, i że życie po tym toczy się dalej, że dalej chce się tańczyć, kochać i oblizywać palce poklejone

słodkim sokiem, było dla niej oczywiste. To o nich myślała, o Ciociach Herbatkach, gdy opuszczali ją mężczyźni lub sama wymykała się o świcie, by nigdy nie wrócić, gdy rozstawiała się z przyjaciółkami, a tych nie było wiele. Ona potrzebuje miłości, a nie opieki, powiedziała Grażynka do Sary, gdy się zegnały na tym samym dworcu autobusowym, z którego parę miesięcy wcześniej odjechała do Polski zrozpaczona Jadzia Chmura. Wiedziała jednak, że Sarze nic nie musi tłumaczyć i słowa służyły tylko temu, by powstrzymać łzy, bo Grażynka nie lubiła łez i rozmazane-go tuszu. Szepnęła więc, w ucho pachnące paczuli, ona potrzebuje miłości, matkuj jej w drodze, bo rozumiała, że Dominika jest nadal krucha i podatna na zniszczenie, mimo iż doszła do zdrowia szybciej, niż zapowiadali lekarze. Gdyby czas rzeczywisty płynął tak jak czas życia Grażynki, bez jutra i wczoraj, zabrałaby tę smutną, ci-chą dziewczynę do domu w miasteczku Kamieńsk, do Napoleonówki, gdzie przy starym stole siedziały Cioce Herbatki i napełniały słoiki różaną konfiturą. Dominika mogłaby się tam schronić, tańczyć do melodii katarynki, łowić raki w Kamionce i chodzić z Grażynką do budki dróżnika Barnaby Midziaka, by słuchać jego bajania, 139

Ale niestety. No trudno, niestety, powiedziała Grażynka I gdy machała im, stojąc na peronie dworca, jej twarz była znów pogodna i spokojna. Sarze Grażynka mogła ufać, bo ktoś, kto nosi w sobie taką historię i żyje, ma moc ocalania innych. To właśnie opowieść Sary Jackson, w której przemocy jest tyle samo, co miłości, sprawiła, że Grażynka zobaczyła w niej siostrę.

Sara spędziła dzieciństwo na Brooklynie, w dzielnicy Bedford Stuyvesant, Bed-Stuy w skrócie, w domu z brą-

zowej cegły, który stał w szeregu innych domów z brązowej cegły zamieszkanymi przez czarnoskórych Amerykanów. Wychowywała ją kobieta marudna, silna i odważna, La-Teesha Jackson; połączenie zręczenia, odwagi i siły nadawało jej mowie rytm, przy którym wrażliwa na muzykę Sara od razu zaczynała się kiwać. Uwielbiała kąpać się z La-Teesha i w oparach pienującego płynu o zapachu pomarańczowym słuchała jej ponurych wywodów na temat życia w ogóle, a w szczególności na Bed-Stuy, gdzie La-Teesha spędziła całe życie. Wilgoć zamazywała kontury sprzętów, osiadała na sinawych ścianach łazienki, które przybierały szlachetny kolor morskiej zieleni.

Baby, mówiła do niej babka zanurzona po piersi w pianie i punktowała każdą frazę, celując we wnuczkę mokrym palcem. Baby, nie mów mi, że Bed-Stuy się zmieni. Ooh, Bed-Stuy, ooh Bed-Stuy, jesteśmy tu na życie całe udu-pieni. Się mądrzysz, ale nie zgadniesz, jakie są wyroki boskie. Baby, gdzie ci tam do boskich, jesteś czarnym podrostkiem. Ooh, Bed-Stuy, ooh Bed-Stuy, wzdychała i dolewała gorącej wody. Baby, jest tak, jak jest, to chyba tak być musi, a jak nie wierzysz, los cię do tego zmusi.

Ooh, Bed-Stuy, ooh Bed-Stuy. Sara odziedziczyła po bab-140

ce mocne duże dłonie i piękne pośladki, hipnotyzujące mężczyzn, bo gdy szła, w zgranym ruchu dwóch półkul było coś jednocześnie czułego i dzikiego, a przynajmniej tak myśleli ci, którzy umieli powiedzieć więcej niż ale dupa. Sara najmocniej zakręcone słoiki otwierała bez wysiłku, gdy miała dziesięć lat, a jako piętnastolatka wyrosła tak bujnie i hojnie, że każdy dzieciak i mężczyzna z Bedford Stuyvesant pragnął przytulić się do niej. jej tułów pozostał szczupły, talia wąska, ale biodra Sary otwierały się poniżej jak kielich kwiatu, gigantyczny czarny lulipan pokryty delikatnym

meszkiem. Bujne ciało Sary stawało się problemem tylko wtedy, gdy większość kobiet wokół była biała, co na początku zdarzało się nader rzadko, bo podobnie jak inne czarne dziewczynki nie miała wielu okazji do opuszczania swojej dzielnicy. Bed-

-Stuy było czarne, a jego mieszkańcy uważali, że w porównaniu z Harlemem są o wiele prawdziwsi i czarniej-się Harlem, ich zdaniem, powoli schodził na psy, tu, na Bed-Stuy, toczyło się życie nieporównywalnie bardziej skomplikowane i trudne, godne uwiecznienia w słowach śpiewanych wokół ognisk rozpalanych w ciepłe noce na zapuszczonych podwórkach. Na początku XX wieku prababka Sary, Destinee, przybyła tu z Południa, by osiedlić się na Brooklynie, gdzie przez kolejne pięćdziesiąt pięć lat prowadziła sklepik ze starzyzną wciśnięty między pralnię i lombard; już wówczas los dzielnicy wydawał się przypieczętowany.

Sara zdążyła poznać swoją prababkę, półślepą i po-kręconą artretyzmem jak chałka z żydowskiej piekarni; staruszka budziła w niej fascynację i czułość, bo u schył-

ku życia była tak mała i lekka, że bez trudu dawała się 141

włożyć do wózka dla lalek i wozić po ulicy. Na starość miała jedną ekstrawagancję, upierała się, by niezależ-

nie od pory roku nosić rękawiczki; bez rękawiczek nie pozwoliła ruszyć się z domu, w wózku czy bez wózka, i zaczynała tak przeklinać, że wiodły uszy. Prababka Sary miała dłonie, które zdążyły swoje przeżyć, zanim Destinee skończyła dwadzieścia lat, najpierw ich wną-

trze stwardniało od pracy na plantacji trzciny cukrowej w Luizjanie, potem brzegi poznały różowe sznyty oparzeń, gdy z pola przeniesiono ją do domu, gdzie zajmowała się gotowaniem i prasowaniem, na koniec straciła końce dwóch palców lewej dłoni, gdy dla zabawy poszczuto ją psem. Sara od małego miała zamiłowanie do opiekowania się stworzeniami potrzebującymi opieki, a więc nakładała babce rękawiczki i wozila ją w wózku przykrytą kołderką w kwiatki; w porze lunchu karmiła ją małutkimi kęsami tostów z masłem orzechowym, przeżuując go najpierw tak, jak to robiły matki podpa-trzone w parku na Bed-Stuy. Prababka Destinee mieszkała z jedną ze swoich córek, głuchą ciotką o wiecznie zdziwionym wyrazie twarzy, i być może brak kontaktu ze współlokatorką, która, co by do niej powiedzieć, zawsze miała tę samą minę królika zaskoczonego w świetle samochodowych reflektorów, wynagradzała sobie nie-powstrzymanym gadulstwem, gdy prawnuczka zabierała ją na przejażdżkę. Prababka Destinee miała żółte oczy i historię, którą opowiadała przez całe życie, najpierw dzieciom podczas niedzielnych podwieczorków, gdy piekła im słodkie ziemniaki z wanilią i cynamonem albo, gdy miała szczególnie dobry humor, odgrzewała ozór wołowy z obiadu, potem wnukom i prawnukom.

142

Gdy starość skurczyła Destinee do rozmiaru kabaczka i pozbawiła siły, historia, przeciwnie, nabrała mocy, jakby utwardziło ją i wygładziło ciągłe powtarzanie. Sarze trafiła się wersja najpełniejsza, jak gotowy do zerwania, ciężki od soku owoc.

Bohaterką tej opowieści była babka Destinee, aktorka z Europy, z Paryża, taka piękna, że sobie nie

jesteście w stanie wyobrazić, a mówili na nią Wenus. Nie wiecie, kto to Wenus? Bogini, tłumoki, nieuki, kretynki z mysim głównem zamiast mózgu, Wenus to bogini z Europy, i po niej nazwali moją babkę. Występowała w Londynie, w Pa-ryżu, w Moskwie nawet, bo sam ruski król listy, prezenty słał, że odmówić nie mogła, tłumaczyła Destinee. Wło-sy piękne, jakby właśnie wyszła z salonu fryzjerskiego, skóra niby czarna, ale jakby biała, gładka i delikatna jak koci brzuch. Cóż Wenus miała za suknie! Całe szafy peł-

ne rękawiczek. Na każdy dzień tygodnia inna para i dzie-

ki temu dłoni sobie nie zniszczyła. Szkarłatne, w kolorze indygo, żółte jak szafran. Złotobrazowe jak skórka pieczonego kurczaka. Zamszowe, z cętkowanej skórki leoparda, jedwabne, aksamitne, koronkowe, z wełny szetlandzkiej i egipskiej bawełny, z brokatu ręcznie wy-szywanego złotem. Malowane w kwiaty, całe pejzaże na rękawiczkach, które poruszały się jak żywe, gdy zginała palce. A dłonie miała Wenus delikatne jak niemowlęca dupka, paznokietki jak u lalki wypolerowane na glanc, różowe, czyściutkie, zachwycała się Destinee i kazała Sarze pokazać ręce dla porównania. A jak Wenus tańczyła!

Stroje do tańca najlepsze paryskie krawcowe jej szyły.

Występowała na scenie, znała królów, Napoleonów róż-

nych osobiście przyjmowała, mówiła Destinee do pra-143

wnuczki Sary, tak samo jak kilkadziesiąt lat wcześniej do swoich dzieci, potem wnuków i każdego, kto chciał jej słuchać, a przynajmniej nie przerywał. Rękawiczki! Coraz wymyślniejsze pojawiały się w opowieści Destinee, o wzorach dziwnie współczesnych, z metalowymi nitami jak te używane przez szczęśliwych posiadaczy motorów z Bed-Stuy, ze sztucznego jedwabiu, a nawet gumowe kuchenne, jakie kupić można było za grosze u Icka Kaca w American Values. Na co dzień praktyczna i przyziem-na kobieta, która nie miała wielu okazji, by się od ziemi odrywać, bo zbyt była zajęta obowiązkami związanymi z przeżyciem i utrzymaniem przy życiu swoich młodych, Destinee zmieniała się nie do poznania, gdy zaczynała opowiadać o czarnej Wenus z Paryża, podróżującej ze swoim teatrem po całej Europie. Opowieść sprawiała, że staruszce prostowały się ramiona, a oczy żółte jak u kota świeciły jaśniej niż żarówka nad ich stołem; Sara patrzyła na Destinee w obawie, że babka nie wytrzyma tej energii, która rozpaliała jej drobne ciało, i na jej oczach spłonę od żaru opowieści. Podróże po Europie, aksamitne rękawiczki, żyrandole kryształowe, te słowa zapadały w Sarę jak ziarno i miał z nich wkrótce wyrosnąć las dziki jak amazońska dżungla. Żyrandole! W paryskim mieszkaniu Wenus, opowiadała Destinee, żyrandole były kryształowe, ogromne, wyglądały jak fontanny świat-

ła tryskające z sufitu, a czarna Wenus, gdy roztańczyła się tak, że brakowało miejsca na podłodze, hop, podskakiwała i dłońmi w rękawiczkach jedwabnych, broka-towych, ze skórki jagnięcej, piórami ozdobionych, hop, chwytala się żyrandola i rozhuśtywała go od ściany do ściany, od ściany do ściany; żyrandola uczepiona przela-144

rywała nad głowami, nad dachami i nad morzami, tylko jej małe stópki było widać z dołu i koronkowe majtki.

Zostawał po niej diamentowy pył na podłodze, a ludzie zgromadzeni na balu, sami książęta, księżniczki, Napo-leony, brali go w palce, szeptali, cuda, cuda; szemrali, niemożliwe, patrzyli po sobie, nie dowierzając, że byli świadkami czegoś tak niezwykłego. A Wenus jak kometa z ogonem ognistym, jak śnieżna burza czarna, jak trąba powietrzna, jak łabędź leciała, i gdy ktoś podniósł głowę tej nocy, nigdy nie zapomniał jej widoku. Dokąd leciała?

Jak to dokąd! Prababka Destinee kręciła głową z politowaniem, że tak prostej rzeczy Sara nie umie zgadnąć.

Czarna Wenus żyrandola uczepiona wprost do Afryki leciała. Daleko, daleko, na południe od Paryża, na po-

łudnie od Londynu, na południe od Nowego Jorku i na południe od wszystkiego, tam gdzie woda błękitna jest jak niebo, niebo jeszcze błękitniejsze od wody, a piasek, piasek na plaży, na której Wenus lądowała, wciąż trzymając się francuskiego żyrandola, tak biały, że trudno uwierzyć, by coś było zrobione z bieli tak doskonalej.

Tam, mówiła Destinee, była prawdziwa ojczyzna czarnej Wenus, jej ciotki i wujowie, przyrodnie siostry i bracia, matka, ojciec i rodzeństwo w liczbie sztuk osiemnastu; gdy tylko ją zobaczyli, urządzili wielkie przyjęcie na pla-

ży, czego tam nie było! Stosy owoców, jakich na Bed-Stuy nikt nigdy nie widział, prawdziwe owoce prosto z drzewa, opite słońcem, a do tego ogromne gary pełne pieczonych kurczaków, wołowych ozorów i słodkich ziemniaków z cynamonem i wanilią, które tak pachniały, że głodni ludzie budzili się na drugim końcu Afryki, przecierali oczy i węszyli, oblizując wargi. Czarna Wenus piła, 145

jadła i opowiadała o życiu w Paryżu, pozwalając przymierzyć swoje rękawiczki, ale żadna z kobiet nie miała tak drobnych dłoni, by pasowały. Mówiłam, pytała Destinee, jakie miała rękawiczki? A Sara patrzyła na nią z ogromnymi żółtymi oczami, pragnąc, by prababka jeszcze raz opowiedziała o rękawiczkach, które piękniały z opowieści na opowieść, zamieniały się w żywe stworzenia o pięciu nibynózkach. Rękawiczki! Z atlasu w kolorze nieba, z guziczkami, z pawimi piórkami, które tak laskotały czarną Wenus w nadgarstki, że ciągle chichotała.

Z kryształkami, różyczkami, małymi cukrowymi perełkami, które można było obgryzać! W chwilach szczególnie dobrego humoru Destinee pokazywała tańczącą czarną Wenus, płasząc w dzikim rytmie, który skądś pamiętała jej dusza, a dzieci podbijały go rękoma i nogami, coraz szybciej, szybciej, by zobaczyć, jak szybko uda się babce zatańczyć, i nigdy ich nie zawiodła. Pod koniec życia Destinee mówiła już tylko o czarnej Wenus, swojej babce aktorce z Paryża, ale traciła pamięć, a może odzyskiwała inną, lepszą, i historia pełna była nagłych skoków, hop, na żyrandol, hop, między epokami i kontynentami, z Paryża, hop, do Londynu, i hop, na Bed-Stuy, a czasem, hop, staruszka zasypiała w połowie zdania z otwartymi ustami, z których sączyła się nitka śliny.

Najmłodsza prawnuczka Destinee, Sara, była osobą, której ta dziwna porwana historia wydawała się cie-kawsza niż kino i chłoneła słowa jak gąbka, pytając, i co dalej, co dalej, prosząc, opowiedz, babciu, o czarnej Wenus, gdy nikt inny już nie traktował staruszki poważnie.

W Paryżu, mówiła Destinee, życie miała Wenus zupeł-

nie inne niż Murzynka z Brooklynu, a Sara smakowała 146

frazę inne życie, jakby ssała kostkę kurczaka. Paryż to Paryż, są tam ulice wyłożone marmurami tak szerokie jak rzeka Hudson, z jednego brzegu drugi ledwie widać, jest park, w którym trwa nieustanny piknik, rozdają tam za darmo pieczone kurczaki i wołowe ozory, a dla dzieci pod dostatkiem jest słodkich ziemniaków, to piękne miejsce nazywa się Wschodni Przylądek. Wschodni Przy-ludek w Paryżu, powtarzała Sara i oblizywała się na sam dźwięk tej nazwy, a także dlatego, że po prostu lubiła jeść, zwłaszcza potrawy, o których opowiadała babka.

Destinee, żywiąca się już tylko czarnymi nitkami lukrecji I przezutymi tostami, solidniejszych pokarmów dostarczała sobie w opowieści i niezależnie od tego, w jakim znajdowała się momencie historii o czarnej Wenus, pojawiały się tam pieczone kurczaki i ozory wołowe, bo nie-dojadająca przez całe życie tak wyobrażała sobie niebo.

Mlaskała, mówiąc o tym jedzeniu, na które tak rzadko było ją stać, i Sara odnosiła wrażenie, że jej prababka naprawdę odżywia się słowami, czasem w pokoju unosił się zapach przyrumienionej skórki kurczaka albo wanilii i cynamonu. Któregoś razu głodna Sara tak skupiła się na ozorze z opowieści babki, że przegapiłaby nowy wątek w historii Destinee, po której nie spodziewano się już nic nowego prócz śmierci. Wenus miała dziecko z francuskim królem, powiedziała babka i popatrzyła na wnuczkę oczami, które z upływem czasu zmętniały tak, jakby nalało się do nich mleka, nazywał się Napoleon, kochał ją jak żadną inną kobietę na świecie, ale przyznać trzeba, że niestety był mężczyzną żonatym.

Niedługo po tym zadziwiającym wyznaniu Destinee zmarła we śnie, a oprócz zapachu słodkich ziemniaków 147

z wanilią i cynamonem, ostatniej potrawy, o której mó-

wiła w tym życiu, została po niej skrzynka drewniana z ubogim dobytkiem, parę sukienek, trzy pary butów, Biblia, której nie mogła czytać, bo nigdy się nie nauczyła, ale którą zawsze nosiła ze sobą do kościoła; a w Biblii, między psalmem siódmym a ósmym, ulotka wielkości kartki ze szkolnego zeszytu, zgięta wpół. Odbity na niej był wizerunek czarnej kobiety, stojącej bokiem, ale lekko zwróconej ku patrzącemu. Dzięki temu jej łono jest zasłonięte, jednak można dostrzec dwie nagie piersi, ku-liste jak połówki melona. Na szyi i wokół talii kobieta obwieszona jest sznurami koralików, z których zrobione są także ozdoby nad jej kolanami, na stopach ma dziwne buty przypominające męskie mokasyny. Prawą dłoń opiera na długiej żerdzi, szczupłe delikatne ramię wyciągnięte jest do przodu jakby w poszukiwaniu równowagi, przez lewy bark trzyma przewieszoną materię, a może skórę jakiegoś zwierzęcia, która zlewa się z tłem pozna-czonym sinymi plamkami pleśni. Część twarzy czarnej kobiety przykrywa maska, a może to malunek, trudno stwierdzić jednoznacznie na podstawie zatartego obrazka. Jej usta są pełne i niemal okrągłe, jak pulchne, miękkie O, tkwi w nich papieros, a może cygaro czy fajka, nie wiadomo, pewny jest tylko dym, który unosi się szarą spiralą ku postrzępionej krawędzi kartki. Włosy kobieta ma bardzo krótkie, gęsto pokrywają jej czaszkę, ozdabia je opaska, a pęk paciorków jak fontanna wytryskuje z czubka jej głowy. Najbardziej rzucającym się w oczy szczegółem wyglądu kobiety są potężne pośladki wy_

stające poniżej jej szczupłych pleców i wąskiej talii jak obła mięsista półeczka. Siedzi na niej amerek o policz-148

kach, których jaskrawy róż nie uległ zniszczeniu, mimo iż prawie nie widać jego oczu i dłoni, i celuje z łuku prosto w patrzącego. Nad głową amorka unosi się dymek z napisem, Take care of yo, i nie wiadomo, o co dbałość zaleca mały urwis usadowiony na pośladvkach półnagiej czarnej kobiety, bo dalej rozlała się brunatna plama, jakby zakrzepła tam kropla kawy albo krwi. Na dole obrazka zachował się napis, niewyraźny, ale wciąż możliwy do odczytania: Love and Beauty. Sartjee the Hottentot Venus. Venus z opowieści prababki Destinee, aktorka z Paryża! Mała Sara wpatrywała się w wizerunek kobiety i docierało do niej, że prababka nie kłamała, czarna Venus istniała naprawdę, choć wyglądała nieco inaczej niż w opowieści Destinee. Czarna Venus, kolekcjonerka rękawiczek, kochanka króla Napoleona, latająca na żyrandolu kryształowym, patrzyła na nią z obrazka przechowanego w Biblii prababki.

Sara, dziewczynka na progu kobiecości, uległa cza-rowi wizerunku i dzięki niemu po raz pierwszy zdała sobie sprawę z tego, jak wygląda; gdy w łazience przej-rzała się w lustrze, zobaczyła w nim czarną Venus, na której pośladvkach też zmieściłby się już amerek, i to całkiem spory. Od tego dnia nie pozwalała swojej babce La-Teeshy spinać sobie włosów kolorowymi kulkami w osiem sterczących rozków, tylko ogoliła je na krótko maszynką dziadka, by wyglądać jak kobieta z obrazka.

Przed zaśnięciem słuchała głosów dochodzących z ulicy i myślała o dalekich krajach, jedwabnych rękawiczkach, kryształowych żyrandolach, garnkach pełnych pieczonych słodkich ziemniaków na jakiejś plaży, o piasku tak białym, że przed jego blaskiem trzeba mrużyć 149

oczy. Czasem śniła jej się czarna Venus; patrzyła na Sarę oczami jak cytrynowe landrynki i nuciła w jakimś nieznanym języku, który składał się z cmoknięć i kląskania, i wydawał się jej niezwykle piękny. Sara powtarzała we śnie tajemnicze słowa i niektóre pamiętała po przebudzeniu, ale babka La-Teesha nie potrafiła jej powiedzieć, co znaczą, i na wszelki wypadek kazała zażyć aspirynę.

Niekiedy sny Sary były piękne i miała wrażenie, że huśta się na żyrandolu, o którym opowiadała jej prababka; po przebudzeniu zwlekała z otwarciem oczu, by cud kołysania wysoko, ponad głowami, dachami, nadal trwał choć przez chwilę. Ale zdarzały się sny straszne, gdy Sarze wydawało się, że Venus jest zamknięta w klatce; wyraż-

nie czuła jej gniew i przerażenie, słyszała głosy, krzyki i gwizdy, i po chwili widziała, że to ona jest uwięziona, naga, otoczona przez tłum gapiów. Ich twarze były ró-

żowosine jak surowe mięso kurczaka, policzki nabiega-

ły krwią z podniecenia, języki wyskakiwały z ust, oblizywały wargi układające się do krzyku: potwór, monstrum, czarna dziwka. Czy ja wyglądam jak czarna dziwka?

zapytała Sara rano babkę La-Teeshę, i najpierw dosta-

ła przez łeb, a potem dodatkową łyżkę tranu o smaku malinowym, który kupowały w American Values u Icka Kaca. La-Teesha widziała, że z wnuczką, którą wychowywała od maleńkości, dzieje

się coś dziwnego, słyszała, jak jęczy przez sen, ale tłumaczyła sobie, że to śmierć Destinee tak ją zasmuciła, i zaparzała jej wieczorem ru-mianek na uspokojenie. Trudniej było jej zaakceptować nową fryzurę Sary, która w przeciwieństwie do koleżanek nie chciała ujarzmić swojego afro i zaczynała wygłą-

dać na Bed-Stuy jak odmieniec. Do tego sprawiała często 150

wrażenie śniącej na jawie i wzdychała, ach, babciu, jak ja bym gdzieś pojechała, gdzieś daleko stąd! Gniewnym tonem powtarzała jej wtedy La-Teesha, baby, na Bed-

-Stuy jest twoje miejsce i nie szukaj winnych. Ooh, Bed-Stuy, ooh, Bed-Stuy. To chyba proste. Każda z nas jest czarna i winna, za to nie ma winnych wśród innych. Jesteś tu, gdzie jesteś, bo tu jest twoje miejsce, baby. Pójdziemy do zakładu janet, uczesze cię jak trzeba, nie ma co się wyróżniać bardziej niż potrzeba. Na Bed-Stuy, ooh, Ilcd-Stuy, ooh, Bed-Stuy, wzdychała i groźnie celowała we wnuczkę palcem, ale Sara pierwszy raz chciała czegoś tak wyraźnie, a jej pragnieniem było upodobnienie się do czarnej Wenus z ilustracji odziedziczonej po prabab-re Destinee. Kręcone włosy i ciemna skóra były na Bed-Stuy powodem dumy i zgryzoty zmieszanych w różnych proporcjach, zależnie od okoliczności zewnętrznych i indywidualnego charakteru; w momencie, gdy jedna z ingrediencji zaczynała dominować, pojawiały się kłopoty, i dlatego La-Teesha załamywała ręce. W gabinetach kos-metycznych i fryzjerskich Bed-Stuy, takich jak salon piękności janet, prowadzony przez przyjaciółkę La-Teeshy, od dawna oferowano zabiegi wybielające i rozjaśniające, a włosy prostowano, bo nikt nie chciał ich kręcić jeszcze bardziej. Dziewczynki w wieku Sary czekały na moment ukończenia szkoły, by móc pójść do fryzjera i poddać się bolesnemu i nierzadko niebezpiecznemu zabiegowi, któ-

ry na Bed-Stuy był rytuałem przejścia. Na nic przydałaby się tu umiejętność Tadeusza Kruka z Kamieńska, który trwałą typu baranek potrafił nakręcić w szesnaście minut, z zegarkiem w ręce. Na Bed-Stuy w użyciu był płyn do prostowania, który wypalał dziury w politurze i niszczył

czył paznokcie; gdy któraś kobieta mimo ostrzeżeń po-trzymała .go na głowie chwilę dłużej, włosy robiły jej się ciagliwe jak guma i wychodziły garściami, a skóra głowy łuszczyła się przez miesiąc i piekła.

Od śmierci Destinee i zmiany fryzury na taką, jaką miała. czarna Wenus, Sara czuła się coraz bardziej osamotniona w Bed-Stuy. Na lekcjach nudziła się i rozmierzona wpatrywała w okno, ale miała dobre oceny, a nauka przychodziła jej łatwo; nie budziła jednak sympatii koleżanek, które jej zdolność do zapamiętywania bez trudu stolic nieznanymi krajami i dorzecziami dalekich rzek były za zarozumiałość. La-Teesha codziennie, z wyjątkiem niedziel, o piątej dwadzieścia jechała metrem na Manhattan, gdzie sprzątała biura między siedemdziesiątym siódmym a osiemdziesiątym trzecim piętrem Empire State Building. Pozostałe piętra były podzielone między kobiety podobne do niej, z tym, że Wonda z Portoryko, Natasza z Ukrainy, Wiesia z Polski i Regina z Czechosłowacji przyjechały do Ameryki mniej wię-

cej z własnej woli, podczas gdy przodków La-Teeshy wyłapano, związane i wrzucono do ładowni statku.

Przed wyjściem do pracy zostawiała wnuczce śniadanie do szkoły zawinięte w szary papier. Sara wracała po lekcjach do wciąż pustego mieszkania na dolnym poziomie jednego z brązowych domów, żyły tam we dwie z babką, nie licząc przypadkowych lokatorek i dziadka, który pojawiał się i znikał. Gdy brakowało im grosza, podnajmowały kobietom przybywającym na Bed-Stuy bóg wie skąd i mówiących najróżniejszymi odmianami angielskiego malutką i zawilgoconą sypialnię, a Sara każdą z nich nazywała ciocią i cieszyła się ich obecnością. Zawsze rnia-152

ły jakieś ciekawe i skomplikowane powody, by przybyć na Brooklyn z jedną walizką albo i bez bagażu; zawsze były to kobiety, bo o mężczyznach, niezależnie od rasy, babka La-Teesha miała jak najgorsze zdanie. To monie, muzycy z bożej łaski, sukinsyny, pasożyty czekają na żarcie i oklaski. Sprzątam już od lat dwudziestu. Baby, wyteż wyobraźnię. Ruszysz się z Bed-Stuy za rzekę tylko do sprzątania. Wszystko zrobisz do połysku, ale nikt ci się nie kłania. Baby, wyteż wyobraźnię. Mówi fuck i nie powtórz tego w szkole. Mówię fuck i naprawdę to pierdołę, ooh, Bed-Stuy, ooh, Bed-Stuy. Sara kiwała -----

się w rytm babcinych wywodów i proponowała, że po-smaruje jej na noc plecy obolałe od schylania się przy myciu podłóg. Gdy La-Teesha odkryła, iż jedna z lokatorek, wysoka, potężnie zbudowana dziewczyna imieniem jai-Vonna, ukradkiem goli się w łazience i ukrywa pod nieprzyzwoicie krótkimi spódniczkami męskie ciało, wyrzuciła ją na zbity pysk przy akompaniamencie rytmicznych przekleństw, mimo protestów zafascynowanej urodą lokatorki małej Sary. jeszcze długo potem sam dźwięk imienia jai-Vonna kojarzył się Sarze z czymś pięknym i zakazanym: jai-Vonna w czerwonych butach za kolano i krótkim futerku o szalowym kołnierzu, jai-Vonna z ustami pomalowanymi najczerwieńszą ze szminek -

w wyobraźni Sary jai-Vonna należała do świata podobnie tajemniczego i pociągającego, co świat czarnej Wenus.

Czasem obie kobiety mieszały się w marzeniach i snach dziewczynki, zlewały w jedną potężną postać, jak bogini albo jej zmarła matka Shaunika, której nie poznała.

La-Teesha została babką w wieku trzydziestu paru lat, co nie wydawało się ani jej, ani sąsiadom niczym 153

nadzwyczajnym, podobnie jak fakt, iż mężczyźni, którzy byli sprawcami jej wczesnego macierzyństwa i jeszcze wcześniejszego babcieństwa, pojawiali się w domu przy Nostrand Avenue sporadycznie i zwykle nic z tego nie wy_

nikało prócz kolejnej ciąży lub awantury, podczas której przez okno wylatywały sprzęty, a niekiedy też zwierzęta domowe i ludzie. Po córce Shaunice La-Teesha urodziła jeszcze dwóch chłopców, którzy zmarli we wczesnym dzieciństwie na tę samą chorobę, stopniowo odbierają-

cą im zdolność poruszania się, potem łykania pokarmów, a w końcu oddychania, i pod koniec życia łapali powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. Miejscowi lekarze nie mieli pojęcia, co to za przypadłość, a na lekarzy zamiejscowych nie było pieniędzy, i śmierć dwóch chłopców La-Teesha przyjęła z podobną godnością i rezygnacją jak wszystkie wcześniejsze nieszczęścia.

Swojego męża, który raz na jakiś czas wyłaniał

się z niebytu, La-Teesha nazywała Johnny Torba Pełna Niespodzianek i wymawiała jego imię z taką intonacją, z jaką kobiety mówią o swoich nieznośnych dzieciach, by ukryć matczyną dumę, którą się czuje mimo braku jakichkolwiek powodów. Johnny! Stukał do drzwi zaroś-

nięty i śmierdzący dymem spelunek, w których grał na saksofonie i przegrywał w karty to, co zarobił, i wołał, kobiety, mam dla was torbę pełną niespodzianek! a ona była zła na siebie, że podobnie jak jej córka, a potem wnuczka, nie może opanować podniecenia i radości.

Otwierała mu drzwi ze srogą miną i w udawanej złości rzucała garnkami, przygotowując posiłek, a jej serce wyrywało się do tego wysokiego, przygarbionego mężczyzny wyglądzie zbitego spaniela, który umiał przybierać 154

na tę szczególną okazję. Pod groźbą śmierci nie przyzna-

łaby się, że zapach tytoniu, skóry i torów kolejowych, zapach, który kojarzył się jej z miłością i utratą, uważała za najpiękniejszy na świecie. Twój dziadek Johnny! mo-wiła do Sary, baby, wyteż wyobraźnię. Mówię fuck you, Johnny, i nie powtórz tego w szkole. Mówię fuck i naprawdę go pierdołę, a Sara chichotała szczęśliwa, bo dla niej ten nieodpowiedzialny, pojawiający się i znikający co rusz dziadek oznaczał świat i kuszącą możliwość zniknię-

cia z Bed-Stuy, która być może pewnego dnia stanie się faktem. Jak przyrzekała sobie z dzieciinną wiarą w cuda, ona nie ruszy stąd do sprzątanania jak La-Teesha, o nie, ona będzie podróżować z pompą i klasą jak Czarna Wenus. Po kilku dniach, a najwyżej tygodniach Johnny Torba Pełna Niespodzianek zniknął znowu i robił to dokładnie w tym momencie, gdy czujność La-Teeshy uśpiona została łózkowymi igraszkami i rutyną kilkunastu wspólnych posiłków na tyle, że zostawiała na wierzchu portmonetkę albo, co gorsza, kopertę z wypłatą. Brała wówczas dodatkowe prace i wywieszała w sklepiku Icka Kaca ogłoszenie o pokoju do wynajęcia, przytulnym, co było kłamstwem, i tanim, co odpowiadało prawdzie, a jej surowość i zasznurowane usta były jak samonałożona kara za chwilową słabość.

W kuchni, najjaśniejszym i najcieplejszym pomiesz-czeniu, gdzie toczyło się życie babki i wnuczki, wisiały portrety zmarłych synów i córki La-Teeshy, Shauniki Jackson, w ramce przystrojonej sztucznymi kwiatami. Mała Sara z nabożeństwem ozdabiała portret matki i nieznanymi dziecięcymi wujów nowymi różami i amarylisami, które zmieniała z okazji urodzin i świąt; żegnała się zamaszyście, jak uczyła ją babka, i całowała przez szkło 155

twarze zmarłych. Kwiaty do ozdoby portretów, podobnie jak wiele innych tanich rzeczy, plastikowych, podrabia-nych, niepełnowartościowych, można było kupić w sklepie American Values, należącym do polskiego Żyda Icka Kaca. La-Teeshy nie podobało się, że musi robić zakupy u obcego, zwłaszcza Żyda, komu na Bed-Stuy się podobało, ale nie mogła odmówić sobie przyjemności grze-bania w stosach majtek, nylonowych halek i ogromnych biustonoszy o dziwnym zapachu chemii i stęchlizny, w pudłach pełnych szklanej biżuterii grzechoczącej jak kości, w naręczach jadowicie różowych róż i tulipanów z przyklejonymi na wieczność kroplami wody. Pójdziemy do Żyda po kwiatki dla mamusi, mówiła i brała wnuczkę za rękę, to były dobre chwile.

Portret matki Sary pochodził z magazynu „Ebo-ny”, z artykułu o osiągnięciach edukacyjnych dziewcząt z Brooklynu, tam zamieszczono fotografię siedemnasto-letniej Shauniki Jackson z chmurną miną i rozchylonymi ustami, włosy okalały jej twarz jak czarna aureola, kości policzkowe były ostre i wysokie, a oczy żółte jak u kota.

Zdążyła zagrać rolę w amatorskim filmie reżysera z ich dzielnicy, który miał zrobić światową karierę, i zdobyła stypendium sportowe na stanowym uniwersytecie w Nowym Jorku, dzięki któremu miała wkrótce dokonać czegoś, co nie udało się jeszcze żadnej dziewczynie z jej ulicy - przerwać krąg biedy i wczesnego macierzyństwa.

Shaunika była podobna do swojego ojca, Johnny'ego Torby Pełnej Niespodzianek, i dlatego trudno było ją poskromić, ale jej obecność przynosiła radość taką, jaką czuje się przed nadejściem Bożego Narodzenia. Chodziła ubrana w sukienki, które ledwie przykrywały jej biodra, 156

i wbrew miejscowym zwyczajom nie prostowała włosów, mówiąc, że to już niemodne i że na Manhattanie nosi się afro. Latem 1963 roku Shaunika znalazła pracę w barze White Horse w Greenwich Village, gdzie czarne dziewczyny z Bed-Stuy nie zapuszczały się zbyt często. Zarabiała więcej niż jej matka na sprzątaniu i wyglądała na zadowoloną; La-Teesha podejrzewała, że maczał w tym palce jej ojciec, Johnny Torba Pełna Niespodzianek, któ-

ry podobnie jak wielu innych muzyków z Bed-Stuy i Har-lemu, znalazł dla siebie miejsce w tej gościnnej dzielnicy odmieńców różnej maści, żyjących w złudnym poczuciu braterstwa i rozprawiających o równości ras. Shaunika wracała na Bed-Stuy nad ranem, pachnąc słodkawym dymem i alkoholem zupełnie jak jej ojciec, a później nuciła melodie, które La-Teeshy wydawały się dzikie i straszne. Bredziła o kulcie pieniądza i wyjeździe na Wschód, gdzie jest prawdziwa duchowość, a La-Teesha stukała się w czoło. Kult pieniądza na Bed-Stuy? Wyjazd na Wschód?

Tłumaczyła córce Shaunice tak, jak potem będzie tłumaczyła wnuczce Sarze, baby, jest tak, jak jest, to chyba tak być musi, a jak nie wierzysz, to los cię zmusi. Kult pienią-

dza niech uprawiają bogaci, bo im się to bardziej trochę opłaci. Baby, na Bed-Stuy jest twoje miejsce i nie szukaj winnych. To chyba proste. Każda z nas jest czarna i winna, za to nie ma winnych wśród innych. Ooh, Bed-Stuy, ooh, Bed-Stuy. Zdaniem La-Teeshy na wschodzie czy na zachodzie panowała dla czarnych taka sama bieda jak na Bed-Stuy, a najlepszym miejscem dla przeżyć duchowych był kościół w ich dzielnicy. Matka Shauniki modliła się, by z tego wszystkiego nie wynikło jakieś nieszczę-

ście, a ponieważ niechciana ciąża była w życiu znanych 157

jej kobiet raczej normą niż szczególnym okrucieństwem losu, najwyraźniej albo nie uwzględniła tego punktu w li-tanii wznoszonej do nieba, albo władcy niebiescy zignowali ją tak samo, jak mieli w zwyczaju ci na ziemi.

Gdy Shaunika zaczęła tyć, La-Teesha westchnęła tylko, że jakoś to będzie, a kto wie, czy nie lepiej, niż gdyby miała studiować na uniwersytecie, gdzie czają się niebezpieczeństwa trudne nawet do wyobrażenia. Shaunika porzuciła college, a z baru w Village ją zwolnili, bo co to za barmanka z

brzuchem, i zaczęła pracować w sklepiku na Nostrand Avenue, należącym do starego Murzyna.

Właściwie odczuła ulgę podobną jak jej matka, bo tak naprawdę, mimo urody wielkiej i nieprzydatnej w czasie, gdy czarne modelki nie miały jeszcze szansy trafić na okładkę "Vogue'a" czy "Harper's Bazaar", czuła, że na Bed-Stuy jest jej dom, i nigdy nie miała potrzeby ucieczki, nie marzyła o dalekich podróżach. Stypendium sportowe zdobyła po prostu dlatego, że biegła najszybciej, ale nie stało się to jej pasją, nie interesowało jej dążenie do doskonałości i rywalizacja. Gdy po nocach spędzanych w ciemnym barze w Greenwich Village, gdzie spróbowa-

ła marihuany, wolnej miłości i LSD, które podobało jej się najbardziej, wracała na Brooklyn, swoje życie uważała za wypełnione i dobre; ziewała szeroko, pokazując idealnie równe, białe zęby. Shaunika wydawała się nieposkromiona; nieposkromiona, mówili, buńczuczna, bo jej uroda skłaniała ludzi do używania słów rzadko przydatnych na co dzień, ale naprawdę była po prostu niezdecydowana i nieprzewidywalna. Jedynym uczuciem, co do którego Shaunika nie miała żadnych wątpliwości, było pragnienie dziecka, pragnęła go gorąco od momentu, gdy odkry-

ła, że jest w ciąży, jakby sama ciąża stała się odkryciem jej prawdziwej natury. Została matką, zanim jeszcze poczuła ruchy płodu i rosnący ciężar, który w sposób cichy i nieubłagany skazywał ją na reprodukcję losu, jaki był

udziałem jej matki, babki i prababki. Ten ciężar sprawiał

Shaunice radość tak doskonałą, że wszystko, co zdarzy-

ło się wcześniej i co mogło zdarzyć się później, straciło znaczenie. Zaszła w ciążę podczas jednej z imprez, zaczynających się nad ranem po zamknięciu Białego Konia, a sprawcą był najprawdopodobniej pisarz imieniem Jack, o twarzy opalanej tropikalnym słońcem i wątrobie na wy-lot przeżartej alkoholem, którego młodzi ludzie w pro-cesie transformacji między bitnikami i hippisami wielbili jak boga. Mówił Shaunice o wolnej miłości i porównywał ją do bogiń o nieznanych imionach i wielkiej mocy, a któregoś razu dał jej do żucia włóknisty kawałek rośliny i poczuła, jak odrywa się od ziemi, a zamiast ramion ma dwa zielone skrzydła, opalizujące jak pawie ogon. Wy-frunęła więc z Białego Konia, poszybowała nad dachami Village, śmignęła nad rzeką Hudson i wylądowała na materacu w Soho, gdzie pierwsi artyści zaczynali zajmować opuszczone budynki fabryczek. To był pierwszy i ostatni lot pięknej Shauniki Jackson z Bed-Stuy, która wkrótce osiadła na ziemi i miała już tam pozostać.

W ciąży zaczęła tyć, obżerała się orzechowymi ciasteczkami i aromatyzowaną watą cukrową, którą podja-dała w sklepiku, nawijając na palec lepkie pasma słodyczy. Tycie sprawiało Shaunice przyjemność, jakby fakt, iż jej bezużyteczna wyjątkowość zacierza się i znika, a ona upodobnia się do kobiet z sąsiedztwa, utwierdzał

ją w jakimś tajemniczym postanowieniu. W tym czasie 159

Shaunika zaczęła spotykać się z Demarco, chłopakiem z tej samej ulicy, który gotów był związać się z nią, choć-

by ciężarną z innym i utytą, nawet jeśli własny ojciec z tego powodu wyzywał go od pedałów i bab, co było straszną obelgą, i pod tym względem Bed-Stuy nie różnił

się wcale od innych części Nowego Jorku i świata. Shaunika podobała się Demarco od momentu, gdy któregoś upalnego lata, krótko po zakończeniu roku szkolnego, zobaczył ją na huśtawce na szkolnym boisku. Z rozpalonego nieba spadła burza, jakby ktoś przeciął je nożem, a ona nie przestawała się huśtać; w rozpryskach wody rozpalały się małe tęcze. Shaunika zrzuciła białe lakierowane buciki i jej bosc stopy o różowym podbiciu wydały się Demarco najpiękniejszym widokiem w życiu.

Gdy ciężarna Shaunika wróciła na Bed-Stuy, Demarco chodził z Dedrą, chmurną dziewczyną o pięknych piersiach i zdecydowanym charakterze. Dedra przewodziła gangowi podobnie mrocznych dziewczyn, spędzających czas na przerabianiu słusznego gniewu na drobną i bez-sensowną przemoc wobec słabszych oraz nienawiść wobec obcych, których wybierały mało oryginalnie, ale za to zgodnie z lokalną tradycją. Nienawidziły więc białych, szczególnie Żydów, którzy mieli w Bed-Stuy sklepy, nienawidziły nauczycieli, szczególnie białych nauczycielek, które najczęściej były Żydówkami, i białych policjantów, a szczególnie Irlandczyków, nienawidziły rządu, o któ-

rym mało wiedziały, i kobiet, które zabierają innym kobietom mężczyzn, a te znały z własnego doświadczenia lub opowieści przyjaciółek. Demarco porzucił Dedrę bez żalu i finezji, nie biorąc sobie specjalnie do serca przysięgi zemsty, jaką mu złożyła zaraz po tym, jak dostał

160

od niej pięścią w nos. Od tej pory można go było zobaczyć przed domem La-Teeshy i Shauniki niemal zawsze, stał, palił papierosy, czyścił paznokcie końcem scyzoryka i z wprawą pluł na gołębie. Odprowadzał Shaunikę do sklepu, w którym pracowała, i czekał, gdy kończyła pracę, by z taką samą gorliwością towarzyszyć jej w krótkiej drodze do domu. Demarco przypominał La-Teeshy starego mopa, którym zmywała podłogę w biurach i toaletach Empire State Building, bo na końcu sylwetki chudej jak patyk wyrastał wiecheć dziwnych włosów, prawie prostych, sztywnych i gęstych, o kolorze smaru. Shaunika traktowała go z niedbałą obojętnością, pozwalała zabierać się na spacer, do wesołego miasteczka, na lody, do łóżka, w którym okazał się o wiele użyteczniejszy od pisarza imieniem Jack, choć nie miał równie ciekawych opowieści i nie porównywał jej do bogiń o pięknych imionach. La-Teesha nie miała najlepszego zdania o Demarco, ale przyjęła go z praktyczną otwartością kobiety, która całe życie musiała przebierać w rzeczach drugiego gatunku. Demarco deklarował chęć pomocy, a nawet ożenku z Shauniką, wspominając, iż jedno i drugie bę-

dzie możliwe, gdy tylko wypali wspaniały interes, który ma na oku; gdy interes okazywał się niewypałem, jego oko szybko namierzało kolejny. La-Teesha częstowała go więc smażonym ryżem i pieczonymi kurczakami przy niedzieli, mając nadzieję, że prędzej czy później interes uda się, a Demarco nie skończy przy tym w więzieniu.

Latem 1964 roku Shaunika była gotowa do wydania na świat dziecka, dla którego nie bez trudu skompletowały z matką wyprawkę, kupując w sklepie Icka Kaca wiklinowy kosz, parę kompletów pieluch i nowe zasłonki. Ten 161

jeden raz La-Teeshy udało się uchronić przez johnnym Torbą Pełną Niespodzianek skromne

oszczędności, ale i tak, znikając po raz kolejny, podwędził im nowe żelazko i - to już szczyt wszystkiego - butelkę płynu do prostowania włosów.

Z tego, co zauważyła La-Teesha, żaden czas nie był

dla Murzynki dobry na rodzenie dzieci, ale myślała sobie, że jakoś to będzie, bo zawsze jakoś było, mimo iż bieda na Bed-Stuy rosła, nie pamiętała dnia bez strzelani-ny, a w okolicy rzadko która matka nie straciła syna albo córki z powodu narkotyków. Pojawiały się ich straszne nowe odmiany, sprawiające, że krew zamieniała się w palący kwas, a kości miękły i gniły, zanim przychodziła śmierć, człowiek robił się w środku pusty jak wyjedzo-na skórka od kielbasy. Którejś bezsennej nocy La-Teesha usłyszała brzęk szkła i pobiegła do kuchni, gdzie zobaczyła najpierw błysk noża, a potem chwiejącego się na nogach potężnego mężczyznę, który nim wymachiwał

i zażądał pieniędzy. Panią Jackson, która nie mogła spać właśnie z powodu ich braku, tak niestosowność tego żądania oburzyła, że zaatakowała dwa razy większego od siebie intruza patelnią z resztkami fasoli i ryżu. Ooh, Bed-Stuy, westchnęła, gdy padł nieprzytomny na podłogę. Biali policjanci używali broni w czarnych dzielnicach, nawet wówczas gdy przestępca nie stawiał oporu, a czę-

sto nie mieli żadnej pewności co do tego, że w ogóle popełnił jakieś wykroczenie. Po zmroku strach było wychodzić z domu. Gdy w połowie lipca biały policjant, Irlandczyk, zastrzelił w Yorkville piętnastoletniego czarnego ucznia Jamesa Powella, zamieszki najpierw ogarnęły Harlem, ale wkrótce dotarły na Bed-Stuy, Przekazywano 162

sobie z ust do ust historię, która karmiła się gniewem i narastała jak sękacz. Podobno bawiących się pod szko-

łą chłopców policjant zaatakował bez żadnej prowokacji z ich strony; trzy strzały trafiły chłopca w serce, brzuch i oko. Trzy strzały! Strzelaj, zabij jeszcze jednego czarnucha, krzyczała jakaś dziewczyna i wkrótce był ich tłum, rzucali butelki, rwali chodnikowe płyty, gniew emanował

z ich ciał i jak ciemna chmura gromadził się nad miastem.

Narobiło się, westchnęła La-Teesha i zakopała w ogród-ku puszkę z kilkoma najcenniejszymi rzeczami, tak na wszelki wypadek. Cegły wpadały przez Wybite okna do domów, których mieszkańcy siedzieli pod stołami albo w szafach, płonęły samochody, a sklepy były demolowane i okradane, zwłaszcza jeśli należały do Żydów, bo irlandzkich sklepów nie było pod ręką. Bunt w lipcu 1964

na Bed-Stuy był cichy, ta cisza przerywana strzałami, tu-potem nóg, krzykiem, który milkł jak ucięty - to zapamiętała La-Teesha, straszną ciszę, która była pomiędzy.

Shaunika nie powinna była tego wieczoru wychodzić i zupełnie nie wiadomo, co ją podkusiło; ktoś ją wy-wabił, tego La-Teesha była pewna. Ubrana w czerwoną sukienkę, bez torebki, bez pieniędzy, poleciała. Tylko na chwilę, przejdę przez podwórza, kto by ruszył kobietę w ciąży. Gdy nie wróciła po godzinie, matka zaczęła się niepokoić, a kiedy Demarco, zdyszany i z zakrwawionym czołem, zastukał w okno kuchenne i zapytał, gdzie Shaunika? wpadła w histerię. Szukali jej przez kilka godzin

wzdłuż Nostrand Avenue i w bocznych ulicach, w parku, i u wszystkich znajomych, wołali Shaunika! i dawali się zwieść, gdy w ciemności jakaś postać wydała się do niej podobna. Nad ranem stracili czujność i wtedy 163

wpadli na młodego białego policjanta, który krzyknął, by się zatrzymali i podnieśli ręce, byli o nie więcej niż dziesięć kroków od niego i w końcu mógłby się wykazać na służbie w dzielnicy, którą traktowano w nowojorskiej policji jak zesłanie. Zatrzymać się i podnieść ręce, to komenda, na którą Demarco miał reakcję we krwi, podobnie jak wszyscy, którzy wiedzą, że są uznani za winnych, zanim im się cokolwiek udowodni, a udowodni im się, gdy się zatrzymają i podniosą ręce; krzyknął więc do La-

-Teeshy, uciekaj, mamuśka! Ruszyli ulicą wzdłuż domów z brązowej cegły, pod ciemnymi oknami, potem przez podwórza i małe ogródki, w których suszyła się bielizna, wśród komórek pełnych nie wiadomo czego i psich bud.

La-Teesha wiedziała, że dłużej nie jest w stanie biec; wtedy padł pierwszy strzał i zmobilizowała się do dalszego wysiłku. Mimo iż była silną kobietą i potrafiła tak wyżyć pościel w rękach, że nie zostawała ani kropla wilgoci, to stanowczo nie stworzono jej do biegu; biegła z nogami złączonymi w kolanach, kołysząc się z boku na bok i podtrzymując biust. Chciała powiedzieć Demarco, , by uciekał bez niej, już ona sobie jakoś poradzi, ale nie mog-

ła wydusić ani słowa; znów padł strzał i pocisk przeleciał tuż koło policzka La-Teeshy w parzącym podmuchu powietrza, potknęła się i wtedy zobaczyła, że wejście na zaplecze American Values jest uchylone, a Icek Kac daje im znak. Wchodźcie! Drzwi zatrzasnęły się w porę, zgrzyt zasuw, usłyszeli, jak tuż obok przebiega pościg i milknie w oddali.

W pozbawionym okien magazynie paliła się jedna mrugająca świetlówka, której blask padał na naręcza sztucznych kwiatów, stopy plastikowych owoców, pan-164

demonium lalek o lśniących oczkach i blond włosach, którymi lubiły bawić się dziewczynki z Bed-Stuy. Ściany kanciapy, która służyła jako magazyn, ale najwidoczniej była też pokojem, bo stała tu kanapa, krzesło i stolik, obklejone były zdjęciami, jedno przy drugim, setki zdjęć, jedno przy drugim od podłogi do sufitu. Patrzyli na siebie przez chwilę bez słowa, aż Icek powiedział, rozgość-

cie się, sąsiedzi; La-Teesha wtedy po raz pierwszy przyjrzała się jego twarzy w kolorze papieru do pakowania i smutnym brązowym oczom, pomyślała, że pamiętała go zupełnie innego, podobnego do Żydów z karykatur, w czarnych chałatach, z wielkimi nosami. Nocni goście usiedli na kanapie, a Icek zaparzył na gazowym palniku kawę mocną jak smoła; La-Teesha piła ją małymi łydkami, czując, jak płyn rozjaśnia jej myśli i pamięć, a Demarco, od zawsze cierpiący na niemożność skupienia uwagi na czymkolwiek dłużej niż przez chwilę, co było przyczyną jego szkolnej udręki i nieudanych interesów, po pierwszej filizance zasnął z głową opuszczoną mię-

dzy kolana podwiniętych nóg. Icek Kac był jedyną osobą, która wtedy mówiła, w tę noc przemocy chciał opowiedzieć inną historię, jakby historia jego ocalenia mogła przeważać na dobrą stronę szalę tego złego, co działo się właśnie na ulicach Bed-Stuy.

W Kamieńsku, mówił Icek Kac, najważniejsza była ulica Prosta, wybrukowana kocimi łbami; wzdłuż stały parterowe domy w dwóch szeregach, ciasno przylegając do siebie ramionami, z tyłu były ogródki warzywne.

Ani La-Teesha, ani Demarco nigdy przedtem nie słyszeli o miasteczku Kamieńsk, gdzie rodzice Icka Kaca, Herszel i Gołde, mieli sklep żelazny. Naprzeciwko była cukier-165

nia Mateusza Suligi, który uczył go boksu na szkolnym boisku i zawsze miał umięcone włosy; takich rogalików z różą, takich napoleonek nigdzie potem Icek nie jadł, jak w tej małej cukierni w Kamieńsku. Po lewej stronie cukierni, mówił Kac, był zakład fotograficzny Ludka Borowica i jako mały chłopiec często stawał przed witryną, patrząc na wystawione zdjęcia ślubne, ze chrztu, z bar micwy, zrobione na okoliczność podarowania ukocha-nemu, ukochanej, wysłania za granicę do narzeczonego, narzeczonej, na zwykłe zdjęcia legitymacyjne. Icek nie wiedział, czemu doznawał przed wystawą fotografa Ludka Borowica uczucia takiego smutku, że nie mógł

powstrzymać łez, jakby z wizerunków mieszkańców Kamieńska, Kocierzowej i Gorzkowic sączyła się jakaś straszna wiedza, której nie potrafił ująć w słowa albo na którą słów nie było. Małego Icka Kaca przerażała nie-ruchomość zdjęć, mających w intencji fotografowanych zatrzymać życie, a jedynym sposobem na to jest unie-ruchomienie, a więc śmierć. Tak wtedy myślał. Stał tam i patrzył na bezruch i trwanie twarzy poważnych, ułożonych w wymuszony uśmiech, na uróżowane usta kobiet dłonie mężczyzn oparte na poręczach foteli, ozdobnych główkach lasek, na dzieci w białych becikach, w zbyt po-ważnych odświętnych ubrankach, o oczach lśniących jak szklane kulki, i wydawało mu się niemożliwe, że po takim znieruchomieniu mogło nadal toczyć się życie - że zetkną się wargi oddalone w uśmiechu, opadnie na czo-

ło odgarnięty lok, dłonie uderzą w kolana, że, uch, nareszcie koniec tego pozowania, zwiędną kwiaty uwiecz-nione w kryształowym wazonie, a Ciocie Herbatki i ich Grażynka, najpiękniejsza dziewczynka w miasteczku Ka-166

nieńsk, wstaną z huśtawki i powiedzą, dziękuję bardzo, panie Ludku, za zdjęcie, do widzenia. Icek Kac pamięta dobrze kolejność fotografii w witrynie ostatniej jesieni, jaką spędził w Kamieńsku: od lewej stało zdjęcie Marka Słowika z krową, zwyciężczynią konkursu rolniczego, potem ślubne Mateusza Suligi z Beatą Suligą z domu Ko-peć, obok zaraz Fabrykant Antoni Mopsiński z małżonką Józefina o nieobecny wyrazie twarzy, z synem Napciem w marynarskim ubranku, następnie Aurelia Borowiecka, nauczycielka muzyki w otoczeniu swoich kilkunastu uczniów polskich i żydowskich, dróżnik Barnaba Midziak bez zbędnych upiększeń zdjęty do dokumentu, Franciszka Pyłek podobnie, i dalej Ciocie Herbatki z Grażynką na ławce-huśtawce, sama Grażynka, najpiękniejsza dziewczynka, jaką w życiu widział, ale to już chyba mówił, raz nawet się pobił o nią z Napciem Mopsińskim; a więc Gra-

żynka w sukience tak białej i puchatej jak beza, a w koń-

cu cała rodzina Kac oprócz niego, Icka Kaca, syna trzeciego z kolei, bo celowo zapodział się tego dnia, gdy jego rodzina zrobiła sobie zdjęcie, pierwsze i ostatnie w zakładzie Ludka Borowica. Gdy patrzył na fotografię swojej rodziny, uczucie osamotnienia, które czuł zawsze, potęgowało się, bo miał przed oczami namacal-ny dowód, że oni wszyscy są tam, a on tu. Fakt, iż /cek był dzieckiem

środkowym, sprawiał, że łatwiej było mu ujść rodzicielskiej uwadze; dzięki temu częściej niż star-si bracia wywijał się od kary, ale niestety częściej omijały go też nagrody, których przydzielanie rodzice zaczynali od najmłodszej córki lub od najstarszego syna. Gdy /cek Kac stał przed witryną zakładu Ludka Borowica i patrzył

na swoich bliskich, doznawał dziwnego uczucia, że ich 167

nieruchomy wizerunek jest prawdziwszy od rzeczywistości. Ojciec Icka, małowówny chudy mężczyzna o wielkich oczach, matka ze znamieniem w kształcie kwiatu wiśni na policzku, bracia i mała siostra z rączką wyciąg-niętą w kierunku obiektywu budzili w nim tęsknotę, jakiej nigdy przedtem nie zaznał i o której wiedział, że nigdy jej nie ukoi. Wystarczyło odwrócić się, przebiec ulicę Prosta i zobaczyć żywego ojca za ladą sklepu że-laznego, żywą matkę siekającą wątróbkę tak szybkimi ruchami, że zacierał się kształt dłoni i tylko ostrze noża lśniło w kuchni, po której w poszukiwaniu czegoś słodkiego kręcili się jego bracia i siostra. A jednak Icek stał

przed rodzinną fotografią, na której go nie było, i oplakiwał rodzinę, choć miał ją dopiero utracić.

Gdy rodzinę Kac i wszystkie inne żydowskie rodziny wywieźli do getta w Radomsku, Icek był jednym z nielicznych, którym udało się uciec. Trzy tygodnie przesiedział w lesie na skraju bagien, gdzie co kilka dni jedzenie przynosił mu Mateusz Suliga. Znał ten las mię-

dzy Kleszczową a Gorzkowicami jak własną kieszeń, wi-klinowe zarośla, olszyny i wysoką trawę poprzerastaną nitkami wody, wiedział, że najlepszy pies traci tu ślad, a po zmierzchu zapalają się ogniki umarłych. Bez strachu zapuszczały się tu tylko Cioce Herbatki. Jednak teraz las był inny i Icek zdawał sobie sprawę, że jego los zależy od czegoś o wiele potężniejszego niż on sam.

Spał w dzień, a nocą leżał w trawie i czuł, jakby las był

wielkim dobrym zwierzęciem o wilgotnej sierści; wtulał w nią twarz i mocno wciągał powietrze, przylegał ca-

łym ciałem do podłoża, jakby chciał w nie wniknąć. Nie myślał o rodzicach, braciach i siostrze takich, jakimi ich 168

widział ostatni raz, matkę ze znamieniem w kształcie kwiatu wiśni, siostrę z ustami ułożonymi w podkówkę jak zawsze, gdy próbowała pokazać, że jest już duża, i powstrzymać płacz, ojca, który szepnął, uciekaj, synku.

Żadne siedmioro, sześcioro dzieci ma, przysięgała matka Kac, a na dowód pomyłki pokazała to samo zdjęcie, które stało w witrynie zakładu, proszę bardzo, fotografia nie kłamie, oto jej pięciu synów i córka, oto ona i jej mąż oraz walizka spakowana jak należy. Ukryty w lesie Icek Kac myślał o fotografiach w witrynie zakładu Ludka Borowica, powoli przypominał sobie każdą bliską osobę, w co była ubrana, jak trzymała dłonie, jak światło padało na jej twarz, uwieczniając uśmiech lub brak uśmiechu, a gdy doszedł do końca, zaczynał jeszcze raz, aż słońce wschodziło nad bagnami i budziło go do życia. Icek Kac nigdy więcej nie zobaczył ani rodziców, ani rodzeństwa; wszyscy zginęli w Treblince, gdzie wywożono Żydów z getta w Radomsku.

Być może fakt, iż Icek był środkowy, sprawił, że nie-budzące wątpliwości cechy semickie rodziców i rodzeń-

stwa w nim były rozmyte, wyrosnięty ponad swój wiek chłopiec o odstających uszach, włosach ani ciemnych, ani jasnych i oczach w kolorze suchych sosnowych szy-szek nie miał złego wyglądu w tych czasach, gdy wygląd znaczył śmierć lub życie. Mateusz Suliga wywiózł go do Częstochowy, gdzie w sierocińcu prowadzonym przez Siostry Adoratorki Krwi Chrystusa Icek został pomoc-nikiem ogrodnika i razem z ubraniem roboczym i starą czapką z daszkiem otrzymał imię Jaś; tam po raz kolejny spotkał Grażynkę. Grażynka, powiedział \ceK Kac, ale La-Teeshe nie znała takiego imienia, więc przeliterował

169

Grażynkę powoli, z namaszczeniem i nawet Oemarco obudził się na chwilę, czując, że dzieje się coś ważnego, gdy La-Teesha szturchnęła go w bok. Grażynka, powtó-

rzyła La-Teesha, najlepiej jak umiała, Grażynka, po-wtórzył za nią raz jeszcze zaspany Dernarco, bo czuli, że tak należy się zachować w tę dziwną noc i że wy-powiedzenie tego imienia jest wszystkim, czego Icek Kac, właściciel sklepiku American Values, od nich ocze-kuje w zamian za schronienie. Grażynka mówiła, że ma dwanaście lat, opowiadał dalej Icek Kac, ale wyglądała na więcej. Przychodziła do ogrodu sierocińca i zrywa-

ła truskawki, jesienne truskawki, małe i prawie czarne, naj słodsze; miała szarą sukienkę jak inne dziewczynki, choć dla niego inne dziewczynki nie istniały, i słomiany kapelusik z niebieską wstążką w groszki, patrzyła na niego spod wystrzępionego ronda i wkładała truskawki do ust. Icek był gotów zrobić dla niej wszystko. Gdy siostra Bernadeta złapała ich w szopie na narzędzia, Icek musiał

odejść z sierocińca Sióstr Adoratorek Krwi Chrystusa, bo przyjęto go tam do pracy, a więc jako dorosłego, a nie dziecko. Grażynka na pożegnanie dała mu prezent, wybiegła za nim na ulicę, chociaż furtianka Genowefa darła się jak stare prześcieradło, rany boskie, wracaj, cholero!

Powiedziała, żeby sprzedał, zamienił na jedzenie, zrobił, co zechce, z nocnikiem Napoleona, jemu bardziej się przyda, bo rusza w drogę, a po nią niedługo przyjadą Cioce Herbatki, jest tego całkowicie pewna, podobnie jak nie wątpi, że obojętny będzie im los nocnika. Icek Kac patrzył na Grażynkę i starał się zapamiętać złotą skórę, piegi na nosie, szarą sukienkę, ale kręciło mu się w głowie i obraz przed oczami zamazywał się jak wi-170

dziany przez spływającą deszczem szybę. Nie płacz, powiedziała Grażynka, nigdy cię nie zapomnę, zawsze cię będę kochała, i były to dokładnie te słowa, które pragnął

usłyszeć. Odnajdę cię, chciał obiecać Grażynce, ale nie trzeba było takich obietnic, bo Icek Kac, sierota z Kamieńska, miał wprawę w traceniu tego, co kochał, i z jakiegoś powodu wiedział, że nigdy już nie zobaczy Gra-

żynki, chociaż będzie jej szukał bez wytchnienia.

Może dlatego udało mu się przeżyć i gdy skończyła się wojna, pojechał do Kamińska, jednak Napoleonów-ka stała pusta, powiedziano mu, że Ciocie Herbatki wró-

ciły, ale niedługo po powrocie utonęły, chociaż niektórzy w barze Kurka utrzymywali, że nie utonęły, a zamieniły się w syreny i popłynęły Kamionką do morza. Grażynka znikła parę dni po Ciociach Herbatkach i nigdy nie wróci-

ła, co do tego nie było wątpliwości, jedni mówili, że wyjechała do Piotrkowa Trybunalskiego albo do Warszawy, inni, że jaki tam Piotrków, jaka tam Warszawa, do Ameryki, do samiuśkiego Nowego Jorku poleciała z jednym takim z Radomska, co się na wojnie dorobił. Na to Marianna Gwóźdź, księża gospodyni, wybuchła, a z jakim tam z Radomska, nie wie, a gada, z żadnym z Radomska, z fryzjerem uciekła, z Tadeuszem Krukiem, co to znikł

jak kamfora w tym samym czasie; Icek w tę ostatnią hi-potezę nie uwierzył. Pojechał do Warszawy i Piotrkowa, do Gdańska i Białegostoku, Wrocławia, Szczecina i Wał-

brzycha, wybierał duże miasta, bo w sierocińcu Grażynka mówiła mu, że chciałyby w takim mieszkać, a po drodze wysiadał w mniejszych, był w Koluszkach, Legnicy, Skierniewicach, Grudziądzu, Szczawnie Zdroju, bo przecież nie zawsze trafia się tam, gdzie by się chciało; Icek Kac
171

szukał Grażynki we wszystkich miejscach, które podpowiadało mu jego biedne serce. Nie pozbył się nocnika Napoleona, nie spieniężył ani nie zamienił, bo ten przedmiot stał się rekwizytem pozwalającym leкови przekła-dać swoje pragnienie na opowieść zrozumiałą dla innych.

Szukam jednej kobiety, mówił, ocaliła mi życie, muszę jej podziękować i oddać cenną rodzinną pamiątkę, nocnik Napoleona, który dla niej przechowałem.

Swoje poszukiwania Icek Kac zawsze zaczynał od witryn fotografów, bo pamiętał, jak bardzo Grażynka lu-biła robić sobie zdjęcia, i nieraz zdawało mu się, że ją rozpoznaje. To ona, Grażynka, była zdjętą do legityma-cji elegantką w zakładzie, który ocalał w morzu ruin na warszawskiej Woli, ona była w Koluszkach roześmianą młodą matką o wysokiej fryzurze trzymającą niemowlę, to nie szkodzi, że ma dziecko, pomyślał Icek; ama-zonką była Grażynka w Białymstoku, ze szpicrutą na karym koniu, coś takiego, nauczyła się jeździć konno, westchnął z podziwem; druhną była Grażynka na czymś ślubie w Piotrkowie Trybunalskim, w eleganckim białym kapeluszu ozdobionym kwiatami i sukience z dekoltem jak śmietanka; jedną z sześciu kobiet na pikniku była i przysięgłby Icek, że owoc, który trzymała w dłoni i już, już miała zjeść, to jesienna truskawka; to ona, Grażynka, tańczyła na zdjęciu z festynu w Skierniewicach i dansingu w Legnicy, ona w sukience w groszki i słonecznych okularach śmiała się połową twarzy, bo druga połowa została niedoświetlona; ona mogłaby być tą mniejszą, przeciętą strugą światła postacią na tle stawu z niewyraźnej fotografii, którą dostał od młodzieńczego fotografa w Szczawnie Zdroju; i ona, z całą pewnością ona, 172

obejmowała ramieniem jakąś starszą panią o wyglądzie jaszczurki na fotografii w Wałbrzychu - ale nikt nigdzie nie potrafił naprowadzić Icka na właściwy trop. Po jakimś czasie Icek zauważył, że obraz dziewczynki jeżdżącej truskawki w ogrodzie sierocińca zatarł się w jego pamięci, podobnie jak zatarł się obraz zamordowanych w obozie rodziców i rodzeństwa; nałożyły się nań wszystkie zdję-

cia, które widział we wszystkich miastach i miasteczkach, gdzie szukał Grażynki Rozpuch, od Wałbrzycha po Nowy Jork.

Fotografie stały się dla niego tak samo niezbędne jak wspomnienie i zaczął zbierać je z obsesyjnym przy-musem. Oto one, Icek Kac pokazał na ściany, na każdym zdjęciu jest coś, co w jego pamięci wiąże się z Grażynką i wszystkim, co utracił; czasem są to kobiety w różnym wieku, które mogłyby być Grażynka w kolejnych fazach życia, czasem słomkowe kapelusze, jakie nosiła w sierocińcu, czasem tylko szczególny sposób, w jaki cień padał

na jej twarz; ma całą kolekcję takich cieni. W ten sposób może wierzyć, że przeszłość była i nadal trwa, a on tylko dzięki przeszłości żyje; jej obecność czuje też w muzeum, czy La-Teesha widziała na przykład mumie w Met? Nie?

To musi koniecznie zobaczyć, gdy patrzy się na mumię wystarczająco długo, można uwierzyć, że kiedyś w jej miejscu było życie, pulsowała krew, powiedział Icek Kac, a La-Teesha zadrżała. Mumie! Ci Żydzi, pomyślała, mają jednak dziwne pomysły, choć zdarzają się wśród nich przyzwoici ludzie. Zapadła cisza, w której słychać było tylko pochrapywania Demarco, a La-Teesha patrzyła na zdjęcia, prawdziwe fotografie o rowkowanych brzegach i te wycięte z gazet, na zupełnie do siebie niepodobne 173

kobiety, truskawki, kapelusze, pociągi, ulice, cienie. I co, zapytała La-Teesha, twoja Grażynka rzeczywiście przepadła na zawsze? ja przepadłem, odpowiedział Icek Kac i uśmiechnął się do niej.

Słońce wstało tego dnia wielkie i czyste, jakby wy_

kapane w oceanie, i ludzie z Bed-Stuy przecierali oczy, zastanawiając się, jak to możliwe, jeszcze parę godzin temu mieli wrażenie, że nastąpił koniec świata, a tu proszę, taka pogoda, wiatr szeleści w liściach drzew.

Wprost nie do wiary i można by nie uwierzyć, gdyby na ulicach nie leżało szkło, gdyby wciąż nie czuło się dymu i palonej gumy. La-Teesha była dobrej myśli, gdy wracała do domu; sklep na rogu ich przecznicy był już otwarty, kupiła więc paczkę tostów, masło orzechowe i słoik wi-nogronowej galaretki w promocyjnej cenie. Myślała, że opowie o wszystkim Shaunice, razem zastanowią się, jak się odwdzięczyc leкови Kacowi, może placek z orzecha-mi nerkowca mu upieką, ale przedtem najchętniej przy-lałaby córce za te nerwy. Gdy zobaczyła czekających pod drzwiami policjantów i gdy zapytali, czy pani jest matką Shauniki Jackson? nie straciła jeszcze nadziei. Nie straciła jej do końca nawet wówczas, gdy powiedzieli, że w parku przy Nostrand Avenue znaleziono czarną dziewczynę lat około osiemnastu, była w ciąży, ubrana w czerwoną sukienkę, włosy krótkie, kręcone. Nie żyje? jeszcze w policyjnym samochodzie łudziła się La-Teesha, że to pomyłka, źle rozpoznali; wiele ciężarnych nastolatek na Bed-Stuy, wiele czerwonych sukienek. W pośpiechu, w złym świetle łatwo powiedzieć, to Shaunika Jackson, a potem się świeci oczami, że jednak nie, to zupełnie obca dziewczyna. Kostnica na Bed-Stuy, tu panował koś-

cielny chłód i pachniało trochę jak w sklepie Icka Kaca, chemią i czymś, co już zaczęło się psuć

mimo zimna; czy jest gotowa zidentyfikować ciało? jak można rozpoznać ciało, jeśli znało się tylko osobę żywą, z różowymi paznokciami i ciepłą skórą, pod którą pulsowała krew.

Zidentyfikować ciało? La-Teesha czuła, jak wzbiera w niej krzyk, ale nie wiedziała, że żaden nie będzie wystarczający na to, co ją czeka.

Twarz Shauniki pozostała nietknięta, ale jej brzuch został przecięty od pępka w dół tak, jakby ktoś rozkroił

arbuz tępy nożem, brzegi skóry odstawały, były ciemno-czerwone. Zasnęta krew, pod spodem żółtawa tkanka, pępek w kształcie strzałki wskazującej w dół; La-Teesha miała taki sam ślad po matce. Nożyczki, powiedział policjant, to były nożyczki, i jeszcze wtedy La-Teesha milcza-

ła. Patrzyła na brzuch swojego dziecka, który wczoraj był

pełen życia, ciasno opięty skórą o kolorze i zapachu cynamonu. Dziecko, powiedział policjant, w środku nie było dziecka. Dziecko? W środku czego? zapytała La-Teesha, zrozumiała, i wtedy dopiero zaczęła krzyczeć.

IV

Dominika wychodzi na dach i siada pod ścianą, obejmując kolana ramionami; nie może spać. Zamyka oczy, ale zamiast snu pojawia się jezioro topielicy-paję-

zczy; jest dno usiane kośćmi, zapach spalonego mięsa, czarna wołga, białe schody, a wszystko to jakby w lustrze odbite w ciemności wody. jest ogień u góry, płonie i roz-175

lewa się po powierzchni, a potem wypala w niej dziury i spływa w dół, strugi ognia. Dominika wie wtedy, że nie zaśnie, bo gdyby zapadła w sen, znalazłaby się pośrodku dwóch śmierci, ogniowej i wodnej.

Dominika wstaje i po cichu, by nie obudzić innych lokatorów domu przy Siódmej Ulicy, wychodzi na dach. Jest sierpień, miasto pulsuje, jakby zbudowano je na grzbiecie śpiącego zwierzęcia o szybko bijącym sercu. Dociera tu smród z ulicy, wszechobecny odór ka-nalizacji i śmieci, ale powietrze jest trochę lepsze niż na dole. Spadają gwiazdy, jakby ktoś co chwilę odłupywał kawałek lśniącego tynku, dach, lekko zapadnię-

ty ku środkowi, gdzie zbiera się brudna woda, pokryty jest srebrną powłoką, która być może zawdzięcza kolor gwiazdnym okruchom. W jego lśniącej powierzchni odbijają się światła miasta i księżyc, przemykają cienie samolotów i wielkie brązowe karaluchy; kakrocie, mówi się na nie w domu przy Siódmej Ulicy. Ameryka to kró-

lestwo kakroci, ich nawet bomba atomowa nie zabije, na jednego martwego rodzi się sto nowych, pomstuje pani Stenia i wie, co mówi, bo od kilkunastu lat sprzą-

ta amerykańskie mieszkania. Dach domu przy Siódmej Ulicy w East Village, w którym mieszka Dominika, zawsze przecieka i nie jest to jedyna wada tego lokum dla ubogich. Łatwo tu trafić,

wystarczy zapytać o polski kościół, a biało-czerwoną flagę, która powiewa przednim na maszcie, widać z daleka. Jak swojsko! ucieszy-

ła się Jadzia, której Dominika wysłała zdjęcia swojego nowojorskiego domu. W przykościelnej kamienicy z tanimi pokojami znajdują schronienie ci, którzy nie mają lepszego wyjścia, i zwykle zostają na dłużej, bo dobre 176

wyjścia stają się stąd jeszcze mniej widoczne, a często nie widać żadnego oprócz podświetlonego exit na klatce schodowej. Gdy pada deszcz, gumowata farba, którą pomalowano sufit w pokoju Dominiki, zaczyna uwypuklać się, jakby wyrastał w tym miejscu wielki pryszcz, a po kilkunastu minutach zwisa już bąbel wielkości melona i wypełnia się wodą do momentu eksplozji, a wtedy ratuj się, kto może! Krater o postrzępionych brzegach zasycha aż do następnego deszczu, gdy bąbel wykwita w innym miejscu sufitu, i znowu trzeba podstawiać garnki i miski, by nie utonąć. Dominika robi zdjęcia kolejnych faz katastrofy, podobnie jak wielu innych rzeczy, które mało kto uznałby za godne fotografowania, nawet w Nowym Jorku. Opakowanie po chińskim jedzeniu na wynos, w którym wyrosła trawa, dziecięca zabawka wdeptana w błoto, włoskie lody powoli rozpuszczające się na chodniku, ściana klatki schodowej zaniedbanego budynku na Szóstej Ulicy z łuszczącymi się warstwami farby, stopy ludzi w metrze, ich dłonie trzymające torby, uchwyty, inne dłonie. Pokój przy polskim kościele w East Village to kolejny przystanek w wędrówce Dominiki Chmury, ale gdy wraca tu po pracy, mówi, idę do domu, i robi tak nie tylko dla wygody, ale też w umacniającym się poczuciu, że innych domów niż chwilowe nie będzie miała.

W jej malutkim pokoju mieści się łóżko, półka, miniaturowa lodówka, którą Dominika znalazła na ulicy podobnie jak wiele innych przydatnych przedmiotów.

W rzeczach interesuje ją tylko użyteczność i możliwość sfotografowania, gromadzenie przedmiotów uważa za bezcelowe w jej życiu nomady. W przeciwieństwie do 177

znalezisk, które górnicy z jej rodzinnego Wałbrzycha przywozili z niemieckich ulic, tutejsze rzeczy rzadko są porządne i kompletne; przeszły przez wiele rąk, zanim kolejne podniosły je z chodnika, a wszystkie traktowały je po macoszemu. Niektóre rzeczy wędrują tak po East Village od lat; niekiedy ktoś zaciągnie jakąś sztukę aż do Bowery czy w drugą stronę, do Union Square, ale tylko patrzeć, jak stare krzesło, ratanowa komoda czy wok, który niejednego już wykarmił i na zawsze nasiąkł aromatem czosnku i curry, znów wyłoni się na Dziewiątej albo przy Tompkins Square, gdzie będzie czekać na nowego właściciela. Niepotrzebne ubrania zostawia się tu na sztachetach metalowych płotów, gdzie sweterki, koszule i spodnie zwisają jak martwe stwory o odnóżach poruszanych przez wiatr, aż jakieś ręce zdejmą je, sprawdzą pod światło na okoliczność plam i dziur, i zabiorą bądź nie. Gdy przyjdzie pora ruszać dalej, Dominika zostawi wszystkie swoje rzeczy bez żalu, nawet znalezioną niedawno piękną lampę na mosiężnej nóżce, bo nie wy-

obrazi sobie domu, do którego chciałyby stąd cokolwiek zabrać. Mimo niemal zawsze otwartego okna i kadzide-

łek o zapachu paczuli w domu przy Siódmej Ulicy unosi się niemożliwy do usunięcia zapach suszonych grzybów, jakby zapomniane przeleżały lata całe w czyjejś spizarni; wgryźł się w ściany i zniszczoną podłogę. Dominika szuka obrazów odpowiadających temu zapachowi i robi zdjęcia;

ciemne, niewyraźne wizerunki rzeczy, fragmentów twarzy i ciała, które kiedyś były dobre, ale są już nie do uratowania. W domu na Siódmej Ulicy lokatorzy zostawiają buty przed drzwiami do swoich pokoi; Dominika fotografuje je, nieładne, niemodne buty tkwiące tam jak 178

porzucone w schronisku zwierzęta bez żadnej szansy na nowego opiekuna.

Na tym samym piętrze mieszka rodzina Malców z trójką dzieci, stara pani Stenia i średnia, lecz czują-

ca się młodo pani Hania; te dwie ostatnie w mniejszych pokojach po obu stronach pokoju zajmowanego przez Dominikę. Rodzina Malców wynajmuje największe po-mieszczenie, prawdziwy luksus, mają dla siebie ponad trzydzieści metrów, ale niestety, najstarsze dziecko, siedmioletnia Żanetka, nie mieści się już w łóżku z rodzeństwem; trzeba jej było ostatnio kupić osobne łó-

żeczko. Zmniejszyło to państwu Malcom przestrzeń życiową; pani Malec jeszcze częściej teraz wzdycha, jak to byłoby cudownie przenieść się gdzieś na wysoki Manhattan, a pan Malec nieodmiennie powtarza, poczekaj jeszcze trochę, Żabcia, już niedługo się doczekasz.

Pani Malec uważa, że choćby na Czternastej Ulicy jest pięknie, chodzi tam w niedzielę na spacer z dziećmi i podziwia projekty, tak mówi się tu na budynki z mieszkaniami komunalnymi dla ubogich rodzin. Gdy już dostanie się takie lokum, narzekać można co najwyżej na sąsiedztwo, bo do projektów pakują wszystkich razem, czarnych i białych, brązowych i skośnych, wzdycha pani Malec i trochę się boi tej różnorodności ze względu na dzieci, a także z powodu pana Malca, który ogląda się za Latynoskami w krótkich spódniczkach. Niby mówi, a ta, patrz, Żabcia, prawie całą dupę na wierzch wywaliła, ale pani Malec wie, że nie robi on tego w szczerzej intencji potępienia, bo zaraz wzrok mu się przylepia do kolejnej wypukłej pupy, jakiej pani Malec nigdy nie posiadała i raczej nie ma szans, że posiadzie. Jej zdaniem jeszcze 179

lepiej niż na Czternastej byłoby w New jersey, bo tam można mieć dla siebie nawet cały dom, o tak, New jersey to jest to, zieleń, zdrowe powietrze, same osiedla willo-we. Pani Malec słyszała o takich Polakach, którym udało się osiąść w New jersey, a jedną rodzinę zna nawet osobiście, mają tam dom i własny zakład naprawy maszyn do szycia. Niestety pan Malec nie zarabia wystarczają-

co dużo na budowie, by mogli ruszyć się gdziekolwiek z Ulicy Siódmej i wciąż są skazani na kościelną łaskę. Gdy pani Malec wspomina o New jersey, pan Malec mówi, poczekaj jeszcze trochę, Żabcia, już niedługo się doczekasz, i zaraz potem zasypia, bo jest zmęczony plastrowaniem, tynkowaniem i malowaniem. W związku z brakiem perspektyw na przeprowadzkę, pani Malec właśnie pod osłoną nocy wystawiła do wspólnego przedpokoju kolejne kartonowe pudło; Dominika słyszała skradanie się i szelest.

Następne pudło; stoją wzdłuż ścian korytarza wysoko aż po sufit, zebrало się ich tyle, że przejście przypomina chodnik w kopalni, jest wąskie i równie ciemne.

Wiele pudeł tkwi w przedpokoju od lat, porosły kurzem, przetarły im się kanty, a z niektórych zaczynają wyłazić strzępki jakiejś niezidentyfikowanej materii, szarej ek-toplazmy o zapachu suszonych grzybów i kurzu. W innych chyba coś się zaległo, bo nocami wyraźnie słychać, jak drapią

małe łapki, pracują ząbki, mogą to być myszy lub kakrocie, może być coś zupełnie innego, nieznanego zoologom stworzenia o czerwonych oczach i wzdętych brzuskach, które lęgną się w ciemności wśród rzeczy zapomnianych i bezużytecznych. Właścicielki pudeł, pani Malec, pani Stenia i pani Hania, nie zgodziłyby się z tym; 180

o nie, one potrzebują wszystkiego, co jest w pudłach, potrzebują samych pudeł i świadomości, że już wkrótce uda im się spakować kolejne, potrzebują czuć, że tam są pudła pełne rzeczy. Bez pudeł zupełnie nie byłoby się czego chwycić i zabrakłoby uzasadnienia dla życia w domu pod flagą biało-czerwoną, który w środku tak bardzo przypomina domy zostawione za oceanem. Tylko patrzą więc, pani Malec, pani Stenia i pani Hania, co tu jeszcze zachomikować, posiąść i spakować, co tu jeszcze zapudlić. Kartony są dopychane na siłę i te za nimi wgniatają się lub ulegają całkowitemu zmiażdżeniu; co jakiś czas pani Malec, pani Stenia lub pani Hania pod osłoną nocy wkopuje kolejne pudło, na którym napisane jest Malec, Hania albo Stenia, żeby się nie pomyliło, bo to byłaby prawdziwa tragedia, mimo iż zawartość wszystkich pudeł jest bardzo podobna. W kartonach są stare ubrania, które żal wyrzucić, sprzęty domowe, które nie działają lub nie przydają się do niczego, ale to na razie; potem się je naprawi, a taki na przykład zestaw do fon-due, który pani Stenia dostała od pracodawczyni, zestaw nowy i francuskiej produkcji, na pewno znajdzie jeszcze zastosowanie, nawet jeśli w swoim sześćdziesięcio-siedmioletnim życiu pani Stenia raz tylko spróbowała czegoś innego niż polskie jedzenie, i słowa nie wyraża, jak jej się potem odbijało. W pudłach są rzeczy znalezione, rzeczy ze sklepów z używaną odzieżą, z przecen w New Jersey, z cudownych sklepów jednodolarowych, rzeczy, których żal nie kupić za taką cenę, bo za dolara w Ameryce nawet chleba porządnego się nie dostanie, a tu na przykład dekoracje świąteczne w ogromnym wyborze, które potem żal wyrzucić, bo od jednego użycia 181

wcale przecież się nie zużyły; za rok kupuje się nowe, bo jak tu nie kupić, skoro kosztują tylko dolara, i na każde kolejne święta przypada jeden karton. Stroiki, świeczniki, bombki, aniołki, mikołaje, renifery, łańcuchy srebrne, złote, pisanki, króliczki, kurczaczki, plastikowe dynie zostają spakowane i dopchane szaliczkami, rękawiczkami, pluszowymi misiami, serwetkami, walentynkowymi serduszkami z czerwonego weluru z napisem I love you.

W przypadku państwa Malców sprawa się komplikuje, bo ich dzieci świętują w amerykańskich szkołach również jakieś inne święta i miesza się im już w głowie od tych chanuków czy innych ramadanów; jak im się uda wyprowadzić do New Jersey, to dzieci pójdą do dobrych szkół, może gdzieś do sióstr zakonnych, mówi pani Malec, a pan Malec wybity z drzemki odpowiada, poczekaj jeszcze trochę, Żabcia, już niedługo się doczekasz. Do kartonów idą ciężkie talerze i kubki, a każdy tylko dolar lub nawet dziewięćdziesiąt dziewięć centów, to prawdziwa okazja i w Polsce tego nie ma, a więc do kartonów, bo za łatwo się obtłukują, żeby używać; do kartonów kurteczki, z których dzieci wyrosły, szklanki do koktajli, których się nie pija, pucharki do deserów, których się nie przyrządza, do kartonów wózek dla lalek, lalki, plastikowe samochody, lustra, ramki na zdjęcia, zestawy do robienia biżuterii, zestawy do dekupażu, bo kiedyś może jeszcze raz się spróbuje, i tym razem z sukcesem, zrobić piękne korale, okleić deskę do krojenia, by była deską ozdobną w jakiejś przyszłej pięknej kuchni; do kartonów na wygnanie torebki z cekinami, które jeszcze się nie przydały, ale się na pewno przydadzą na przyszłe cudowne bale, imprezy w lokalu, a nie po ciasnych 182

mieszkaniach: w końcu buty, butów to się już na pewno nie wyrzuca. Aby dotrzeć do swojego pokoju,

Dominika musi przejść całą długość korytarza wzdłuż pudeł podpi-sanych Malec, Stenia, Hania i czuje, jak na nią napierają; boi się, że zostanie tu pogrzebana żywcem którejś nocy i dopiero rano, być może, odkopie ją pan Malec wychodzący do pracy. Kiedyś w przedpokoju stała gipsowa fi-gura Matki Boskiej, ale przez te pudła została relegowa-na na zewnątrz, na ciemny podest schodów; wygląda to teraz tak, jakby pod drzwiami na ich piętrze czaiła się karlica o białej twarzy i dłoniach gotowych, by chwycić za szyję. Oprócz kartonów, których przeznaczeniem jest czekanie, w domu przy Siódmej Ulicy pakuje się pudła do natychmiastowego wysłania do Polski, gdzie, jak wiadomo, wszystkiego brakuje, a poza tym miło rodzinie pokazać, że tu wręcz przeciwnie, prawdziwy raj, i brakuje tylko ojczyzny. W okresie przedświątecznym z domu na siódmej Ulicy i podobnych domów ludzie taszczą paczki na pocztę, a co bardziej przemyślni, jak na przykład pań-

stwo Malec, wzorem bezdomnych zagospodarowali sobie wózek z taniego supermarketu Key Food, zwanego tu Kifudem. Gdy trzeba wysłać paczkę, nawet pani Stenia i pani Hania jednoczą siły, choć na co dzień pierwsza zarzuca drugiej pijaństwo i rozpustę, a druga pierwszej wtrącanie się w nie swoje sprawy oraz dewocję, i żaden z tych zarzutów nie jest pozbawiony podstaw. Do kartonów świątecznych pani Stenia ładuje nawet papier toaletowy, a rodzina w Polsce nie ma sumienia jej powiedzieć, że przestał być towarem deficytowym, już od dwóch czy nawet trzech lat można go kupić w każdym sklepie, zdarza się nawet kolorowy i perfumowany. Pani 183

Hania wysyła rzeczy, które i jej się mogą przydać, gdy wróci do Wągrowca, jako że pani Hania należy do tych, którzy planują powrót, i robi to już od siedemnastu lat.

Strach pomyśleć, jak one szybko minęły, trafiła do East Village w dwa dni po trzydziestych urodzinach, a tu proszę, czterdzieści siedem, a w jej życiu ciągle niewiele.

Czymś jest tylko perspektywa powrotu; jak wrócę, to wszystko się przyda, mówi Dominice i radzi, by też za-częła planować powrót. Szczegóły powrotu pani Hani do Wągrowca obmyślane są wciąż na nowo, bo trzeba ustalić nie tylko, gdzie się zamieszka po powrocie, ale nawet, jak się ubierze na drogę, by zrobić wrażenie powrotu z tarczą. Pani Stenia nie mówi o powrocie, wychodząc z rozsądnego i popartego długim życiowym doświadczeniem założenia, że skoro w jej mieszkaniu w Kątach Wrocławskich mieszka teraz syn, synowa, dwoje wnuków i jeden prawnuk, to nie będzie tam miejsca dla niej. Mówi więc o ściąganiu rodziny i ściągnięcie rodziny wyznacza jej cel, który tymczasem się oddala, bo nadal nie wszystkie papiery pani Steni są w porządku, a oszczędności, jakie poczyniła, sprzątając domy Amerykanów, mimo wyrzeczeń wydają się mniejsze niż te, które zgromadziła rozpustna pani Hania, pracując w polskiej restauracji na Greenpoincie. Pani Dominisiu, niech pani pomyśli o ściąganiu rodziny, radzi Dominice przy każdej okazji.

Obie kobiety dziwią się, że Dominika nie gromadzi kartonów i wykazuje irytującą obojętność wobec tych wszystkich pięknych rzeczy, które można zapudlić. Pani Stenia mówi jej nawet o Likwidatorze, to tani sklep przy Broadwayu, dwa kroki od Astor Place, chociaż 184

o takich miejscach nie opowiada się byle komu, grzy-biarze też nie paplają na lewo i prawo o młodniakach pełnych maślaków. W Likwidatorze można upolować nie tylko bieliznę i ubrania z wyciętymi metkami, ale także sprzęty domowe w bardzo korzystnych cenach, ostatnio na przykład tostery w różnych kolorach, po pięć dolarów, pani Stenia wzięła cztery, przydadzą się, jak już ściągnie rodzinę. Pani Hania też zaraz poleciała, wróci-la z trzema, będą jak znalazł, gdy wróci do

Wągrowca, a tymczasem lądują w pudłach, gdzie śnią sobie o tosto-waniu i porankach pachnących kawą. Dominika jednak mówi, dziękuję pani bardzo, pani Steniu, może potem.

Jakie potem, leć teraz, dziewczyno, buty wkładaj i leć, bo wykupią! A ta tylko uśmiecha się półgębkiem, tego jeża na głowie przeczesuje; że też musi się tak krótko

'strzyc, pani Hania nie może się nadziwić, bo ona lubi tylko długie i ostatnio zrobiła sobie przedłużenie z do-czepianych w polskim salonie Marysia, zaraz za rogiem.

Pani Stenia i pani Hania zastanawiają się nad dziwnymi obyczajami Dominiki Chmury i bardzo chciałyby wiedzieć o niej coś więcej, bo są przekonane, że ukrywa jakąś tajemnicę. Może wszystko oszczędza? Może ma dziecko nieślubne? Gdy pani Malec, pani Stenia i pani Hania dowiedziały się, że Dominika znalazła stałą pracę LI starej Żydówki z Upper West Side, zaczęły podejrzewać, że gromadzi ona rzeczy gdzie indziej. Żeby jej nie ukradły się boi? Też coś! Może zresztą to lepiej, miejsca im nie zajmie. Jak wrócę, mówi pani Hania, to się przyda, czasem człowiek myśli, że nie, a potem jest szczęśliwy, że nie wyrzucił, bo akurat się przydaje. A mnie, jak ściągnę rodzinę, to się dopiero przyda, wchodzi jej w słowo 185

ze swoim pani Stenia. jak. ściągnę rodzinę, to jeszcze mało będzie, tak wszystko się przyda wszystkim do wszystkiego.

Pani Stenia i pani Hania rozmawiają przyciszonymi głosami we wspólnej kuchni, która znajduje się w sute-rynie. Ich wzajemna antypatia rośnie odwrotnie proporcjonalnie do odległości i gdy patrzą na siebie oddzielone jedynie stołem przykrytym ceratą w rybki i muszle, wiedzą, że tylko sprzymierzenie się przeciw komuś lu-bianemu jeszcze mniej jest w stanie uratować je przed rozlewem krwi. Do tego celu nadaje się zarówno pani Malec, jak i Dominika; ta pierwsza ma to, czego one nie mają, ślubnego mężczyznę w osobie pana Malca, ojca dzieciom, który ma pracę i nie pije, a przynajmniej nie za często. Druga nie pragnie niczego, co dla pani Steni i pani Hani stanowi wartość. To dopiero może wkurzyć! Gdy Dominika trafia do kuchni akurat wtedy, gdy tkwią tam pani Stenia i pani Hania, ma wrażenie, że napierają na nią dwa potwory. To jak, pani Dominiczko, wracać pani będzie? pani Hania atakuje pierwsza, czy raczej rodzinę pani ściągnie, pani Dominisium? pani Stenia nie pozostaje w tyle. jarzeniowe światło nadaje twarzom kobiet niebieskawy odcień, podzwaniają łyżeczki w szklankach i sztuczne zęby pani Steni. Musi się pani zdecydować, pani Dominiczko! Latka lecą, lecą. Czas coś postanowić, pani Dominisium! Hania pije colę łąpczywie: bo ją suszy, Stenia ma na sobie strój roboczy, szarą bluzę i legginsy, na których główki psa Snoopiego szczerzą kły w złowieszczym uśmiechu. Dominika przeciska się cudem między Stenią i Hanią ze swoją herbatą, pomyśle, dziękuję paniom bardzo! woła, i raz jeszcze umyka.

186

Jedyne okno kuchni domu przy Siódmej Ulicy wychodzi na ciemne wewnętrzne podwórze, nigdy nie dociera tu światło słońca, docierają niekiedy szczury i to jest kłopot, bo wgrzyzie się taki od tyłu do szafki z za-pasami i zżera je na wyścigi z kakrociami, które były tu pierwsze. Kakrocie, te szaleją o każdej porze, tupiąc nóżkami po starym linoleum, a winą za nie obarczana jest zwykle pani Malec, która gotuje najwięcej z powodu dzieci i często zostawia na wierzchu a to niedojedzoną kanapkę, a to nieumyty talerz z resztką kaszki manny.

Dzieci państwa Malec denerwują zwłaszcza panią Hanię, podobnie jak irytująco wpływa na nią młodość Dominiki i starość pani Steni. Często powtarza, by sobie utrwalić i pozbyć się reszty wątpliwości, że ona by normalnie nie mogła, nie wytrzymałaby z tymi cholernymi bachorami, ale nie wie, że nikt nie wyobraża sobie, iż mogłoby być inaczej, bo od dawna uważana jest za kobietę niezdolną do zaopiekowania się czymkolwiek żywym. Ja to bym jej pod opieką nawet psa nie zostawiła, mówi pani Stenia do pani Malec, gdy pani Hani nie ma w pobliżu, we łbie pstro i tylko oczami strzela, z kim się tu napić czy gorzej, pani wie, o czym mówię, pani Malec.

Najpierw się nachleje, tyłkiem pokręci, a potem rzyga!

Lepiej przy niej chłopca swojego pilnować, strzeżonego pan Bóg strzeże. Pani Malec bardzo chciałaby na chwilę zostawić komuś dzieci, a nawet męża, i wyrwać się do fryzjera, ale pani Stenia szepcze jej na ucho, że na jej miejscu Dominiki by też nie prosiła o taką przysługę, bo czy ona zauważyła, że Dominika do kościoła nie chodzi?

Co niedziela przyjeżdża po nią ta czarna kobieta i jadą cholera wie gdzie, pewnie do jakiejś bezbożnej dodat-187

kowej roboty. A dzieci, wiadomo, nasiakają jak skorupki za młodu, zwłaszcza dziewczynki, te to nasiakają jak gąbki, a gąbki nigdy nie da się wycisnąć do sucha. Pani Malec wzdycha i mówi, ja już tego dłużej nie wytrzymam, a zamówiona wizyta w salonie Marysia znów jej przepada, podobnie jak pragnienie, by wziąć się za siebie, bo żeby to zrobić, najpierw musiałaby się odnaleźć w którymś pudel. W związku z tym bierze się do kotletów mielonych, których postanawia nasmażyć na kilka dni, a wtedy, kto wie, może znajdzie jakąś wolną chwilę.

Pani Hania lubi sobie czasem popichcić i gardzi prostą kuchnią pani Malec. Hania robi zakupy nie tylko w Kifu-dzie, o nie, ona wpada czasem do delikatesów Balducci w Greenwich Village i patrzy łakomie na opakowania tiramisu, ziołowych sosów, na pięknych ludzi, którzy kupują to wszystko i wychodzą, by gdzieś wieść życie jak z filmu, zajadać lasagne i popijać winami o eleganckich nazwach. Pani Hania kupiła sobie ostatnio książkę o winach i kiedyś ją przeczyta, wszystkiego się dowie, jakie do czego, czym się różnią, pięknie ilustrowana książka tkwi w którymś pudle; jak wróci do Wągrowca, znajdzie czas, by zostać koneserką win. Ja to lubię sobie popichcić dla przyjemności, mówi pani Hania, a pani Malec, niezbyt wprawna w kontaktach towarzyskich, gasi ją, wzdychając, gdyby pani miała rodzinę, pani Haniu, toby pani nawet się w tyłek podrapać nie miała kiedy, a co dopiero pichcić. Na początku pani Hania myślała, że popichcą sobie razem z Dominiką, bo mimo swoich lat, a przyznaje się tylko do trzydziestu dziewięciu z czterdziestu siedmiu, o wiele lepiej czuje się z młodymi. Młoda mam du-szę! Do młodych mnie ciągnie, mówi pani Hania, taka 188

już jestem, że z młodymi czuję się po prostu jak ryba w wodzie. Noszę się tak więcej na luzie, choć kobieco, i już nieraz ktoś się pomylił, za młodą mnie biorąc, a jak dowiedział się, ile mam lat, to niemożliwe, nie wierzę, że aż trzydzieści dziewięć, przysięgać musiałam, a dalej nie wierzył. Więcej niż trzydzieści bym pani nie dał, tak mówił ten ktoś. To wszystko pani Hania powtórzyłaby Dominice przy pichceniu, mogłaby też udzielić jej paru kobiecych rad, jak się nosić, ale Dominika schodzi do kuchni tak rzadko.

Przez kuchnię przechodzi się do należącej do koś-

ciola sali, w której odbywają się różne imprezy, i gdy w karnawale urządzone są zabawy, cały dom przy Siódmej Ulicy słucha polskich przebojów. Dominika myśli wtedy o matce, która tak lubi piosenkę Seweryna Krajewskiego, że nuci jej przez telefon, uciekaj skoro świt, bo potem będzie wstyd i nie wybaczy nikt chłodu ust, braku słów. Co za romantyczna piosenka, wzrusza się Jadzia i w jej agrestowych oczach zbierają się łzy, Dominika czuje ich wilgoć w głosie matki; romantyczna piosenka i jaki przystojniak z tego Seweryna Krajewskiego, żebyś ty, córcia, takiego spotkała, co ja bym za to dała. Dominika siedzi nocą na dachu i nuci, uciekaj skoro świt, bo potem będzie wstyd, i czuje, jak dojrzewa w niej tęsknota, by wrócić, na chwilę, ale jednak, do swojej matki i babki Haliny-Kolomotywy na Piaskową Górę. Od kilku lat ta tęsknota rozrasta się w niej jak kłęczce, krąży z krwią.

Wbrew temu, co widzą pani Malec, pani Hania i pani Stenia, Dominika też wysyła paczki do Polski, niezdarnie pakuje matce kawałki Ameryki jak puzzle, z których ta nie potrafi złożyć nic, co choć trochę przypominałoby 189

Nowy Jork jej córki. Robi zdjęcia i wybiera najlepsze dla matki, ale Jadzię interesują tylko te nieliczne, na których jest Dominika; może wtedy ocenić z bijącym sercem, czy poprawiła się na buzi, czy znów schudła, czy ciepło się ubiera, czy w końcu zapuściła włoski. Bez czapki! martwi się na widok córki ze Statuą Wolności w tle i niespecjalnie interesuje ją symbol Ameryki, skoro właśnie przeczytała w "Poradniku Domowym", że przez głowę ucieka trzydzieści procent ciepła. Na zdjęciach ze śliz-gawki w Central Parku, gdzie Dominika należy do naj-szybszych łyżwiarek, Jadzia widzi przede wszystkim zagrożenie, jakie dla jej dziecka stanowi wirujący tłum; jeszcze ją ktoś popchnie, wpadnie na nią jakieś chłopa-czysko, zgilotynuje ją ostra krawędź łyżwy. Przepływają-

cy po rzece Hudson statek pasażerski, który Dominika sfotografowała któregoś ranka, przeraża Jadzię Chmurę swoim ogromem, toż to można wypaść, utopić się i nikt nie zauważy, że jej córka samiuteńka została w wielkiej groźnej wodzie; matka ma nadzieję, że jej dziecko nie planuje wycieczki transatlantykiem. Jadzi podoba się za to dom, w którym mieszka Dominika, bo uspokaja ją bliskość kościoła i maszt z biało-czerwoną flagą, dobrze, że ma tam swoich dookoła w obcym świecie, bo to i bezpieczniej, i gębę jest do kogo otworzyć. Pokazuje sąsiadce, Krysi Śledź, okno Dominiki i jak zwykle przesadza, dodając jeszcze to obok, by mieć dowód dwuokien-

ny na to, jak sobie jej córka dobrze radzi za oceanem.

Dwa pokoje ma, dwa okna na słoneczną stronę, na biało-

-czerwoną, szczęściara. Najbardziej Jadzię dziwią schody przeciwpożarowe; co to za pomysł, przecież można umrzeć ze strachu, że jakiś Murzyn czy inny w nocy wle-

zie przez okno. Pyta córkę, czy w okolicy nie ma za dużo jakiejś dziwnej narodowości? Bo na tych zdjęciach, co przysyła, to, Matko Boska, raz Chińczyk, raz Japończyk, a raz mieszaniec. Żebyś tylko, pamiętaj, okno zamyka-

ła, przestrzega ją w listach i telefonicznych rozmowach.

Wszystko, co robi Dominika, bardzo Jadzię martwi i czasem nie wie, co ludziom mówić, gdy pytają,

co jej cór-ka robi za oceanem. Gdy drugiego nowojorskiego lata Dominika pracowała na festynie jako Cyganka i przysła-

ła Jadzi zdjęcie fałszywego taboru i Cyganów, z których tylko niektórzy byli prawdziwymi Romami, Jadzia mało zawału nie dostała. Jeszcze tylko Cyganów brakowało!

Jej córka w spódnicy kwiecistej do ziemi, w paciorkach, kolczykach cygańskich, z talią kart. Mamo, tłumaczyła Dominika, to taka zabawa, festyn etnograficzny, jeden Cygan był prawnikiem, dwie inne Cyganki to studentki, a mnie przyjęli, bo mam dziwny akcent i ciemna jestem, ale trudno było Jadzię przekonać. Już ona wie, jak Cygan wygląda, jak Cyganka, czy to nie widziała ich w Zalesiu, pod dworcem we Wrocławiu, w Wałbrzychu na ulicy Pocztowej? Wiadomo, że jej dziecko fiksum-dyr dum, i jeszcze tego by brakowało, żeby z jakimś taborem uciekła; szukaj potem wiatru w polu po Ameryce. Radzi córce, by chodziła na organizowane przy kościele potań-

cówki; idź, córcia, wyjdź do ludzi, a może poznasz tam w końcu kogoś wartościowego, zamiast z Cyganami się włóczyć.

Niektórzy poznają; efektem karnawałowych zabaw są czerwcowe śluby, dzwonią wtedy dzwony kościoła, aż budzą się bezdomni z Tompkins Square. Czerwiec to najlepszy miesiąc na wesele, bo ma w sobie gwarantujące 191

szczęście i ciepło, a panny młode chcą być szczęśliwe i niezmarznięte. Suknie w tych latach są wielkie, rozdy-mają się od talii jak kielichy zmutowanych genetycznie kwiatów, welony ciągną się, im dłuższy, tym lepszy, i niekiedy limo przystrojone wstążkami i balonami, z lalką Barbie na masce, jest już pod kościołem na Siódmej, a koniec welonu polskiej panny młodej gdzieś w połowie Pierwszej Alei. Oblubienica trzyma się tylko za głowę, żeby jej przez przypadek nie zerwali wianka wpiętego w pełną loków fryzurę, a goście weselni ciągną welon, szarpią jak rzepę. Panowie zdejmują marynarki, panie dopingują, no kurde, pociąg, Staszek, ten welon, bo czas do kościoła! Po kościele jest witanie chlebem i solą; rodzice pytają pannę młodą, co wybierasz, chleb, sól czy pana młodego? a ona odpowiada, chleb, sól i pana młodego, żeby zarabiał na niego. Ten moment panią Stenię bardzo wzrusza i łza jej się w oku kręci, bo, ach, gdybyż ona trafiła na takiego zaradnego pana młodego, toby nie musiała od lat sprzątać amerykańskich domów i tłuc amerykańskich pancernych kakroci, i wzruszać się na weselach prawie obcych ludzi. Pani Hania też się wzrusza przy chlebie i soli, ale udaje, że nie robi to na niej wra-

żenia. A potem można już jeść, tańczyć, wołać gorzko, gorzko! robić różne śmieszne konkursy, i łzy pani Steni osychają. Młodzi wymyślają coraz to śmieszniejsze zabawy weselne; ostatnio na przykład trzeba było napompować balonik, kto szybciej. Ale jak napompować! Pompka mechaniczna spoczywała na udach panów, a pompowa-nie odbywało się za pomocą pup pań, które, hop, hop, podskakują i pompują, w górę, w dół. Komu pierwszemu pęknie, ten wygrywa. Tego lata, gdy Dominika nie może 192

spać, ślubów było jedenaście i aż siedem przyjęć weselnych zorganizowano w sali za kuchnią. Przez całą noc Dominika słucha uciekaj skoro świt, bo potem będzie wstyd na przemian z majteczki w kropeczki, ło ho ho ho ho. Zabłąkanych weselnych gości można spotkać niekiedy na schodach prowadzących na piętro, a zdarzyło się, że jeden dostał się do łazienki, gdzie zasnął w kabinie

prysznicowej, rano pani Stenia za zasłonę włożyła rękę, odkręciła wodę, wchodzi i jak nie wrzaśnie, co tu robisz, świnię pijana, poszedz won, bo milicję, księdza zawołam!

Pani Stenia chodzi na większość przyjęć weselnych, na których interesuje ją głównie szwedzki bufet, razem z innymi starszymi paniami przysuwa sobie krzesło i zajada, bo na stojąco co to za jedzenie. Panie zgadzają się, że niezdrowo łykać na stojaka, bo idzie za szybko do żo-

łądka, poza tym popaprać się można. Rozmawiają o rodzinie młodych, a w której nie znajdzie się coś smakowi-tego, lepszego nawet niż weselny bigosik po dwunastej.

jednym spalił się dom na przykład, tak że nic nie zostało, a wnuk drugich zamieszkał z Chinką czy japonką, któ-

ra zaszła w ciążę. Dzieci par mieszanych starsze panie nazywają mikserami. Co to za mikser wyjdzie z tego?

zastanawiają się. jak to, żartuje pani Stenia, mad e in China: wymawia made in china a nie mejd in czajna, bo przecież są wśród swoich, a Chińczyk i tak by nie zrozumiał w żadnym normalnym języku. Starsze panie spotykają się od lat na imprezach przykościelnych i polonij-nych; wiedzą, gdzie dają najlepiej zjeść, i przestrzegają niepisanej hierarchii, która każe im łączyć się w grupy oparte na podobnym stanie posiadania i braku, a każdy przyływ i odpływ fortuny zapisywany jest skrupulatnie 193

w pamięci. Mają lata praktyki i potrafią tak się zgrabnie wymanewrować z tłumu na spotkaniu opłatkowym w polskim konsulacie, że wszyscy jeszcze stoją, nogami przebierają, chór jakiś śpiewa cicha noc, święta noc, bo wiadomo, najpierw część artystyczna, a one już, szast-

-prast, za stołem, śledzik, serniczek, po pierożku. Pani Hania również pojawia się na przyjęciach weselnych i nawet jeśli nie zna bezpośrednio państwa młodych, to zawsze może podeprzeć się znajomością z jakąś ciotką czy kuzynem, by nie wyglądało, że wciska się na chama.

Za każdym razem szykuje się i biega między swoim pokojem a wspólną łazienką w różnych stopniach negliżu, jej ciało jest pełne i opalone na brąz, włosy platynowe, wszystkie suknie podobne, lśniące i kolorowe jak upierzenie egzotycznych ptaków. Puka do Dominiki i pyta, no jak mi? wciągając brzuch i wypinając piersi w pusz apie, lepiej w tej czy w tej różowej? Nie interesuje jej zdanie Dominiki, która według niej ubiera się okropnie i nie ma pojęcia o prawdziwej kobiecości, wymagającej starań. Dominika przypomina pani Hani siostrę Krysę, któ-

ra została w Wągrowcu; Krysia ma wprawdzie rodzinę, dzieci, ale za to odrost na pół głowy, kiedy ona ostatnio była u kosmetyczki, kiedy się na zakupy wypuściła. Nawet sobie ust błyszczkiem nie pociągnie! Ona, Hania, by tak nie mogła bez błyszczka, z odrostem. Mimo pogardy dla stylu Dominiki, pani Hania potrzebuje jednak jej oczu, jak lustra innego niż łazienkowe, by utwierdzić się w przynależności do tych kobiet, które ciągle wychodzą życiu naprzeciw. W przeciwieństwie do pani Steni, panią Hanię interesują na weselach mężczyźni i alkohol, ale to drugie może mieć na co dzień, i ma, więc podczas wesel 194

skupia się na pierwszym. Zawsze zdarzy się tam jakiś samotny kuzyn, pojedynczy wuj czy mąż, którego żona wściekła się i wcześniej wróciła do domu albo pochorowała się i leży gdzieś znieświeżona, a wtedy pani Hania daje się porwać do tańca kuzynowi, wujowi czy mężowi i już; już lustra dźwięk walca powoli obraca, choć to nie walc, tylko majteczki w kropeczki, ło ho ho ho ho! Co za rytm, noga Hani do tańca się rwie, co za rytm, za chwilę rwą się jej dwie; niebieskie wstążeczki, ło ho ho ho ho.

Hania z Wągrowca wiruje na parkiecie, co za szczęściarz w ramionach ją ma? Bielutki staniczek, ło ho ho ho ho!

Hania w tył się gnie i w przód, już ręka tancerza wędruje w Hani dół. Maleńki guziczek, ło ho ho ho ho! Ta melodia, ten rytm to szal! To cały mundurek tych naszych pań, z koronek i tiulek, to ja mówię wam, ło ho ho ho ho!

Czasem Hani trafia się ciąg dalszy z kuzynem, wujem, mężem, coś więcej niż ślinienie za uszkiem, niż ręka na pośladku, i Dominika słyszy przez ścianę, ciiii, a potem szelesty, chichoty, ochy, achy, chichociki, oparcie łóżka łup, nad jej głową spada tynk, potem w łazience jeden sik, drugi sik, cicho. Gdy kuzyn, wuj czy mąż, a najczęs-

kiej pani Hania przedawkuje mieszankę weselną, oprócz siku zdarza się rzyg, a wtedy pani Stenia wkracza w go-towości bojowej, potwór morski złością ziejący, by powiedzieć, co myśli o tym łajdactwie, bo od myślenia na ten temat tylko mówienie sprawia jej większą przyjemność. Jeszcze chwila i na korytarz wygląda kolejna głowa, to pani Malec, która płaczkliwym tonem oznajmia, że już dłużej tego nie wytrzyma, ale nikt jej nie wierzy, bo wytrzymuje od dawna, jako że nie ma wyjścia, no exit.

Dominika wspina się znów na dach i tego lata hucznych 195

wesel zdarza się, że już nie zasypia, tylko czeka, aż nad Manhattanem wstanie dzień. W narożnym sklepiku kupuje na wynos kawę i jedzie do domu Eulalii Barron, u której pracuje od trzech lat.

Pani Eulalia Barron pochodzi z Krakowa i chociaż od ponad pół wieku mieszka w Nowym Jorku, jej tęsknota za ojczyzną nie maleje; przeciwnie, im dłużej żyje z dala od niej, tym bardziej tęskni i bardziej pamięta.

Jej pamięć karmi się książkami i wystarczy, by otworzyła którąś z czytanych w Krakowie, bo każde zdanie i każde słowo jest jak drzwi, przez które utracone życie Eulalii Barron wsącza się w nią z powrotem. Gdy Eulalia Barron zaczęła tracić wzrok, potrzebowała kogoś, kto czytał-

by jej po polsku; takie zamieściła ogłoszenie w „Village Voice”: szukam Polki, która będzie mi czytać książki.

Konieczna dyspozycyjność, dobra dykcja i zamiłowanie do lektury. Wiek, stan cywilny i orientacja seksualna obojętne. Sara obawiała się, że to jakiś wariat albo zboczeniec, jacy w „Village Voice” ogłaszają się na pęczki, ale Dominika mówiła, że ma dobre przeczucia, i postanowiła to sprawdzić. Sara uparła się, że pojedzie z nią na wypadek, gdyby szukająca lektorki staruszka jednak okazała się

młodym sadystą albo starym zboczeńcem w skórzanym kombinezonie. Jej interwencja nie była potrzebna; Dominice otworzyła malutka starsza pani o la-sce, która w ramach testu poprosiła ją o przeczytanie kawałka Odysei. Usiądź przyoknie, córeczko, tam, pod paprocią, powiedziała, pieśń dwunasta, wers trzydziesty dziewiąty. Dominika otworzyła książkę w zaznaczonym miejscu: Ty w kraj Syren zajedziesz, czarownic, co zdradzą tych wszystkich, jacy tylko o nie tam zawadzą. Sza-196

leniec, kto się zbliży i Syren tych śpiewy usłyszysz: ten nie ujrzy nigdy, póki żywy, ni małżonki, ni dzieci, ni ziemi rodzinnej, tak go zezaruje śpiew tych Syren słodkoplłynny, zaczęła. Dobrze, uśmiechnęła się staruszka i zamknęła oczy, bardzo dobrze, czytaj mi dalej, córeczko, o syrenach.

Eulalia Barron mieszka w domu o nazwie Mimoza; gdy Dominika przychodzi tam co rano, mroczne, pełne książek pokoje wydają się za każdym razem trochę inne, jakby ich wygląd i rozmieszczenie odzwierciedlały stan psychiczny właścicielki, która wędruje po nich, postukując laską. Pani Eulalia mówi o książkach tak, jak inni mó-

wią o zwierzętach, i narzeka dobrodusznie, a gdzie ta cholera znów polazła? jak gdzieś wlezie, to potem utrapienie, szukaj i szukaj, człowieku, wołaj, krzycz, proś, nie odezwie się, nie odpowie. Eulalia Barron teraz chce mówić tylko po polsku i nie traci apetytu na czytanie w tym języku, chociaż na wszystko inne właściwie już straciła, każdy posiłek nudzi ją śmiertelnie, nigdy nie włącza telewizora. Jej umysł coraz bardziej pogrąża się w ciemności; przez pierwszy rok znajomości z Dominiką mieszkała nadal sama, teraz Dominice otwiera opiekunka, która zajmuje się staruszką na co dzień i dba, by jadła.

Od jakiegoś czasu Eulalia Barron myli Dominikę z kimś innym, raz z mężczyzną o imieniu Icek, raz z dziewczyną imieniem Władzia, ale obie przywykły do tego zamieszania i gdy trzeba, Dominika godzi się po prostu na bycie kimś innym i odpowiada na imię Icek albo Władzia, jakby było jej własnym; tak, to ja, pani Eulalio, dzień dobry. Każdy, z kim zetknęła się Dominika od czasu, gdy wyszła ze śpiączki, był przekonany, że przypomina mu 197

ona kogoś, kogo utracił, i mógł mieć na myśli zarówno dziadków, ludzi dorosłych obojga płci, jak i dzieci zmar-

łe w niemowlęctwie, a nawet ukochane zwierzęta, jakby osoba Dominiki Chmury mieściła w sobie możliwość wszystkich podobieństw i wywoływała tęsknotę za tym, co utracone. Nie tylko Eulalia Barron z Nowego Jorku, Sara, która matkowała Dominice od czasu, gdy wyruszy-

ły z Monachium w świat, też nie oparła się temu czarowi swojej towarzyszkii podróży. Przyjaciółka przypomina jej czasem Shaunikę, dziewczęcą, szczupłą matkę z wiszącej w kuchni na Bed-Stuy fotografii, matkę, od której Sara jest już starsza i dużo silniejsza. Im dłużej zna Dominikę, tym nabiera większej pewności, że nigdy Jeszcze nie widziała kogoś tak podobnego do matki, mimo iż ta nie zdążyła na nią spojrzeć za życia. Eulalia Barron najczęściej widzi w Dominice kogoś, kto czytał

jej, gdy była małą dziewczynką, w zupełnie innym miejscu i czasie, miejscu pięknym i czasie utraconym, dlatego gdy Dominika wchodzi do jej nowojorskiego mieszkania, Eulalia Barron woła Władzia! i przez chwilę wydaje się znów młoda, a jej oczy odzyskują blask. Czytaj, córeczko, mówi, poczytaj mi dziś o syrenach. Ty w kraj Syren zajedziesz, czarownic co zdradzą, czyta Dominika, a

właściwie recytuje z pamięci, bo nagle zdaje sobie sprawę, że ta opowieść o wędrownicy, której tak lubi słuchać pani Eulalia Barron z Krakowa, należy już także do niej, Dominiki Chmury z Piaskowej Góry. Recytuje więc, me wytykam ci drogi. Czy okręt obierze drogę w prawo lub w lewo, sam rozważysz w sobie.

Wspólna podróż Dominiki i Sary z Monachium do Nowego Jorku trwała kilka lat, podczas których mieszk-198

kały w kilkunastu miejscach, nie licząc przejściowych tygodni na czyjejs kanapie lub dywanie, gdy kanapa była już zajęta przez innych wędrowców, uciekinierów czy turystów. Potykały się o cudze walizki i buty, w wilgotnych łazienkach zastanawiały się, które z kilkunastu szczoteczek do zębów należą do nich albo kto znów zużył szampon i dolał wody do marnej resztki na dnie. Spotykały polskie turystki, które nie wró-

ciły z pielgrzymki do Watykanu, naukowców i sportowców z wizami łątanymi i artystów z naciąganyimi, inżynierów, tancerki erotyczne, budowlańców i bandytów, kontrabasistów i konduktorów, barmanów i by-

łych badylarzy, którzy już prawie, prawie mieli stały pobyt albo właśnie nagrywali sobie fikcyjne małżeństwo i brakowało im tylko reszty pieniędzy potrzebnych do opłacenia gotowego na taki krok tubylca lub tubylki.

Spotkani w drodze mówili, jak się urządzą, to ściągnę rodzinę, albo jak się dorobię, to wrócę, i tylko czasem trafiały na podobnych sobie; ci nie mówili, lubię podróż-

zować, ani nie mówili, podróżuję, bo lubię, lecz z oczami utkwionymi w miejscu niewidocznym dla rozmówcy, wzdykali, czas ruszać, na mnie już czas, czas w drogę, jakby czas pozwalał im odetchnąć tylko na chwilę i zaraz domagał się uwagi jak pies spaceru. Sara nauczyła Dominikę szybkiego pakowania, tak że teraz może w ciągu godziny być gotowa do drogi z całym dobytkiem poręcznie rozmieszczonym w przegródkach plecaka, a wszystkim, co zostaje po niej, jest zjedzony do połowy jogurt, pół słoiczka miodu i czyjeś wspomnienie jej twarzy, która wydawała się taka podobna do kogoś znanego w innym miejscu i czasie.

199

Pierwszą pracę po opuszczeniu domu Grażynki Dominika i Sara znalazły w małym zakładzie przetwórstwa owoców, Obst Paradise, Owocowy Raj, na peryferiach Frankfurtu nad Menem, gdzie mieszkały w barakach podzielonych na męskie i kobiece, z Turczynkami, Senegalką, Białorusinką, Czeszką i Niemkami z Enerdowa, któ-

re resztę traktowały z góry, a same tak były traktowane przez Niemki miejscowe. Choć Niemki z Enerdowa miały wszystkie papiery w porządku, a język miejscowy, to pochodzenie z za złej strony muru sprawiało, że ciążyły ku tym, którzy mieli paszporty podejrzane albo fałszywe.

Jest różnica, czy pochodzi się z Hamburga, czy z Corlitz, meine Damen! Dla Niemek z Enerdowa, nieodróżnialnych na oko od Niemek miejscowych, wszyscy czarnoskórzy byli po prostu Czarni,

niezależnie od tego, skąd pochodzili, bo skąd mogą pochodzić, jak nie z Afryki, która jest czarna i dzika; ci ze Wschodniej Europy miś-

cili się łącznie z Dominiką w poręcznej kategorii Ruskich, było to i tak lepsze niż pod kategoria Polaczków zarezerwowana dla trzech młodych pracowników ze Zgorzel-ca. Tylko Ruska. z Czarną w parze stanowiły kombinację trudną do zakwalifikowania i nazwania, a nazywanie daje władzę, z której trudno zrezygnować nawet w Owocowym Raju, więc mówiono na nie Te Dwie Dzikie. Niemki miejscowe miały władzę nazywania i wyboru muzyki, która waliła na okrągło; zestaw stereo z nagłośnieniem był dumą szefa Owocowego Raju i miał świadczyć o nowoczesnym podejściu do higieny pracy. Nie tylko o ciała dbał, lecz także o ducha, i zaspokajał wyższą potrzebę obcowania ze sztuką, dlatego pracownicy Owocowego Raju mogli sobie słuchać przez osiem godzin niemieckich

szlagierów, umpa-umpapa. Szef Wątroba, czyli Leber FUh-rer; jak nazywały go cudzoziemki, naprawdę nazywał się Klaus Leber; nie jego to wina, i osobiście bardzo nie lubił

dyskusji o winie, czy to w telewizji, czy przy piwie, bo czuł się niewinny, taka była jego natura. Był mężczyzną postawnym, gwałtownym i jednookim. Drugie oko Leber Fiihrer stracił w bójce w młodości, ale zawsze mówił, że tym, które mu zostało, widzi lepiej niż inni dwoma.

Dominika i Sara pracowały w Owocowym Raju na nocki, bo to opłacało się najlepiej; do wyboru niewykwalifikowane kobiety miały sortowanie owoców, składanie kartonów i aufkleben - nalepianie nań nalepek z napisem Dżem Owocowy Raj albo Konfitura Wykwintna Owocowy Raj, oraz specjalnie premiowaną, bo najcięższą, pracę przy maszynie do mycia słoików na dże-my i konfitury. Na urządzenie mówiono Waschmaschine, dostosowując to niemieckie słowo do własnego języka, który zmiękczał je i spłaszczał lub kawałkował na twarde grudki, wygładzał, by przypominało wyssaną landrynkę, albo przeciwnie, wyostrzał tak, że stawało się trudne do przełknięcia i wbijało się w gardło jak ość. Wśród niewykwalifikowanych robotnic było oprócz Dominiki, Sary, Turczynek, Senegalki, Białorusinki i Czeszki, dwóch opóźnionych umysłowo niemieckich młodzieńców, Mark i Matze, którzy poprzez to pożyteczne zajęcie mieli zostać włączeni do społeczeństwa, ale uznano, że na po-czątek nadają się co najwyżej do tego, by dołączyć do społeczności kobiet. Mężczyźni też byli w Owocowym Raju, ale przeznaczeni zostali do poważniejszych prac, wymagających siły mięśni, i obsługiwali wózki widło-we, rozładowywali towar lub byli kierownikami, a wtedy 201

krzyczeli, schneller; mężczyzną najważniejszym był Leber Fiihrer. Tej zarazie nic nie umknie, skarżyły się kobiety, gapi się tą jedną gałą, aż ciarki chodzą, w dupie też chyba ma oczy, narzekały i chodziła plotka, że Leber Fiihrer w łaźni kazał zamontować ukryte kamery. Oprócz zajmowania się swoją pracą zatrudnione w Owocowym Raju musiały uważać, by Mark lub Matze nie włożyli ręki do rozdrabniacza lub nie wpadli do kotła z wrzącą truskawkową mazią, raz że nieszczęście, a dwa, marnacja owoców. Dodatkowy problem wynikał z tego, że Mark i Matze chętnie wkładali ręce pod fartuchy kobiet, które darły się bardziej z zaskoczenia niż strachu, bo w huku maszyn łatwo było chłopakom zakraść się, nie budząc podejrzeń. Gdy któraś nagle wrzeszczała i przeklina-

ła w swoim języku, wiadomo było, że Mark lub Matze, albo obaj naraz, podeszli ją przy robocie, i reszta śmiała się, cóż było robić. Dominika i Sara pracowały najczęś-

ciej przy Waschmaschine, bo potrzebowały pieniędzy na dalszą drogę, a pracę w obłokach gorącej pary znosiły lepiej niż reszta, żartując, że mają tu saunę za darmo, co za luksus, prawdziwy owocowy raj; sauna i maseczki z truskawkowej mazi bez ograniczeń. Tymczasem nawet Senegalka mówiła, że dla niej Waschmaschine to piekło, u niej w Senegal w środku lata nie było tak go-rąco, zresztą choćby i było, to lepszy, piękniejszy byłby ten upał, złoty, pachnący, baobabowy. Może delikatność Senegalki wynikała z faktu, iż w swojej ojczyźnie uczy-

ła się przez chwilę we francuskiej szkole dla dziewcząt i segregując truskawki w Owocowym Raju, przeplatała opowieści w łamanej niemczyźnie słówkami o wykwin-tnym brzmieniu i zapachu. Adorable! Delicieux! Geniall 202

Formidable! Merveilleux! wzdychała Senegalka i najchętniej opowiadała o baobabach z Senegalu, do których wszystkie te określenia pasowały jej zdaniem jak ulał.

Baobaby, cóż to były za drzewa, pod ich korą przypominającą skórę słonia krył się mięsz nasiąknięty sokiem jak gąbka. W największym upale nie umierało się z pragnienia, gdy były baobaby. Wystarczyło naciąć korę i wło-

żyć rękę do środka, by wydobyć garść białutkiego miąż-

szu i wyciskać wprost do ust, nic nie smakowało lepiej, ani piwo niemieckie, ani fanta, ani nawet coca-cola. Gdy zepsuł się silnik łodzi, którą wraz z piętnastoma innymi osobami Senegalka próbowała dostać siez Senegalu na Wyspy Kanaryjskie, bo Wyspy Kanaryjskie to była Hiszpania, a Hiszpania to była Europa, a Europa to jedzenie i praca, myślała właśnie o baobabach, i uważa, że dzięki temu udało jej się przetrwać dziesięć dni bez jedzenia i picia. Bo takie właśnie są baobaby: Adorable!

Delicieux! Cenialt Formidable! Merveilleux! Senegalka miała zapewne imię, ale w Owocowym Raju nazywano ją Baobab, bo to drzewo, baobab, cóż za brzmienie dzikie, wystawało korzeniami do góry z jej opowieści o ojczyźnie, której nazwa reszcie z niczym się nie kojarzyła. Baobab wsiadła na starą łódź nie tylko dlatego, że głodne matki i córki z jej wioski, których od dawna nie stać było na ryby, zbierały rybne odpadki, głowy, ości, wnętrzności. Ocean kiedyś oznaczał nadzieję, kobiety czekały na pirogi, które wracały pełne srebrnych i karmazynowych ryb, pysznych ośmiornic o fioletowym odcieniu, teraz wszystkie złowione ryby odpływały do Japonii, Francji, Hiszpanii. Pirogi przegrywały z wielkimi statkami, leżały nieużywane na brzegu jak zdycha-203

jace mieczniki, wokół nich kozy włóczyły się po plaży w poszukiwaniu jedzenia. Mężczyźni porzucali sieci, spotykali się w swoim gronie, omawiali plan, sprzedawa-li, co się da, albo zapożyczali się u całej rodziny i którejś nocy znikali. Niektórzy żegnali się, obiecywali, dam znać zaraz, jak dotrzemy na miejsce, jak się urządę, ściąg-nę was do siebie, nic się nie bójcie, zarobię i wrócę, do końca życia będziemy urzędzeni. Mąż Baobab, Madou, nie pożegnał się, bo wiedział, że nie pozwoliłaby mu odpłynąć bez niej; czekała, licząc godziny do momentu, w którym przy sprzyjających okolicznościach jego łódź dotarłaby do wybrzeży Wysp Kanaryjskich, a potem doliczała dni, które były mu potrzebne na znalezienie pracy, wyrobienie dokumentów i wynajęcie mieszkania.

Jednak Baobab czekała na darmo, bo z łodzi, na której odpłynął jej mąż, nikt nigdy nie dał znaku życia. Chodzi-

ła do marabutów, prosząc o radę, a poważni mężczyźni z brodami kiwali głowami, wywracali oczami i radzili, by była cierpliwa. Jej cierpliwość wyczerpała się po dwóch latach i Baobab sama wsiadła na łódź, która kiedyś służy-

ła do połowu ryb, a teraz cwani przewoźnicy przerobili ją na łódź śmierci z czkającym silniczkem; nocą odbili od wybrzeży wioski, a po kilku godzinach silnik czknął

ostatni raz i zgasł. Zanim tuż przy brzegu Teneryfy wy-

łowił ich z morza prywatny jacht, zmarła połowa z siedemnastu osób; kolejno wrzucali ich zwłoki do wody, ale ostatnich dwóch trupów nikt nie miał siły dźwignąć za burtę. Baobab myślała wtedy o baobabach, ich miąższu ociekającym sokiem, jakby zaklęta w nim była tylko ży-ciodajna moc palącego teraz słońca; wystarczy sięgnąć dłonią do wnętrza drzewa miękkiego jak ciało, podnieść 204

pełną garść do ust. Najpierw napije się sama, jest taka spragniona, a druga garść będzie dla jej męża, tak myśla-ła Baobab, gdy leżała na dnie łodzi. Gdy umierała z pragnienia, wydawało jej się, że słyszy śpiew, kobiece głosy śpiewające z morza w nieznanym języku, który jednak rozumiała, śpiewały o tym, że jej mąż żyje i na nią czeka, że jest przyszłość i życie, są baobaby. Dzięki temu śpiewowi Baobab ani nie umarła, ani nie straciła nadziei.

Trafiła do obozu Czerwonego Krzyża na Teneryfie i stała się jednym z milionów wygnańców pozbawionych ojczyzny dawnej i niezbyt pasujących do nowej; Owocowy Raj był kolejnym miejscem, w którym nie zamierzała zostać długo, bo jej męża podobno ktoś widział w Kopenhadze.

Wierzy, nie wierzy, nie zaszkodzi sprawdzić, bo nie ma lu marabutów, których mogłaby się poradzić, nie ma też niestety baobabów.

Oprócz Senegalki zwanej Baobab inne kobiety z Owocowego Raju też próbowały pracy w gorącej atmo-sferze Waschmaschine, ale tylko Dominika i Sara wy-lrwały tak długo. W gumiakach i fartuchach w kolorze zgniłych truskawek śpiewały wszystkie znane sobie piosenki, przekrzykując mechaniczny hałas i umpa-umpapa niemieckich szlagierów; Dominika po polsku, Jolka, Jolka pamiętasz lato ze snu, a Sara w języku, który złożony był

z cmoknięć i kląskania. Co to za język? pytały inne kobiety, khii-khoi, odpowiadała Sara, tak mówili moi przodkowie. Khoi - co? Khoi-khoi! Skąd go znasz? Nie znam, umiem w nim tylko śpiewać, żartowała, śmiała się i śpiewała jeszcze głośniej. Od ruchu taśmy, na którą stawiały słoiki do mycia, po sześć naraz, nad ranem kręciło im się w głowie i Dominice wydawało się wtedy, że to nie słoiki, 205

tylko ona jedzie taśmą jak pociągiem, za którego oknami przesuwiają się zamglone widoki Wałbrzycha, Zalesia, Warszawy, a obok niej Jadzia z torbą pełną bułek z serem gouda, jajek na twardo i pomidorów. W czasie przerw cudzoziemki trzymały się swoich podgrup, między któ-

rymi czasem dochodziło do nieporozumień, a czasem do przyjaznych kontaktów; częstowały się papierosami i cukierkami, pytały, a jak jest po twojemu na przykład kochać albo chleba, albo jak jest po twojemu pierdolić, a jak rodzić, i śmiały się, że tak różne nazwy istnieją na te same rzeczy, i po co to komu. Gdy przerobiły też słowa blisko związane z Owocowym Rajem, takie jak truskawka, pieniądze, malina, pracować, zmęczenie, spać, wymy-

ślały inne, dalekie i prawie puste jak nieumyty słoik po dżemie - świat, samolot, aktorka, zakonnica. Powtarzały jeptiszka, zakonnica, nun, prychały na tureckie słowa, na których europejskie języki potykały się jak pijak na ko-cich łbach. Gdy Sara mówiła słowo w khoi-khoi, reszta machała rękoma, że to już naprawdę ponad ludzkie siły i czy naprawdę można w ten sposób nazywać świat, a jeśli tak, to czy stworzenia rozumieją wtedy swoje imiona?

Opóźnieni młodzieńcy siadali zawsze w pobliżu kobiet, mieli okrągłe twarze i słoneczne uśmiechy nie do star-cia. Jeśli coś łączyło Dominikę, Sarę, Turczynki, Senegalkę, Białorusinkę, Czeszkę i Niemki z Enerdowa, to był

to odruch karmienia słabszych, jakiego kobiety uczą się wszędzie tam, gdzie niedana jest im satysfakcja z bardziej doniosłych zadań. Karmienie takie wypełnione jest dobrocią i złością, może uratować życie i zdławić, bo gdy tylko karmicielki widzą otwarte usta, nie pytają, czy chciały coś powiedzieć, krzyknąć, zaczerpnąć oddechu, 206

lecz wkładają w nie jedzenie i dopychają, by zmieścił się następny kęs, jedzjedzjedz. W kierunku Marka i Matze wyciągały się kobiece dłonie, jedzjedzjedz; biedactwa, byli w tak oczywisty sposób słabsi, bardziej poszkodowani. Miło tak się nad bardziej poszkodowanym politować, aż się lżej człowiekowi robi. Co to za życie, to ja już bym chyba wolą nie żyć, wzdychała raz Ukrainka, raz Czeszka, a Niemka z Enerdowa pamiętała ze szkoły, że w Grecji IO się takich zaraz po urodzeniu zrzucało z jakiejś wysokiej skały. Kobiety karmiły i zastanawiały się, czy nie byłoby lepiej dla Marka i Matze, gdyby ich tak ze skały jak w Grecji, ale jednak nie, to wydawało się zbyt okrutne. Ale gdyby tak usnąć? To by nie bolało. Lepiej usnąć, niż ma się męczyć, a już na pewno na wszelki wypadek lepiej wykastrować, bo jednak nie wiadomo, co takiemu przyjdzie do głowy, jedzjedzjedz. Chłopakom odbijało się z przejedzenia i zasypiali na kartonach syci i spokojni jak niemowlęta, nieświadomi eugenicznych pomysłów karmicielek. Dopiero nadejście Szefa Wątroby sprawiało, że Mark i Matze podrywali się jak oparzeni, bo instynktem tych, którzy nieraz oberwali, czuli, że z jego strony nie ma co liczyć na współczucie.

Szef Wątroba lubił przeglądać się działającym okiem w lusterku swojego samochodu, lubił wygląd swojej ozdobionej sygnetem dłoni spoczywającej władczo i pewnie na kierownicy, bo, jak sądził, dłoń właściciela powinna tak spoczywać na wszystkim, co jego jest.

Najbardziej Szef Wątroba lubił jednak władzę, lubił ją tak bardzo, że na samą myśl o posiadaniu czegoś tak cudownego, jak prawo do dawania i odbierania, łzawiło mu szare oko, którego kolor wraz z Owocowym Rajem 207

odziedziczył po ojcu. Uczucie, które ogarniało Szefa Wą-

trobę, gdy wchodził do Owocowego Raju, nie dawało się porównać ani do wakacji na Majorce all inclusive, gdzie można było nie ruszać się dalej niż hotelowy basen, co za luksus, i jeść bez żadnych ograniczeń, ani nawet do jazdy ukochanym bmw ze skórzaną kremową tapicerką, kto rym mógł po kolei wyprzedzić z dziesięć gorszych aut, pędząc lewym pasem autostrady. Najpełniej tego stanu doświadczał, gdy patrzył na pracujące w Owocowym Raju kobiety; im bardziej na czarno pracowały, tym bardziej im na pracy zależało, a poczucie władzy Leber Fiihrera rosło najlepiej na pożywcze strachu tych, którzy nigdy nie mieli wiele do stracenia. Gdy składał niezapo-wiedziane wizyty w tonącej w truskawkowych oparach sali, jego chód był sprężysty, pierś wypięta, a oko czujne; to był raj i cały należał do niego, co więcej, można powiedzieć, że to on stworzył to piękne miejsce, modernizując odziedziczoną po ojcu ruinę. On przyjmował

do Owocowego Raju i on z niego wyrzucał, to było jego swręte prawo. Szef Wątroba lubił tu przychodzić, uwa-

żał, że pańskie oko konia tuczy. W przeciwieństwie do pomniejszych kierowników nigdy nie używał brzydkich słów, a uśmiech łagodny, ojcowski nie schodził z jego twarzy i nie różnił się od uśmiechu, jaki miał na okoliczność rodzinną, dla dzieci i wnuków. Gdy przerwa trwała za długo i Turczynki, Senegalka, Białorusinka, Czeszka i Te Dwie Dzikie porozłaziły się po zakładzie, kierownicy krzyczeli, że koniec gucken i besuchen, leniwe baby tylko by gucken i besuchen, tylko essen i trinken, wracać do roboty i to schneller, jeśli nie chcą mieć potracone.

Szef Wątroba nigdy nie podnosił głosu, mówił, guten 208

Morgen, pytał, wie gehts, i często prosił którąś z młodszych kobiet do gabinetu, a wszystko bardzo kulturalnie.

Namierzał swoje ofiary z wprawą myśliwego, trafiając szarym okiem tam, gdzie czuł najsmakowitsze połączenie uległości i oporu.

Młodsza z Turczynek, Nazan, o czerwonych włosach punkowy, przekonała się o tym na własnej skórze, choć sprawy zaszły głębiej niż skóra. Podobno były inne uszkodzone, były też takie, które z westchnieniem rezygnacji same odpinały guziki fartuchów w kolorze zgniłych truskawek, by potem mówić sobie, że gdzie tam je zmuszał, żadnego zmuszania nie było, przemogły się i swej sytuacji pomogły, załatwiły sobie to czy owo, bo takie jest życie w Owocowym Raju. Nieraz żartowały kobiety, co należałoby zrobić z takim Szefem Wątrobą, o, gdyby tylko mogły, gdyby nastał dla nich czas mocy, już one by mu pokazały! Białorusinka Kalina miała zawsze najlepsze pomysły. A wiecie, co ja bym zrobiła?

zaczynała, a potem już szło. Powiesiłyby Leber Fiihrera za jaja, stały w kółku i się śmiały, a on by dyndał jak ozdoba choinkowa. Utopiłyby w kadzi z konfitura truskawkową. A przedtem w dupę by mu nakopały i po jajach. Tak, po jajach koniecznie. W malinach wrzących by go wytarzały, a potem na golasa po śniegu przepędziły, że hej, aż by się sfajdał ze strachu. Na golasa! Pewnie, że na golasa. Przepuściłyby Szefa Wątrobę przez Waschmaschine, skąd wyjechałby na taśmie odbarwiony, wydezynfekowany i gorący jak pączek. Nazan wróciła do pracy z biura Leber Fiihrera zapięta po szyję i nie powiedziała nic, ale jej czerwone włosy płonęły, jakby tamtędy uchodziło obrzydzenie, przez chwilę się wydawało, że 209

może być z tego pożar, ale ogień przygasł z sykiem i Nazan wróciła do nalepiania na kartony nalepek Konfitura Wykwintna Owocowy Raj. Piętnaście minut w magazynie i niesmak w ustach to cena wygórowana za tak nędzną pracę, Nazan gotowa ją była jednak zapłacić, bo ryzyko-wała znacznie więcej. Wszystko było lepsze od depor-tacji i powrotu tam, skąd uciekła, paląc mosty, i gdzie miejsce, które po niej zostało, nie pomieściłoby dzisiaj-szej Nazan o czerwonych włosach i odkrytej głowie.

Niekiedy podczas przerwy Nazan siadała koło Dominiki i Sary na drewnianych paletach przed Owocowym Rajem, gdzie paliły papierosy, patrząc w noc, która przynosiła tu jak na falach strzępy snów śnionych przez mieszkańców domów o zadbanych ogródkach. Niemieckie sny nadpływały wilgotne i nieprzejrzyste, osiadały na włosach, ramionach cudzoziemek z Owocowego Raju; na dalekich przedmieściach ich fabryczka dżemów i konfitur luksusowych była jedyną plamą światła otoczoną przez mrok tak gęsty, że wydawał się żywą substancją pełną oddechów i westchnień. Turczynka jeszcze słabo mówiła po niemiecku, ale Dominika zrozumiała, że Nazan ma siostrę Aysun, która została w rodzinnej wiosce, i nie zdziwiła się specjalnie, gdy usłyszała, że jest podobna do Aysun, która też ma tak długie rzęsy. Długie, czarne, delikatne jak motyle skrzydła, jak jest motyl po niemiecku? Schmetterling. Der czy das? Gdyby nie der i das, już by Niemki były z nas! A więc Schmetterling, rzęsy jak skrzydła motyla. Niekiedy po przebudzeniu Aysun nie mogła ich rozplątać. Chciała otworzyć oczy, a tu nic przez te rzęsy, ciemność, jakby sen trwał mimo przebudzenia i było się jednocześnie tu i we śnie. Wołała wtedy, 210

Nazan, Nazan! przyjdź, bo zaplątały mi się rzęsy, i śmiały się, tarzały się za śmiechu po łóżku, jadły chałwę z pistacjami na śniadanie i patrzyły przez okno, jak pada śnieg.

W ich wiosce padało całą zimę; tej śnieżnej zimy, gdy Nazan wyjechała, dwie dziewczyny popełniły samobójstwo.

Ten jeden raz Nazan powiedziała coś o życiu przed, ale gdy po kilku dniach Dominika podczas nocnej przerwy wróciła do tej rozmowy, do siostry Aysun, która zosta-

ła w wiosce na południowym wschodzie Turcji, Nazan wzruszyła tylko ramionami, zgasiła papierosa i odeszła.

Gdy po pracy brały prysznic we wspólnej łaźni, Dominika zobaczyła po raz pierwszy plecy i pośladki Nazan, która dotąd nie paradowała po szatni nago jak inne kobiety, i zrozumiała, że ten widok to nie przypadek, lecz dar. Plecy Turczynki pokryte były pręgami, które biegły ukośnie od lewego ramienia, różowawe ślady po ranach, które zagoiły się dopiero niedawno. Plecy Nazan mówiły, to wszystko, co mogłam teraz dać i wziąć, być może nigdy nie poznasz mojej historii ani ja twojej, ale dziękuję, że dzięki tobie wypowiedziałam imię Aysun. Dominika dotknęła swojej blizny na policzku, bo to wydawało jej się najwłaściwszym sposobem, by powiedzieć, dziękuję, Nazan. Jeszcze kilka razy paliły razem papierosy, ale już nigdy nie mówiły o rzeczach ważnych, a nieważnych jest przecież tyle, że wystarczy do mówienia przez całe życie. Siedziały po prostu obok siebie, żartowały z mężczyznami, którzy podczas przerwy popisywali się jazdą na wózkach widłowych, flirtowały, karmiły Marka i Matze, dzieląc się z nimi swoimi kanapkami, albo słuchały, jak Senegalka, zwana Baobab, opowiada po raz kolejny o drzewach, które wyglądają, jakby rosły korzeniami do 211

góry, i zgadzały się, że, fakt, tu drzewa nie są takie pięk-ne i wszystkie mają korzenie w ziemi.

Tej nocy, gdy Dominika, Sara, Baobab i Nazan opuś-

ciły Owocowy Raj, Szef Wątroba pojawił się na począt-ku zmiany. Minał Dominikę i Sarę, Białorusinkę i Czeszkę, Niemki z Enerdowa i Senegalkę, zwaną Baobab, aż w końcu zatrzymał się przy Nazan, której czerwone wło-sy zapłonęły tak jasno, że przygasł blask jarzeniowych lamp. Nazan, wie gehts? Okazuje się, że muszą jeszcze raz porozmawiać, bo jednak papiery Nazan nie są w takim porządku, w jakim wydawało się, że były po ich ostatniej rozmowie. Sygnet załśnił na palcu wskazującym Szefa Wątroby, ten palec lubił błyszczeć na kierownicy i wciskać się na siłę; chce porozmawiać z Nazan teraz, dokładnie w tej chwili, bitte, Zapłonęły włosy Nazan jak główka potartej zapalki i trzeba było być ślep-cem, by tego nie widzieć, ale Szef Wątroba, zapatrzony w zbliżającą się przyjemność, nic nie zauważył i może miała rację żona, gdy namawiała go ostatnio na wizytę u okulisty. Tymczasem włosy Nazan iskrzyły się już jak zimne ognie, by po chwili wybuchnąć feerią fajer-werków w kształcie smoków, węży, tygrysów, ale to widzieli tylko Mark i Matze, i do końca życia nie zobaczą niczego piękniejszego. Smoki! Węże! Tygrysy! tak będą opowiadać, ale nikt im nie uwierzy, bo komu by się tam chciało im wierzyć. Nazan! krzyknęła Dominika, ale Turczynka nie obejrzała się; Nazan! zawołały Sara i Baobab jednocześnie, ale też na darmo. Smoki! Węże! Tygrysy!

Mark i Matze chcieli powiedzieć Białorusince Kalinie, co widzą, pokazać palcem, ale dostali tylko przez łeb, każdy dla pewności po dwa razy. Za Szefem Wątrobą 212

i Nazan zamknęły się drzwi magazynu; kobiety w hali wróciły do pracy.

Zmyliła go szybka zgoda, a pośpiech dłoni rozpina-jących mu spodnie wziął za gorliwą uległość i zdziwił się, gdy Nazan nagle wstała z klęczek i skoczyła do drzwi. Kolana miał skrępowane bokserkami w świnki, żona lubiła mu kupować takie zabawne i miłe prezenty pod choinkę; Szef Wątroba ruszył za Nazan, nie zdążył, dziewczyna zatrzasnęła drzwi. Pożałujesz, suko! Jak można było tak go potraktować? Jego, człowieka na stanowisku, właściciela Owocowego Raju! Czyjeś ręce, czuł, że więcej niż jedna para, choć nie będzie mógł tego udowodnić, bary-kadowały właśnie drzwi metalowym regałem, na którym stały skrzynki z dżemami z eksperymentalnej serii eko-logicznej. Zupełnie wam odbiło, powiedziała Sara, i to ona dopchała regał tak, że trzech mężczyzn z trudem go potem odsunie. Ale to potem. Teraz Szef Wątroba nie zdoła wspiąć się do małego okienka pod sufitem, a nawet gdy podstawí krzesło i złapie się rękoma krat, nic mu z tego nie przyjdzie.

To, co stało się potem, najlepiej zapamiętają Mark i Matze, którym kolor czerwony już zawsze będzie przypominał płonące włosy Nazan; zachodzące słońce, czerwone światło na przejściu dla pieszych, truskawki, to wystarczy, by przywołać ciąg obrazów z tamtej nocy w Owocowym Raju. Która była pierwsza? Baobab! Mark i Matze widzieli, jak zerwała chustkę z głowy i jej włosy zaplecione w warkoczyki zatańczyły jak węże, mówiłem, że węże! wrzasnął Mark, węże! smoki! tygrysy! zawtóro-wał mu Matze. Wtedy Baobab cisnęła o ścianę słoikiem pełnym dżemu, chwilę po niej Białorusinka Kalina przy-213

waliła drugim, aż echo poszło po Raju. Job twoju mać, jak ja nienawidzę dżemów! Paszły won, precz z dżemami, Dominika roześmiała się, nabrała pełne garści roz-drobnionych truskawek i obrzuciła

nimi Sarę, ta ochlapa-

ła Czeszkę od stóp do głów pulpą zaczerpniętą wiadrem z kadzi. Czeszka starła maź z twarzy, zamrugała powiekami, powiedziała coś o rękach i krwawiczce, chlapnęła Dominikę w odwecie, a dostało się też Nazan, która była teraz cała czerwona, wokół głowy świeciła jej jakby aureola, mokry fartuch przylegał do ciała. Truskawkowa maź

spływała kobietom po twarzach i dekoltach, malinowy mus lepił włosy, łaskotały jego struzki między piersiami, truskawkowy sok wędrował w dół pleców i brzucha.

Mark i Matze jeszcze nigdy nie widzieli takiej zabawy, dlaczego kobiety dopiero teraz wpadły na coś, na co oni mieli ochotę od początku? A może im się to wszystko wydaje? Może to tylko piękny sen? Nieważne, nabrali po wiadrze owocowej pulpy i niechby ktoś spróbował

teraz zatrzymać Marka i Matze, niechby ktoś spróbował powiedzieć, zostaw to, ty debilu pieprzony, niedojebku. Dominika i Sara, Baobab i Nazan, Białorusinka i Czeszka śmiały się coraz głośniej, przyłączyły się do nich dwie Niemki z Enerdowa, mała pulchna i duża chuda, i to któraś z nich podkręciła jeszcze głośniej niemieckie szlagiery. Tanzen! Zawołała duża chuda, rozpięła fartuch i ruszyła ostro, melodia w rytmie umpa-umpapa pasowała o wiele lepiej do tańca niż do pracy. Adorable! Delicieux! Cénialt Formidable! Merveilleux! krzyknęła Baobab, jak nigdy nie krzyczała, i zatańczyła, jak nie tańczyła od lat, wymachując głową, jej warkoczyki tryskały na czerwono, pod spodem żalostnej melodii szlagierów słyszała 214

inny, morski śpiew, porywał ją jak fala. Słyszycie? chciała zapytać, ale chyba słyszały. Resztę najlepiej zapamięta-ją Mark i Matze, i upierać się będą, że to prawda, bo nic nie tracą, skoro i tak nikt ich nie bierze poważ-

nie, a takie wspomnienie warte jest uporu. A było tak.

Adorable! Delicieux! Céniall Formidable! Merveilleux!

śpiewała Senegalka, zwana Baobab, a jej nagle objawio-ny sopran koloraturowy przypomniał Białorusince Kalinie czasy, kiedy to było, gdy miała zostać baletnicą. Baletnicą! Co robi w fabryce dżemów białoruska baletnica?

Kalina zdjęła fartuch, miała pod nim majtki z napisem Montag, choć to była środa, i miękki bawełniany stanik, okazało się nagle, że jej ciało, cięższe teraz o czterdzie-

ści kilo, pamięta baletowe figury sprzed lat. Pas couru!

Ballonnél Kalina wyskoczyła w powietrze, lekko wróciła na ziemię, zastygła w arabesque i po chwili, hop, assem-blel wycięła piruet na puentach. Jej piersi przed oczami Matze rozkołysane były jak dwa słońca, a chłopca zachwycił, choć nie zdziwił, ten widok, bo zawsze myślał, że słońce jest wiele, poranne, południowe, zachodzące, a wszystkie piękne, wędrujące w te i z powrotem nad nieruchomą ziemią. Co za cud, nikt nie powiedział mu, spadaj, debilu pieprzony, wynocha, niedojebku, trzeba cię uśpić, kretynie, tylko kobieta, piękna jak wszystkie słońca wzięte naraz,

poranne, południowe, zachodzące, wirowała z nim, umpa-umpapa, w majtkach z napisem Montag. Dominika tańczyła z Sarą, a Nazan z Baobab, umpa-umpapa, łąpały się za ręce, robiąc korowód, do którego włączały się kolejne kobiety z Owocowego Raju; nawet jedna tutejsza Niemka w zaparowanych okularach zrzuciła fartuch, chwyciła za rękę Marka i poszła w tany, 215

ostatnio to na Oktoberfeście tak ją porwało! Korowód zawadził o stertę kobiałek ze świeżymi Owocami, truskawki i maliny rozsypały się pod nogami, kobiety gu-biły służbowe kalosze, dłonie kleiły się do dłoni i nikt nie zwracał uwagi na to, że SzeF Wątroba wali w drzwi i przeklina, nie daruje im tego, już one go do końca życia popamiętają, śmiecie zagraniczne, głupie dupy, niech drzwi otwierają, szacunek okazują, i to schneller. Ale, umpa-umpapa, grała muzyka, Ich liebe dich, aber du liebst mich nicht, śpiewał jakiś zawiedziony w miłości, lecz bardzo energiczny głos, korowód kobiet z Markiem i Matze pośrodku wytańczył się na zewnątrz, gdzie noc była rozedrgana i gęsta; co odważniejsi mężczyźni porzucali pracę i dołączali do zabawy. Dominika czuła dłonie Sary i Nazan w swoich dłoniach, przylegały jak warstwy ciasta sklezione dżemem, pierwszy raz od wypadku czuła się taka szczęśliwa i wolna, ale korowód zaczął

wkrótce wytracać szybkość, w powietrzu czuć było już poranny chłód. Pierwsza otrzeźwiała miejscowa Niemka i nagle, niczym osoba zaskoczona nago, zgięła się wół i pomknęła w stronę łaźni. Białorusinka Kalina klapnęła na stos palet i dysząc ciężko, wymamrotała, że job twoju mać, balet już chyba nie dla niej. Potem Nazan od-lepiła się od korowodu, Nazan! krzyęnęła Dominika, ale Turczynka, nie oglądając się, pobiegła do zaparkowane-go samochodu z cysterną, którym mus z truskawek i malin przetworzonych w Owocowym Raju rozwożono do innych zakładów. Jeden samochód stał gotowy do drogi, drzwi szoferki otwarte, kluczyk w stacyjce, za kierownicą już Nazan. Podjechała do ściany budynku, wyskoczyła z szoferki i wybiła kopniakiem okienko magazynu, 216

w którym kłął uwięziony SzeF Wątroba. Zanim inni zdąży-li pojąć, co zamierza, Nazan spuściła przez nie do środka zawartość cysterny, popłynęła czerwona rzeka! Wstawał

świt, w oddali zawył pociąg, z wnętrza magazynu coś zbulgotało gniewnie. Kobiety zaczynały przecierać oczy; czy to wszystko dzieje się naprawdę? Co one robią na zewnątrz półnagie i ubabrane w truskawkach, z malina-mi w stanikach i majtkach, gdy powinny arbeiten, i to schneller, pogłupiały? Muzyka wciąż grała, umpa-umpapa, ale niczyja noga nie rwała się już do tańca, ci, którzy przed chwilą trzymali się za ręce, odsuwali się od siebie i unikali patrzenia sobie w oczy, a gdy Matze sięgnął ręką do słonecznej piersi Kaliny, ta warknęła, spadaj, debilu, i zdzieliła go w głowę. SzeF Wątroba wył i bulgotał, kłął i groził; stał po brodę w truskawkowym musie i śliz-gały mu się nogi. Jeden z niemieckich pracowników powiedział, macie dwadzieścia minut, wariatki, potem go wypuszczamy. Nam zależy na tej pracy! Narobiło się. Jak mogli do tego dopuścić? To wina Tych Dwóch Dzikich! To wina Baobab! Nazan wina! Kto to powiedział pierwszy?

Kto pierwszy obwinił? Kobiety zaczęły rozchodzić się, nie patrząc sobie w oczy, ktoś wyłączył w końcu umpa-

-umpapa; to wina Tych Dwóch Dzikich, Nazan, Baobab, powtórzył ktoś szeptem; świt wstawał zimny i siny, to wina Tych Dzikich, ktoś inny głośniej, Nazan, Baobab.

Dzikich wina, bo jak nie, to czyja? Nazan wina, Baobab!

Pakujemy się! Macie piętnaście minut! powiedzia-

ła Sara. Za piętnaście minut widzimy się przy wyjściu.

Gdy spotkały się przy bramie Owocowego Raju, miały jeszcze kawałki owoców we włosach, uszach, pod paznokciami, a w pośpiechu narzucone ubrania kleiły się 217

im do ciał; Dominika włożyła sweter na lewą stronę, Nazan ukryła głowę pod narciarską czapką z pomponem i nawet doświadczonej podróżniczce Sarze cieliste rajstopy wystawały z plecaka i powiewały na wietrze jak kołysane wodą ukwiały. Warkoczyki Baobab sztywne od dżemu sterczały na wszystkie strony, w uszach podrygi-wały wielkie kolczyki z turkusami, była piękna i trochę straszna. Czy opowiadałam wam już o baobabach? To był

śmiech, jakim śmieją się uciekinierki nad ranem, śmiech mający moc budzenia z martwych. Pierwszy poranny do Frankfurtu odchodził z małej stacji o czwartej pięćdziesiąt i musiały na niego zdążyć, bo jeśli Szef Wątroba we-zwie policję, choć nie sądziły, by to zrobił, bo musiałby tłumaczyć się z nielegalnego zatrudniania pracowników, będą ich szukać przede wszystkim na dworcu. Ale kto wie, jaka zemsta przyjdzie mu do głowy? Nie ma już dla nich miejsca w Owocowym Raju. Ruszyły; biegły skrótem przez lasek brzozowy po kolana stojący we mgle, przez uśpioną wioskę, wzdłuż ogródków z krasnalami, gipso-wymi grzybami i wodnymi oczkami, koło sklepu Aldi, gdzie śmiertelnie przeraziły dostawcę mleka. Zdążyły!

Gdy piły kawę na dworcu we Frankfurcie nad Menem, wiedziały, że ich wspólna droga dobiegła końca. Tu jest dużo Turków, powiedziała Nazan, może znajdę pracę w jakiejś restauracji, może w sklepie; poradzę sobie, bo nie mam dokąd wrócić. Ja jadę do Kopenhagi, oznajmiła Baobab, może wcześniej zarobię trochę tu czy tam, ale potem do Kopenhagi, szukać mojego męża, Madou. Razem wrócimy do domu, do Senegalu. My pojedziemy do Gelnhausen, mamy tam kogoś, córkę naszej przyjaciółki Grażynki, zatrzymamy się na chwilę i popracujemy w cu-218

Dominika. A potem? Dalej w drogę.

Gdy spotkam Aysun, opowiem jej o tobie, powiedziała Nazan do Dominiki, kiedy się żegnały, powiem jej, że też plątały ci się rzęsy. Rzęsy nieznannej siostry Nazan stały się rzęsami Dominiki i odtąd ilekroć spojrzy na nie w lustrze, pomyśli o dziewczynie, która jadła na śniadanie chałwę z pistacjami, a za oknem śnieg sypał się na dachy tureckiej wioski wielkimi mokrymi płatkami.

V

Ciocie Herbatki nawet przed wojną zapasy robiły tak, jakby zawsze spodziewały się zimy stulecia. Szły na targ z wielkimi koszami i macały owoce, grzebały w warzywach, a ich twarze przybierały wyraz skupio-nej i podszytej podejrzliwością powagi, jakby chodziło o coś o wiele bardziej doniosłego niż zakup produktów na przetwory.

Jabłka tej jesieni były byle jakie; byle jakie, wzdychały, niewydarzone pierdziołki. Za to gruszki! Zrobią gruszki w occie i konfiturę gruszkową z żurawiną, świetną do mięsa, a jeśli mięsa nie będzie, zje się z placka-mi ziemniaczanymi. Może też kilka kompotów grusz-kowych z goździkami i syropem

porzeczkowym, który nada im piękną różową barwę, i będą goście pytać, a jak to panie zrobiły, pani Różo, pani Aniela, że gruszki, a ró-

zowe? Klapsy, bergamotki i lukasówki, piękne owoce o kształtach miejscowych kobiet, nawet w kolorze podobne, płowozłote, gdzieś zbrązowiały i obite.

219

Ciocie Herbatki wybierały, przebierały, podnosiły owoce pod światło, jakby spodziewały się dojrzeć przez skór-kę i miąższ ukryty w środku skarb. A jak się targowa-

ły! Wiedziały dokładnie, ile razy mają odejść, mówiąc, nie to nie, idziemy gdzie indziej, a kiedy ustąpić i ubić interes. Ale najpoważniejszą sprawą był wybór kapusty do kiszenia. Wielkość, kolor, zapach, dotyk i zwartość, wszystko miało znaczenie. Kazały sobie przekroić wy-

brany egzemplarz i oglądały każdą połówkę z taką uwagą, jakby trzymały w dłoniach cenne okazy japońskiej ceramiki. Dobra kapusta powinna z wierzchu mieć kolor kiełkującej trawy, w środku olśniewać kremową bielą twarożku; dyskwalifikują ją czarne kropki, sinawe na-cieki, a nawet delikatne smugi żółci. A do tego zapach niedojrzałych ziaren pszenicy, świeżość z orzechową domieszką, i żaden inny. No i dźwięk, ściśnięta kapusta powinna zapiszczeć jak mysi osesek; jeśli zapiszczy, kisimy, mówiły Ciocie Herbatki, ugniatając w dłoniach główki wybrane ze sterty leżącej na jednym czy drugim wozie. Tego roku trochę spóźniły się z kiszeniem, ale bywają lata, gdy wszystko przychodzi za późno, jabłka nie chcą dojrzeć i mimo słońca wiszą na drzewach zielone i twarde jak kamienie, a węgierki do pierwszych mrozów nabierają zaledwie połowy przewidzianej słodyczy.

Czekały więc i czekały Ciocie Herbatki niezadowolone z tego, co można było kupić na targu w Kamieńska czy Gorzkowicach, aż w końcu zdecydowały, że nie ma co, jaka będzie, taką kupią i ukiszą, bo inaczej zostaną bez kapusty na zimę.

Od piątej rano Ciocie Herbatki szatkowały kapustę, rozmawiając o Grażynce, bo w przeddzień doszło do 220

nich, że fryzjer Tadeusz Kruk zastawił na nią sidła. Całą noc myślały, co mogą zrobić, i nic nie wymyśliły. Zabronić? Nigdy niczego Grażynce nie zabraniały. Wytłumaczyć jej? Jak wytłumaczyć to, o czym nie da się mówić?

Przekupić fryzjera? Nie ma czym. Uciekać? Nie ma do-kąd. Wpakowały kapustę do beczek, pomyły nogi, żeby zabrać się do deptania, i Róża poszła po sól do spiżarki, ale tak długo nie wracała, że poszła i Aniela. Trutka na mole! Szukając soli, Róża znalazła buteleczkę trutki na mole i oglądała ją pod światło. Całą wojnę w jakimś kącie przestała; butelkę z ciemnego szkła pokrywał kurz i pajęczce kłaczkami, a gdy Aniela przetarła ją brzegiem fartucha, w środku zaśniło księżycowo. Żaden środek nie działał tak jak trutka na mole sporządzona według starego przepisu przez Ciocie Herbatki. Piołun i belladonna, czarny pieprz i wilcza jagoda, miód, koniecznie wrzo-sowy, bo inny spaprze wszystko, trochę czarnego bzu i kozieradki, szczypta cynamonu, trzy ostre papryczki.

Taki przepis podała im na kursie gospodarstwa domowego w Częstochowie dziewczyna imieniem Balbina, która-

ra potem uciekła i została aktorką w Warszawie. Ponoć wystarczyło położyć w szafie watkę nasączoną trutką, by mieć pewność, że wełniane okrycia i futra przetrwają nienaruszone. Pewnie Cioce Herbatki coś pokręciły, bo trutka ich autorstwa nie wywierała żadnego wrażenia na molach, miała za to inne działanie, i do tego pyszny smak. Moc trutki Cioć Herbatek polegała na tym, że dzięki niej ludzie dochodzili do siebie. Cioce Herbatki rozdawały ją tym, którzy wydawali się właśnie tego potrzebować, i radziły zażywać po łyżeczce przed snem.

Na przykład Franciszce Pyłek z poczty, która nie mogła 221

dojść do siebie po powrocie z obozu; jej ciało chodziło po Kamieńsku, puste jak wydmuszka, a Franciszka Pyłek klęczała nad dołem pełnym trupów i wyla, choć nie słyszała swego głosu. Tak mi ciężko, łkała w strasznych godzinach przedświt, już chyba nigdy nie dojdę do siebie.

Postanowiła więc zażyć trutkę na szczury, a jej straszny smak zapić kieliszeczką trutki na mole Cioć Herbatek bo mała przyjemność w obliczu samobójczej śmierci nie wydawała się grzechem. Napisała list pożegnalny, rozdała dobra doczesne, w tym prawie nowy kostium ze szmaragdowego aksamitu, ubrała się jak do trumny, by nikomu potem kłopotu nie robić, łyknęła i obudziła się po trzech dobach z uczuciem dziwnej lekkości. Franciszka otworzyła na oścież okna, wylała resztę najwyraźniej zwietrzałej trutki na szczury i podarła na strzępy list po-

żegnalny, zatytułowany: Do tych, którzy znajdą me ciało.

Mikstura cioć Herbatek najpierw dała Franciszce uczucie lekkości tak wyraźne, że byle przeciąg unosił ją w górę, i gdy porządnie wiało, na wszelki wypadek obciążała kieszenie kamieniami, w tym celu na toalecie w przedpokoju, oprócz apaszek i rękawiczek, trzymała zawsze parę sporych otoczków znalezionych na brzegu Kamionki.

Dopiero po kilku tygodniach Franciszka zauważyła, że kłopotliwa lekkość to nie jedyny efekt trzydobowego snu po trutce Cioć Herbatek. Jedząc loda na ławce przed kościołem, Franciszka Pyłek, która na szczęście przeżyła obóz, i niestety też rodzinę, wróciła do siebie. Może nie była dokładnie ta sama, co kiedyś, ale darowanej sobie nie patrzy się w zęby, pomyślała i kupiła jeszcze dwie śmietankowe gałki; smakowały tak bardzo, jakby na dwa języki lizała! Franciszka Pyłek aż przymknęła oczy ze 222

szczęścia i odtąd przy każdej okazji dziękowała Ciociom Herbatkom za ocalenie.

Róża potrząsnęła butelką i pod światło zobaczyła, że płyn nie zmętniał, a gdy wylała dwie krople na talerz, wyglądały dokładnie tak, jak powinny, błękitne i opalizujące niczym kamień księżycowy. Cioce Herbatki popatrzyły na siebie bez słów i pokiwały głowami, pieczętując decyzję, która już zapadła. Jeśli jest jakiś inny Tadeusz Kruk oprócz tego, którego znały i bały się, po trutce na mole powinien przyjść do siebie. Tadeusza Kruka nie zdziwiło zaproszenie do Napoleonówki, bo sam zastanawiał się, jak podejść Cioce Herbatki. Grażynka spędziła w jego zakładzie już ponad tydzień i były to dla niego dni wyjątkowe, Tadeusz Kruk nie rozumiał, jak mógł żyć bez niej tak długo.

Najpierw myła tylko włosy klientek i mieszała papkę rozjaśniającą, mrużąc oczy w gryzących oparach perhydrolu, ale wkrótce nauczył ją podcinać końcówki. Niektóre klientki wręcz o nią prosi-

ły, panie Tadziu, niech pan odpocznie i pozwól Grażyn-ce się powprawiać. Dziewczyna nie miała wielkiego daru do fryzjerstwa, ale kobiety lubiły słuchać jej paplaniny, nawet te, które denerwowała jej uroda i wrażenie, jakie wywierała na mężczyznach z Kamieńska. Zostawiały zazdrość za progiem zakładu fryzjerskiego Tadeusza Kruka i mówiły, pani Grażynko, z tyłu krócej, a grzywkę wycieniować i z falą na lewy boczek, a ona strzygła, jak umia-

ła, i mówiła o wiele więcej niż wtedy, gdy spotykano ją w towarzystwie Cioć Herbatek. Wystarczyło parę dni, by narodziła się plotka, że Grażynka Rozpuchówna opowia-

da przy pracy cuda-niewidy; trudno się połapać, co i jak, bo nie są to przepowiednie jak od Cyganki, jednak doty-223

czą przyszłości, i po wyjściu z zakładu ze świeżą fryzurą człowiek czuje przymus, by zrobić coś, o czym nigdy wcześniej nie myślał. Podobno Marianna Gwóźdź poleciała do sklepu i kupiła dziesięć zeszytów, a Franciszka Pyłek pobiegła do domu i wróciła z całym naręczem spódnic i sukienek, które dała do krawca do skrócenia.

Gdy Grażynka pracowała, Tadeusz Kruk siadał tak, że widział tył Grażynki normalnie, a przód w lustrze, w którym odbijała się też jego twarz. Każdy ruch Grażyn-ki sprawiał, że powierzchnia lustra falowała jak woda, a fryzjerowi aż kręciło się w głowie, gdy błysk nożyczek kroił lśniąca powierzchnię. Wydawało mu się czasem, że on i Grażynka odbita w lustrze to jedno, że jest Grażynką Rozpuchówną o pełnych piersiach i wysokich pośladkach, i ogarniało go uczucie rozkoszy tak doskonałej, jakiej nie zaznał, nawet strzygąc kobiety w obozie. Niekiedy spojrzenia Grażynki i fryzjera krzyżowały się w nagłym rozbłysku światła, a on widział w jej oczach to, co sam czuł, pragnienie stopienia w jedno, bo jej oczy były jego oczami. Tymczasem Grażynka osobna i własna widziała człowieka o twarzy starzejącego się zółwia i pragnęła go ratować. Tadeusz Kruk postanowił ożenić się z Gra-

żynka, jak najszybciej, ale praktyczna strona jego natury podpowiadała mu, że dobrze byłoby załatwić to po boże-mu, z błogosławieństwem Cioć Herbatek. Niby wiele one nie miały, Napoleonówkę i kawałek ogrodu, ale wiecznie żyć nie będą i lepiej, żeby Grażynki nie wydziedziczyły i nie zapisały chałupy jakiemuś muzeum. Na wizytę wieczorną ubrał się Tadeusz Kruk starannie w przedwojen-ny garnitur zakupiony w Radomsku, prawie nieużywany, wzuł świeżo wypastowane buty, zarzucił jesionkę prze-224

siąknięta zapachem naftaliny. W ostatniej chwili wyczyś-

cił końcem scyzoryka brud spod paznokcia i starannie wygrzebał woskowinę z uszu, jakby na wstępie Cioć Herbatek miały dokonać przeglądu czystości. Miał dla nich w prezencie karkówkę wieprzową, zgrabny kawałek w sam raz do pieczenia, a dla elegancji postarał się też o dwie buteleczki perfum i bukiet. Cieszył się, że wizyta wypadła tego dnia, gdy Grażynka była w Radomsku, bo bałby się wyłuszczać sprawę przy kobiecie, której obecność sprawiała, że rozpływał się z miłości.

Usiadł Tadeusz Kruk za stołem, a naprzeciwko Cioce Herbatki, każda w bluzce z kokardą pod szyją, Róża w seledynowej jak woda, Aniela w liliowej jak błędne ogniki z bagien. Po słowach powitania w Napoleonówce zapadła cisza i fryzjer zaczął z nerwów bębnić palcami w drewniany blat, czuł zapach lawendy i świeżo zapa-rzonej esencji, pocił się obficie; Cioce Herbatki dobiegł

zapach zła i wiedziały już, że wzmógł się od czasu, gdy ostatni raz miały Tadeusza Kruka pod nosem. Westchnę-

ły jednocześnie, zegar wybił godzinę. Czy to Aniela dała znak, czy Róża wstała z własnej inicjatywy, by z kreden-su wyjąć kryształową karafkę z nalewką porzeczkową?

Czarna porzeczka, cierpki owoc o dużej zawartości witaminy C i delikatnym zapaszku trupa, jak żaden potrafi stłumić inne smaki, wonie i kolory. Owoc zdrowy i piękny, którego grona lśnią na krzakach w kamieńskich ogro-dach jak czarne złośliwe oczka. Płyn, którego Aniela na-lała do kieliszka fryzjera, był gęsty, prawie czarny i tylko bardzo wprawne oko dostrzegłoby w jego barwie po-blask księżycowego kamienia. Tadeusz Kruk odgiął elegancko mały palec i podniósł kieliszek do ust, był dobrej 225

myśli, o ile to możliwe w przypadku człowieka o złych intencjach. Po pierwszym kieliszku leciutko poweselał

i pomyślał, jakie stare już te Cioce Herbatki, jakby starsze, niż wydawało mu się jeszcze przed chwilą. Ileż one mogą mieć lat? Hm, chrząknął niepewnie, bo nagle wy_

dały mu się młode i piękne, nagie i długowłose. Tadeusz Kruk zamrugał oczami. Róża zapytała na to grzecznie, czy jeszcze sobie naleweczki życzy, życzył i Aniela po-lała zgrabnie, zakręcając karafką tak, że nie kapnęło na obrus. Patrzyły na niego, wpatrywały się, a niech się ga-pią, głupie kwoki. Co za pyszna naleweczka! czy Grażyn-ka taką nastawiać potrafi, zapyta, jak nie, niech się nauczy, pomyślał rozmarzony fryzjer i poczuł, jak ciężą mu stopy. Próbował rozruszać je dyskretnie pod stołem, by nagłym skurczem nie zepsuć eleganckiej atmosfery, ale sztywnienie nie mijało, przeciwnie, pełzło w górę, jakby zanurzał się w tężejącej galarecie jednocześnie pa-rzącej i zimnej. Mocna! Koniecznie nastawić trzeba bę-

dzie. Hm, chrząknął. Chciał powiedzieć coś więcej, całą mowę sobie ułożył, która zaczynała się od słów, przyszedłem tu wiedziony nadziejom. Przyszedłem tu wiedziony nadziejom, nadziejom wiedziony tu przyszedłem, powtarzał przed wyjściem, poprawiając węzeł krawata, który JUŻ w niedalekiej przyszłości wiązać mu będą ukochane rączki żony. Przyszedłem tu wiedziony nadziejom, chciał

więc powiedzieć, ale tylko chrząknął, hm, wycharczał, ppplęł, i puścił bańkę śliny w jaskrawoniebieskim kolorze. To żem się upił, pomyślał ze zdziwieniem fryzjer Tadeusz Kruk, żeby słodkim chłop się tak upił w trymiga? Nie mógł widzieć tego, co aż nadto oczywiste było dla Cioć Herbatek, które, ciekawe, jaki skutek trutka na 226

mole wywrze w tym wypadku, zafascynowane patrzyły na przemianę fryzjera. Cóż za kolor zaczął przybierać, si-ność nie z tego świata niebieskawą, niby trupią, ale jakoś piękną, piękną urodą ogników bagiennych, które Cioce Herbatki widywały, gdy późną jesienią zapuszczały się po

żurawinę aż na mokradła koło Kocierzowy. Żegnały się wtedy, ale bardziej z przyzwyczajenia niż strachu, bo o wiele straszniejsze rzeczy widziały w życiu, i patrząc na tłący się płomyk, zastanawiały się, czyja to dusza tak na bagnach się męczy, mężczyzny czy kobiety, duch to czy duszna? Tym razem naląła Róża, a ręka Tadeusza Kruka wysunęła się w kierunku kieliszka wbrew jego woli; puścił drugą bańkę, czknał, wypił, kropla o niebieskim połysku popłynęła mu po brodzie i zamarła na jej skraju jak klejnot. Jeszcze nigdy nie był tak piękny Tadeusz Kruk, bo nalewka Cioć Herbatki wypaliła, w nim zło, które poddawało się płomieniowi jak suche włosy, płonęło, wciąż płonęło, aż nie miał wewnątrz nic prócz popiołu w kolorze sroczych jajek. Przy szóstym kieliszku fryzjer Tadeusz Kruk zeszywniał na amen z dłonią za-ciśniętą i palcem odgiętym, a jego wciąż żywe oczy nie mogły zamknąć się z przerażenia, gdy zrozumiał, że dał

się nabrać, i zaraz stanie się coś jeszcze gorszego. Ciocie Herbatki spojrzały na siebie w milczeniu, bo nie potrzebowały słów, by się porozumieć, a Tadeusz Kruk był

już tylko pustą skorupą człowieka, pałubą o tęczówkach tak ciemnych jak wydlubane gwoździem dziury. Gdyby pożar, jaki rozpętała w nim trutka na mole, natrafił na choćby naj mniejszy okrucuch niepalny, dałoby się go uratować, a tak tylko westchnęła Aniela, Róża westchnęła.

Wyszły z pokoju i po chwili wróciły z beczką do kisze-227

nia kapusty, a była tak wielka, że z trudem przepchały ją przez drzwi; westchnęła Aniela, Róża westchnęła, podstawily beczkę i włożyły do niej fryzjera Tadeusza Kruka głową w dół. Pod pantoflem, który spadł, miał dziurawą skarpetę, paluch wystawał z niej zwieńczony żółtawym paznokciem, westchnęła Róża i upchnęła stopę fryzjera, Aniela westchnęła, podniosła i wrzuciła do beczki but, wzięwszy go w dwa palce jak jakaś dama. Wieko przybiły na cztery ręce, przewróciły beczkę i wytoczyły do sieni.

Róża uchyliła drzwi i wyjrzała, ogród był cichy i pusty, pozbawione liści drzewa odcinały się od nieba. Szło na mróz, ale ścieżka biegnąca w dół do Kamionki wytapiała się w pierwszym śniegu jak czarna wstążka, bo Ciocie Herbatki po południu posypały ją solą.

Za godzinę wróci Grażynka ostatnim pociągiem z Radomska, trzeba się śpieszyć; westchnęła Aniela, Róża westchnęła, gdzieś daleko zaszczekał pies, wiało mrozem, kolejne gwiazdy zapalały się z trzaskiem. Ciocie Herbatki zarzuciły kufajki, włożyły walonki i zepchnęły beczkę po trzech kamiennych schodach, potoczyła się wprost na ścieżkę, jakby znała drogę, jej zawartość za-

łomotała; Róża i Aniela jak na komendę przyłożyły palec do ust, ciii. Ciii, i obłoczki pary z ich ust. Do furtki poszło łatwo, tylko raz musiały użyć siły, szepcząc raz-dwa-trzy, gdy beczka zesła z kursu i utknęła w krzakach agrestu.

Wyjrzały na drogę, pusto, ciii. W oddali ciemniała wieża kościoła, a w bożnicy przerobionej na przychodnię zapaliło się światło, załśniły kryształki wody na przydrożnych chwastach. Nikogo? zapytała Róża; ciii, nikogo, Aniela westchnęła. Przepchnęły beczkę przez drogę, a potem już potoczyła się sama w dół do rzeki Kamionki, Ciocie 228

Herbatki za nią jak w dym. Gdyby woda przy brzegu nie zamarzała, byłoby już po sprawie, popłynąłby

fryzjer z Kamińska do Bałtyku. Tymczasem beczka ślizgiem poszła i zatrzymała się na lodzie tuż obok nurtu czarniejszego niż noc, pełnego gwiazd w nim odbitych, płynących ku morzu. Rzadko w listopadzie zdarza się taki mróz. Co za pech! Westchnęła Aniela, Róża westchnęła, wzięły się za ręce, a te, które miały wolne, rozpostarły dla równowagi, jakby wchodziły na liny obok siebie równolegle rozciągnięte - najpierw palce, potem reszta stopy, krok po kroku z oczami utkwionymi w beczce. Ciocie Herbatki bały się wody i nawet balia pełna deszczówki wydawa-

ła im się zbyt obfitym nagromadzeniem żywiołu, który przerażał je dlatego, że był tak piękny. Mój Boże, wzdychała Aniela albo Róża wzdychała, patrząc na usianą owadami powierzchnię, mój Boże, jaka to potęga z tej wody, zegnały się, nabierając garnkiem trochę na mycie głowy. Teraz ostrożnie stawiały stopy w walonki obute, trzeszczał lód, jakiś ptak krzyknął, zamilkł, beczka z Tadeuszem Krukiem była tuż-tuż. Ja popchnę, powiedziała Aniela. Nie, ja, sprzeciwiła się Róża. Westchnęła Aniela, Róża westchnęła i razem zrobiły jeszcze trzy kroki.

Już! Obie popchnęły fryzjera w czarny nurt i wtedy lód trzasnął. Jak strasznie trzasnął lód! Beczka z Tadeuszem Krukiem podskoczyła i popłynęła, podskakując na czarnych falach, trzask ucichł, słychać było tylko plusk, przy-brzeżne osiki drżały. Ciocie Herbatki odetchnęły, no to po wszystkim, ale tym razem one dały się nabrać. Gdy odwróciły się, by wrócić na ląd, zobaczyły, że między cienką krą, na której stoją, a lodem rośnie czarna krecha wody. Przed nimi woda, za nimi woda i żadnej arki na 229

horyzoncie, a jeśli nawet by się znalazła, kto zaprosił-

by na nią dwie stare panny morderczynie? Westchnęła Aniela, Róża westchnęła, chyba skoczyć będzie trzeba, ale zanim się odważyły, straciły równowagę. Świat fik-nął koziołka i niebo znalazło się na ziemi, a ziemia na niebie, z drzewami rosnącymi na wspak, z wieżą kościelną górą do dołu zwisającą jak sople, z rzeką Kamionką, która płynęła jak gdyby nigdy nic, z dwiema parami nóg w walonkach, które z rzeki przez chwilę wystawały, po-wierzgały, znikły.

Co za ciemność była pod wodą, srebrna i gęsta jak rtęć! Ani Róża, ani Aniela nie rozpoznawały, która koń-

czyła w plątaniu rąk i nóg młócących na oślep do kogo należy; dopiero gdy dwie dłonie splotły się w jedno, wiedziały: Róża, pomyślała Aniela, Aniela, Róża pomyśla-

ła, a nurt niósł je coraz dalej od Kamińska. Koło łachy piasku zwanej Juratą, na której latem bawiły się dzieci, wyprzedziły beczkę z fryzjerem Tadeuszem Krukiem, i płynęły dalej, wciąż trzymając się za ręce, gubiąc kolejne części garderoby. Dziwne, w ogóle nie czuję zimna, pomyślała Róża, a może to była Aniela, bo jednomyślnie im się myślało i płynęły w ciemności pełnej potopio-nych gwiazd, które, wirując, opadały na dno, kanciaste skrawki odbitego światła ramionami zaryte w piasek.

Pod drugim mostem Ciocie Herbatki przepłynęły już nagie, znikły ich zmarszczki, zwisająca skóra, odrosły wło-sy, wypełniły się piersi, które wcześniej wyglądały jak woreczki z piaskiem; pięknie westchnęła Róża, pięknie Aniela westchnęła.

Nagie piękno odmienionych Cioć Herbatek nikogo nie zachwyci prócz pijanego dróżnika Wacława Pajaka.

Po wojnie objął stanowisko po Barnabie Midziaku i okazało się, że pociągi budzą w nim taki smutek, że zaczął

pić, by jakoś znieść ich codzienne znikanie w oddali, a gdy się upił, robiło mu się jeszcze bardziej markotno.

Wszelki duch Pana Boga chwali, jęknął i oczy w wodę wlepił, syreny? Syreny! Będzie przysięgał potem Wac-

ław Pajak, w chudą pierś pięścią bił się, że dwie syreny w Kamionce widział jak żywe. Syreny! Na moście stał, bo, za przeproszeniem, musiał zrobić siku, a trochę trwa to w jego wieku i kondycji, więc gdy zrobił, nadal stał, bo zapomniał, z której strony w którą szedł, i czy szedł

dokądś, nie był pewny, czy może skądś wracał. Po jednej stronie stania miał most i most miał po stronie drugiej, jakże tu zdecydować, gdy po jednej stronie mostu ciemność i ciemność po drugiej taka sama. Stał więc i czekał

Wacław Pajak na jakiś znak, w wodę patrzył, a tu nagle, Matko Boska i Wszyscy Święci! w rzece włos długi, krę-

ty, złoty, najzłoty, dwie głowy, czworo rąk, i nie nogi, lecz ogony, ogony rybnie dwa, ogonami chlasnęły syreny, chlast, i ten chlast nocną ciszę na moście przeciął jak nóż. Plusk i chlast ogonów, łusek blask, zamęt, błysk, gwiazdny pył, syreny. Syreny w rzece Kamionce, już nic piękniejszego w życiu nie zobaczy, co do tego nie miał

wątpliwości Wacław Pajak, dróżnik ze stacji Karnieńsk.

Ani żona, ani światło elektryczne do chałupy pociągnię-

te, ani świąteczna wyżerka, nic z tego, od tej nocy syreny tylko były mu w głowie na jawie i we śnie, ach, gdyby tak któryś z pociągów zawiózł go do krainy syren, wtedy byłby szczęśliwy i przestał pić. Przyszła wiosna, a dróż-

nik Wacław Pajak wciąż śnił o syrenach w Kamionce i przespał pośpieszny do Warszawy oraz pierwszy oso-231

bowy do Radomska; obudził go dopiero huk niezmierny, gdy towarowy uderzył w tył osobowego, wykoleił

się i zasypał tory paroma tonami cukru, który jechał do Wrocławia; dzieciaki z Kamieńska i okolic nigdy się tak słodkiego nie obżarły, a co cwańsi z workami raz-dwa przybiegli i na handel nabrali. Wacława Pajaka zamknię-

to na dwa lata w zakładzie karnym w Radomsku, gdzie źle mu nie było, bo i wikt, i opierunek, a żonie nieraz udało się przemycić dla niego flaszkę w wydrążonym bochenku chleba. Tam zaczął czytać,

choć wcześniej go do książek nie ciągnęło, a najlepiej mu się czytało, gdy było coś o syrenach; wtedy czytał tak długo, aż coś zaczyna-

ło w nim recytować samo z siebie i nie mogło przestać: Ty w kraj Syren zajedziesz, czarownic, co zdradzą tych wszystkich, jacy tylko o nie tam zawadzą. Szaleniec, kto się zbliży i Syren tych śpiewy usłyszy. On nie ujrzy nigdy, póki żywy, ni małżonki, ni dziatki, ni ziemi rodzinnej: tak go zczaruje śpiew tych Syren słodkopłynny. Waław Pajak wrócił z więzienia i gdy tylko usiadł w barze Kurka, który powstał na miejscu zakładu Tadeusza Kruka, zaczął

opowiadać o syrenach.

Przez dwa lata odsiadki tak mu się talent do gadania rozwinął, że mężczyźni milkli, żarty cichły, zamknij dziób, jeden drugiego uciszał, wykrzywając twarz szy-derczo, że niby jaja sobie robią z byłego dróżnika, kto by takie brednie brał poważnie, srututu, syren się chło-pu zachciało, bimber mózg mu wypalił. Żaden nie przyznawał się, że naprawdę ciekawi byli tych syren śpiewających, słodkopłynnych, ogonami chlastających, syren, które wcześniej jakoś nie zapuszczały się do Kamieńska.

A wtedy, mówił były dróżnik Waław Pajak, gdy na mo-232

ście stałem i dumałem, syreny! Najsampierw coś jakbym śpiew usłyszał. Ale jaki! Nie żadne wyjce, ale jakby na najlepszym dansingu warszawskim, w żadnym radiu takiego śpiewu nie usłyszysz! Cichutko, a jakby głoś-

no, prosto do serca. Śpiew to był syren słodkopłynny!

Słodkopłynny, powtórzył ten i ów pod nosem, a Mariusz Gwóźdź, bratanek Marianny, zapytał, że słodko-co? ale go uciszeli, bo uchodził za nierozgarniętego. Waław Pajak tymczasem z kufla popijał i oczy zamykał; w nowo zapadłej ciszy słychać było tylko sapanie cierpiącej na astmę bufetowej Krysi. Dróżnik oczy otwierał, ale patrzył tak, jakby co innego niż wszyscy widział, i to nie tu, w barze Kurka, ale gdzieś daleko, i mówił: Mnie jedne-mu li wolno słuch mieć dla ich śpiewu, lecz trzeba mnie przywiązać k'masztowemu drzewu; Matko Boska, wzdychała bufetowa Krysią, żeby do drzewa przywiązywać, toż to dzicz jakaś, panie Pajak. Pan powie lepiej, jak i co od początku. A więc było to tak, ciągnął swoimi słowami Waław Pajak, pochyliłem się z mostu, a one do mnie, Waławie Pajaku, przemówiły, a jak syrena przemawia, to tylko śpiewem jak w łoperze, śpiewem słodko płynnym. Taka syrena nie musi też o nic pytać, po oczach imię człowieka czy zwierzęcia poznaje, a po samym dotyku imię rzeczy, i to w każdym języku. Po czechosło-wacku, po rusku, po afrykańsku, po francusku! Waławie Pajaku, przemówiły śpiewem, tyś na tym moście nie przez przypadek się znalazł, o nie, my miałyśmy w tym swój plan. Wybrałyśmy ciebie, boś jest porządnym człowiekiem, a my porządnego człowieka umiemy rozpoznać, nasz wzrok sięga prosto do serca. Ciii, bufetowa Krysią uciszyła parsknięcia śmiechu, bo niektórym jakoś 233

trudno było uwierzyć w to, że akurat Waław Pajaka, pijaka, którego z każdej roboty wyrzucali, wybrały sobie złotowłose syreny. Waławie! tak śpiewem wołały słodkopłynnym, do połowy z wody wynurzone, a piersi miały gołe, jak śnieg białe, jak śmietanka. Śpiewały, a tak rów-no, jakby jednym głosem, choć dwoje było ust, Waławie Pajaku, do mnie po imieniu śpiewały. A co za słodki głos

miały, że piłybyś jak wódkę! O matko, westchnęła bufetowa Krysia na bufecie biustem wsparta, żeby tak w listopadzie w Kamionce na półgoło, Waławie, wołać, czy to nie sprawka szatańska? Zignorował Waław Pająk pytanie Mariusza Gwóździa, czy duże cycki te syreny miały, czy raczej małe, i znów oczy zamknął w natchnieniu.

Piersi gołe, brzuch goły, a pod pępkiem, pod pępkiem łuska srebrna, nie tak jak u zwykłej kobiety, o nie. Takiej syrenie to zwykła kobieta do pięt nie dorasta, chociaż pięt to one w ogóle nie mają, tylko płetwę ogonową jak u ryby. Łuska srebrna, ja wam mówię i powiadam, a jak się w niej światło księżycy odbijało, tożem oczy mrużyć musiał jak w południe. Waławie, powiedziały syreny, słuchaj i zapamiętaj. Jesteśmy syreny z dalekich mórz, ale najsam pierw za życia, nie zgadłbyś, kim były-

śmy. A jakbyś nawet zgadł, sam sobie byś nie uwierzył, drogi Waławie. Sam sobie byś nie uwierzył, powtórzył

pod nosem Mariusz Gwóźdz, ale nadal nie rozumiał, więc popatrzył na swoje wielkie ręce, popił piwa i słuchał dalej. Nie uwierzyłbyś, Waławie, że żyłyśmy koło ciebie, że mijaliśmy się na ulicy Prostej i tym samym pociągiem osobowym nieraz jeździliśmy do Radomska na targ.

U tego samego rzeźnika kupowaliśmy mięso, w tej samej piekarni chleb. Dzień dobry, nam mówiłeś. Waławie, 234

spójrz nam w oczy, syreny zażądały, a ja przez barierkę mostu wtedy mocniej żem się wychylił i raz jednej, raz drugiej w oczy żem spojrział, choć strach. A jak patrzy-

łem, to tak jakbym w jedną parę oczu patrzył, i aż mi się w głowie kołowało. Bo też co za oczy one miały, te syreny, jak studnia, do której człowiek zagłada i wydaje mu się, że tam ktoś znaki daje, woła, chodź do mnie, chodź

do mnie, chodź do mnie. Matko Boska, powtórzyła bufetowa Krysia i złapała się za medalik z Częstochowy, który nosiła na łańcuszku i wyławiała spomiędzy piersi w chwilach trwogi. Ich oczy były zielone, niebieskie, ale były też brązowe, złote jak herbata, ja jestem Aniela, za-

śpiewała jedna syrena, a ja Róża jestem, druga zaśpiewa-

ła; potem westchnęły i znikły. Przez chwilę jeszcze śpiew się w powietrzu unosił słodkoplłynny, zakończył Waław Pająk. Co za cisza zapadła w barze Kurka! Że niby Ciocie Herbatki? wypowiedział Mariusz Gwóźdz to, czego inni nie śmieli powiedzieć. Ano one, odparł dróżnik Waław Pająk, Ciocie Herbatki we własnej osobie.

To dopiero zaszumiało w Kamieńsku, prawie jakby Ciocie Herbatki po raz kolejny wróciły do Napoleonów-ki. Już prawie zdążyli ludzie zapomnieć o Róży i Anieli, bo trudno pamiętać o czymś, czego zrozumieć nie sposób; nosili je w pamięci tylko tak długo, jak długo była nadzieja na rozwiązanie zagadki ich zniknięcia. Tymczasem one znikły bez śladu w tym samym dniu, co fryzjer Tadeusz Kruk, a wkrótce potem z Kamieńska wyjechała Grażynka. Potrójne zniknięcie, bez zapowiedzi, bez jednego choćby ciała utopionego, powieszzonego czy pokrojonego, było czymś tak

straszonym, że zabrakło słów.

Każda stworzona naprędce plotka, a to, że nocą SB ich 235

zabrało, a to, że do Ameryki uciekli, bo cała trójka była szpiegami CIA, zamierała, zanim nabrała wigoru i lotno-

ści. A tu, proszę, syreny, syren w Kamionce śpiew słodkopiłny, ogonów syrenich srebrzysty chlast, to jest coś.

Nagle niemal wszyscy przypomnieli sobie, że coś dziwnego było z tymi Ciociami Herbatkami, to może być, że syreny, nawet trochę jakby wyglądały syrenio. Syrenio, potwierdzał nowy dyrektor poczty, który pochodził

z Warszawy i widział nieraz syrenkę warszawską. Śmiali się nadal z Waclawa Pajaka, co też ten Pajak wygaduje, łbem w semafor stuknął, ale trochę się pośmiali i znów zaczęli mówić o syrenach i Ciociach Herbatkach, jakby ten śmiech był bramą do opowieści. Że niby fryzjera Tadeusza Kruka musiały tym śpiewem słodkopiłnym zwabić, omamić i utopić. Tak, to ma sens. One poza tym zawsze na wspak były jakieś i wbrew. I czemu akurat pod ich drzwi podrzucili Grażynkę? Może Grażynka była córką fryzjera i Cioć Herbatek? zasugerowała bufetowa Krysia i nikt nie zaproponował, że jak to, jak dziecko może mieć dwie matki, bo wydawało się dziwnie oczywiste, że jak jedna Ciocia Herbatka byłaby w ciąży, to druga też. Inny ktoś przysięgał, że widział, jak nocą po resztkach kirkutu łąziły i tak samo jak Żydzi przed wojną mieli w zwyczaju, do zmarłych gadały, a przecież nie Żydówki: Hawo, córko Mosze, żono Ludka, wołały, i dalej jej opowiadać, co się w Kamieńsku dzieje. A przecież Hawa i Ludek z dymem w Treblince poszli i ich grobu w Kamieńsku nie ma.

Albo te ich wyprawy na bagna! Niby po żurawinę, ale która kobieta szła na bagna po żurawinę, skoro każde dziecko wiedziało, że płoną tam trupie ogniki, co za nogi w bag-no wciągają. Niejednego zwiodły! Czy te ich nalewki.

236

Na herbatkę zapraszały, pytały grzecznie, czy do herbatki po kieliszeczku, i kto by odmówił, a potem dziwne rzeczy się działy. Ja, przypomniawszy sobie Marianna Gwóźdź, raz im poszłam przy pieleniu pomóc, a one, czy pani Marianna kieliszeczek malinówki pozwoli; wypiałam, a słodycz taka w tej malinówce była, że aż językiem resztkę wylizałam z kieliszka, bo w gościach czy nie, powstrzymać się nie szło. Najpierw nic, ale potem, Matko Boska!

Jakby mnie w środku ktoś pieprzem i cukrem posypał, paliło, ale na słodko, słodko mi było, ale i pieprzno przy tym. Miejsca sobie nie mogłam znaleźć, żadna robota mi nie szła, bo co siadłam do cerowania skarpet, coś mi ka-zało lecieć na strych, okno w dachu otwierać i na gwiazdy się patrzeć jak sroka w płot. Podobną przygodę miał

bratanek Marianny, Mariusz Gwóźdź, który u Cioć Herbatek rynnę przepychał z jesiennych liści. Z dachu zlął, dostał zapłatę i już iść miał, gdy one, a może pan Mariusz kieliszeczek nalewki pozwoli? Za nalewkami to on nie jest, ale mało kto do niego tak, panie Mariuszu, się zwracał i odmówić było

zał. Brzoskwiniowa, powiedziała Róża, a może Aniela powiedziała. W kieliszeczku kryształowym, jakby kto słońca nalał, taki blask. Głowę od-chylił i na raz wlał. O Matko, jak nim telepnęło! Zamiast do domu wrócić, pod drzewem Mariusz Gwóźdź usiadł

i nagle nie był Mariuszem Gwoździem z Kamieńska.

uczającym się na murarza, ale kimś zupełnie innym, większym jakby i prostszym, o skórze wolnej od uporczywe-go trądziku. Chodził po mieście o wiele piękniejszym nawet od Częstochowy, pełnym światła w brzoskwiniowym kolorze i domów o brzoskwiniowych fasadach, mijały go kobiety ubrane w sukienki, jakich nigdy nie widział, ale 237

wiedział, że ten materiał opinający piersi i biodra, poddający się wiatrowi, to jedwab. On, Mariusz Gwóźdź, który nigdy wcześniej nie myślał o materiałach innych niż budowlane, niemal czuł dotyk jedwabiu. Ciemnowło-se kobiety odwzajemniały jego uśmiech, pochylały głowy, gestykulowały, na ich rękach pobrzękiwały srebrne bransoletki, ale on nie zatrzymywał się, szukał czegoś, a może kogoś innego. Pierwszy raz miał tak mocne poczucie, że jest coś, co powinien znaleźć, że czeka gdzieś na niego, i że on, Mariusz Gwóźdź z Kamieńska, umrze, jeśli przynajmniej nie spróbuje. Zdążył jeszcze zobaczyć rzekę, wielką jak tysiąc Kamionek, most, którego strzeg-

ły jakieś kamienne postaci, na drugim końcu ktoś machał do niego, i już, już miał pobiec, gdy szkolny kolega, Paweł Lepianka, trzepnął go w głowę i zapytał, a co się tak gapisz jak Cygan w cipę? Mariusz Gwóźdź nie mówił

nikomu, że od tego czasu oszczędzał każdy grosz z za-robionych na lewo pieniędzy na książeczce PKO, a gdy już zaoszczędzi na używany samochód, najlepiej wołęgę, bo wprawdzie dużo pali, ale solidna, to pojedzie szukać miasta, które zobaczył po nalewce brzoskwiniowej Cioć Herbatek.

Odkąd Waław Pająk przywrócił Kamieńsku Cioć Herbatki w opowieści o syrenach, każdy, komu starczało wyobraźni, dodawał coś nowego do ich historii. Tadeuszu Kruku ludzie szybko zapomnieli, jakby nigdy nie istniał. Nawet gdy temu czy owemu przychodził na myśl fryzjer z ulicy Prostej, to po chwili znów pogrążał się w ciemności, jakby coś wciągało go za nogi; nawet Marianna Gwóźdź, która wszystko widzi i wszystko pamię-

ta, drapie się po głowie i sama siebie pyta, o czym to 238

ja myślałam? Beczka do kieszonki kapusty zawierająca na niebiesko wypalone szczątki Tadeusza Kruka zatoneła w najgłębszym miejscu Kamionki, zwanym Rowem Mariana, od Mariana Pytki, stolarza, który wziął i z miło-

ści się tam utopił, choć inni mówili, że nie z miłości, bo gdzie by się tam z miłości chłop topił, tylko winny był

komuś straszne pieniądze.

VI

Dominika wie, że Eulalia Barron zasnęła i jej nie słyszy, ale jeszcze przez chwilę czyta Odyseję. Gdy

zaczynała pracę u staruszki, czytały dwie, trzy książki tygodniowo; starożytna filozofia przeplatana tragediami i komediami, ze cztery razy cała Odyseja, renesansowe dzieła medyczne ilustrowane pięknymi rycinami, na których ludzkie postaci odsłaniały wnętrza swoich ciał, i dramaty Szekspira, rozprawy średniowiecznych teologów i gotyckie powieści, psychoanaliza i literatura dwudziestowieczna na wrywki, raz amerykańska, raz coś skandynawskiego, ale dla smaku przyprawione po południu iberyjską sagą; zawsze tylko do 1939 roku.

Dominika czyta Odyseję w tym miesiącu po raz trzeci i Eulalia Barron nie ma tymczasem zamiaru zaczynać następnej książki. Coś mnie te syreny męczą i męczą, wzdycha i zastanawia się, czego chcą syreny od takiej niedołęznej babci. Prosi Dominikę, poczytaj mi, córeczko, najpierw o syrenach, a potem po bożemu od miejsca, gdzie ostatnio skończyłyśmy. Gdzie tośmy ostatnio 239

stały? Stały na przybyciu Odysa do kraju Cyklopów, dotarły do jaskini Polifema, jestem Nikt, przedstawił się Odys potworowi, a potem upił go na umór; gdy Cyklop zwijał się w konwulsjach po tym, jak Odys wbił mu ko-

łek w oko, Eulalia Barron spokojnie zasnęła, pochrapując leciutko. Dominika uśmiecha się i czyta dalej, jej głos jest pewny, słowa płyną w rytmie morskich fal i Eulalii wydaje się, że kołysze się na nich swobodna i lekka; ta wizja wraca coraz częściej i za każdym razem pojawia się w niej więcej szczegółów, Eulalia nagle widzi małe tę-

cze rozpalone w rozpryskach wody i zdaje sobie sprawę, że to ona tak chlapie, płynąc w stronę słońca. Ogarnia ją uczucie szczęścia, jakiego nie czuła od kilkudziesięciu lat, słyszy muzykę i głos, który tak bardzo przypomina wszystkie dobre głosy jej życia, że aż dostaje czkawki ze wzruszenia. Dominika spogląda na twarz śpiącej staruszki i czyta dalej. Eulalia Barron widzi statek Odysa z dziwnymi pasażerami na pokładzie, gdy dobrze się przyjrzy, rozpoznaje twarze Żydów z Krakowa, którzy przychodzi-li w odwiedziny do ich mieszkania na ulicy Studenckiej, rodzice zmarli podczas ucieczki, ciotki i wujowie, kuzynki i kuzyni spaleni w Oświęcimiu machają do niej. Kim ona jest w tej wizji? Tego Eulalia Barron nie jest pewna, ale czuje się młoda, silna i chce śpiewać, podoba jej się tam i kusi ją, by nie wracać do rzeczywistości. Powolotku, babciu, powtarza sobie, gdy wynurza się ze snu jak z wody. Pośpiech ostatnim razem nie wyszedł jej na dobre, złamała sobie biodro i odtąd większość czasu spę-

dza w łóżku, a chodzi tylko z balkonikiem do łazienki, i obiecuje sobie, że będzie żyć tylko dotąd, dokąd jest w stanie tam dojść. Pani Eulalia Barron zna dalszy ciąg 240

każdej książki, którymi ściany jej mieszkania zastawio-ne są od podłogi po sufit; dalszy ciąg jej własnej historii też wydaje się oczywisty i bliski, bo dwa miesiące temu skończyła osiemdziesiąt lat i czasem w nocy jej serce zatrzymuje się na chwilę. Budzi się wówczas w ciszy gęstej jak melasa, otwiera oczy i czeka z dłonią na lewej piersi; serce w końcu rusza, ale Eulalia Barron czuje, że robi to niechętnie, jakby mówiło, no dobrze, jeszcze tym razem ci ulegnę. Książki są dla niej jak schody, które prowadzą nie w górę, lecz w dół, ku przeszłości, i staruszka wybiera je ostrożnie i starannie, tak jakby czubkiem wygodne-go buta sondowała następny stopień.

Czasem Eulalia Barron wyobraża sobie swoją wę-

drówkę ku temu, co było, jak schodzenie po prawdziwych schodach Metropolitan Museum, gdzie zaraz po przyjeździe do Nowego Jorku dostała pracę w dziale starożytności. W ciemnym kostiumie i białej bluzce, z pla-kietką, na której było napisane Eulalia Barron, pilnowała ekspozycji razem z trzema innymi kobietami w ciemnych kostiumach. Nie interesował jej awans i odrzuci-

ła propozycję lepszej pracy, bo od początku wiedziała, że to miejsce jest dla niej idealne; niezauważana, niemal niewidzialna, mogła przyglądać się ludziom, tak jak przyglądała się życiu, które biegło w Ameryce bez wielkiego udziału z jej strony. Dopóki zwiedzający prze-strzegali zasad, nie musiała nic mówić, a zasadą niepisaną w każdym muzeum jest niezauważanie pilnujących.

Gdy było wielu zwiedzających, Eulalia Barron chodziła po sali na swoich krótkich, łatwo puchnących nogach, a podczas małego ruchu odpoczywała na stołeczku w ką-

cie, skąd miała dobry widok. Nie wolno było tego robić, 241

ale przynosiła do muzeum książki, najczęściej powieści w miękkich okładkach albo małe tomiki wierszy, któ-

re łatwiej ukryć za pazuchą; gdy nie było ludzi, czyta-

ła, i trzy, cztery ukradzione zdania, pół wiersza wystarczały jej za drugie śniadanie. Rozpoznawała niektórych odwiedzających, pracowników uniwersytetu z notesami, fascynatów pragnących rozwiązać starożytne zagadki, samotnych staruszków, dziwaków w różnym wieku.

Przychodzili w porach mniejszego ruchu i niekiedy pytali ją o coś albo chociaż mówili dzień dobry. Był wśród nich niepozorny mężczyzna o dużych uszach i smutnych oczach, dużo młodszy od Eulalii Barron. Gdy zobaczyła go po raz pierwszy, wpatrującego się w mumię, miała dziwne uczucie pokrewieństwa, zanim jeszcze dowiedziała się, że jest polskim Żydem z miasteczka Kamieńsk i nazywa się Icek Kac.

Małżeństwo Eulalii rozpadło się po kilku latach, a fakt, iż jej były mąż szybko poślubił dużo młodszą kobietę i doczekał się gromadki dzieci, przyjęła z łagodną obojętnością. Pozwalała im traktować się jak daleką i nieco zdziwaczałą ciocię. Leo Barron wyprowadził się z ich wynajmowanego mieszkania i do końca życia wspierał

byłą żonę finansowo, tak że mogła tam pozostać wśród swoich książek i paproci. Eulalia Barron czytała więc i dzięki czytaniu wspominała, a gdy nie mogła już czytać sama, znalazła Dominikę Chmurę. Denerwowała się tylko wtedy, gdy zawodziła ją pamięć, co z wiekiem zdarzało się coraz częściej. jak mogę nie pamiętać? pomstowała, gdy przed jej oczami spragnionymi pamiętania nie chciała stanąć dawno utracona filizanka, z której piła czekoladę w mieszkaniu na ulicy Studenckiej, też nienależącym już 242

do niej. To samo pragnienie miał w sobie Icek Kac, i Eulalia Barron rozpoznała je od razu. Przychodził do sali starożytności i za każdym razem zatrzymywał się przed tym samym eksponatem, mumią w dziale egipskim, w którą wpatrywał się godzinami. Po kilku miesiącach zaczęli wymieniać pozdrowienia, po roku niezobowiązujące uwagi, a po jakichś dwóch latach rozmawiać ze sobą, i

rozmowy te dotyczyły tylko przeszłości. Dlaczego? zapytała go Eulalia, dlaczego zawsze dział starożytny i mumie?

Bo dzięki nim lepiej pamiętam, odpowiedział Icek Kac, i Eulalia Barron rozumiała wtedy, co różni ich od innych ludzi - i ona, i Icek Kac żyli tylko po to, żeby pamiętać o tym, co utracili, dla samych siebie stali się muzealnymi eksponatami. Pamiętanie utraconego, pragnienie, by dojść w nim do perfekcji, stanowiły główny cel ich życia.

Icek szukał dróg do przeszłości na fotografiach i w muzealnych obiektach, dla Eulalii droga ta prowadziła przez książki i u schyłku życia czytała tylko te, które знаła z Krakowa, jakby przeżyła swoją rodzinę wyłącznie po to, by codzienne wspominać, kiedy czytałam Odyseję, wuj Jan i ciotka Gołde powiedzieli, że będą mieć dziecko, kiedy czytałam Rousseau, kuzynka Priwa omal nie udławiła się migdałem w gorzkiej czekoladzie, przy Ulissiesie Joyce'a, takim trudnym po angielsku, że cały czas ziewałam, moja mama popłakała się, grając Sonatę księżycową. Każda czytana przez Dominikę książka to dla Eulalii Barron jeden schodek w przeszłość, wyjątkowo dwa, jak Ulisses, które-go zaczęła czytać jeszcze w Krakowie, a skończyła w Jo-kohamie. Głos Dominiki, matowy i trochę szorstki, wydaje się podobny do jakiegoś głosu z przeszłości, czytaj mi, córeczko, o syrenach, prosi ją staruszka.

243

Eulalia Barron mieszkała w Krakowie na ulicy Studenckiej, dwa kroki od Rynku. Jej ojciec, Feliks Meisels, mężczyzna niewielki i ruchliwy jak sympatyczny gryzoń, był prawnikiem, matka, Alina, dostojna i pachnąca ge-raruum, uczyła gry na pianinie, a w wolnych chwilach, z dłońmi uzbrojonymi w wielkie rękawice ogrodnicze, przesadzała kwiaty doniczkowe, które w ich pięcio-pokojowym mieszkaniu rosły z niepokojącą szybkością I rozmachem. Gościom komplementującym z lekkim przerażeniem paprocie, których liście w ciągu jednej kolacji potrafiły tak się wydłużyć, że ich mechate koniuszki wplątywały się paniom we włosy, włożyły do sosjerek I piły kawę z filiżanek cienkich jak papier, Alina Meisels mówiła, że w szczęśliwych domach kwiaty tak rosną, one do rośnięcia potrzebują dobrej atmosfery i muzyki.

Panie śmiały się i poprawiały fryzury, panowie żartobliwie udawali, że stają w ich obronie przeciw straszliwej paproci, wywijali nieistniejącymi sztyletami, celowali z wymagowanych pistoletów. Władzia Dziurska, peł-

maca w Ich domu rolę pokojówki, służącej i opiekunki do dziecka, zbierała naczynia, podawała więcej kawy, świeżo palonej i parzonej z dodatkiem kardamonu; ręce gości sięgały po kolejny makaronik, po jeszcze jedną z tych pysznych tartinek, a pani Alina siadała do pianina i zaczynała grać. Jak ona grała Sonatę księżycową! W całym Krakowie nikt tak nie grał, może z wyjątkiem pianistki z filharmonii, chociaż Feliks uważał, że nie tylko w krakowskiej, ale nawet w wiedeńskiej nikt by jego żonie nie dorównał w Księżycowej. Latem ludzie przechodzący ulicą Studencką zatrzymywali się i patrzyli w jasny prostokąt okna na pierwszym piętrze, skąd muzyka wysy-244

pywała się jak pulsujące fontanny srebrnych kulek. Mała Eulalia Meisels tam jest - siedzi na stołeczku i patrzy na matkę z takim zachwytem, że aż dostaje czkawki, i od-tąd czkawka będzie męczyła ją zawsze, gdy wzruszy się lub zachwyci. Córka w niczym nie przypomina postawnej

kobiety o oliwkowej cerze i wyraźnych rysach, która w białej bluzce i ciemnej welurowej spódnicy siedzi przy fortepianie. Eulalia próbuje czasem przed lustrem uło-

żyć usta w kapryśny łuk ust matczynych, ale efekt jest daleki od zamierzonego. Eulalia przypomina ojca, jakby skóre z pana zdar, mówi ich gosposia, Władzia Dziurska; dziewczynka jest mała i niepozorna, a jej twarz przy dobrym sercu patrzącego i korzystnym oświetleniu może uchodzić za co najwyżej dość ładną. Miłe dziecko, mó-

wią o niej znajomi rodziców, bo słowo śliczne byłoby na wyrost, a do domu przy ulicy Studenckiej przychodzą tylko kulturalni i taktowni ludzie. Podczas koncertu Władzia Dziurska przynosi małej Eulalii kubek kakao, ale nie jest łatwo pić bez odrywania wzroku od palców matki, które pędzą po klawiszach. Eulalia oblewa się kakao i czuje, jak gorący płyn wsiąka w jej piękną organdynową sukienkę z haftowanym karczkiem. Nic nie daje po sobie poznać, by nie przeszkodzić w koncercie, ale czuwają-

ca w drzwiach Władzia Dziurska poznaje po drzeniu jej ramion, że coś jest nie tak; podchodzi i bierze Eulalię na ręce, a dziewczynka wtula się w pachnącą mydłem i krochmałem szyję dziewczyny. Podziwia Władzię, która w jej oczach należy do jakiegoś innego, fascynującego świata, gdzie wszystkie kobiety mają czerwonawe ręce o silnym uścisku, warkocze w kolorze siana i oczy jak agrest. To świat, w którym można się schronić, inny niż 245

ten, do którego należy jej matka, Alina, tu trzeba dobrze się prezentować i nie wolno się wygłupić. Eulalia lubi siedzieć w kuchni i patrzeć, jak Władzia sieka zieleninę z taką samą szybkością, z jaką jej matka uderza w klawisze fortepianu.

Gdy Władzia Dziurska pojawiła się u nich w poszukiwaniu pracy, sama była jeszcze niemal dzieckiem, i choć państwo Meisels potrzebowali kogoś bardziej doświadczonego, zlitowali się i przyjęli ją na okres próbny. Okazało się, że radzi sobie całkiem dobrze z gotowaniem i z opieką nad maleńką wówczas Eulalią, a nawet kwiaty potrafi ułożyć z gustem i zna się trochę na rachunkach.

Alina Meisels, gdy jej siostry, kuzynki czy przyjaciółki skar-

żyły się na służące brudne, kradnące lub leniwe, wzdychała, ach, ta moja Władzia to prawdziwy skarb. Władzia Dziurska przyjechała do Krakowa, by podjąć pracę u kuzynki Aliny Meisels, Isli, która po ślubie miała zamieszkać z mężem w Wieliczce, ale pech chciał, że tuż przed weselem niedoszła panna młoda uciekła z młodym poetą do Zakopanego i napisała stamtąd, że koniec z życiem mieszczańskim, ona wybiera miłość, wolność i sztukę, a znany malarz właśnie maluje jej portret, i, mój Boże, jakież ten geniusz ma oczy. Rodzice Isli przysłali więc Władzię do Meiselsów, wiedząc, że zwłaszcza Feliks serce ma miękkie i robi mu się żal dziewczyny o agrestowych oczach i przydługich rarnionarh.. Gdy Alina zauważyła, że Władzia nie tylko czyta, ale robi to całkiem dobrze, zaoferowała jej podwyżkę i dała odpowiednie dla dziecka lektury, które odtąd miała czytać Eulalii. Dziewczynka spędzała z nią coraz więcej czasu, bo Alina Meisels szybko odkryła, że macierzyństwo nie ma dla niej takiego 246

powabu jak muzyka, co zresztą podejrzewała od począt-ku, mimo iż matka i siostry wmawiały jej, że się myli, i to bardzo, sama się przekona. Alina słyszała za uchy-lonymi drzwiami salonu cichutki

szmer głosów dziecka i służącej, i waliła w klawisze tak, że słychać było aż na Plantach. Władzia czytała Eulalii i opowiadała historie, które jej samej wydawały się zwykle i nieciekawe, choć dziecko zachwycały jak opowieści Szeherezady. Mówi-

ła jej więc, że przed przyjazdem do Krakowa mieszkała w kamienicy u stóp Jasnej Góry. Gdy miała czternaście lat, zmarł jej ojciec, na chorobę, której nie potrafił wyleczyć żaden lekarz, i która polegała na znikaniu cielesnej postaci; trumnę musiały zamknąć, bo wyglądało, jakby leżał w niej pusty garnitur i buty, tekturowe trupięgi.

Oprócz Władzi było jeszcze pięć sióstr, które rozjechały się po świecie. Tak mówi Władzia Dziurska do wpatrzono-nej w nią dziewczynki, rozjechały się po świecie, jedna tu, druga tam, a Eulalia drży na sam dźwięk słów rozjechać się i świat, bo budzą w niej myśl o tym, czego nigdy nie robiła, strasznym i kuszącym zarazem. Prosi, Władziu, opowiedz mi o siostrach, opowiedz, jak się rozjechały po świecie! Podoba jej się nazwa Jasna Góra i wyobraża sobie, że stojący na jej szczycie kościół zbudowany jest ze szkła, lśni w słońcu tak, że trzeba mrużyć oczy, a gdy jest się w środku, widać niebo, przepływające nad przezroczystym dachem obłoki albo rozpryskujące się o niego krople deszczu. Państwo Meisels nie chodzą ani do kościoła, ani do synagogi, ale bywają zapraszani na religijne uroczystości dalszych krewnych, którzy niekiedy wyrażają opinię, że dziadek Meisels w grobie się przewraca, gdy patrzy na swoich bezbożnych potom-247

ków. Feliks odpowiada wówczas, że pobożny dziadek rabin już za nich wszystkich na zapas się pomodlił, to wystarczy. Małą Eulalię fascynują świątynie, wszystko jedno jakie, byle miały dużo ozdób i wypełniał je jak najgęściej zapach kadzidła i blask świec. Czasem Władzia zabiera ją do kościoła Mariackiego, gdzie dziewczynkę tak oszałamiają malunki, że potem musi posiedzieć chwilę na powietrzu, bo kręci jej się w głowie i znów dostaje czkawki. Eulalia wyobraża sobie, że siostry Dziurskie z Częstochowy poszły pomodlić się na Jasną Górę, a potem każda wsiadła do osobnej karocy i wio, rozjechały się po świecie, na jego wszystkie strony, stangreci trzaskali z bicza, stukały o bruk kopyta rumaków. Eulalia urodziła się w tym samym mieście co jej rodzice, któ-

rych wszyscy bracia i siostry tu mieszkają, ich dzieci, czyli jej kuzyni i kuzynki, dorastają wraz z nią. Myśli, że ona też będzie mieszkać w Krakowie, bo tu jest jej miejsce; mieć swoje miejsce, pozostać w nim i czytać o dalekich podróżach, syrenach, cyklopach, Scylli i Charybddie, to wszystko, czego pragnie Eulalia, gdy Władzia czyta jej po raz pierwszy Odyseję. Tymczasem Władzia odrzuca na plecy warkocz w kolorze siana i mówi, że jej naj starsza siostra, Jadwiga, wyszła za młynarza, mieszka gdzieś pod Skierniewicami i może kiedyś do niej pojedzie, ale gdzie rozjechały się pozostałe, nie wie. Czy ty wyjdiesz za męż? pyta Eulalia Władzię, a ta odpowiada, że jej się za męż nie śpieszy, o nie, ona chciałaby najpierw pojechać do Ameryki i wyjść na swoje. Zostawisz mnie? Nie zostawię, póki trochę nie dorośniesz, obiecuje Władzia Dziurska, i dotrzymuje słowa. Eulalia ma jedenaście lat, wygląda na mniej, a zachowuje się, jakby 248

miała więcej, i książka, którą czytają razem, to Pani Bovary, ale role się odwróciły, to Eulalia czyta Władzi, bo książka, własność Aliny Meisels i jej ostatnio ulubiona lektura, jest po francusku. Dziewczynka czyta i tłumaczy Władzi na polski, niektórych słów sama nie rozumie, ale w niczym im to nie przeszkadza, bo dziewczynka zmy-

śla jak z nut. Eulalia jest zachwycona swoją kompeten-cją i dorosłością, Władzia odpoczywa, przez

godzinę czy nawet dwie może zupełnie nic nie robić, co jest i pozostanie rzadkim luksusem w jej życiu. Książka nawet jej się podoba, choć za nic nie może zrozumieć, o co tej Emmie chodziło, czego jej brakowało, skoro miała własny dom, własną kuchnię i ogród, a ten jej doktor wydawał się przyzwoitym człowiekiem i nigdy jej nie uderzył. Ona, Władzia Dziurska, miałaby w domu Emmy Bovary pełne ręce roboty i co najwyżej wieczorem, po kolacji, usiadłaby chwilę przy kominku, zwłaszcza gdyby nie musiała oszczędzać na opale. Dochodzą do pierwszego spotkania Emmy z panem Rudolfem, gdy Władzia mówi, że wyjeżdża do Ameryki i że nigdy Eulalii nie zapomni. Trudno nie płakać, nawet gdy skończyło się już jedenaście lat i posiadało dobrą znajomość francuskiego oraz angielskiego, bo Eulalia Meisels nie ma wielu przyjaciół oprócz tej dziewczyny o agrestowych oczach. Wy-szło na jaw, że będąca przedmiotem zazdrości innych pań skromność służącej, która nie wydawała na stroje i unikała wszelkich innych okazji do wydawania, była skromnością przemyślaną i konsekwentną, Władzia ma nie tylko na bilet, ale też coś na początek. Żal jej zostawiać dziewczynkę, którą pokochała bardziej niż siostry, co to rozjechały się po świecie, ale Władzia wie, że życie 249

składa się z rozstań i tego, co pomiędzy. Chciała coś podarować Eulalii i zupełnie nie wiedziała co, bo ta dziewczynka dostawała zawsze więcej rzeczy, niż potrzebuje jedno dziecko. Poszła więc do fotografa i zrobiła sobie portret w prawie nowym ciemnym płaszczu z futerkiem, który dostała od pani Meisels, i również darowanym kapeluszu. Nie była do końca zadowolona, bo wyszła tak staro, jakby zdjęcie pośpieszyło się o dwadzieścia lat, a do tego jej włosy w kolorze blond wydawały się ciemne, prawie czarne. Jednak co było robić, oszczędność powstrzymała Władzię przed powtórny zrobieniem sobie portretu i taki, jaki był, podarowała Eulalii Meisels. Gdy po latach spojrzy na swoje odbicie przed wyjściem na niedzielny spacer po Central Parku, zobaczy zapomnianą fotografię kobiety, która odwzajemni jej spojrzenie, bo Władzia dorośnie do tamtego wizerunku z Krakowa, jakby był on przepowiednią.

Po odejściu Władzi na Studenckiej pojawiają się kolejne pomoce domowe, ale żadna nie będzie już taka jak Władzia Dziurska; pozbawiona jej towarzystwa Eulalia dorośnie bardzo szybko, bo tak naprawdę tylko służąca traktowała ją jak dziecko. Dla ojca była miniaturowym człowiekiem płci żeńskiej, w którego twarzy na próż-

no szukał rysów ukochanej żony. Alina Meisels też do końca nie zauważy podobieństwa ukrytego pod innoś-

cią swojego niepozornego dziecka; tymczasem Eulalia, podobnie jak ona, po prostu pragnęła czegoś innego niż to, co uważano za właściwe dla dziewczynki, pragnęła, by pozostawić ją w spokoju, by mogła czytać.

Zawsze z książką! mówił jej ojciec i trudno było dociec, czy ten wykrzyknik był oznaką zdziwienia, dezaproba-250

ty, czy podziwu, a córka podnosiła na Feliksa Meiselsa swoje oczy w nieokreślonym kolorze i uśmiechała się tak, jakby właśnie obudziła się ze snu. Czytała nawet podczas domowych koncertów matki, ale żaden z gości nie uważał tego za niegrzeczne, po jakimś czasie wydawało się wszystkim, że książka jest nieodłącznym atry-butem Eulalii, tak jak fortepian Aliny. Eulalia poszła na studia i ukończyła kilka kursów z historii literatury, a potem znów czytała, coraz rzadziej wychodząc z domu.

Feliks Meisels pracował, służące sprzątały, robiły zakupy i gotowały, paprocie rosły, matka grała i uczyła grać na fortepianie dzieci, potem wnuki swoich przyjaciółek, a córka wciąż czytała; życie w domu na ulicy Studenckiej toczyło się powoli i bez większych zgrzytów. Panował

tam ten rodzaj cichego szczęścia, które docenia się dopiero wówczas, gdy się je utraci.

Dla Eulalii początek końca nastąpił wtedy, gdy ostatnia, zupełnie pozbawiona koniecznych umiejętno-

ści pomoc domowa uciekła, kradnąc wcześniej komplet srebrnych sztućców, i kto wie dlaczego, brązowe popiersie Cyserona. Wyjeżdżajcie, mówili im znajomi, a ich oczy były czujne i błyszczące jak oczy zwierząt. Co wy tu jeszcze robicie? dziwili się, gdy po tygodniu znów widzieli Alinę i Eulalię spacerujące po Plantach, uciekajcie!

Feliks chodził nocami po domu i wzdychał tak, że spod mebli wylatywały szare kłaczki kurzu i skurczone listki umierających paproci, bo w mieszkaniu przy ulicy Studenckiej nikt od dawna nie zamiatął podłóg, aż w końcu powiedział: uciekamy. Wtedy Alina poprosiła o jeszcze dwa tygodnie, a gdy minęły, o kolejny tydzień. Nawet gdy zagrożenie było już tak bliskie, że wieczorami czuło 251

się swąd spalenizny, którą cała Europa miała nasiąknąć na lata, Alina i Eulalia nie wierzyły w realność i ogrom zła. jeszcze chwilę, jeszcze dzień, dwa, błagały Feliksa, może to wszystko jakoś minie, skończy się i okaże zwykłym nieporozumieniem, przecież żyjemy w cywili-zowanym świecie, w Europie. Przyszedł jednak wtorek, gdy Feliks Meisels powiedział, za tydzień wyjeżdżamy, wszystko już załatwione. Córka odłożyła książkę, Ulissesa Joyce'a, który niezbyt jej się podobał, żona zatrzyma-

ła się z dłońmi wzniesionymi nad klawiaturą fortepianu i w mieszkaniu przy ulicy Studenckiej zapadła taka cisza, jakby już wyjechali. Na drugi dzień matka i córka szykowały pożegnalną kolację i wspominały Władzię Dziurską, o, gdyby tu była Władzia, o wiele łatwiej poszłoby przy-gotowanie pieczeni wołowej, zupy z groszkiem ptysio-wym, deserów. Eulalia patrzyła na matkę z czułością, bo dopiero teraz wyraźnie widziała wachlarzyki zmarszczek koło oczu, już nie tak doskonale zęby i linie smutku, jakie w ciągu kilku ostatnich miesięcy łzy wyrzeźbiły w jej twarzy. Gdy nadszedł wieczór, Alina Meisels znów wy-głądała nieskazitelnie w czarnej sukience, ze sznurem pereł na szyi, a Eulalia siedziała z książką na kolanach, i choć smutek i strach nie pozwalały jej czytać, czuła, że niezwykłość tego wieczoru polega na powtórzeniu rutyny wieczorów poprzednich, bo tym, co świętują, jest ich życie w domu przy ulicy Studenckiej, a nie jego koniec. Ten koncert matki Eulalia Barron pamięta szczególnie dokładnie, o wiele dokładniej niż to, co ona sama robiła wczoraj. Sonata księżycowa, okna otwarte na noc, o której nie chcieli myśleć, jej ojciec taki elegancki, choć zaciął się przy goleniu i ma na policzku plamkę krwi, 252

profil matki wyraźny na tle ciemności. Pani Estera i pan Ludwik, pan Benek z panią Anną, pani Sura i pan Jan, pan Natan i pani Ewa. Nikt nie mówił o ucieczce, nikt nie mówił o wojnie, chwalono babeczki z porzeczkami i kremem waniliowym, kawa wciąż pachniała kardamo-nem, i tylko gdy goście zegnali się, uściski były dłuższe, dłonie nie chciały się rozdzielić, a pani Estera nagle zaczęła kaszleć, pokazała na gardło, że niby się zakrzusiła i stąd te łzy, pociągnęła pana Ludwika za rękę i łkając, zbiegła ze schodów, co stanowiło nie lada wyczyn przy jej tuszy.

Potem było już tylko uciekanie, a pierwszym przy-stankiem, który utkwił w pamięci Eulalii, znużonej nocami w miejscach jednocześnie pozbawionych wyrazu i strasznych, było Kowno. Rzeka, a nawet dwie, ucieszył

ją ten widok, bo we wszystkich miastach, jakie zobaczy od tej pory, będzie szukała Krakowa, a w Krakowie przecież jest rzeka. Po przybyciu do Kowna Alina była już bardzo chora i straciła przytomność, gdy tylko udało się znaleźć szpital gotowy ją przyjąć. Matka Eulalii roz-chorowała się zaraz po przekroczeniu granicy Polski, chociaż wcześniej nic nie miała przeciw podróżom do wód czy Wiednia. jednak teraz jej ciało słabło i mała proporcjonalnie do odległości dzielącej ich od Krakowa; na przedmieściach Kowna wyglądała jak staruszka o twarzy pokrytej dziwnymi brązowymi plamami. Gdy poło-

żono ją do łóżka, popatrzyła na swojego męża i córkę, otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale tylko zwilżyła końcem języka spierzchnięte wargi i zamknę-

ła oczy. Czekali trzy dni, łudząc się, że pogłębiający się cień na jej policzkach i siny kolor ust przejdzie jak lekkie 253

przeziębienie, bo przecież uciekali i musieli ruszać dalej.

Eulalia zaczynała rozumieć, że gdy się ucieka, w całości jest się uciekaniem, uciekają nogi, ręce, głowa i wspomnienia, plecak i gotówka zaszyta w podszewce, jeśli jakiś element wypadnie z uciekania, tragedia gotowa, bo wszystko jest potrzebne tak samo, i wspomnienia, i do-kumenty. Podczas tej podróży nieustannie sprawdzała kieszenie plecaka, macała skrytki w ubraniach, ale nie opuszczało jej wrażenie, że nie zabrała z Krakowa czegoś ważnego, ważniejszego niż wszystko.

już chyba wszyscy Żydzi wiedzieli, że w japońskiej ambasadzie w Kownie jest konsul, który jak szalony wy-pisuje wraz z żoną wizy przejazdowe, dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt wiz na godzinę, w tym połowa rodzinnych, na które uratuje się więcej niż jedną osobę, i te pan Sugihara lubi wypisywać najbardziej; siedzi przy biurku całe dni, skrzypi stalówka. Robota idzie łatwiej, gdy zrobiona zostaje pieczętka, teraz wystarczy przy-tknąć ja do poduszeczki z tuszem i przybić gotową wizę dla kolejnego uciekiniera albo uciekinierki. Żona konsula, Yukiko, przygląda się twarzom na fotografiach, na każdą ma dwie, góra trzy sekundy i żadnej nie zobaczy nigdy więcej, ale tyle wystarcza, by spojrzenia uciekinierów odcisnęły się w jej pamięci jak pieczętka w paszpor-cie. Spojrzenie Estery, Jana, Rywki, Mosze, Chai, Feliksa, Priwy, Hani, drobna, krucha Yukiko czuje je na całym ciele; Yukiko mówi do męża, że Żydzi są im, japończykom, bliżsi niż Niemcy, niech się sam przyjrzy ich ciemnym włosom, oczom o azjatyckiej czerni. Żona konsula Sugihary tęskni za domem i fakt, iż ci ludzie udają się w nieznane i mogą już do domów nie wrócić, wydaje jej się 254

nieszczęściem, którego by nie przeżyła. Gdy żona konsula była małą dziewczynką, babcia opowiadała jej bajki o demonach, które miały okrągłe niebieskie oczy i włosy białe jak sama śmierć, nadciągały zza gór; czasem, rozmawiając z Europejczykiem, Yukiko przypomina sobie swoje dziecinne przerażenie, bo wydaje jej się, że przez jasną tęczę można zajrzeć do środka głowy, gdzie płonie ogień. Niezależnie od tego jak bardzo konsul i Yukiko spieszą się, kolejka przed ambasadą nie maleje; pan Sugihara wygląda przez okno i ociera pot z czoła, a żona nalewa mu kolejną filiżankę zielonej herbaty.

Dawno przestali się przejmować przepisami regulujący-mi liczbę wydawanych wiz i choć spędzają przy pracy całe dni, wciąż więcej ludzi potrzebuje wiz, niż je dosta-

ło. Zmęczona Yukiko śni na jawie ocean ludzi, którzy ze wszystkich stron napierają na ambasadę, wyciągają ręce, a oni nie mają wystarczającej liczby ratujących życie papierków i zaczynają przybijać pieczątki wprost na ludzkich ciałach, stemplują przedramiona, plecy, policzki, pośladki. Państwo Sugihara wydają wizy już od miesiąca i stracili rachubę, może było ich sześć, a może nawet dziesięć tysięcy, w każdym razie staje się coraz bardziej jasne, że wkrótce japoński konsul zostanie odwołany z Kowna, do którego wkroczyli Rosjanie. Nadchodzi wrzesień 1940 roku i przez otwarte okna wpada zapach jesieni, rozedrgane głosy ludzi zgromadzonych przed budynkiem są jak głosy duchów z góry Osore i konsul Sugihara będzie je słyszał w swojej głowie do końca życia, nie wiedząc, kogo zdążył uratować, a kto przepadł. Wsłuchuje się i próbuje zrozumieć, który szept w obcym języku jest szczęśliwy, a który nie, ale głosy duchów w jego

głowie przyplływają i odpływają jak fale. Nawet gdyby pan Sugihara zechciał porozmawiać z duchami na górze Osore, gdzie itako, ślepe szamanki, za opłatą potrafią nawiązać kontakt z mieszkańcami zaświatów, nie wiedziałby, jakie szczegóły podać itako, którego z sześciu, a może aż dziesięciu tysięcy uciekinierów wywołać. Ci, którzy dostaną w porę japońskie wizy przejazdowe, będą udawać, że wybierają się do dziwnych miejsc, gdzie wygnany z domu Żyd ciągle ma prawo jechać nawet bez wizy. Nie ma tych miejsc wiele i wydają się one nie do końca realne, jak Surinam i Curacao. Przez japoński port Kobe, a może przez Jokohamę, do Surinamu lub Curacao jadą Żydzi z Krakowa, Będzina, Radomska, Piotrkowa, Izbicy. Kobe, Surinam, Curacao, powtarzają uciekinierzy, jakby bali się, że zapomną, albo mieli nadzieję, że powtarzanie uwiarygodni te miejsca niebywałe, których nigdy wcześniej nie zamierzali odwiedzać, bo po co z takiego na przykład Krakowa jechać do Surinamu albo Curacao, na cholerę nauczycielowi łaciny z Radomska ja-kaś Jokohama. Jokohama, Kobe, Surinam, Curacao, szepczą kobiety i zastanawiają się, co tam będzie można dostać do jedzenia i co da się z tego ugotować, podobnie jak Eulalia sprawdzają przemysłne schowki z pieniądź-mi, kosztownościami i pamiątkami; spomiędzy stronic książek wysypują się zdjęcia, ze skarpet wystają srebrne widelce jak piszczele. Eulalia czuła, jak ucieczka niczym wirus atakuje jej ciało, ona, zawsze taka spokojna, teraz, nawet siedząc, przebierała nogami, jej dłonie o krótko obciętych paznokciach były w nieustannym ruchu, jakby chciały uciec na własną rękę. Za to Feliks oklapł, postarzał się tak, że można by go pomylić z jego ojcem, i w ogó-

256

le nie ruszał się ze szpitala, czuwając nad coraz głębszym snem Aliny. Eulalia sama pobiegła przez Kowno do ambasady Japonii, którą z daleka poznać można było po tłumie oblegających ją ludzi. Tłum Żydów, który nagle chce wyjechać do Japonii! Eulalia, kobieta nieinteresują-

ca się polityką i pragnąca nade wszystko czytać książki w jakimś spokojnym domu, poczuła, jak zagotował się w niej letni dotąd gniew. Nie udało jej się dostać wizy ani tego dnia, ani następnego, a trzeciego w południe zmar-

ła Alina Meisels, najlepsza wykonawczyni Sonaty księżycowej na ulicy Studenckiej, a nawet w całym Krakowie.

Odtąd Eulalia nie dała sobie wmówić, że nie umiera się z powodu złamanego serca, chociaż lekarz z Kowna przekonywał ją, że panią Meisels zabił guz, który pękł i spowodował zapalenie otrzewnej. Zapewne inaczej przeżyłoby jej śmierć w domu, gdzie wszystko miało swoje miejsce, każda książka własne parę centymetrów na pół-

ce, łyżeczki w szufladzie, bielizna w komodzie, łzy w samotności, muzyka w salonie - ale tu musieli troszczyć się o rzeczy praktyczne, i Eulalia po raz pierwszy poczu-

ła, że mimo wszystko naprawdę chce przeżyć, a pragnienie to silniejsze jest nawet niż smutek po śmierci matki.

Ta flegmatyczna kobieta, którą ominęły szaleństwa wczesnej młodości i obok której każda namiętność silniejsza niż czytanie przechodziła niemal niezauważona, poczuła, że w okolicach jej mostka coś jakby kliknęło jak zapadka. Gdy było już po wszystkim, a wszystkim był

szybki pogrzeb na obcym cmentarzu, Eulalia Meisels, z natury powściągliwa i niełakoma, stała się tak głodna, że mogłaby pożreć całe ciele, trzy karpie z rodzinami, miskę cymesu, sześć misek deseru z kaszki krakowskiej 257

i bakalii, który w ich domu na Studenckiej nazywano kukiełką, bo ona sama jako mała dziewczynka tak go nazwała, przekręcając na zawsze prawidłową nazwę. Nie znalazła kukiełki, ale w cukierni na rogu jednej z ulic były bułeczki drożdżowe z powidłami, jeszcze ciepłe; Eulalia stanęła w długiej kolejce, kupiła ich tyle, że wysypywały się z papierowej torebki. Ojciec, przygarbiony i cichy, dreptał przy niej posłusznie i co chwilę wycierał

nos w wielką białą chustkę; usiedli na jakimś skwerze,'

gdzie dwóch chłopców biegało wokół z kółkami na kij-kach, wzniecając kurz i strasząc gołębie. Feliks Meisels nie chciał jeść, a jego dystygowana córka zzerała jedną bułeczkę po drugiej i oblizywała palce polepione białym lukrem. Jak tylko dostaniemy wizę, pojedziemy koleją przez Syberię, tłumaczyła ojcu, we Władywostoku po-czekamy na statek, którym popłyniemy do Japonii. japo-nia? powtarza Feliks, patrzy na córkę i jej nie poznaje, bo jego córka, i ten obraz pozostanie mu o wiele bliższy, siedzi w bujanym fotelu, czyta książkę, a słońce wpada przez okna i rozjaśnia jej cienkie włosy nieokreślonego koloru. Jokohama, Kobe, Surinam, Curacao, myśli Eulalia i porządkuje ich bagaże; trzeba zostawić plecak z rzeczami matki, od której jest o wiele niższa i pełniejsza, nie przydadzą jej się ani dwie spódnice z weluru, ani organdynowa bluzka, myśli, Jokohama, Kobe, Surinam, Curacao, potem będę płakać, teraz musimy ruszać. Musimy ruszać, mówi do ojca i zdaje sobie nagle sprawę, że przez te wszystkie lata niemal zawsze kontaktowali się za pośrednictwem matki, przez którą ich wzajemna mi-

łość przepływała jak ożywczy strumyk. A Eulalia czyta, oznajmiał Feliks, wchodząc do salonu, gdzie siedziały 258

z matką w bursztynowym świetle popołudnia; cały dzień czytała, odpowiadała matka, a córka w jej stronę posyła-

ła uśmiech przeznaczony dla ojca; tata znów się zasie-dział w kancelarii. Musimy ruszać, powtórzyła Eulalia, ale Feliks Meisels siedział ze spuszczoną głową, z ręko-ma wiszącymi między kolanami i nie chciał wstać z ławeczki, jakby nic już poza tym siedzeniem nie było. Zapadł mrok i zapaliły się gazowe latarnie, Eulalia uklękła przed ojcem i spojrzała w jego oczy, dwa ciemne jeziora, w których odbijał się płomień; nie, nie, córeczko, wy-szeptał. Gdy nazajutrz poszła do ambasady, dowiedziała się, że konsul właśnie wyjechał, ale jakiś mężczyzna, młody i lekko zgarbiony, powiedział, że jeszcze jest nadzieja, może złapią pana Sugiharę na dworcu. Odjeżdża za pół godziny. Pół godziny? Eulalia, chuda jako dziecko, była teraz dość pulchną kobietą o krótkich nogach i ciągnących ku sobie kolanach. Nie zdążą! Niech wskakuje na jego rower. Rower? Mężczyzna miał miłą inteligentną twarz, okrągłe okulary w drucianych oprawkach. Jestem z Wieliczki, powiedział, i na razie nie trzeba było więcej, Wieliczka to nie Surinam, Kobe czy Curacao: Eulalia niezdarnie usiadła na ramie, ruszyli. Tłum ludzi oblegał po-ciąg, z którego okna wyglądała twarz konsula Sugihary; wypisywał wizy, jeszcze gdy pociąg ruszył z dworca w Kownie, i ludzie biegli wzdłuż peronu, wyciągali ręce i krzyczeli swoje nazwiska z Krakowa, Wieliczki, Częstochowy, Radomska, Piotrkowa, Będzina, Izbicy. Eulalia Meisels zadyszana tak, że aż się popłakała, była jedną z ostatnich osób, które dostały pieczętę od konsula Sugihary, ona i Leo Barron z Wieliczki, rowerzysta, który podrzucił ją na dworzec. Eulalia zapamięta ten bieg po 259

peronie kowieńskiego dworca, tak spreczny z jej naturą i nigdy niepowtórzony. Po latach będzie z uwagą przyglądać się silnym, wysportowanym kobietom uprawiają-

cym jogging w parku koło jej nowojorskiego domu. Rok po roku, przycupnięta na ławeczce, z książką opartą na kolanach, będzie wodzić za nimi wzrokiem i myśleć, o, jak to pędzi, szelma, ta toby pociąg przegoniła, na pewno zdążyłaby odebrać wizę od konsula Sugihary. Tak samo pomyślała, gdy zobaczyła Dominikę Chmurę, spodobała jej się od razu; na takich nogach, pomyślała Eulalia Barron,

wygrałaby sprint na sto metrów, który rozegrał się na dworcu w Kownie i odmienił jej życie. Zdołała dotaszczyć coraz bardziej opornego ojca do Japonii, ale stamtąd nie dał się już ruszyć, i gdy w jednej z nielicznych chwil kontaktu z rzeczywistością zauważył, że jest koło nich Leo Barron, miły przygarbiony mężczyzna zapatrzony w Eulalię, zamknął się w sobie i zarygłował ostatnie okna. Nie, nie, córeczko, powtarzał, gdy próbowała go ożywić. Eulalia zepchnęła smutek po śmierci matki na dno serca, gdzie miał trwać jak skamieniała poczwarka, odkryła pod swoją flegmatycznością nałogowej czytelniczki aktywność i zdolność do radzenia sobie w kryzy-sie. Załatwiała tysiące spraw, zdobywała jedzenie najbardziej przypominające to, co przez jedzenie rozumiano w ich domu na ulicy Studenckiej w Krakowie, a nawet kupiła porcelanowy komplet do herbaty i drzeworyt przedstawiający smukłą kobietę w kimonie, bo nagle, po raz pierwszy z życia, Eulalia pomyślała o jakimś swoim domu, ścianie, na której powiesi oprawiony drzeworyt, stole, na którym poda herbatę w porcelanie z Jokohamy.

W wilgotnym powietrzu portowego miasta jej cienkie 260

włosy zaczęły się kręcić, a twarz nabrała koloru; nauczy-

ła się paru słów po japońsku, a gdy widziała coś szczególnie ciekawego, pokazywała dłonią w tym kierunku, opierając się na ramieniu Leo Barrona. W tym czasie jej ojciec wypróbował dwa nieskuteczne sposoby rozstania się z życiem, zapalenie płuc i katar żołądka, ale z obu wyleczył go japoński lekarz, który nie rozumiał ani słowa w żadnym z kilku języków znanych przez pana Meiselsa, co dla pacjenta było szczególnie denerwujące, bo zale-

żało mu, by medyk pojął w końcu, że on nie chce wy-zdrowieć. Lekarz w surducie, prążkowanych spodniach i białych skarpetkach o jednym palcu kiwał tylko głową, kłaniał się, uśmiechał i dawał mu do picia mikstury, któ-

rych zażywania pilnowała Eulalia. Gdy Feliks Meisels po-zbierał się na tyle, że mógł wstać z łóżka, ogolił się, ubrał, napisał list do córki i poszedł świtem do portu, gdzie bez zbędnych ceregieli wskoczył do wody. Ta druga śmierć być może załamałaby Eulalię, która schudła dziesięć kilo i posiwała na skroniach, ale Leo Barron był

zawsze blisko i podtrzymywał ją za ramię z cichą determinacją. Musisz przetrwać, powtarzał jej i całował, gdy pytała, po co?

Po kilkunastu miesiącach od tego wydarzenia Eula-lia Meisels, sierota z matczynym grobem w Kownie i oj-cowskim w Jokohamie, była już Eulalia Barron, mieszka-

ła w Nowym Jorku i w Metropolitan Museum pilnowała ekspozycji w dziale starożytności. Gdy świeżo poślubieni małżonkowie urządzili się w mieszkaniu na siódmym piętrze domu o nazwie Mimoza i usiedli w nowych fotelach, by odpocząć przy herbacie, wszystko wokół

lśniło czystością. Nowe życie, westchnął z satysfakcją 261

Leo Barron i wziął w dłonie rękę żony, a Eulalia doznała w tym samym momencie tak silnego ataku tęsknoty za życiem starym, że zaczęły jej dzwonić zęby; świeżo pomalowane mieszkanie wydało jej

się nagle szare, jakby przysypał je popiół, poczuła nieomylny odór spalenizny przebijający się spod zapachu farby i pasty do podłogi.

Dłoń męża wydała jej się zimna i trupia, odrażająca. Na piersi opadł jej ciężar i wiedziała, że ją zadusi i pogrzebie w tej pustce o kolorze popiołu, jeśli natychmiast nie przypomni sobie wzoru na ulubionej filizance, która została w mieszkaniu na ulicy Studenckiej. Niezapominajki o bladych płatkach, tak, niezapominajki, chwyciła się tego obrazu jak liny, dzięki której wydostała się na powierzchnię, ale wiedziała już, że nie dla niej nowe życie; Eulalię Barron ogarnęła pewność, straszna i spokojna, że z tego się nie zdrowieje. Okazało się, że Eulalia, w przeciwieństwie do swojego męża, chciała przeżyć nie po to, by żyć, lecz po to, by pamiętać, a to, co jest, z mężem włącznie, nie ma dla niej ani realności, ani znaczenia.

Pamiętać, przypominać sobie, rozpamiętywać - Eulalia Barron zna każdą formę tego słowa, a na własny użytek wymyśliła całkiem nowe, rozprzypominać, zaprzyparnić-

tać i poza przypomnieć.

Dominika Chmura jest obok Icka Kaca jedną z niewielu przygód, które przydarzyły się Eulalii Barron w nowojorskim życiu oprócz pamiętania, przypominania i rozpamiętywania. Słucha głosu Dominiki i myśli o schodach, schodach takich jak w Metropolitan Museum, zatrzymuje się na każdym stopniu i słucha głosu tej dziewczyny, która mogłaby być jej wnuczką, gdyby oczywiście Eulalia miała dzieci, a potem wnuki. Pięknie czyta Odyseję!

262

Skoro okręt nasz prądy Okeanu minął i na bezkresny przestwór wód morskich wypłynął pędzi m k'wyspie Eei, gdzie Eos się rodzi. Eulalia, specjalistka od pamiętania, nie umie jednak przypomnieć sobie momentu, gdy Dominika przestała być samym głosem, miłym i znajomym, a stała się kimś bliskim i wyczekiwany. Po dwóch latach, nie wcześniej, ale jednak, ku swojemu zdumieniu, Eulalia Barron zaczęła Dominice opowiadać, co czytane książki przypominają jej z przeszłości; jej wsobna historia wypłynęła na zewnątrz. Słucha i zastanawia się, czy mówiła już o nocniku Napoleona? Musi jej koniecznie o tym opowiedzieć; ta dziewczyna nie tylko dobrze czyta, umie też słuchać, Eulalia Barron ma wrażenie, że Dominika pije opowieści jak jej paprotki wodę. Musi jej opowiedzieć, że (cek Kac, który przez tyle lat przychodził do muzeum, któregoś razu nie pojawił się, potem minął tydzień czy dwa i Eulalia otrzymała przesyłkę.

W pudełku pełnym styropianowych kulek przypominających owoce śnieguliczki było stare naczynie i list. Szanowna Pani Eulalio, Droga Przyjaciółko, pisał (cek, to nocnik Napoleona, proszę go zatrzymać. Gwarantuję, że jest prawdziwy. Nie mogę go zabrać ze sobą tam, gdzie się wybieram. Niestety, nie udało mi się go oddać prawo-witej właścicielce i sędzę, że powinienem zostawić go Pani. To najcenniejsze, co mam. Oddany przyjaciel Pani, (cek Kac. Eulalia przyjrzała się odrapanemu nocnikowi, na którym zatarte malunki mogły przedstawiać równie dobrze chińskie smoki co huzarów albo róże, i użyła go jako doniczki do paproci, rosnących w jej nowojorskim mieszkaniu tak samo bujnie jak w Krakowie na Studenckiej, choć były tylko wspomnieniami tamtych. Nocnik 263

Napoleona, muszę o tym opowiedzieć Dominice, zaraz, czy ja jej już o tym mówiłam? myśli Eulalia

Barron i po-grąza się w śnie starych ludzi, który jest jednocześnie głęboki, bo ma już tyle lat, i płytki, bo wypełnia go tyle obrazów, że ktoś nieuważny mógłby przebiec po nim, mocząc tylko stopy.

Dominika czyta jeszcze przez chwilę, a potem od-kłada książkę na kolana i patrzy, czy śpiąca staruszka nie uchyli oka i nie powie, jak to ma w zwyczaju, czytaj, czytaj, córeczko, wcale nie śpię ani nie umarłam, nie myśl sobie, że ci zrobię taki kawał. Eulalia Barron uśmiecha się przez sen; jej głowa przypomina Dominice łebek szma-cianej lalki, dostała taką na któreś urodziny od rodziców mających nadzieję, że przestanie bawić się zniszczoną, przypominającą trupka lalką od babci Haliny, którą ta przytargała do Wałbrzycha jeszcze ze Wschodu. W koń-

cu starą lalkę, o której Halina opowiadała wnuczce jakieś niestworzone historie, wkurzona Jadzia wyrzuciła. Od tamtego czasu Dominika nigdy już nie interesowała się lalkami, bo te następne, nowe i czyste, pachnące plastikiem i klejem, nie miały w sobie żadnej opowieści. Babcia Halina z Wałbrzycha nie wierzy do końca, że Dominiki praca w Ameryce polega na czytaniu książek niedołężnej staruszce, ale jest o Eulalię Barron zazdrosna. Prędzej gotowa jest uwierzyć i zrozumieć, że ktoś Dominice pła-cił, by wyprowadzała psy, zwierzę samo o siebie nie zadba. Ale czytanie książek? co to za praca? radia sobie nie może włączyć ta amerykańska staruszka? pyta wnuczkę przez telefon Halina Chmura. Nie ma telewizora? radia?

Kto to widział tak pieniądze na fiu-bździu marnować, se-kunduje jej jadzia, chociaż zwykle nie zgadza się z teś-

264

ciową w niczym. Radio włączyć, pieniądze odłożyć, tak powinna zachowywać się normalna starsza pani! Halina jest zazdrosna o jakąś nie znaną staruszkę, która zatrudnia Dominikę i spędza z nią czas, a Jadzia, jak zawsze, umiera z niepokoju, że córkę może u Eulalii Barron spotkać coś złego, wykorzysta ją tam ktoś, dokuczy, uszkodzi. Dopiero gdy dowiaduje się, że pracodawczyni Dominiki jest bezdzietna i zupełnie pozbawiona krewnych, zaczyna po swojemu węszyć w poszukiwaniu korzyści; może jej ta staruszka by spadek zostawiła, mieszkanie zapisała? Takie mieszkanie w Nowym Jorku pewnie wię-

cej warte niż na Piaskowej Górze, można by spieniężyć, wynająć, co miesiąc tylko by się komorne od lokatorów zgarnęło. Niech się na wszelki wypadek Dominika stara, żeby ją ta pani Barron polubiła, niech będzie miłsza, przymilna nawet, to nic nie kosztuje. Pokorne cieleń dwie matki ssie! instruuje swoje oporne dziecię matka Chmura. Jadzia stara się śledzić na bieżąco wędrówkę Dominiki, ale gubi się, denerwuje, że wszystko jej się kićka i musi zaczynać od nowa, wyliczając na palcach miasta i różne prace swojej córki, najpierw w Niemczech, potem w Nowym Jorku. Niektóre zajęcia takie dziwne, że trudno je uznać za pracę, bo na ten przykład, zwierza się Krysi Śledź, czy wyprowadzanie psów jest pracą? Czy ty, Krysia, płaciłabyś komuś, żeby ci Pirata wyprowadzał?

ł czy Krysia może sobie wyobrazić, że tam trzeba gówna po psie zbierać własnymi rękami i wyrzucać do kosza?

Albo czy pracą jest przebieranie się za Cyganek na jakimś festynie? O tym to nawet trochę wstyd ludziom mówić.

Czytanie książek to przynajmniej czyste i bezpieczne za-jęcie, ale praca? Fiksum-dyrdum i fiu-bździu, a nie pra-265

ca. Zawsze kiedy Jadzia Chmura nabiera nadziei, że jej dziecko osiadło, ono dzwoni z innego miejsca o nieznanym nazwie i mówi, mam, to już nieaktualne, ja jestem teraz gdzie indziej i robię coś zupełnie innego, poczekaj, zaraz wyślę ci nowe zdjęcia, to zobaczysz. Powsinoga z tego dziecka, latawiec! jakby w tym plecaku, co go zawsze nosi, wiatr miała.

Jadzi najbardziej podobało się, gdy Dominika była w Gelnhausen, małym miasteczku w Hesji, gdzie córka Grażynki, Aniela Wolf, prowadzi cukiernię o nazwie Calypso. Małe miasteczko, prywatna cukiernia, matka Chmura pławiła się w brzmieniu tych słów, spijała słodki spokój, jaki z nich płynął, smakowała aromat zamoż-

ności. Calypso, jak lody, które były za komuny, a potem znikły; oj, kiedyś to były lody, rozmarza się Jadzia, miały taki smaczek, teraz sama chemia. Tam to nic nie wykom-binuje, nie wyskoczy z żadnym fiksum-dyrdum, cieszyła się, gdy Dominika dotarła do Calypso, bo wydawało jej się, że w miasteczkach takich jak Gelnhausen nie dzieją się rzeczy niebezpieczne, zwłaszcza gdy pracuje się w prywatnej cukierni u kogoś znajomego. Mimo iż na Piaskowej Górze większość rzeczy była już prywatna, Jadzia nie przyjęła tego do wiadomości, bo sama, prywatnie, nie posiadała nigdy nic cenniejszego niż parę sztuk ruskiego złota, kilka kryształów i kolekcję ceramiki z Włocławka. Niektórym to się żyje, prywatna cukiernia, Gelnhausen, wzdychała na balkonie do Krysi Śledź nie bez dumy, że jej córka jakoś uczestniczy w tym cudzie prywatnego posiadania. Pokazywała sąsiadom zdjęcia od Dominiki i z upodobaniem używała nowej nazwy, której się nauczyła: pruski mur. Te białe ściany 266

z czarnymi balami, co wystają, to pruski mur, tłumaczy-

ła, w Enerefie taka moda na pruski mur, nie to, co u nas, beton i beton, albo te nowe gargamele, co w Szczawnie Zdroju burżuje pobudowali. Gdyby Dominika została w Calypso i zamieszkała w domu z pruskiego muru, jadzia byłaby spokojniejsza, ale tak się nie stało, niestety.

Dominika i Sara pojechały do Gelnhausen po krótkim pobycie we Frankfurcie, gdzie trafiły po ucieczce z Owocowego Raju. Frankfurt nad Menem, miasto, którego centrum przypomina skrzyżowanie banku z lotniskiem i pachnie powietrzem przepuszczonym przez klimaty-zatory, odbijało ich zniekształcone sylwetki w szklanych ścianach city jak w wodzie. Zbliżała się jesień i Dominika, nadal nosząca tylko czarne, szare i białe rzeczy, kupiła sobie w sklepie z używaną odzieżą pelerynę, jaką miał Zor-ro, i wielką białą czapkę z pomponem, która przetrwała w czyjejś niemieckiej szafie od lat sześćdziesiątych. Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? ostrożnie zapytała Sara, gdy zobaczyła przyjaciółkę wynurzającą się z przymierzalni, Dominika była pewna, a czapka, puchata i miękka, przypominała jej chmurę. Chmurę? upewniła się Sara, ale gdy potem widziała głowę Dominiki płynącą przez ulice Frankfurtu, musiała przyznać, że było to trafne porównanie. Szybko porzuciły nieprzyjazne centrum i zapuściły się na peryferie; chodziły po ulicach, do których czystości jadzia miałyby zastrzeżenia, i na wdech wyczuwały tanie knajpy tureckie, ormiańskie, greckie, jadły w nich warzywa i frytki maczane w ostrym paprykowym sosie, kupowały na deser kleiste słodycze i szukały pracy. Dominika w którymś z greckich sklepików rozpoznała pamiętany z dzieciństwa smak rachatlukum w różanej kostce z orze-267

chami; stała i mlaskała jak niemowlę, a Sara pytała, co ci jest? Co widzisz, Dominiko Chmuro? Dominika nie potrafiła dobrze wytłumaczyć sensu wspomnienia, bo nie mia-

ła pojęcia, jak jest rachatlukum po angielsku czy po niemiecku. Miałam kiedyś przyjaciela na Piaskowej Górze, małego Greka, o imieniu Dimitri, przynosił mi słodycze, powiedziała Sarze. I co? I nic, wyjechał. Gdzie teraz jest jej pierwszy przyjaciel, chłopiec o białych zębach, z tornistrem pełnym rachatlukum, podskakujący w kółko jak fryga? Może stał się podobny do tych mężczyzn o ciemnych oczach i włosach, którzy nieraz zaczepiali Dominikę i Sarę, proponując to, co mieli w skromnej ofercie, bo byli jeszcze na dorobku, seks, kawę, w najlepszym razie kolację w jednej z knajp, których zapach na długo zostaje we włosach. A może został mnichem na górze Athos albo raczej armatorem, Onassisem, ten mały Grek z Wałbrzycha? Może ma żonę i czwórkę dzieci? Dominika chciała-by to wiedzieć. Czytały ogłoszenia o pracy przyklejone na szybach, w budkach telefonicznych, na ścianach sklepików z tanią odzieżą; mogły zostać opiekunkami dzieci i staruszków, prostytutkami, kelnerkami, wyprowadzacz-kami psów, pomywaczkami, sprzątaczkami, hostessami, mogłyby myć okna biurowców, gdyby miały doświadczenie wspinaczkowe; tak naprawdę mogły niewiele.

Popatrz na to! zawołała Sara. Mogły pozować nago studentom akademii sztuk pięknych, co wydawało się najbardziej interesujące. Poszły więc na spotkanie i przez dwie godziny czekały z kilkunastoma innymi kobietami różnej narodowości i w różnym wieku w sali pachnącej terpentyną i rozpuszczalnikiem. Niektóre kandydatki na modelkę wyglądały tak, jakby szykowały się na tę okazję

długo i starannie, inne najwyraźniej porzuciły na chwilę dotychczasowe zajęcia, licząc, że może nowe okaże się korzystniejsze i stanie trampoliną, z której odbiją się do czegoś lepszego, ale tyle razy się zawiodły, że nie chciało im się już starać; jedna miała na sobie poplamioną koszulkę z logo McDonald's, inna trzymała w ramionach dziecko i karmiła je piersią, na której wytatuowa-ny był napis Love&Peace. Dominika i Sara weszły razem i elegancki profesor w średnim wieku obie uznał za ciekawe, choć każdą z innego powodu; młoda profesorka zgodziła się z nim. Dominika przypominała niemieckiemu profesorowi kobiety, które widywał podczas podróży na Wschód, ich archetypowe biblijne twarze, tak niepodobne do jego rozmytej nijakości, która nawet nie była porządnie aryjska; zapatrzył się na Dominiki oczy i usta.

Ach, gdyby tak umiał namalować tę twarz zamiast postindustrialnych pejzaży w szarościach i zgniłych zieleniach, z których co prawda sływał, ale i tak mniej, niżby pragnął

sływać. Niestety, Dominiki nie mogli przyjąć, bo nie miała odpowiednich dokumentów, które pozwalałyby zatrudnić ją legalnie, keine Papieren, keine Arbeit, wie schade.

Dominice pozostało wyprowadzanie niemieckich psów, a pracę modelki dostała Sara, która dla pary profesorów ucieleśniała postkolonializm, dekonstrukcję kobiecości i hybrydyczność podmiotu, jak mówili, używając też innych trudnych słów. Nie można jednak wykluczyć, że po prostu oboje bardzo byli ciekawi, jak jej gładkie brązowe ciało o wypukłej pupie wygląda bez opakowania.

Sara przez tydzień tkwiła na środku podestu oparta o kij od szczotki, bo nic innego nie było pod ręką, podczas gdy studenci wprawiali się w sztuce zwanej szki-269

cowaniem z natury; naturą była Sara, a każdy student widział ją inaczej. Ich profesor, który lubił wyrażać się w sposób kwiecisty i mętny, tłumaczył, że między ich oczami a tym brązowym nagim ciałem jest ocean wyobraźni, trzeba rzucić się w niego i płynąć jak syreny. Wyobraźnia! Mity i władza, symbole i archetypy, o to w tym chodzi, meine Damen und Herren, chociaż oczywiście musicie też pamiętać o technice i podstawach kompozycji. Do dzieła! Studenci rzucili się na Sarę, jak kto umiał.

Była więc Sara piękna dla Frantza tak, że nie mógł doczekać się następnych zajęć i szkicował ją, pryskając kawałkami za mocno przyciskanego węgla; wytaczała mu się Sara poza brzegi sztalug. Profesor spacerujący wśród studentów musiał go co rusz poprawiać, Achtung, Frantz, skup się na kompozycji, pilnuj proporcji, co ty wyprawiasz. Dla Agnes, spokojnej studentki o dużym poczuciu przyzwoitości i talencie tylko odrobinę wykraczającym ponad średnią, Sara była nieprzyzwoita, prze-sadna, nadmierna. Jakaż ta Murzynka jest odrażająca, myślała, co za przesada! kręciła głową na jej biodra, uda, piersi o dużych ciemnych brodawkach i nie mogła od tego przesadnego ciała oderwać swoich okrągłych szarych oczu. Sara na obrazie Agnes wyglądała tak, jakby miała rzucić się na młodą artystkę i ją pożreć, wydłu-bać z przyzwoitej szarej tuniczki i dżinsów, wyssać jej protestanckie kości o zimnawym szpiku, by zaraz po ka-nibalistycznej uczcie podskoczyć i rozhuścić się małpio na żyrandolu. Sehr Gut, Agnes, ale trochę więcej polotu.

W domu profesor szkicował Sarę z pamięci, nagą, obcą wśród ubranych studentów, nową wersję targu niewolników, gdzie na sprzedaż jest egzotyczna kobieta o żół-

270

tych włosach i ciele kuszącym jak uczta Babette. Czy gdyby potem zaprosił ją na kolację, zastanawiał się, by-

łoby to wbrew czy nie wbrew zasadom? Sara stała oparta o kij od szczotki w pozie Hotentockiej Wenus i z uwagą przyglądała się studentom i profesorowi, bo o wiele bardziej niż na zarobku zależało jej na tym, by dowiedzieć się, jak to jest i co się wtedy czuje, gdy jest się wysta-wionym na pokaz. Nikt z oglądających Sarę nagą i jej nagością karmiących swoje pragnienia nie był w stanie przeniknąć tajemnicy, której strzegła. Ani Frantz, choć w snach Sara będzie się pojawiać do końca jego życia, ani Agnes, która na takie sny nie dałaby sobie pozwolenia, ani profesor, któremu dostarczyła tematu do rozmów z psychoterapeutą - nie wiedzieli, że ta piękna kobieta o bujnym ciele nie odpowiedziałaby na żadną z namięt-ności, bo nigdy jeszcze żadnej nie czuła. jej ciało budzą-

ce takie emocje nie znało erotycznego pragnienia, a jeśli czasem przytulała Dominikę, była w tym tylko łagodna potrzeba czułości.

Przez dwa miesiące spędzone we Frankfurcie Dominika i Sara mieszkały u Amber, studentki antropologii, Sara знаła dziewczynę z Nowego Jorku. Gościenna Amber miała długie kręcone włosy, skórę w kolorze bursztynu i kolczyk w pępku; w dzień spała albo pisała, a wieczorem przed wyjściem do pracy robiła tiramisu tak pyszne, że Dominika niekiedy zapominała na chwilę o podróży; leżała nasycona jak noworodek i myślała, że mogłaby zostać na zawsze w tym przypominającym jaskinię malutkim mieszkaniu. Zostańcie! prosiła Amber, czy wam ze mną źle? i stawiała na stole pucharki pełne słodkiej masy. Amber nocami pracowała jako domina imieniem 271

Kirke w klubie dla sadomasochistów i mówiła, że to obserwacja uczestnicząca do doktoratu. Lubisz to po prostu! przekomarzała się z nią Sara i niewykluczone, że mia-

ła rację, bo badania Amber trwały już od paru lat i nic nie zapowiadało ich końca. Wieczorem Amber zmienia-

ła się w Kirke; ubierała się w skórzany gorset, wysokie buty i wywijając pejcem, ćwiczyła niemieckie przekleń-

stwa i obelgi, kierowane potem do spragnionych domi-nacji klientów. Ty świni! wrzeszczała, prosz o litość swoją panią! I co, mordo świńska? znów zasłużyłeś na karę, cedziła okrutnym szeptem i obnażała zęby, a Dominika i Sara umierały ze śmiechu, bo przypominały sobie świnię hodowane przez Grażynkę i Hansa, bezbronne, otyłe stworzenia o wiecznie głodnych pyskach. Amber-Kirke potrafiła wiązać ciała na sposób japoński z taką łatwością jak supełek na chusteczce i przekonywała Dominikę i Sarę, że bardzo piękny jest zapach świeżo wyprawionej skóry.

Tłumaczyła im, jak zaciska się obrożę nabijaną ćwiekami, mocno, ale nie tak, by klienta udusić, i prosiła, by mogła na Dominice lub Sarze wypróbować nowy model skórzanej maski na zamek, którą potem będzie z wprawą zamykała na twarzach lekarzy, biznesmenów i profesorów.

Amber-Kirke nieustannie prosiła, by zostały dłużej; i gdy nie mogły znaleźć pracy, oferowała nawet pośrednictwo w załatwieniu czegoś w klubie SM, bo jej zdaniem obie miały warunki. Powiedz: ty świni, tłumaczyła, powiedz tak, żeby poczuł się jak świnia i miał ochotę zachrumkać, jednak Dominika przy każdej próbie wcielenia się w postać dominy widziała nagle twarz swojej matki, ściągnię-

tą w kurzą dupkę z tym charakterystycznym wyrazem zdziwienia i dezaprobaty. Wybuchwała wtedy śmiechem, 272

jakim nie śmiała się od czasu, gdy z małym wałbrzyskim Grekiem obmyślała sposoby zgładzenia nauczycielki Heleny Demon. Czas w drogę, powiedziała Sara któregoś wieczoru, a może to była Dominika. Ucałowały więc Amber-Kirke, życzyły jej powodzenia i ruszyły w dalszą wędrówkę.

Sara myślała o powrocie do Stanów, ale Dominika wciąż nie miała odpowiednich dokumentów i szans na amerykańską wizę. Podobnie jak jej matka, nie czuła się też gotowa na spotkanie ze swoją amerykańską rodziną, dziećmi Ignacego Goldbauma, bo wiedziała, że ich opowieść jest tylko w jakiejś części jej własna. Moja amerykańska rodzina, wzdychała niepewnie, podczas gdy Jadzia z większą pewnością i niechęcią mówiła o tych Żydach z Ameryki. Ci Żydzi z Ameryki, przestrzegała cór-kę, żeby ci tylko w głowie nie namęcili. Jadzia nie chciała spotkać się z synami Ignacego, którzy przyjechali do Zalesia po to, co zostało z ich ojca w spalonym domu Zofii, i nie zgodziła się na ich przyjazd do Wałbrzycha. już dość namęcili, dziękuję bardzo, zacięła się w sobie i powtarzała, że nie, absolutnie i pod żadnym pozorem, prędeż jej kaktus, o tu, pośrodku dłoni podniszczonej królowaniem w kuchni wyrośnie. Nawet po naszymu porządnie mówić nie potrafią, powtarzała ze złośliwą satysfakcją, wspominając dwie rozmowy z Davidem i jedną z Ruth, jakie odbyła przez telefon; niby ojciec Polak, choć Żyd, a ten jego syn jakby kluski w gębie i mowa jakaś przed-potopowa. Niech pani jednakże rozważy, złośliwie na-

śladowała polszczyznę Davida Goldbauma. Rozważyć to on se może worek kartofli! W podwójnym nieszczęściu, jakim była śmierć Zofii i wypadek Dominiki, fakt, iż dzie-

ci Ignacego, David, Joshua i Ruth, są jej przyrodnim rodzeństwem, umknął świadomości Jadzi, bo takie rzeczy, jak nagłe pojawienie się braci i siostry, były do przyje-

cia w telenowelach, ale nie w życiu na Piaskowej Górze.

Co jej tam rodzeństwo nieznane, Jadzia Chmura cała na-stawiona była na ratowanie swojego jedyne go dziecka, któremu zgodnie z jej obawami w końcu przytrafiło się coś strasznego, choć zupełnie nie to, czego się obawia-

ła. Tyle potrafiła wyobrazić sobie nieszczęść, straszliwych chorób wywołanych bakteriami, a jej dziecko mia-

ło wypadek spowodowany przez Jagienkę Pasiak, która wydawała jej się taka miła i grzeczna. Matka Chmura nie chciała pomocy od rodziny Ignacego, ale gdy Grażynka spadła jak z nieba z propozycją zabrania pogrążonej w śpiączce Dominiki do niemieckiego szpitala, Jadzia przewyciężyła dumę i niemal fizyczną niechęć, jaką od zawsze czuła do tej kobiety. Że takiej lafiryndzie! kręci-

ła głową w świętym oburzeniu na myśl o Grażynce, że takiej lafiryndzie szczęśliwy los na loterii życia się trafił, a porządne kobiety nawet trójki w totolotka trafić nie mogą. Nie ma sprawiedliwości na świecie! Grażynka, w sukience jak wiosenna łąka, z ramiączkami stanika na widoku, z przedziałkiem między piersiami, podzwaniająca kolczykami wielkimi jak dwa żyrandole z czeskich kryształków, biegła po wałbrzyskim szpitalu, zaczepiała lekarzy, którzy ku oburzeniu Jadzi nie mówili, niech się pani odczepi, głowy nie zawraca, tylko zatrzymywali się i rozjaśniali w uśmiechu jak nigdy na jej .Jadzi Chmury, przyzwoity widok. Wdzięczność wobec tej kobiety, tak innej niż wszystko, co Jadzia akceptowała jako kobiece, była jednak łatwiejsza niż ewentualna wdzięczność wo-274

bec amerykańskiej rodziny, bo do pokrewieństwa z nią nadal się nie poczuwała, dziękuję bardzo. Odmowa Jadzi tylko pogłębiła ból dzieci Ignacego Goldbauma, bo nie wiedzieli, że oferowana przyjaźń wydawała się Jadzi podejrzana w obliczu czegoś tak strasznego jak spalenie ich ojca. Bardziej spodziewałyby się zła, co należy się za zło. Oko za oko, Jadzia zawsze była tego zdania. Wykastrować i rzucić ludziom, niech sami sprawiedliwość wymierzają, unosiła się w obliczu doniesień o gwałcicielach i mordercach dzieci. Ukamienować, jak to kiedyś bywało, oko za oko, ząb za ząb. W takiego zbrojnego pierwsza by kamieniem rzuciła, nikt by jej nie powstrzymał; pierwsza bym kamieniem rzuciła! zaperzała się i kłóciła z Dominiką, upierającą się, że potrzebny jest sąd i prawo. Jadzia była przygotowana na atak ze strony dzieci Ignacego, na to, że powiedzą, to wasza wina, to Zofii wina, że ojca straciliśmy, po co go do Zalesia zapraszała, ciągnęła na takie zadupie na stare lata, po co Dominika chciała się z nim spotykać. Już ja im powiem! Powiem im, że co tam moja matka mogła zapraszać, chciał, to przyjechał, i kto wie, czy proszony; sumienia trzeba nie mieć, żeby tak przyjechać i kłopotu wszystkim narobić. Ignacy Goldbaum przyjechał do Polski w gości i zginął w straszny sposób, tak bardzo Jadzię złościło wszystko, co ze śmiercią Ignacego związane, że nie domyśliła się prawdziwej przyczyny swej złości zapijanej nervosolem. Biedna Jadzia z Piaskowej Góry czuła się winna tej śmierci, i ta wina była ponad jej siły.

Gdy miało zaciętrzewienie, Jadzia wybuchła płaczem, bo kielkowało w niej uczucie, nieokreślone i drobne, że wszystko mogło ułożyć się zupełnie inaczej i być może, 275

jak widziała w przebłyskach wyobraźni, zamiast zgłiszcz i popiołu zdarzyłby się wówczas suto zastawiony stół

pod zaleskim orzechem, ludzie przy nim, jakaś nowa rodzina, zapach drożdżowego ciasta z wiśniami, letni wiatr i śmiech.

Nie przewidziała Jadzia, że jedno z dzieci Ignacego okaże się uparte, i nie przyszło jej do głowy, że to, co dla niej było tak skomplikowane, Ruth Goldbaum uda się bez trudu i dowie się, w którym szpitalu w Monachium jest Dominika. O wizycie Ruth wiedziała tylko Sara; jądzie by chyba szlag trafił. Ruth przyjechała zaraz na po-czątku pobytu Dominiki w niemieckiej klinice i czekała cierpliwie, aż pulchna starsza pani wyjdzie ze szpitala.

Odprowadziła ją wzrokiem i starała się zapamiętać jak najwięcej, liliową spódnicę w kwiaty i wdzianko pod kolor opięte na dużych piersiach, wykoślawione obcasy czółenek z kokardami, zbyt obfite łydki i wciąż zgrabne szczuplutkie kostki, gruszkę pośladek, jakiej nie mia-

ła żadna inna kobieta w rodzinie Ruth, unieruchomio-ne lakierem żółtawe włosy niczym kłębek starej waty.

Żadna inna kobieta w mojej rodzinie, pomyślała jeszcze raz Ruth, i po raz pierwszy fakt istnienia Jadzi Chmury z Wałbrzycha dotarł do niej tak wyraźnie, że poczuła swoją starszą pół-siostrę w piersiach i brzuchu. Profil jądzi z wyraźnie zarysowanym drugim podbródkiem wy-dał się Ruth bezbronny i dziwnie piękny, jak twarz jednej ze świętych, które podziwiała we włoskich kościołach, świętych, którym, zanim się ześwięciły, przydarzały się rzeczy nieprzyjemne i bolesne, a to piersi ucięte, a to cierń wbity w czoło, choć ta od ciernia, święta Ruta, akurat sama się o to prosiła. Parking przed szpitalem był

276

pusty, światło latarni zimne jak w sklepowej gablocie z mięsem, postać ubrana na liliowo wydawała się samotna i bezbronna. Ruth omal nie podbiegła do niej, gdy niezdarna Jadzia upuściła torebkę i ukucnęła, by pozbie-rać rozsypane drobiazgi, ale podjechał samochód i jądzia do niego wsiadła. Ruth stała tak długo, aż zniknął

za bramą szpitala.

Gdy Sara zobaczyła Ruth w poczekalni szpitala w Monachium, wiedziała, że jest ona spokrewniona z Dominiką, zanim kobieta odezwała się do niej; pomy-

ślała, że podobieństwo tak oczywiste musi mieć sens niczym zapis na ciele, który ta śpiąca dziewczyna z Polski będzie musiała odczytać po przebudzeniu. Te same usta szerokie, z kącikami kapryśnie opadającymi w dół, ostre kości policzkowe, bardzo ciemne brwi, które trudno utrzymać w ryzach, bo usiłują się zrosnąć. Amerykańska ciotka Dominiki Chmury, Ruth Goldbaum, która zupełnie

nie wyglądała na czyjaś ciotkę, uściśnęła rękę Sary mocno, po męsku. Wydawała się Sarze silna i pewna siebie, jedna z tych kobiet, które od dziecka uczy się, że świat jest pełen możliwości, a nie niebezpieczeństw. Patrzyła na Ruth, która pochyliła się nad Dominiką, a po chwili ujęła w dłonie rękę śpiącej; Ruth, najmłodsze dziecko Ignacego, była kilkanaście lat starsza od Dominiki i wyglądała jak jej siostra. Wyglądasz jak siostra, którą zawsze chciałam mieć, powiedziała do śpiącej. Pachniesz jak moja siostra, pocałowała jej dłoń, masz kolor sio-strzany. Obudź się, siostrzyczko! Mogę trzymać ją za rękę? zapytała Sarę. Możesz. Ruth wyszła z pokoju Dominiki dopiero świtem, gdy zaczynał się poranny ob-chód i na oddział śpiących dobiegł świeży zapach kawy, 277

środków dezynfekujących i pieczywa; Sara nie przeszkadzała im i tylko przez oszklone drzwi widziała, że Ruth nie przestaje mówić. Oby tylko śpiewać nie zaczęła, jak Jadzia, pomyślała, bo na widok tej pewnej siebie Ame-rykanki, mówiącej jak prezenterka CNN, poczuła lekkie ukłucie zazdrości, które ją samą nieprzyjemnie zdziwiło. Złapała się na tym, że stara się formułować zdania tak jak w college'u, gdy otaczały ją białe koleżanki, które jej część Nowego Jorku znały tylko z teledysków i filmów. Zawiadom mnie, gdy się obudzi, poprosiła ją Ruth. Obudzi się, prawda? Obudzi. Powiesz jej o mnie?

Powiem.

Ruth Goldbaum po śmierci ojca spakowała plecak i opuściła Pasadenę, miała spędzić jakiś czas w Europie, a potem wrócić na uniwersytet, gdzie ją zatrudniono, ale po wizycie u Dominiki w monachijskiej klinice poczuła, że nie jest gotowa do powrotu, bo straciła oparcie pod stopami, jak surferka, której nagle deska wysunęła się spod nóg, mimo iż wszystko szło tak dobrze i wydawała się przygotowana na każdą falę. W uporządkowa-nym i łatwym dotąd życiu zdolnego i kochanego dziecka otworzyła się czarna dziura niepewności i rozpacz. Ruth zaczęła śnić sny pełne popiołu, polskich słów i zapachu spalonego mięsa, straciła z oczu swój dom i prowadzącą do niego drogę. Wtedy jej wzrok przykuła reklama tanich biletów do Indii i Ruth Goldbaum, która każde wakacje spędzała w atrakcyjnych miejscach świata i zmien-ne piękno krajobrazu było po prostu częścią jej życia, po raz pierwszy poczuła tak silną potrzebę podróży, że aż przeszedł ją dreszcz. Czas w drogę! Podjęła decyzję i zarezerwowała najbliższy lot do Delhi. Sara dotrzy-ma-278

la obietnicy i powiedziała Dominice o wizycie Ruth, od której wkrótce zaczęły przychodzić listy i pocztówki, była w Indiach, potem w Laosie, Wietnamie i Kambodży, wylądowała w końcu w Tajlandii, gdzie na wyspie Samui pracuje we włoskiej pizzerii; tu zatrzyma się na dłużej, bo nigdy nie była nikim innym niż Ruth Goldbaum z Pasadeny, a teraz turyści biorą ją za Włoszkę, i całkiem jej się to podoba. Przesłała zdjęcie; na tle morza lśniącego jak płynne szkło opalona kobieta w białej bawełnianej sukience. Dominika schowała zdjęcie swojej ciotki-siostry do portfela, jak miała to w zwyczaju jej matka, ale gdy Ruth dzwoniła potem do chwilowych domów, w któ-

rych zatrzymywały się z Sarą, na linii co chwilę zapadała cisza.

Taki sam tembr głosu i śmiech nie do odróżnienia deprimowały je wobec braku bliskości, która nie miała kiedy się narodzić. Gdziekolwiek Ruth była, ponawiała zaproszenia i chęć pomocy, ale Dominika najlepiej czuła się przy Sarze i tylko czasem, na granicy przebudzenia i snu, wydawało jej się, że słyszy głos, który mówi, wyglą-

daszjak siostra, którą zawsze chciałam mieć; wyjmowała wtedy zdjęcie z portfela i patrzyła na kobietę w białej sukience. Podobnie jak Jadzia nie była przygotowana na nowego ojca, tak Dominika nie potrafiła znaleźć w sobie miejsca na ciotkę, która chciała być jej siostrą i na siostrę wyglądała. Wiedziała, że to pozorne siostrzeństwo niczego nie załatwi w jej życiu, choć może prościej było-by zostać Żydówką z Pasadeny, siostrą Ruth Goldbaum, a nie mieszkańcem i półsierotą z Piaskowej Góry. Może później, w przyszłym roku, mówiła więc, gdy Ruth, gotowa do powrotu, zachęcała ją do odwiedzin w Kalifornii 279

i zapewniała, że nie ma tak złych papierów, których przy odrobinie wysiłku nie dałoby się polepszyć. Na pewno nie chcesz się z nią zobaczyć? upewniała się Sara. Dominika nie chciała; potem, mówiła, może w przyszłym roku.

Sara i Dominika przyjechały do Gelnhausen w wio-senny dzień; nad miasteczkiem płynęły obłoki tak białe i pulchne, jakby namalowało je dziecko. Chmurdalia, Dominice przypomniła się kraina, którą wymyśliły z Mał-

gosią Lipką podczas wagarów na dachu Babela. Chmurdalia, piękna Chmurdalia, obie chciały ją znaleźć, obie były pewne, że istnieje, gdzieś daleko od Piaskowej Góry.

Aniela Wolf, zamężna córka Grażynki, mieszkała w wielkim domu, którego ascetyczny wystrój nie zachwyciłby Jadzi, chociaż drewniane podłogi lśniły czystością, dywany miękkie niczym sierść jakichś dobrych, łagodnych zwierząt wyczesane były z włosom i pod włos, a sosnowe meble pachniały lasem. Dominice podobały się abażury, papierowe kule, lekkie, półprzezrzyste; na Piaskowej Gó-

rze żyrandole musiały być solidne, niczym wielkie pają-

ki przycupnięte pod sufitem. Dominika i Sara zamieszkały w dwupokojowym domku gościnnym, ale główny dom był dla nich otwarty. W wolnych chwilach pomaga-

ły Anieli w kuchni albo siedziały w pracowni stolarskiej jej męża, który robił na zamówienie meble, repliki antyków francuskich i włoskich, pożądane przez zamożnych mieszkańców Niemiec; złote ostrużyny drewna pokrywa-

ły podłogę jak ścięte loki całego tłumu blond piękności.

Państwo Wolf mieli godną podziwu umiejętność mil-czenia, kiedy trzeba było milczeć, i nie pytali, czy macie zamiar wracać, czy ścigać rodzinę? Wystarczyło im, że 280

Dominika i Sara zostały poleczone przez Grażynkę, i nie narzucali się ze swoim towarzystwem, tylko zgadywali, pewnie chciałybyście pojechać na wycieczkę do leśnego zoo, i po półgodzinie byli wśród drzew, a melancholijne łosie podchodziły do ogrodzenia, by dać się pogłaskać po pyskach delikatnych w dotyku jak mech.

W należącej do Anieli cukierni Calypso oprócz Dominiki i Sary pracował starszy cukiernik, miejscowy Niemiec imieniem Helmut, i Ivo, cukiernik artysta, jak sam o sobie mówił. Ivo, młody

Amerykanin z miasteczka Harrison w stanie Arkansas, ze względu na nienaganną prezencję i talent do języków był w Calypso również kel-nerem. Gdy Dominika zobaczyła Iva po raz pierwszy, mył

pod kranem pomarańcze i w blasku słońca miało się wra-

żenie, jakby przez kuchnię płynęła rzeka pełna lśniących drobinek światła; przyszła jej do głowy dziwna myśl, że tak mogłaby wyglądać jej zmarła siostra bliźniaczka, wysoka szczupła blondynka o niebieskich oczach i przejrzystej cerze. Hej, krzyknął Ivo i rzucił w stronę Dominiki pomarańczą jak piłką, hej, jestem Ivo, król czekolady, witam w krainie słodyczy. Jestem artystą, a nie po prostu cukiernikiem, tłumaczył Ivo, oto różnica, i malował

cukierniczym pędzlem ze szczeciny dzika czekoladowe esy-floresy na marmurowym blacie, a potem, hokus-po-kus! jednym pchnięciem paznokcia Ivo przesuwając wy-stygły czekoladowy kształt i podnosi, by wszyscy mogli podziwiać rajskiego ptaka, żyłkowaną strukturę liścia, gałąź drzewa z ciemnej czekolady pokrytą białocze-koladowym szronem. Jedz! podaje czekoladowe cudo Dominice; ona je, Ivo opowiada, tak to od początku wyglądało.

281

Ivo mówi szybko, dużo, przede wszystkim o słody-czach, jego opowieść jest jak śmietana ubijana elektryczną trzepaczką, rośnie, rośnie i wszyscy oprócz Dominiki proszą od czasu do czasu, by w końcu się zamknął, bo głowa pęka od tego gadania. Dominika cierpliwie słucha, zjada robione przez Iva desery i czeka, bo od kiedy zobaczyła w nim siostrę bliźniaczkę, czuje, że pod lukrem jest jakaś inna opowieść, dzięki której zrozumie tajemnicę ich pokrewieństwa. Mów, Ivo, zachęca go i młode-mu cukiernikowi nie trzeba tego powtarzać, nawet jeśli przed chwilą udawał obrażonego, bo Sara kazała mu zamilknąć, na miłość boską, a Helmut wrzasnął, ruhe! Ivo ma dwie opowieści, którymi raczy Dominikę i tych, któ-

rzy znajdą się w polu rażenia jego słów. Pierwsza dotyczy przyszłości i młody cukiernik opowiada ją tak, jakby lukrował tort, tu wszystko kapie od słodyczy. Paryż, moja droga, mówi Ivo i gestykułuje, wymachuje trzepaczką albo końcówką miksera, w jego niebieskich oczach zapalają się iskry, jakby patrzył na patyczki zimnych ogniów, którymi w Calypso ozdabia się desery dla dzieci i zako-chanych. A więc Paryż, zdobędzie tutaj doświadczenie i wróci do Paryża, gdzie otworzy własny lokal, będzie się tam zajmował tylko czekoladą; czekolada do picia w fili-

żankach, żadnych papierowych kubków; musy, pralinki, sosy czekoladowe, figury z czekolady czarnej, brązowej i białej, bomboniery pełne czekoladowych cudów; to nie wszystko, czekoladowe suflety, tak, suflety to prawdziwa sztuka i wymagają talentu, trzeba wyjąć je w momencie wyważonym z chirurgiczną precyzją, byle rzemieślnik nie zrobi tego, jak należy. Kunszt Iva docenią w miejscach tak prestiżowych, jak Pierre Herrne czy Dalloyau, 282

wkrótce stanie się dla nich konkurencją, będą wysyłać pomocników kuchennych na zwiady, by nocą w wąchi-wali się w aromaty wydostające się z jego czekolaterii Croissant du galant. Pokażę ci zdjęcia moich dzieci, mówi Ivo i wyciąga album z fotografiami cukierniczych dzieł. Poważnie podchodzi do kariery; zanim nadejdzie era wielkich triumfów na arenie paryskiej, przygotowuje sobie portfolio z konkursów i pokazów, w których od-niósł już pierwsze sukcesy. Kiedy zacząłeś o

tym marzyć?

Czy masz w rodzinie cukierników? Skąd ta czekolada?

pyta Dominika, ale Iva nie da się łatwo zbić z tropu, gdy zwęszy swoją piękną przyszłość. Już się taki urodziłem!

zbywa ją i, voilal karmi kawałkiem marcepanu w pomarańczowej czekoladzie, wiśnią nasączoną likierem ama-retto i zanurzoną do połowy w waniliowym musie, do którego dodał, ach, to jego tajemnica, co. Ivo śledzi twarz dziewczyny jak początkujący kochanek, niepewny, czy sprawił nową pieszczotą przyjemność partnerce, a Dominika uczy się smaków kardamonu, chili, prawdziwej wanilii, których nie знаła wcześniej, bo na Piaskowej Górze był tylko cukier wanilinowy, pieprz i sól. Otwórz buzię, kochana, gorzka ciemna czekolada z orzechem makadamii, prosi Ivo i wkłada jej do ust lśniącą kulkę.

Co dalej, mów, prosi Iva Dominika, mów, a ja zjem resztę makadamii. Podczas południowej przerwy w pracy Sara idzie z Helmutem na kebab, a Dominika i Ivo siadają razem na schodach; Ivo opowiada, a Dominika wyjada z me-talowego pudełka połamane ozdoby z karmelu, oklapłe róże cukrowe, literki, które trzeba było odkleić z tortów, bo wyszły koślawe, nieudane srebrne perełki z cukru, które lśnią jak rozsypana rtęć, cienkie i chrupiące skraw-283

ki zastygłej czekolady. Starszy cukiernik Helmut wygląda nieraz na zmieszanego w towarzystwie trojga młodych cudzoziemców, z których dwoje jest chude jak patycza-ki i wyższe od niego o głowę, a jedno krągle w sposób nieznany w jego świecie brzuchatych kobiet i mężczyzn.

Helmut nie może oderwać oczu od wystających pośladków Sary, choć bardzo stara się zachowywać przyzwoicie, gdy idzie z Sarą przez rynek miasteczka do budki z kebabem, jest dumny jak paw. Ivo nie ma oporów, by mówić do Sary, kobieto z plemienia Khoi-Khoi, mogłabyś stawiać sobie tam doniczkę z kwiatkiem, żartuje z niej, albo używać tyłka jako półki na książki, co za oszczędność miejsca. Nawet wieża stereo by ci się tam zmieściła i dwie kolumny! To i tak mniej niż w twoim tyłku, odpowiada Sara tak, jak umie odpowiedzieć dziewczyna wy-chowana w nie najlepszej części Brooklynu, i Dominika nie wszystko rozumie, chociaż uczy się szybko. Zobacz, moja droga, Ivo pokazuje Dominice album, gdzie w prze-zroczystych kieszonkach wszystkie zdjęcia wyglądają podobnie, jest na nich uśmiechnięty Ivo i desery, spię-

trzone piramidy makaroników, torty zbyt piękne, by je jeść, pucharki pełne słodyczy. Ostatnio w Berlinie, gdzie stanął do pojedynku z wieloma starszymi kolegami, uda-

ło mu się dojść do półfinałów; smażone w cukrze płat-ki róży herbacianej, między nimi kropla czekoladowego kremu, Ivo boi się trochę, by mu ktoś tego pomysłu nie ukradł. Wiadomo, jak to jest. Kto udowodni starszemu i sławnemu cukiernikowi, że to nie on pierwszy wpadł

na połączenie herbacianej róży i kremu na bazie gorzkiej czekolady z odrobiną kardamonu i chili? Ostatecznie konkurs na deser przyszłości wygrał Francuz, Sebastian 284

Chevalier, z Francuzem niby nie wstyd przegrać, bo oni tę sztukę mają we krwi; co się Ivo naczytał o

Francji, ich kulturze, Napoleonie, Marii Antoninie, co ciastka żarła zamiast chleba. Tam nawet gilotynowanie miało lekkość, styl i wdzięk. Sebastian Chevalier! Co za brzmienie, muzyka dla uszu, nie to, co Ivo Smith, a powinno być John, tak go nazwali rodzice, John IV Smith, ale Johna IV Smitha Ivo znieść nie mógł, cóż to za straszna potwarz być nie dość, że Johnem Smithem, to do tego czwartym z rzędu.

Ivo zadręcza siebie i bliźnich w Calypso wspomnieniem Francuza, który wygrał berliński konkurs cukierniczy, bo jakoś tak łakomie na jego deser się patrzył, pytał, czy do kremu użył wanilii z Madagaskaru, czy z Indii, i czyon, tu nos do delikatnej kreacji zbliżył, dobrze czuje delikatną nutę migdałów, czy jednak to kardamonu nuta cicha.

Ach, być takim mistrzem jak ten Francuz, z własną cukiernią, dla której nazwę od lat ma w głowie: Croissant du galant, czyli rogalik galanta. Mówiłem ci o tym? pyta Ivo, mówiłeś, ale możesz opowiedzieć jeszcze raz, odpowiada Dominika i pozwala nakarmić się truflową kulką o nowej recepturze. Ivo Francuzów bardzo podziwia, młoda Francuzka Monique uczyła ich na paryskim kursie sztuki glazurowania, Dominika mu ją przypomina, coś w ustach, coś w kolorze, tylko że tamta zawsze była jak z wybiegu, a to w różowej chanelce, a to w małej czarnej. Na glazurę najlepsze są morele z południa Francji, tu ważne są szczegóły, morela moreli nierówna. Francuzkę od glazurowania Ivo wspomina z zachwytem i gdyby miał w przyszłym życiu urodzić się kobietą, a dzięki buddyzmowi może w to wierzyć, za co jest wdzięczny samemu mistrzowi Guatamie osobiście, to właśnie taką, 285

Monique z Paryża. W kwestii ponownych narodzin w wersji żeńskiej młody cukiernik musi rozważyć za-wiłą teologicznie kwestię, czy pragnienie inkarnacji we wcieleniu uważanym za niższe mieści się w ideale dobrego buddysty, który powinien dążyć do doskonało-

ści. Pomyślę o tym potem, błaznuje Ivo i cytuje Scarlet O'Hare, która, oprócz Francuzek oczywiście, jest jedną z jego ulubionych postaci. Francuzki! Francuzki to ideał Ivo i gdyby nie kochał sztuki cukierniczej tak gorącą miłością, być może zająłby się projektowaniem ubrań, do czego, jak podejrzewa, też ma talent, i to prawdziwy. Ivo uważa, że gdyby Bóg miał coś przeciwko jego orientacji seksualnej, nie obdarowałby go tak hojnie ta-lentami, urodą, pogodą ducha i umiejętnością zjedny-wania sobie ludzi. Bóg, błaznuje Ivo, jakkolwiek go na-zwiemy, nie jest złym facetem. Mam mnóstwo szczęścia.

Od dziecka! Ivo de Paris, właściciel cukierni Croissant du galant, oto jego przyszłość! Żaden Ivo Smith, a już na pewno nie John IV Smith, czy junior, zwany tak przez rodzinę dla odróżnienia od ojca Johna Smitha Seniora, o nie, on będzie znany w branży po prostu jako Ivo z Pa-ryża, właściciel Croissant du galant. Tylko żeby nikt mu nie ukraść pomysłu. Nie powiesz nikomu? Nie powiem, śmieje się Dominika i przewraca oczami w grymasie, który na mgnienie oka upodabnia ją do Jadzi, jakby jej matka we własnej osobie zajrzała do cukierni Calypso w Gelnhausen i stwierdziła, że istne fiksum-dyrdum się tu wyprawia. Ivo mówi, że gdyby pochodził z rodziny sławnych cukierników, jego marzenie o byciu na swoim już by się dawno ziściło; mógłby na przykład założyć własną czekolaterię jako część rodzinnego imperium.

Dominika łapie trop, który prowadzi w przeszłość jej cudownie odnalezionego bliźniaka, i pyta o jego rodzinę, co robią, jacy są, ale Ivo znów umyka jej zakosami w bezpiecznym kierunku przyszłości. Ach, Croissant du galant, Paryż, najelegantsze sklepy będą zamawiać u Iva świąteczne bomboniere, sama królowa brytyjska będzie chrupać jego czekoladki i nie dostanie po nich zatwardzenia. Rozkaże, czekoladki tylko z Croissant du galant, i może nawet zaprosi go kiedyś na herbatkę do pałacu Buckingham.

Ivo i Dominika odkrywają, że mają wspólną pasję oprócz słodyczy, pływanie, i każdą wolną chwilę spędzają

na krytym basenie w Gelnhausen, gdzie najpierw przepływają kilkadziesiąt długości basenu szybką żabką, a potem moczą się w jacuzzi tak długo, aż ich skóra marszczy się, a oczy łzawią od chloru. Opowiadaj, mówi Dominika, opowiadaj, dopóki nie zrobię się głodna. Powiedz mi o swojej rodzinie, wszystko i dokładnie. Przyszłość Iva jest lukrowana, słodka, przeszłość jak z komiksu, okazuje się, że po chwilowym oporze ta historia też płynie warkotem. Ivo pochodzi z miasteczka Harrison, miasteczko Harrison w stanie Arkansas, mówi. Tata, mama, dwie siostry i ja, John IV Smith, biały dom, duży ogród.

Ojciec Iva, John III Smith, posiada w Harrison firmę Posejdon produkującą gadzety do wyposażenia łazienek i radzi sobie świetnie, bo nie inaczej radził sobie ojciec ojca, czyli John II Smith, i ojciec ojca ojca, John Pierwszy.

Tylko ja, mówi Ivo, wyłamałem się i zamiast pójść w ojców ślady, zboczyłem. Miasteczko Harrison, w którym urodziło się kilka pokoleń Smithów, liczy niewiele ponad dziesięć tysięcy mieszkańców i prawie wszyscy są biali

o biali, ojciec Iva zawsze podkreślał, że to dobre miejsce do życia i spełniania amerykańskich marzeń. Pokazywał

synowi domy tych, którym się udało, i przyczepy kempingowe nieudaczników, na jednych i drugich nadal powiewają sztandary konfederacji; John III Smith patrzył

wymownie w oczy syna, jakby chciał zajrzeć do wnętrza jego czaszki i zobaczyć przyszłość świetlaną, wykonaną według ojcowskiego projektu. Jego oczy, mówi Ivo, przewiercały mnie na wskroś. Przebijały strzałami jak świę-

tego Sebastiana! Oprócz jednej z największych w kraju grup Ku-Klux-Klanu i jej przywódcy, pastora Thomasa Robba, miasteczko Harrison niewiele więcej ma światu do zaoferowania, ale ojciec Iva uważał, że to wcale nie jest mało i świat, obojętny wobec tego miejsca, powinien je w końcu docenić. Ojciec Iva nie podziela radykalizmu pastora i nie jest rasistą, co to, to nie, prycha Ivo i naśladuje rodzica, nie jestem rasista, ja tylko popieram białych, tak jak czarni czarnych. Czy my, biali, nie może-my mówić, że jesteśmy dumni ze swojego koloru skóry?

Myślałam, że Rycerzy Ku-Klux-Klanu już nie ma, że wyginęli jak dinozaury, dziwi się Dominika. Musisz przyjechać do Harrison i poznać moją ciocię Mary, która szyje togi, przekonasz się! Widziałeś ich? Rycerzy? Pewnie, że widziałem, moja droga. Gdy mały Ivo po raz pierwszy zobaczył

Rycerzy Ku-Klux-Klanu w strojach roboczych, aż buzię otworzył ze zdumienia i zachwytu. Ojciec myślał, opowiada Ivo, że do mojej młodej główki trafiły nauki pastora Robba, ale ja, ja, moja droga, stałem jak rażony gromem z zachwytu! Z zachwytu? Oczarował mnie widok mężczyzn w białych sukienkach z kapturami, w na-kryciach głowy jak kapelusz wróżki. Jakie to było piękne!

288

Pomyślałem, że ja też tak chcę. Miałem może pięć, sześć lat i dotąd widziałem tylko mężczyzn w dżinsach i flane-łowych koszulach, a tu nagle białe suknie i ten nastrój, świeca w dłoni! A więc za wróżki mogą się przebierać nie tylko dziewczynki, nie wszyscy chłopcy muszą udawać nudnych kowbojów, generałów. Ivo wcześniej marzył

o kostiumie małej syrenki, ale teraz pomyślał, że może jednak wróżka. Mężczyźni w białych sukienkach trzymali w dłoniach świece, płomyki rzucały świetliste cienie na ich poważne twarze, noc wokół była gęsta i ciepła. Co za noc, moja droga, wzdycha teatralnie Ivo. Byłem taki poruszony. Podniosłem wzrok na ojca. Czy te sukienki występują tylko w białym kolorze? O wiele lepiej wyglądałyby na przykład fioletowe, do tego trochę ozdób, jakieś falbanki, może boa? I buty! Tato, buty, które oni mają, w ogóle im nie pasują. Mój tata, John III Smith, krzywi się Ivo, był rozczarowany, do dziś pamiętam, jak na mnie ryknął; to był początek końca naszej ojcowsko-

-synowskiej miłości. John III Smith nie poddał się jednak bez walki i skoro przyuczenie do życia w męskości za pomocą Ku-Klux-Klanu nie udało się, postanowił za młodu wdrożyć syna do męskiej produkcji. Posejdon, czyż to nie piękna nazwa? Hala Posejdona była duża i jasna, ileż tam było cudów, moja droga, opowiada Dominice Ivo.

Deski klozetowe z przejrzystego pleksiglasu, a w nich zatopione muszle i rozgwiazdy, małe rybki, drobiny brokatu, ażurowe wodorosty, ułożone w piękne kompozycje imitujące podwodny świat. Złoczone z greckim wzorem dookoła puszczone, w kolorze terakoty, sjeny palonej, a na to rzucone freski z Pompejów! Dalej anio-

ły Rafaela! Wenus Botticellego! Ogród Moneta! Madonna 289

Leonarda! Bo to seria artystyczna Art In Your Bathroom, wytłumaczył John III Smith. Klapy i deski imitujące cętki geparda, pasy zebry, tygrysie pręgi, całe tygrysy rozpląszone, łypiące oczami, papugi wśród zieleni, mał-

py - to wszystko w serii afrykańskiej Exotica. Obok we wzory kwiatowe, lilie, orchidee, róże, róże w ogromnym wyborze, różowe, herbaciane, pąsowe, a jakie tulipany!

żółte na różowym tle, białe na żółtym, różowe na błę-

kitnym, błękitne niezapominajki na różowym, konwalie, stokrotki i bratki, jak prawdziwe, o mięsistych, lekko mechatych płatkach i ciemnych oczkach. No, którą byś chciał, synu? zapytał właściciel Posejdona. I którą chcia-

łeś? ciekawa jest Dominika. Z bratkiem! Odpowiedź

nieprawidłowa, bratka mu się zachciewa! Czemu nie z samochodem, z Supermanem, gamoniem? Czy choćby z tygrysem, słoniem jakimś? Bratek! Ręce człowiekowi opadają.

Na kolejne rozczarowania John III Smith nie musiał

długo czekać, to dziecko o odstających uszach i chudych kończynach było najmniej udanym produktem, z jakim miał do czynienia, przy czym nie nadawało się ani do naprawy, ani, ze względów humanitarnych, nie można go było zutilizować. Na nic zdawały się ojca próby, syn wolał siedzieć w kuchni z matką i pomagać jej w pieczeniu szarlotki czy ciasta marchwiowego, ozdabiał je z przejęciem i fantazją, której brakowało rodzicielce.

Gdy na czterdzieste urodziny małżonka tort podała mał-

żonkowi przybrany pięknie żółtymi kleksami w kształ-

cie róż, ojciec rodziny nabrał powietrza w płuca, by dmuchnąć. Piękny tort! Ten tort, mówi Dominice Ivo, był jednym z pierwszych dowodów mojego talentu! Ró-

290

życzki na wierzchu to John dla tatusia specjalnie zrobił, pochwaliła mnie mamusia i z tatusia zeszło powietrze przeznaczone na świeczek zdmuchnięcie, jakby go kto nakłuł gwoździem, poczerwieniał jak zawsze przed ata-Idem astmy. To nie różyczki, sprostowałem, to bratki.

Umiał się John III Smith zamachnąć, nie na darmo był

w szkole kapitanem drużyny bejsbolowej, i w tym miejscu męskim pragnął po sobie widzieć syna; tort poszybował nad stołem, o włos minął wysoko spiętrzoną fryzurę matki, przeleciał nad etażerką zastawioną przez kolekcję słoni, wyleciał przez okno, gdzie omal nie trafił ogrodnika przycinającego żywopłot, nabrał prędko-

ści, zwiększył wysokość i być może do tej pory krąży po orbicie okołoziemskiej, a generałowie amerykańskiej armii siedzą przed ekranami komputerów i myślą, ki diabeł tak w kółko lata? sprawka to musi być Fidela albo Husajna.

Od tej pory ojciec dostawał ataku astmy przy każ-

dym starciu z synem, a niekiedy na sam jego widok; matka. pędziła wtedy w poszukiwaniu inhalatora, którym po chwili zakorkowywała Johna III Smitha i naciskała pompkę z taką werwą, jakby chciała swego małżonka ślubnego napompować jak piłkę. Od tego dnia, gdy tort urodzinowy bratkami przybrany wyleciał przez okno schludnego domu państwa, Smith, Ivo nie zamienił już wielu słów z ojcem, który najwyraźniej spisał go na straty. Co za szkoda, że ojcostwo jest interesem, którego nie obejmuje ubezpieczenie! Gdy młodsze siostry Iva nieco podrosły, został wygnany z kuchni, w której matka mia-

ła teraz bardziej odpowiednie towarzystwo. Skończyło się wspólne gotowanie; jakże on za tym tęsknił. Wy je-291

chał do stanowego college'u i znalazł pracę w lodziarni Basket Robbins, dobre i to na początek, choć stanowczo nie zaspokajało coraz bardziej wybujałych ambicji Iva.

W wolnych chwilach uczęszczał na wszystkie kursy kulinarne dostępne w okolicy, studiował książki na temat deserów, uczył się na pamięć nazw egzotycznych przypraw i kombinacji ingrediencji, o jakich wcześniej nawet nie słyszał, stał z notatnikiem przed witrynami eleganckich ciastkarni i zawsze zamawiał desery w etnicznych restauracjach. Na święta przyjeżdżał do domu i przywoził prezenty, misternie pakowane czekoladki z różowym pieprzem, serem camembert, gorzką pomarańczą; rodzina próbowała i pluła na cztery usta, fuj, co za ohyda, czy naprawdę nie mógłby dla odmiany zjeść Marsa? a Ivo czuł, jak bąbelkuje w nim dziwna satysfakcja, niczym wyrafinowany deser złożony z goryczy odrzucenia i słodyczy, jaką daje poczucie własnej wyższości wobec odrzucających. Co ty za gówno tu znów przywiozłeś? jego ojciec John III Smith wykrzywił się przesadnie, rozdzia-wiał usta pełne przeżutej masy, wywalał język, by pokazać rozmiar swojego obrzydzenia, a Ivo już obmyślał, jak ubierze się następnym razem, może w fioletowe obcisłe spodnie, i jaki przysmak przywiezie, może szarańczę w cukrze, by jeszcze bardziej pogrzyżyć rodzinę. Synku, prosiła matka, nie denerwuj tatusia, on serce ma słabe, astmę, ale syn wiedział, że tylko ostateczne zdenerwo-wanie sprawi, iż John III Smith zrobi to, czego John IV

sam uczynić nie jest w stanie, i wykopie go tak, że wy_

leci, tam gdzie rodzinna siła przyciągania przestanie działać. To, czego nie udało się dokonać ani za sprawą szarańczy w cukrze, ani japońskich krakersów z wodoro-292

stem, dokonało się za sprawą meksykańskiego ogrodnika Jesusa.

Jesus, ogrodnik Jesus, o Jezu, gdy Ivo o nim mówi, Dominika czuje, jak pikantny komiks pokrywa się różowym lukrem, takim, jakim w Calypso ozdabiają torty uro-dzinowe dla dziewczynek. To była miłość od pierwszego wejrzenia! Ty i Jesus? upewnia się Dominika. Tak! ja i je-sus, moja droga. Ivo przyjechał w odwiedziny z plecakiem pełnym szarańczy w cukrze z azjatyckiego sklepu oraz własnoręcznie przyrządzonych smażonych fiołków z imbirem, by poinformować rodziców, że dostał stypendium na trzymiesięczny kurs we Francji w między-narodowej akademii cukierniczej. Zobaczyc minę ojca, do którego dotrze okrutna prawda, że nie musi już dawać synowi pieniędzy i radość z tej zależności zostanie mu odebrana, żadnego więcej rzucania czekami, żadnych zabaw z cofaniem ręki. O tak, lubił sobie John III Smith żartować, opowiada Ivo, wymachiwał czekiem przed nosem syna marnotrawnego, jakby to była brzytwa, którą poderżnie mi gardło, albo nagle zamierzał się, markując cios, i mówił, uch ty, gnojku popapwany. Przećwiczył Ivo swój występ na rodzinnym łonie; kulminacją miało być przedstawienie planu, który teraz wydawał się bardziej prawdopodobny, wręcz w zasięgu ręki. Cukiernia w Pa-ryżu! Croissant du galant. Zaproszę was na otwarcie, tak miałem powiedzieć na koniec, zaproszę was i przyślę bilety. Reakcja rodziny daleka była od wymarzonej; siostry parsknęły śmiechem, ojciec powiedział, jeszcze ci się, synu, wody do dupy należy u tych żabojadów, i tylko matka szepnęła, jak miło. jak miło, prawda? powtórzyła, szukając aprobaty u rodziny, ale jej córki już wstały od 293

stołu i włączyły MTV, a mąż ukrył się za gazetą jak za plażowym parawanem, zza którego dochodziło jego ast-matyczne sapanie. Matka i syn popatrzyli na siebie i matka chciała chyba po raz trzeci powtórzyć, jak miło, ale Ivo za bardzo bał się łez wzbierających pod powiekami, zrobił więc do

rodzicielki głupią minę i wyszedł do ogrodu, gdzie Jesus podlewał właśnie trawnik. Widoczek jak z okładki harlequina, zachodzące słońce, kropelki wody, niebo w kolorze kremu poziomkowego i Jesus z wę-

zem sikającym fontanną perlistych kropel, moja droga.

Uśmiechnął się Jesus, oblizał usta, a potem już poszło; o Jezu! Ojciec nakrył ich w szopie narzędzia, gdzie na stole używanym przez Johna III Smitha do majsterkowania kochankowie uprawiali sprawne i rytmiczne 69. Mało się nie udławiłem, moja droga, opowiada Ivo, gdy ojciec gwałtownie otworzył drzwi i wrzasnął. Zanim ojca powalił atak astmy, zdążył cisnąć puszką szarańczy w cukrze tak niefortunnie, że wyrznęła w matki kolekcję porcelanowych słoni, powodując nieodwracalne spustoszenie w ich kruchej populacji, po czym wyrzucił syna z domu z zakazem powrotu. Zboczeniec pod jednym dachem z nim mieszkać nie będzie, tak mi powiedział, potwór.

Moja obecność mogłaby wykrzywić siostry, które były jeszcze tak cudownie zwyczajne, nastolatki o włosach w kolorze kukurydzy, nieudolnie wyskubanych brwiach i ustach zlepionych błyszczkiem, jakby nażarły się malin. Od tej pory Ivo nie odwiedzał miasteczka Harrison i się tam nie wybiera, nie ma mowy; czasem wymienia listy z matką, krótkie i mało treściwe.

jego wyrzucili, ogrodnika Jesusa zostawili jeszcze parę dni, żeby skończył strzyc żywopłot, dopowiada 294

Żeby skończył strzyc żywopłot, powtarza Dominika niepewna, czy dobrze zrozumiała, tak, moja droga, potwierdza Ivo. Ivo może wrócić do domu, do Harrison, tylko wtedy, gdy znormalnieje, takie wieści przekazuje mu w zawoalowanej formie rodzicielka. Gdybym znormalniał, mówi Ivo i pożera banana w mlecznej czekoladzie, gdybym się ożenił. Na znormalnienie nie zapowiada się na razie; wprawdzie z ogrodnikiem Jesusem kontakt się urwał, ale Ivo ma serce jak koszary i teraz właśnie do koszar go ciągnie. Koło Gelnhausen stacjonuje amerykańska armia, w okolicznych pubach można spotkać żoł-

nierzy, piją niemieckie piwo i mówią, że jak na europejskie, to nawet niezłe jest to piwko; nie takie jak w domu, ale ujdzie. Biję od nich zapach kąpieli i potu, męskiej młodości podszytej ledwo co minioną chłopięcością. Jeśli przyjdzie im pojechać w niedalekiej przyszłości do które-goś z krajów, które wydają się złożone tylko ze skał, piasku i wyjątkowo przebiegłych partyzantów o długich brodach, ich chłopięcość zostanie starta bez śladu, niekiedy razem z życiem. Piją więc piwo na zapas, mówią głośniejszy, niż trzeba, nieustannie klepią swoich kolegów po ramionach, jakby upewniali się, że nie są sami. W Gelnhausen jest dobrze, spokojnie, choć trochę nudno; amerykań-

scy żołnierze znajdują sobie dziewczyny, znajdują sobie chłopaków, to drugie znajdowanie przebiega w sposób mniej jawny, choć równie skuteczny. Kontakt nawiązuje się najpierw na odległość, a potem można go zwią-

zać ciaśniej w ruinach zamku Barbarossy, który za dnia i nocą jest główną atrakcją turystyczną miasteczka. Ivo gotów jest zakochać się od pierwszego wejrzenia po raz trzeci, gdy przychodzi list od jego matki, która informuje 295

go, że ojciec złożony astmą i chorobą serca jest w szpitalu, stan ciężki. Matka zdobywa się na bezpośredniość o wiele łatwiejszą listownie i gdy Johna 1/1 Smitha nie ma w zasięgu, z którego mógłby wrzasnąć lub rzucić czymś w jej kierunku. Jej zdaniem, w ostatnich latach głowa rodziny coraz szczelniej wypełniała się niechęcią do pier-worodnego, który zawiódł na całej linii, i kto wie, czy to nie owa niechęć doprowadziła do zaburzenia wewnętrznej równowagi i beznadziejnej choroby. Senior chwycił

się za serce, zaaplikował sobie kilka dawek spreju przeciw astmie i zmienił testament; o tym fakcie matka we łzach donosiła synowi. Jego część spadku trafi do koś-

cioła białych chrześcijan i pastora, którego Ivo widział na własne oczy w białej todze. Croissant du galant albo Ku-

-Klux-Klan, w Calypso nikt nie miał wątpliwości, co jest lepszą inwestycją; ci w białych sukienkach to Scheilse, zgadza się także starszy cukiernik Helmut.

Co robić? Czy to Sara zasugerowała? A może tylko spojrzała najpierw na Dominikę, a potem na Iva tak, jakby w głowie rodził jej się plan, który po chwili dla całej trójki był oczywisty. Ivo klęka przed Dominiką, podaje jej niedojedzonego banana w czekoladzie i pyta, czy zosta-niesz moją żoną? Dlaczego nie, odpowiada Dominika.

VII

A więc to jest ten potwór, Dominika patrzyła na le-

żącego w łóżku niepozornego mężczyznę o miękkich rysach i bardzo jasnej cerze, to jest potwór nienawiścią 296

ziejący, potężny Posejdon, właściciel wytwórni sprzętów łazienkowych? John 1/1 Smith był mniejszy, niż się spodziewała, i cichszy; zmniejszył się, wytłumaczył jej Ivo, o połowę skurczyła go choroba. Mam na imię Dominika, przedstawiła się, jestem żoną Iva, a amerykański teść łypał na nią podejrzliwie spod opuchniętych powiek.

Polka? Polka. Chudzina! prychnął, przysły krople śliny, żona pospieszyła z chusteczką, ale została odgoniona jak mucha machnięciem dłoni. Głowa rodu Smith wpatrywała się w Dominikę załzawionymi oczkami, a reszta ciała głowy leżała unieruchomiona, po nakłuwana i pod-

łączona do urządzeń monitorujących. Podejdz bliżej do tatusia, zachęciła syna pani Smith i Ivo zrobił krok w kierunku łóżka, zakołysał się na piętach, wrócił, gdzie stał. W momencie, gdy spotkał się wzrokiem z synem, John III Smith nabrał powietrza, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale tylko poczerwieniał i rozkasłał się, krztusił się i parskał przez dłuższą chwilę, aż w końcu wydusił, welcome in America.

Przy łóżku Johna III Smitha codziennie byli w komplecie, rodzina Smith niespodziewanie zasilona polską synową. Nie chcesz z nim porozmawiać sam na sam?

pytała Dominika, ale Ivo upierał się, że nie ma o czym.

Ojciec też nie wyrażał takiej chęci i ani przez chwilę nie byli sami, a gdy istniała taka groźba, pani Smith czuwała, by w razie czego rzucić się pomiędzy ojca i syna.

Dwie siostry Iva szeptały ze sobą i przewracały oczami, aż widać im było tylko białka w otoczeniu na sztywno wytuszowanych rzęs, rzadko zwracały się do innych.

Wyglądały jak osoby, które łączy posiadanie wspólnej tajemnicy, jakiegoś trupa, może nawet wspólnie utrupio-297

nego i zakopanego w ogródku; siostry, pomyślała Dominika, prawie bliźniaczki. Gdy działo się coś ciekawego, spoglądały na siebie i mrugały jednocześnie, jakby ktoś dawał im znak, że raz-dwa teraz, i już tęczęwki uciekały im pod powieki, ich wymalowane, nadmiernie opalone twarze wyglądały jak szydercze maski śmierci. Rzuciły Dominice taksujące spojrzenia, a jeśli już zadawały jej jakieś pytanie, to niezależnie od odpowiedzi kwitowały je unisono, mówiąc: naprawdę? albo to wspaniale! jakby fakt, że przy łóżku umierającego ojca poznały swoją nową szwagierkę, Polkę bez pieniędzy, pracy i biegłej znajomości angielskiego, rzeczywiście z jakiegoś powodu był zarazem niewiarygodny i wspaniały. Gdy Dominika spytała Iva, skąd tyle wspaniałości w jego siostrach na każdą porę dnia, poradził, by przy następnej okazji też powiedziała, że to wspaniale! albo naprawdę? tu tak po prostu się rozmawia. To wspaniale! rzuciła Dominika, gdy jedna z sióstr oznajmiła, że będzie padać, i szybko nauczyła się mówić, wspaniale! albo naprawdę? tonem dostosowanym do okazji; dzięki temu jej stosunki z siostrami Iva się poprawiły, a dalsze życie w Ameryce okazało się łatwiejsze. Matka Iva, kobieta, po której córki odziedziczyły skłonność do mocnej opalenizny i jeszcze mocniejszego makijażu, w zadziwiający sposób łączyła bierność charakteru i całe mnóstwo mało produktywnych aktywności. Była nieustannie w ruchu: poprawia coś przy łóżku chorego, klepie poduszkę z taką werwą, aż pod-skakuje głowa rodziny Smith, nagle otwiera torebkę, wyjmuje kosmetyczkę i nakłada na usta nową warstwę pomadki z gwałtownym pośpiechem, ale już koniec malowania, teraz pędzi galopem w stronę okna, przez 298

które wygląda tak, jakby na dole ktoś czekał niecierpliwie, by rzuciła mu klucze; zwrot przez rufę i biegiem do syna marnotrawnego, można by sądzić, że go uściska i może uścisk trafi się nawet nowej synowej, ale nie, pani Smith zatrzymuje się w pół drogi, jakby ktoś ściągnął jej cugle, i zaraz rzuca się w innym kierunku, niezmordowana, połyskująca zębami białymi jak lody Antarktydy.

Po kilku dniach spędzonych między szpitalem a domem państwa Smith Dominika zauważyła, że cała ta niezwykła aktywność matki Iva polega na wymijaniu członków rodziny, na ciągłym slalomie między ich ramionami, głowami, nogami, aby nikogo nie dotknąć, nie dopuścić do bezpośredniego kontaktu, czy, broń Boże, zderzenia. Aktywność pani Smith nie ustawała, gdy wracali do domu ze szpitala, w którym dogorywał John III Smith.

Uwijała się, krzątała, śmigała po niezliczonych pokojach i korytarzach z szybkością światła, przed chwilą można by przysiąc, że szorowała na klęczkach sedes uzbójczy. Na wżący płyn i szczotkę, a już piecze ciasto marchwiowe, wydaje polecenia meksykańskiej gosposi, poprawia po niej, sieka cebulę, marynuje żeberka, hop, zmienia zasłony, prasuje, wygładza serwetki pod bibelotami, odkurza bibeloty, zamawia więcej bibelotów i serwetek z katalogu wysyłkowego, krochmali, pieli, skrobie patelnie, czyści grill w ogrodzie, obcina skórki przy paznokciach i za chwilę rzuca się z nożyczkami

na suche listki fikusa beniaminka, aż w końcu pada na kanapę przed telewizorem, gdzie od razu zasypia, jakby wyczerpała się jej bateria. To tu, w miasteczku Harrison, Dominika pierwszy raz aż tak zateśniła za matką, Jadzią Chmura z Piaskowej Góry, pokazałaby jej dom państwa Smith 299

i powiedziała, zobacz, mamo, tyle pokoi i tyle smutku, a ty myślałaś, że w domu wolnostojącym od razu byłabyś szczęśliwsza niż w mieszkaniu na 8abelu. Zadzwoiła do niej, ale jak zawsze żadnej nie udało się powiedzieć tego, co i jak chciały.

Jadzia nie miała pojęcia, co naprawdę Dominika robi w miasteczku Harrison, w stanie Arkansas, i nie wiedziała o ślubie córki w niemieckim urzędzie, wobec-ności dwóch świadków i dwojga gości, wyglądającym zupełnie inaczej niż kościelny ślub na Jasnej Górze, z pompą, karocą i welonem, który sobie dla niej wymarzyła. To, co córka opowiadała, matka przerabiała po swojemu na historie nadające się do kolportowania na Piaskowej Górze. Do córki utyskiwała, znów fiksum-dyrdum i fiu-bździu, z jakimś homoniewiadamo na koniec świata musisz pociec, normalnych chłopaków w całym Enerefie nie było? A Krysi Śledź czy Lepkiej opowiada, że jej córka powsinoga pojechała z przyjaciółmi, bogaci Amerykanie, zaprosili ją do swojego domu, rezydencji jak w Dynastii, wszystko tam mają, prawdziwe salony, każde dziecko ma swój pokój, a kuchnia podobno razem ze stołowym, tylko wielka jak całe mieszkanie na 8abelu. Wszystko Dominice opłacili, nic ją to nie kosztowało, za nic jej płacić nie dają, tylko fundują, to, śmo wciskają, żeby brała. Opowiada o tym wszystkim Jadzia w sposób, który opanowała do perfekcji, jakby się żali-

ła, zamartwiała, bo satysfakcja i duma to kuszenie złe-go losu, a ten tylko czeka, aż straci się czujność. Ach, żeby jej się z tego dobrobytu w głowie nie przewróciło, wzdycha Jadzia do Krysi Śledź. Mieszka sobie jej córka w amerykańskim domu jak królowna, je sobie za darmo, 300

co chce, mówią, może z lodówki brać, i Jadzia tylko ma nadzieję, że jakichś świństw tam nie jedzą i czysto gotować potrafią. Czysto tam gotują? pyta swoje dziecko dzwoniące zza oceanu; patrz, czy nie paprzą, jak paprzą, nie jedz, w serwetkę i pod stół, to najlepszy sposób. Nie bój się o mnie, mamo, w Ameryce nie ma bakterii, ani jednej, mówi jej córka i Jadzia aż zwija się w sobie niczym liszka na ten prześmiewczy ton. Po drugiej stronie świata jej córka połączona z nią kablem jak pępowiną marzy, by kiedyś porozmawiać z Jadzią-nie-matką, któ-

ra gdzieś musi przecież być pod zamartwiającą się Jadzią-matką ukryta. Jadzia woli prześmiewczy i niechętny ton córczyny niż brak tonu i milczący telefon, który po tylu latach bez telefonu stał się najważniejszym sprzę-

tem w jej domu; tego, że pod Dominiką-córką jest Dominika-nie-córka, nie przyjmuje do wiadomości, dziękuję bardzo. Jadzia przeciera dla dezynfekcji słuchawkę spi-rytusem salicylowym i wacha mikrofon, czy nie został

na nim ślad jej oddechu. Przecieranie staje się pucowa-niem, gdy z telefonu przychodzi skorzystać jakaś sąsiadka, na przykład Krysia Śledź, jeszcze niepodłączona do linii. Do słuchawki kaszłała, ust nie zasłaniała. Nigdy nie wiadomo, jakie choróbska ludzie w sobie noszą, żali się Dominice i przestrzega córkę, by w tej Ameryce nosem oddychała, a nie buzią, to się mniej amerykańskich bakterii nawdycha.

Mimo iż jest to aparat bezprzewodowy, Jadzia tkwi ze słuchawką tuż przy nim jak przywiązana, boi się, że gdy odejdzie za daleko, połączenie z Ameryką zostanie przerwane, a ona pozostanie znów sama na sam ze swoją samotnością i ciszą. Jadzia spotyka pod 301

Babelem, na bazarku Manhattan, dawne koleżanki Dominiki z klasy, dzieciacie, z platynowymi pasemkami, z życiem, w którym łatwo dopatrzeć się wad, ale tak poręcznym, tak prostym do pojęcia, przystającym do świata Jadzi Chmury. Powtarza Dominice za każdym razem, jak to dobrze, że taki los jej się ciekawy trafił, podróże po świecie, najpierw Eneref, teraz Ameryka, a jej szkolna koleżanka Iwona Siedź wróciła od kolejnego gacha na Babel i musi na kupie się gnieść w dwóch pokojach z matką, ojcem i małą Patrycją. Jedno na drugim tam siedzi, na głowie sobie siedzą, palca nie ma gdzie wetknąć, mówi córce, a jak do łazienki poszłam za potrzebą, to brud, smród i ubóstwo. Deska cała popryskana. Ręcznika się brzydziłam dotknąć i ręce w papier toaletowy wytarłam. Cud, że jakiejś zarazy z tego brudu nie dostali; taki ręcznik to prawdziwa wylęgarnia bakterii. Gdy Jadzia mówi na głos o mizerii państwa Siedź

i ich córki, milknie wewnętrzny głosik, który czasem się odzywa i szepcze jej w środku, że tak naprawdę wołała-by mieć Dominikę blisko, nawet dzieciątą i nieszczęśliwie zaślubioną jakiemuś ofermie, który obsikiwałby de-skę klozetową. Litania nieszczęść piaskowogórskich to jej broń przeciw złośliwym podszeptom duszy i po raz nie wiadomo który Jadzia Chmura wygłasza ją Dominice przez telefon. Krysia Siedź na ten przykład ciężko ma oj ciężko ci ma ona gnieźdzą się na kupie na kupie się gnieźdzą jedno na drugim ci mówię jak ciężko oj ciężko ma ona Śledź bez pracy kopalnię zamkli jak zamkli pracę stracił i ciężko oj ciężko ci mówię na kupie Iwona jak ciężko a tu komuniam Pati się zbliża to kosztuje oj kosztuje wykosztowywać się trzeba że ciężko ci mówię a za-302

midi wyłożyć nie ma z czego ciężko ma ta Krysia Iwona ciężko ciężko ma Irenka Chłoryk nieszczęście nieszczę-

ście goni jak ciężko mąż ją rzucił matka w wariatkowie same nieszczęścia mięśniaki na macicy ciężko drogo po-pękały wielkie jak pomarańcze sizofrenie ma ma ciężko krew po nogach nogami do przodu jak ciężko. Ty, córcia, w porównaniu z nimi to karierę zrobiłaś, podsumowuje Jadzia i przez jakiś czas jest spokojniejsza. Gdyby jeszcze Dominika poznała w tej Ameryce kogoś normalnego. Przyjechaliby do Wałbrzycha, dom sobie w Szczawnie Zdroju kupili albo się pobudowali. Jadzia krzyczy do córki, bo zawsze krzyczy do telefonu, może ty tam, córcia, kogoś poznasz normalnego! Rozglądaj się! Jakiegoś amerykańskiego lekarza, może dentystę albo ginekolo-ga byś złapała, bo ci zawsze robotę mieć będą. Wystarczy spojrzeć na doktora Lipkę z Piaskowej Góry, znów ma nowy samochód metalik, dom wyremontował i miesiąc wcześniej trzeba dzwonić, żeby się zapisać. Matka Dominiki ma trochę nadziei, że oprócz homoniewiadomo są w Ameryce jacyś inni mężczyźni. Może są, ale na przykład ten syn Blake'a Carringtona z Dynastii też był

homoniewiadomo. martwi się Jadzia Chmura; ojciec taki elegancki, męski, matka, Alexis, też nie żaden margi-nes, a syn homoniewiadomo. Może to dlatego, że Blake i Alexis się rozwiedli? A może w Ameryce w ogóle ich więcej? Zresztą homoniewiadomo czy nie, zawsze moż-

na źle trafić. Wzdycha Jadzia do Krysi Siedź, żeby tylko moja Dominika sobie z jakimś ofermą albo łajdusem życia nie zmarnowała, i karmi się drobną złośliwą satysfakcją z faktu, że życie córki Krysi,

stii ewentualnego zięcia Jadzię interesuje, jak w Ameryce urządzają domy, a zwłaszcza kuchnie, i sprawy kuchenne. Jak tam, córca, mieszkają w tej Ameryce, dopytuje się. Jak mają na ten przykład kuchnię urzą-

dzoną? A przetwory, jakie przetwory tam, córca, ro-bią? Podpatrzyłaś coś? Jakies przepisy? Pewnie wszystko można bez problemu dostać, bo zaopatrzenie mają lepsze. Korzystaj, córca! Inne będą klepią, a tobie taki los się trafił. Opowiadałam ci, jak Irenka Chłoryk ma ciężko?

Jadzia zaczyna przekonywać się do Ameryki; z tego, co mówi jej córka, w Ameryce życie mogłoby być łaskaw-sze i lżejsze niż na Piaskowej Górze, zwłaszcza gdyby poznać takiego Blake'a Carringtona, mężczyznę na poziomie, na jaki mężczyźni z Piaskowej Góry nigdy nie zdołaliby się wspiąć. Dla Jadzi Dynastia to po Isaurze najlepszy z seriali, świat pięknych kobiet, czystych rąk, prawdziwych mężczyzn, nie licząc jednego homoniewiadomo. Jadzia wspominała niechętnie, zaciskając usta w kurzą dupkę, swój jedyny romans, z Gutkiem Balce-rzakiem, przewoźnikiem krasnali produkowanych przez wuja Kazimierza. Gutek! Pomniejszała go Jadzia w swoich wspomnieniach do rozmiaru swojej wypluwki; kurdupel jeden, choćby się zesrał, nie sięgnąłby tego poziomu, co Blake z Dynastii. Gutek wystawił ją do wiatru, a być wy_

stawionym do wiatru na Piaskowej Górze jest czymś wy_

jatkowo nieprzyjemnym, bo tu mocno wieje; najbardziej w przejściu między Babelem a drugim podobnym blo-kiem, gdzie w wyniku tajemniczego zbiegu okoliczności szaleje tornado niezależnie od pory roku i temperatu-ry. Jadzia ma wrażenie, że wieje nawet bardziej niż za 304

komuny; kobiety obciążają się siatami, właściciele psów biorą te mniejsze pod pachę, a matki ciaśniej przypina-ją dzieci w wózkach, choć zdarzyło się, że porwało całą spacerówkę z wcześniakiem i dwa spaniele, taka tragedia, i to przed samymi świętami. Piździ jak w Kieleckim po dożynkach! krzyczy Kryisia Śledź, gdy spotykają się pod Babelem, a Jadzia z włosami wkręconymi w tornado drze się, co?! nie słyszę, Kryisia, bo strasznie dui! Gdy dociera do bramy, przewiana do szpiku kości, z piaskiem w oczach i między zębami, ze starą gazetą na twarzy i liśćmi we włosach, w pionie utrzymuje ją tylko wiara, że są gdzieś miejsca, w których nie wieje zimny wiatr, są nasłonecznione ławeczki i zielone ogrody, piękne jak niegdyś ten w Zalesiu. Przekłęte bocianie gniazdo, strzeli w kalendarz na tym bocianim gnieździe i może wtedy w końcu Dominika przyjedzie do Wałbrzycha, ale będzie już za późno, za późno będzie, starą matkę do piachu wsadzą, rozczuła się między szóstym a siódmym piętrem i łapie powietrze jak wigilijny karp tuż przed dekapitacją; znów zepsuła się winda. Po telefonach Dominiki Jadzi Chmurze roją się amerykańskie marzenia, są w nich domy ze schodami jak w Dynastii, ogrody, w których znad wielkich grilli unosi się aromatyczny dym, i pruski mur, który spodobał się Jadzi tak bardzo, że musi być wszędzie, gdzie jest pięknie. Wszystko, mó-

wisz, pod kolor mają w domu? dziwi się opowieściom córki. To pewnie nieźle kosztuje, żeby tak dobrać, i po sklepach się trzeba nalatać. Pięknie musi wyglądać tak wszystko dobrane, jak ja bym sobie tak podobierała!

Coś 'pięknego, mammo, zgadza się Dominika, by Jadzia, która na chwilę przestała matkować i pomyślała o sobie, 305

miała trochę przyjemności z tego, co w rzeczywistości było mocno nieprzyjemne.

W domu państwa Smith z miasteczka Harrison w każdym pokoju tapety dobrano wzorem do obić na meblach, a te do dywanów, abazurów i serwetek ochraniających zagłówki foteli i kanap; w jednym pokoju wszystkie ramy obrazów i lusterek były zielone, w innym brązowe, różowe w sypialni głównej, master bedroom, jak mówiła pani Smith, seledynowe i błękitne w goś-

cinnych, wszystko do wszystkiego musiało pasować; wszystko było przy tym w coś owinięte, wyłożone, dekoracyjnie oklejone; master bedroom is in dusty pink, powiedziała pani Smith do Dominiki, która rozumiała, że się nakurzyło i znów będzie w użytku wielofunkcyjny odkurzacz. Zakurzony róż! Matka Iva przelatowała przez te straszne pokoje i poprawiała przesunięte o milimetr durnostojki, zdjęcia, na których wszyscy się uśmiechali tak szeroko, jakby sparaliżowało im twarze; jej ręce były precyzyjne, oko bezbłędne i z pewnością udałoby się jej wytapetować papierem w kwiatki wnętrze muszli klozetowej, gdyby podrzucić jej taki pomysł. Zabrałaby się do tego z podobną energią, z jaką co rano myła i modelowa-

ła swoje tlenione włosy, naciągała je na okrągłą szczotkę i suszyła powietrzem tak gorącym, że jego strumień wypalał dziury w ścianie łazienki, może dlatego Dominika znów wszędzie czuła zapach spalenizny. Matka Iva traktowała Dominikę podobnie jak resztę swojej rodziny, w końcu była jej synową, i wymijała ją w pełnym pędzie albo wycinała wokół niej kółko jak fryga, i już sypały się iskry, leciała dalej. Tylko raz matka Iva zamieniła z Dominiką więcej niż dwa zdania, gdy omal nie wpadły na 306

siebie koło etażerki z kolekcją słoni. Tego, powiedziała, unosząc porcelanowego w kwiatki, dostałam w konkursie recytatorskim w szkole, bardzo ładnie recytowałam, ten mały różowy to prezent, a tamtego kryształowego sama sobie zamówiłam w katalogu wysyłkowym; i zanim Dominika odpowiedziała cokolwiek, pani Smith znikła na piętrze, skąd po chwili rozległ się dźwięk odkurzacza.

Nazajutrz po rozmowie teściowej z synową zmarł

John III Smith, a zanim odszedł do nieba, bo tam idą dobrzy ludzie i obywatele z miasteczka Harrison w stanie Arkansas, zmienił testament i zostawił swojemu pierworodnemu wystarczająco dużo pieniędzy, by marzenie Iva o własnej cukierni stało się realne. Siostry dostały wytwórną sprzęt łazienkowy Posejdon po połowie, pani Smith wolność, która bardzo ją przytłoczyła - po zejściu małżonka dostała na całym ciele wysypki i na pogrzeb tak grubo nałożyła sobie makijaż, że gdyby się bez przerwy nie ruszała, można by ją pomylić z nieboszczykiem. Tej nocy Dominika i Ivo, ulokowani przez panią Smith w błękitnej sypialni, gdzie każdy szczegół łącznie z mydłem w przylegającej łazience był błękitny, długo nie mogli spać. Dominika w błękitnej koszuli nocnej, spod której wystawały jej długie chude nogi, Ivo w błę-

kitnej piżamie, patrzyli, jak za oknem ozdobionym błę-

kitnym lambrekinem noc błękitnieje w świt. Pili kalifornijskie wino, ale Ivo mówi, że kalifornijskie wino to siki, wino powinno mieć apelację, bukiet, przede wszystkim powinno być francuskie; gdy otwiera kolejną butelkę, Dominika podsuwa kieliszek. I co teraz? pyta Ivo. Z czym?

Z życiem. Pojedziesz do Paryża, otworzysz Croissant du galant, będziesz robić czekoladowy mus i pić francuskie 307

wina z apelacją, odpowiada Dominika. A ty, my wify, moja żonko? Ja pojedę do Nowego Jorku, czeka na mnie Sara, znajdę jakąś pracę, czuję, że pobędę tam trochę, podoba mi się brzmienie słów Nowy Jork, Manhattan, Manhattan jak bazarek w moim rodzinnym mieście. Poza tym może spotkam się z rodziną dziadka z Pasadeny, może nie. A potem? Nie wiem. Nie lubię podejmować wyborów wcześniej, niż naprawdę trzeba, drogi mężu.

Może odwiedzę Croissant du galant, może wrócę do Polski robić wino z wiśni i porzeczek. Nie ma czegoś takiego, jak wino z wiśni i porzeczek; wino, zapamiętaj to sobie, moja polsko żono, robi się z winogron. W Polsce jest, ignorancie. Nie ma. Jest! Szkoda, że to nie ty jesteś moją siostrą, wzdycha Ivo i opiera głowę na kolanach Dominiki, piłbym wino z wiśni i porzeczek, mówiłbym po polsku, proshe barto. Jeśli chcesz, będę twoją siostrą bliźniaczką, ale wtedy nie mógłbyś się ze mną ożenić. A kto powiedział, że nie? Bylibyśmy jak egipski cesarz i cesarzowa, pilibyśmy egipskie wino albo spro-wadzali sobie z Francji, bo w Egipcie wiedzą co najwy-

żej, jak zrobić humus. Humus i falafel, halafel i fumus.

Polecimy kiedyś do Egiptu ponurkować, będziemy jedli humus i falafel, będziemy pić francuskie wino; masz, napij się jeszcze. Halafel i fumus, mówi Dominika i pije z butelki. Będziesz podrywał chłopców o czarnych oczach i włosach jak smoła. I dupkach jak orzeszki!

Orzeszki? Orzeszki. Ciebie porwie instruktor fitness z naszego pięciogwiazdkowego hotelu Paradis Palace, gdzie wszystko jest inclusive, to prawdziwy raj. Powie, ty bardzo piękna, ty być moja egipska żona, ty wskakuj na wielbłąd. Będę musiał się z nim pojedynkować! Na 308

miecze. Na torty. Na wiersze! Wywiezie cię na pustynię na wielbłądzie, będziesz nosiła chustę, oczy malowała na czarno, mówiła salem alejkum. Urodzisz czternaścioro arabskich dzieci, salem alejkum, siedmiu synów i siedem córek. Jestem w jednej czwartej Żydówką, mówi Dominika, nie mogę salem alejkum, to byłby koniec świata, poza tym nie chcę mieć dzieci; głaszcze Iva po głowie, jego włosy są miękkie jak włosy Jadzi zaraz po umyciu. W błękitnej sypialni w miasteczku Harrison Dominika Chmura widzi nagle twarz swojej babki Zofii pod twarzą matki, widzi zaleski dom, który spłonął, czarne georginie o kwiatach tak wielkich jak głowa dziecka. Czy babcia wiedziała, że płonie, czy czuła ból, czy może tylko zapach spalenizny, straszny zapach spalonego mięsa poczuła po raz ostatni, a potem była już na zawsze bezpieczna? Płaczesz? dziwi się Ivo, nigdy nie widziałem, żebyś płakała. Chyba nie płaczesz po Johnie III Smisie? Ivo podnosi się i przytula Dominikę, głaszcze chude chłopięce ramię, plecy z kręgosłupem wyczuwalnym pod palcami jak sznur ceramicznych paciorków, które kupił jej kiedyś na jarmarku w Gelnhausen. Nie płacz, opowiem ci o Paryżu, opowiem ci o Croissant du galant, my wify. Jednak tej nocy to Dominika, która nigdy tyle nie pije, ma coś do powiedzenia. Co ty w ogóle rozumiesz? pyta, co ty wiesz na przykład o Piaskowej Górze? Nic nie wiesz. Tam niebo jest seledynowe, można wejść na dach Babela i poszybować jak na

tureckim dywanem, salem alejkum, łapię się krawędzi i lecisz. Salem alejkum, mówi Dominika i zaczyna czuć, że jest pijana, bo błękitna sypialnia urządzona przez matkę Iva przypomina jej śnieżną jamę, w której zagrzebywała się 309

jako dziecko w Wałbrzychu. Wałbrzych, mówi do Iwa, Wałdenburg, Leśne Miasto, co ty wiesz, amerykański mąż, o mieście na Ziemiach Odzyskanych? Czy wiesz, że czasem to miasto wydaje mi się piękne? Znałam tam, w Wałbrzychu, chłopca, przynosił mi rachatlukum, mó-

wiłam ci? Ja ci zrobię karocę z czekolady. Usiądziesz sobie w niej i będziesz jadła lody czekoladowe, lody szampanowe, głaszcze ją Ivo, ale Dominika pierwszy raz po wypadku chce mówić o tym, z czym dotąd zmagala się bez słów. Co ty wiesz o palonych domach, zapachu spalonego mięsa, którego nie można się pozbyć, bo wsiąkł

w skórę i włosy? Czuję ten zapach na mojej matce i nie mogę ani od niej uciec, ani do niej wrócić, gdy tylko zatrzymam się gdzieś na dłużej, zapach wzmacnia się i mu-szę ruszać dalej. Ale to nie pomaga. Jakbym miała w środku coś martwego, kawałek martwej matki, materii, której nie da się wyrzygać, czasem wkładam palce do gardła i zmuszam się do wymiotów, ale to na nic. Jesteś gejem, którego nie akceptuje rodzina, i tyle, zdarza się, Sara ma swoją Czarną Wenus, co za historia, a ja? jestem dziwad-

łem bez przydziału, bez specjalnych zdolności, nasion-Idem chwastu. Będziesz sławnym cukiernikiem, pogo-dzisz się z rodziną, twoja historia ma happyending i spotkasz niejednego Jesusa ogrodnika. To nie byłem ja, mówi nagle Ivo, to nie ja byłem z ogrodnikiem Jesusem.

Dominika patrzy na niego i nie rozumie. Nie ty? W błę-

kitnym pokoju zapada taka cisza, jakby znaleźli się pod wodą. Ivo siada na brzegu łóżka tyłem do Dominiki i powtarza, to nie byłem ja. Przyjechałem do Harrison po najdłuższej nieobecności, trzy miesiące, wtedy wydawa-

ło mi się, że to dużo. Wszystko było jak dawniej, rodzina 310

pluła na słodycze, które przywiozłem, ojciec mówił, że znalazłem sobie główniany zawód, kłóciłem się z siostrami, a matka biegała między nami rozgrzana do białości.

Był nowy ogrodnik, to prawda, ogrodnik Jesus, ale przez len dom przewinęło się tylu ogrodników i pomocników, że straciłem rachubę. Piękny Latynos, bardzo ciemny, miał takie włosy jak ty, gęste i wijące się tak, że nie wypadł wetknięty w nie długopis. Planowałem podczas tego pobytu porozmawiać z rodziną, byłem młody i pe-

łen buntu, naczytałem się w college'u emancypacyjnych opowieści i chciałem zrobić teatralny coming-out. Dziesiątki razy wyobrażałem sobie tę sytuację: siedzimy przy kominku, ja wychodzę z szafy i następuje trzęsienie ziemi, tu-dum, katharsis. Nie rzucamy się sobie na szyję, nic z tych rzeczy, aż tak naiwny nie byłem i miałem przygotowane słowa, które powiem w drzwiach na pożegnanie.

Ćwiczyłem przed lustrem, sama myśl o tym sprawiała, że popadałem w ekscytację. W pierwszy

wieczór zabrakło mi odwagi, ojciec oglądał mecz w telewizji i obcinał sobie paznokcie u stóp, uznałem, że to nie najlepszy moment na oficjalne informowanie rodzica, że jestem gejem. Ale z nerwów nie mogłem spać tej nocy, było gorąco i wyszedłem do ogrodu, usiadłem na tarasie. W szopie paliło się światło. Poszedłem tam, sam nie wiem dlaczego. Zobaczyłem ich przez okno i w pierwszej chwili nie zrozumiałem. Ogrodnik Jesus stał, miał zamknięte oczy, jego twarz wykrzywiały grymas. Potem rozpoznałem mojego ojca. Klęczał przed Jesusem i poruszał się ryt-micznie w tył i w przód, w tył i w przód, miał na sobie flanelowe spodnie i rozciągnięty biały podkoszulek, w którym sypiał. Mój mózg nie nadażał za oczami, co ty 311

robisz, tato? usłyszałem w głowie głos małego chłopca, który chyba był mną. Może usłyszał to też mój ojciec, bo spojrzał w stronę okna, jego twarz była czerwona, usta wciąż uchylone. Wybiegł za mną, potknąłem się i przewróciłem, dopadł mnie i przydusił do ziemi, dyszał i powtarzał, synu, synu, synu. Nie powiedział nic więcej, bo chwycił go atak astmy. Udało mi się go zrzucić z siebie i uciekłem, tej nocy wyjechałem i nie wróciłem do Harrison przez sześć lat. Dręczy mnie, co chciał mi wtedy powiedzieć, gdy powtarzał, synu, synu, i omal mnie nie udusił, dręczy mnie, że chciałem być tak od niego inny, a okazało się, że jestem taki sam. Spróbowałem nawet być z jakąś dziewczyną, ale to na nic. Nieprawda, mówi Dominika, nie jesteś taki sam jak John III Smith, i wycią-

ga do Iva rękę, niezdarnie splatają się dłońmi. Napij się wina z winogron, Ivo nalewa do pełna i podnosi kieliszek do ust Dominiki. Pij, moja żono, za naszych zmarłych i żywych, za naszą podróż. Całują się w sposób, który ani w Dominice, ani w Ivie nie budzi pożądania, ale o nim przypomina. Mówiłam ci? pyta Dominika, znałam kiedyś chłopca, który przynosił mi do szkoły rachatlukum, zna-

łam kiedyś księdza, który grał na gitarze i śpiewał, wy-rwij muuuurom zęęęby krat; teraz zaśpiewam ci to po angielsku na pocieszenie. Żonko, śmieje się Ivo, jego twarz jest bardzo jasna na tle błękitów, żonko, ciągle źle wy-mawiasz zęby po angielsku, popraw się. Kalifornijskie wino z piwniczki Johna III Smitha nie jest aż tak złe, chociaż bez apelacji, bo zmarły kupował je za życia w najbliż-

szym supermarkecie na promocji. Gdy kończą trzecią butelkę, Ivo płacze i Dominika dopiero teraz dostrzega podobieństwo swojego męża-bliźniaka do zmarłego 312

Johna III Smitha. Zasypiają na małżeńskim łóżku i śpią na łyżeczki, Ivo śni o czekoladzie, wystawa świąteczna cała z czekolady, brawa, brawa, on sam elegancki, swobodny, wszystko to gdzieś daleko od Harrison; jego żona-bliź-

niaczka śni zapachy i kolory, białe schody, rozgrzane kamienie, świeżo przekrojone arbuzy tak wielkie, że w skorupce zmieściłoby się dziecko, chłopca z rachatlukum, zapomnianą przyjaciółkę, z którą na dachu betonowego wieżowca w Wałbrzychu recytowała wiersz o białej loko-motywie, skąd wzięła się w krainie śmierci. Rano Ivo i Dominika wyjeżdżają z Harrison żegnani przez panią Smith i siostry Smith, które nie wiedzą, że mąż i żona ruszają w różne strony.

Miało być na krótko, na początek, do czasu znale-zienia czegoś lepszego, jednak Dominika została w tym marnym pokoju przy Siódmej Ulicy dłużej niż w jakim-kolwiek miejscu do tej pory. Dominika czyta pani Eułalii Barron już od trzech lat, trzy lata czytania książek codziennie od dziewiątej rano do piętnastej z przerwą na lunch. To jej najdłuższej wykonywana praca w życiu, nie licząc robienia zdjęć, czego Dominikanie uważa za pracę, mimo iż ostatnio dwa sprzedała jakimś turyst-kom na pchlim

targu koło Tompkins Square; fotografie •

fasady domu naprzeciwko w padającym śniegu, któ-

re zrobiła ze swojego okna. Władzia? pyta znów Eula-ha Barron i do tego już się Dominika przyzwyczała, od początku bywała Władzią albo lekiem, ale tego lata staruszka woła też inne osoby. Mamo, mówi Eulalia Barron i jej żrenice robią się ogromne, jak u kota polującego w ciemności, mam, musimy iść do konsula Sugihary, obudź się, mam, będziesz grała Sonatę księżycową w Jo-313

kohamie: Eulalia nuci i Dominika rozpoznaje Beethove-na. Pani Eulalio, mówi, otworzę okno, wpuścimy słońce, tak lubi pani słońce, a potem przeczytam pani o syrenach, przecież dziś pora na syreny. Mamo, powtarza staruszka z dziecinnym uporem i Dominika po prostu siada koło niej i mówi z pamięci, bo czytała to już tyle razy: Wiemy, co niegdyś Grecy, Trojanie doznali nieszczęść, z bogów naprawy, na Ilionu polach, wiemy o wszystkich ziemskich dolach i niedolach. Dominika Chmura czuje, że czytanie dla pani Eulalii Barron dobiega koń-

ca, bo staruszka doszła do kresu swojej opowieści, ale nie wie jeszcze, że na drugim końcu świata do odejścia zbiera się inna starsza pani, jej babcia Halina, zwana Kolornotywą.

Gdy późną jesienią Eulalia Barron umiera cicho i spokojnie, przy dźwiękach Sonaty księżycowej, Halina Chmura, babcia Dominiki, ma operację, leży na stole jak mumia egipska, wysuszona i żółkła. Poszła do lekarza dopiero wtedy, gdy nie mogła przełknąć nawet bułki rozmoczonej w mleku, a każde zaciągnięcie papierosem było torturą. Pomyślała, że z jedzenia może zrezygnować, mała strata, ale ból przy paleniu naprawdę jej przeszkadza, już nawet piętnaście tabletek z krzyżykiem dziennie nie daje mu rady. Czuję się, jakby mnie kto zjadł i wyrzygał, powtarzała Halina Chmura ulubione porównanie i do jej duszy spowitej dymem extra mocnych wkradał się lęk; nie żeby jakoś specjalnie chciało jej się żyć, ale jeszcze mniej chciało jej się umierać. Przycze-sała więc resztki mysich włosów, których już od dawna nie farbowała na kasztan, kostuchy farbą nie oszukasz, odpowiadała na propozycję synowej, by udać się do 314

fryzjera i trochę odmłodzić; włożyła sweter w twarzo-wym różu, prezent od Jadzi pod choinkę, i starą bisto-rowa spódnicę, która przeleciała jej przez biodra, więc ją spięła w pasie agrafką. Poszła na ostry dyżur pieszo, bo musiałyby być w agonii, żeby wziąć taksówkę, a wtedy pewnie doszłyby do wniosku, że właściwie już nie warto. Rak gardła, wyrośnięty, tłusty, bardzo spodobał

się lekarzom, co za okaz, trzeba go prześwietlić, pobrać próbkę, wyciąć, zbadać, a resztę, jeśli coś jeszcze zostanie z tej mikrej staruszki po wszystkich zabiegach, zaatakować chemią. Halina uważała, że naprawdę nie ma sensu, by tak sobie nią zawracali głowę, prześwietlali, operacje robili, latali koło niej w kółko jak z pieprzem; ona chciała tylko jakiś zastrzyk czy antybiotyk, żeby nie bolało przy paleniu, a co ma być, to będzie. Byleby tylko tak zaraz nie zesła, bo chce jeszcze przedtem wnuczkę zobaczyć; skoro bez operacji umrze, niech tną. Wróci-

ła do domu, spakowała sobie do reklamówki z napisem Hugo Boss koszulę nocną, sześć paczek extra mocnych, kaptcie i szczotkę do zębów, i poszła powolutku w stronę przystanku. Halina Chmura zbierała wszystkie reklamówki, a te, które znajdowała w paczkach przysyłanych przez Grażynkę z

Niemiec, były szczególnie ładne, kolorowe, żal wyrzucać. Wyglądała je i wkładała do szuflady, przydadzą się kiedyś, mówiła sobie, i proszę, ma jak znalazł. Do Jadzi Halina zadzwoniła już ze szpitala, coś mi tam mają wyciąć z szyi, jakieś gówienko, powiedziała synowej. Nic takiego, Jadzia, wytną i pójdzie do domu, ale jakby co, to w szafie jest album ze zdjęciami, w białą ściereczkę owinięty, pod nim płaszcz stary naftaliną przełożony, niech Jadzia nie wyrzuca, broń Boże, 315

tylko podszewkę odpruje. Znajdzie tam trochę pieniędzy.

To wszystko jest dla Dominiki, na swój pogrzeb odłożyła osobno, jest też coś dla Jadzi. Skąd? Ano ma, nabierało się z tego, z owego, bo co ona tam wydawała na siebie, tyle co na papierosy. Chciała powiedzieć Dominice sama, ale jakoś tak wyszło, co będzie dziewczynie w Ameryce głowę truć; niech jej Jadzia też lepiej nie mówi, że babka w szpitalu. Jadzia odłożyła słuchawkę i popatrzyła na zbielełe kostki swojej uszkodzonej w młodości dłoni.

Uświadomiła sobie, że ta zrzędliva i tak mało wymagająca kobieta jest jej jedyną rodziną w Wałbrzychu i od lat była zawsze, gdy Jadzia jej potrzebowała. Jakże one umiały się nie zgadzać! Jaką wprawę miały w wytykaniu sobie błędów kuchennych! Z jaka maestrią się nie lubiły!

Co ona robi bez Haliny Chmury? Komu powie, ale się mamusia zapuściła i kopci ciągle jak komin? Do kogo ponarzeka na ceny i pogodę? Wuj Kazimierz został posłem i czasem pokazują go w telewizji, rzadko się odzywa, jakby po wypadku Dominiki i spaleniu domu Zofii zaczął

wstydzić się swojej rodziny, naznaczonej nieszczęściem, córka szasta się po świecie, a Halina jadła z Jadzią niedzielne obiady i wielkanocne jaja, Matko Boska, jak ona bez niej karpia na Wigilię zabije? Po co te papierochy tak kopciła, mówiłam jej, po co mamusia te papierochy tak kopci jak komin, Jadzia czuła pod powiekami zapowiedź

nowego smutku. Nie ma szans, góra dwa miesiące, zło-

śliwy rak w ostatnim stadium z przerzutami, powiedział

lekarz i Jadzia rozplakała się, bo nieunikniona śmierć ko-goś, kogo się przez tyle lat nie lubiło, może być bardzo bolesna.

316

I po co mamusia tak te papierochy kopciła? nasko-czyła na teściową, gdy ta tylko uchyliła sine powieki; zamiast sałaty sobie pojeść, kapusty kiszzonej, to ciągle z pa-pierochem. Jadzia stała nad łóżkiem teściowej w swoim wielkim futrze z nutrii, które przed laty kupił jej mąż Stefan w prezencie, przepłacił wtedy jak głupi, bo mu jakaś cwana baba wmówiła, że to norki. Było ciężkie i na nią za duże, ale jakoś żal się pozbyć, zawsze to naturalne futro, powtarzała sobie Jadzia przy każdym porządkach w szafie i nutrie doczekiwały kolejnej zimy. Halina dogorywała z rurką wychodzącą z szyi, zapadniętą szczęką i oczami tak matowymi, jakby przeleżały tydzień na piasku: mrugała powiekami, starając się zrozumieć, dlaczego koło jej łóżka stoi niedźwiedź, niedźwiedź, który tań-

czył w wiosce jej dzieciństwa, i dlaczego ten niedźwiedź

mówi głosem jej synowej Jadzi. Chciała zapytać, Jadzia, to ty czy niedźwiedź? ale z jej ust wydobył się tylko suchy charkot, jakby ktoś ukruszył bryłę styropianu. Nikt nie liczył, że stanie na nogi, a już na pewno nie wróży-no jej powrotu ze szpitala o własnych siłach, ale Halina Chmura przechytrzyła lekarzy i dziesięć dni po operacji pielęgniarka złapała ją w ubikacji z papierosem, którego dym wydobywał się przez Haliny usta, nos i dziurę w szyi.

Prawie nicjuż nie jadła, ssała tylko kostki cukru i prosiła, by Jadzia kupowała jej w szpitalnym sklepiku coca-colę, a palone pokątnie papierosy nie mogły jej zaszkodzić bardziej, niż już zaszkodziły, więc lekarze tylko machali ręką. Po siedemnastu dniach Halina Chmura wyciągnęła sobie wenflon z nadgarstka, chrząknęła i wycharczała, że prosi o ubranie wyjściowe, bo już dziękuje za uwagę, ma 317

to w nosie, idzie do domu. Schowała koszulę do reklamówki Hugo Boss i stanęła gotowa do drogi, zastrzegając synowej, że owszem, może ją odwieźć, ale autobusem, a nie taksówką. Jadzia spojrzała na niehigieniczną dziurę w szyi staruszki, na jej niezbyt czyste paznokcie i stojące przy łóżku kapcie, które były tak schodzone, że przypominały jakąś organiczną burą masę z odciskiem stopy, Matko Boska, westchnęła, co za wylęgarnia bakterii. Do mnie na Piaskowa Górę mamusia pójdzie, żadne do domu, bez dyskusji. W pokoju Dominiki się mamusię ulokuje, tylko niech mamusia pali w łazience, broń Boże w pokoju, bo firany zółkną i smrodem przechodzą; i Halina nie zapro-testowała, bo nawet jej niewprawne szorstkie serce zrozumiało, że jest to dowód miłości. Nie, te kapcie już mamusia zostawi, Matko Boska, jakie szkoda, jakie szkoda, nowe u Ruskich mamusi kupię na Manhattanie. Tego samego dnia Jadzia zadzwoniła do Nowego Jorku, co robiła rzadko, bo straszliwie się bała, że ktoś coś do niej powie po angielsku i będzie wstyd; gdzieś usłyszała, w jakimś filmie pewnie, że w Anglii mówią zupełnie innym angielskim, pięknym i arystokratycznym, nie to co wulgarny angielski w Ameryce, i powtarzała tę mądrość córce, ach, bo ten amerykański angielski to taki wulgarny, nic zrozumieć nie idzie. Babcia Halina umiera, powiedziała Jadzia do słuchawki i rozplakała się w ciszę, jaka zapadła nagle między Piaskową Górą i prawdziwym Manhattanem.

Babcia Kolomotywa dymem ziejąca! Dominika przestraszyła się nagle, że nie zdąży, i jej przygotowania do wyjazdu do Polski były pierwszą rzeczą po wypadku, którą robiła w pośpiechu, nie licząc nocnej ucieczki z Owocowego Raju. Poczula, że letnia rzeka, w której żyła 318

przez siedem lat, nie była jedynym rodzajem przepływu, a na Piaskowej Górze czas płynął inaczej. Sara mówiła jej, pora, żebyś pomyślała, co dalej, żebyś spróbowała z kimś być, a ona odpowiadała, że wystarcza jej samo bycie i na razie ma wszystko, co trzeba, ten mały pokój w East Village, dach, na którym może siedzieć nocami, czytanie książek pani Eulalii Barron, listy od Iva z Paryża, robienie zdjęć. Poza tym, i to uciszało przyjaciółkę naj-skuteczniej, ty też z nikim nie jesteś, Saro Jackson. Dominika pamiętała swój pierwszy plan na życie i tęskniła nie tyle za nim, co za tamtą pewnością, że szczęście było w zasięgu ręki, a przyszłość to droga do jakiegoś celu.

Wynajęte mieszkanie w bloku na warszawskiej Chorni-czówce, tak podobnej do Piaskowej Góry, i Adaś, męż-

czynna, którego twarzy nie pamiętała za dobrze, bo tym, co ją w nim pociągało, był nie on sam, ale możliwość ucieczki od Jadzi i Wałbrzycha. Dopiero teraz, z perspektywy lat spędzonych w drodze, Dominika widziała, że ucieczka, która wydawała jej się tak doskonała i dobrze zaplanowana,

prowadziła dokładnie w to miejsce, w któ-

rym powtórzyłaby los Jadzi. Niekiedy przypominał jej się dotyk Adasia, z perspektywy czasu nieporadny i nerwowy, inny od dotyku mężczyzn, których poznała po nim.

Zakochaj się, szalej, mówiła jej zupełnie obojętna wobec mężczyzn Sara, podobnie mówił wiecznie zakochany Ivo, ale Dominika ani nie zakochiwała się, ani nie szalała, tylko po krótkich romansach zaprzyjaźniała się ze swoimi mężczyznami powierzchowną przyjaźnią tych, którzy spotykają się w drodze, i wkrótce siedziała z jednym czy drugim w barze Lucy's przy Tompkins Square, słuchając opowieści o konieczności ratowania wielorybów, pla-319

nach wyprawy do Kambodży, by ocalić przed zdeptaniem Angkor Wat albo o przyszłości komunikacji inter-netowej. Można było odnaleźć podobieństwo łączące mężczyzn, z którymi Dominika spędzała cztery czy pięć, góra osiem tygodni, zanim znikali gdzieś tak łagodnie i niepostrzeżenie, że Sarze trudno było uwierzyć, że w ogóle się zdarzyli, nawet ich imiona rozplywały się w nowojorskim powietrzu jak dym. Byli wysocy i chudzi, żyłaści i silni, ich twarze wyraziste, ale jeszcze niedokoń-

czony, jakby dopiero pojawił się na nich szkic tego, jakimi staną się ludźmi. Ubierali się w sportowe wygodne rzeczy i zbyt rzadko chodzili do fryzjera, mieli ważne sprawy do załatwienia w przyszłości i szczytne idee, nie wiedzieli, że to, co im się najbardziej podoba w Dominice, to nie jej oczy, usta albo długie nogi, ale fakt, iż w sposób oczywisty nic od nich nie chce i niczego nie oczekuje, a bierze dokładnie tyle, ile daje w zamian. Żaden z nich nie potrafił nazwać siły przyciągania, która kazała mu zbliżyć się do tej właśnie kobiety, tak pozbawionej kokieterii, o włosach jak jedwabista czapeczka w kolorze mocnego espresso, i szybko wpadali na zastępcze rozwiązanie, dopatrując się w Dominice podobieństwa do kogoś bliskiego i utraconego. Na przykład dla Węgra Andreasa była to Cyganka jovranka, z którą bawił się w dzieciństwie spędzonym w nie najlepszej dzielnicy Budapesztu, zanim z całą rodziną wyemigrował do Nowego Jorku, gdzie jego przodkowie dorobili się majątku na produkcji parasoli. Pokazał Dominice dom na Lower East Side, to tutaj jego stryjeczny pradziadek, ożeniony po-noć z Polką o niemożliwym do zapamiętania imieniu na W, zaczął wyrabiać cieszące się powodzeniem parasolki 320

reprodukcjami dzieł wielkich mistrzów na czasach.

Dominika chodziła z Andreasem do barów gdzieś na Brooklynie, w których ciemnowłose kobiety tańczyły, mężczyźni palili papierosy i niekiedy tłukli talerze; chłopak wpatrywał się w nią intensywnie, jakby obecność innych Romów miała spotęgować podobieństwo Dominiki do dziewczynki sprzed lat. Martin z kolei, Anglik nielu-biały Anglii, był wiecznym studentem, bo po każdej przerwie, jaką w studiach robił, by wyjechać do Afryki, Azji, na Islandię, wracał z nową pasją i czterokrotnie zmieniał kierunek na uniwersytecie. Gdy Dominika go poznała, zajmował się ekologią i pragnął uratować bałtyckie morświny. Płaczą się w sieci, giną uduszone te biedne morświny, straszna rzecz, trzeba to ludziom koniecznie wytłumaczyć, mówił jej z przejęciem i pił piwo bezalkoholowe. Kiedyś myślano, że morświny bałtyckie to syreny, słyszałaś o tym? Po Martinie był Holender Gilbert, który wraz z grupą freegan żywił się tylko tym, co dało się znaleźć na bogatych nowojorskich śmietnikach pod sklepami, i organizował śmietnikowe wycieczki, tłumaczył wtedy niewtajemniczonym, że codziennie mar-nuje się w tym mieście kilkadziesiąt ton zdatnego do spożycia

jedzenia, o, na przykład tu mamy cały worek świeżutkich bajgli i kartonik mleka sojowego. Gilbert uważał się za komunistę i wydawało mu się, że w kanciana-tych ruchach Dominiki, jej dużych stopach i braku zami-

łowania do luksusu odnajduje podobieństwo do szwagra, jedyne go członka jego rodziny, który nie należał do klasy średniej i którego w związku z tym podziwiał i idealizował. Gdyby Dominikę przycisnąć, co robiła czasem Sara, może przypominałaby sobie niezwykle symetryczną 321

włosów na jakimś męskim ciele, które wspinały się wą-

ską równą linią wzdłuż brzucha i rozgałęziały, otaczając sutki tak, że ten włochaty kontur przypominał schemat kobiecych jajników z podręczników anatomii. jajniki?

Naprawdę masz na myśli jajniki, wariatko? sylabizowała Sara niepewna, czy Dominika nie pomyliła angielskiego słowa. Pamiętam też duże białe zęby, śmiała się Dominika, zęby z przerwą między jędrkami, bliznę na czole, bo bramę z wystającym gwoździem wiatr zamknął akurat wtedy, gdy mały chłopiec pędził na swoim pierwszym rowerku gdzieś po ulicy Budapesztu czy może Amsterdamu. Pamiętała opowieści, pępki, paznokcie, rowery, blizny, imiona matek, psa labradora, który wpadł pod pociąg, długopalczaste dłonie i nawet byłaby w stanie przypasować te części do konkretnych osób, ale nie mia-

ła nic przeciwko temu, by pozostawały w jej głowie niczym stos rozsypanych puzzli. Dominika wiedziała, że nie znalazła jeszcze nic, co mogłoby zastąpić utraconą magię liczb; była w środku pusta jak nieumeblowany dom, w którym byle jak postawiono parę sprzętów, stos książek i pudła. Dominika Wędrowną nie myśli o sobie: jestem taka czy inna, tylko od czasu do czasu przeprowadza inwentaryzację, podczas której interesuje ją przede wszystkim, co jest na drugiej szali, bo co jest na pierwszej, wie od dawna - siedzi tam Jadzia i matkuje.

Sara, moja towarzyszka podróży i jej historia Hotentockiej Wenus, Dominika umieszcza przyjaciółkę jako przeciwwagę dla Jadzi; Ivo, mąż-bliźniak, który zawierzył mi przeszłość, wspierający mnie tak, jak ja go wspieram, pani Eulalia Barron i jej książki - Jadzia nadal jest cięż-

sza, córka dorzuca więc przyjemność bez poczucia winy 322

i wspomnienie pępków, paznokci, rowerów, blizn, ale to ciągle za mało, by Jadzię przeważać. Dominika już wie, że ta podróż, która od siedmiu lat oddala ją od Piaskowej Góry, byłaby łatwiejsza, gdyby po prostu chodziło o ucieczkę przed tym wszystkim, odrzucenie swojego domu i zapomnienie o nim, tymczasem im Dominika jest silniejsza, tym bardziej pragnie swoją matkę zmienić, ruszyć z miejsca i zepchnąć z kursu matkowania na jakąś ciekawszą drogę. Kiedyś, przed wypadkiem, była ona, podrostek, i opowieść Jadzina, w którą matka wkręcała swoje wierzgające dziecko jak w wyzmaczkę: ślub na jasnej Górze, ordynat jakiś lub dentysta, biały welon, wiśta wio! karocą do zamku Książ. Można było tylko uciekać, gdzie pieprz rośnie. Teraz coś mam, myśli Dominika, i gdy Jadzia jej zasuwą w słuchawkę starą opowieścią, córka nie pozostaje dłużna, ale siły nadal nie są wyrównane. Dlatego gdy dowiedziała się, że Halina umiera, oprócz żalu Dominikę ogarnął strach i znów poczuła zapach spalonego mięsa. To coś martwe w niej, o czym słyszeli tylko Ivo i Sara, sprawia, że czasem budzi się i do rana szarpia nią torsje, jak bulimiczką, którą nigdy nie

była. jadę na Piaskową Górę, powiedziała Sarze, i gdy w przeddzień podróży spojrzała w lustro, ze zdumieniem dostrzegła, że jej tęczołki, kiedyś nieodróż-

nialne od źrenic, błyszczą iskrami agrestowej zieleni oczu Jadzi.

Dominika wyprowadziła się z pokoju przy polskim kościele i zostawiła ubogie rzeczy do podziału; pani Hania wzięła lampę, będzie jak znalazł, gdy wróci do ojczyzny, pani Stenia malutką lodówkę, przyda się jak nic, gdy już ściągnie do siebie rodzinę, a tymczasem rzeczy tra-

fią do pudeł w przedpokoju. Będę za cztery dni, mam powiedziała Dominika do Jadzi, która aż się zachwiał; przy telefonie i odważyła się odejść ze słuchawką na tyle daleko, by klapnąć na kanapę. Za cztery dni po siedmiu latach, i to na same święta! Jak ona zdąży wszystko przygotować? Jadzie rozpierała radość i złość w wyrównanych proporcjach i było to tylko spotęgowanie normalnej chemii uczuć, jakie budziła w niej córka i wszystko, co z córką związane. Czasem dominowała radość, czasem złość, a gdy uczucia te osiągały stan drażącej równowagi, Jadzi bez przerwy odbijało się jak po bigosie I co rusz musiała zażywać raphacholin. Taka mnie zgaga bierze, zwierzała się Krysi Śledź, a ta radziła, by popiła wody z ogórków kiszonych, sposób sprawdzony i zdrowy, jej na wszystko pomaga.

Wody z ogórków u Jadzi był dostatek i często zanosila sąsiadce słoik czy dwa; po wypadku Dominiki robienie przetworów, kiszanie i konserwowanie było dla niej sposobem radzenia sobie z czasem. Gdyby pozwalała mu po prostu płynąć, temu czasowi kalekiemu i pustemu, zmarnowałby się, bo co to za czas złożony z samotności i czekania? Zamarynowany dał się przechowywać i Jadzia Chmura czekała na lepsze okoliczności, w których można będzie go zużyć tak, jak się powinno, smakując, wysysając z niego słodycz. Jadzia czas kisiła i konserwowała, przesmażała z cukrem, pasteryzowała; zamykała czas hermetycznie w słoikach z napisem ogórki 1991, czarna porzeczka 1992, papryka 1993, buraczki z papryką 1994, truskawki w miodzie 1995, kapusta z kminkiem 1996. Ustawiała rzędy zakiszonych i zamarynowanych lat na półkach w piwnicy, gdzie brakowało

już miejsca. Lśniące słoiki pokrywały się kurzem i paję-

czynami, wieczka zaczynała nadgryzać rdza i dostawa-

ły się pod nie tak znieawidzone przez Jadzie bakterie.

Zamarynowany czas niekiedy pokrywał się pleśnią i gnił.

Nie nadążała ze zjadaniem tego wszystkiego, bo ile samotna starsza pani jest w stanie zjeść ogórków, ile wypić kompotów z truskawek, soku z jeżyn, a tu przychodziła wiosna, raz-dwa i już lato, i trzeba było kisić nowe ogórki, gotować i smażyć świeże owoce, wybierane starannie na bazarze Manhattan na Piaskowej Górze. Zamarynowane, przesmażone i ukiszone lata były dla Jadzi Chmury okazją do czekania i do wspomnienia zmarłych, męża Stefana, który ogórki do wszystkiego mógł, trach, trach, chrupał do śniadania, obiadu i kolacji, albo grzybki, grzybki też, do wódki najchętniej niestety; matki Zofii, co na słodkie była łakoma jak dziecko, taki soczek to prawie sam, ledwo rozrobiony by sączyła całą zimę i zszedłby do ostatniej butelki, nie mówiąc już o ojcu Jadzi, tym prawdziwym, Maćku Maślaku, bohaterze wojennym, który do ziemniaków zawsze musiał mieć kiszoną kapustę, bo tyle na

temat jego obyczajów kulinarnych zdołała się dowiedzieć, a więcej dowiedzieć się nie było już od kogo. Jadzia Chmura w pokorze przyjmowała fakt, iż czas poddany konserwacji jednak ulega zmianie, tak jak truskawka z kompotu różni się od surowej, ale to cena, jaką trzeba zapłacić za możliwość zachowania przeszłości w słoikach. Lepsza taka niż żadna! Schodziła do piwnicy, tupiąc głośno nogami, by wypłoszyć szczury, otwierała kłódkę i odsuwała zasłonkę zrobioną ze starej stopy; ile tam tego było! Równo stojące rzędy słoików koły jej serce i przynosiły spokój, były dni, gdy warzywa 325

i owoce w przetworach wydawały się Jadzi jedyną pewną rzeczą na świecie. Nietknięte maliny 1995, powidła 1994, jagody z tego samego roku, wciśnięte z tyłu dolnej półki i, o, jeszcze jedne grzybki z 1990, same łebki prawdziw-ków; Jadzia wytarła wieczko słoika z kurzu i ucieszyła się, że Dominika tego wszystkiego spróbuje. Jadzia będzie otwierała dla niej kolejne słoiki, tak jakby otwierała te lata, gdy jej córka jeździła po świecie, a ona siedziała na przeklętym bocianim gnieździe; tu mamy 1990, tu 1991, tu 1992, wyjątkowo wtedy obrodziły czereśnie, i tak dalej, w przyrodzie nic nie ginie, a już na pewno nie u praktycznej Jadzi Chmury z Piaskowej Góry. Jadzia przyniosła kosz słoików, otworzyła dla Haliny kompot czereśniowy 1995

i zaczęła przygotowania do świąt z taką werwą i rozmachem, jakby miała gościć dwanaście osób przez miesiąc.

Dominika przyjeżdża! chwaliła się wszystkim znajomym z Piaskowej Góry, ma już papiery amerykańskie i przyjeżdża na święta; teraz może sobie po całym świecie bez wiz żadnych jeździć. Mogłaby, gdzie by chciała, do Paryża, na Wyspy Kanaryjskie, a do Wałbrzycha przyjedzie, z matką się zobaczyć. Sama? gasiła ją niewinnym pytaniem Lepka, ale Jadzi, w miarę jak przybywało lat, ubywało łagodności i już nie dała sobie w kaszę dmuchać. A po co jej przydupas? Lepiej sama, niżby miała se takiego wiaść, co weźnie dupę w troki i na wojnę pojedzie jak pani syn. Niektórym się pośpieszyło, brały pierwszych lepszych i co z tego mają, gówno w papierku.

Nic nie było w stanie zbić jej z tropu kupowania, plano-wania, upychania do lodówki gór jedzenia. Halina była zbyt słaba, by pomóc Jadzi w wielkich przygotowaniach; leżała w pokoju Dominiki albo siedziała w ubikacji i pali-326

ła papierosy, a synowa przelatywała koło niej, jakby uby-

ło jej kilogramów i lat. Zawsze oszczędna i gospodarna, Halina wymyśliła, że dobrze byłoby już teraz kupić trumnę; mogą ją przecież trzymać w kącie koło okna, zasłoną się przykryje. Potem, zwłaszcza jakby na święta przyszło ją chować, wszystko będzie na łapu-capu i zedrą z nich skórę. Zwlokła się Halina Chmura z łóżka i pod nieobecność synowej zadzwoniła do zakładu pogrzebowego Hades, a gdy po południu Jadzia otworzyła drzwi, dwóch mężczyzn zapytało, gdzie nieboszczka? i awantura była jak za najlepszych lat. Jaki -wstyd, Jadzia, wstyd to kraść, a nie umierać, gdyby mogła kupić trumnę za życia, umar-

łaby spokojniejsza, rzeziła Halina. Czy Jadzia nie pamięta, co było, jak Stefana chowały? Łapiduchy wycykały je co do grosza, a ile na same wieńce poszło, tłumaczyła synowej. Halina nie mówiła Jadzi, że ból, który czuje, nie daje się już oszukać i nie odpuszcza jej nawet po podwójnej dawce tabletek zażywanych w tajemnicy, ale uparła się, że doczeka do przyjazdu wnuczki. Pozwoliła sobie

nawet zafarbować resztkę włosów papką z henny kupionej od Ruskich na Manhattanie, miały być kasztanowe, a wyszły ogniście czerwone; o Matko Boska, przestraszyła się Jadzia, ale Halinie spodobała się nowa fryzura, bo widziała wyraźnie już tylko jaskrawe kolory. Rano w Wigilię nakręciła ogniste włosy na metalowe wałki, których używa-

ła od pół wieku, i mimo iż prześwitywała jej łysa głowa, uznała, że dobrze prezentuje się na przyjazd wnuczki.

Zadowolona z siebie, łyknęła garść tabletek i zapaliła extra mocnego, bo ból wgryzł się w nią ze zdwojoną siłą.

Gdy niemal wszystko było gotowe, Jadzia poleciała do rybnego po karpia, karp musi być żywy, to rozumie 327

samo przez się, żywy karpik najlepszy i do galarety, i do smażenia, i po żydowsku. Kiedyś trzeba było kupować karpia tydzień przed świętami, w kolejce się nastać, aż nogi w dupę wchodziły, a potem do Wigilii mycie w misce, bo w wannie karp. Teraz wystarczy dzień wcześniej wyjść i jeszcze wybrać można mniejszego czy większego, a jak się chce, to zabijają na miejscu i wypatrosza. Francja elegancja i demokracja, wzdychała Jadzia.

Nie chciała jednak, by karpia trzaśnięto na stoisku rybnym w Realu, bo w jej domu karp zabijany był tuż przed dalszą obróbką; w moim domu, deklarowała z powagą, karpika zabija się w ostatniej chwili, osolone dzwonka muszą podskakiwać, wtedy widać, że ryba jest naprawdę świeża. Kiedyś zabijał Stefan, a przez kolejne dziesięć lat po jego śmierci Halina; Jadzia uważała, że jest na to za delikatna. Od zabijania są mężczyźni, powtarzała, a jak mężczyzny zabrakło, obowiązek przejęła teściowa, któ-

ra z racji starości wydawała się kobietą mniej niż ona.

Halina, ta to umiała karpia rąbnąć, raz a dobrze, prosto w ciemiaczko, Stefan zawsze bił za słabo i musiał poprawiać, szkoda mu było, mówił, i całą podłogę w kuchni trzeba było myć, bo ryba uciekała po niej z rozbitą głową. Mała Dominika najpierw karmiła rybę okruchami chleba, a gdy przychodził moment egzekucji, darła się, że jak można zabić stworzenie, któremu narobiło się nadziei, i wybiegała z domu, trzaskając drzwiami. Fiksum-

-dyrdum i fiu-bódzin, przewracała oczami Jadzia i nigdy nie przyjęła do wiadomości, że jej dziecko nie chce jeść takiej pysznej rybki w żadnej postaci. Ciekawe, kiedy ona w końcu przyjedzie? Zwariować można z tego czekania; Jadzia była tak nasączona czekaniem na córkę jak 328

wielka szynka w jej lodówce ziołową marynatą. Mamo, samolot się spóźnił, był alarm na lotnisku, będę w samą Wigilię, Dominika nieźle nastraszyła jądzie: Matko Boska, alarm na lotnisku, zepsuło się co? Nie, nie, myśleli, że bombę ktoś podłożył w toalecie. Zwariować można by tym dzieckiem, Jadzia do świtu nie zmrużyła oka, bo gdy tylko ogarniała ją senność, nagła eksplozja jak z filmu wojennego, których nie znosiła, rozpryskiwała ciemność pod jej powiekami.

W Wigilię, tuż przed zamknięciem sklepów, wyszła, by kupić jeszcze trochę słodyczy, bo a nuż trzy

pudeł-

ka ptasiego mlecza, kilo mieszanki wedlowskiej, cztery krążki chałwy i sześć czekolad o różnych smakach bę-

cizie za mało dla jej córki cukrolubnej. Przy okazji poprosi Waldka, co był kiedyś górnikiem, a teraz robi za ochro-niarza w supermarkecie, żeby po robocie wpadł i karpia trzasnął, bo Halina już temu nie podoła. Zaczynał chwytać mróz, asfalt lśnił jak posypany szkłem, Jadzia mocniej naciągnęła stary beret, pochyliła głowę w podmuchu lodowatego wiatru. Córka przysyłała jej takie ładne rzeczy, pytała, i jak ci się je nosi, mam? a matka odpowiadała, że piękne, trzyma na specjalne okazje, bo szkoda je no-sić na kole domu. Gdyby jeszcze używane, ale wszystkie z metką, którą jakoś żal urywać.

W połowie drogi do Reala zamyślona nad karpim i życiem Jadzia Chmura wpadła na Leokadię Wawrzyniak, matkę księdza Adasia, której na Piaskowej Górze nie widziała od lat. Pani tu? A ja właśnie do pani na chwilkę, powiedziała Leokadia, że w Wigilię zastanę, pomyśla-

łam, czasu dużo nie zajmę. A jak to powiedziała! jakby z góry patrzyła na czubek głowy Jadzinej. Do mnie? zdi-329

wiła się Jadzia, jak to do mnie? Nigdy przedtem nie rozmawiała z Leokadią, ale pamiętała ją z czasów, gdy ksiądz Adaś był w Wałbrzychu i romansował z Dominiką. Łajdus, nie ksiądz, się okazało. Raz minęły się na plebanii, niedługo po całej awanturze, i Jadzia wrogość Leokadii poczuła tak wyraźnie, jakby ktoś uderzył ją w twarz, aż jej się niedobrze zrobiło i za rogiem zawstydzona swoją słabością splunęła gorzką śliną. Niewiele się zmieniła Leokadia Wawrzyniak, potężna, jakby z dwóch dętek do tira złożona, jedna w piersiach, druga pośrodku, fryzura elegancka, zwieńczona czapą z lisa, z lisa futro srebrnego, buty w szpic, w uszach błysk złoty. Kawał baby, po-myślała Jadzia i wyprostowała plecy, mocniej zacisnęła palce na rączce chińskiej torebki nabytej jesienią na Manhattanie, jak skórzana, z diamencikami, kieszonka-mi. Jak to do mnie, a po co pani do mnie? Już pani wie, po co do pani, z godnością na to Leokadia, wciąż z góry.

Co po co, że wiem? Po co do mnie, chcę wiedzieć, a nie, że wiem, po co, bo nie wiem, po co, odrzekła roztropnie Jadzia, która domyśliła się od razu, że do Leokadii dotar-

ła wieść o przyjeździe Dominiki. Leokadia powietrza nabrała, niech pani nie udaje, że nie wie, po co, jak każdy wie. Że po co, się pyta, jakby nie wiadomo było, po co!

Jadzi kolej. A pytam, bo jak pani mówi, że wiem, po co pani do mnie, to ja się pytam, skąd pani wie, co ja wiem, jak ja chyba lepiej wiem, co wiem, a czego nie wiem, i mó-

wię pani, że nie wiem, po co. To niech pani mówi, po co, bo czasu nie mam. Sama się Jadzia zdziwiła potoczysto-

ści swej wymowy i jakby silniejsza się poczuła, harda; nie da się tej niemiliźnie przyjezdnej, w lisy odzianej. Ale wróg też nie ułomek; jak wróg jest babą, to jak się mówi?

dziwna wątpliwość pojawiła się w głowie Jadzi na co dzień nieskłonnej do lingwistycznych zagadek. Leokadia się nadeła, a pierś miała pojemną, w końcu na śpiewacz-kc operową warunki zmarnowała, ryknęła; Adasia zmarnować nie pozwoli, bo tylko on jej został. Pani się nie pyta, po co, pani tej swojej, jak przyjedzie, pilnuje; wypaliła, huknęło, rozszedł się zapach prochu. Adaś pod Wrocławiem proboszczem jest, a biskupem zostać może, z Bożą i matczyną pomocą. Taki syn to skarb. Pani poję-

cia nie ma. Ani syna! Jadzia, która od lat cierpiała na uderzenia gorąca, poczuła, że to uderzenie, które właśnie promieniuje z jej podbrzusza, ma siłę sztormu, ale nie powala jej, nie osłabia, lecz napełnia czymś gorącym i silnym. Strumyki gorąca dotarły aż po koniuszki palców jej uszkodzonej prawej dłoni, poruszyła nimi dla pewności, działały, hardziały, jak wtedy, gdy rodziła. Nie uciekła jadzia Chmura, żeby potem przez całe miesiące zatruwać się złością i układać przemowy, których nigdy nie wygło-si w odpowiedzi na doznaną przykrość. Nie bała się wrogowej, wroźcy, wrogini! Ha! Prychnęła śmiechem w pierś Leokadii, w gniew się przekuwała babska złość.

Biskupem dupem wielkim strupem! Aż się Leokadia zgięła, hardość Jadzi ugodziła ją w brzuch jak z buta.

Pani sama lepiej synka pilnuje, pod spódnicę se pani go wsadzi, tylko żeby nie zaśmierdł, za szarżowała Jadzia Chmura. Moja Dominika by go do butów czyszczenia nie wzięła. Moja Dominika ma narzeczonego w Ameryce!

Gołodupca w kiece jej nie trzeba, tchórza! jej śmiech jak bomba pełna gwoździ w Leokadii rzucony twarz, punkt dla Jadzi. Leokadia ugięła się lekko, ale odzyskała pion; słabiznę zasłoniła torebką skórzaną. Chciała śmiech 331

szydarczy Jadzi zmałpować, ale wyszedł jej cienki pisk mysi, spod lisiej czapy popłynął pot. Minę więc postanowiła przybrać pełną pogardy i wyższości, ale jakoś nie trzymała się jej twarzy ta mina, spływała jak maseczka ze śmietanki i twarożku, którą nakładała co piątek dla urody. A to co? Zęby panią boją, że się tak krzywi jak na sranie? uprzejmie spytała ją Jadzia. Co za chamka z pani!

Jaka matka, taka córka. Ja panią ostrzegam po dobroci!

rzuciła Leokadia, ale słabiutkie to było, jakby pluła łupi-nami słonecznika. Ha! Jadzia czuła, jak moc w niej roś-

nie, oto dziś przyjeżdża jej piękna córka, co ma narzeczonego w Ameryce, a nawet jak jeszcze nie ma, to sobie znajdzie, będą razem w narzeczonych przebierać, wy_

bierać, czy taki, czy siaki, najlepszego jej wybrać po-może, doktora, dentystę, ordynatora. A potem bryczką w konie zaprzęzoną na wesele w zamku Książ! Jak będą chciały, to sam Seweryn Krajewski na weselisku zaśpiewa. Inżynierowa wielka krowa, w myśli sobie Jadzia rym-nęła, a na głos ryknęła, po dobroci to do paproci! Wyżej sra, niż dupę ma! i znów się roześmiała tak, że przechodząca obok Lepka wytrzeszczyła oczy i stanęła w rozsądnej odległości, gdzie zebrała się już spora grupa obser-

watorów. Coś się stało? A stało! Chmura matce naszego romansowego księdza tak przysrała, że ho, ho. Jadzia?

zdziwiła się Lepka. A Jadzia. Po dobroci to do paproci, powtórzyła Jadzia Chmura waleczna, srali muchy, będzie wiosna! Jak Dominika będzie chciała tego pani mamin-synka zasrańca zobaczyć, to ja jej nie powstrzymam. Idź, powiem, córcia, jedź do Wrocławia, na mszę południową wejdź, kiedy ludzi najwięcej, i powiedz, jak przez niego omal nie zginęłaś. Przy ludziach powiedz, jak ci babkę
332

i dziadka spalili, a on nawet się słowem nie odezwał, ciupę w troki wziął, na groby nie przyjechał, na dupie w Watykanie siedział i pierdział w stołek. Sama z nią pojedę i palcem pokażę, to on, patrzcie, ludzie. Powiem, co

'myślę o chłopie, co ma krowie cycki zamiast jaj. Pierwszy roześmiał się Lepki; patrzcie, patrzcie, fajna babka z tej Chmury, choć na co dzień Smerf Maruda, zawtórowali mu basem Lepka i Zdzisio Śledź. Pypciowi e prze-chodzili właśnie z wielkimi reklamówkami z Reala, w jednej karp podskakiwał w agonii, w drugiej szkło, podeszli, co się dzieje, zapytać, a Lepka im na to, krowie cycki zamiast jaj. Ale jaja, ucieszył się Pypeć. Jakie jaja, krowie cycki! krzyknęła Lepka. Ten przyjazny śmiech sąsiadów był jak mur, o który Jadzia Chmura, harda i odważna, oparła się, by przygotować do kolejnej rundy. Krysia Śledź zbiegowisko zobaczyła z balkonu, gdzie bigos świąteczny w garze wystawiała, zbiegła w kapciach; ni~

daj się, Jadzia! Wzięła się pod boki Jadzia, wściekłe spojrzenie Leokadii wytrzymała. Ha! Hołota! Zapiszczała Leokadia, hołota z blokowiska! Plebs! Godności szaty ka-płańskiej nie uszanowała, tak ją pani wychowała, że nie uszanowała. On szatę to do tego zdejmował, coby mu się nie popaćkała, zauważył Zdzisio Śledź, a Pypeć klepnął go w ramię. Zbałamuciła mi dziecko, com na własnym łonie, Leokadia zawyła i z uszu poszła Jej para. Nie pozwolę! zapiszczała, po trupie moim! A wie pani co, wycedziła Jadzia z jadowitą słodyczą, ja mam radę dla pani, pani mu na supełek zawiąże, wodą święconą po-kropi i będzie spokój. Śnieżek zaczął prosić, a kto się na śnieg nie cieszy, gdy święta; Jadzia poczuła, jak śnie-

zynka osiada jej na rzęsach i gorącą spływa łzą. Płornien-333

na fala przelewała się w niej jak morze, w którym żyją piękne stworzenia o wielkich oczach, ostrych szczęko-czułkach i ząbkach jak u bobrów, złośliwych parzydeł-

kach. Wcześniej znała tylko zatrute morza sargassowe, gdzie było to Żywe morze? pomyślała, czemu tak póź-

no? Leokadia ostrzelana, lecz żywa, krok do przodu po-stąpiła i dźgnęła jądzie palcem perłowym szponem za-kończonym. Po moim trupie! futro pod szyją rozpięła, zaraz tu wytnie Rejtana i lisa srebrnego uświni w błocie.

Ja mego syna żadnej kurwie zmarnować nie pozwolę.

Kurwa i Żydowica! wrzasnęła Jadzi w beret i przegięła.

Jadzia nigdy nie zrozumie, skąd wzięła siłę i odwagę, ale jej prawa ręka zaciśnięta na torebce plastikowej nagle wystrzeliła zamachem szerokim, godnym miotacza, olimpijczyka greckiego; cała Jadzia, metr sześćdziesiąt w berecie, wyskoczyła w górę i przywaliła Leokadii w li-sią czapę, Czapa spadła, Leokadia zachwiała się, weszła w przechył, łup, padła. Ale ją jebła, z podziwem skomentował Józek Szygar; ale już, już podnosi się Leokadia, jeden cios chińską torebką od Wietnamczyka to za mało, by mamę-smoka powalić, tu trzeba mieczy, broni palnej, baranów siarką faszzerowanych. Uważaj, Jadzia! Z poziomu na czworaka się Leokadia wspięła, najpierw tylne nogi ugięła, tyły w stronę grupy gapiów wypięła, przednie łapy wyprostowała, wstała. Trafiła ją Jadzia złotym okuciem w łuk brwiowy, choć nie celowała, i matczyną krwią się zaląła Leokadia, okiem krwawym i strasznym łupała, zawarczała. Bokiem niezgrabnie ruszyła i z byka zaatakowała, ona wagi ciężkiej, Jadzia co najwyżej koguciej. Trzym się, Jadzia! Jadzia unik zrobiła, zachwiała się, upuściła torebkę i łokciem Leokadii zarobiła w nos, po-334

szła krew, beret spadł. Krwi smak Jadzia na ustach poczuła, oblizwała się, co za smak, jak tatar, podniosła torebkę, się zaparła. Straszny wzrok Jadzia Chmura miała, jakby ogień się w nim odbijał, jakiś płonący dom, kwiaty o czarnych łebkach w ogniu gorejące, czyjś strach. Mocniej chwyciła ucha torebki, wrzasnęła, broń się, cipo na kaczych łapach, i ruszyła. Cipa na kaczych łapach? Leokadia zrobiła krok w tył i poczuła, że złamał jej się obcas u lewego buta, pani sobie uważa, zapiszczała, bo Jadzia torebkę rozhuściła nad głową jak nunczaku, to już nie Jadzia, to Bruce Lee, chińskich diamencików w powietrzu błysk, ogień, świst, zamęt, wir! Pierwszy cios trafił

Leokadię w ramię, drugi w ucho, poprawiony trzecim precyzyjnie, łup, jeszcze raz łup i łup. Milicja! rozdarła się matka Leokadia, milicja, ratunku, na pomoc! Milicja poszła w pizdu, roześmiała się Krysia Śledź, teraz policję mamy, se pani może wołać do śmierci usranej, bo dziel-nicowy u proboszcza na śledziku. Pani se zawoła synka biskupa! poradził złośliwie Pypec. Dupa biskupa! poparł

go Józek Szygar. Łup, dostała Leokadia torebką w czoło i łup, drugie ucho, łup, nunczaku w pierś bujną, łup, w brzuch. Nogi z dupy powyrywam, jeszcze raz tu zobaczę! Won mi, od mojej córki wara! Łup ją w nos dla sprawiedliwości za swój nos krwawiący, poprawione pod oko, co za precyzja, oko za oko, krew za krew. Won!

Leokadia sromotnie pokonana zrobiła zwrot i kuśtykając, rzuciła się do ucieczki, a Jadzia biegła za nią jeszcze przez kilkanaście metrów i okładała po plecach, won, bo nogi z dupy. Won, cipo na kaczych łapach! Jeszcze raz na Piaskowej Górze zobaczę, to tak przyleję, że rodzony synek nie pozna! Won! darła się Jadzia, aż Leokadia zni-335

ła w śnieżnej perspektywie pasażu pod Babelem. Oklaski przywitały Jadzię zwycięską, poklepywali ją po łopatkach, wesołych świąt życzyli, wesołych świąt i szczęśliwego nowego roku; chyba pierwszy raz sąsiedzi ze znie-nawidzonego przez nią Babela wydali jej się tacy ładni, nawet jednoręki i bezzębny Józek Szygar, którego uścisk odwzajemniła, zapominając na chwilę o bakteriach. Krysia Śledź podniosła Jadzi beret, podała jej chusteczkę do otarcia krwi, otrzepała płaszcz, ale jej przypierdoliłaś, powiedziała z podziwem, gdy jechały windą na dziewią-

te. A jak! potwierdziła Jadzia nabuzowana, się stawiała, niemilizna jedna, to co miałam robić, na głowę dać se nasrać?

Gdy zwycięska Jadzia weszła do mieszkania, poczu-

ła zapach dymu wydobywającego się zza drzwi ubikacji.

Otworzyła je i zobaczyła teściową, wychudzoną i malutką niczym oserek, jak siedzi na zamkniętym sedesie z kolanami pod brodą i zaciąga się extra mocnym tak, jakby ssała pierś. Przebrała się już do wigilijnej kolacji, włożyła nowy sweter w fioletowo-czerwone wzory, któ-

ry jej Jadzia kupiła na Manhattanie, chyba nawet spró-

bowwała pomalować sobie brwi, bo dwie czarne krechy przecinały jej czoło linią krzywą wyżej, niż chciała natura. Przestraszyła się Halina na widok rozczochranej Jadzi, popatrzyła zdumiona na krew zakrzepłą pod jej nosem.

Jadzia? już kończę, wycharczała. Niech mamusia idzie do stołowego, siądzie se koło choinki i zapali jak człowiek, nogi wyciągnie, na pufie se oprze. Się potem wywietrzy.

Do stołowego? Matko Boska, pomyślała Halina, wlokąc się po ścianie w kierunku pokoju, skąd mrugały świat-

ła choinki, czyżby jej synowa znów zwariowała, jak po 336

porodzie? A może gorzej, pić zaczęła? Jadzia, skąd ta krew? Przewróciłaś się? Niech się mamusia nie martwi, z Leokadią Wawrzyniak się pobijałam pod Babelem. Jak to się pobijałaś? Podskakiwała, Dominice ubliżała, to ją je-błam. Ja to nic, ją by mamusia zobaczyła, cipę na kaczych łapach, zaśmiała się Jadzia, aż zadrżały kryształki na meblościance. A czym ją jebłaś, Jadzia? A torebką! Zwariowała jak nic! zdecydowała Halina i korzystając z okazji, zapaliła sobie następnego papierosa w stołowym. Ale to nie był koniec niespodzianek, jakie Jadzia miała w zana-drzu na wigilijne popołudnie.

Weszła do łazienki, wymyła twarz, przyłożyła sobie na chwilę mokry ręcznik do nosa, pociągnęła usta per-

łową szminką, przeczesła ondulację świeżo nakręconą z powodu świąt i przyjazdu córki. Ukucnęła przy wannie, gdzie pływał karp. Co się go nawybierała w Realu, naprze-bierała, ten za chudy, ten za tłusty, ten jakiś niewyraźny, pan mi tamtego, co się tak rzuca, pokaże, nie, nie tego zdechlaka, co mi pan tu wciska, o, tamtego, ale bysior, biorę. Na Babel leciała, mało nóg nie pogubiła, żeby nie zdechl jej po drodze. Karp podpłynął i spojrzał na Jadzię, do powierzchni wody pysk przybliżył, jakby chciał jej coś powiedzieć. I co, durny, pożyłbyś jeszcze? spytała Jadzia. Nie odpowiedział, ale wyglądał na zainteresowane-go dalszym rozwojem wypadków. Co miałbyś nie chcieć, odpowiedziała za karpia Jadzia, wszyscy chcemy. Podniosła się i wzięła wiadro plastikowe, w którym stał mop, zdaniem Jadzi jedna z największych zmian, jakie wniosły w jej życie demokracja i kapitalizm. Gdy coś się Jadzi podobało, mówiła, wiadomo, demokracja, albo, wiadomo, kapitalizm, z odpowiednio afirmatywną intonacją. Bo 337

też nie umywa się szmata do mopa, jeśli chodzi o mycie podłogi; nucila sobie piosenkę z reklamy,

gdy mopowała, wołę mopa, wołę mopa, nie chcę pełzać po podłogach, mopa, mopa, mopa wołę. Różnorodność środków do czyszczenia, wybielania, szorowania, odplamiania, dezynfekcji i nabłyszczania nadała higienicznej pasji jadzi nowy wymiar, bo teraz dopiero Jadzia-eksterminatorka miała pole do popisu w swojej walce z bakteriami i wi-rusami. Domestos, ace, gdzie tam do nich zwyktemu octowi! Przepłukała wiadro i wyłowiła nim karpia, ciężkie było. Dziwne, pomyślała Jadzia Chmura, karp to karp, ale że woda, przezroczysta jak powietrze, tyle waży. Mamusia sobie popali, potem ma tu colę, soczek wiśniowy, se wypije, ja zaraz wracam, rzuciła w drzwiach. Jadzia? Halina była już poważnie zaniepokojona, gdzie cię niesie?

Zaraz Dominika może przyjechać, a ty gdzieś ciekiesz, wycharczała. Z karpem w wiadrze? Jadzia? Się mamusia nie martwi, zaraz wracam, tylko karpia wypuszczę, i już jej nie było.

jak nic, znów zwariowała, myślała Halina, odpa-lając papierosa od papierosa, i uśmiechnęła się do siebie. Zwariowała jej synowa, ale jakoś lepiej niż wtedy, dwadzieścia sześć lat temu, gdy albo leżała i gniła, albo sprzątała i prała. A Jadzia biegła w dół przez Krzaki, któ-

re w ostatnich latach trochę uporządkowano, porobiono ścieżki, postawiano ławki, biegła w kierunku jeziora topielicy-pajęczycy. Już nie pompowano tam wody z kopalni, bo nie było kopalń; oczyszczono zbiornik i zrobiono dookoła skwer, posadzono wierzby, forsycje, iglaki. Były tam łabędzie i kaczki, karpie, które karmiło się z mostku, raz widziała nawet żółwia z czerwonymi paseczkami na 338

łębku, ale nie była pewna, czy jej się nie przywidziało, bo żeby żółw w Wałbrzychu? O tej porze nikogo, pustka, tafla wody zlewała się z ciemniejącym powietrzem, pierwszy śnieg tej ciepłej zimy zmiękczał kontury, ła-będź przepłynął w ciemności jak ulepiony z waty. Jadzia zatrzymała się na brzegu wody, popatrzyła na karpia, karp na nią, postawiła wiadro, podniosła twarz ku nie-bu, jak zawsze zimą było seledynowe. Ten kolor przypominał jej robaczki świętojańskie, które jako dziecko obserwowała w zaleskim ogrodzie; mamu, pomyślała jadzia, szkoda, że cię tu nie ma. Otworzyłabym ci sok je-

zynowy, malinowy, popiłabyś sobie z herbatą po kolacji, zaraz przyjedzie Dominika, zobaczyłabyś, jak wyrosła, jaka z niej światowa panna. Pochyliła się ?Jadzia, podniosła wiadro i chlusnęła wodę z karpem do jeziora topielicy-pajęczycy, które właśnie zaczynało pokrywać się cieniutką skórką lodu. W tym roku zamiast karpia będą kostki z mintaja, zaśmiała się, patrząc na rozchodzące się w gęstniejącej ciemności kręgi. Pewnie się przesłyszała, ale przez chwilę spod powierzchni wody dobiegał

śpiew w jakimś nieznanym języku. Zdażyła Jadzia wró-

cić z pustym wiadrem na Babel, wywietrzyć, nakryć do stołu, a nawet poprawić krzywo narysowane brwi teś-

ciowej, gdy zadzwonił dzwonek i w drzwiach stanęła jej córka, Dominika.

Mogę ci opowiedzieć historię Sary, mówi Dominika do Małgosi Lipki, która chce dowiedzieć się, co przyjaciółka robiła przez te lata. Siedzą na dachu Babela oparte plecami o komin, tak jak w czasach szkolnych, pada śnieg, zimno, powierzchnia dachu lśni srebrzyście. Coś srebrnego dzieje się w chmur dali, pamiętasz? Chmurdalia, uśmiecha się Dominika, jak mogłabym zapomnieć o Chmurdalii, przecież nie straciłam pamięci, ja tylko nie umiem już liczyć. Coś srebrnego dzieje się w chmur dali.

Wicher do drzwi puka, jakby przyniósł list. Myśmy długo na siebie czekali, recytuje Dominika. Pamiętam też, że chciałyśmy ją znaleźć, Chmurdalię. I co, pyta Małgosia, znalazłaś? Dominika wzrusza ramionami.

Opowiedz mi o Sarze, skoro nie chcesz o sobie, ja już wszystko ci powiedziałam, prosi Małgosia i czuje, że przez ten czas, który upłynął od rozstania, Dominika zmieniła się o wiele bardziej niż ona. Historia Mał-

gosi jej samej wydaje się prosta i nieciekawa, naciąga głębiej czapkę i uśmiecha się do przyjaciółki. Opowiedz mi o Sarze, twojej towarzyszce podróży, prosi i wie, że to, co czuje, w połowie składa się z zazdrości. Minęło siedem lat, Małgosia patrzy na twarz swojej pierwszej miłości nie miłości, która nigdy nie wyszła poza co by było gdyby i gdyby tylko, poza jakieś Chmurdalie na dachu Babela, pod obłokami, które pędziły jak szalone po winie Ciociosan wypitym prosto z butelki, ciepławym.

Dominika jest teraz taka, jaką Małgosia stałaby się być może, gdyby miała odwagę nie robić wszystkiego we-340

dług rozsądnego planu, najpierw szkoła, potem studia, dobra praca, oszczędności, kochanki nazywane partner-kami i następujące po sobie bez większych wstrząsów, tydzień dyskomfortu po zerwaniu, miesiąc lekkiego przygnębienia. Kolejne podobne do siebie kobiety, wykształcone, drobne i kościste, mówiące zdaniem podrzędnie złożonymi, cytujące z pamięci Jeanette Winter-son. Pojawiają się w życiu Małgosi wówczas, gdy akurat bardzo potrzebują pomocy, a ona matkuje im z oddaniem i robi rano śniadania, których jej matka nigdy nie przygotowywała, wieczorem zapala świece do kolacji podanej na efektownie ozdobionym stole, przy jakim nigdy nie siadała w dzieciństwie. Jakimś cudem znajduje czas na pranie i prasowanie, a między ubrania wkłada aromatyczne woreczki ziół. Jest gotowa bronić swoich kolejnych partnerek przed homofobicznymi pracodawcami, toksycznymi byłymi miłościami i nietolerancyjnymi rodzicami, nawet gdy jej o to nie proszą. Umawia je na wizyty u terapeuty i trzyma za rękę u dentysty, jest zawsze czujna i gotowa do pomocy, gdy jej potrzebują i gdy myśli, że tak jest. Gdy jednak kobiety, którym Mał-

gosia matkuje, już wydobrzeją z załamania, agorafobii czy anoreksji, gdy już zdecydują, że wolą opiekować się sierotami w Kambodży niż pisać doktorat, albo rozwiążą dylemat: powołanie czy pieniądze, znikają. Mówią, że je tłamsi i przydusza nadopiekuńczością, że jest jak matka, która daje za wiele, i Małgosia znów zostaje sama.

A ty? pyta Dominikę, ja lubię być sama, odpowiada Dominika, nie mam partnerów, mieszkam tylko towarzyszy podróży. Opatulone w grube kurtki, szale i czapki, palą na spółkę skręta z marihuany, pada śnieg i tak jak przed 341

laty czuć w nim węglowy pył, Dominika wystawia język i łapie śnieżne płatki. A więc lubisz być

sama? upewnia się Małgosia. Tak. Dominika ma różowy, śmieszny język; czuje, że Małgosia się jej przygląda, i zwija go w trąb-kę, jakby dawała znak, że to ciągle ona, prawie taka jak przed laty. Gdzie teraz jest ta twoja Sara? pyta Małgosia. Sara została w Nowym Jorku. Tamtejszy śnieg nie może się równać z wałbrzyskim, prawdziwy śnieg powinien mieć lekki posmak węglowego pyłu, mówi Dominika. Ale to się wie, gdy się stąd wyjedzie. W East Village, gdzie mieszkałam, pada żółty śnieg śmierdzący sikami, pisarze od rana ustawiają się w kolejkę do bezdomnych zzasikanego Tompkins Square, by wycisnąć z nich jakąś historię. Są nawet komitety kolejkowe jak u nas za komuny, pisarze robią listę, kłócą się, pan tu nie stał, gdzie się pan wpycha, won na koniec, cwaniaku. Zwłaszcza nowi nieźle muszą się na starać, żeby w ogóle się wkrę-

cić, a jak już się dopchają do jakiegoś bezdomnego, to tamten jest tak wyczerpany, że gada byle co. Bezdomni z Tompkins Square nocami grzebią po śmietnikach, widziałam nieraz z okna, jak rozwalali gazety i książki zwią-

zane na makulaturę, by znaleźć coś ciekawego w jakimś tabloidzie albo starej powieści, bo za historię dostają od pisarzy parę dolarów. Poza tym w cukierni na Pierwszej Alei robią pyszny czekoladowy placek z wiśniami, ale Ivo mówi, że piecze lepszy, a to jest gówno, nie placek, jego zdaniem Amerykanie potrafią co najwyżej zrobić ham-burdera. Kim jest Ivo? Dyplomowanym cukiernikiem, mieszka we Francji, marzy, by otworzyć cukiernię o nazwie Croissant du galant, odpowiada Dominika. Rogalik galanta? Dokładnie. Gej? Owszem. Więcej Małgosia 342

nie dowie się na razie ani o ludziach, których Dominika poznała po drodze, ani o miejscach, w których mieszkała. A więc śniegiem odpowiada na śnieg; kiedy pada w Londynie, wszyscy wpadają w panikę, stają autobusy, zamyka się szkoły, w szpitalach mamy pełne ręce roboty.

Katastrofa żywiołowa, piszą w gazetach, zasypało nas na białą, ratunku, Brytania w stanie klęski. Masz rację, żaden śnieg nie umywa się do wałbrzyskiego węglowego, Małgosia niezdarnie poklepuje Dominikę po ramieniu.

Dobrze, że się spotkałyśmy, mówi po chwili, myślałam o tobie, nie znałam twojego adresu. Bo ja nie miałam adresu, śmieje się Dominika. Gdybyś wysłała list, przyszed-

łby już do kogoś innego, zrobiłoby się zamieszanie, gdyby ten ktoś pomyślał, że jest mną. Wyobrażasz sobie? Ale ty mogłaś pisać, o tym, gdzie jesteś, co robisz, upiera się Małgosia, zostawiłam adres twojej mamie. Nie miałam o czym, raz byłam tu, raz tam, żadnych Chmurdalii po drodze. Dobrze, że się dowiedziałam o twoim przyjeź-

dzie, mówi Małgosia. Myślę, że dobrze, zgadza się Dominika i wydmuchuje chmurkę dymu. A teraz tu jesteś, Małgosia kładzie się na śniegu i zamyka oczy; Dominika także opada na plecy. Robimy orła? Robimy! Ramionami i nogami wymiatają śnieg, dwa orły na dachu Babela. Or-lice bez korony, mówi Małgosia, ale lotne.

O przyjeździe Dominiki Małgosia dowiedziała się od ojca; między zdaniem poświęconym stanowi matki, który od zawsze był beznadziejny, a zdaniem na temat stanu medycyny, który nieco się w Polsce poprawiał, doktor Lipka powiedział swojej córce lekarce, że podobno Dominika Chmura przyjedzie do Wałbrzycha na świę-

moja córka przyjeżdża z Ameryki, świetnie jej się powodzi, dolary, narzeczeni, samochody, opowiadały mu pa-cjentki. Doktor Lipka był ciągle w tym samym miejscu na Szczawienku, jego jedynaczka, Małgosia, córka, z której powodu czuł mieszkankę dumy i niechęci, tak wybuchową że ciągle mu się odbijało i musiał przeproszać pa-cjentki, była na ogół w Londynie. Ta, jak jej tam? zacukał

się więc do słuchawki, choć dobrze pamiętał, ta Chmura, co po wypadku znikła jak kamfora, podobno przyjedzie, jej matka lata po Piaskowej i gada cuda-niewidy. Dominika? Jakże doktora Lipkę irytował ten głęboki, spokojny głos córki, jak za tym głosem, który teraz załamał się leciutko, tęsknił. Znał jojczący głos żony, która mimo ilo-

ści spożywanych psychotropów i alkoholu wciąż żyła, ale kto wie, może żyła właśnie dlatego; znał głosy pacjentek, przerażonych ciążą, guzem, radosnych, że ciąża, że nie guz, ale głos jego córki nie przestawał go zdumiewać po-mieszaniami kobiecości i męskości, które w jego świecie były rozdzielone. Dominika, powiedziała jego córka, ona ma na imię Dominika, tato. Dominika, prawda, potwierdził doktor Lipka, jakby dopiero teraz przypomniał sobie imię długonogiej dziewczyny, z którą w szkole przyjaź-

niła się jego Małgosia. Widział, jak na nią patrzyła! On mógłby tak patrzeć na dziewczynę, ale nie jego córka, popieprzony świat. Myślał, że po studiach medycznych Małgosia wróci do Wałbrzycha i najpierw popracują razem, a potem ona przejmie gabinet, a właściwie nie myślał, tylko marzył, i jako człowiek przyzwyczajony do tego, że marzenia nie są po to, by się spełniać, szybko pogodził się z wyborem córki i wpasował go w swój świat. Doktor Lipka miał swoje przyjemności, miał ko-344

legów lekarzy z Wrocławia, Opola, Świdnicy, z którymi kilka razy w roku jeździł na polowania, były imprezy organizowane przez firmy farmaceutyczne, były hostessy, młode, często chętne, bo teraz jak elegancja, to hostessy, a jak stary burdel, to wystarczą kelnerki. Opowiadał na polowaniach, moja córka robi karierę u Angoli, tam to mają sprzęt, a jak płacą, koloryzował, jak tam za miesiąc płacą lekarzom, to głowa mała, u nas by żył przez rok i żarł frykasy. Fakt, iż córka została lekarką, był jedyną rzeczą, jaka ich łączyła, i rozmawiali jak dwoje wędkarzy, którzy spotkali się przypadkiem nad stawem. No jak tam? pytał ojciec, a córka odpowiadała, jakoś idzie, albo, niespecjalnie, gdy szło akurat gorzej. Nigdy nie rozmawiali o życiu prywatnym, a najbardziej osobiste pytanie, jakie doktor Lipka zadawał jedynaczce, brzmiało właśnie, no jak tam? Ona pytała o matkę przemieszczając się między szpitalem psychiatrycznym, odwykiem a domem i mało komunikatywną; po staremu, odpowiadał wtedy doktor Lipka i nie było już o czym mówić, tym bardziej że zwykle do rozmowy włączał się wtedy wrzask matki z głębi domu i lekarz musiał odwrzasnąć, by się zamknę-

ła. Doktor Lipka odwiedził córkę w Londynie i udawał, że podoba mu się to miasto, w którym po godzinie dostał bólu głowy, bo za dużo było ludzi, zapachów i rzeczy nieznanymi, rzeczy dziwnymi, przemykających zbyt szybko i pod prąd przyzwyczajenia. Udawał jednak, że czuje się tam jak ryba w wodzie, i radośnie witał znajome drogowskazy, które mogłyby go w tej wielkoświatowości własnej potwierdzić, o, jolenny Walker! na reklamę whisky, o, księżna Diana! na portret księżnej Diany, o, nasi!

na Polaków, a córka mocniej ścisnęła jego ramię, żeby 345

jej się nie zgubił ani nie wpadł pod samochód. Małgosia przez te lata tylko dwa razy przyjechała do Polski, zawsze w pośpiechu, w drodze z ważnego skądś do jeszcze waż-

niejszego dokądś, między którymi Wałbrzych był niczym kłopotliwa stacja przesiadkowa, na której trzeba chwilę poczekać, pijąc niesmaczną herbatę w barze. A więc Dominika przyjeżdża, powiedziała jego córka, i ten ton wykraczający poza ich rutynowe jakoś, po staremu, jednocześnie zirytował ojca Małgosi i ucieszył. Nie zdziwił

się, bo czekał na tę wiadomość; Małgosia zadzwoniła trzy dni przed Wigilią, u mnie jakoś idzie, przylecę na świę-

ta, tato, powiedziała, przylecę was odwiedzić. Nie musisz po mnie wyjeżdżać, wynajmę samochód we Wrocławiu; nie to nie, oczywiście musi być na jej, musi pokazać, że ja stać na fanaberie, bo na cholere wynajmować samochód, płacić, jeśli on może przyjechać swoim. Małgosia wyjechała do Anglii na stypendium po trzecim roku medycyny, wkrótce usłyszeli, że tam skończy studia, nie wraca, da sobie radę, niech się o nią nie martwią. Zawsze tak mó-

wiła i zawsze dawała sobie radę, w jakiś sposób ta słowo-ność upodabniała ją do matki alkoholiczki, która, odkąd ją doktor Lipka pamięta, mówiła, że nie da sobie rady, i rzeczywiście. Doktor Lipka pomyślał, że córka właściwie nigdy o nic go nie prosiła i że to już się nie zmieni, bo przegapił okazję, gdy mógł jej cokolwiek dać. Zresztą nic oprócz pieniędzy nie przychodziło mu do głowy; została lekarka i ten fakt wydawał mu się całkiem naturalny, nawet nie pomyślał, iż on, ojciec we własnym mniemaniu nieudany, mógł stanowić dla niej inspirację. To jego wina, że jest taka. Jego żona nigdy do niczego się nie nadawała, ale on mógł jakoś, coś, coś mógł, do diabła. Taka, mówił

346

i nigdy przez gardło nie przeszło mu słowo lesbijka, a gdy czasem stracił czujność i już prawie formowało się w jego ustach, rozpląszczał je między językiem i podniebieniem, miażdżył zębami i podśpiewywał sobie pod nosem, popijając whisky, linijka, świniujka, gziujka, ka, i łyk, grzechot kostek lodu. Od paru lat to straszne słowo atakowało go z nienacka z telewizji, z gazet, włączał swój nowy wielki odbiornik, brał gazetę, a tu syk lesssbijki już wspinał

mu się po łydce i pełzył w górę pod nogawką domowych dresików, jeszcze chwila i będzie nieszczęście. Próbował

doktor Lipka coś czytać o lesbijskich i gejach, jak to się teraz mówiło, ale ciśnienie mu skakało przy takim czytaniu i kręcił głową, co za czasy. Małgosia dostała dobrą pracę u Angoli, robi doktorat, tak mówił znajomym, którzy potem i tak po cichu sobie powtarzali, że uciekła od matki wariatki, wytrzymać nie mogła, po co ten Lipka pieprzniętą babę w domu trzyma, do Stronia wysłać, normalną znaleźć. Poza tym wiadomo, że ta córka to hornoniewia-domo. Inaczej dawno za mąż by wyszła, lekarka z posadą w Londynie chłopca długo szukać nie musi. Gdy doktor Lipka dzwoni do córki, czasem włącza się automatyczna sekretarka po angielsku, czasem włącza się po angielsku jakaś inna kobieta zamiast Małgosi i spłoszona jego nie-poradnym słownictwem woła, Margo! Margo! albo

Margo nie ma, ja jestem Kejt, Džen, Džil, bardzo mi miło; Kejt, Džen, Džil, Dupadil, wykrzywił się do słuchawki doktor Lipka, któremu miło wcale nie było. Margo, też mi imię dla córki, Margo, Kejt, Džen, Džil, wery najs, mi tu. Mi tu kaktus prędzej wyrośnie, niż mi będzie miło.

Małgosia tej zimy przywiozła jeszcze więcej prezentów niż poprzednio, jakby chciała za nimi ukryć
347

prawdziwy powód świątecznej wizyty w Wałbrzychu, i nie mówiła już w drzwiach, że tylko na chwilę, że zaraz gdzieś polecą albo wyskoczą. Opsikiwała zamroczoną matkę perfumami Diora, aż się rodzicielce chrapy roz-dymały na zapach alkoholu, rozkładała wokół pakunki i płytki ze zdjęciami, na których przechowywała miniony czas, tak jak Jadzia Chmura swój w słoikach z przetwo-rami; na tej są zdjęcia jej i Kate z nurkowania w Belize, co za woda, jaka widoczność, tu z wyprawy do Afryki z Jenn, weszłam na Kilimandżaro, ciężko było, ale we-szłam, spanie po drodze w namiotach, wyobraźcie sobie szron, mało tyłek mi nie odmarzł, a tu trochę muzyki, japońskie bębny, Jenn była pół-Japonką, gdzieś mam całą płytkę z Kioto, śpiewy Berberów, prawdziwa rzadkość, z Jenn na Saharze, a może najpierw chcą jednak spróbować marmite? o, tu w słoiczku, straszne świństwo, jak maść ichtiolowa z solą, przywiozłam na spróbowanie, bo spróbować można z ciekawości, tu krawat, japońskie bębny, śpiewy Berberów, Sahara, Kioto, Belize, marmite, Kilimandżaro. Doktor Lipka pomrukiwał coś ni to twierdząco, ni to przecząco, a Małgosia niezrażona ciągnęła opowieść, jak byłam z Jill w Toskanii, jaka pizza, pasta z pesto, apaszka, z pieca na prawdziwe drewno; zaraz im tosty robi z marmite, a może puści im film, na którym ona i Jenn, Kilimandżaro, ona i Kate, taka mgła, że nic wi-dać nie było, i szron, szron, czy o szronie mówiłam? Ojciec patrzył na Małgosię i widział swoje oczy, żywe, brą-

zowe, swoją przysadzistą postać, włosy w takim samym kolorze zgniłych liści, ale tam, gdzie u niego miękkość, córka jest twarda, duży biust, lecz poniżej żadnych fał-

dek, żadnych zwisów po bokach, mocne ciało za pakowa-348

ne w dzinsy i koszulę, rzemikowe bransoletki poowijane wokół nadgarstków i, do stu diabłów, tatuaż. Podwinie-

te rękawy, przedramię pokryte mapą pieprzyków, może mógł wyczytać z nich przyszłość, gdy była mała, i byłby przygotowany na te wszystkie Kejt, Džen, Džil, marmite, Kilimandżaro, szron na tyłku, pasta z pesto. Małgosia po-siedziała chwilę, klepała matce w czoło krem odżywczy, który niestety nie ma mocy odżywiania mózgu, obejrzała nowy ultrasonograf w gabinecie ojca, a siedziała, wklepywała i oglądała tak, jakby już biegła w górę przez Krzaki do tamtej dziwnej dziewczyny z Piaskowej Góry. Doktor Lipka pamięta jak dziś ten dzień, gdy jego Małgosia i proboszcz Postronek znaleźli Dominikę po wypadku.

Wszystko umiała, gówniara, zrobić, jakby już lekarzem była, a ledwo na studia się dostała. Udrożnienie dróg oddechowych, odpowiednia pozycja ciała, usztywnienie karku, mówili mu, że sanitariuszy po kątach poustawiała, bo dwóch młodych szczyli przyjechało, co mniej wiedzieli niż ona. Ledwo to od ziemi odrosło, a już! Inna darła-by się, piszczała, że krew, że ogień, ojejku jejku, a jego osiemnastoletnia córka licealistka ratowała życie tej dziewczyny. W „Trybunie Wałbrzyskiej” o tym napisali ze zdjęciem, a doktor Lipka do dziś przechowuje wycinek.

Małgosia wzruszyła ramionami, gdy wychodziła zobaczyć się z Dominiką, i ojciec nie wiedział, czy była w tym niechęć, czy bezsilność, więc powtórzył gest córki i ich porozumienie wędkarzy zostało podtrzymane.

Małgosia pobiegła przez Krzaki, tak jak tamtego lata, gdy uratowała przyjaciółkę z jeziora topielicy-pa-jęczycy; wspięła się z Dominiką na dach Babela, który pod seledynowym niebem dryfował przez noc jak trans-349

atlantyk. Były teraz wyżej niż cała Piaskowa Góra; w oknach mrugały światełka choinek i telewizorów, ale to życie wewnątrz kabin toczyło się w innym wymiarze. To co z tą Sarą? pyta Małgosia. Opowiedz mi wszystko, opowiedz mi coś szalonego, Dominiko Chmuro.

Sara jest potomkinią Hotentockiej Wenus, zaczyna Dominika, a nawet jeśli nie jest, to mogłaby być.

Słyszałaś o Hotentockiej Wenus? Słyszałam, odpowiada Małgosia i myśli, że tylko Dominika Chmura mogła przywieźć taką historię na Piaskową Górę, zamiast nie-

ślubnego dziecka, zagranicznego narzeczonego, które-go tak pragnie starsza pani Chmura, czy choćby starego samochodu z Niemiec. A więc wiesz, jak Wenus wyglą-

dała, ciągnie Dominika, i możesz sobie trochę wyobrazić Sarę, ale uważaj, żadna z niej niema muza Baudelaire'a, Sara Jackson mówi biegle w trzech językach, pachnie paczuli, ma żółte oczy i bardzo silne dłonie, gdy po wy-

padku byłam słaba jak mucha, podnosiła mnie w górę i mówiła, idziemy, dziecko, idziemy. Gdyby Baudelaire przesadził z recytowaniem poezji, Sara ziewnęłaby i powiedziała, że woli prozę i jak ma jej coś ciekawego do opowiedzenia, to proszę bardzo, jeśli nie, to ona ma go w nosie i idzie na piwo. Poza tym mężczyźni, poeci czy nie, nie interesują jej, bo Sara, opowiada Dominika, nade wszystko lubi opowieści. Jej prababka Destinee ciągle opowiadała o Czarnej Wenus. To była nie byle jaka historia, bo Wenus, aktorka prowadząca światowe życie, nie tylko posiadała kolekcję garderoby, jakiej nie widywano na Brooklynie, ale latała na żyrandolu, na kryształowym, wyobraź sobie. Gdy się znudziła, zmęczyła, hop, chwyciła się żyrandola i leciała do Paryża, do Londynu, do 350

Afryki, tak jak my na dachu Babela do Chmurdalii. Sara uwielbiała tę historię, żyła w tej historii o wiele bardziej niż w codzienności. Sara opowiadała, opowiada Dominika, że weszła raz na krzesło, miała wtedy może z siedem lat, wspięła się na palcach, złapała się klosza i wyrwała całą lampę z sufitu, kable poszły w diabły i przez cztery dni nie było w domu światła. Babka La-Teesha mało się nie wściekła, bo za elektryka musiała zapłacić. Sara opowiadała, opowiada Dominika, że potem szukała tego uczucia, jakie może dać bujanie się na żyrandolu ponad głowami, ponad miastami i morzami, ponad kontynentami, i odnalazła je na karuzeli łańcuchowej, na której potrafiła przelecieć się sześć razy z rzędu, do tej pory uwielbia wesołe miasteczka. Po prababce Destinee Sara odziedziczyła Biblię, a w niej znalazła starą zniszczoną kartkę z wizerunkiem Wenus, wyglądającą trochę inaczej niż w opowieści, bo o wiele bardziej podobną do kobiet, wśród których Sara dorastała mi Brooklynie, niż do jakichś aktorek z Paryża. Kobieta o pełnych kształtach, w kolorze dobrze wypieczonego chleba, złożona z okrą-

głych, jędrnych części, o wystających pośladkach i solidnych udach. Na obrazku, który tak oczarował Sarę, była karykatura Saartjie Baartman, kobiety z plemienia Khoi-

-Khoi, pokazywanej w XIX wieku w miastach Europy jako egzotyczna osobliwość i brakujące ogniwo między mał-

pą a człowiekiem; personifikacja czarnej i dzikiej Afryki wystawiona na spojrzenie białej i cywilizowanej Europy.

Mała Sara tego oczywiście nie wiedziała i dzięki opowie-

ści Destinee nadała wizerunkowi zupełnie inne znaczenie, dla niej to po prostu była Wenus, aktorka z Paryża, latająca na kryształowym żyrandolu, silna, wolna i piękna-351

na. Kobieta na wizerunku, potężna niczym królowa, ob-nażona, z papierosem w ustach, wydawała jej się niesa-mowita, emanowała mocą i czułością jednocześnie. Sara wyobraziła sobie, że taka mogłaby być jej matka Shaunika, gdyby nie umarła, ona sama może taka stać się i wy-

ruszyć w świat, to była kusząca perspektywa. Sara opowiadała, opowiada Dominika, że z małej i chuderlawej dziewczynki o klatce piersiowej jak klatka dla papugi szybko stała się bardzo kobiecą nastolatką, rzeczywiście coraz bardziej podobną do postaci ze starego obrazka.

Na ilustracji, którą Sara odziedziczyła po prababce, napi-sy są zatarte, rysunek ledwo widoczny, i gdy nauczyła się czytać, zgadywała, co jest napisane w dymku nad głową Wenus i pod jej stopami. Love and Beauty. Saartjee the Hottentot Venus, to dało się odcyfrować, ale już niewiele więcej; Take care of., tyle było widoczne w obłoczku, który przechodził w jakąś tłustą plamę, i Sara opowiada-

ła, opowiada Dominika, iż była pewna, że Wenus przekazuje jej w ten sposób wiadomość, której sens powinna odkryć. Dbaj o ... o co? Na wszelki wypadek Sara otacza-

ła odtąd troską wszystko, co jej zdaniem potrzebowało opieki, i raz jakaś staruszka, którą chciała przeprowa-dzić przez ulicę na Brooklynie, walnęła ją laską i złama-

ła nos, bo myślała, że mała Murzynka próbuje zwędzić jej torebkę, Sara opowiadała, opowiada Dominika, że jej dziadek, Johnny Torba Pełna Niespodzianek, podczas jednej z krótkich wizyt przyniósł papugę, wielką jak kura i osowiałą, zachowywała się, jakby była naćpana, co zwa-

żywszy na kręgi, w jakich się obracał pan Johnny, było zresztą wysoce prawdopodobne. Papuga była jaskrawo-czerwona jak wnętrze papai i miała trochę wyleniały łeb, 352

którym z uporem tarła o pręty klatki. Johnny znikł, pod-prowadzając im nowe żelazko, i babka La-Teesha, wściekła i rozgoryczona, miała ochotę w ślad za nim wysłać tego wielkiego ptaka, i to najlepiej kopniakiem w dupę.

Jednak Sara uparła się, że zaopiekuje się papugą, mówi-

ła do niej, głaskała, karmiła jakimiś papkami, aż zwierzę wydobrzało, rozpostarło skrzydła i rozdarło

się: wie de merde! Ptaszysko płci nieznanej i takiegoż pochodzenia mówiło po francusku, czego nikt na Bed-Stuy nie potrafił sobie wytłumaczyć, ale Sara uznała to za znale Zaopiekowała się papugą, a ta mówi po francusku, Wenus była aktorką w Paryżu, opowiadała Sara, opowiada Dominika, to układało się w jakąś całość, której sens domagał się zrozumienia. To wtedy Sara wymyśliła sobie, że zostanie pielęgniarką albo rehabilitantką, będzie troszczyć się o pacjentów po wypadkach, operacjach tak jak o papugę i dzięki jej umiejętnościom wrócą do zdrowia. Jediną istotą oprócz papugi, która chciała słuchać opowieści Sary o Wenus, był właściciel sklepu American Values, polski Żyd Icek Kac. Babka Sary, La-Teessa, mó-

wiła, że jak na Żyda, to porządny z niego człowiek, pewnie w poprzednim życiu był czarny, i grzebała w koszach z przecenionymi towarami, wymieniając z lekiem uwagi o polityce i pogodzie, dwóch rzeczach, na które nie mia-

ła żadnego wpływu. Sara odnosiła wrażenie, że babkę i Icka coś łączy, nie, nie romans, coś o wiele głębszego i bardziej pokrętnego, ale była za mała, by to zrozumieć. Zaczęło się od tego, że kiedyś, gdy poszła tam z babką na zakupy, Icek chciał jej dać lalkę, taką, jak to lalki, plastikową różową blondynę, a ona zapytała, czy ma inne, bo chciałyby lalkę przypominającą Czarną We-353

nus. Czarna Wenus? zamyślił się Icek Kac, może znajdziemy, ale musisz mi o niej więcej opowiedzieć. Pierwszy raz ktoś pragnął jej opowieści! Opowiadała Sara, opowiada Dominika, że zaczęła przychodzić do Amerykańskich Wartości i pomagać przy układaniu towarów, segregowaniu poplątanych biustonoszy i skarpetek, nalepianiu cen wypisanych na jadowicie różowych karteczkach, a Icek Kac nie dziwił się najbardziej nawet nieprawdopodobnej historii o Wenus, jaka przychodziła jej do głowy. Kryształowy żyrandol? dlaczego nie, a czy wie, z czego robi się kryształki? czy wie, że to specjalnie spreparowane szkło? Afryka, niech będzie Afryka, a czy chciałyby zobaczyć wielką mapę świata? znajdą na niej Afrykę, a w Afryce białą plażę, gdzie Wenus mogła przyjść na świat i urządzić przyjęcia. Jeśli ktoś rozumiał

potrzebę opowieści nekającą Sarę, to był to właśnie Icek Kac, podrzucił jej delikatnie i niepostrzeżenie nowe fakty, z których Sara tknęła opowieść o Wenus i jednocześnie swoją przyszłość; do dziś nie jest pewna, opowiadała Sara, opowiada Dominika, ile Icek wiedział, czy znał historię Hotentockiej Wenus, zanim go o nią zapytała. Od niego dowiedziała się, że słowo Hotentot jest obraźliwe, i nauczyła się oryginalnej nazwy plemienia, z którego Wenus pochodziła, Khoi-Khoi. Hotentot, ją-

kała, tak holenderscy kolonizatorzy nazywali Khoi-Khoi, bo nie mogli ani zrozumieć, ani nauczyć się języka, któ-

ry wydawał im się barbarzyński i brzydki. Znasz najdłuż-

sze słowo po niemiecku, pyta Dominika Małgosię, Nie?

Hottentottenstottertrottelmutterbeutelrattenlattengitter-kofferattentater, czyli zabójca hotentockiej matki głup-ka i jąkały umieszczony w kufrze z plecionki przezna-354

czonym do przechowywania schwytanych kangurów. To nasz Tuwim wymyślił, a Icek Kac je znał i

nauczył Sarę, która ma wielki talent do języków. Sara pokazała lekowi wizerunek Hotentockiej Wenus jeszcze bardziej zatarty i zniszczony od ciągłego oglądania, a właściciel American Values nie powiedział, słuchaj, głupiątko, ten obrazek to karykatura, twoja Wenus była niewolnicą, a nie aktorką, pokazywano ją w klatce jak zwierzę. Nie, zamiast tego, dbaj o nią, powiedział, jest bardzo piękna; i dał Sarze tekturową teczkę w truskawki, gdzie karykatura Hotentockiej Wenus spoczywa do tej pory. Icek Kac, opowiadała Sara, opowiada Dominika, pokazywał jej obrazki z brytyjskich gabinetów osobliwości, były tam karły, albinosi, kobieta z piękną falistą brodą, wielkolud o smutnej twarzy, ciała nietypowe, zniekształcone, dzikie, jakby chciał

ją przygotować na coś, co dopiero miało nadejść.

Gdy Sara dorosła, zaczęła szukać innych śladów Wenus, inkrustowała szaloną opowieść babki Destinee faktami z życia Saartjie Baartman. Opowiadała Sara, opowiada Dominika, że Saartjie Sarah Baartman urodziła się w roku 1789 na południowym wybrzeżu Afryki w plemieniu Khoi-Khoi; jej prawdziwe imię nie jest jednak znane, a to, pod którym przeszła do historii, zostało jej nadane przez białych. Portugalczycy odkryli te ziemie już na początku XVII wieku i od tego momentu zaczęła się tam cywilizacja, która dla Khoi-Khoi oznaczała głównie syfilis, niewolnictwo i inne białe choroby, łącznie z białą religią, która okazała się dla tubylców najbardziej śmiertelna. Saartjie wychowywała się na Wschodnim Przylądku, nad rzeką Gatmoos, jej Khoi-

-Khoi byli pasterzami bydła i owiec, wędrownym ludem, 355

przemieszczali się wzdłuż wybrzeża ze swoimi stadami.

Saartjie straciła rodziców, gdy jej plemię zostało zaatakowane przez białych osadników. Nie wiadomo, gdzie przebywała i co robiła potem osierocona dziewczynka, ale to wtedy nadano jej białe imię Sarah i białe nazwisko Baartman. Saartjie to afrykanerska wersja Sary, oznacza małą Sarę i wyraża raczej podporządkowanie nazywają-

cemu niż jego czułość, bo w tej historii w ogóle niewiele jest troski i czułości. Kolejna pewna rzecz na temat Saartjie to jej służba u holenderskiego farmera nazwiskiem Caesar. Jest prawdopodobne, że zanim tam trafiła, zosta-

ła przyuczona do prac domowych w jakiejś szkole misyjnej, i wtedy odebrano jej pierwsze imię, którego nigdy nie miała odzyskać, bo wydawało się tak nic niewarte, że nikt go nie przechował. Nie wiemy, czy była dobrze traktowana przez Caesara i jego rodzinę i jak wyglądało jej życie. Ja, mówi Dominika, gdy Sara opowiadała mi tę historię, wyobraziłam sobie dom otoczony werandą, jest samo południe, okna zasłonięte, cisza, a wokół drga powietrze tak gorące, że wszystko, co żywe, ucieka w poszukiwaniu cienia pod rozpalonym do białości niebem.

Wewnątrz żona Caesara, ponura kobieta o sinawej cerze i wielkich dłoniach, przeklina Afrykę i los, który każe jej mieszkać na tej bezbożnej ziemi, tak gorącej, że można w niej gotować jajka. Z tego martwego domu na pustkowiu wychodzi młoda Murzynka, ma bosa stopy, niesie na głowie kosz z upraną bielizną, zatrzymuje się nagle i patrzy tak, jakby wiedziała, że ten biały żar zapowiada coś innego, paryski śnieg, londyńską mgłę. Kolejna pewna data to rok 1810, gdy Saartjie zostaje sprzedana bratu farmera, Hendrickowi, który ma ziemię w pobliżu.

Może sam wpadł na ten pomysł, może ktoś mu to podpowiedział, ale wkrótce potem postanawia on opuścić Afrykę razem z Saartjie. Lord Caledon wydaje awantur-nikowi pozwolenie na wywiezienie dziewczyny z Afryki; podobno nie wiedział, biedny, w jakim celu Hendrick zabiera młodą Murzynkę do Londynu, i było mu potem wstyd. Ale stało się. Na statku, którym płynęła z Kapsztadu dwudziestoletnia Saartjie, były prawdopodobnie inne egzotyczne zdobycze martwe i żywe, możemy je sobie wyobrazić, szalejący w klatce lew, skóra zebry, kły słonia. Jak mogła wyglądać morską podróż Holendra Hendricka i Saartjie, która miała wkrótce zostać Hotentocką Wenus? Wyobrażam sobie, mówi Dominika, że ubrana po europejsku stała i patrzyła na ocean, znikające na horyzoncie brzegi Afryki i zaczynała rozumieć, że nigdy tam nie wróci, ale nie może utracić nadziei na ten powrót, bo wtedy nie będzie miała już nic. Co pomyślała, gdy zobaczyła Wielką Brytanię? Kraj, który nie miał nawet nazwy w języku khoi-khoi? Jaki zapach miała dla niej ziemia tak inna od wszystkiego, co znała? Czy podczas podróży Hendrick rozmawiał z nią, a jeśli tak, to o czym?

Obiecywał jej wspaniałe życie w Europie? Traktował ją pogardliwie? Z niechęcią? Pożądaniem? Sypiał z nią? Sypiał, mówi Małgosia, nie oparłby się, musiał na własne oczy zobaczyć, co ona tam ma, przekonać się, jaka jest w dotyku, jak smakuje, a im mniej ją rozumiał, tym bardziej jej nienawidził. Mogli rozmawiać, podpowiada Dominika, bo Saartjie mówiła biegle po holendersku, i to kolejny znak, że pewnie była w szkole misyjnej; ale mogli też milczeć. Może Hendrick, zadowolony, że udało mu się wywieźć Saartjie z Afryki, prawie się do niej nie

odzywał, może rozmowę z czarną dziewczyną uważał za coś poniżej godności, a wstyd z powodu tego, co zrobił, szedł w zawody z zadowoleniem na myśl o przyszłych zyskach. Być może już liczył pieniądze, jakie zarobi na Saartjie, i patrzył na jej wypukłe pośladki, które wyrastały poniżej kręgosłupa jak wielki mięsisty kwiat. Im bardziej otłuszczone były pośladki kobiety Khoi-Khoi, im bardziej wystające, tym uważana była za piękniejszą przez współplemieńców. Steatopygia, mówi Małgosia, tak w ję-

zyku medycyny nazywa się zwiększony przyrost tkanki tłuszczowej na pośladkach, który cechuje między innymi kobiety Khoi-Khoi i Pigmejki. Za klasyczną steatopygię uważa się przyrost pod kątem 90 stopni, wyobraź sobie, i z tego punktu widzenia neolityczne figurki kobiece, na przykład Wenus z Willendorfu, nie mają klasycznej steatopygii, bo im przyrasta pod kątem 120 stopni. Wszystko potrafimy zmierzyć, nawet normalny i nadmierny przyrost tyłka, a jako punkt odniesienia służy nam nasza biała dupa. Nadmierny tyłek Sary, opowiada dalej Dominika, miał stać się atrakcją stolicy ówczesnego świata, pięknego Londynu, ale nie tylko tym szczegółem urody Saartjie zamierzano przyciągnąć gawiedź spragnioną egzotyki i dzikości. Prawdziwy skarb Hotentockiej Wenus krył się między jej nogami; Sara-Saartjie była prawdziwą kopalnią cudów i gdyby nie konieczność zachowania pozorów, Hendrick Caesar pewnie już na statku zdarłby z niej ubranie, by inkasować zapłatę za wystawienie na pokaz jej hotentockiego fartuszka, jak to ładnie nazwano. Starsze kobiety Khoi-Khoi obciążały kamykami wargi sromowe dziewczynek, by były jak najdłuższe; takie uważano za piękne. Sinus pudoris, mówi Małgosia, na to 358

też mamy nazwę, i to niejedną, nie myśl sobie, reprezentuję starą profesję lekarzy, a jednym z naszych głównych zajęć jest od wieków dzielenie ciał na normalne i nienormalne, co zresztą niektórym medykom zawsze wydawa-

to się bardziej interesujące niż leczenie. Sinus pudoris to nadmiernie, bo jakże inaczej, wydłużone wargi sromowe kobiet Khoi-Khoi. Zasłona wstydu, tablier, czyli fartuch po francusku, Hottentot apron w języku Szekspira. Jakże myśl o tym musiała rozgrzewać Londyńczyków w ponure listopadowe wieczory. Dzika Afryka, jej dzika cipka, ach, zobaczyć to na własne oczy! Sara opowiadała, opowiada Dominika, że po przyjeździe do Londynu Hotentocką Wenus pokazywano w klatce; miała być dzika, czarna, miała potrząsać swoimi wielkimi pośladkami, które tu nie były piękne i godne pożądania, a jeśli nawet, to nie takiego, które wolno byłoby okazywać przez miłość i troskę. W roli dziwadła występowały też inne stworzenia: syjamskie bliźniaki połączone biodrami i pięknie tańczą-

ce przy dźwiękach pianina, dziewczynka o czterech nogach, chłopiec albinos o tak cienkiej skórze, że światło prześwietlało go na wskroś i można było zobaczyć wnę-

trze jego ciała, rzeki i dorzeczka krwiobiegu, ukwiały je-lit, bijące serce. Kto jeszcze? pyta Małgosia. Człowiek-

-słoń o twarzy pokrytej naroślami jak stary kamień, dziecko całe obrośnięte futrem i najbrzydsza kobieta świata, która mimo tego miała wielu adoratorów, człowiek-guma, wielkolud o głowie jak jajko i umyśle rados-nego trzylatka. To była nowa rodzina przodki ni Sary Jackson, mojej przyjaciółki, opowiada Dominika. Hotentocka Wenus miała odgrywać w tym towarzystwie dziką kobietę, brakujące ogniwo między małpą a nami, proszę 359

państwa, oto małpa, która miesiączkuje. Hotentocka Wenus była w klatce półnaga, z odkrytymi piersiami, ale z cipką zasłoniętą dla przyzwoitości jakimiś spódniczkami niby-afrykańskimi, paciorkami, skórą dzikich zwierząt, które podsuwały widowni domysł, że je za pomocą własnych pazurów rozszarpała i pożarła, jak na dzikuskę przystało. Wystawiona na pokaz, odarta z człowieczeń-

stwa, a jednak tam zakryta, jakby goła cipka była bardziej nieprzyzwoita niż wystawianie w klatce czarnej kobiety. Opowiadano o niej żarty, śpiewano piosenki, gawiedź zastanawiała się, z czego zrobione są jej pośladki.

Mięśnie? tłuszcz? kość? Co czuła, patrząc na twarze ga-piów? Co oni czuli? To dlatego Sara pozowała nago studentom akademii sztuk pięknych we Frankfurcie, chciała doświadczyć takich spojrzeń na własnej skórze i jeszcze lepiej zrozumieć Wenus; studenci skarżyli się jednak, że ich trochę deprymuje swoim spojrzeniem. Miała jeszcze jeden powód, by podjąć ten eksperyment, moja przyjaciółka Sara, która ma ciało budzące pragnienie tak wielu mężczyzn i, tak, również wielu kobiet, sama nigdy nie czuła pragnienia i nie zna jego smaku. Sara opowiadała, opowiada Dominika, że dlatego musi dotrzeć do samego początku swojej opowieści, która jest jednocześnie opowieścią Hotentockiej Wenus. Sara opowiadała, opowiada Dominika, że jej przodkinię oglądały w Londynie praczki i robotnicy portowi, profesorowie i pisarki, damy z towarzystwa i damy z ulicy, Jane Austen i znany aboli-cjonista, dzieci i staruszkowie. Wtedy powstała jej karykatura, która nie wiadomo, w jaki sposób znalazła się w posiadaniu Destinee, prababki Sary, niepiśmiennej słu-

żącej z Południa Stanów. Hendrick Caesar miał rację, 360

Saartjie stała się sławna, wkrótce zabrał ją na tour-nee po miastach i miasteczkach, bo na prowincji też chciano zobaczyć Hotentocką Wenus. W Wielkiej Brytanii od 1807 roku obowiązywał zakaz handlu niewolnikami, ale niewolnictwo zostało zniesione dużo później, teoretycznie nie można było więc Wenus sprzedać, ale można było ją wykorzystywać. Grupa abolicjonistów próbowała pomóc Hotentockiej Wenus, napisano petycję, namówiono ją, by zeznawała przed sądem. Saartjie powiedziała, że wszystko dzieje się za jej zgodą i że ma świadomość swojej sytuacji, nie czuje się ani wykorzystywana, ani poszkodowana finansowo. Sara opowiada-

ła, opowiada Dominika, że zastanawia się nadal, dlaczego Wenus to zrobiła. Miała jakiś własny cel? Nie chciała, by znów ktoś sobie ją przywłaszczył i używał jako przykładu? Z przekory? W poczuciu, że to, co jej zrobiono, jest nieodwracalne i nie ma powrotu do dawnego życia?

Z Wielkiej Brytanii popłynęła do Paryża, jak cyrkowe zwierzę odstąpiona innemu właścicielowi. Jak ją do tego przekonano? Podobno wtedy już dużo piła, alkohol musiał być dla niej odkryciem, bo po nim nie czuła zimna aż tak dotkliwie. Rok 1814 w Paryżu, centrum nowoczesnej nauki, Hotentocką Wenus zainteresował się profesor Georges Leopold Cuvier, zwany Napoleonem nauki, a także inni przedstawiciele naturalizmu i rodzącej się teorii ras. Sara opowiadała, opowiada Dominika, że organizowano osobne pokazy tego żywego eksponatu w Muzeum Historii Naturalnej specjalnie dla szacownego świata nauki. Wyobrażam sobie, mówi Dominika, postument, na którym jak na scenie stoi Hotentocka Wenus, pozuje, tak jak Sara pozowała studentom malarstwa, ale 361

nie odwzajemnia spojrzenia widowni; jej twarz jest jak zamknięta pięść, wokół krzesła i panowie o poważnych minach, wskazuje na nią mistrz ceremonii, szanowni koledzy, drodzy zebrani, oto przedstawicielka rasy znajdującej się na niższym szczeblu ewolucji, brakujące ogniwo. Patrzcie! drodzy koledzy, wytyczcie wzrok, oto dowód na poparcie mojej teorii. Nadmierne pośladki! Przyjrzyjcie się, podejdźcie bliżej, jeszcze bliżej. Zwróćcie uwagę na kąt, równe 90 stopni! Skrzypi węgiel po papierze, rysownicy uwieczniają Wenus, starając się nie przegapić żadnego szczegółu i właściwie oddać kąt. Czy można być jednocześnie bardziej widocznym i niewidocznym?

Chyba trochę potrafię wczuć się w jej sytuację, mówi Małgosia. Sara opowiadała, opowiada dalej Dominika, że jeśli jest cień prawdy w historii prababki Destinee, to właśnie wtedy Wenus mogła poznać Napoleona. Powró-

cił z Elby na swoje ostatnie sto dni wątpliwej chwały, kurdupel o schorowanym żołądku i ciągłym apetycie na kobiety, na podbijanie krajów, na wojenki. Interesował

się koncepcjami Cuviera i można przypuszczać, że teoria ras była mu bliska, bo nie mogło być inaczej w przypadku kogoś, kto chciał przecież panować nad światem. Niewykluczone, że tam był, stał w cieniu i patrzył, gładził się po żołądku i bekał, może poczuł niezaspokojone pragnienie podboju Afryki i jego wzrok zatrzymał się na ciele Wenus. Afryka! Gdyby tak należała do niego, tylko do niego! Sara opowiadała, opowiada Dominika, że wyobra-

żała sobie ich spotkanie. Jak? pyta Małgosia. Właściwie mamy tylko to, wyobrażenia, więc wymyśl swoją wersję spotkania Wenus i Napoleona Bonaparte, odpowiada Dominika i wydmuchuje chmurkę dymu w wałbrzyskie 362

niebo, z którego na dach Babela coraz gęściej prószy śnieg. Proszę bardzo, mówi Małgosia. Myślę, że Napoleon chciał jej dotknąć, obejrzeć spokojnie w samotności.

Nie potrzebował świadków, nie dla tego podboju. Może nie wiedział, czy skończy się na oglądaniu, a może od początku wiedział. Przyprawdzili mu ją, przywieźli zakrytą dorożką, w takich historiach zawsze są zakryte do-rożki, prawda? Potem schody, kręte i ciemne schody dla służby, szpiegów i kochanek; taka historia nie może obyć się bez bocznych schodów. Ktoś prowadził Wenus pod ramię i tłumaczył jej nerwowym szeptem, że zaszczyt, sam Napoleon, że oczekują po niej godnego zachowania, ktoś inny usłużnie podawał jej butelkę z alkoholem, co mogła pić, może rum? A może absynt seledynowy jak wałbrzyskie niebo? Piła więc z butelki wielkimi łykami absynt lub rum i dzięki temu, że nikt nigdy nie patrzył jej w oczy, nie zauważono, że jest pijana, że uśmiecha się tak, jakby planowała lot na kryształowym żyrandolu. Potem były drzwi, ukłony, półmrok pokoju o zasłoniętych ciężkich storach. Powinny być aksamitne, prawda? Prawda, aksamitne, w kolorze wina, zgadza się Dominika, do tego złote chwosty, w takich historiach z dorożkami i bocznymi schodami nie wolno zmieniać zasłon. Drobnym mężczyzną z resztką włosów zaczesanych na pożyczkę stał oparty o ... O co? O kominek, podpowiada Dominika, oprzyjmy Napoleonka o kominek. Tak, mówi Małgosia, stał oparty o kominek, a płonący z tyłu ogień sprawiał, że na ścianie odbijał się jego wielki cień. Wenus widziała to już nie pierwszy raz, jakiś pokój, czekający mężczyzną, aksamitne zasłony, zaczęła się rozbierać. Naga i pachną-

ca rumem, a może absyntem, chciała mieć to już za sobą, 363

myślała o tym, by wrócić do swojego pokoju, zanurzyć się w kąpieli i wypić nową butelkę rumu, którą po drodze kupi, rumu albo absyntu. Napoleon podszedł do Wenus i stanął w tej swojej pozie z obrazów Davida, taki śmieszny, wystrojony przy jej nagości, z zadartą brodą, by wydawać się wyższym. Wenus nie była wysoka, ale bogactwo jej ciała sprawiało, że zmniejszył się jeszcze bardziej, jakby już przeczuwał swoje Waterloo. Ach, gdyby tak miał konia, mógłby konno ją objechać, tę krągłą kobietę o żółtych oczach. Postął i podumał, obszedł ją dookoła, bo konia nie było, niestety; patrzył. Płonął ogień, ale od kamiennej posadzki ciągnął chłód, Wenus odpowiedzia-

ła na spojrzenie bladego mężczyzny, który nie różnił się od innych bladych mężczyzn, jakich spotykała w kolejnych zimnych pokojach Paryża. Mówili jej, że to najpiękniejsze miasto świata, idioci, którzy o pięknie nie mają pojęcia i nie potrafią nawet nauczyć się jej języka. Dobrze wiedziała, co znaczy gest mężczyzny, chciał się przyjrzeć, wszyscy zawsze chcieli zobaczyć, co za cud ma między nogami. Już napasł oczy jej pośladkami, pora na deser. Ta poważna mina, ściągnięte brwi, gdyby mogła opowiedzieć to innym kobietom ze swojego plemienia, tarzałyby się ze śmiechu po piasku, i Wenus też nagle zachciało się śmiać. Mały cesarz nie przywykł do sprzeci-wu, zwłaszcza teraz był nieco drażliwy, gdy zwiął z Elby i wa-

żyły się jego losy. Powtórzył, by rozsunęła nogi, ale Wenus nie przestawała się śmiać. Od lat tak się nie śmiała!

Nagle rzuciła się na niego, a może tylko zrobiła krok do przodu, krok w gniewie, i zamroczone alkoholem upad-

ła, przygniatając sobą cesarza. Cesarski nos między piersiami Wenus, ciężar jej bioder i pośladków

torsie, nie mógł, biedaczek, złapać tchu. Lubił swoją ukochaną Józefinę troszkę niedomytą. Józefino, nie myj się, nadchodzę, taką wieść przysyłał przez posłańca, gdy wracał z wojen, a tu nagle zapach rumem zaprawiony, rumem, a może absyntem, Napoleon chciał się wyrwać, ale gdzie tam; gdy spróbował unieść głowę, Wenus zła-pała go za grdykę zwinną ciemną ręką. Spojrzała na niego z góry, jej oczy były żółte, płonął w nich ogień, w jej żyłach płonął rum, absynt seledynowy; chcieliście, bym była dzika, proszę bardzo. Poddusiła cesarza z wprawą, aż mu oczy wyszły z orbit i przestał się bronić, jeszcze tylko nogami w butach skórzanych przebierał, a ona nie przestawała się śmiać. Na nic Napoleonka podrygi roz-paczliwe, Wenus ścisnęła udami jego boki, aż zaskrzy-piało, przecież o to chodziło temu cherlakowi w białych spodniach, co wystroił się jak do cyrku, chciał ją zerznąć, więc skąd nagle to, ach, puść mnie, puść, ratunku. Roze-

śmiana szaleńczo Wenus rozpięła pierwszy guzik jego spodni. Oczy wytrzeszczył, czoło mu się spociło, sapnął.

Tititi, zagulgotała do niego, poszła reszta guzików, znalazła, dosiadła, aaaach, jęknął, co za tempo, co za gorąc, to jakby znów pod piramidami, ach, czterdzieści wieków patrzy na was, to jakby Austerlitz, a nawet lepiej, acha-chachaaa. Acha, śmieje się Dominika, to wtedy Wenus zaszła w ciążę, bo niestety jednak dała się przechytrzyć małemu cesarzowi. Wtedy, zgadza się Małgosia, jakby sama za tę ciążę Wenus była odpowiedzialna. Co dalej?

Teraz twoja kolej, Dominiko Chmuro, ja jestem lekarką, nie pozwoliłabym Wenus umrzeć, a obawiam się, że musi. Wenus była już chora, kasłała i pluła krwią, podej-muje wątek Dominika, prawie nie jadła, żyła rumem, ab-365

syntem i kandyzowanymi owocami. Sara opowiadała, opowiada Dominika, że szybko wpadła na pomysł romansu Wenus z cesarzem Francuzów. Gdy była bardzo młoda, szła śladem opowieści prababki i roiła sobie, że Napoleon kochał Wenus do szaleństwa, że była jego prawdziwą miłością ukrywaną przed okrutnym światem.

Ach, wzdycha Małgosia. Właśnie, mówi Dominika, z tego się wyrasta. Sara szybko doszła do wniosku, że jeśli w ogó-

le się spotkali, musiało to wyglądać inaczej, a miłości nie było w planie. A więc zaszła w ciążę i dziecko było prapra- twojej Sary z Nowego Jorku, mówi Małgosia, dziecko Wenus i Napoleona. Dziewczynka? Chłopiec? Dziewczynka, śmieje się Dominika, pasuje mi tu dziewczynka, ale może niech będzie dla odmiany chłopiec? Dobrze, opowiada Małgosia, nie dyskryminujmy chłopców, chociaż z drugiej strony, Napoleon miał już dwóch synów.

I to nieudanych, dodaje Dominika, dziewczynka? Dziewczynka. A więc Wenus urodziła w Paryżu dziewczynkę, córkę Napoleona, był rok 1816. Napoleon rozniesiony tymczasem w pył pod Waterloo został zesłany na Wyspę Świętej Heleny u wybrzeży Afryki, gdzie dokonał żywota podtruwany cyjankiem. Dzieckiem zaopiekowała się po śmierci Wenus jej pokojówka i jedyna przyjaciółka. To ona towarzyszyła jej do końca. Kim była? Jak to kim, mówi Dominika, albinoską o różowych oczach i włosach delikatnych jak kaczycy puch, długich do kolan, zaplecio-nych w warkocz, drobną i chudą, z

paznokciami jak muszelki. Wenus uprosiła swojego właściciela, by wykupił ją z jakiegoś nędznego teatrzyku, gdzie albinoskę pokazywano dla pieniędzy w akwarium, z doczepionym syrenim ogonem. Pochodziła z Ukrainy, miała na imię Olena, 366

ka, syrena Olena. Wysokie kości policzkowe, wąskie oczy, złoty ząb. Najpierw była pokojówką i dozorczynią Wenus, potem przyjaciółką. Spały razem przytulone na łyżeczki, bo w pokoju Wenus było tak zimno, że szron osiadał na rzęsach; zima 1815 roku należała do najzimniejszych w historii. Śpiewała jej ukraińskie dumki ta Olena i grała na bandurze, parzyła herbatę w starym samowarze, a Wenus dolewała do filiżanki rumu i opowiadała o Afryce. Olena podawała jej lekarstwa, które nie pomagały, brała w sklepie na rogu masło i jajka na kredyt, bo kazał nimi karmić Wenus francuski lekarz. Człowiek, który kupił Wenus od Hendricka Caesara, od dawna się nie pokazywał, bo chora Wenus nie przynosiła zysków, tylko kłopoty, upijała się i klęła, pluć krwią i co rusz dostawała ataków wariackiego śmiechu, a do tego przytyła. Przez ostatnie miesiące Wenus i Olena żyły w Paryżu pozostawione same sobie i klepały biedę. W końcu albinoska zastawiła w lombardzie bandurę, bo już nic innego nie miały do sprzedania. Marzyły, że pojedą razem do Afryki, kupią dom, będą hodować zwierzęta, koło ta-rasu posadzą bugenwille tak jaskrawoczerwone, że trzeba będzie je codziennie podlewać, by nie wznieciły pożaru. Usiądą sobie na fotelach bujanych, pokołyszają się, pośpiewają, tylko bandurę trzeba będzie przedtem wykupić z lombardu. Nikt prócz Oleny nie wiedział, że Wenus jest w ciąży, i tylko ona była przy porodzie, ona w końcu widziała śmierć Hotentockiej Wenus, Saartjie Baartman, pierwszego stycznia 1816 roku. Wenus miała dwadzieścia siedem lat i umarła o wiele dalej od Afryki niż Napoleon, co za paradoks. Olena umyła martwą We-

367
nus, ubrała w najładniejszą sukienkę ze szmaragdowego aksamitu i ulubione koronkowe rękawiczki, zaśpiewała jej po raz ostatni, opatulila noworodka, włożyła do kosza, wymknęła się w noc. Sara opowiadała, opowiada Dominika, że każda jej historia dochodziła do tego momentu, gdy ktoś wymykał się w noc z dzieckiem Wenus i Napoleona. My już wiemy, że dziecko było dziewczynką, i myślę, że Olena dała jej ukraińskie imię, bo takie uważała za najpiękniejsze. Oksana, decyduje Małgosia, znałam kiedyś bliżej jedną Oksanę, kiedyś ci o niej opowiem. A więc Oksana, córka Napoleona i Hotentockiej Wenus.

Następny wątek zaczyna się już w Stanach, w Alabamie, gdzie, opowiadała Sara, opowiada Dominika, prababka Sary, Destinee, pracowała w domu plantatora bawełny. Mogła być wnuczką Oksany. Tak! potwierdza Małgosia, nikim innym. Destinee nie była niewolnicą, ale nie była też wolna, bo nie umiała ani czytać, ani pisać, więc skupiła się na prasowaniu, w którym osiągnęła ponoć mistrzostwo, i na opowiadaniu, w którym też nie miała sobie równych; szalona opowieść o Czarnej Wenus to wszystko, co przekazała Sarze. Sara opowiadała, opowiada Dominika Małgosi, że Destinee nie pamięta-

ła swoich rodziców, nic oprócz walizki jej nie zostawili, a i ona przepadła gdzieś po drodze. Walizka oklejona nalepkami, tyle zostało w pamięci Destinee, i może te nalepki z podróży, których nie umiała przeczytać, kryły odpowiedź na pytanie, skąd wzięła się w Alabamie.

Ciało Wenus poddano sekcji w Muzeum Historii Naturalnej; mistrzem ceremonii był baron Cuvier. Szkielet Wenus wypreparowano i opatrzono podpisem, do słoja 368

z formaldehydem trafiły genitalia Saartjie, dziwny różowawy kwiat. W dokumentach z sekcji zwłok nie ma sło-wa o porodzie. Może ukryto ten fakt, skoro nie znaleziono dziecka? Może komuś zależało na ukryciu? Szkielet, mózg i genitalia zostały w Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu, gdzie zwiedzający mogli nareszcie napatrzeć się do woli na to, czego za życia Wenus nie chciała pokazać. Sara opowiadała, opowiada Małgosi Dominika, że dowiedziała się o tym od Icka, gdy miała kilkanaście lat i była w liceum. Może w ten sposób chciał utwierdzić ją w pragnieniu wydostania się z Bed-Stuy? Skoro został

jakiś ślad po Wenus, Sara powinna przecież pojechać do Paryża i zobaczyć go na własne oczy, jakkolwiek dziwne i niebezpieczne takie przedsięwzięcie wydawałoby się jej babce La-Teeshy. Icek Kac popełnił samobójstwo, gdy Sara była w ostatniej klasie, a zrobił to tak, jak ro-bił wszystko, cicho i nie kłopotując nikogo. Znaleziono go martwego w pokoju wylepionym od podłogi po sufit zdjęciami; takie wieści przekazywano sobie na Bed-

-Stuy z ust do ust. Po śmierci Icka Kaca Sara zdecydowa-

ła, że będzie dalej się uczyć; babka La-Teesha załamywa-

ła ręce, że spotka ją los taki jak matkę, ale Sara uparła się i jako jedna z nielicznych dziewczyn opuściła Bed-Stuy, by studiować w college'u na Manhattanie. W wolnym czasie chodziła na seminaria na Uniwersytecie Nowojorskim i w New School, grzebała w bibliotekach i archi-wach w poszukiwaniu śladów Wenus. Babka La-Teesha myślała, że Sara wpadła w złe towarzystwo, a ona siedziała w bibliotece, łąziła po wydziałach studiów afryka-nistycznych i szukała kogoś, kto ją naprowadzi na drogę pewniejszą niż jej urwane ścieżki. Przekonała się, że jest 369

więcej zainteresowanych historią Hotentockiej Wenus, i że głównie są to kobiety, profesorki, kelnerki, poetki, pielęgniarce, w Nowym Jorku, Paryżu, Monachium i licho wie, gdzie jeszcze. Po ukończeniu college'u Sara zaczęła podróżować; raz pracowała w wyuczonym zawodzie rehabilitantki, raz robiła coś zupełnie innego, nigdzie nie zagrzała miejsca. To dlatego trafiła do tej wiochy pod Monachium, gdzie leżałam po wypadku i dzięki temu się poznałyśmy. Sara cierpiała, zostawiając babkę La-Teeshę umierającą z niepokoju, ale zew Hotentockiej Wenus okazał się silniejszy, i do tej pory jest w drodze. A rodzice Sary? pyta Małgosia, co z jej ojcem, matką? Jej ojciec jest nieznan, a matki Sara nie miała, odpowiada Dominika, ale zanim uściśli tę dziwną informację, Małgosia zaprotestuje, że nie można nie mieć matki. Nawet ona ma! Sara opowiadała, opowiada Dominika, że jej matka, Shaunika, została zamordowana, zanim ją urodzi-

ła; przyście na świat Sary i morderstwo popełnione na jej matce zbiegły się w czasie tak, że nie da się stwierdzić, co zdarzyło się przedtem, co potem. Opowiadała Sara, opowiada Dominika, że w tę noc były zamieszki na Brooklynie, a jej matka, Shaunika, poleciała gdzieś po zmroku; babcia La-Teesha nic więcej nie chciała jej opowiedzieć, bo nie jest tak gadatliwa jak Destinee. Shaunika miała narzeczonego, Demarco, który dawno temu zniknął z Bed-Stuy, może to on jest ojcem Sary, może nie, w każdym razie szukał Shauniki tamtej nocy razem z La-Teesha, ale bez skutku. Żyd Icek Kac, właściciel sklepu z tanimi towarami, pozwolił im się schować w magazynie, gdy goniła ich policja. Sara opowiadała, opowiada Dominika, że babka La-Teesha o tej nocy spędzonej 370

z Ickiem mówiła tylko, ach, co ten Żyd naopowiadał, nic więcej nie dało się z niej wyciągnąć, jakby

jego historia osiadła w niej w innej postaci niż słowa. Matkę Sary, Shaunikę, znaleźli rano w parku z rozprutym brzuchem, pustym jak wyjedzony arbuz; w krzakach nożyczki, za-krwawione szmaty. Twarz miała nienaruszona, ale ranę na głowie, jakby ktoś uderzył ją z tyłu, mocno, ale za słabo, by zabić. Rana na głowie i rozpruty brzuch, żadnych innych obrażeń, nie licząc połamanych paznokci, bo broniła się przed przemocą. Musiała upaść i wtedy jej to zrobili. A może raczej zrobiły. Sara opowiadała, opowiada Dominika, że policjanci nie szukali sprawców zbyt gorliwie, bo co kogo wtedy obchodziła martwa czarna dziewczyna.

Dziecko znaleźli na stacji kolejowej Pensylwania; ktoś w końcu zauważył porzucony wiklinowy kosz i usłyszał płaczące niemowlę, jakiś mężczyzna, który znikł, nie podając swojego nazwiska, bo pewnie nie chciał ro-bić sobie kłopotu, a młody dyżurny na posterunku nie zapamiętał jego wyglądu, tyle że był w kapeluszu. Podobno, ale co do tego też pewności nie było, ktoś widział dwie czarne dziewczyny z tym koszem, ale może tylko podobnym. Skąd więc wiadomo, że to ona, że Sara to Sara, dziecko z brzucha Shauniki? pyta Małgosia. Do końca nie było wiadomo, opowiadała Sara, opowiada Dominika. W koszu znaleźli tylko jakiś zielony szal, noworodek miał źle zawiązaną pępowinę, infekcję ucha i umierał z pragnienia. Lekarz ocenił, że dziecko przyszło na świat w ciągu ostatnich kilkunastu godzin.

La-Teesha, którą wezwano na policję, przysięgła, że tę zieloną szmatę rozpoznaje, oczywiście, szal należał do 371

jej córki, sama go dla niej kupiła na przecenie w sklepie lcka Kaca American Values, mogą jechać na Bed-Stuy, zapytać, i jest pewna, na Biblię przysięgnie, że tamtej nocy Shaunika miała go ze sobą. To ten sam szal, dziecko z kosza to jej wnuczka, córka Shauniki. Niewykluczone, że dano jej dziecko, nawet jeśli cała sprawa budziła wątpliwości, być może ktoś rozsądny pomyślał, że lepiej ominąć parę przepisów i dać czarnego noworodka kobiecie, która go chce, bo prędko druga okazja może się dzieciakowi nie trafić. Podejrzane, dwie dziewczyny z gangu, z którymi Shaunika miała na pieńku, znikły z dzielnicy, przesłuchania ich rodzin nie naprowadziły na żaden ślad, kamień w wodę; sprawę umorzono.

La-Teesha wróciła do domu z wnuczką, która po kilku dniach w szpitalu nabrała sił i nie było wątpliwości, że przeżyje; imię wybrała dla niej prababka, Destinee. Mała Sara darła się jak opętana i przez pierwsze tygodnie tylko prababka umiała ją uciszyć, a skoro dzieciaka bardziej uspokajały słowa niż butelka z mlekiem, to pewnie już wtedy zaczęła jej opowiadać o Wenus i naszpikowała ją tymi historiami jak goździkami cebulę. Gdy Sara dorosła, postanowiła, że odwiedzi wszystkie te

miejsca, w których Wenus była lub mogła być, i ruszyła w podróż szlakiem niesprawdzonych domysłów i podejrzeń. Niekiedy zatrzymywała się gdzieś na dłużej, by zarobić na dalszą podróż. Gdy ją poznałam w szpitalu w Monachium, mówi Dominika, trwała walka o to, by szczątki Wenus, ukryte w magazynach Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu, pochować w jej ojczyźnie. Sara chciałaby, opowiada Dominika, by grób jej praprababki z plemienia Khoi-Khoi, znanej jako Hottentocka Wenus, był w pobliżu rzeki 372

Gatmous, pod afrykańskim słońcem. Marzy o chwili, gdy tak się stanie, a ona amerykańska praprawnuczka, pojedzie tam, by złożyć hołd swojej przodkini. Czy Sara nie chciała znaleźć tych,

którzy zamordowali jej matkę? pyta Małgosia. Nie, Sara mówi, mówi Dominika, że dzięki tej historii chce się nauczyć kochać, a nie mścić.

IX

Halina Chmura wiedziała, że wszystko się kończy, i jako że nigdy nie należała do osób rozmyślających na temat sensu życia, od zawsze przekonana, że ma ono kierunek, dla wszystkich ten sam, ale sensu mu brak, wzdychała tylko, ano tak, porobiło się, czuję się, jakby mnie ktoś zjadł i wyrzygał, i wypuszczała dym. Gdyby jej wychudzone ciało nie wystarczyło jako dowód zbli-

żającej się śmierci, zdradziłyby ją te wątle strużki dymu; zdrowa potrafiła tak się zaciągnąć i dmuchnąć, że dymna rzeka, przelatując przez mieszkanie, porywała ze sobą ogłupiałe muchy, skrawki materiałów i drobne przed-mioty, których potem trzeba było szukać po kątach.

Zdarzyło jej się trafić dymną strugą w Jadzię, a wtedy ta darła się, fuj, ale mamusia smrodzi tymi papierocha-mi! i wymachiwała rękoma, jakby tonęła; czy mamusia musi mnie tak wkurzać? Teraz dym papierosów wylewał się z sinych ust Haliny jak wilgotna ektoplazma; staruszka co chwilę zanosila się kaszlem, a po ataku łapała powietrze z wybałuszonymi oczami i Jadzia zamierała w przerażeniu. Teściowa jednak w końcu wra-373

cała do życia, a jej zażawione od wysiłku oczy szukały Dominiki.

Przetrwała jakoś święta, ale zaraz po Nowym Roku położyła się na kanapie w stołowym i wycharczała do synowej, żeby się nie wkurzała, ale już raczej nie wstanie.

Co za szkoda, że jednak nie kupiły trumny, gdy jeszcze Halina była na chodzie, bo samą Jadzię jak nic oszwa-bią i na trumnie, i na pochówku. Nie daj się wycyckać, Jadzia, przestrzegala synową szeptem przypominającym szelest suchych liści. Nie mogła już prawie mówić i żal jej było, że nie opowiedziała wnuczce o Wowce, treserze z wędrownego cyrku, o proroczym locie na skórze, podczas którego zobaczyła niedźwiedzia, i że nikogo tak jak wnuczki nigdy nie kochała. Dominika brała jej dłoń w swoje ręce, gałązkę, w której przestały krążyć soki, i mówiła, moja babcia Kolomotywa, nikt nie robił takich pysznych kanapek ze śmietaną i cukrem jak ty, a pamięę-

tasz, jaką piękną sukienkę mi uszyłaś z farbowanych na czerwono pieluszek? pamiętasz, jak mi o hrabinie Wiel-kopańskiej opowiadałaś, kłamczucho? Małgosia przychodziła i robiła staruszce zastrzyki, zaglądała w oczy i do gardła, a ona oganiała się, nienawykła, by specjalnie do niej do domu panią doktor fatygować, i próbowała wcisnąć jej do ręki jakieś pieniądze w obawie, że Dominika się wykosztowuje. Gdy któregoś styczniowego wieczoru ból stał się nie do zniesienia i Halina płakała bezgłośnie, jakby jakaś straszna siła wyciskała jej łyzy z oczu, Dominika zadzwoniła do Małgosi, coś poszeptały, wyszła na chwilę i wróciła z małym pakunkiem w dłoni. Zrobię ci, babciu, pysznego papieroska z zagranicznego tytoniu, powiedziała i po chwili zapaliła staruszce grubego skrę-

ta. Halina zaciągnęła się na próbę bez przekonania, bo papieroszek Dominiki przypominał jej te, które

w stanie wojennym kupowało się na wagę w samie na Piaskowej Górze, połamane barachło faszerowane śmieciami i mysim gównem, ale smak, który poczuła, był inny, drzewny, słodko-gorzki, piękny. Łakomie wciągnęła w płuca aromatyczny obłok, aż zaświstała jej dziura w szyi. Przyssa-

ła się i nie puściła do końca, Dominika musiała jej wyjąć niedopałek z dłoni, żeby się nie poparzyła i nie podpaliła pościeli. Ból ustąpił, cofnął się i przyczał, Halina spojrze-

ła na wnuczkę rozszerzonymi źrenicami i uśmiechnęła się; niedźwiedź, powiedziała, nuże tancawać, swołocz.

Uczyli go tańczyć na rozgrzanych węglach, tego niedź-

wiedzia. Patom tancawał zawsze, gdy słyszał muzykę, wychrypiała, kak on tancawał. Na jej policzkach w kolorze pakowego papieru pojawił się rumieniec. Niedź-

wiedź? Dominika usiadła na brzegu łóżka i wzięła babcię Halinę za rękę. Jaki niedźwiedź, babciu? Halina nie odpowiedziała jednak, bo już nie było w niej słów, i gdy Dominika skręciła jej kolejnego papieroska z najlepszej holenderskiej marihuany, przemyconej przez Małgosię z Amsterdamu, uśmiechnęła się tylko jeszcze szerzej. Już nie miała siły go trzymać, więc Dominika podniosła skrę-

ta do zapadniętych ust babki, które chwyciły go łakomie i ze wszystkich sił wciągnęły solidną porcję dymu. Halina Chmura widziała swoją wnuczkę i nie istniało nic, co pragnęłaby zobaczyć bardziej, za głową wnuczki, odbite w meblościance na wysoki połysk, widziała inne rzeczy, piękne i straszne, tańczącego niedźwiedzia, syna Stefana, któremu podmieniła ojca i metrykę, wielkie uszy męża, Władka, z kępkami jakby niedźwiedziej sierści, ta-375

tlę lodu czarniejszą od nocy i trzy dziewczyny z -wioski jej dzieciństwa, ich twarze rozpalone mrozem, na rzę-

sach kropelki topniejącego śniegu. Ałdonia, córka popa, dziwnie podobna do Grażynki Rozpuch, zaczyna recytować i jeszcze chwila, jeszcze chwila, już; Halina zamyka oczy, a końska skóra unosi się w powietrze i ją porywa, wiatr pachnący czymś dalekim i nieznanym owiewa jej twarz. Babciu Kolomotywo, płacze Dominika, co z tym niedźwiedziem?

Pochowały Halinę koło męża Władka w czekają-

cej na nią od dawna kwaterze, tylko datę po zm. trzeba było dopisać, dwa kroki od grobu Stefana i bliźnia-czej siostry Dominiki, martwo urodzonej Pau liny, której grób wyglądał jak bombonierka. Dominika patrzyła na zadbane płyty lastriko, na wypolerowane na krzyżach Chrystusiki i sztuczne kwiaty, bo, mówiła Jadzia, na zimę sztuczne na groby kupuję na Manhattanie czy w Realu, a jakie teraz sztuczne, córcia, nie to, co kiedyś, mówię ci, jak prawdziwe, i róże, i gerbery, fiołki, tulipany, co chcesz, nawet konwalie. Nie poznasz bez dotykania, to i zmarły nie pozna. Żywe to pamiętać trzeba, żeby krót-ko przyciąć, żeby nie ukradli na handel, a sztucznych nie zabiorą, się im nie oplaca. Latem bułkę słodką po drodze kupię, sobie zjem, oranżadą popiję i tak siedzę przy grobach, córcia, jak ty latasz po świecie. Dominikę zdziwiła liczba osób, które przyszły na pogrzeb Haliny, pamiętała tylko niektóre. Cieszyła się, że nie przyjechał

wuj Kazimierz, którego nie widziała od lat i nigdy nie lubiła. Wyjechał do Warszawy, o tym wiedziała cała Piaskowa Góra; Kazimierz Maślak był nawet posłem partii rolniczej, bo chociaż nigdy nie uprawiał ziemi, mógł się 376

wykazać chłopskim pochodzeniem. Przez całą komunę się go wstydził, a teraz się przydało! jaki to się elegancik zrobił, opowiadała Jadzia, gęba wygolona do połysku, a brązowa jak u Murzyna, krawancik, koszulka i panisko zgrywa, a mordą to tak ci kłapie w telewizorze, jakby całe życie nic innego nie robił. Zrozumieć, co gada, nie idzie, ale ludzie go słuchają, oj, słuchają. Przysłał na wieńiec, trzeba mu przyznać, ale my już go nie obchodzimy, córcia, podobno babę młodą tam ma i w nią wszystko ładuje, stary cap. Mieszkańcy kamienicy na Szczawlenku stawili się za to prawie w komplecie, nieco bardziej zu-

życi przez życie, ich wyrosnięte dzieci ze swoimi dzieć-

mi, dawne klientki, dla których Halina szła w zgrzebnych czasach PRL-u kreacje na bale zakładowe i bluzki do pracy ze strzelającego iskrami poliestru, ekspedientka z dawnego warzywniaka, na którego miejscu jest teraz szmatland Kupcuszek. Niektórzy przyszli na pogrzeb pewnie tylko ze względu na Dominikę, chcieli zobaczyć tę dziwną dziewczynę romansującą kiedyś z młodym księdzem, o którym marzyła niejedna parafianka z Piaskowej Góry i Szczawienka. Młody piękny ksiądz, jak on się rumienił, do tej pory wspominano, na gitarze grał

i jak zaśpiewał Czarna Madonno, to aż gęsia skórka wychodziła. Wypadek, w którym zginęły dwie nastolatki, a który Dominika cudem przeżyła, obrósł w Wałbrzychu legendą i chociaż dawne jeziorko oczyszczono, a jego okolice zamieniono na park, dzieci i dorośli do dziś wypatrują w wodzie szczątków Jagienki Pasiak, której nie znaleziono w spalonym do cna małym fiacie. Jakby wyparowała; tylko stopiony zegarek po niej został i nadpalona legitymacja szkolna. Podwójny pogrzeb odbył się na tym 377

samym cmentarzu, na którym teraz chowano Halinę Chmurę, ale wszyscy wiedzieli, że jedna z trumien, ta bogata i złocona, jest pusta. Jedni mówili, że Jagience udało się wydostać i uciekła, wróci, żeby się zemścić na Dominice, inni, że jak tam mogła uciec, z takiego piekła nikt by nie uciekł, anieli ją prosto do nieba zabrali, bo zginęła niewinnie, taka śliczna blondyneczka. Jeszcze inni uważali, że wprawdzie Jagienka nie zginęła, ale wyszła z tego okrutnie poparzona, jedna wielka blizna, zamiast dawnej Jagienki potwór z dzikiego mięsa. Ktoś, chyba Krysią Śledź, przysięgał, że ją widział, na wczasach była w Dziwnowie, twarz zakryła, uciekła, na sto pięćdziesiąt procent ona. Rodzice Jagienki po całej aferyze wyprowadzili się z Wałbrzycha i to był dla niektó-

rych argument, no tak, wyjechali, żeby się córką z dala od Wałbrzycha zająć, wszystko jasne. Do Enerefu na operacje plastyczne ją wywieźli i teraz Jagienki nikt by nie poznał, bo odmieniona, wypiękniona jak ta Stefani z Powrotu do Edenu, którą krokodyl uszkodził, a dobry doktor naprawił. Dominika czuła na sobie oczy żałobników, ciekawe, podejrzliwe, czasem wyraźnie nieprzyjazne, jakby złe, że nie znajdowały odpowiedzi na swoje pytania i że po tych latach spędzonych poza Wałbrzychem nadal jest zagadką. Wciągała w płuca powietrze przesiąknięte węglową wonią śniegu, kwiatów i czegoś nieokreślonego, zapaszku, jaki czasem zostaje w win-dzie po starych ludziach, którym nie udało się w sklepie dostać tego, co chcieli. Kobiety w futrach jak stogi siana, w małych włochatych kapelusikach, w kozaczkach, których obcasy grzęzły w śniegu, mężczyźni z czapka-mi w

włosami, w paski jasne i ciemne, jak przejście dla pieszych, Dominika rozpoznała w nich szkolne koleżanki z Babela, Aldonę i Dankę. Modesta Ćwiek, krawcowa z Piaskowej Góry i rywalka Haliny do tytułu najlepszej specja-listki od kreacji codziennych i wyjściowych, teraz, gdy tyle tanich chińskich poliestrów i zachodnich szmatlandów, bezrobotna, co rusz wycierała skrajem szala wielkie okulary o podwójnych szklach. Śmy szyły na wyścigi, to były czasy, szepnęła do męża Ćwieka; to se ne wra-ti, mamuśka, szeptem odparł Ćwiek. Szepty, Dominika słyszała je, a raczej czuła, rozszeptali się żalobnicy; w śpiączce była ta Chmura, rok spała, a gdzie tam rok, wszystkiego siedem miesięcy, te bogate Żydy z Ameryki jej pomagają, kto wie, co ona tam robi, o co w tym chodzi? A ta Grażynka, pamięta pani, co się puszczała na lewo i prawo? Żadne Żydy, pani mówię, oni tam akurat nie swojemu pomagają, tej Chmurze Grażynka robotę nagrała, pałac, nie dom ma w Enerefie, z balkonikami, kolumienkami, dwoma garażami, w dupie jej się poprzewracało, pani patrzy, na pogrzeb nawet nie przyjechała.

A tam, przyjechać miała, pani by akurat przyjechała? Bała się, że zaraz skakać koło niej zaczną, w tyłek jej wchodzić, Grażynka to, Grażynka tamto, śmo, załatw pracę, przyślij zaproszenie, tego wciśnij na budowę, tą do truskawek czy do sprzątanania. Ma zapraszać, żeby jakaś młodsza jej się koło chłopa w trymiga zakręciła? Pan Bóg daje kupca, a diabeł faktora! Się babie udało, oj, udało, takiego Niemca złapać, mój Boże. A ta Chmura stara panna. Bo to fidrygoł był zawsze, fiksum-dyr dum, proszę pa-nią, kaczka dziwaczka. Ta homoniewiadomo od doktora Lipki, pani patrzy, znów koło niej, że tego nie wyleczą 379

jakoś; lekarzem jest podobno jak ojciec, ale, proszę pa-nią, co to za ginekolog baba, ja bym nie poszła, żeby mi baba tam grzebała, a pani? A w życiu, baba na pediatrę to jeszcze, czy dentystę, ale żeby baba babie, to, proszę panią, nie tego. Tej Chmury matka, ta mała gruba w nutriach, to podobno zwariowała, słyszała pani? pod Babelem jakąś dziewczynę, proszę panią, napadła, pobiła w samą Wigilię. Co pani powie? Jadzia też czuła zwróco-ne ku nim spojrzenia, zasysała się w sobie, ściągnęła usta w kurzą dupkę, jakby się bała, że wciśnie się przez nie ciekawość żalobników. Wzięła córkę pod rękę i trzymała ją tak, jakby zasłaniała się swoim dzieckiem i go broniła, patrzcie, mam córkę, wcale nie jestem sama i nie umrę sama; i wara mi od niej, bo jak Leokadię pogonię. Jak to jest, zadumała się Jadzia, że ci sami sąsiedzi raz, brawo, Jadzia, Jadziunia. ale księżą matkę pogoniłaś, głupią krowę, a potem gotowi rzucić się i zadziobać każdego, kto trochę odstaje? W swoich nutriach Jadzia wyglądała jak niedźwiedź i Dominika myślała właśnie o niedźwie-dziu, dlaczego jej babcia przed śmiercią widziała tańczą-

cego niedźwiedzia, skąd nagle niedźwiedź w opowieści babcinej, skoro nie ma go w albumie, źródle wszystkich znanych jej historii? Dominika uśmiechnęła się na wspomnienie zdjęć, które podczas świąt, ostatnich w życiu Haliny Chmury, zrobiła jej na tle choinki. Poczekaj, poprosiła staruszka, poczekaj, się trochę podpicuję, i po-człapała do drugiego pokoju, skąd po piętnastu minutach wyszła w tureckim swetrze w czerwono-fioletowe wzory i niebieskiej apaszce, jej ogniste włosy sterczały na wszystkie strony, a usta, pociągnięte różową pomadką Jadzi, uśmiechały się szelmowsko. Matko Boska, ale 380

se mamusia fontazia pod szyją wywiązała, do cyrku się mamusia szykuje czy co? przewróciła oczami jadzia, Dominice jednak podobała się babcia ognistowłosa z kokardą, z której jej twarz wyrastała jak

uschnięty kwiatowy pączek. Gdy po śmierci Haliny Dominika oglądała stary album, przedmiot swojej dziecinnej fascynacji, zobaczy-

ła na ostatniej stronie wykonaną przez siebie fotografię, podpisaną, ja, Halina Chmura na święta 1996, i zdała sobie sprawę, że to jedyny portret babci, jaki zna, bo na nielicznych rodzinnych fotografiach Halina była w tyle, zamazana i niewyraźna. Dominika Chmura wiedziała już, że ten album po babci Kolomotywie jest pierwszą rzeczą użytku niecodziennego, którą odtąd będzie zawsze wo-zić ze sobą i której będzie strzec.

Śpiewny głos księdza, grubego Michała, którego przysłano na miejsce Adasia, uciszył plotkujących za-

łobników, Jadzia mocniej ścisnęła ramię Dominiki, westchnęła ciężko z głębi nutrii, W irnię Ojca i Syna, matek i córek, dodała szeptem Małgosia. W imię Ojca i Syna, powtórzyli żałobnicy, i Ducha świętego, amen. Oczywi-

ście wtedy musiała pojawić się Grażynka, równo z amen, zaszumiało, zjeżyły się futra kobiet. W czarnym kapeluszu, butach wysokich za kolano, połyskliwych, Matko Boska, ale się odpierdoliła, szepnęła Lepka, jak Alexis.

Wyfiokowana. Odpindrzona. wypacykowana. Odwalo-na, że nie ten-tego. Odsztafirowana. Gwiazda ze spalonego teatru. Stara kurwa. Szczęściara. Z futer pań zgromadzonych wokół trumny Haliny Chmury strzelały iskry.

Bo też te buty na szpili niebotycznej kurewskie, lśniące jak rybia łuska, kapelusz nie z tej bajki, co bardziej niż buty denerwował, bo takiego nikt w normalnym życiu 381

nie nosił, kapelusz z rondem szerokim jak balia, z woal-ka. Woalka, westchnęła Jadzia, cała Grażynka, żeby tak się spóźnić i wyskoczyć na pogrzeb w woalce jak diabeł z pudełka. Spod woalki czarnej, kropkowanej usta jaskrawe czerwienią błyszcząły, niżej płaszczyk obcisły, a widać, że drogi, guzik pod szyją rozpięty, panowie i panie wzrok zapuścili w pęknięcie, dziwka dziwką zostanie, co za kobieta, co za kobieta. Ile to ona ma już lat, liczyły szeptem kobiety, co za kobieta, szeptało w męż-

czynach, chrząknął zakłopotany ksiądz, co nagle męsko się poczuł, a nie księżowsko. Grażynka szła jakby nie po cmentarnej alei, ale po czerwonym dywanie, głowa w górze, pierś do przodu, w jednej dłoni bukiet róż taki, że musiał kosztować majątek, bo ze sto ich było i same karminowe, pod kolor jej ust, żeby tak na pogrzeb takie czerwone, mój Boże, w drugiej torebka, że człowiek by na bazarku nie spojrział, bo prosta, bez ozdób, tylko przepikowana i łańcuszek złoty, a jakoś jednak elegancka, pomyślała Jadzia. Zdobyła się na uśmiech powitalny, ale Grażynka nie była kobieta, której uśmiech wystarczy, podniosła woalkę i wycalowała jademie, zaraz potem Dominikę i Małgosię, zostawiając na ich policzkach krwawe odciski, proszę sobie nie przeszkadzać, rzuciła do księ-

dza; Matko Boska, szepnęła Jadzia. W Imię, Ojca i Syna, powtórzył ksiądz nieco wytrącony z rytmu nagłym poja-wieniem się tych butów z rybiej łuski, piersi, ust; w imię Ojca i Syna, żegnamy dziś naszą siostrę Halinę Chmurę, zagaił śpiewnym głosem, który Dominice przypominał inny księżowski

głos. jak to było dawno, pomyśla-

ła i uśmiechnęła się do Grażynki. Gdy na trumnę spadły pierwsze grudki ziemi, Jadzia wzdrygnęła się i szepnęła 382

do córki, a wiesz, ja sobie tak ostatnio myślę, żeby się jednak dać skremować. jak człowiek się zastanowi, to nawet jakoś higieniczniej, chociaż źle się kojarzy.

jeszcze na stypie miała Jadzia co ze sobą zrobić, bo zawsze potrafiła odnaleźć się w sytuacjach, w któ-

rych trzeba przygotować i podać jedzenie. Konieczność zachowania kolejności rzeczy utrzymywała ją w koleinach i ten porządek, mięso, tłuczek, jajko, mąka, buł-

ka, patelnia, talerz, pozwalał jej toczyć się bezpiecznie po torze życia. Podawała talerze, odnosiła talerze, myła i niczego nie pozwoliła sobie odebrać w tej krzątaninie, nie, nie, dam sobie radę, przeganiała chętne do pomocy, naprawdę nie trzeba. Ze zgrozą powtarzała córce plotkę przekazaną jej przez Krysię Śledź, że gdy zmarł

mąż właścicielki kwaciarni z trzeciej bramy, ta, zamiast sama przygotować przyjęcie, wynajęła firmę. Firmę, jadzia obracała w ustach słowo niby znane, ale ciągle ja-koś obce, jak demokracja, kapitalizm, mop, domestos.

Obcym ludziom dała się po domu kręcić, nie wiadomo, jakie jedzenie, czy czyste, samochodem firmowym przywozić, Jadzia nigdy by na to nie pozwoliła; ona wszystko zrobiła sama, jak dawniej, do czwartej rano na nogach, żeby zdążyć. Dominika chciała jej pomóc, ale ją ścierą z kuchni pogoniła, bo też to jej pomaganie, zaraz jakieś fiksum-dyrdum wymyśli, oliwki, surowizna jak dla kró-

lika, kto to będzie jadł. Zdążyła! z satysfakcją patrzyła na znikającą sałatkę warzywną z majonezem, talerze wędlin, drżące kopczyki galaretki drobiowej, koreczki z żółtym serem, ogórkiem i szynką konserwową wbite w połówkę jabłka, nad którymi jej córka pochyliła się z aparatem fotograficznym jak nad egzotyczną rośliną.

383

Udało się przyjęcie, westchnęła Jadzia, nikt nie powie, że żałowała wydatków na teściową, nikt nie obgada, że chytra ta Chmura, że głodno było, byle jak.

Odganiała od siebie myśl o zbliżającym się wyjeź-

dzie Dominiki i gdy skończyło się sprzątanie po stypie, wynalazła sobie sto nowych robót; mówiła o nich tak, jakby perspektywa uszycia nowych firan do kuchni albo zrobienia nalewki pomarańczowej, na którą przepis właśnie znalazła w "Poradniku Domowym", miała w ja-kiś cudowny sposób przekonać jej córkę do pozostania w Wałbrzychu. Wiedziała jednak, że to się nie uda, i czu-

ła, jak zmienia się aura otaczająca Dominikę, jakby córka pokrywała się niemożliwą do przeniknięcia warstewką lodu; jej dziecko znów ciągnęło w świat. Co ja mam ze sobą zrobić; mówiła Jadzia jakby o jakimś obcym ciężar-

rze, który niosła taki świat drogi w nadziei, że się przyda, a teraz tylko przeszkadza. Patrzyła na swoją córkę wyblakłymi oczami w kolorze agrestu i mrugała rzęsami, które od lat tuszowała na zielono. Już ją ciągnie w świat, latawca, powsinogę! Zobaczyła Dominikę szepczącą coś z Małgosią, dobiegły ją rozmowy, które jej córka prowadziła przez telefon po angielsku i rozumiała tylko imiona Sara albo Ivo; coś się działo, Jadzia Chmura czuła to i chwytala się za serce opanowanym do perfekcji, me-lodramatycznym gestem. Zaraz znów utraci córkę i zostanie sama w zagraconym ozdobami mieszkaniu, które nagle wydało jej się takie wielkie i puste. Całe dwa pokoje z kuchnią i ona jedna, wytracona z toru matkowania i zaklinowana na bocznicy. Wertowała zaciekle przepisy na przetwory, które zacznie robić już wiosną; taki szczaw, na ten przykład, niby wszystko w sklepach jest, 384

ale co własny szczaw, to własny, będzie wiedziała przynajmniej, że porządnie opłukany, czyściutki. Przyjedzie znów Dominika, zrobi się szczawiówkę z jajkiem. Może kogo przywiezie ze sobą, będzie dla gościa tradycyjna polska zupa. A do drugiego sałatka z buraków i papryki, nowość, jakiej się nauczyła niedawno i z rozpędu robi-

ła piętnaście słoików, a rąk buraczkowych przez tydzień nie mogła domyc i wyglądały jak obdarte ze skóry. W życiu Jadzi brakowało równowagi, bo ubywało jej żywych, a przybywało martwych, do których właśnie dołączyła teściowa Halina Chmura. Miała groby w Zalesiu i groby w Wałbrzychu; inni mieli przynajmniej wnuki, które ja-koś równoważyły umieranie dziadków i babć, ona tylko córkę fiksum-dyrdum i kartki od rodziny z Ameryki, któ-

rej za rodzinę nie uznawała.

Mój jedyny wierny towarzysz to telewizor, mówi-

ła Jadzia melodramatyczna, a Dominika uśmiechała się wtedy tym uśmiechem, który tak podobał się mężczyznom, krzywym, niezachęcającym, a jednak obiecującym ciepło, i wstawiała, by przyciszyć ryczący odbiornik. Podgłośnij, protestowała Jadzia, chociaż wszystkie wiadomości kwitowała podobnie jak jej zmarły mąż, Stefan.

Kłapią mordami tylko, mordami kłapią, demokracja, fiu-

-bździu, cuda-niewidy obiecują, a co jeden to gorszy łajdus i fidrygoł. A ja ci mówię, córcia, o jedno im chodzi, jak już się do żłobu dorwą. Jadzia nabierała powietrza, jakby miała zanurkować, i na

pełnym wydechu oznajmia-

ła, żeby kałdun napchać za państwowe, im chodzi. Stary radziecki telewizor Jadzi pokazywał świat w zieleniach pleśni i czerwieniach wątroby; oczy ludzi wyglądały jak zapadnięte oczodoły trupów, ich usta były sinymi dziurami-385

mi i kłapały zębami waranów z Komodo; a tam, warto mi nowy kupować, machała ręką Jadzia i wzdychała z masochistyczną satysfakcją. Mi to już miarę na jesionkę trzeba zdjąć, bo strzelę niedługo w kalendarz na tym bocianim gnieździe, a nie nowy kolor, córca, kupować. Włączała odbiornik na Teleekspres, by skomentować wygląd pre-zenterki zbyt wyfiokowanej, wydekoltowanej lub przeciwnie, ulizanej jak ciotka klotka, i pozostawał włączony aż do chwili, gdy szła się myć. Mimo większej liczby programów Jadzia uważała, że kiedyś, ach, kiedyś to były se-riale, taka Isaura na ten przykład, człowiek doczekać się nie mógł, a teraz same głupoty puszczają, rzadko, żeby coś lepszego, jak Dynastia. Głupoty, córca, nie wiadomo, o co chodzi, nic z tego normalny człowiek nie zrozumie, a ile świństw różnych, kiedyś tego nie było, córca, mówię ci. Kiedyś w ogóle mało było, przypominała jej Dominika; mało, ale starczało, upierała się pani Chmura.

Gdy psuł się obraz, Jadzia mamrotała, to cholerne pud-

ło, podchodziła do ekranu i przywalała z góry w obudowę, podskakiwał usadowiony na niej piesek z porcelany i drżały szyby meblościanki. Walila tak długo, aż za sprawą jej zabiegów, a może sam z siebie, ruski kolor wracał

do formy. No! groziła mu palcem Jadzia, cofała się, nie spuszczając groźnego spojrzenia z ekranu, i sadowiła na powrót w gnieździe wysiedzianym przez jej dawno zmarłego męża. Klepała obok siebie w kanapę, by Dominika wróciła na miejsce córki, sięgała po kolejne ciasteczko, po czekoladkę. Po kilkunastu minutach obraz zniknął i wszystko zaczynało się od początku.

Dwa tygodnie po pogrzebie Haliny Dominika kupiła nowy telewizor i cierpliwie tłumaczyła niechętniej wobec 386

technologicznych nowinek matce, jak za pomocą pilota włącza się go, zmienia programy i wyłącza. Jadzia z przesadną zamaszystością celowała pilotem w ekran i z niedowierzaniem kręciła głową, że od razu jest głos i obraz.

Wyłącza się tym samym? Tak, mamo, wyłącza się tym samym. Nie pozwoliła wyrzucić starego odbiornika, ale wcisnęła go pod nieużywane biurko w dawnym pokoju Dominiki, gdzie przez lata przybyło rupieci gromadzonych na czarnej godzinę, wszelki wypadek i na zaś.

A po co się na mnie wykosztowałaś, marudziła, po co na starą babę tyle wydawać, ale już wieczorem tego samego dnia Dominika słyszała, jak jej matka mówi do Krysi Śledź na korytarzu, a moja mi nowy kolor kupiła. Zarabia w tej Ameryce, to co tam dla niej matce nowy kolor kupić, szast-prast, skoczyła do marketu i kupiła. I to nie żadne dziadostwo krajowe czy ruskie, ale japoński. Fakt, iż Jadzia owinęła pilot przezroczystą folią spożywczą, nie zdziwił Dominiki, od razu zrozumiała logikę matczynego działania; każdy głupi zauważy, że w ten sposób jest higieniczniej i mniej się niszczy. Jadzia uwielbiała folię spożywczą, podobnie jak wszystkie nowoczesne środki pomagające w

utrzymaniu czystości; podobała jej się lśniąca przezrzysta materia pokrywająca rzeczy ochronną warstwą jak błoną płodową i gdyby coś tak cudownego dało się kupić w zgrzebnych czasach, kiedy Dominika była małą dziewczynką, matka owinęłaby ją folią od stóp do głów. Tego wieczoru Dominika patrzyła, jak Jadzia zmienia kanały z nowo odkrytą pasją, i wiedziała, że to jeden z ostatnich wspólnych seansów na Piaskowej Górze, bo pragnienie podróży i ruchu wzbierało w niej jak fala. Nie mogła ani tu zostać, ani ruszyć stąd Jadzi; pozwole więc 387

dalej nieść się wiatrom, oto, co zrobi. Nazajutrz Małgosia wracała do Londynu i prosiła Dominikę, jedź ze mną, możesz zatrzymać się w moim domu, Jill nie będzie miała nic przeciwko, potem zastanowisz się, co dalej.

Nocą Dominika stała w oknie pokoju, w którym spędziła dzieciństwo, i patrzyła na wzgórza otaczające pierścieniem Wałbrzych; za nimi był świat, Sara, Ivo, Małgosia, wszystkie poranki świata i miejsca, do których jeszcze nie dotarła. Gdzieś tam była może Chmurdalia.

Nie wiedziała, że za drzwiami pokoju stoi Jadzia w ró-

zowej koszuli nocnej i wstrzymuje oddech, by córka nie odkryła, że sterczy w ciemności tylko po to, by przez chwilę pobyc blisko swojego dziecka, które znów jej się wymyka. Gdy zadzwonił telefon, obie się przestraszyły.

Gdyby Dominiki nie było, Jadzia od razu pomyślałaby, że wypadek, nagła śmierć, złamany kręgosłup, pożar, zglisz-cza, ale przecież słyszała kroki córki w pokoju obok, a nie miała na świecie już nikogo innego, kto mógłby jej umrzeć. Pogalopowała więc do łóżka, by udawać, że śpi, a Dominika odebrała telefon, mówiąc do słuchawki to swoje halo już nie polskie, co bardzo denerwowało Jadzię, tym bardziej że reszta rozmowy też odbyła się po angielsku. Z Nowego Jorku dzwonił Leo Barron, były mąż pani Eulalii, który zajmuje się jej sprawami spadkowymi, staruszka zostawiła Dominice jakąś pamiątkę i list.

Pamiątkę? Trudno było poznać co, bo opakowane. Obie rzeczy wysłano kurierem do Polski, już powinny dotrzeć na miejsce, jak nie dziś, to jutro. Dominikę zdziwił niespodziewany spadek, bo wiedziała, że pani Eulalia Barron nie ma nic prócz książek, a te zapisała bibliotece, nawet mieszkanie, w którym niewiele oprócz książek było, nie 388

należało do niej. Matko Boska, żeby tylko na poczcie nie ukradli, zatroskała się Jadzia, gdy Dominika powiedziała jej o przesyłce, i do momentu jej nadejścia po dwóch dniach nie mogła przestać o niej myśleć. Co to będzie?

I czy da się spieniężyć? Może staruszka ukrywała jednak coś cennego w szafie, tak jak ich Halina, która pod wor-kiem z cukrem chomikowanym na wypadek następnego stanu wojennego trzymała marki niemieckie. A w takim Nowym Jorku to pewnie więcej da się zachomikować niż w Wałbrzychu, i do tego staruszka była bezdietna, nikt z niej pieniędzy nie ciągnął. A więc co? Coś z biżuterii?

Futro z nerek? Mogłaby Dominika część wydać na życie, najlepiej tu, na Piaskowej Górze, a część

włożyć na ksią-

zeczkę, kalkulowała sobie Jadzia. Wyobrażała sobie coś pięknego, lśniącego, jak nie biżuteria i futro, to może wyjątkowo okazały kryształ albo srebro rodowe; nigdy wprawdzie nie widziała ani tym bardziej nie posiadała żadnego srebra rodowego, ale lubiła dźwięk tych słów znanych jej z filmów i harlequinów, niosących wyobrażenie czegoś romantycznego i możliwego do spieniężenia zarazem. Srebra rodowe, ordynaci, futra z norek, karo-ce, welony ślubne to były rekwizyty Jadzinej wyobraźni dobre na każdą okazję; z ręką na sercu i wypiekami na twarzy obserwowała, jak Dominika odpakuje przesyłkę. Ostrożnie! ostrzegęła ją, ostrożnie, bo upuścisz i pisz pan przepadło. W paczce był stary nocnik, jego uszko załśniło resztką pozłoty. Nocnik? Jadzia popatrzy-

ła na córkę z niedowierzaniem i pochyliła się nad stołem, wygląda zupełnie jak nocnik, co to za fiksum-dyrdum?

Zajrzała do środka i z obrzydzeniem podniosła do świat-

ła, powąchała, nocnik i do tego używany. Ale może on 389

choć ze srebra? Dominika wzięła od matki naczynie i przypomniała sobie. stało na parapecie w pokoju Eulalii Barron, rosła w nim wielka paproć. której młode listki zwinięte były spiralnie jak ślimaki i niekiedy wplątywały się Dominice we włosy. Oprócz naczynia był list.

Droga Dominiko. pisała Eulalia Barron, a litery przypominały Dominice głos staruszki. cienki i drżący. Droga Dominiko. przedmiot. który dostałaś. jest dokładnie tym. na co wygląda. To stary nocnik. nocnik Napoleona Bonaparte. Widzisz. ja nie mam już nikogo i sporo w tym mojej winy. Postanowiłam opowiedzieć swoją historię Tobie. bo myślę. że należysz do osób. które potrafią zachować opowieść przy życiu. Opowieści wymagają ludzkiej dbałości jak paprocie. trzeba je karmić. zapewnić im światło. Czy mówiłam ci. że przypominasz mi trochę Władzię Dziurska, dziewczynę. która czytała mi książki.

gdy byłam małą dziewczynką w Krakowie? Na pewno Ci mówiłam. Starzy ludzie lubią jednak powtarzać wszystko wiele razy. nie dlatego. że zapominają. ale ze strachu. że młodzi zapomną o nich. A jesteśmy tym. co pamiętamy.

Dominiko. Podobieństwo, o którym piszę. to nie sprawa wyglądu. bo nasza Władzia Dziurska była niską. pulchną blondynką o zbyt długich ramionach i zielonkawych oczach. Łączy Was co innego. dostrzegłam to już wtedy.

gdy po raz pierwszy czytałaś mi fragment Odysei o syrenach. Tak jakbyś pojawiła się u mnie w Nowym Jorku. by przypomnieć mi Władzię i w jednej opowieści połączyć moją przeszłość z Twoją przyszłością. Dzięki Tobie moja historia pozostanie żywa. Nocnik Napoleona. który Ci zostawiam. dostałam od mojego przyjaciela. bo chyba mogę tak go nazywać. Icka Kaca. polskiego Żyda. który

390
miał sklepik na Brooklynie. Na pewno mówiłam Ci o nim.

choć sama wiele nie wiedziałam. Nasza przyjaźń z Ikiem nie polegała na wymienianiu imion, faktów i dat, ale na wspólnocie doświadczenia - oboje żyliśmy w przeszło-

ści. Ocaleni nie są panami pamięci, bo nie mogą odgonić wspomnień, i to nas łączyło, mnie z Ikiem Kacem.

Poza tym byliśmy małomówni, nie potrzebowaliśmy ważnych słów, a nieważne nie wydawały nam się warte wysiłku. Wiem tylko, że Icek dostał nocnik Napoleona w Polsce od kobiety, którą kochał, utracił i której szukał przez całe życie; nie wiem, jak miała na imię. Tylko jedną znam nazwę z jego opowieści. Kamieńsk. To małe miasteczko w centralnej Polsce między Piotrkowem Trybunalskim a Częstochową, może kiedyś zawiedzie Cię tam los, Dominiko. Ja nigdy w Karnieńsku nie byłam.

Poznaliśmy się z Ikiem Kacem w Metropolitan Museum, gdzie, jak wiesz, przez lata pilnowałam ekspozycji w dziale starożytności. Naszej przyjaźni z Ikiem wystarczało wspólne przyglądanie się mumiom egipskim i tylko raz, właśnie przy mumiach, Icek powiedział mi o przechowywanej przez siebie pamiętce z przeszłości, o nocniku Napoleona. Po śmierci Icka Kaca dostałam tę śmieszłą rzecz w spadku, wyobraź sobie, I i nic więcej, słowa wyjaśnienia, co mam z tym fantem zrobić. Zrozumiałam, że Icek w ten sposób prosił mnie, bym przechowała jego historię, a mogłam to zrobić, tylko włączając ją we własną.

Co za paradoks, że pamiętka po Napoleonie, który był

antysemity, trafiła do mieszkania Żydówki. Zauważyłaś?

Robi się nas więcej w tej opowieści, na którą teraz składa się moja historia, historia Icka Kaca, Twoja i nocnika Napoleona. Kto wie, co będzie dalej! Ja użyłam nocnika 391

jako doniczki i dopiero gdy się pojawiłaś, pomyślałam, że być może Icek miał jeszcze jakiś plan czy przeczucie.

Nigdy nie należy lekceważyć przeczuć, Dominiko. Poprosiłam dawnych znajomych z muzeum, by sprawdzili wiek nocnika, i okazało się, że jak najbardziej mógł być w posiadaniu cesarza Francuzów. Tego typu eleganckie nocniki produkowano na początku dziewiętnastego wieku w Łodzi, w manufakturze Dionizego Kołka, i ponoć były przez pewien czas bardzo modne, bo paniom podobały się sceny malowane na pokrytej złotem powierzchni.

Nie sposób już powiedzieć, co przedstawiały, choć wydaje mi się, że widać tu zarys jakichś zwierząt i kwiatów.

Robię dziś to, co, jak sądzę, powinnam zrobić, zapisuję Ci tę pamiętkę w poczuciu zbliżającej się śmierci, któ-

ra zapewne poprzedzi utrata jasności umysłu. Możesz zrobić, co chcesz, a ja mam dziwną pewność, że zrobisz dokładnie to, co powinnaś. Odnoszę wrażenie, że podobnie jak ja w młodości, nie masz potrzeby celu, ale posiadasz zdolność odróżniania podróży od dryfowania, Dominiko wędrowni. Starzy ludzie wiedzą, że życie nie biegnie po linii prostej, choć może się wydawać, że akurat oni

mają przed sobą tylko jeden kierunek, i to prostą drogą. Nic bardziej mylnego. Życie dzieje się zwykle w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości jednocześnie-

nie, a mój problem polegał na tym, że podobnie jak Icek umiałam poruszać się tylko w tej pierwszej. Historia, którą dla Ciebie piszę, jest próbą wyjścia z przeszłości -

zostawiam ją Tobie, bo masz całą przyszłość przed sobą.

Możesz tę opowieść przeczytać kiedyś komuś na głos, tak jak mnie czytałaś książki. Możesz ją po prostu tylko pamiętać. Wybacz, że nie zachowam chronologii i za-392

cznę od tego, od czego ma ochotę zacząć każdy wygnaniec, od momentu, w którym wszystko jednocześnie zaczęło się i skończyło. A więc posłuchaj, Dominiko, posłuchaj jeszcze raz opowieści starej kobiety. Uciekłam z Polski, z Krakowa, z moją mamą, Aliną, pianistką i tatą, Feliksem Meislem, prawnikiem, okrężną drogą przez Litwę, Rosję i Japonię; pani Eulalia Barron zaczęła opowieść od nowego akapitu, a Dominika przerwała czytanie listu, by zawołać Jadzię.

Chodź, mamo, przeczytam ci opowieść pani Eulalii Barron!jadzia, która od kilku minut krążyła wokół Dominiki pochylonej nad listem, ciekawa do granic możliwo-

ści, co z tego wszystkiego wyniknie, usiadła i splotła dłonie na okazałym brzuchu, który nazywała oponą. Ponad nocnikiem Napoleona spojrzała na swoje dziwne dziecko; jak jej ładnie włoski podrosły, pomyślała. Przez okno wpadły promienie styczniowego słońca i resztki pozłoty zaślnęły tak, że w Jadzi odżyła nadzieja na spieniężenie dziwnego spadku. Nie jest to wprawdzie srebro rodowe, ale może wypolerować i w antykwariacie w wałbrzyskim rynku by wzięli? Nie przerywała córce i reagowała po swojemu, przewracała oczami ze zgrozą na ucieczkę żydowskiej rodziny z Krakowa, szeptała, Matko Boska, na śmierć matki Eulalii Barron, Aliny Meisels, i samobójstwo jej ojca, Feliksa, w mętnych wodach japońskiego portu.

Japonia? Matko Boska, taki świat drogi od domu! Kręciła głową na wieść o tym, że małżeństwo Eulalii i Leo Barrona nie przetrwało, bo przecież wydawał się takim miłym mężczyzną i tyle razem przeszli, a gdy padło imię Władzi Dziurskiej, w oczach Jadzi pojawił się niepewny błysk rozpoznania. Nigdy nie była mocna w rodzinnych genea-393

logiach ani nie lubiła grzebać się w przeszłości, jak to nazywała, ale pamiętała, że jej babka Jadwiga z Zalesia, zabita podczas wojny żona młynarza, była z domu Dziurska i pochodziła z Częstochowy. Czy ta Władzia mogła być z nią spokrewniona? Jadzia próbowała policzyć lata na potwierdzenie lub odrzucenie tego podejrzenia, ale zniechęciła się, bo jak zwykle przy liczeniu, nie wychodziło jej nic pewnego. Znajome nazwisko przybliżyło jej jednak samą Eulalię Barron; poprzez Władzię Dziurską, tę albo i nie tę, Jadzia poczuła, że staruszka z Nowego Jorku jest jej jakoś bliska. Przetrawi to uczucie bliskości, dodając do swojego wyobrażenia Eulalii Barron parę mocniejszych akcentów, tak że stanie się podobna do jej matki, Zofii, takiej jaka by była, gdyby kochała Jadzię bardziej. Wkrótce Jadzia będzie nazywała nigdy niewidzianą Eulalię Barron ciocią i opowie Krysi Śledź

spotkanej na bazarku Manhattan kolejną podkoloryzowaną historię o spadku, jaki ciocia Eulalia z Ameryki zostawiła Dominice, że i na życie jej starcza bez problemu, i na książeczce ma trochę

odłożone. Opowieść cioci Żydówki, Eulalii Barron, trochę do niej podobnej w braku wielkich zdolności i talentów, zbliżyła teżjadzie do Ignacego Goldbauma, jej prawdziwego ojca. Eulalia Barron stała się ogniwem łączącym z tym onieśmiałają-

cymjadzie człowiekiem, amerykańskim profesorem, któ-

rego jej matka podczas wojny przechowała na strychu w zaleskim domu i z którym przed siedmiu laty w tym domu spłonęła. To ich wszystkich tak wybili, popalili, z własnych domów wypędzili do jakichś Japonii, Kura-kaów, pomyślała w przyptywie współczucia, w którym było coś jeszcze, bo Jadzia Chmura nagle zrozumiała, dla-394

czego taki gniew ją ogarnął, gdy Leokadia Wawrzyniak nazwała Dominikę Żydowicą. To uczucie porównywalne do dreszczu doznawanego przy dźwiękach Czarnej Madonny było poczuciem więzi. Coś w niej obraziła Leokadia Wawrzyniak, nie tylko jej dziecko, lecz coś, do czego Jadzia, mieszaniec z Piaskowej Góry, córka Zofii Maślak i Ignacego Goldbauma, nagle poczuła przynależność.

Wkrótce zacznie się zastanawiać, co i jak ma odpisać na przysyłane jej przez dzieci Ignacego kartki i fotografie.

Czy wypada zdjęcie swoje wysłać? W domu czy na dworze? Ubrać ma się raczej odświętnie czy na kole domu?

Żeby nie wyszło na ten przykład, że się specjalnie wy-sztafirowała i wyfiokowała! Upłynie jednak trochę czasu, zanim Jadzia zdobędzie się na to, by starannie wybrane i wypisane pocztówki rzeczywiście wysłać do Ameryki, a teraz, gdy tak siedzi przy stole z córką i patrzy na lśni-

cy w styczniowym słońcu nocnik Napoleona, jej głowę zaprzatają inne ważne sprawy. Jadzia wzdycha, aż mi się zimno, córcia, zrobiło od tych historii, i postanawia zabrać się do obiadu, który niezależnie od dziejowych za-mętów i nagłych spadków z Ameryki, musi składać się z dwóch dań z deserem i nastąpić o tej samej porze. Już ma założyć fartuch i zakrólować w swojej kuchni, ale coś jeszcze nie daje jej spokoju. A może ja bym, mówi do Dominiki, ten nocnik Napoleona wydezynfekowała jednak domestosem?

395

x

Przyjadę, mówi Dominika do Małgosi, z którą zeg-na się na Piaskowej Górze w trzaskający mrozem styczniowy dzień; okręzną drogą, ale przyjadę do ciebie do Londynu. Kilka miesięcy i kilka tysięcy mil morskich to niewiele w życiu Dominiki Chmury; pojedę najpierw spotkać się z Sarą, i dam jej nocnik Napoleona, mówi do przyjaciółki. Myślę, że powinien należeć do niej, w końcu ustaliłyśmy w naszej opowieści, że jest praprawnuczką Napoleona i Hotentockiej Wenus. Spotkam się jeszcze z Iwem, bo przyleci do Nowego Jorku na konkurs cukierniczy, i już nic nie będzie mnie tam trzymać. A czy ciebie coś gdzieś kiedyś zatrzyma, Włóczykiju? pyta Mał-

gosia. Nie, mamu Muminka, mówi Dominika i uśmiecha się, ale czasem chcę gdzieś zostać na trochę. Może będę więc chciała zostać na trochę w Londynie, tak, czuję, że będę chciała, nigdy nie lekceważ przeczuć, jak mówiła pani Eulalia Barron. Przyjadę tam za dwa, trzy miesiące, nie później, to już postanowione; bardzo się cieszę, że poznam twoją Jill.

Od wyjazdu Dominiki czuję się, jakby mnie kto zjadł

i wyrzygał, cytowała Jadzia powiedzonko Haliny w rozmowie z Krysią Śledź, chociaż za życia teściowej uwa-

żała je za wyjątkowo wulgarne i obrzydliwe. Za każdym razem, gdy je powtarza, twarz Haliny, tak dobrze znana twarz zgryźliwej jaszczurki, pochylona z wyrazem dezaprobaty nad jakimś jadziny wyczynem kulinarnym, powstaje z martwych. jakby mnie kto zjadł i wyrzygał

normalnie, wzdycha więc Jadzia Chmura, ledwo przy je-396

chała ta powsinoga, zakręciła się, namąciła i już leci, nie usiedzi, owsiki ma w tyłku, czy co. Miejsca sobie całkiem znaleźć nie mogę i zgaga mnie taka pali; jakby mnie kto zjadł i wyrzygał, Matko Boska. Wody z ogórków, Jadzia, się napij, radziła jak zawsze Krysią Śledź, w telewizji jakieś duperele reklamują, ale mnie woda z ogórków na wszystko, Jadzia, pomaga, czy zgaga, czy niestrawność, domowe sposoby najlepsze, w aptekach sama chemia.

jednak tęsknota nie dała się uleczyć wodą z ogórków i wbrew radom sąsiadki Jadzia Chmura łykała całe gar-

ści kolorowych witamin i ziołowych preparatów, które kusily ją reklamami obiecującymi spokój ducha, dobre trawienie i gładką cerę; wrzucała je do gardła i odchyłała głowę gestem tak dramatycznym, jakby popełniała samobójstwo w niemym kinie, a potem odbijało jej się szal-

wią, rumiankiem i rybią wątrową. Bała się nudy, pustki następujących po sobie dni, ale przynajmniej na począt-ku nic na to nie wskazywało, by Jadzia miała się nudzić, i nawet o codziennej porcji seriali zapomniiała z tej nie-spodziewanej ekscytacji. Kilka dni po wyjeździe Dominiki zadzwoniła do niej z Niemiec starsza córka Grażynki, Aniela Wolf, właścicielka cukierni Calypso z Gelnhäusen.

Jadzia ledwie ją pamiętała, ale gdy usłyszała głos, wró-

ciło do niej wspomnienie pulchnej dziewczynki, która zawsze miała buzię umazaną jakimiś słodyczami. Aniela powiedziała jej, że Grażynka nie wróciła po pogrzebie Haliny do Niemiec, czy Jadzia coś wie? Zostawiła list, który jej mąż, tata Hans, znalazł dopiero niedawno, bo pod nieobecność żony nie wchodził do małżeńskiej sypialni i spał na kanapie. Smutno mu było samemu w takim wielkim łóżku z baldachimem. Matko Boska, zdziwi-397

ła się Jadzia na te niemieckie obyczaje. Pisała Grażynka w tym liście pod poduszką Hansa schowanym, że ich kocha i żeby jej nie szukać, bo odchodzi. Kocha i odchodzi? zdziwienie Jadzi rosło w rytmie ziołowych beknięć po przedawkowanym skrzypie na paznokcie i włosy. Bo żeby tak kochać i odejść? Tego nie robi się w normalnym życiu. W normalnym życiu zostaje się z mężem

mimo braku miłości, jak uczyniła jej sąsiadka, Lepka, bo ani on, ani ona nie mieli dokąd się wyprowadzić; po co więc się rozwodzić, skoro nie można się rozejść. Jakby tylko czekała, westchnęła w słuchawkę Aniela, jakby tył-

ko czekała ta moja szalona matka. Na co jakby czekała?

Aż jej syn się ożeni, zaszłochała Aniela. Ożenił się nasz Daniel, choć jeszcze dzieciak, z Turczynką niemczoną, Nazan ma na imię, piękna dziewczyna, hostessą była na targach maszyn rolniczych we Frankfurcie. Zamieszkali w Mehrholtz i wszystko zmienili, zamiast świń mają teraz ekologiczną hodowlę owiec, wytwórnię serów i tradycyjną przedziałnię wełny o nazwie New Age Wool; urodziło im się niedawno dziecko, chłopczyk, którego tata Hans uwielbia. Grażynka babcią, to Jadzi zupełnie nie mieściło się w głowie, koniec świata, jak babcią może zostać ktoś, kto nawet na matkę nigdy nie wyglądał?

Zaraz potem Grażynka pojechała do Polski na pogrzeb Haliny; myśleli, że wróci za tydzień, góra dwa, bo powiedziała tylko, to do zobaczenia, kochani, wnuka wyściska-

ła. A tu już ponad miesiąc, jak jej nie ma. Ani telefonu, ani nic, jakby pod ziemię się zapadła. Tata Hans najpierw Grażynki szukał, w radiu był, w telewizji, gdzie on nie był, detektywa wynajął, nawet jasnowidzowi zapłacił, a potem zamknął się w sobie i powiedział, że szukać 398

nie będzie. Nie będzie? upewniła się Jadzia. Nie będzie, potwierdziła Aniela, dodał tylko, że w głębi duszy przeczuwał, że jego Grażynka odejdzie pewnego dnia i nie wróci z lasu. A potem właśnie zamknął się w sobie, całe gospodarstwo syn z synową prowadzą, a on tylko bawi się z wnukiem i opowiada mu o Grażynce całymi dniami.

Matko Boska, ale jak z lasu? Jadzia nie była osobą, której nagłe zniknięcie mogło w ogóle przyjść do głowy, i aż się spociła z wrażenia na ten las, który pamiętała ze swojego pobytu w niemieckim domu Grażynki, ciemna ściana drzew za domem, jakoś złowroga. A tak, potwierdziła Aniela, do lasu Grażynka chodziła, najczęściej wieczorami, zawsze sama, i śmiali się z taty Hansa, że wypatruje jej tak, jakby miała nie wrócić, a to przecież tylko zwykły las, i do tego blisko. Gdy pojechała do Polski, w ogóle się nie martwili, tata Hans nakupował jej tymczasem prezentów, ubrań, butów, jak to on. Ale Grażynka z Polski nie wróciła. Prezentów nakupował, a ona nie wróciła, westchnęła Jadzia. I jeszcze, choć chłop, buty umiał żonie kupić, pewnie patyk mu zostawiła; gdyby Jadzi ktoś tak nakupował, to na pewno by nie zniknęła. Jeszcze powiedziała jej Aniela, że jasnowidz wziął sto marek, skupił się, oczy zamknął i gada, ale tak jakby z brzucha, że widzi jakiś dom opuszczony. Gdzie ten dom? jaki dom? dopytywał się Hans; jasnowidz oczy otworzył, wziął drugie sto marek, oczy zamknął, jęczał, sapał z godzinę, wziął jeszcze pięćdziesiąt i w końcu mówi, że za granicą i nie dom, ale pusta parcela z jakąś komórką czy chałupą, zarośla-mi łopianu. Matko Boska, westchnęła Jadzia. Czy Jadzia coś podejrzewa? Może jakieś znaki pamięta? Czy coś na zamiar zniknięcia bez wieści w Grażynki osobie wskazy-399

wało? Jadzia zadrżała, co za tajemnicza historia, co za romantyzm, jak bardzo chciałaby jakieś znaki pamiętać, być jedyną, która je okiem bystrym dostrzegła. Niestety, nic szczególnego nie pamiętała. jedyne, co tłukło jej się po głowie, dotyczyło bardziej jej własnego losu niż Grażynki. Tobie, Jadzia, jeszcze noga się do tańca rwie, powiedziała jej Grażynka na stypie, nie łam się, Jadzia, jeszcze

zatańczysz, tyłek na słoneczku wygrzejesz. Fuk-nęła na nią, bo tu stypa po teściowej, a ta o tańczeniu, tyłka grzaniu, gdzie jej tam do tańczenia, ale zapomnieć tych słów nie mogła. Gdyby lepiej słuchała, może coś jeszcze między słowami tego dziwnego proroctwa by usłyszała? Oczywiście będzie się zastanawiać, pomyśli, czy znaki jakieś były, jakby co, zaraz przekreśli, obieca-

ła Jadzia córce Grażynki. Gdy odłożyła słuchawkę, znowu przypomniała sobie Grażynkę na pogrzebie Haliny, wystrojoną jak Alexis z Dynastii, i poczuła znajomą mieszankę dezaprobaty, sympatii i zazdrości. Jadzia Chmura wiedziała, czego dotyczyła sympatia i dezaprobata, nie była jednak pewna, z czym wiązała się zazdrość kłująca ją jak ściernisko bosc stopy. Być może chodziło nie tyle o cudownie zakonserwowaną młodość Grażynki czy dobrobyt, lecz o odwagę porzucenia wszystkiego, ot, tak sobie, jakby dom, samochody, sprzęty kuchenne, zasłony, narzuty, lambrekin, komoda z pościelą, szuflady pełne jedwabnej bielizny do noszenia na co dzień, a także mąż ślubny i niepijący, żywy i zdrowy, nic nie były warte albo jakby istniało coś warte więcej, o czym Jadzia nie miała pojęcia, ale czego istnienie czasem przeczuwała.

Jadzia miała bezdyskusyjną przyjemność bycia osobą, która informację o zniknięciu Grażynki rozpuściła po 400

Piaskowej Górze, skąd plotkę wiatr szybko rozwieje po innych dzielnicach Wałbrzycha. Zaczęło się od balkonu, gdzie korzystając z marcowego słońca, Jadzia rozwieszała pranie; pranie rozwieszała też Krysia Śledź, której pomagała wnuczka, Pati, z patyczkiem od lizaka wystającym z ust. Rozpieszczana przez babcię dziewczynka była już tak gruba, że nie mogła sama zawiązać sobie butów. Krysia uważała jednak, że zanim gruby schudnie, chudego pięć razy szlag trafi, i śmiała się z młodej lekar-ki z przychodni na Piaskowej Górze, która zaleciła Pati dietę i basen. Ach, westchnęła Jadzia, co to się wyprawia na świecie, wyobraź sobie, Krysia, że Grażynka znikła.

Znikła?! Grażynka? Znikła, z satysfakcją potwierdziła jadzia i zrobiła dramatyczną pauzę. Do Niemiec z Wałbrzycha nie wróciła, znikła jak kamień w wodę. Dwa balkony niżej rozmowę usłyszała Lepka, która pranie miała już wywieszzone, ale wyszła na papierosa. Lubiła tak stać, pa-lić i patrzeć na południe, bo gdzieś tam była Jugosławia albo to, co po niej zostało, tam na wojnę nie wiadomo kogo z kim pojechał jej syn Zbyszek, od którego od dawna nie miała wieści. Na wojenkę jadę, mama, pożegnał

się i znikł; wyczulona z tej racji na czasownik zniknąć we wszystkich formach, Lepka wyłowiła go błyskawicznie z rzeki dźwięków, które docierały do jej ucha. Że kto znik?! wychyliła się i krzyknęła w górę, gdzie pojawiły się głowy Jadzi i Krysi, wrzeszczące unisono w dół, Gra-

żynka znikła! Grażynka znikła! dla pewności potwierdziła Pati i z powrotem włożyła lizaka do ust. Jakby tylko chwilę była w stanie wytrzymać bez słodczy. Wkrótce o zniknięciu Grażynki mówił cały Wałbrzych i wymyślano coraz bardziej fantastyczne historie na temat miejsca jej pobytu-401

tu, bo co do jednego wszyscy pozostawali zgodni: Gra-

żynka znikła z własnej woli i żyje. Żyje życiem, o jakim im się nie śniło! Wygrała w totolotka niemieckiego i kupiła sobie dom z basenem w Meksyku, gdzie mieszka z młodym Meksykaninem, w kapeluszu meksykańskim chodzi i nic oprócz niego na sobie nie ma, ta zdzira, tylko kapelusz i złote

bransolety. Meksykanin jej drinki z parasolką podaje, a każdy drink tyle kosztuje, że na Piaskowej Gó-

rze rodzina by za to tydzień żyła i co dzień miała schaboszczaki. Ta Grażynka! W stroju bikini, w czarnych okularach. A tam w Meksyku, akurat, do Moskwy pojechała!

a właściwie do Petersburga, tam teraz inaczej, niż kiedy był Leningrad, Ruscy, panie, mają dziś takich milionerów, że na ich jednego naszych dziesięciu trzeba złożyć, i jeszcze brakuje. Trzy razy w roku latają do Egiptu, do Tunezji. I Grażynka takiego milionera ruskiego poznała, zakochał się w niej Iwan na zabój, żonę, dzieci porzucił, pałac w Petersburgu jej postawił, jacht kupił nowiutki na lato. Konno po Petersburgu teraz Grażynka zaiwania, z kieliszkiem szampana w ręce, w futrze, a po rusku tak gada, jakby od lat tam żyła, zdrastwujcie tawariszcz i na zdrowie, pażałsta. Tym wieściom, bijąc się w pierś, zaprzeczał Lepki. Po zamknięciu kopalni, w której pracował, gdy część odprawy wydał na sprowadzony z Niemiec używany samochód, a pozostałą przepił z tęsknoty za pracą pod ziemią, na którą wcześniej tak narzekał, Lepka zdenerwowała się i zagnała go do roboty. Brakoro-bie, ofermo, niemoto, będziesz mi tu na dupie siedział, pierdział w stołek i wzdychał? Może jeszcze depresji jak Śledź dostaniesz? Rób coś, chłopie! Lombard załóż jak Kowalik albo sklep zwierzęcy jak syn Waciaka, tylko nie 402

siedź tak, bo mnie zaraz normalnie trafi! Rusz się i rób coś, bo skończysz jak ci, co zebrzą pod Realem, dupo wo-

łowa. Lepka, nie mogąc się doczekać inicjatywy ze strony małżonka, sama firmę zarejestrowała, wizytówki Handel Obwoźny Lepki Waldemar dała do wydrukowania i wysłała małżonka niemieckim samochodem w podróż po Polsce. Były górnik jeździł z bagażnikiem pełnym rajstop damskich z prywatnej wałbrzyskiej fabryczki i oferował

w wiejskich i małomiejskich sklepikach. I w Kamieńsku, przysięgał teraz Lepki, dziurze takiej, że wiatr zawraca, widział Grażynkę, stała pod jakąś chałupą łopianami za-rośniętą, a gdy go zobaczyła, uśmiechnęła się, całusa po-słała i wsiadła do terenówki; gdy samochód ruszył, szal jej jedwabny przez okno zafurkotał, co to był za całus, co za szal, a terenówka jaka, mój Boże. Za kierownicą siedział jakiś figo fago w czarnych okularach, do prezyden-ta Kwaśniewskiego trochę podobny, ale na gębie mniej nalany i młodszy. Całusa, śmiała się Lepka, tobie by kto całusa wysyłał, ofermo, chyba własna mama, gdybyś jej wcześniej do grobu nie wpędził. już ja ci te całusy kap-ciem ze łba wybiję. Ach, gdybym ja młodsza była, tobym cię tak w tą chudą dupę kopła! To wszystko powtórzyła Jadzia Dominice, • gdy w końcu zadzwoniła z Londynu, i dodała, że co do niej, to uważa, że Grażynka pojecha-

ła do Ameryki operację plastyczną sobie zrobić, siliko-nowe implanty i lifting. Jadzia była świeżo po lekturze nowego numeru "Twojego Stylu", szarpnęła się i sobie kupiła, choć drogi; oglądała niepoddające się grawitacji piersi i gładkie twarze gwiazd o ustach jak pączki opon-ki; gwiazdy były nie tak wiele młodsze od niej, a w przypadku żony Janosika nawet chyba starsze, i zastanawiała 403

się Jadzia, czy higieniczne są takie implanty i liftingi, czy nie grożą złapaniem jakiegoś choróbka. Dominika nie zdziwiła się zniknięciem i nie udzieliła jej się ekscyta-cja Jadzi, bo od początku wyczuwała w Grażynce kogoś podobnego sobie, kto musi pozostać w ruchu, by żyć.

Jeszcze ją pewnie zobaczymy, powiedziała tak pewnym tonem, że wzbudziła w Jadzi mnóstwo podejrzeń.

Dominika dzwoniła do Jadzi z domu, w którym zamieszkała trzy tygodnie po przyjeździe do Londynu, za oknem rosło drzewo figowe o liściach jak żabie łapy, pachniało słodkimi bułeczkami, pieczonymi przez grecką gospodynię Apostoleę Ellinas, i jeśli nie przywiod-

łyby tu Dominiki inne okoliczności, przywiódłby zapach wanilii i cynamonu. Szukała pokoju, zataczając coraz szersze kręgi od centrum miasta, z dala od dobrych dzielnic, z dala od Hamstead Heath, gdzie mieszkali Małgosia i Jill. Spacerowała po okolicach szemranych, żyjących w rytmie niepewności, gdzie ludzie siedzieli na schodach domów i rozmawiali o ojczyznach, które porzucili, bo tak rozmawia dwieście milionów ludzi żyjących poza krajem swojego pochodzenia. Ktoś wrzeszczał na kogoś przez otwarte okno w angielskim, jakiego nie uczono w żadnej szkole, jakieś Polki kłóciły się na przystanku, bo jedna miała drugą zastąpić na nocce przy zmywaku, ale nie przyszła, co ty sobie, kurwa, myślisz, że u siebie w Zabrze jesteś? Tu od razu Dominika Chmura czuła się swojsko. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę tak wyraźnie, że też ma ojczyznę, za którą tęskni tym szczególnym rodzajem tęsknoty, która skłania do tego, by pamiętać, a nie wracać. Robiła zdjęcia domom, zwierzętom i ludziom, siadała na ławkach, schodach, piła 404

kawę w przydrożnych kawiarniach o dziwnych nazwach i niezbyt czystych stolikach, fotografowała plamy, jakie na blatach zostawiały filiżanki. Kupowała słodczy indyjskie, tureckie, ormiańskie, greckie i jadła je z papierowych torebek, włączając się szlakiem pokoi do wynajęcia w zagraconych mieszkaniach i tanich domach, których zapachem przesiąka się na lata. Małgosia prosiła, zostań u mnie, Jill naprawdę nie ma nic przeciwko temu, ona jest tylko trochę neurotyczna i ma problem z ojcem alko-holikiem, zostań, ale już po tygodniu Dominika szukała mieszkania. Nie przeszkadzała jej Jill, gotowa była nawet polubić tę małomówną i niepozorną kobietę, której nieustannie coś się rozlewało, tłukło albo przewracało i która po każdym nieszczęściu wyglądała na tak samo zdumioną, jakby przez trzydzieści kilka lat życia nie zauważyła, że jest nieporadna. Jill o ziemistej cerze, w szarych indyjskich sukniach, przypominała Dominice matkę Małgosi, która w brudnej podomce snuła się po domu na Szczawienku jak ponury duch. Lubiła jednak wspólne kolacje w londyńskim mieszkaniu Małgosi, gdy jadły przyrządzone przez Jill eksperymentalne potrawy, składające się głównie z zieleniny, muesli i pasztetu sojowego własnej roboty; lubiła patrzeć, jak Małgosia nalewa wina do lśniących kieliszków i wznosi toast za dziewczyny z Piaskowej Góry i okolic, a Jill żartuje, że niestety urodziła się w okolicach Notting Hill, gdzie tam Notting Hill w Londynie do Sandy Hill w Wałbrzychu. Dominika nie mogła zostać dłużej w tym przyjaznym miejscu, bo dla Małgosi było ono domem, i nawet jeśli Jill wkrótce miała zostać zastąpiona inną kruchą kobietą potrzebują-

cą pomocy, istotą tego miejsca była trwałość.

405

Dominika zadomowienia nie odczuwała jeszcze nigdy i nie wiedziała nawet, czym jest tęsknota za nim, bo jej jedyny dom, ten na Piaskowej Górze, był przede wszystkim miejscem, z którego uciekała, w taki sposób, jak ucieka się z ojczyzny, ciągnąc ją za sobą jak kot puszkę przyczepioną do ogona. Jak miała wytłumaczyć Małgosi, że nie rozpakowuje do końca plecaka, bo nie dotarła do celu i nie wie, czy kiedykolwiek dotrze, że naprawdę nie potrzebuje tego pięknego fotela, mimo iż ma on cenę

okazyjną i można go wziąć na korzystne raty, sama perspektywa posiadania czegoś na raty wydawała jej się tak absurdalna jak zakup działki na Księżycu. Potrzeba ruchu, przemieszczania się i świadomość, że w każdej chwili może ruszyć dalej, tego potrzebowała Dominika Chmura, i coraz bardziej rozumiała, że ta potrzeba jest tak samo jej częścią jak blizna na twarzy, wspomnienie wypadku i zapach spalonego mięsa.

Zamierała więc w przerażeniu, gdy Małgosia mówiła, za rok mogłybyśmy wybrać się do Tajlandii i Kambodży, albo gdy planowała, podczas najbliższych świąt zrobimy wielkie przyjęcie! Bo nie wiedziała i nie chciała wiedzieć, co i gdzie będzie robiła na święta, a tym bardziej za rok. '

Skąd ludzie wiedzą takie rzeczy? Dlaczego poświęcają im tyle uwagi? Wybiegnij myślą w przyszłość, mówiła Małgosia, jakby cytowała Jadzię, wysil się, powiedz, jak widzisz siebie za dziesięć lat, ale Dominika śmiała się, że ona woli biegać po parku i myśleć o przeszłości. Przyszłość, pani doktor, jest przereklamowana!

Małgosia zachwycała się zdjęciami Dominiki i pokazywała je znajomym, kobietom w modnych fryzurach i mężczyznom, o których Jadzia powiedziałyby, że pach-406

na jak perfumieria, masz talent, mówili, pytali, gdzie się uczyła, dla kogo pracuje, a dwie osoby od razu wyraziły chęć kupienia kilku fotografii, bo akurat urządzały nowe mieszkania. Czy mogłyby więc zrobić je w dużym formacie i podpisać? Małgosia podsuwała Dominice informacje o akademiach sztuk pięknych, o fotograficznych kursach i konkursach, i prosiła, spróbuj, po prostu spróbuj, co ci szkodzi, uparta cholero, ale Dominika nie uważała, że ma talent; talent miała być może do matematyki, ale go utraciła. Teraz po prostu robiła zdjęcia, bo w momencie, gdy uwieczniła jakiś obraz, stawał się on przeszłością, a to przeszłość i sposoby jej istnienia w przyszłości były tym, co fascynowało Dominikę Chmurę. Nie była przesadnie skromna ani naiwna i wiedziała, że prace, które wychodzą spod jej ręki, nie są złe, ale nie czuła przywiązania do swoich zdjęć, bo interesował ją sam akt utrwalenia i jego powtarzalność. Rozdawała fotografie i rozkładała dookoła, zostawiając za sobą ślady w postaci portretów nieznanym i przyjaciół, wizerunków domów i zwierząt, których historia stawała się jej częścią, tak jakby obrazy odciskały się na jej ciele. Małgosia podnosiła fotografię, na której Dominika miała właśnie zamiar postawić kieliszek albo użyć jej jako packi na muchę, czy ty zwariowałaś, chcesz zniszczyć portret chasyda rozmawiają-

cego na drabinie przez telefon komórkowy! Mogę? Bierz, jest twój, wzruszała ramionami Dominika, możesz sobie go powiesić nad łóżkiem i rozmawiać z nim o panu Bogu.

A to? pytała Małgosia, podnosząc zdjęcie dwóch dziewcząt w wyjściowych kreacjach obzerających się hamburgerami na londyńskim przystanku zalany rtęciowym blaskiem przedświt. Mogę? Bierz, jest twoje.

407

Dominika znalazła banalną pracę w barze, bo w Londynie żadna staruszka nie szukała, niestety, kobiety do czytania po polsku, i zaczęła serwować drinki z taką samą zgodą na to, co będzie dalej, z jaką wcześ-

niej czytała Eulalii Barron Odyseję. Bar w Soho przyjmował klientelę tak snobistyczną, że obojętność Dominiki wobec zewnętrznego wyglądu była brana za wystudiowaną nonszalancję, a naturalna chudość za wynik wyjątkowo skutecznej diety, i już pierwszego wieczoru dwie dziewczyny zapytały ją, gdzie się strzyże. Powiedziała im, zgodnie z prawdą, że sama, elektryczną maszynką, co uznano za dobry żart i wkrótce zaczęła ją otaczać atmosfera pewnej tajemniczości; poszła plotka, że nowa barmanka nie jest tym, za kogo się podaje. Rumuńska księżniczka, córka żydowskiego milionera, który trafił za kratki z powodu giełdowego przekrętu, wydziedziczona spadkobierczyni greckiej fortuny, która naraziła się ojcu armatorowi, uciekając z marynarzem, były różne pomysły, a Dominika po prostu robiła drinki i w rzadkich chwilach bezczynności bawiła się pierścieniem z iskrzącym się kamieniem, jedyną biżuterią, jaką kiedykolwiek nosi-

ła. Dostawała duże napiwki, bo nie tylko szybko uczyła się imion, ale umiała wysłuchiwać historii pijanych klientów tak, jakby były jedyne w swoim rodzaju. Ci, którzy opowiadali jej alkoholowo-kokainowe brednie o tym, że ktoś kogoś opuścił, za plecami naopowiadał, że ktoś z kimś, podczas gdy tak naprawdę z kimś zupełnie innym, widzieli w jej oczach powiększone i prawdziwsze wersje swoich opowieści. Zwykle wpadali wtedy na pomysł, że Dominika kogoś im przypomina, i cieszyli się tym poręcznym wytłumaczeniem, zamawiając kolejkę 408

wódki żurawinowej lub różowego szampana, którego smak Dominika szybko polubiła. Mnie to wystarcza, powtarzała Małgosi, która przekonywała ją, że powinna znaleźć inną pracę, jest kimś o wiele za dobrym do na-lewania drinków rozwydrzonym dzieciom bogatych rodziców i telewizyjnym gwiazdkom ze sztucznymi cycka-mi; to tylko praca, mówiła Dominika, to tylko praca, pani doktor. Taka praca wystarczy, by wynająć pokój, za który płaci się co tydzień Greczynce Apostolei Ellinas, w domu, gdzie łazienkę dzieli się z innymi; to tylko łazienka, mó-

wiła Dominika wzdychającej Małgosi, przestań wzdychać jak moja mama, to tylko łazienka z włosom w wannie, od tego się nie umiera.

Gdy Dominika zobaczyła Apostoleę Ellinas, pomy-

ślała, że oto jej zmarłe babcie, Zofia i Halina, tak róż-

ne fizycznie i tak niepodobne wewnątrznie, otrzymały nowe życie w osobie tej Greczynki z londyńskiego Stoke Newington, która stanęła w progu z rękoma na biodrach i zmierzyła ją wzrokiem. Dominika nie znała miłoś-

ci od pierwszego wejrzenia, a najbliższa temu uczuciu była chęć pozostania w jakimś miejscu od pierwszego wejrzenia, i poczuła ją bardzo wyraźnie, gdy zobaczyła Apostoleę Ellinas. Z ogłoszenia o pokój? Z ogłoszenia.

Górna część ciała Apostolei należała do Haliny, bo miała ciemną, szczupłą twarz jaszczurki, przerzedzone włosy i wąskie opadające ramiona, ale dół był samą hojnością, tam Greczynka wyglądała jak Zofia. Jej duże piersi, które kiedyś musiały być piękne, zlewały się z obfitym brzuchem, miękkie płaszczyzny ciała otaczały ją aż do kolan, jakby pośrodku miała piłkę plażową, z której trochę ze-szło powietrze. Nogi w rozklapanych kapciach były po-409

kryte żylakami i dziwnie chude w stosunku do reszty; sięgała Dominice do ramienia i miała taki wyraz twarzy, jakby wystarczyła jedna kropla słodyczy lub goryczy, by od razu popadła w euforię lub rozpacz. Jesteś Greczynką? zapytała Apostolea Dominikę. Czy to źle, że nie? Źle nie, ale myślałam, że jesteś. Wyglądam na Greczynkę?

Wyglądasz jak jedna z moich córek, gdy była dzieckiem.

Dzieckiem? uśmiechnęła się Dominika, ale ja mam prawie trzydzieści lat. Trzydzieści? zdziwiła się Apostolea i zamilkła na chwilę. Miałam w twoim wieku siedmioro dzieci, powiedziała. Ja nie mam dzieci, oświadczyła Dominika, ani jednego. Jeszcze cię Bóg pobłogosławi, pocieszyła ją Apostolea, jak chcesz, mogę się o to pomodlić. Dziękuję, uprzejmie zgodziła się Dominika, ale proszę nie robić sobie kłopotu. Greczynka zaprosiła Dominikę do kuchni, gdzie pod ikoną płonęła oliwna lampka; ten zapach, Dominika знаła ten zapach. Były inne, pytały o pokój, studentki z Australii i Niemka, do jutra mam zdecydować, która, westchnęła Apostolea i dodała, że nie lubi Niemców. Zdarzają się mili, Dominika wzięła w obronę sąsiadów Polski. To gdzie się podziewali za Hitlera? spytała retorycznie Greczynka i Dominika nic nie powiedziała, bo nie było dobrej odpowiedzi. To skąd ty jesteś? Z Polski, na to pytanie ciągle była jedna odpowiedź. Papież, westchnęła Greczynka, nie szkodzi. Nie szkodzi, że papież? upewniła się Dominika. Nie szkodzi, mam tu przyjaciółkę, panią Sabrę, jest Turczynką, nie szkodzi. Nie szkodzi? jeszcze raz upewniła się Dominika i wciągnę-

ła w płuca zapach greckiej kuchni w londyńskim domu; Dimitri Angelopoulos, pomyślała, chłopiec z tornistrem wypełnionym rachatkum, grecka kuchnia jego matki 410

w domu na Szczawienku. Mogłaby tu zostać; mogłabym tu zostać, powiedziała, jeśli pani mnie wybierze. Pani Sabra jest Turczynką, ja jestem z Cypru, westchnęła Apostolea. Przychodzi tu, przynosi ciasto z migdałami, piec nie umie, skrzywiła się, Turcy o pieczeniu nie mają pojęcia, ale nie szkodzi, że jest Turczynką. Dominika pokiwała głową, jej też nie szkodziło. Apostolea wyjęła z piecyka blachę i poczęstowała Dominikę świeżo upieczoną bułeczką, dobre? pyszne! Na Cyprze były jeszcze lepsze, tu mąka nie taka. Przez chwilę siedziały w milczeniu. Jak mieszkałam na Cyprze, moja ciotka Eleni na-piekła kiedyś takich bułeczek. Ciągle głodna byłam, zwinęłam z pięć i schowałam się w stłuczonej kadzi na wino w ogrodzie; ciotka wołała, Apostolea! Apostolea! a ja nic, cicho zjadałam bułeczki, jedną po drugiej. Przez szczelinę widziałam morze, jakie tam jest morze, jakie niebo, nigdzie takiego nie majak na Cyprze. Lanie potem dosta-

łam, aż mi krew z nosa poszła, ale co zjadłam, to moje.

Życie nie jest łatwe, sierotą byłam, a ty masz rodzinę?

Mam mamę, mój tata nie żyje, dziadkowie i babcie też.

Siostry, bracia? Miałam siostrę bliźniaczkę, ale umarła.

Zjadły po drugiej bułeczce. Życie nie jest łatwe, westchnęła Apostolea, wynajmę ci ten pokój, jeśli chcesz.

Dominika najpierw myślała, że stara Greczynka ulitowała się nad nią z powodu tych licznych

śmierci, o których nie sposób było nie wspomnieć, odpowiadając na pytanie o rodzinę. Dopiero potem zrozumiała, że Apostolea Ellinas, niepiśmienna Cypryjka, w wieku lat piętnastu wydana za dalekiego kuzyna z Londynu, wdowa, matka jedenaściorga dzieci, z których ośmioro przeżyło, była osobą oswojoną ze śmiercią na tyle, że nie robiła już na 411

niej wielkiego wrażenia. Apostolea popatrzyła na Dominikę, zupełnie jak moja Afroditi, powiedziała i podsunęła jej kolejną bułeczkę; sięgnęła do szafki po słoik miodu i uśmiechnęła się, jakby podobieństwo tej Polki do kogoś utraconego było najlepszą rekomendacją.

Jesteś chuda, jedz miód, grecki najlepszy, chociaż takiego jak na Cyprze tu nie ma. Zrobię ci jutro dolmades, życie nie jest łatwe. Afroditi była ciągle na diecie, a ty?

Ja nie, zgodnie z prawdą odpowiedziała Dominika, tylko nie lubię mięsa. Greckie polubisz, westchnęła Apostolea, z majerankiem i czosnkiem. Jak nie, zrobię ci ośmiornicę w occie. Chcesz? Nie jestem pewna, ale zaryzykuję.

Znalazłam mieszkanie! powiedziała Dominika przez telefon Sarze tego wieczoru, mam pokój z widokiem na ogród, rośnie w nim figowiec, ma liście jak żabie łapy.

Musisz mnie tu odwiedzić i opowiedzieć o podróży do Afryki. Na coś się przydał nocnik Napoleona. Przydał, potwierdza Sara. Sara przyjęła nocnik Napoleona, któ-

ry Dominika ofiarowała jej w prezencie, ale nalegała, by go sprzedały i podzieliły się zyskiem; siedziały wtedy w brooklyńskim domu babki Sary, La-Teeshy, i powietrze przesycone było melancholią, jakby ta scena już należa-

ła do przeszłości. La-Teesha gotowała słodkie ziemniaki; ten zapach, powiedziała Sara, kojarzy mi się z Hotentocką Wenus tak bardzo, jakbym już kiedyś go czuła, w innym życiu. Ich drogi rozchodziły się; Dominika wyjeź-

dzała do Londynu, Sara zaczęła studia w nowojorskiej New School i żartowała nie bez satysfakcji, że mimo podeszłego wieku, bo w końcu jest ładny kawałek po trzydziestce, chyba sobie poradzi i napisze pracę magi-sterską. Semestralny esej na temat Hotentockiej Wenus 412

piękna czarnowłosa profesorka socjologii, uwielbiana przez Sarę, zarekomendowała do druku. Imię profesorki, Ann, pojawia się w co trzecim zdaniu Sary; Ann poleciła jej świetną książkę, Ann skontaktowała ją z profesorem, który dotarł do materiałów związanych z paryskim po-bytem Wenus i jej spotkaniem ze słynnym uczonym rasistą Georges'em Leopoldem Cuvierem; Ann zna afroame-rykańską pisarkę, która pracuje nad książką o Wenus; Ann poza tym umie śmiać się tak, że drżą szyby i spadają liście. Gdyby Dominika przytyła ze czterdzieści kilo, by-

łyby do Ann podobna, tym bardziej że rodzina Ann pochodzi z Polski; dlaczego mnie to nie dziwi? westchnęła Dominika. Sara mówi, że jej babka La-Teesha najpierw nie mogła pojąć, dlaczego w wieku, gdy ona była już babką, wnuczka wraca do szkoły. Na drugi dzień jednak o tym, że Sara poszła na studia, wiedziała już cała ulica na Bed-Stuy, a babka spacerowała specjalnie powoli i odpowiadała na pytania sąsiadów. Sara, jakby co, uspokaja-

ła swoje i cudze wątpliwości zawsze ostrożna La-Teesha, ma facha w rękę i zawsze może wrócić do pracy w szpitalu albo sobie dorobić na boku sprzątaniami. Zupełnie jak moja mama, śmieje się Dominika, powinny się poznać, La-Teesha z Bed-Stuy i Jadzia z Piaskowej Góry. Sara coraz mniej przypomina włóczkę, którym była przez lata, jej włosy nadal są krótkie i żółte, ale ich wełnista powierzchnia błyszczy złotymi drobinkami, złote drobinki podkreślają jej kości policzkowe, szyję oplatają ciężkie korale z nefrytów. Zamiast sportowych butów i džinsów ma skórzane japonki i czarną jedwabną spódnicę, któ-

ra tańczy wokół jej niebywałych bioder, jej oczy są jak dwie cytrynowe landrynki, Dominika ssła takie w dzie-413

ciństwie, aż raniła się w język, a gdy przybrały doskonałą postać spłaszczonej kulki, wyjmowała z ust i oglądała pod słońce. Dominika wciąga w nozdrza zapach paczuli, który spowija Sarę; zawsze pozna ją po nim. Czy to koniec podróży Sary Jackson, czy ta kobieta o ciele budzą-

cym takie emocje sama zaczęła czuć, co znaczy pożądanie? Dominika nie pyta Sary o to, ale ma wrażenie, że jej przyjaciółka dotarła w miejsce, które na jakiś czas, kto wie, jak długi, może stać się domem.

Dominika i Sara zaniósłły nocnik Napoleona do wy-ceny dawnemu znajomemu Eulalii Barron z Metropolitan Museum i sprzedały w jednym z poleconych antykwariatów. Antykwariusz, podobny do chomika człowieczek w różowej koszuli z muszką, zgadzał się, że historia przedmiotu jest fascynująca, pochodzenie z łódzkiej ma-nufaktury Dionizego Kołka pewne, ale niestety on płaci tylko za rzeczy materialne, a nie za opowieści, nawet najbardziej niezwykle, nic z tego, nawet jeśli na poczekaniu opowiedzą mu jeszcze niezwyklejszą niż ta, którą właśnie usłyszał, nie ugnie się. Gdyby to chociaż był nocnik spod Austerlitz, ludzie lubią historie o wielkich zwycięstwach, albo spod Waterloo, wielkie klęski sprzedają się równie dobrze, ale Polska, polski nocnik, Kamieńsk?

Kto słyszał o Kamieńsku, moje panie? Po delikatnej renowacji być może uda mu się sprzedać nocnik Napoleona jakiejś damie z Upper West Side, która użyje go jako stojaka na parasole i będzie mówiła gościom, ach, kupiłam sobie niedawno nocnik Napoleona, ja tak lubię antyki, że kiedy coś mi wpadnie w oko, to się wprost oprzeć nie mogę. Można go też użyć jako doniczki, podpowiedziała Dominika; jako stojaka na parasole albo doniczki, 414

zgodził się antykwariusz, czemu nie, ale to niczego nie zmienia. Gdy kobiety wyszły, postawił naczynie na pół-

ce, zatarł ręce i pomyślał, że być może jego oryginalne przeznaczenie utrzyma w tajemnicy, rzadkie naczynie z początku XIX wieku, tak to opisze; kto wie, może jakaś ekscentryczka z West Village lub specjalista od wystroju wnętrz uznają nocnik Napoleona za idealny do serwowania dietetycznych sałatek z tofu, rukolą i odtłuszczonym sosem. Antykwariusz pomyślał, że zrobił niezły interes i gdy trafi się prawdziwy wielbiciel napoleoników, na przykład ten gadatliwy mądrała z Uniwersytetu Columbia, wymyśli coś odpowiedniego, nie pierwszy raz to robi; grunt to dobra historia. Podobny do chomika mężczyzna w różowej koszuli z muszką czule pogładził

nowy nabytek i uśmiechnął się zadowolony.

Pani Eulalia Barron tego właśnie chciała, powiedziała Dominika, gdy szły z Sarą w dół Manhattanu Piątą Aleją, opowieść ma mieć dalszy ciąg, dlatego staruszka zostawiła mi nocnik Napoleona; zostawiła ci go, bo wiedziała, że zaraz go komuś oddasz albo zgubisz, skończyła za nią Sara. Ciekawa jestem, co będzie dalej? zastanawiała się Dominika, do kogo trafi? Pewnie nigdy się tego nie dowiemy. ja w każdym razie swoją część przehulam, mo-

żemy nawet wypić zdrowie małego cesarza przyzwoitym winem, choć raczej na to nie zasłużył. ja swoją część wy-dam na bilet do Johannesburga, zdecydowała Sara, czuję, że nadszedł czas. Kilkaset dolarów do podziału, jakie dostały od antykwariusza, nie wystarczyło na wiele, ale w dużym sklepie ze starzyzną na Dwudziestej Trzeciej Ulicy mogły tego dnia czuć się bogate. Dominika właś-

nie w takich miejscach kupowała ubrania i gdy zużyły się 415

jej dzinsy, tam znajdowała drugą parę, przy okazji wy_

bierała książkę z brakującymi stronami albo nadjedzony przez mole kapelusz za dwa dolary i brała go, bo wiedziała, że musi mu zrobić zdjęcie, zaraz, natychmiast, koniecznie na ławce na Tompkins Square, gdzie po sesji zostawał, czekając na następnego właściciela. Dominika, jeśli miała szczęście, mogła potem sfotografować bezdomnego, który zagląda do kapelusza, jakby spodziewał się wyciągnąć zeń królika albo girlandę sztucznych kwiatów, i po namyśle zakłada na głowę. Dominika nie jest oszczędna, pieniądze same w sobie są dla niej czymś pozbawionym uroku, nigdy nie myślała o ich gromadze-niu i posiadaniu, a liczy je tylko wtedy, gdy boi się, że nie starczy jej na czynsz i jedzenie; Jadzia tłumaczy jej na darmo, że trzeba mieć jakieś zaskórniaczki na czarną godzinę, że najlepiej ukryć je w domu, bo z bankami nigdy nie wiadomo. Sklepy z używanymi rzeczami kuszą Dominikę tym, że zgromadzone tam ubrania i przedmio-ty mają przeszłość, która wsiąkła w nie, wgryzła się jak kornik; dlatego zamknięta w obskurnej garderobie fotografuje poplamione wnętrza torebek, cielesne i intymne, postrzępione nogawki, przetarte kołnierzyki, paski z od-ciśniętymi śladami grubszych i chudszych talii, zwisające nitki po urwanym guziku, obcasy, które już się natańczy-

ły; możliwość uchwycenia opowieści tych rzeczy, już nie-chcianych i zużytych, fascynuje Dominikę. Sara znalazła właśnie starą kurtkę ze skóry węża i Dominika spojrzała na nią łakomie, bo wyglądała tak, jakby historia sączyła się spod każdej odłóżającej łuski. Przymierz, rzuciła ją Dominice. Pasuje! ucieszyła się Sara, kupię ci ją w prezencie, żebyś o mnie pamiętała w Londynie.

416

Dzikość serca! Ivo, który wszedł do sklepu, pyta, Sailor, to ty? Ivo! Ta kurtka wyraża moją indywidual-ność i wiarę w wolność jednostki, cytuje Sailora Dominika i biegnie do Iva; cytaty z filmów, z książek, z opowieści innych ludzi są takie przydatne od czasu, gdy na tyle dobrze opanowała angielski, by się nim swobodnie posługiwać. Mimo upływu lat, które Ivo spędził na podjadaniu czekolady, bitej śmietany i mascarpone, pozostał chudy i wiotki; mówi, że miałby szansę na tytuł naj-chudszego cukiernika, gdyby taki przyznawano. Długie ramiona i nogi Iva znajdują się w nieustannym ruchu; wygląda jak Michael Jackson z czasów Thrillera, gdy był

w fazie przejściowej między czarnym mężczyzną a białą kobietą; podobieństwo podkreśla fakt, iż Ivo

ma teraz ciemne włosy, na jego czole podryguje misternie skrę-

cony loczek. Oprócz koloru włosów zmienił kolczyk w uchu, nosi już nie cyrkonie, tylko drewniany krążek.

Co to ma być? pyta Sara i bierze w dwa palce płatek jego ucha. Plemienny kolczyk! oznajmia Ivo, gdy Dominika też wykrzywia się z udawanym obrzydzeniem; w Paryżu plemienna biżuteria w tym sezonie najmodniejsza, też powinnyście sobie kupić, bo należymy do tego samego plemienia. Stań tu, zrobię ci zdjęcie, muszę mieć zdjęcie twojego plemiennego ucha i tego wnętrza w perspektywie, prosi Dominika, a Sara wznosi oczy do nieba akurat w momencie, gdy znieacka wycelowany w nią zostaje obiekt w aparatu. Ona tak ciągle? pyta Ivo Sarę. Żadnej poprawy, przytakuje Sara, ale niekiedy uda jej się już pstryknąć całą twarz, nie tylko ucho, przedziałek w tył-

ku czy dziurki w nosie; ostatnio zrobiła zdjęcie mojej babci La-Teeshy, Brawo, błaznuje Ivo, może i ja zasłużę 417

na porządny portret u Dominiki Chmury, mojej polskiej żonki, mistrzyni sztuki zdejmowania wizerunków. Ali right, Mr. DeMille, I'm ready for my close-up! Ivo przybiera pozę Normy Desmond, a Dominika ustawia aparat.

A nie planujecie rozwodu? pyta Sara; nie, na razie nie są zainteresowani rozwodem, bo obojgu przydaje się białe małżeństwo. Problem w tym, że Dominika niekiedy zapomina, że ma amerykańskiego męża, i musi się potem tłumaczyć w różnych urzędach; nie zrozumiałam pytania, bardzo przepraszam. Iva bawi myśl, że ma żonę, i lubi opowiadać małżeńskie historie, choć nigdy nie do-

świadczył małżeńskiego życia, powtarza po prostu to, co słyszał w domu rodziców i nowych domach zamężnych już sióstr, tak jakby testował inny los i egzotyczny język; moja żona, mówi przygodnym znajomym w pociągu czy samolocie, ciągle mi powtarza, Ivo, przestań bałaganić, Ivo, naucz się obsługiwać pralkę, to naprawdę nic trudnego. Jest fotografka ta moja żona i zupełnie nie umie gotować!

Ambitne francuskie plany Iva ziściły się częściowo i opowiadając o tym, cytuje dowcip, który zna od Dominiki, że nie samochody, tylko rowery, i nie rozdają, ale kradną. Czekolateria w Paryżu prowadzona przez Amerykanina okazała się czymś, co nijak nie mieściło się we francuskim wyobrażeniu czekolaterii, która jak sama nazwa wskazuje, tłumaczyły mu różne osoby, jest francuska i niemożliwe, by jakiś Amerykanin, choćby uzdolniony, znał się na takich subtelnościach, jak czekolada, która tylko przez przypadek nie pochodzi z Francji, lecz z Meksyku. Bardziej przyjazny od Paryża okazał

się Lyon, a od czekolaterii łatwiejsza do zrealizowania 418

banalna kawiarnia, i Ivo od półtora roku prowadzi takie miejsce z francuskim wspólnikiem. Przychodzą amerykańscy turyści, studenci i mówią, że to coffee shop, jaki miły coffee shop, ubolewa Ivo; po to siedzę w Lyonie, gadam po francusku z tymi pożeraczami ślimaków i żab, by rodacy myśleli, że prowadzę bardzo miły coffee shop, ale od czegoś trzeba zacząć. Dzięki temu, iż wspólnik

Iva jest ponoć stuprocentowym hetero, obarczonym wielodzietną rodziną i rodzinną skłonnością do ciągłego wrzasku, ich stosunki układają się poprawnie, bo nie ma obawy, że Ivo się zakocha. Wygląda jak Louis de Funes, nic z tego! Moja miłość to chłopcy i czekolada, mówi Ivo w sposób, który u kogoś innego byłby pretensjonalny i nie do zniesienia, ale u niego nie razi, bo Ivo po prostu mówi prawdę swojej słodkiej opowieści. Czekolada! Nadal interesuje go przede wszystkim czekolada i desery czekoladowe, ale ostatnio coraz więcej uwagi poświęca lodom, w lodach jest przyszłość. Konkurs, na którym Ivo był we Włoszech, wygrał po raz kolejny z rzędu Włoch imieniem Sergio, z San Gimignano, małego miasteczka w Toskanii. Przyrządzał sorbety z tamtejszego wina Ver-naccia, sorbety z pomelo i szampana ten Sergio, pista-cjowe fantazje wyczarowywał, które były beżowe, bo takie powinny być, a nie zielone, i smakowały jak wieczór na Sycylii. Ivo zachwycił się tą lodową orgią po wło-sim i na wakacje wybiera się do Toskanii. Może Sergio przyjmie go na krótką praktykę? Ileż musi być pięknych chłopców latem w Toskanii, studentów wędrujących z plecakami, z brudnymi nogami, w krótkich spoden-kach pełnych kieszonek, z przewodnikami Lonely Planet; zatrzymują się na średniowiecznym rynku w San Gimi-419

niano i liżą lody, pachną czymś jednocześnie świeżym i lekko zabrudzonym, poklejonym. jak się lodami zachla-pią, to tak niezdarnie łapami wycierają, rozmazują, co za piękny widok. Co za piękny widok, moje drogie! Ivo marzy, że ma takiego chłopca w domu, wiecznie głodnego studenta, i przyrządza dla niego desery, najbardziej wyszukane deserowe nieba z czekolady, ziarno kakaowe w najlepszym gatunku sprowadzałyby z Wenezueli albo Madagaskaru, dodawał wanilię z wyspy Reunion, śmietankę z Isigny. I już nie byłoby lonely planet, lecz planeta miłości! Okazuje się jednak, że w codziennym życiu Ivo nie ma tyle czasu, by chłopców, których znajduje, kar-rnrc deserami własnej roboty, bo prowadzenie kawiarni jest o wiele bardziej wyczerpujące, niż sobie wyobrażał, I nieważne, że bardziej przypomina ona coffee shop, nawet Starbucks, nie daj Boże, niż lokal w hotelu Ritz. Nie przyjechałyby do niego? proponuje Ivo Dominice i Sarze.

Da im pracę, mogą na początek mieszkać razem, potem pomoże im coś znaleźć. Kapitalista z naszego Iva, śmieje się Sara, krwiopijca. W tatę się wdał, mówi Dominika, nasz John IV Smith, kto wie, czy nie żałuje sprzedaży.

fabryczki sprzętów łazienkowych. Mógłby produkować w Posejdonie klapy sedesowe w same bratki! Ivo chwyta Dominikę za szyję i udaje, że dusi ją w odwecie za te żarty, giń, Desdemono! Giń, żebym mógł ożenić się z ja-gonem, kończy Sara. Zeń się, bigamista, zgadza się Dominika, ale pod warunkiem, że ja zrobię wam zdjęcia ślubne. Rób, opublikujemy je w "New York Timesie"

i "Vanity Fair", i Annie Leibovitz skręci z zazdrości. Dominika bez trudu uwalnia się z ramion Iva, czasem Ivo rozważa dziwną myśl, że Dominika wygląda trochę tak jak 220

ego wymarzony chłopiec słodkolubny, którego jeszcze nie spotkał, chłopiec wysoki i wiotki, ale jednocześnie silny, męski i kobiecy, z delikatną białą blizną przecina-jącą policzek jak przyklejona nitka babiego lata; tak, Dominika przypomina takiego chłopca, na przykład teraz, gdy w przymierzalni nowojorskiego sklepu ze starzyzną stoi w kurtce ze skóry węża i spod ronda fedory patrzy na niego. Dominika widzi wzrok Iva i odbicie ich dwojga w lustrze, rozumie i uśmiecha się. Mo-głaby pożyć gdzieś jako Dominik Chmura, czemu nie; wysoki, chudy mężczyzna w skórzanej kurtce Sailora i starym kapeluszu, na przykład kontrabasista. Mój bliźniak-mąż, myśli Dominika-Dominik; będzie za tym obrazem tęskniła.

Na drugi dzień Dominika poleciała do Londynu, a Ivo poznał Hiszpana, który pracuje na Wall Street, i zakochał się w nim na przekór sobie, bo Hiszpan w swoim garniturze, koszuli w prążki i z teczką ani trochę nie wyglądał na upaćkanego lodami chłopca, o jakim marzył.

Gdy powiedział o tym Dominice przez telefon, ta zacytowała motto Apostolei Ellinas, życie nie jest łatwe, drogi Ivo, nie szkodzi.

Apostolea traktuje Dominikę jak odzyskaną cudem córkę, a w momentach, gdy uświadamia sobie oszustwo, do jakiego posuwa się jej serce, robi się zła. Martwe córki nie pojawiają się w drzwiach z plecakiem, co by pop powiedział na takie bluźnierstwa, Apostolea żegna się i całuje ikonę, ale to za mało. Złość wyładowuje w kuchni, gdzie, trzaskając garnkami, głośno płacze, a Dominika przypomina sobie greckie płaczki, o których czytała Eulalii Barron; w swoim pokoiku kołysze się na wzbiera-421

jacych falach rozpaczy, która szaleje piętro niżej. Apostolea od czasu do czasu musi popłakać, wrzeszczy wtedy po grecku i wyje, zalewa się łzami i wali pięściami, w co popadnie, zdarza się, że stłucze naczynia, a potem płacze jeszcze głośniej, być może z żalu nad zmarnowanym dobrem. Gdy burza mija, pochlipując i złorzecząc pod nosem, sprząta ślady destrukcji i zaraz potem zabiera się do przyrządzania czegoś smacznego; Dominika! Woła Apostolea, gdy danie jest gotowe do podania, a ona sama do opowiadania o Cyprze i swojej utraconej córce, Afroditie. Mogłabyś wynająć sobie normalne mieszkanie, przekonuje Dominikę Małgosia, zarabiasz, niedługo będziesz zarabiać lepiej ode mnie, potrzebujesz miejsca, pracowni. Mogłabyś nawet postarać się o kredyt, kupić dom, musisz mieć jakiś plan, Dominiko Chmuro.

Małgosia tak długo zbierała porzucone przez Dominikę fotografie, aż uzbierała całą teczkę i od początku miała w tym swój plan, czekała tylko na odpowiednią okazję.

Małgosia bez planu czułaby się jak bez swoich eleganckich okularów, półślepa i bezbronna, za pół roku robi więc kurs parolotniowy, za osiem miesięcy skończy doktorat, za pięć lat zdobędzie Mount Everest, w cią-

gu dwóch lat sprawi, że talent Dominiki zostanie doceniony i jej przyjaciółka przestanie robić drinki nakokai-nowanym utracjuszom, a zacznie żyć z fotografowania.

Plany Małgosi na ogół zostają wprowadzone w życie i tylko plan na miłosne życie własne na razie nie do koń-

ca jej się udaje, bo po trzech latach, co było osiągnię-

ciem rekordowym i uczczonym wielkim przyjęciem, Jill wyprowadziła się nagle do rosyjskiej tancerki baletowej, która w przeciwieństwie do Małgosi niczego nie planuje 422

i żyje w totalnym bałaganie, popijając kawior dietetyczną colą. Z powodu tak nagłego wyrwania się jill z planów na przyszłość Małgosi musi załatać dziurę, jaka powsta-

ła, ale na szczęście jak dotąd wszystkie jej partnerki były kobietami na tyle pozbawionymi

właściwości, że wystarczyło je tylko trochę podkręcić, zapisać na jakiś kurs, odchudzić albo kupić im buty do wspinaczki, by dawały się wpasować w tory jej aktywnego życia. Z tobą bym zwariowała! mówi Małgosia Dominice, która na każdą próbę skłonienia jej do przedsięwzięcia czegokolwiek wzrusza ramionami. Tego nie dało się wytrzymać, Mał-

gosia musiała sama wymyślić plan dla Dominiki i wyegzekwować jego wykonanie; ta kobieta na co dzień wycina guzy i odbiera dzieci, żadne wzruszanie ramionami jej nie powstrzyma.

Gdy wysłana przez nią fotografia Dominiki wygra-

ła konkurs ogłoszony w ilustrowanym dodatku jednego z największych dzienników, Małgosia nie zdziwiła się, tylko pomyślała, że przed nią trudniejsza część, będzie musiała przyznać się przyjaciółce do swojej samowoli.

Dziękuję ci, ale nie rób tego więcej, powiedziała Dominika, gdy siedziały w ogrodzie Apostolei, obiecaj, że nie będziesz mnie już ratować, obiecaj, że teraz zrobisz coś dla siebie. Nie jakiś głupi plan z zobaczeniem siedmiu cudów świata, ale coś, czego naprawdę chcesz. Ale pójdziesz tam? Odbierzesz nagrodę i pójdziesz na kurs?

Będziesz szukać pracy jako fotografka? Znajdziesz sobie normalne mieszkanie? Spotkasz się z agentem? Odbiorę, pójdę, będę, ale nie chcę się stąd wyprowadzać, to mi wystarcza, odpowiada Dominika, lubię mieszkać u Apostolei. Nie czujesz, jak tu pachnie, skup się, po-423

wąchaj, mieszkam w domu, który pachnie cynamonem, w domu, w którym grecka płaczka przyrządza dla mnie baklawę, znasz wiele takich miejsc w Londynie? Mam w nosie własny dom, nie potrzebuję kredytu, domu ze sobą nie zabiorę. A dokąd go niby nie zabierzesz? niepokoi się Małgosia. A skąd ja mogę wiedzieć dokąd? Może do Francji robić z Ivem jajeczka Króla Henryka z czekolady, może do Senegalu fotografować baobaby albo do Turcji odnaleźć dziewczynę imieniem Aysun, której plą-

tały się rzęsy, opowiadałam ci o niej. Albo na poszukiwanie zaginionej w tajemniczych okolicznościach Grażynki Kalthoffer de dom o Rozpuch się wybiorę, nie wiem. Nie rozumiem, jak możesz żyć bez planu, jak możesz nie odczuwać oddechu na plecach, lęku, że się nie zdąży zrobić tylu ważnych rzeczy, dziwi się Małgosia. jakich ważnych rzeczy? pyta Dominika i zrezygnowana przyjaciółka macha ręką.

Życie nie jest łatwe, wzdycha stara Greczynka i stawia na kuchennym stole talerz ociekających syropem ciasteczek migdałowych. Rano była pani Sabra i przyniosła daktyle; Apostolea uprzedza Dominikę, że takich daktyli jak cypryjskie na pewno nie dostanie od pani Sabry, Turcy nie mają pojęcia o daktylach, ale pełną ich miskę przysuwa obok ciasteczek i sięga po owoce raz po raz, krzywiąc się, jakby zażywała lekarstwo. Georgi, jej' syn nierób, znów był pożyczycie pieniądze, podobno oprócz ślubnych ma dziecko na boku, z jakąś Angielką, opowiada Dominice Apostolea. Dominika nie jest pewna, czy Apostolea jest z tego powodu nieszczęśliwa, czy jednak jurność syna sprawia jej trochę mrocznej satysfakcji i cieszy ją fakt posiadania jeszcze jednego dziecka w rodzi-424

nie. Jeszcze jeden ciemnowłosy, wielkooki chłopiec do kochania i karmienia pieczonymi kurczakami,

tego nigdy dość. Gdy podrośnie, będzie przychodził do Apostolei i przebierał pod stołem nogami, czekając na koniec wizyty i jej kulminację, pięć funtów, które babka mu wciśnie do kieszeni. Moja biedna mama, myśli Dominika, jak ona lubiłaby mieć tak liczną rodzinę do narzekania i marudzenia, do karmienia i kochania, do wciskania pieniędzy w kieszeń. Dominice mylą się imiona i twarze wnuków Apostolei; sam Georgi, który mieszka najbliżej i ciągle zapożycza się u matki, ma czterech niemal identycznych synów o wielkich smutnych oczach z bizantyjskich ikon i ogromnym apetycie, nie licząc właśnie ujawnionego nie-

ślubka. Apostolea chętnie opowiada jeszcze raz wszystkie historie, śmieszne i straszne, skarży się na Georgiego, który traci pieniądze na hazard, nocami je doner kebab, fuj, Turcy to robią, to w ogóle nie jest jedzenie; narzeka na dwie córki londyńskie żyjące z zasiłków, jedną roz-wiedzioną, drugą z jakimiś kłopotami macicznymi, tylko o córce, która zginęła w katastrofie lotniczej, mówi rzadko, przy specjalnych okazjach, jakby tego bólu nie potrafiła jeszcze ubrać w codzienne słowa. Dominika wie tylko, że Afroditi była jedynym dzieckiem Apostolei, które skończyło studia. Wyszła za mąż za Greka, prawnika po-znanego na uniwersytecie, i zginęła z nim w samolocie, który rozbił się na Cyprze. Polecieli tam w poszukiwaniu rodzinnych śladów, wujów, ciotek, domów i ogrodów, o których opowiadała matka Afroditi; innym dzieciom Apostolei nie przyszło to dotąd do głowy. Dominika od razu czuje do Afroditi sympatię i zastanawia się, jaką kobietą była ta młoda Greczynka, która tak jak ona lubiła 425

grzebać się w przeszłości. Dzieckiem Afroditi zaopiekował się brat męża, dziennikarz z Berlina, mały Ted ma już pięć lat, śliczny i mądry chłopiec. Śliczny i mądry, mówi Apostolea i wzdycha, życie nie jest łatwe; ostatni raz widziała tego wnuka, tak ukochanego, bo naznaczonego utratą, już prawie trzy lata temu. Nie szkodzi, wzdycha jak w obliczu wszystkich innych spraw, na które nie ma wpływu. Może przyjadą do Londynu tej wiosny, bardzo by chciała, Dominika wtedy zrobi im zdjęcie. Zrobi? Zrobi. Apostolea idzie do swojego pokoju i przynosi na wie-szaku sukienkę z lśniącego kobaltowo poliestru, którą ma zamiar włożyć na tę specjalną okazję, chociaż na co dzień ubiera się wyłącznie na czarno. Pojechała po nią na targ na Petticoat Lane z panią Sabrą. Pani Sabra ku-piła sobie legginsy, Apostolea Ellinas przewraca oczami, w Turcji nie mają pojęcia o ubieraniu się, to rzecz pewna, albo czarny namiot, albo od razu legginsy. Ładna sukienka? Bardzo ładna. Dobrze wyjdzie na zdjęciu? Na pewno.

Apostolea nie wie, co lubi syn Afroditi, ale pieczonym kurczakiem pewnie nie pogardzi, kto nie lubi pieczonych kurczaków. Na wszelki wypadek ma ich całą zamra-

żarkę, jak wówczas, gdy żył jej mąż, a wszystkie dzieci były w domu. Pokazywała już Dominice zapasy? Tak, ale chętnie zobaczą jeszcze raz, mówi Dominika i pochyla się nad zafoliowanymi korpusami ułożonymi w parują-

cym zinnem wnętrzu. Piękne! Nawet Afroditi, wiecznie na diecie, nie odmówiła sobie kawałka piersi, tylko skórę zawsze ściągała, opowiada Apostolea, i Georgi zjadał te skóry na wyścigi z młodszym bratem, Kosta-sem. W jednym z dziesiątków albumów fotograficznych, jakie ma Apostolea, Dominika widziała zdjęcie Afroditi 426

zrobione w dniu rozdania dyplomów; ubrana w togę i bi-ret była piękna urodą kobiety, która pozostaje szczupła tylko dzięki żelaznej sile woli, jakby postanowiła pokazać, że jest w stanie nie

tylko przerwać krąg nieukończonych liceów, zasiłeków i wczesnych ciąż swojego rodzeń-

stwa, lecz także dopasować się do tego imienia. Moja Afroditi, powiedziała Apostolea, i jak zawsze westchnę-

ła, że życie nie jest łatwe. Dominika na zdjęciu młodej kobiety nie widziała podobieństwa do siebie, które dla Apostolei od początku było oczywiste, raczej do kogoś, kim mogłaby się stać, gdyby nie wypadek. Mogłaby teraz wykładać matematykę na jednym z uniwersytetów i mieć taką skupioną, poważną twarz kogoś, kto ma wy-rażny cel, doktorat, profesura, kolejne książki. W jej głowie wszystko byłoby uporządkowane według klucza, jak niegdyś książki Eulalii Barron; być może odkryłaby już kolejną liczbę pierwszą, być może poznałaby zasadę decydującą o tym, że wszystkie liczby, których suma cyfr wynosiła siedem, wydawały jej się kiedyś seledynowe jak niebo zimą nad Wałbrzychem.

Dominika zrobiła to, o co prosiła Małgosia, i podobnie jak poprzednie zmiany w jej życiu po wypadku, tak i ta była raczej łagodnym przepływem niż rewolucją, poddała mu się po prostu. Bez żalu przestała pracować w barze i skupiła się na robieniu zdjęć; wiedziała, że są dobre, to wiedziała od początku, ale miała też pewność, że brakuje w nich czegoś, co dopiero może sprawić, że będą doskonałe. Sprzedawała je, bo z jakichś powodów ludzie chcieli je mieć, być może odnajdowali w fotografiach zniekształconych lustrzanych odbić, szczelin w murach i fragmentów ludzkich ciał własną tęsknotę, która 427

dotąd nie miała kształtu. Podobały im się portrety, na których nigdy nie było widać całej twarzy, a czasem tylko kawałek ust i dwa palce albo bezbronne zagłębienie szyi i płatek ucha. Wygrana w konkursie dawała Dominice prawo do podjęcia rocznych studiów i stypendium; nie miała problemu z odnalezieniem się wśród innych studentów i studentek londyńskiej akademii, bo od dawna wyglądała jak jedna z nich, szczupła dziewczyna w dzinsach i starej skórzanej kurtce, z aparatem na szyi i teczką pełną prac przewieszoną przez ramię. Gdyby ją widziała magister Helena Demon, przekleństwo jej szkolnych lat, nie uwierzyłaby, że w jednej klasie może być tylu cudzoziemców, a wykładowcy nie dość, że jakoś radzą sobie z wymawianiem nazwisk, to jeszcze niektórzy sami są cudzoziemcami.

Dominika w dni wolne od zajęć jeździła po Londynie i robiła zdjęcia; potrafiła z takim zapamiętaniem śledzić jakiś szczegół, na przykład zmienny krajobraz zniekształconych twarzy i przedmiotów odbity w błyszczącym guziku na torebce jakiejś zakwefionej muzul-

manki jadącej metrem, że jechała razem z nią przez 'pół

miasta, by w końcu ocknąć się w zupełnie nieznannej okolicy i musieć udowadniać jakiemuś wkurzonemu Pakistańczykowi, że wcale nie śledzi jego siostry. Dopiero po nazwie stacji orientowała się, gdzie jest, ale w drodze powrotnej na Stoke Newington znów zdarzało jej się zaplątać, tak że dotarcie do domu zajmowało jej w końcu pół dnia. Bezbłędnie trafiała w miejsca, które są w każdym dużym mieście; wstydlive szczeliny, śle-pe uliczki, budki telefoniczne oblegane przez nielegalnych imigrantów krzyczących do swoich bliskich w języ-428

kach, których nikt nie chce się uczyć; ławeczki obsiadłe przez zmęczone kobiety w brzydkich butach, mówiące coś szybko, nerwowo i patrzące tak, jak patrzą ci, któ-

rzy stracili wszystko albo nigdy nie mieli nic do stracenia; doner kebab ociekający tłuszczem dla urobionych na budowach i przy śmieciach, dla bezrobotnych; wi-tryny sklepów cuchnących pleśnią i tanimi słodyczami, gdzie wiszą ogłoszenia dla tych z Bangladeszu, Polski, Senegal, Rumunii, Pakistanu. Dominika ciążyła ku tym miejscom i w magmie tysiąca języków umiała wyławiać polskie zdania, które przechowywała w pamięci niczym piaskową górę słów, dla których potem szukała obrazu w swoich pracach; przypadkiem posłyszane fragmenty życia - moja Liluś ma tysiące zdjęć, nie będzie mi byle Arab, włóż na spód cebuli, to będzie się wydawać, że dużo - były zarodkami opowieści, których istotę chciała uchwycić w obiektywie aparatu.

Śmieciara, żartowała z niej Małgosia, zbierasz jakieś obrzynki rzeczywistości, trociny z normalnego życia, papierki od cukierków. Normalna się znalazła, krzywiła się Dominika, seryjna monogamistka z tendencją do amne-zji. Tym razem to jest to, naśladowała przyjaciółkę, która do każdej kolejnej relacji miłosnej podchodziła ze świeżą nadzieją i entuzjazmem; tym razem to jest to i jeszcze nie miałam tak cudownego seksu. Małgosia, sama chętna do zwierzeń i roztrząsania szczegółów, wyciągała z ma-

łomównej Dominiki informacje o jej przelotnych londyń-

skich przygodach. Kim jest? Gdzie go spotkałaś? A jeśli zajdziesz w ciążę? Jest malarzem, uwielbia Luciena Freuda, ma na imię Pete, mieszka na poddaszu z okrągłym oknem w dachu, spotkałam go w National Gallery, do-429

kładnie pod portretem Arnolfinich, a od tego, co robimy, nie zachodzi się w ciążę na szczęście, odpowiadała po namyśle Dominika. Dominiko Chmuro, powinnaś poczytać książki dziadka Luciena Freuda, Zygmunta, zobaczyłabyś, że jesteś zafiksowaną na fazie oralnej wariatką.

Małgosiu Lipko, czytałam je wszystkie dla Eulalii Barron, która uwielbiała zwłaszcza interpretacje snów, i wiem, że życie, jak mówi moja gospodyni Apostolea, nie jest łatwe. Powiedz coś jeszcze o swoim malarzu, dlaczego ten właśnie Pete spod Arnolfinich? Jeśli nie miłość, to co?

Dominika wzdycha wtedy tak, jak wzdycha jej matka Jadzia w obliczu konieczności podliczenia rachunku. Pete opowiedział mi piękną historię o swoim dziadku, fizyku, który na starość zrobił się fiksum-dyr dum i pracował nad maszyną do odczytywania i pomiaru ludzkiej aury, uwa-

żał, że dobrzy ludzie emanują błękit i fiolet, źli musztar-dowe odcienie żółci. Poza tym depiluje sobie tors, Pete, nie dziadek. Małgosia patrzyła na przyjaciółkę i myślała o różnicy między nimi; dla Małgosi takie spotkanie pod portretem Arnolfinich z jakąś żeńską odmianą malarza imieniem Pete oznaczałoby początek opowieści, która miałaby rozwinięcie w postaci wspólnego życia, niedzielnych wyjazdów za miasto, planowanych precyzyjnie wakacji, i zapewne miałyby też zakończenie jak wszystkie jej miłosne historie, podczas których wyciągała z problemów kobiety zatrwającą podobne do swojej wiecznie zapitej matki, by w końcu zostać raz jeszcze opuszczoną.

Czego ty chcesz więcej, co ci nie pasuje w malarzu, który goli tors i lubi Luciena Freuda, wolałabyś, żeby był włochaty i czytał .Daily Mail"? Sęk w tym, że nie chcę od niego nic więcej. Więc może wiesz, czego się boisz? Może, 430

krzywi się Dominika, bo za dużo tu już dla niej psycholo-gii jak na jedną rozmowę. Może boję się, że spadnę z jakichś schodów, jak moja mama w ramiona taty, i zostanę gdzieś, zanim będę wiedziała, czy mi się tam naprawdę podoba. Za tydzień czy dwa nie było już mowy o malarzu, więc rozmawiały o Sabinie, studentce rumuńskiego pochodzenia, którą Małgosia poznała ostatnio i z któ-

ra zamierzała zamieszkać, a na lato pojedą do Rumunii, w góry, będą przez dwa tygodnie wędrować z namiotami po Transylwanii, już ma opracowany cały plan i marszrutę ściągniętą z internetu, zapisała właśnie Sabinę na kurs wspinaczkowy. A ty? co będziesz robić latem? Może cię to zaskoczy, ale nie mam planów turystycznych, śmieje się Dominika, ani marszrutę z internetu. Na pewno będę robić zdjęcia i odwiedzę mamę. A właściwie mam plan, Apostolea nauczy mnie robić baklawę. Zrobię ci, gdy wrócisz z Rumunii, z Sabiną czy z transwestytą z Transylwanii. Ja przynajmniej próbuję ułożyć sobie życie, a ty?

nie poddaje się Małgosia. Ułożyć to możesz sobie majtki w szufladzie, mówi Dominika i dodaje, że ma dość gadania, idzie na basen popływać.

Tej wiosny, gdy w Polsce zaczynały się deszcze stulecia, a Małgosia planowała trekking przez Transylwanię, londyńskie życie Dominiki płynęło w rytm wykładów, warsztatów i fotografowania; na zakończenie roku pracowała nad cyklem zdjęć z opuszczonych londyńskich cmentarzy. Ludzie, którzy będą je oglądać, zachwycą się światłem i nastrojem, nierealnym wymiarem postaci w tle, a Dominice chodziło głównie o studium rozkła-du i uchwycenie różnicy między umieraniem kamienia, drewna i metalu. Układała właśnie na kuchennym sto-

le wizerunki kalekich Chrystusików, spróchniałych krzy-

ży i macew zarośniętych trawą, gdy do kuchni wpadła Apostolea. Przyjeżdżają! mój wnuczek Ted przyjeżdża z Berlina, stara Greczynka wtoczyła się ze swoim kracias-tym wózkiem na zakupy i uściskała Dominikę; będą za tydzień, trzeba zacząć przygotowania, jest tyle do zrobienia. Dominika знаła takie przygotowania i wiedziała, że wkrótce inna kobieta, jej matka, będzie z taką samą werwą przygotowywać za duże ilości jedzenia w ocze-kiwaniu na córkę. Gdy Dominika była młodsza, denerwowało ją marnotrawstwo, nadmiar i to, co w swej młodzieńczej naiwności brała za tracenie energii na rzeczy błahe. Teraz wiedziała, że na świecie żyją miliony kobiet, które tylko w ten sposób potrafią okazywać miłość, a żadnej prawdziwej miłości nie okazuje się, wyliczając racjonalnie, ile pierogów czy dolmades zje ten, kogo ko-chamy. Nabierała nawet dziwnej chęci, by potrawy, któ-

rych przyrządzania uczyła ją Apostolea, zrobić kiedyś swojej matce, Jadzi.

W dzień wizyty stara Greczynka ubrała się w swoją kobaltową sukienkę i całe złoto, jakie nagromadziła przez lata swojego zamężnego życia; bransoletki otrzy-mywane w prezencie od męża po każdym porodzie, rocznicowe łańcuszki, pierścionki podobne do tych, któ-

re matka Dominiki chowa w bieliźniarce na czarną godzinę. Zdjęcie! Czy Dominika mogłaby zrobić je teraz, bo potem na pewno popłacze się ze wzruszenia i jak będzie wyglądała. Jedno w ogrodzie, pod figowcem, w delikatnym świetle popołudnia, koniecznie na nowym tapicerowanym krześle ze złożonymi podłokietnikami, bardzo eleganckim, drugie w kuchni, przy kąciku z iko-432

nami i lampką oliwną; uśmiech, gotowe. Zaraz będą!

Mój Boże, zapomniała o serku halumi, jak mogła zapomnieć?! Musi być serek halumi smażony na przystawkę, z pomidorami i świeżą bazylią, kto widział cypryjski po-silek bez serka halumi, Apostolea była bliska łez. Dominika powiedziała, że pójdzie i kupi, żaden problem, przy okazji od razu zrobi odbitki zdjęć, żeby Apostolea dała wnukowi. Dokup jeszcze granatów, na pewno zabraknie, czemu kupiła ich tak mało, gdzie miała głowę, bez granatów będzie katastrofa, nie kolacja, tylko niech Dominika nie kupuje w tym nowym tureckim sklepie, bo Turcy nie mają pojęcia o granatach; koniecznie w greckich de-likatesach Arhodikon.

Popołudnie na Stoke Newington pachniało wiosną, Dominika szła i bawiła się w zabawę, którą pamię-

tała z dzieciństwa na Piaskowej Górze; Jadzia mówiła, że to zabawa w jeśli. jeśli zdążymy dojść do ulicy przed zmianą świateł, jutro będzie ładna pogoda, jeśli ta pani w zielonym zatrzyma się przed wystawą, kupię ci loda, albo poważniej, jeśli uda nam się dojść do kościoła bez nadeptywania na linie między płytami chodnikowymi, pogoda będzie przez całe wakacje. A nawet - jeśli po drodze do babci Haliny spotkamy pana w okularach i dwie panie w białych butach, wszystko się nam uda.

Można było oszukiwać, ale tylko troszkę, zamiast jednej z pań mógł być od biedy kobieco wyglądający chłopiec w białych tenisówkach; od biedy może być, oszukiwała jadzia i teraz tak samo robi Dominika. jeśli do greckich delikatesów Arhodikon spotkam panią ubraną na niebiesko i czarnego pana w czapce z daszkiem, niedługo stąd wyjadę; jest pani Sabra w niebieskim fartuchu, ma 433

nawet niebieskie plastikowe klapki i niesie w foliowym worku niebieskawą rybę, idzie też czarny pan w czapce, ochroniarz z centrum handlowego. Dobrze, to było za łatwe, ale jeśli do zakładu fotograficznego spotkam parę bliźniaczek i panią z jamnikiem, na pewno stąd niedługo wyjadę w miejsce, w którym jeszcze nie byłam. Jest pani z jamnikiem, znam ją z widzenia, jest stewardesą; dzień dobry, kłania się Dominika. Nie ma bliźniaczek, żadnych bliźniaczek, czy znajdą się jakieś na Stoke Newington?

Są! W ostatniej chwili, ale są! Z zakładu fotograficznego, do którego zmierza Dominika, wychodzą dwie muzul-

manki w identycznych nikabach, czarnych strojach, które pozostawiają odsłonięte tylko oczy; od biedy mogą być, bo przecież nikt nie udowodni, że nie są bliźniaczkami.

Dominika odprowadza je wzrokiem i słyszy, jak dwie angielskie nastolatki przechodzące obok żartują na temat kobiet-nietoperzy.

Dominika wróciła z odbitkami zdjęć, serkiem halumi i granatami; otworzyła drzwi swoim kluczem i poszła prosto do kuchni, by dać Apostolei zakupy. Mały chłopiec był pierwszą osobą, jaką zauważyła. Mały chłopiec, który lata temu przynosił jej w tornistrze rachatlukum, pokazywał w uśmiechu duże, bardzo białe zęby znad talerza z kośćmi kurczaka. Mój wnuczek Ted, przedstawiła go Apostolea, a to Dimitri, szwagier mojej Afroditi, do-dała, i Dominika nie musiała odwracać się, by

wiedzieć, kogo zobaczy za plecami.

Afroditi wyszła za brata Dimitriego Angelopoulośa, a po ich śmierci on zaopiekował się dzieckiem. Testament nie pozostawiał wątpliwości i do biednej Apostolei na szczęście nie dotarło w pełni, że tylko ten jeden 434

człowiek z wielkiej rodziny wydał się rodzicom chłopca odpowiedni, by w razie czego zająć się ich synem. Gdy zginęli, Dimitri Angelopoulos był jeszcze studentem, zupełnie nieprzygotowanym na to, że nagle zostanie opiekunem rocznego chłopca, ale przyjął to tak, jak oczekiwaliby jego brat, z cichą determinacją i bez pretensji do losu. Po wyjeździe z Wałbrzycha Dimitri trafił z rodziną do zachodniego Berlina, gdzie od dawna mieszkał brat jego ojca, właściciel dobrze prosperującej restauracji.

Musiał przyzwycząić się do życia w kolejnym kraju niebędącym jego ojczyzną, i poszło mu to łatwiej niż rodzicom, którzy coraz częściej mówili o powrocie na wyspę Karpathos: nie byli na niej od czasów młodości i piękniała w ich pamięci jak cypryjski ogród w opowieściach Apostolei Ellinas. W Berlinie, w przeciwieństwie do Wał-

brzycha, były greckie sklepy, restauracje i można było kupić rachatlukum w kilku smakach, ale Maria Angelopoulos załamywała ręce po swojemu, że nie zrobi się syropu różanego z tutejszych róż, a rachatlukum smakuje tylko pod greckim słońcem, i to też nie byle jakim, ale tym, które świeci w jej rodzinnym Diafani tuż nad wierzchoł-

kami gór w ostatnich minutach przed zmierzchem. Synku, napisałbyś kiedyś coś o tym, mówiła do Dimitriego, napisałbyś o Karpathos, bo zaczynała się starzeć i bać, że jej pamięć to za mało, by ocalić tyle piękna. Dimitri od czasów liceum wiedział, że będzie dziennikarzem, od osiemnastego roku życia publikował teksty, które jego dumny ojciec wycinał z gazet i w tajemnicy, żeby się dzieciakowi w głowie nie poprzewracało, chował do specjalnej teczki; gdy Dimitri w końcu poszedł na studia, właściwie już miał zawód. Georgi, najambitniejszy z ro-435

dzeństwa, skończył prawo w Londynie i ożenił się z trochę zarozumiałą, ale piękną Afroditi Ellinas, która od razu zaszła w ciążę. Gdy najmłodsze dziecko państwa Angelopoulos, Sofij a, dostało się na uniwersytet, przyszła wiadomość o śmierci starej ciotki Fouli z Karpathos, z racji wieku i zawikłanego pokrewieństwa z Marią Angelopoulos zwanej w rodzinie ciociobabcią. Ciociobabcia Foula opiekowała się rodzinną siedzibą, dwoma starymi domami na skarpie; gdy Foula odeszła, państwo Angelopoulos zdecydowali, że wrócą do Diafani i zamieszkają w jednym z domów, tym, w którym Maria Angelopoulos przyszła na świat. Rok potem Georgi i Afroditi zostawili małego Teda z dziadkami na Karpathos, a sami polecieci na Cypr samolotem, który rozbił się o skaliste wybrzeże wyspy, zabijając wszystkich na pokładzie w gorącej kuli ognia i dymu.

Dimitri doceniał, że jego rodzice gotowi są zająć się chłopcem, ale to on czuł się jego głównym opiekunem i oprócz wakacji i niektórych świąt Ted przebywał z nim w Berlinie. Student z małym dzieckiem był rzadkim zja-wiskiem i Dimitri przez pewien czas cieszył się nadzwyczajnym powodzeniem u kobiet; wzruszał je i rozmarzał

widok młodziutkiego Greka z chłopcem, którego brały za jego syna. Zdarzało się, że Dimitri zabierał

Teda na za-jęcia, gdzie chłopiec spał albo cicho bawił się pod ławką, jakby rozumiał, że może być blisko człowieka, którego nazywał tatą, tylko jeśli nauczy się odpowiednio zachowywać. Kobiety, które miały nieprzepartą ochotę zaopiekować się tym młodym mężczyzną i jego słodkim dzieckiem o wielkich oczach, zostawały z Dimitrim i Tedem na chwilę, kilka naprawdę się starało, ale żadna nie zagrza-436

ła miejsca na dłużej. Wzruszający widok i perspektywa posiadania od razu rodziny w postaci mężczyzny i gotowego dziecka na co dzień oznaczały bowiem nocne wstawanie, bałagan, bóle gardziółka i liczne alergie, na które mały Ted wydawał się zapadać ze wzmożoną częstotliwością tylko wtedy, gdy upór którejś z kobiet przekroczył magiczne pół roku, a w ich domu zaczęły pojawiać się oznaki zadomowienia, depilator czy lakier do paznokci. Na tym etapie niektóre kobiety zaczynały poruszać takie tematy, jak przyszłość, stabilizacja, stały związek; wówczas Dimitri odpowiadał, że najpierw musi skończyć książkę, nad którą pracuje. Pisanie nie szło mu jednak najlepiej i skreślał nocą to, co napisał za dnia.

Było im dobrze we dwóch i Dimitri odkrył w sobie nie tylko pokłady opiekuńczości, ale też sporą dozę sy-barytyzmu; gdy jego matka, Maria, znikła wraz z rutyną posiłków złożonych z wielu dań i celebrowanych do późna, nauczył się gotować i za nic nie dał się żadnej kobiecie przekonać do kotletów sojowych czy odtłuszczonego mleka. Z odziedziczoną po przodkach skłonnością do tycia walczył na siłowni; uprawiał jogging i biegał maratony, wracał złachany, głodny jak wilk, przyrządzał pieczone kotleciki jagnięce oraz kilka meze i zapraszał na nie siostrę Sofiję z niemieckim narzeczonym, przyjaciół

i ewentualnie kolejną kobietę, która wykazywała chęć dołączenia do ich męskiej diady, kręcąc się gdzieś na orbicie. Dimitriemu podobały się wysportowane, szczupłe kobiety o ciemnych włosach i oczach, a lgnęły do niego miękkie ciepłe istoty o zaokrąglonych brzuchach i peł-

nych piersiach, które upierały się, by być blondynkami, nawet jeśli urodziły się kruczoczarne. Jego matkę, Ma-437

rię, cieszyła powściągliwość syna w kwestii poważniejszych związków, bo po powrocie do rodzinnej wioski Diafani swatki zaczęły pokazywać jej kandydatki, po któ-

re co roku przyjeżdżają młodzi Grecy z Londynu, Berlina, Nowego Jorku, Montrealu. Maria Angelopoulos, która całe dorosłe życie spędziła poza swoją wyspą, po dwóch miesiącach czuła się tak, jakby nigdy nigdzie nie wyjeź-

dzała, a po tym poznaje się dom. Dimitri dostał pracę w „Die Zeit”, gdzie szybko doceniono, że ten Grek, któ-

remu zdarzało się jeszcze pomylić rodzajnik, ma talent; awansował i dostał od dużego wydawnictwa propozycję napisania książki o losach greckich imigrantów, któ-

re śledził w kilku opublikowanych już artykułach. To był

temat, którego szukał! Mógłby wziąć urlop i pojechać z Tedem na Karpathos, tam powstałaby

książka; coraz bardziej podobał mu się ten pomysł i cieszył się, że Ted pobędzie wśród Greków.

Na co dzień Dimitri był mocno stąpającym po ziemi, odpowiedzialnym mężczyzną, który wydawał się prostoduszny, a nawet poczciwy, i dopiero po fakcie ludzie, z którymi przeprowadzał wywiady, łapali się za głowę, uświadamiając sobie, że opowiedzieli temu człowiekowi rzeczy, o jakich nikomu nigdy nie opowiadali ani nie mieli zamiaru. Dimitri lubił swoje życie i życie w ogóle, nie miał skłonności do melancholii i tylko czasem, zwłaszcza gdy biegał, budziła się w nim tęsknota, którą czuł jako dziecko, gdy ojciec w Wałbrzychu czytał mu Odyseję, a on wyobrażał sobie dalekie lądy, morza i rozedrgane kropelki wody pod dziobem statku, syreny, zwłaszcza syreny o głosie słodkopląnym, i potem nie mógł spać do rana. Wystarczyła jednak mocna kawa 438

parzona po grecku, by Dimitri Angelopoulos po prostu otrząsnął się i zabrał do pracy. W wieku dwudziestu ośmiu lat zaczął remont domu w Diafani, sąsiadującym z domem rodziców i należącym do nich; przez całe wakacje robił zdjęcia, studiował stare plany, szukał lokalnych rzemieślników, bo uparł się, że w środku oprócz zdobyczy cywilizacyjnych, do których przywykł, będzie tradycyjna sypialnia na drewnianej antresoli, zwana tu sofą. Ukończył prace zgodnie z planem i gdy wypływał

w morze, z miłością patrzył na dom, biały, pozbawiony ostrych kantów, zrosnięty ze skałą i wodą jak coś, co jest raczej dziełem natury niż człowieka. Dom, do którego chce się wracać.

Dominika nikomu oprócz Dimitriego nie opowiedziała dokładnie, co robiła od czasu, gdy opuściła Piaskową Górę; być może przez dwa tygodnie, które spędzili razem w Londynie, mówiła więcej niż przez ostatnie dziesięć lat. Z Sarą Dominika lubiła po prostu być, czuć jej troskliwą obecność i zapach paczuli, i słuchać o Czar-

nej Wenus, Ivo, mąż-bliźniak, opowiadał jej lukrowane historie swoich miłosnych i cukierniczych sukcesów, nigdy nie wracali do rozmowy w niebieskiej sypialni, a Małgosia, choć biegła w psychologicznych teoriach, nie miała jednak klucza do Dominiki. Dimitri zapytał, jak tu dotarłaś, Dominiko Chmuro? i to proste pytanie pozwoliło Dominice opowiedzieć lata, które widziała jako podróż bez celu, pełną dziwnych spotkań i przygód. Siedzieli w ogrodzie Apostolei, który budził się do życia po ponurej londyńskiej zimie, by przez kilka miesięcy nieudolnie udawać na zawsze utracony przez gospodynię ogród cypryjski, nad ich głowami kołysały się młode 439

liście figowca. Nagle małomówna Dominika znalazła słowa, po których jak po moście ruszyła z Piaskowej Góry, z ramion matkującej Jadzi, w świat; Dimitri, zaczęła, bądź przygotowany, bo ta opowieść jest całkiem fiksum-

-dyrdum. Gdy po dwóch tygodniach Dimitri zapytał, czy Dominika pojedzie z nim na Karpathos, ani jemu, ani jej to pytanie nie wydawało się pochopte, bo Dimitri Angelopoulos był pierwszą osobą, której Dominika Chmura nie przypominała nikogo innego. Nie wiem, jak długo tam pobędę, uprzedziła go, a Dimitri odpowiedział, że w porządku, Dominika może być, jak długo zechce, jednak musi pamiętać, że zimą prom do portu Diafani przybija tylko raz w tygodniu.

XI

Wyjdź do ludzi, mamó, tak jej powtarza Dominika, wyjdź do ludzi, a nie tylko kościół, supermarket,

bazarek Manhattan, i Jadzia zgadza się, że coś w tym jest, że trzeba wyjść do ludzi. Ubierze się w ten angorowy bla-doróżowy sweterek, delikatny jak pianka, który jej ostatnio Dominika przysłała, włosy sobie robi i wyjdzie. Gdy wyjdzie do ludzi, nie będzie sama i przestanie rozmyślać o tym, co złego może przytrafić się jej córce, albo o tym złym, co już się stało i jeszcze na dobre nie wyszło.

Wraz ze śmiercią Haliny Jadzia Chmura została pozbawiona satysfakcji z coniedzielných spotkań, po któ-

rych mogła sobie rozjątrzać do woli wszystkie kulinarne błędy teściowej i głupie komentarze do programów te-440

lewizyjnych. Jakże jej brakowało powodów do przewracania oczami i zaciskania ust, bo żaden obcy nie denerwował jej tak jak własna teściowa, z którą dane jej było spędzić więcej lat niż z przedwcześnie zmarłym mężem.

Było mamusi tak się śpieszyć, mówiła do grobu teściowej albo do jej fotografii zrobionej przez Dominikę i oprawionej w ramkę, wszystko przez te papierochy, ale nie, trzeba było kopcić, nie można było higienicznego trybu życia prowadzić. Się mamusia doigrała. Do tego jeszcze Krysia Śledź, najbliższa koleżanka Jadzi, wyjechała do pracy do Enerefu, który nie był już Enerefem, lecz wielkimi zjednoczonymi Niemcami. Gdy upadły kopalnie i mężczyź-

ni, którzy przez całe życie byli górnikami, przestali nimi być, na Piaskowej Górze zapanowała rozpacz, bo jeśli od kogoś, kto przez dwadzieścia lat był górnikiem, odjąć górnika, niewiele zostanie, ludzka skorupka, pałuba o twardych dłoniach i oczach obwiedzionych na czarno.

Kilku zatruło się gazem, jeden skoczył z dachu Babela, dwóch się powiesiło, rozpitych nie policzysz. Inni woleli zostać w domu i trwać, bo na nic tak drastycznego, jak skakanie czy wieszanie się, nie mieli siły, nawet pić im się za bardzo nie chciało; siedzieli przed telewizorami w brudnym świetle pokoi stołowych, w których zaciągali story, by słońce nie odbijało się od ekranu. Ci, którzy kopalniane odprawy wydali na telewizory, patrzyli w nowe telewizory, ci, którzy wydali na samochody lub przepili, w stare, i nic się nie zmieniało, mijał dzień za dniem, tylko żony coraz głośniejsz trzaskały talerzami i traciły cierpliwość. Zdzisiu, nie siedź tak przed tym pudłem, bo tracę cierpliwość, prosiła Krysia Śledź, która akurat należała do żon przyjaźnie na ogół usposobionych do ślubnego.

441

Zdzisio patrzył na nią przez chwilę, wzdychał, ale nam narobili, gnoje, ale nam, gnoje, narobili, Krysia, i wracał

do patrzenia w telewizor. Oglądanie telewizji nie cieszy-

ło jednak byłych górników, tak jak nie cieszyło jeżdżenie samochodem, bo dobrze jest pojechać nad wodę w niedzielę, wypucować karoserię, napić się piwa, kielbasę upiec nad ogniem i ponarzekać, że w poniedziałek znów do roboty, ale na cholere gdzie jeździć, gdy poniedzia-

łek nie różni się od niedzieli. Inni woleli wychodzić z domów i zbijali się w grupki, których jedyną

racją bytu był

brak zajęcia i nadziei, a więc zatrzymywali się tam, gdzie dało się o coś oprzeć albo na czymś przysiąc, i trwając tak, spluwali od czasu do czasu. Dobrym miejscem do trwania była ściana supermarketu Real na Piaskowej Gó-

rze; można było oprzeć się o nią i powoli, łyk za łykiem, pić piwo, gdy było na piwo, a gdy było na więcej piw, szorując pośladkami i barkami o ścianę, zjeżdżało się w dół. Ci, którzy spadli najniżej, zostawali pod Realem na dłużej, szare zmięte kupki szmat, które co jakiś czas ochroniarz budził kopniakiem. Bywało, że ktoś, kto kiedyś był górnikiem i miał mundur galowy, teraz chodził

po parkingu Reala w zasikanych gaciach i zebrał o parę złotych na wodę brzożową lub autovidol.

Żonom jeszcze trudniej niż brak pieniędzy było znieść ciągłą obecność dawnych żywicieli rodzin zredu-kowanych do pozbawionych zajęcia niemot; pani kochana, żaliły się jedna drugiej zdziwione, nie wiedziałam, że ten mój to taka niemota. Jak pracował, to go nigdy nie było, a teraz nagle jest, już nie wiem, co robić, nawet tyłka nie ruszy, jak mówię, żeby chociaż śmieci wy-niósł. Pani by mojego niemotę zobaczyła, mówię, rusz 442

się, Mirek, no ruszże dupę, a ten mi na to, że nie warto, że jego życie nie ma sensu. Gdybym ja też pomyślała, że nie warto, że nie ma sensu, i tak klapła se w fotelu, to z brudu i głodu byśmy pozdychali. Niemobilność bezrobotnych mężczyzn doprowadzała do szału krzątające się kobiety, które swojej pracy domowej nie mogły utracić, bo nigdy im za nią nie płacono. Depresja, mówili lekarze, ale niech ktoś zmusi byłego górnika, by poszedł do lekarza, bo mu smutno; jeśli szli, to wtedy, gdy czarny i kwaśny smutek przybierał postać jakiejś normalnej choroby, wrzodu żołądka czy narośli na języku. Siedzieli w poczekalniach przygarbieni, z rękoma na podołku, przy żonach napiętych jak struny. Ty niemoto! straciła cierpliwość Kryśka Śledź, rusz dupę, śpiący królewiczu od siedmiu boleści, wymyśl coś, rób coś, depresji ci się zachciewa, kotletów z depresji ci nie usmażę! Poszła z mężem do rejonowej poradni zdrowia psychicznego, ale Zdzisio zauważył w kolejce do okienka kolegę szty-gara i stchórzył w ostatniej chwili.

Kobiety ze starych dzielnic przy kopalniach, które Niemcy zbudowali na twardej ziemi rodzącej węgiel, gdy stuknąć w nią kijem, ruszały do biedaszybów i pomagały pracującym tam mężczyznom; w biedaszybach od czasu do czasu kogoś przysypywało, ale to przynajmniej była porządna praca. W tych prowizorycznych kopalniach mężczyźni odtwarzali życie i porządek normalnych kopalni i mówili swoim górniczym językiem; trzeba było schylić się, wczołgać pod ziemię i było się u siebie; czarne zatęchłe powietrze wydawało im się ożywcze. Kobiety z Piaskowej Góry miały większe ambicje niż grzebanie na czworakach pod ziemią czy sprzedawanie wygrzeba-443

nego węgla; w końcu spędziły młodość na nowoczesnym osiedlu, a to zobowiązywało, robiły kiedyś zakupy w sklepach na kartę G i wtedy od razu można było poznać, kto jest kto, bo wszystkie żony górników były tak samo ubrane. Pamiętały wizyty Edwarda Gierka w Wałbrzychu i nie mogły uwierzyć, że zostało im jedno wielkie gie i bezro-botni mężowie na karku. Gdy wrzaski nie pomagały i bez-robotni górnicy pozostawali w stanie uśpienia, kobiety zaczynały rozglądać się, główkować, szperać, kombinować; ktoś gdzieś komuś coś mówił, ktoś znał kogoś, kto kiedyś pracował z córką kuzynki czyjejś stryjenki, któ-

rej córka wyszła za Niemca, kto to był? chyba ta czarna Beata z mięsnego, zdaje się, że ta przedszkolanka Aga ją zna; i już szły w ruch telefony, umawiano się na kawkę, podsuwano ciasto domowe, według nowego przepisu z "Poradnika Domowego", bardzo proszę, jest taka sprawa, będzie mi bardzo miło. Dziś pani mi pomoże, jutro ja pani, a tymczasem tu czekoladki, powidełka domowej roboty, mówmy sobie po imieniu, jestem Krysia, ja Aga-ta, w skrócie Aga.

Okazało się, że teraz, gdy podróżuje się łatwiej, za zachodnią granicą rośnie popyt nie tylko na polskie żony, ale również kobiety przeznaczone do innych prac.

Pozycja żony Niemca jest oczywiście najbardziej godna pozazdroszczenia, bo to jakby dostać etat, a nie zlecone, ale jak nie ma dobrej pracy, bierze się, co jest. Nie każda ma tyle szczęścia co Grażynka! Krysia Śledź chciała pracy jakiegokolwiek, bo jako osoba nieposiadająca wykształcenia była w stanie nauczyć się wielu nowych rzeczy bez ujemy na honorze. Gdy już jest się żoną, jak Krysia, lub gdy z powodu braku urody i nadmiaru lat na zarnażpój-444

ście niemieckie nie ma się widoków, co w zasadzie też jej dotyczyło, pozostają inne zajęcia i ewentualnie nadzieja, że może jednak coś wypali, jakiś mały cud, który dotąd się nie zdarzył. Na początek mam sprzątanie, powiedziała jadzi Krysia Śledź, a potem może coś wypali, albo weznie i tylek stąd rusze, albo tu zdechne, bo jak mój Zdzisio depresji dostane. jak chcesz, jadzia, to się rozejrze i może ci też nagram jakąś robote; jak ty byś wysprzątała, domestosem poląła, to Niemcaszkom kaptcie by spadły z wrażenia.

Krysia Śledź nie była pierwszą żoną bezrobotnego, która z ich bloku ruszyła za chlebem. Sprzątaczkiniocia-

gające się, pokojówki schludne i zdrowe, do pracy od świtu gotowe, kelnerki z pamięcią i piersiami, opiekunki czułe i czyste, w rękach silne, do zginania nawykłe i ogólnie elastyczne; te, które wynoszą nocniki, szorują naczynia, te, które zmieniają pampersy; z wprawą myjące okna do połysku, szorujące bez wytchnienia, piorące do czysta, prasujące do rana, froterujące na glanc, niepytające za wiele; zupki umiejące przecierać, pupy podcierać, gdy malec woła fertig! zbierające truskawki za grosze, młode z nogami gotowymi do rozłożenia, starsze doświadczone, najczęściej ciężko, niebojące się arbeiten na klęczkach, bo od tego są kolana; niewykwalifikowane, niewymagające, zdeterminowane, dobre, złe, mądre, głupie, Sprach-kenntnisse nicht wichtig; autobusy pełne wałbrzyszanek ruszyły na zachód. Wracały opowieści jak gołębie wysłane z wiadomością przypiętą do nóżki; jedna pojechała niby do sprzątanania, a okazało się, że burdel, nie hotel, jakąś pobili, paszport zabrali, cudem po rynnie uciekła, inna bi-jącemu oddała nożem w brzuch sześć razy i ją zamknęli; 445

zamkli ją, proszę panią, ale w tych ichnich więzieniach to jak w naszych hotelach; kolejna miała dziecka pilnować, a tańczy przy rurze, górnik tyle kiedyś w miesiąc nie zarobił, co ona zgarnia w jeden wieczór; a ta mała, ruda śmieszka, co koło szpitala mieszkała, koty karmiła, jak kamień w wodę, proszę panią, jak kamień w wodę.

To jad e do tych Szkopów, Jadzia, westchnęła Krysia i uściskała sąsiadkę, pasa zacisne, byle co zjem i może troche przywioze, odłóże dla Pati, kuchni se nową zrobię, daj pyska. Zdzisiowi całą zamrażarkę kotletów na-mroziłam, bigos, pierogi. Ty miej na niego oko, jadzia, żeby się do reszty nie zmarnował, no, daj pyska jeszcze raz na pożegnanie i trzymaj kciuki. Matko Boska, pomy-

ślała jadzia, patrząc przez okno, jak Kryisia sunie w stronę przystanku z wielką walizką, wszyscy zawsze odchodzą, a ja zostaję w tym samym miejscu; jeśli teraz nie wyjdę do ludzi, to jak amen w pacierzu strzełę w kalendarz na tym bocianim gnieździe. już całkiem nie ma do kogo pyska otworzyć. Jadzia jak wszystkie samotne osoby głodne słów próbowała na co dzień karmić się rozmowami sklepowymi i poddomowymi; każdą kosteczkę słowa wysysała do czysta, obierała z łykowatych ścięgien i żyłek, ale czuła, jak budzi się w niej potrzeba czegoś więcej, czegoś innego, co w jej sercu posiała latająca po świecie córka. To dziwne uczucie, jakby ją coś od środka podszczypywało, zwała Jadzia na klimakter; nie dość, że się człowiek cały sypie, to jeszcze gorąc tak mi bucha, skarżyła się i podejrzewała, że to ta gorąc odpowiedzialna jest za dziwne myśli o życiu, w którym wszystko wy_

glądałoby inaczej, za nagłe skurcze tęsknoty za czymś nieznanym, straszliwe w swej rewolucyjnej treści podej-446

rzenie, że coś innego może być w jej zasięgu. Miasta jakieś niebywałe, jedzenia nietutejsze, języki nieprzyjemne, bo niezrozumiałe, ale jednak kuszące, skoro przecież jej dziecko w nich mówi. Te zdjęcia, które jej Dominika przysyła! Na spodzie tylko krótkie notki, pan Janusz, Polak, cieć w szkole koło mojego domu, pani Sabra, Turczynka, znajoma mojej gospodyni, niezajoma na ław-ce na przystanku, Londyn wschodni, zachodni, mosty, parki, psy, królowa. Z fotografii zrobionych przez córkę patrzą twarze i coś jest w nich takiego, że Jadzia zaczyna się zastanawiać, jakie są ich historie, co przeżyli, czy lubią konfitury truskawkowe, i nie może przestać. Taka pani Sabra na ten przykład, niby też starsza kobieta, jak Jadzia, a całkiem inna. Turczynka! Jadzi trochę namąciło się w głowie ostatnio, trzeba przyznać. jakaś nieswoja jestem, myślała, patrząc w łazienkowe lustro, coś mi się w głowie namąciło ostatnio, potrząsała ondulacją i zaży-wała raphacholin.

Pierwsza Jadzi próba wyjścia do ludzi miała charakter religijny, bo na tym gruncie poruszała się pewnie, a kościół pozostawał miejscem, do którego szła odsapnąć; wiosną po wizycie Dominiki udała się więc na autobusową pielgrzymkę do Częstochowy organizowaną przez młodego księdza Michała. Pomodli się za swoich zmarłych, o opiekę nad Dominiką Czarną Madonnę poprosi, a będzie wolna chwila, to po mieście się przeleci, po sklepikach. Nawet jej się podobało na początku, zwłaszcza wspólne modlitwy do świętego Krzysztofa W drodze i śpiewanie, pola i wioski migające za oknami, ale gdy na pierwszym postoju pielgrzymi zaczęli ze sobą rozmawiać, Jadzia znów poczuła coś dziwnego. Podnio-447

sły nastrój przysł. Obok na parkingu zatrzymał się autobus pełen kolorowej młodzieży mówiącej w obcym ję-

zyku, panie pielgrzymki mocniej zwarły się z torebkami trzymanymi na wysokości śledziona, panowie pielgrzymi stanęli w pozie koguciej. Kto wie, może taka grupa cudzoziemskiej młodzieży tylko czeka, by rzucić się na pielgrzymów i wyrwać im bułki z kielbasą, które ksiądz Michał rozdaje z wielkiego kosza; w drugim ma pomido-ry, to też łakomy kąsek. Bo co też się porobiło przez tę żydokomunę, proszę panią, rzekł pielgrzym z wąsem do pielgrzymki przy kości i poczęstował ją czekoladką wedlowską: a wszędzie ich pełno, zgodziła się pielgrzymka, zerknęła na obcą młodzież i w zamian za czekoladkę zaproponowała pielgrzymowi jajo na twardo od wiejskiej kury, przekąsili, popili; w rządzie ich pełno, w gazetach, na uniwersytetach. Pani patrzy, ilu cudzoziemców, całe autobusy do nas zwożą, ten z wąsem głową w stronę hałasującej młodzieży wskazał dyskretnie; to nowy potop,

proszę panią, szwedzki. Jadzi gwar młodych głósów sprawiał przyjemność, przypominali jej córkę, ale najprzyjemniejsze było to, że Jadzia rozpoznała język, portugalski. W tym języku liściastych szelestów śpiewa piosenkarka imieniem Amalia, której kasetę przywiozła jej w prezencie Dominika, tak pięknie śpiewa, aż płakać się chce, chociaż człowiek słów nie rozumie. Krzywi-

ła się, że nie po polsku nie będzie słuchać, ale Dominika włączyła magnetofon, przyłożyła palec do ust i gdy po-płynęły dźwięki fado, Jadzia, ciągle naburmuszona, poczuła nagle, jak ciepła fala uderza ją w piersi i brzuch.

Klapnęła na kanapę, Matko Boska, westchnęła, w jej agrestowych oczach pojawiły się łzy; teraz jest nawet 448

gotowa przyznać, że Amalia ładniej śpiewa od Seweryna Krajewskiego. Oni mówią po portugalsku! wyrwało jej się. Pielgrzymi popatrzyli na Jadzię jak na głupią i zignorowali jej językowe odkrycie. Ta przy kości od jaja na twardo westchnęła tylko, oj, nie wiem, nie wiem, proszę panią. Cudzoziemcy ziemię wykupują! włączyła się milcząca dotąd pielgrzymka z katarzem siennym i kichnęła. Czyją ziemię? zapytała Jadzia, by naprawić gafę z portugalskim i jakoś się przyłączyć do ludzi, do któ-

rych w końcu wyszła; jak czyją, czy pani niedzisiejsza?

naszą ziemię wykupują! Aha, odrzekła Jadzia i jadła dalej swoją bułkę z kiełbasą, ale nie zrezygnowała. Przełknę-

ła ostatni kęs i zapytała, to pani ziemię już wykupili?

Kto? zdziwiła się ta z katarzem siennym, co się o ziemię polską bała, i kichnęła. Ci obcy, odpowiedziała Jadzia.

Ale ja żadnej ziemi nie miałam! wystraszyła się kobieta, z żadnymi obcymi niczym nie handlowałam! Kichnęła. Aha, powiedziała Jadzia, to czyją wykupili? pana?

zwróciła się do tego z wąsem, którego wzrok od dłuż-

szej chwili błędził po jej biuście. Moją to jakby nie, ale nigdy nic nie wiadomo, droga pani, wróg nie śpi, a kuzyna mojego na ten przykład już jedni jacyś pytali, czyby pola nie sprzedał pod osiedle strzeżone. Trzeba przeciw niewiernym się zbroić, nie oddam ziemi, skąd nasz ród, rozochocił się pielgrzym z wąsem. Niewiernym? W Polsce? Przecież tu sami wierzący, zdziwiła się Jadzia i jej agrestowe oczy były samą szczerością. W mojej bramie na ten przykład, jak ksiądz po kolędzie chodzi, to wszyscy przyjmują, jeszcze się nie zdarzyło, żeby nie. Oj, chyba znów coś chlapnęła, bo ten z wąsem, ta od ziemi wykupowanej, co własnej ziemi nie miała, i ta od jaja 449

jak na Jadzię nie popatrzą sześciorgiem oczu. Pani to, kochana, trochę nas podpuszcza? zaśmiał się kokieteryjnie ten z wąsem, bo Jadzia mu się całkiem podobała. Ta z katarzem siennym kichnęła. No chyba, że kocie wiary, co po domach chodzą, to ci niewierni, próbowała wybrnąć Jadzia, ale ich chyba nie za wiele? Jakie kocie wiary, proszę panią, kocie wiary to nie problem, z nimi sobie

poradzimy. To kto, Matko Boska? chyba nie ci Hare Kriszna?

Jak moja córka kiedyś poszła na spotkanie w Domu Spół-

dzielcy na Piaskowej Górze, to jakieś dziwne jedzenie gotowali i żeby nie jeść mięsa mówili. Nie Hare Kriszna!

Problemem są muslimiści, ten z wąsami rzekł i wgryzł

się w następnego pomidora, poszła krew. Ta z katarem siennym kichnęła. Muslimiści? Muslimiści, Niemcy i Żydzi, potwierdziła ta od jaja na twardo, i Ruskie, rzekła ta, co się o ziemię polską bała, choć swojej nie posiadała, i już miała kichnąć, ale powstrzymała się. Przecież nasz papież z nimi rozmawia, muslimista, Murzyn czy inny, jedzie i rozmawia, do każdego rękę wyciągnie, Jadzia zaczynała być zła, bardzo zła. Ten z wąsem i ta od ziemi wykupowanej popatrzeli na siebie w poczuciu rodzące-go się sojuszu; oj, bo o to się rozchodzi, proszę panią, że za łagodny jest ten nasz papież, za łagodny, proszę panią. On do muslimistów, do Żydów, do Murzynów, a tu ziemię wykupują, tak jak Polacy to żaden lud się nie na-cierpiał, proszę panią! Rozgrabią nas, proszę panią, po-wtórzyła ta, która własnej ziemi nie miała; kichnęła. A ta ciągle zarazki rozsiewa, zabuzowała Jadzia, politykuje i politykuje, a chusteczek nie używa? Na papieża mi tu będzie wygadywać, małpa zasmarkana. Dla Jadzi papież był samą świętością i nigdy nie obchodziło jej, czy jest ja-450

kiś za bardzo albo za mało; on był tym, który jest, jaśniał

uśmiechem, Jadzię ten uśmiech koił jak raphacholin. Dominika kiedyś ją męczyła, ale powiedz, mamó, zastanów się, czy ty to popierasz, czy uważasz, że to w porząd-ku, żeby zabraniać prezerwatyw w krajach, gdzie ludzie umierają na AIDS? Czy nie myślisz, że ważniejsze jest nakarmienie głodujących dzieci niż zagładanie ludziom pod kołdrę? Fúj, mówiła córce, byś przestała, a co nasz papież ma z tym wspólnego? jakichś głupot się naczyta-

łaś za granicą i politykujesz; Dominika machała ręką, bo Jadzia nie chciała rozmawiać o soborach i encyklikach, tylko odpowiadać uśmiechem na delikatny uśmiech polskiego papieża, którego jedno zdjęcie nosiła w portfelu, drugie trzymała w ramce na meblościance między cór-ką Dominiką a matką Zofią, a trzecie przykleiła do we-wnętrznej ściany szafki kuchennej, tak że Jan Paweł II pojawiał się zawsze, gdy sięgała po mąkę czy puszkę mielonki. Ważniejsze od poglądów politycznych papie-

ża było dla Jadzi Chmury to, że lubił kremówki, i gdy sama taką jadła, czuła rozpływającą się w niej słodycz, jakby uczestniczyła w życiu tej jasnej, pięknej postaci. Ci ludzie, do których wyszła, denerwowali ją swoją opinią o papieżu o wiele bardziej niż Dominika, bo nie po to na pielgrzymkę się wybrała, żeby politykowania wysłuchiwać. Politykowaniem Jadzia nazywała każde wyrażenie własnego zdania, które nie pasowało do jej poglądów lub mąciło jej w głowie, tak że wszystko kićkała: polity-kowanie budziło w niej wstręt i gdyby mogła, stanowczo by go zabroniła. Poczuli się podminowani, a wiedziała już, do czego jest zdolna, gdy ją ktoś porządnie podminuje; Leokadia Wawrzyniak naraziła jej się tak, że 451

podminowana Jadzia wybuchła. Obciągnęła na piersiach angorowy sweterek, strzepnęła okruszki, nabrała powietrza, ale w tym momencie ksiądz Michał zarządził koniec postoju i obyło się bez

rozlewu krwi. Jednak Jadzia nie odzyskała już dobrego humoru; usiadła sobie sama, jak najdalej od tamtej trójki, na drugim fotelu postawiła kra-ciąstą torbę z prowiantem i obróciła się w stronę okna nie odezwała się do nikogo aż do Częstochowy.

Podczas mszy na jasnej Górze mały myszowaty pau-lin ostrzegł pielgrzymów, by pilnowali toreb i portfeli, bo kieszonkowcy są wśród nas; torebeczki trzymamy z przodu, portfeliki za pazuchą, zagaił śpiewnie, kieszonkowcy są wśród nas. Jadzię jakoś to wszystko tak rozbiło, tak ją te torebeczki i portfeliki przeciążyły, że gdy w końcu dopchała się do kraty, uklękła pod Czarną Madonną, zamiast modlić się, dziękować i prosić o długą listę rzeczy, z którą tu przybyła, pomyślała, że należałoby tę piękną boginię przeprosić. Za tego z wąsem, za tę od jaja na twardo, za torebeczki i portfeliki, za kieszonkowców, za tego, kto ją właśnie niegrzecznie dźgał w plecy, by się pośpieszyła; Zdrowaś Mario, zaszepiała, jak Ty to wszystko wytrzymujesz, jak Ci przykro musi być, gdy na to wszystko patrzysz, bogini moja. Taka piękna jesteś i smutna, zdrowaś Mario, łaskiś pełna, w takim zaduchu wisisz, w bakteriach, błogosławionaś ty między niewias-tami. Bardzo by się zdziwiła Jadzia Chmura, gdyby ktoś próbował ją przekonać, że głosi herezję, bo w kościele, do którego należy, bogiń żadnych nie ma i nie bę-

dzie. Jak nie ma? Jak nie ma? A widzi Czarną Madonnę?

Widzi biżuterię, perły w darze złożone, te sto bab roz-modlonych widzi? Ślepy by zauważył, muslimista nawet 452

czy Hare Kriszna by zauważył, że bogini! Mogłaby się zdenerwować Jadzia tak jak wówczas, gdy ubliżyła jej Leokadia Wawrzyniak, i przywalić intruzowi torbką, ale tymczasem tylko zmówiła modlitwę, a do długiej proce-sji zmarłych powierzonych opiece Czarnej Madonny do-dała na końcu żydowską ciotkę, Eulalię Barron.

W czasie wolnym poszła Jadzia sama w kierunku miasta, ale jakoś nie chciało jej się chodzić po sklepach; zobaczyła park u stóp klasztoru i ruszyła do niego, usiadzie sobie, odsapnie, zje ostatni kawałek ciasta z rabarbarem. Po drodze był krzyż i niepozorna figurka Matki Boskiej z dzieciątkiem, nikt się przy nich nie zatrzymywał, bo kogóż taka lichota mogłaby zainteresować po przepychu Czarnej Madonny i jasnogórskiego skarbcu. Jadzię litościwą nie od dziś ciągnęło do rzeczy drobnych, zaniedbanych, nad którymi mogłaby się ulitować po swojemu; podeszła, przyklękła, zdrowaś Mario, zaczęła. Coś było nie tak. Matka Boska wyglądała po matkobosku, ale dzieciątko? coś nie tak było z dzieciątkiem, i to bardzo. Jadzia okulary zdjęła, na szkła dmuchnęła, przetarła. Matko Boska, to dziewczynka! Matka Boska trzymała w objęciach jasnowąsą dziewczynkę, poza tym wszystko było jak zawsze. Ludzie przecho-dzili, nikt nie zwracał uwagi na Matkę Boską z córeczką i Jadzia córkorodna poczuła nagle taki przypływ siły, że mogłaby nie tylko jeszcze raz pogonić Leokadię Wawrzyniak, ale od nowa urodzić i wychować Dominikę, i jeszcze raz ją pokochać. W drodze powrotnej pielgrzymi rozmawiali o bogactwie skarbcu, pokazywali sobie kupione pamiątki, wodę święconą w plastikowych buteleczkach w kształcie Maryi z odkręcaną główką, 453

a Jadzia milczała, wzdychała i uśmiechała się z wyższoś-

cią, bo to ona widziała w Częstochowie cud.

Po częstochowskiej przygodzie Jadzia ostygła w swym zapale wychodzenia do ludzi, zwłaszcza nie mia-

ła ochoty na kolejną pielgrzymkę, ale nie poddała się.

Jedź, mamó, do Szczawna Zdroju, mówiła Dominika, zawsze gotowa sprawdzić w internecie, kiedy będzie jakiś koncert z walczykami, piknik folklorystyczny czy goś-

cinny występ kabaretu z Wrocławia albo nawet z samej Warszawy. Skąd w tym komputerze tyle mądrości, skoro mniejszy od telewizora? dziwiła się Jadzia i sprawiało jej przyjemność zainteresowanie córki, która z Londynu planowała jej rozrywki. Jedź, mamó, potem zadzwonię i mi opowiesz, jak było; jak wpadnę do ciebie latem, razem się wybierzemy. Pojechała więc Jadzia raz i drugi sió-

demką do Szczawna Zdroju, nawet przemogła się i oderwała metki od kilku ubrań przysłanych przez Dominikę, by godnie prezentować się wśród turystów i kuracjuszy.

Miała córka rację, to są miłe chwile. Jadzia kupuje sobie loda w wafelku, siada w parku zdrojowym, patrzy na spacerujące rodziny i rozjątrza swoje stare rany; wydłu-buje nowe tam, gdzie ciało jest najdelikatniejsze i najbardziej miękkie; dlaczego na ten przykład inne mają wnuki, a ona nie? Dlaczego inne mają chłopów, jacy by nie by-li, a ona od tylu lat jest wdową? Dlaczego taka Krysia Śledź

ciągle ma matkę na wsi, a ona nikogo? Dlaczego Domini-kajest tak daleko? Na każde mlaśnięcie lodowej słodyczy przypada jedna gorzka myśl Jadzi Chmury i równowaga zostaje zachowana, świeci słońce, śpiewają ptaki.

Gdy którejs ciepłej czerwcowej niedzieli przysiadł

się do Jadzi starszy pan w jasnym garniturze, zapachniał

454

wodą po goleniu, aż jej się w głowie zakręciło, już miała powiedzieć, nie zawieram znajomości na ulicy albo czekam na kogoś, jestem zajęta, proszę sobie nie wyobra-

zać. Ale wtedy mężczyzna zagaił, a sąsiadka elegancka jak zawsze, mówiłem, że dla sąsiadki tylko lilaróż lub lawendowy błękit, i Jadzia przypomniała sobie ten głos, który przed laty intrygował ją i drażnił. Jej dawny sąsiad, homoniewiadomo, aktor Jeremiasz Mucha! Poczzerwieniała i zacukała się, bo co tu po latach powiedzieć sąsia-dowi, który sąsiadem być przestał, i do tego zniknął w tak tragicznych okolicznościach, ale Jeremiasz Mucha miał

więcej oglądy towarzyskiej. Słyszałem, że córka pani, śliczna panienska Dominika, za granicą przebywa? To była woda na młyn Jadzi, o córce może długo i szczegółowo, proszę bardzo; rozmowa potoczyła się tak wartko, że nawet nie zauważyła, kiedy dała się zaprosić na kawę do pobliskiej kawiarni, potem jeszcze zjedli po dwie gałki lodów i po gofrze z bitą śmietaną, a gdy Jadzia upaprała sobie żabot odświętnej bluzki, Jeremiasz zaferował jej swoją chusteczkę. Pani Jadwigo, pozwoli

pani, że chusteczkę zaofferuję, powiedział i Jadzi jak przez mgłę przypomniła się inna biała chusteczka, z dalekiej przeszłości, i Cudzoziemiec, który pod orzechem w zaleskim ogrodzie wytarł w nią dłonie ubrudzone wiśniami. Francja elegancja! Nie wiedziała Jadzia, czy wypada zapytać o mężczyznę, z którym Jeremiasz Mucha mieszkał na Piaskowej Górze; o żonę by zapytała, o męża, ale jak o takie homoniewiadowo? głowiła się, ale stary aktor sam jej powiedział. Ach, pani Jadwigo, życie nas nie oszczędzało, oboje się z jego okrucieństwem zetknęli-

śmy, czyż nie? Na to czyż nie Jadzi aż się łzy w oczach 455

zakreśliły i tylko po swojemu westchnęła z głębi piersi, ach, panie Jeremiaszu, gdyby pan wiedział. Po tym, jak Jeremiasz i jego Konrad, bo Konrad mu było na imię, dopiero teraz dowiedziała się Jadzia, zootechnik z wykształcenia, zostali pobici w mieszkaniu na Piaskowej Górze, nastał niestety kres ich miłości. Nastał niestety kres naszej miłości, powiedział Jeremiasz Mucha, już w szpitalu zostałem opuszczony, porzucony; i im więcej mówił o swoim cierpieniu, tym łatwiej się Jadzi słuchało, a fakt, iż to homoniewiadowo cierpiał, przestawał wysuwać się na plan pierwszy, bo cierpiał niewątpliwie po ludzku. Panie Jeremiaszu, mój Boże, to się pan nacierpiał! Konrad poznał w szpitalu górnik, Waldka, któremu pas transmisyjny urwał rękę, na szczęście lewą, i zakochał się chłopak, porwał go huragan miłości, Jeremiasz Mucha, choć porzucony, szczęścia im życzył, żalu nie ma; Matko Boska, westchnęła Jadzia, huragan miłości, panie Jeremiaszu, pan to ma serce ze złota. Konrad z górnikiem Waldkiem wyjechali w Bieszczady, za odszkodowanie górnik kupił chałupę i ziemię, gospodarstwo agroturystyczne prowadzą z sukcesem, a kochają się nadal jak na początku. Taka miłość, pani Jadwigo, taka mi-

łość! Tymczasem on, cóż, targany melancholią na statek się zamustrował. Targany melancholią, jak ja pana rozumiem, panie Jeremiaszu, ucieszyła się Jadzia, ale żeby zaraz na statek? Na szwedzki prom wycieczkowy! Występował w wieczornym programie muzycznym i nie powie, cieszył się nawet pewnym powodzeniem, zwłaszcza u starszych dam, chociaż był taki jeden steward, co za mężczyzna, pani Jadwigo, co za mężczyzna rasowy, ale to może innym razem. Potem, gdy rozpacz osłabła i przy-456

gasł żar bolesnych wspomnień, na dwa lata do Szczawna Zdroju Jeremiasz przyjechał i śpiewał kuracjuszom na dansingach; cała sala śpiewa z nami, uciekaj skoro świt, i tak dalej, zanucił, a Jadzia aż pokraśniała. Pan to zawsze miał głos, panie Jeremiaszu, nie to co te współczesne wyjce. A więc śpiewał, oprócz niego trzy osoby w ze-spole, i nie chwając się, powie, że umieli do tańca porwać kuracjuszy. Wtedy była tu Grażynka Rozpuch, w sanatorium zdrojowym w kuchni pracowała, pamięta ją pani, pani Jadwigo? Ta to tańczyła! Oj wiem, panie Jeremiaszu, nie bez zazdrości przyznała Jadzia. Zaprzyjaźnili się, przychodził do niej na kolacje, które z kuchni sanatorium wносиła, bo czasy były biedne, pamięta pani, puste półki, pani Jadwigo; jak ona, ta Grażynka, potrafiła szynkę wynieść, trzy kurczęta pieczone i jeszcze słoik barszczyku, jakieś dwie drożdżówki po kieszeniach, a szła z tym wszystkim jak baletnica, lekko, na palcach. Potem w jej wynajętym pokoiku, w bajzlu wprost niewyobrażalnym, z dziećmi, zwierzętami, jakimiś wygłodniałymi opryszkami, zjadali to wszystko, siedząc na materacach, które zajmowały całą podłogę, i śpiewali, skakali; jak ta kobieta tańczyła, pani Jadwigo. Potem jeden Niemiec się w niej tak zakochał, że chodził jak pijany, ach, jak on, Jeremiasz, o takiej miłości marzył, całe życie marzył, żeby w nim ktoś tak choć raz, żeby ktoś specjalnie dla niego piosenki zamawiał miłosne. Ach, westchnęła Jadzia,

panie Jeremiaszu, a kto nie marzył. Prosił go Niemiec, by Grażynce prezenty, kwiaty, perfumy w jego imieniu zanośli, i za każdym razem dostawał coś Jeremiasz za fatygę, a to Diora, a to Hugo Bossa, taką hojną rękę miał ten Hans, co w końcu sobie Grażynkę wycho-457

dził i zabrał do Niemiec. Mi takiego Diora, wtrąciła Jadzia, Dominika ostatnio pod choinkę kupiła, dobre rzeczywiście, zapach nie ucieka, jak się popsika na ubranie.

Jeremiasz Mucha potem jeszcze dwa razy wyjeżdżał

z Polski w celach zarobkowych, ale w końcu na dobre powrócił w rodzinne strony. Ma w Szczawnie Zdroju ka-wątek domu, zaraz po wojnie jego rodzina ściągnęła tu ze Wschodu i wtedy zajęli ten dom o wielkich ciemnych pokojach i skrzypiących parkietach. Jest pewne wydarzenie z tych lat tuż powojennych, które go do tej pory drę-

czy, a wiąże się z Grażynką właśnie. Może pani, pani ja-dwigo, coś będzie wiedziała? Coś pamiętała? Tatuś mój, ciągnął Jeremiasz, miał zakład fotograficzny w Grodnie i w Szczawnie też zakład od razu otworzył, gdyśmy się przesiedlili. W ich rodzinie fotografów na pęczki, tylko on, Jeremiasz, się wyłamał. Ponoć gdzieś w centralnej Polsce przed wojną kuzyn ojca był fotografem, i do tego podobnym jakby bliźniak, nie kuzyn, Ludek mu było na imię, Ludek Borowic. Po przyjeździe do Polski rodzina Jeremiasza zmieniła nazwisko, ale to już inna historia, chociaż Jeremiasz do dziś zrozumieć nie może, dlaczego akurat Mucha, a nie przynajmniej Muszyński; Jeremiasz Muszyński brzmiałby o wiele lepiej w przypadku artysty sceny i estrady. Mały Jeremiasz pomagał ojcu w zakładzie, zanim chęć zostania aktorem i inne rzeczy nie po-różniły go z rodzicem na dobre. Mógł to być rok czter-dziesiąty dziewiąty, może pięćdziesiąty; do zakładu przyszedł młody mężczyzna, właściwie chłopak jeszcze, przyjezdny, z plecakiem, w zniszczonym płaszczu prze-robionym z wojskowego, jakich wtedy wiele się widywa-

ło na ulicach. Nazywał się Icek Kac albo jakoś tak. Pytał

458

o młodą kobietę, Jeremiasz może przysiąc, że miała na imię Grażynka; są rzeczy, których człowiek nie zapomina. Ojca akurat nie było i przyjezdny poprosił Jeremia-sza, by pokazał mu więcej zdjęć, nie tylko te w witrynie, bo kto wie, może wśród sfotografowanych będzie ona.

Obejrzał wszystkie, nawet te nieudane w osobnym pu-dełku i z tych jedno Jeremiasz mu dał, prześwietlone zdjęcie z parku w Szczawnie Zdroju. Były na nim dwie postaci na tle wody, większa wyraźna i mniejsza jakby przecięta na pół strugą blasku; przybysza ta nieudana fotografia bardzo zainteresowała. Pani Jadwigo, on tak bardzo pragnął odnaleźć tę kobietę! Pani Jadwigo, to mi-

łość być musiała taka jak mojego Konrada i Władka; ach, westchnęła Jadzia, panie Jeremiaszu. Chciał Grażynce coś oddać czy podarować ten Icek, nie Icek, Jeremiasz nie pamięta dokładnie, ale pewny jest imienia kobiety, tak, na sto procent, Grażynka, i wciąż widzi oczy męż-

czynny, bo ani przedtem, ani potem nie widział smutniej-szych, stare smutne oczy w młodej twarzy; Matko Boska, co za życie, westchnęła Jadzia. Ten Icek Kac, panie Jeremiaszu, coś mi to mówi, ale

nie wiem co, pewnie mi się znowu coś pokićkało, Icek Kac, Icek Kac, Matko Boska, gdzie ja to słyszałam? I nie powiedział pan nic Grażynce, panie Jeremiaszu, nie powiedział pan, że jej szukał ten smutny Icek? Ano tak wyszło. Tyle razy się zbierał, w koń-

cu nie powiedział, albo zapominał, albo coś wypadło, i czasem Jeremiasz Mucha myśli sobie, że nie miał powiedzieć, że to zapominanie i wypadanie miało jakiś sens, a potem Grażynka wyjechała ze swoim Niemcem i było za późno. Teraz do niego dotarła wieść, że Grażynka znikła. Znikła, już ponad dwa lata jej nie ma, przypadek-459

ła bez śladu, potwierdziła Jadzia. A ona, ofierma taka, śle-pota, mimo że Grażynkę wtedy na pogrzebie teściowej spotkała, żadnych znaków nie dostrzegła, niestety. Tego chyba tak po człowieku nie widać, pani Jadwigo, proszę się nie obwiniać, pocieszył ją Jeremiasz Mucha; westchnęli oboje i posiedzieli chwilę w milczeniu.

To się porobiło, myślała Jadzia, siedzę na ławce w parku zdrojowym z homoniewiadamo, i do tego na lodach razem byliśmy. Dominika pęknie ze śmiechu! jadzia Chmura poczuła dziwną satysfakcję, bo zdała sobie sprawę, że znów zrobiła coś, czego nikt się po niej nie spodziewał, jak wtedy, gdy przyłożyła Leokadii Wawrzyniak. ja wam jeszcze pokażę, pomyślała Jadzia i może posunęłyby się dalej w tym nieśmiałym samozachwycie, ale poczuła, że nadmiar słodczy trochę kręci ją w żo-

łądku i znów musi zażyć raphacholin. Jeremiasz zaproponował, by Jadzia w przyszłym tygodniu wybrała się z jego znajomymi na spacer po Szczawnie Zdroju, nie ma co się krępować, jacy obcy, jak zna jego. Spodoba jej się, to bardzo miła grupa starszych ludzi z Uniwersytetu Trzeciego Wieku; organizują raz w miesiącu spacer po Wałbrzychu i okolicach, a on, nie chwając się, jest przewodnikiem, bo zna te strony jak własną kieszeń. Za tydzień będzie Szczawno, potem planują Biały Kamień, Sobięcín, Nowe Miasto, a latem wybiorą się dalej, aż do Zagórza, obejrzeć most wiszący i wielką tamę. Wszystko za darmo, tylko prowiant trzeba wziąć i buty, pani Jadwigo, wygodne, bo w tych eleganckich klapkach pani nie da rady.

Wiesz, córcia, jakoś trochę udało mi się wyjść do ludzi, powiedziała Jadzia Dominice przez telefon, z Je-460

remiaszem Muchą siebieśmy poplotkowali. On chyba dalej homoniewiadamo, ale trzeba przyznać, że elegancki z niego człowiek, kulturalny, pani Jadwigo do mnie mówi. Za tydzień na spacer się wybieramy przy niedzieli, potem na frytki mnie zaprasza, oboje frytki lubimy z ke-czupikiem. jak to jest, córcia, że jak już się trafi mąż-

czynna czysty, ubrany, do pogadania, to coś z nim musi być nie tak, westchnęła, a Dominika, nieskłonna do zga-dzania się z matką, tym razem roześmiała się i powiedziała, wiele kobiet tak uważa, masz rację, mamó. Jadzia i Jeremiasz Mucha! Dominika próbowała wyobrazić sobie swoją matkę w odświętnym komplecie w ulubionych lilaróżach, z torebką pod kolor butów, bo grunt, żeby buty były w kolorze torebki, i Jeremiasza Muchę, starego farbowanego lisa, który był kiepskim aktorem na scenie, bo cały talent poświęcił na granie życiowej roli najbardziej oczywistego homoniewiadamo w Wał-

brzychu i okolicach. jakby rzucał ludziom w twarz tę oczywistość i chował się za mahoniowymi

włosami czesany na Połomskiego, za garniturem w prążki i kwiatem w butonierce, za obowiązkowymi butami na podwyższonej podeszwie. Takie buty, panno Dominiko, to tylko na obstalunek zrobić można u mistrza szewskiego na ulicy Ruskiej we Wrocławiu, powiedział kiedyś, gdy zauważył jej badawczy wzrok, i Dominika myślała, że umrze ze wstydu, bo nie chciała urazić sympatycznego aktora. Jeremiasz Mucha mówił jej, że wygląda jak Ada Sari, w czasach gdy inni porównywali ją do tyczki grochowej, wkurwionego Szopena po koncercie, deski do prasowania, kopy siana, w którą walnął piorun; a on, panienka wygląda jak Ada Sari. Dominika ucieszyła się 461

z tej znajomości, bo czuła, że Jeremiasz Mucha należy do ludzi, którzy nie zbliżają się do nikogo przypadkiem.

Pomyślała, że podczas następnej wizyty musi koniecznie zrobić im zdjęcie, jej matka i Jeremiasz Mucha na ławce w Szczawnie, jedzący lody w gałkach.

Jadzia pojechała do Szczawna na umówione spotkanie, zjadła frytki, popiła colą i od tej pory jej przyjaźń z Jeremiaszem Muchą rozwijała się, a właściwie szybko osiągnęła poziom satysfakcjonujący obie strony i na nim pozostała, bo każde odnalazło w drugim to, czego mu brakowało. Stary aktor tak naprawdę tęsknił za rodziną i w jakimś innym życiu, lepszym i sprawliwiej urzą-

dzonym, mógłby mieć takie życie jak ta ciepła krągła kobieta, która siadała na ich ławeczce w Szczawnie, delikatnie podciągając spódnice na wydatnej pupie, i godzinami opowiadała o córce. Mógłby być Jadzia, matką, wdową, a nie homoniewiadomo, synem zmarłych dawno rodziców, wnukiem niepamiętanych dziadków, kochan-Idem zapomnianym przez kochanków w domu pełnym ciężkich mebli i kurzu. Patrzył na twarz Jadzi pokrytą zbyt ciemnym dla jej cery pudrem, na jej drobne, szybko się poruszające usta, które w miarę mówienia zjadały pomadkę, na oczy jak agrest, i ogarniała go taka tęsknota, że miał ochotę jądzie uściskać, a potem oprzeć głowę na jej bujnych piersiach i zapłakać. Jadzia z kolei znalazła w Jeremiaszu idealnego słuchacza i pierwszy raz w życiu odkryła, że potrafi opowiadać; bardziej czuła, niż rozumiała, że z jakiegoś tajemniczego powodu jest atrakcyjna dla starego aktora i że on jej naprawdę słucha, i że chwilami chyba jej zazdrości. Gdy mówiła coś Krysi Śledź, ta zawsze mogła ją przelicytować, mówiąc, a moja Iwona 462

to to czy tamto, z Lepką nie warto było nawet zaczynać, interesował ją tylko zaginiony na wojnie w Jugosławii syn Zbyszek, i nawet zmarła teściowa nie była za życia wdzięczną słuchaczką, bo sprzeczały się już po drugim zdaniu każdej opowieści. Duch męża, Stefana, o które-go wizytach Jadzia nikomu nie mówiła, podobnie jak za życia wolał patrzeć na telewizor niż rozmawiać z żoną i nagle ni stąd, ni zowąd pytał, że co, Dziunia, mówiłaś'?

No, Matko Boska, denerwowała się wtedy Jadzia, chociaż po śmierci mógłbyś się skupić. A Jeremiasz Mucha słuchał i gdy Jadzia zaplatała się, zadawał dokładnie takie pytania, jakie były potrzebne, by naprowadzić ją na zgubiony trop; podejmowała go szybko i pędziła dalej jak pies myśliwski, aż czasem brakowało jej tchu i musieli przerwać, by przekąsić gofra czy chociaż napić się wody zdrojowej. Jadzia nie miała dobrej pamięci i nieraz myliła fakty, daty, nazwiska, oj, chyba coś mi się po-kićkało, panie Jeremiaszu, mówiła i smutniała w obawie, że ten miły homoniewiadomo pójdzie sobie znudzony, a ona znów zostanie sama. Ale Jeremiasz zbyt dużo zaznał w życiu samotności i odrzucenia, by z tak błahego powodu jak pokićkane fakty czy nazwiska rezygnować z tej

niezwykłej przyjaciółki, która mu się trafiła na stare lata. Pani Jadwigo, mówił, nie ma mowy o żadnym pokić-

kaniu, stanęliśmy na przyjeździe Dominiki do Londynu, ach, Londyn, Londyn, co za piękne miasto, Tamiza, pa-

łac Buckingham, Harrods. ja nie byłam, smutniała znów Jadzia. ja też nie, przyznawał Jeremiasz Mucha i Jadzia odzyskiwała animusz.

I Dominika zamieszkała w tym Londynie, panie Jeremiaszu, u Greczynki, proszę sobie wyobrazić. Zdjęcia 463

przysłała i nie powiem, miło wygląda kobieta, czysto; w sobie i przy kości, ale twarz szczupła, jakby nie od kompletu. Apostolea się nazywa, dziwnie, Grecy już takie dziwne imiona sobie dają, co poradzić. Opowiada Jadzia, opowiadała Dominika, opowiadała Apostolea, że na Cyprze się urodziła, straciła rodziców i zajęła się nią rodzina ojca. jak to sierota, lekko nie miała, do roboty ją od małego gonili i wie pan, panie Jeremiaszu, kiedy się bała czy smutno jej było, chowała się w takim wielkim glinianym dzbanie, w którym Grecy oliwę albo wino przechowują. Widział pan kiedy taki dzban? ja też nie.

Ponoć pęknięty był, leżał w ogrodzie, a ona tam siedziała i patrzyła na morze; panie Jeremiaszu, jak o tym myślę, to aż mnie coś za serce chwyta, bo ja też lekkiego dzieciństwa nie miałam. Apostolea co rusz woła Dominikę do kuchni i ją karmi, panie Jeremiaszu, chociaż wyżywienia w cenie pokoju nie ma; zdarzają się jeszcze porządni ludzie na tym świecie, trzeba przyznać. jak Dominika przyjeżdża na Piaskowa Górę, robi dla mnie potrawy, których nauczyła ją Apostolea, i mówi, jedz, mamó, jedz, spróbuj czegoś nowego, a ja ci poopowiadam o Londynie. Tak samo ją karmi Apostolea i opowiada, chociaż ledwo angielskiego się nauczyła, tak jak ja talentu do języków nie ma najwyraźniej. W sklepie się Apostolea dogada, ale jak kiedyś z jakiegoś urzędu zadzwonili, to Dominikę zawołała, żeby jej tłumaczyła z angielskiego na angielski. Dominika, o, ona to ma łeb do języków, panie Jeremiaszu, po ojcu nieboszczyku, szprecha, parlefran-si i po angielsku jak Angielka, bo amerykański angielski to strasznie wulgarny, gdyby pan słyszał, ale ta Greczynka to tyle, co Kali kochać. Ale żeby życie opowiedzieć, 464

wielu słów nie trzeba, panie Jeremiaszu, tyle co urodzić się, kochać, umrzeć, i szlus. Że filozofka ze mnie? Panie Jeremiaszu, pan jak coś powie. I mówi ta Greczynka do Dominiki, chuda jesteś, chodź, świeżo ugotowane, siadaj, jedz; no i podaje jej takie porcje jak dla chłopca z pola. jedz, jedz, mówi tylko i jak Dominika przestaje jeść, Apostolea przestaje opowiadać, a Dominika lubi słuchać, więc je i, panie Jeremiaszu, pięć kilo już jej przybyło na tym greckim jedzeniu, i dobrze, chłop nie pies, na kości nie polecą. A dziwne rzeczy gotuje ta Apostolea, panie Jeremiaszu. jakieś cukinie faszerowane, papryki, wszystko w oliwie z oliwek pływa, nawet da się zjeść.

Próbował pan? Na statku? Pan to miał życie ciekawe, panie Jeremiaszu, podróże, egzotyka, a ja raz do Karpacza pojechałam i od razu złapałam salmonellę, a jak się kiedyś w Warsie flaczkami zatrulałam, Matko Boska. Dominika Apostolei jedną z córek przypomina, Afrodyti, to po naszymu Afrodyta, w katastrofie lotniczej z mężem zginęła, taka tragedia, panie Jeremiaszu, ja to do samolotu za żadne skarby świata nie wsiądę. Inne dzieci Apostolei rozjechały się po świecie, a dwoje jeszcze

w maleńkości umarło. Opowiada Jadzia, opowiadała Dominika, opowiadała Apostolea, że jak miała piętnaście lat, wysłali ją z Cypru do Londynu, żeby kuzyna dalekiego poślubiła, starszego o ponad dwadzieścia lat. Na statek wsadzili z jedną walizką i kartką na szyi, w razie gdyby się zgubiła. Wyobraża pan sobie, panie Jeremiaszu, tak z kimś nieznanym? Ze swoim czasem trudno, a co dopiero z nieznanym. A Apostolea nawet zdjęcia nie widziała, kto by się tam przejmował, czy sierocie wybrany mąż się spodoba, czy nie. Podobno porządny był człowiek z nie-465

go, zobaczył, że to chuchro, dzieciak jeszcze, i chociaż ślub zaraz wzięli, obiecał, że do szesnastego roku życia nic z tych rzeczy. A potem przyszły dzieci, panie Jeremiaszu, jedenaścioro w sumie, siedmiu chłopców i cztery dziewczynki, żeby tyle dzieci mieć, panie Jeremiaszu, to ja nie wiem. Mąż Apostolei pracował na budowie, aż się własnej firmy remontowej dorobił, a Apostolea pracować nie musiała, poza tym cały czas była w ciąży. ja tak sobie ostatnio pomyślałam, panie Jeremiaszu, mówi się, że kobieta, jak w domu siedzi, to nie pracuje, ale ten, co tak mówi, to chyba nie wie, ile w domu jest roboty.

No, ale nie będę tu panu politykować. Gdzie to ja by-

łam? No więc coraz lepiej im się powodziło w tym Londynie, cieszyła się Apostolea, że na dobrego człowieka trafiła, bo zamrażarkę jej kupił już w dwa lata po ślubie i zawsze pełna była kurczaków, a w dzieciństwie na Cyprze takiego kurczaka to tylko na święta mogła skosztować, bieda tam była jak u nas w stanie wojennym. Muszę Dominikę zapytać, jak Grecy kurczaki jedzą, pieczone czy może w potrawce? I kiedy w końcu zamieszkali we własnym domu, opowiada Jadzia, opowiadała Dominika, opowiadała Apostolea, to pożar wybuchł i dwoje dzieci, dwoje dzieci malutkich, panie Jeremiaszu, najmłodszych, się spaliło, bo spały w kołyskach u góry. Apostolea tylko rękę miała poparzoną, a jej mąż połowę twarzy i głowę, wszystkie włosy mu się spaliły i łysy był, panie Jeremiaszu, już do śmierci. Do tego na tej poparzonej połowie twarzy zarost stracił i odtąd nosił tylko połowę wąsów. Apostolea pokazała Dominice groby tych dzieci, a tam, panie Jeremiaszu, zabawki, laleczki, czekoladki; aż się serce ściska, zwłaszcza jak się też grób dziecka 466

ma. Najdziwniejsze jest, że Apostolea za Cyprem cią-

gle tęskni, powiada, jakie tam morze, jakie niebo, a ten ogród, w którym chowała się we dzbanie, to dla niej najpiękniejszy z ogrodów. ja też kiedyś miałam ogród, panie Jeremiaszu, jakie tam georginie kwitły, prawie czarne i wielkie jak głowa dziecka. Opowiada Jadzia, opowiadała Dominika, że te z ośmiorga dzieci, co w Londynie zostały, przychodzą do Apostolei i śmieją się, mamó, a gdzie ty taką siostrę nam znalazłaś, dlaczego ją ukrywałaś, po grecku trzeba nauczyć ją mówić. Zaraz, jak to było, a, już wiem, kalimera, tak ładnie brzmi, kalimera, to dzień dobry, panie Jeremiaszu, po ichniemu, kalimera, prawda, że ładnie? Opowiada Jadzia, opowiadała Dominika, opowiadała Apostolea, że ma dwadzieścioro ośmiorgo wnuków, w tym ile dziewczynek, a ile chłop-ców, nie da się spamiętać, ale w ogóle, czy w ogóle, panie Jeremiaszu, sobie pan coś takiego wyobraża? Myśli pan, panie Jeremiaszu, że człowiek ma w sobie jakiś zapas miłości i musi ją dzielić, na każdego wnuka po jednej dwudziestej ósmej, czy jak wnuków przyrasta, to miłość też rośnie i jest jej coraz więcej? Aż mi z samego myślenia w gardle zaschło, panie Jeremiaszu; to może pozwoli pani, pani Jadwigo, że goferka zaproponuję z polewą i małą czarną w Zdrojowej?

Regularność spotkań w Szczawnie Zdroju sprawiała Jadzi przyjemność i samą siebie przekonywała,

że gdzie ona miałaby tam czas zajmować się wnukami jak inne, kiedy tyle ma zajęć; przetwory, pisanie listów, porządkowanie przepisów, gromadzenie rzeczy typu pościel, ręczniki, ściereczki z promocji i pogawędki w Szczawnie z Jeremiaszem Muchą. Gdy spotykała pod Babędem 467 znajome z wnukami tak bardzo przypominającymi swoich rodziców, których pamiętała jako dzieci chodzące z Dominiką do szkoły, Jadzia czuła mieszaninę zazdrości i niechęci, bo wprawdzie straciła szansę na ten zwyk-

ły i znany los, ale już poczuła smak czegoś innego.

Ach, gdzie ja bym tam miała czas, machała ręką, właśnie do Szczawna się wybieram, mówiła i wkrótce na Piaskowej Górze zaczęto podejrzewać, że Jadzia Chmura kogoś ma. Ona chyba ma kogoś, proszę panią, pierwsza na głos wyraziła podejrzenie Lepka; ciekawo do tego Szczawna co niedziela, a wyfiokowana jak nigdy, wypachniona. Na dole w drogerii widziałam, jak perfumę kupowała, psika-

ła się, próbowała, nie wyglądało, żeby dla siebie samej tak się psikała. I jeszcze si aty pełne nie wiadomo czego, pewnie żarcie jakiemuś chłopu nosi, żeby się wkupić w łaski. Może wdowiec jaki z domem? Rozwodnik nie-oskubany? Bo z żonatym toby się chyba nie puściła, chociaż, kto wie, dziś niczego nie można być pewnym. Lepka sprawnym okiem namierzyła, że Jadzia nosi w torbach jedzenie; Jadzia Chmura, podobnie jak Apostolea, знаła tylko jeden język uczuć, i było to karmienie, miłość w postaci plastrów domowego pasztetu czy placka z jagoda-mi, pokrojonego na zgrabne kwadraciki, nadawała się do rozdawania, w przeciwieństwie do tej bezkształtnej mag-my, którą czuła w sercu. Jadzia była karmicielką, szafar-ką kanapek i pomidorków w podróży; jeśli wspominała męża, Stefana, to przede wszystkim dlatego, że jak nikt inny umiał być karmiony i nigdy nie miał dość, nie to co Dominika, Tadek-niejadek. Niekiedy Jadzia nosiła obiad do sąsiadów, gdzie po nagłym wyjeździe Krysi Śledź cały ustanowiony przez nią domowy porządek rozpadł się 468

wraz ze zjedzeniem przez męża, córkę i wnuczkę pozo-stawionych dla nich zapasów. Zdzisio Śledź oczekiwał, że rolę matki przejmie córka, ale Iwona nie miała najmniejszego zamiaru stać nad garami; nie mam najmniejszego zamiaru stać nad garami, oświadczyła i zadzwoniła do KFC, bo mała Pati najbardziej lubiła frytki i hamburgery.

Skoro tak, Zdzisio zaczął jeść frytki i hamburgery, wołał, Iwonka, a zamów obiad! jakby zamówienie trzech zestawów też przekraczało jego męskie możliwości. Nieraz sąsiad skarżył się Jadzi, że zgaga go po tych bułach z kot-letem pali, beka mu się i żyć nie chce, zjadłby kartofel-ków ze sosikiem, więc zaniósł raz i drugi świeżej zupy, pierogów, gorących ziemniaków z koperkiem i gulaszem.

W mieszkanku sąsiadów walały się zabawki, ubrania Iwony i Pati, papierki od słodczy i puste opakowania po jedzeniu na wyngs, a zbite kulki kurzu tańczyły po kątach i Jadzia poczuła, że w tym smutnym domu trzeba czegoś o wiele więcej, niż ona może dać, i impet dawania nakie-rowała na Jeremiasza Muchę.

Co dwa, trzy miesiące Jadzia dołączała do grupy emerytów, którą stary aktor oprowadzał po Wałbrzychu i okolicach, opowiadając swoim głosem odtwórcy trzeciorzędnych ról w dramatach Fredry o tajemnicach tych pięknych okolic. Na koniec zwykle robiono sobie piknik, podczas którego można było ponarzekać na bo-łące nogi, polityków i pogodę albo, przy lepszym nastro-ju, wspominać dawne czasy, gdy Wałbrzych na węglu stał, w telewizji się o nim mówiło, a jak

górnicy ruszali w pochodzie pierwszomajowym, to aż ciarki przechodziły. Oj były to czasy! Jadzia piekła bułeczki drożdżowe z konfitura różaną, piękne i okrągłe, tak wypieszczone, 469

jakby każda była piersią, a nie bułeczką, i częstowała wszystkich, ale tak naprawdę karmiła Jeremiasza Mu-chę, bo odkryła w nim głód podobny do tego, który za-bił jej męża, Stefana. Jadzia mówiła o Jeremiaszu Musze, to dobry człowiek, i nie można odmówić słuszności jej słowom, a fakt, kiedyś tak kłujący w oczy, iż do dobroci dołączone było homoniewiadomo, oswoiła w sposób prosty i skuteczny. Skoro Jeremiasza pociągają mężczyź-

ni, a do tego zna się na kolorach, kąpie co dzień, mówi, ależ to po prostu prześliczne, i pachnie jak perfumeria, jest jak kobieta, a więc jest prawie-taki-sam jak ona, jadzia. Kto by drobnymi różnicami się przejmował, zwłaszcza po sześćdziesiątce. Siadywali więc nadal na swojej ławeczce w parku zdrojowym, Jeremiasz Mucha pytał, i co tam nowego u panny Dominiki, a Jadzia nabierała powietrza i opowiadała.

Panie Jeremiaszu, ona zawsze fiksum-dyrdum była i fiu-bździu, czekam tylko, co tym razem wymyśli, co nabroi, nieraz to już myślałam, że strzelę w kalendarz przez te jej fiksumdyrdowanie. Przed wypadkiem, panie Jeremiaszu, nic, tylko matematyka, i nawet się martwi-

łam, bo to bardziej dla chłopców, gdzie tam dziewczyna do matematyki, to jak baba hydraulik czy chirurg na ten przykład. Ale był w szkole taki jeden mądrała i mówił, co za umysł, proszę panią, ona Nobla kiedyś dostanie.

Po wypadku, panie Jeremiaszu, jej minęło, jakby przez dziurę w głowie, co ją miała, uleciała cała ta matematyka. I powiem panu, panie Jeremiaszu, że pomyślałam, a może to na dobre wyjdzie, może jakiś zawód porząd-ny zdobędzie, bo te Noble patykiem po wodzie pisane, a taki technik dentystyczny na ten przykład robotę 470

zawsze mieć będzie. Ale gdzie tam! Od męża Grażyn-ki, co to pan go poznał, aparat fotograficzny dostała, ale jaki, że do ręki bałam się wziąć, bo ciężkie pudło, a przycisków różnych ile, nie wiadomo, co do włączania, co do wyłączenia. ja to, panie Jeremiaszu, do techniki nigdy głowy nie miałam, oj nie, komputery, aparaty, wideła nie wideła, to nie dla mnie, nawet jak się pilota do telewizora obsługuje, najpierw na kartce mi Dominika napisała. A ona jak zaczęła pstrykać tym aparatem, to przestać nie mogła, i żeby to normalne zdjęcia robiła jak na imieninach, komunii czy widoczki jakies, kwiatki, to nie. Sam pan widział, bo co przyśle, to panu pokazuję.

Panie Jeremiaszu, najpierw to były jakieś paprochy, śmieci, ściany popękane, Matko Boska, uszy osobno, paznokcie brudne, zmarszczki, włosy w nosie, czasem nie wiedziałam nawet co, przyglądam się wte i wewte, rów nie rów, a tu, Matko Boska, za przeproszeniem, przedzia-

łek w czarnej dupie. A najgorsze, panie Jeremiaszu, że jakoś wzrok przyciągało. Sama nie wiem czemu. Potem cali ludzie się zaczęli powoli wyłaniać, ale jacy, panie je-remiaszu, ja myślę, że jak zdjęcia robić, to ładnym, młodym, uśmiechniętym, a u niej gęby stare, pomarszczo-ne, babka jakaś się szczyrzy jednym zębem jak głupi do sera, chłop wielki, czarny leży pod murem w jednym bu-cie, karlica ubrana jak spod, za przeproszeniem, latarni.

A jak własnej babce zrobiła zdjęcie tuż przed śmiercią, to ja nie wiem, panie Jeremiaszu, ale co spojrzę na tę fotografię, to się wzdygam, bo jakby duszę starej Haliny Chmury sfotografowała. Tylko mi, panie Jeremiaszu, własnej matce, jeszcze normalnego zdjęcia nie zrobi-

ła. Moje włosy robiła, b czy, każde z osobna, uszy, usta, 471

panie Jeremiaszu, paznokcie, stopy nawet i pępek, ale całej jeszcze nigdy; nie wychodzisz mi, mamó, mówi.

Że piękne są jej zdjęcia? No to chyba trzeba się znać, panie Jeremiaszu, na sztuce, czy coś. Dla mnie one są jak te filmy, co czasem puszczają nocą, takie ciężkie, psychologiczne, że człowiek nie odsapnie, nie zapomni się, tylko się jeszcze umęczy, umorduje, a potem wracają do głowy i znów się męczy. A po co ja to panu dziś opowiadam? Bo niech pan sobie wyobrazi, panie Jeremiaszu, przyjaciółka Dominiki, Małgosia, może pan pamięta, doktora Lipki ze Szczawienka córka, co w Londynie ginekologiem jest; ale o czym ja, aha, ta Małgosia zdjęcia Dominiki na jakiś konkurs ważny wysłała i wie pan co, wygrała Dominika. jakaś kobieta, fotogratka, co nawet zdjęcia królowej robiła i różnych aktorów, co to nazwisk nie pamiętam, pan sobie wyobrazi, była w jury i mówi, dawajcie tu tą Chmurę, a jak śmiesznie oni tam Chmura mówią po angielsku, panie Jeremiaszu, Kmara im zamiast Chmury wychodzi. No i dostała nagrodę, stypendium, jakiś kurs za darmo na uniwersytecie i gazeta jej zaproponowała pracę, od razu mi nazwa z głowy wyleciała, bo po angielsku, więc nie mówię, żeby nie pokić-

kać, ale to jakaś ważna gazeta, jak u nas Wyborcza. Za granicę ją z tej gazety wysyłają, za wszystko płacą i tylko zdjęcia ma robić, wyobraża pan sobie, panie Jeremiaszu?

Za dwa miesiące Dominika przyjedzie, już się nie mogę doczekać, to potem panu dopiero poopowiadam, ale co ona tam pobędzie, wpadnie, namąci i wypadnie. Ciągłe namawia mnie, mamó, przyjedź do mnie, mamó, proszę, przyjedź, ale ja jakoś, panie Jeremiaszu, nie bardzo jestem do podróżowania za granicę. Mówiłam panu, jak 472

jeszcze za komuny do Karpacza pojechałam i salmonellę złapałam?

Jadzia wolała te posiedzenia na ławeczce w Szczawnie od wypraw krajoznawczych z grupą emerytów, bo jakoś nigdy nie wciągnęło jej wędrowanie dla samego wędrowania, i mimo iż bardzo starała się zapamiętać to, co opowiadał o różnych miejscach Jeremiasz Mucha, zapominała i kićkało jej się, kto zakopał skarb Hitlera i gdzie utopiła się księżniczka Daisy, o ile nie było odwrotnie. jednak kiedy Jeremiasz Mucha zaplanował

wycieczkę do Zagórza, wioski koło Wałbrzycha, Jadzia zdecydowała się jechać i poszła na Manhattan, by ku-pić sobie nowe wygodne buty. Kiedyś, trzydzieści parę lat temu, była w Zagórze ze Stefanem, on nadskakujący i niezdarnie czuły, głodny, ona opuchnięta, w ciąży, która właśnie zaczynała jej ciążyć. Ona szukała cienia, Stefan podskakiwał na słońcu, wpadał do wody i rozbryzgiwał

srebrzyste fontanny, chlapał, płynąc raz na brzuchu, raz na plecach, a potem otrzepywał się jak pies i rzucał na prowiant; Jadzia patrzyła na niego i powtarzała w my-

śli, mąż, żona, to mój mąż, jestem żoną, Jadzią Chmurą, to moje życie. Potem, w ciszy wczesnego popołudnia, które opadło na Zagórze jak słodka zasłona, leżeli oboje na kocu pośród tańczących słonecznych plamek i Jadzia nagle poczuła się dobrze, popatrzyła na śpiącego u jej boku chudego mężczyznę o włosach w kolorze ziemniaczanej skórki i pogłaskała go po głowie w nadziei, że ta świetlista chwila zapowiada coś dobrego. W smutnych latach, które przyszły potem, ten moment wyłowiony z czasu jak złota rybka przypominał jej się jako dowód ewidentnego oszustwa losu, który nie dotrzymał danej 473

obietnicy. Dopiero niedawno, pomiędzy kolejnym telefonem od Dominiki a spotkaniem z Jeremiaszem Muchą na ławeczce w Szczawnie, Jadzia pomyślała, że może jednak nie do końca została nabita w butelkę, bo takie chwile to skarby, które jak ruskie złoto w bielizniarce trzyma się na czarnej godzinę.

Zaplanowana wycieczka do Zagórze długo nie dochodziła do skutku z powodu pogody. Żabami rzuca, leje dzień i noc, pieruny walą, lamentowała Jadzia do Dominiki; całe Szczawienko zalane, potopimy się tu jak szczury, owoce pogniją i jak ja przetwory porobię? Leje jak na twoją komunię, pamiętasz? tak ci kieckę zapaćkało, fryzurę rozpirzyło, że aż się popłakałam, ale teraz, teraz to jakby sto tamtych burz do kupy wziętych. Tego lata przez kilka tygodni ściany wody zwały się na kotłinę wałbrzyską i spływały po zboczach gór, ziemia była tak namiękła, że zapadały się w nią stopy i grzęzły samochody; zdarzało się coraz częściej, że ktoś zostawił swojego fiata na podwórzu kamienicy, a rano patrzy, tylko dach wystaje z błota, a na dachu siedzi zmoknięty kot i drze się wniebogłose albo śpi jakiś pijaczek. Na pastwiskach wokół miasta krowy stały po brzuchy w błocie i ledwo było je widać z przerośniętej, jadowicie zielonej trawy i tropikalnych kwiatów, a w podwałbrzyskich Dziećmoro-wicach strumyk, zamieniony w rwącą rzekę, podmył stary niemiecki cmentarz i ludzie żegnali się, widząc, jak przez wieś płyną trupy protestantów z rękoma skrzyżowanymi na piersiach jak nietoperze skrzydła, i prują na zachód.

Podmyte płyty chodnikowe na Piaskowej Górze bryzgały błotem, gdy na nie stąpnęła nieostrożna gospodyni wracająca z Manhattanu, dzieci wpadały w kałuże tak głą-

474

bokie, że groziły utonięciem, i wkrótce co ostrożniejsze matki nie wypuszczały pociech z domu bez dmuchanych rękawków do pływania. Rynny zatykały się i zniecka rzygały spienionymi potokami śmieci, liści i zdechłych go-

łębi, odpadał tynk z namiękłych ścian domów, a w mieszkaniach wyrastały nieznanne gatunki grzybów i świeciły w ciemnościach. Którejś nocy podczas ulewy, która trwa-

ła bez przerwy od tygodnia, prawy róg Babela zapadł się na ponad metr, miękko jak w masło, i ludziom wszystkie kryształki pospadały z meblościanek, natłukło się, nanisz-czyło, a Lepkiej mało nie zabiła walizka z ozdobami cho-inkowymi, która zsunęła się z szafy. Starsze osoby chodziły ostrożnie, badając laskami grunt przed sobą, bo po chodnikach płynęły brudne strumienie o nieznannej głębokości, i nikt nie wychodził z domu bez foliowego płaszcza z kapturem, których produkcję rozpoczął od razu jakiś łebski następca wuja Kazimierza; w miarę jak lało, posze-rzał asortyment, wcięte dla kobiet, męskie dla mężczyzn, różowe dla dziewczynek, a niebieskie dla chłopców, plus w promocji

dla niskoskanalizowanych piesków. Widzia-na zlotu ptaka Piaskowa Góra wyglądała jak obca planeta zamieszkaana przez stworzenia o połyskliwej skórze w pastelowych kolorach; Matko Boska, narzekała jadzia, co sobie włosy nakręcę, zalakieruję, to mi się znów siano robi, i wyglądam jak baleron w tym foliowcu, co mnie podkusiło, żeby różowy kupić. W telewizji oglądała zalane Kłodzko i Wrocław, patrzyła na wodę przelewającą się przez zapory worków z piaskiem, stojące pod wodą wioski, pola i gniewnych albo zrozpaczonych ludzi, a w po-

łowie ulubionego serialu nagle wyłączali prąd i Piaskowa Góra tonęła w ciemnościach; przez szpary w wielkiej pły-475

cie woda wsączała się do mieszkań. Grzyby rosły nie tylko na ścianach; dziwne fosforyzujące kapelusze wyrasta-

ły pod każdym drzewkiem, monstrualne huby wspinały się po pniach i próbowały pożywić się nawet na słupach telegraficznych i latarniach, opieńkopodobne chudziny na pajęczych nóżkach wykazywały upór i wytrzymałość, obrastając zasrane kwietniki pod domami, a na dachu Babela wyrosły grzybki halucynogenne i pierwszy narko-man, który tam wlaźł, by się z tego deszczu i rozpaczy rzucić w dół, pomyślał, że już się rzucił i jest w raj. Gdy przyłożyło się ucho do ziemi, słychać było chlupot, bo woda przelewała się przez chodniki nieczynnych kopalń i szalała w czarnych dziurach szybów, wzbierała i burzy-

ła się, porywała porzucone w ciemności górnicze maszyny, targała resztkami torowisk i niosła je ze sobą; było jej coraz więcej i gdzieniegdzie przez szpary w ziemi, w zakamarkach piwnic wytryskiwały czarne gejzery, pod Piaskowa Górą rozlewało się podziemne morze czarne, w którym duchy polskich i niemieckich górników waliły w ściany, aż echo niosło.

Gdy w końcu przyszedł pierwszy, a potem drugi słoneczny dzień, ludzie obsiedli ławki, wybrali się na podtopione działki na Wzgórzu Gedymina, popędzili do parków, a grupa emerytów pod wodzą Jeremiasza Muchy ruszyła do Zagórza; teraz albo nigdy, pani Jadwigo, mobilizował ją stary aktor. Była ich tylko szóstka, innych zniechęciła możliwość kolejnej burzy zapowiadanej w telewizji, za to do pary byli, Jadzia i Jeremiasz, pani i pan Ćwiek, pani Ola, bibliotekarka, i Jerzy, inżynier z kopalni, który teraz miał budkę z bielizną damską na Manhattanie; inżynier zabrał suczkę Perelkę, państwo 476

Ćwiek pieska Areska, oba egzemplarze rasy kundel polski, i też wyszło do pary. Po wymianie licznych uprzejmości, kto z tyłu, kto z przodu, upchali się do skody in-

żyniera, spokojna głowa, panie inżynierze, powiedział

pan Ćwiek, jakeśmy malucha mieli, to nas dwoje, dzie-ciska i babcia się wepchli i na wesele aż pod Lublin śmy pojechali, nie, mamuśka? klepnął w udo panią Ćwiek; a jak, tatusiek, zgodziła się małżonka, i ruszyli. Zagórze, malutka miejscowość u stóp góry Chojna, była atrakcją turystyczną z powodu zamku Grodno wzniesionego na rzeczonyj górze, jeziora i ogromnej kamiennej zapory poniemieckiej. Kiedyś działał tu ośrodek wczasów pracowniczych, ale teraz porzucone domki kempingowe popadały w ruinę, a te najbliższej wody wykupywali na własność okoliczni prominenci; szło nowe, jeden domek elegancko plastikowym sidingiem obity, inny zdobny w taras z tralkami. W

okolicy Zagórza pojawiały się pierwsze gospodarstwa agroturystyczne oferujące pokoje, kuchnię domową, a wyciągnięte ze strychów i komó-

rek drewniane wozy przerobione na kwietniki czy same koła od wozu zawieszane na ścianach miały dodawać uroku i symbolizować prostotę wiejskiego życia. Gęste mieszane lasy schodziły aż do lustra wody i przeglądały się w nim tak, że wydawało się, jakby ryby pływały ponad wierzchołkami drzew. Brzegi spięte były wiszącym mostem, który zakolysał się pod stopami emerytów, i panie przesadnie okazywały lęk, a panowie przesadnie manifestowali odwagę i męskie poczucie humoru; rzę-

dem, najpierw inżynier, potem pan Ćwiek weterynarz, Jeremiasz Mucha pomiędzy panami i paniami, w końcu panie, i tak przeszli na drugą stronę wody.

477

Rozłożyli folię na mokrym jeszcze piasku, na to ko-cyki, usiedli; świeciło słońce i dzień wydawał się prawie tak piękny jak tamten, który Jadzia pamiętała sprzed lat, było kurczę pieczone, ogóreczki małosolne, kanapki i placek z wiśniami, po piwku, dla kierowcy pół. Jadzia wdała się z Modestą Ćwiek, krawcową, w pogawędkę o modzie; tyłki na wierzchu, pani Modesto, żadnego wstydu, subtelności; racja, pani Jadziu, pani powiem, za komuny to dziewczyny z byle czego umiały się ubrać, pieluszki pofarbowwały, męskie podkoszulki na lewo wywróciły, tu, mówiły, pani Modziu, pani mi falbanę przyszyje, tu gumkę wciągnie, przymarszczy, i wyglądały, pani Jadziu, wyglądały. Lepiej niż z katalogu mody "Otto"! Panowie poruszyli kwestię inżynierii mostu wiszącego, którego byle nie rozhuśtywać, niejedno przetrzyma, psy zaprzyjaźniły się i powąchały, a bibliotekarka czytała książkę Olgi Tokarczuk i wzdychała, bo zaczynał jej się podobać inżynier Jerzy; ach, z takim panem w domu górskim życie wieść sobie ciekawe, raz daytime, raz nocne. Szum lasu, miła rozmowa, pluski skaczących ryb, jak miło, po-myślała Jadzia. I Jeremiaszowi placek najwyraźniej smakuje; jak się w niedzielę w Szczawnie spotkają, musi mu opowiedzieć, że Dominika tego Greka wałbrzyskiego, Dimitriego, co się z nim w szkole przyjaźniła, znów spotkała, co za niezwykle przypadek, i na jakąś wyspę z nim wyjeżdża. Wie pan, panie Jeremiaszu, ten Grek potem listy do niej pisał, pan sobie wyobrazi, opowie mu Jadzia, i co za historia, panie Jeremiaszu, co za historia, wszystkie ze skrzynki Józek Szygar zwędził. Znaczki odklejał i sprzedawał, pod światło patrzył, czy w środku nie ma pieniędzy, i chował do szuflady nieotwarte. Jak umarł

478

w zeszłym miesiącu. jego żona mi przyniosła, mówi, bardzo przepraszam, pani patrzy, pani Chmuro, jak to pijanica zachomikował. Nie mówiłam Dominice, niespodziankę jej tymi listami zrobię, rozmyślała Jadzia i wachlowała się gazetą; ale o czym ja, aha, jak ta wyspa się nazywa, co na nią jadą, Matko Boska, tak pamięta-

łam, tak pamiętałam, żeby móc powtórzyć, i znów mi się pokićkało, coś od ciasta karpatka, uch, duchota. Duchota, na głos powiedziała Modesta Ćwiek; Jadzia zdjęła apaszkę, pan inżynier powachlował się gazetą; duchota, zgodził się i dodał, że wzrasta wilgotność powietrza.

A co te ryby tak skaczą i skaczą, zapytał nagle pan Ćwiek, weterynarz. A nie powinny? zaniepokoiła się Jadzia: ano nie bardzo, odparł pan Ćwiek, żeby tak skakać, to nie bardzo. Popatrzyli na jezioro,

nad którego powierzchnią co chwilę pojawiał się srebrzysty błysk, drobne fale coraz szybciej uderzały o brzeg, szum lasu zamilkł i w powietrzu coś zawisło. Coś wisi w powietrzu, cichutko powiedziała Jadzia, jakby bała się, że jak głośniej powie, co wisi, spadnie. Zawył Aresik, zapiszczała cienko Pereł-

ka; coś wisi w powietrzu, pani Jadwigo, Jeremiasz Mucha rzekł i wtedy rąbnęło! jak rąbło, Matko Boska, przeżegnała się Modesta Ćwiek, inżynier zaczął coś o wyładowaniach elektrycznych, ale zagłuszył go następny piorun, błyskawica wyskoczyła skądś i wbiła się nieopodal, aż zadrżała ziemia. Niebo stało się czarne, jakby ktoś nalał

w nie atramentu, woda szerniała, bo niebo nakłute następną błyskawicą pękło i wylało się do niej smolistym potokiem ulewy. Do samochodu! dowództwo objął in-

żynier Jerzy, i przebiegli grzbietem zapory, w którą waliły fale wody, w dół ścieżką, gdzie z drugiej strony tamy 479

zaparkowali skodę. To nie był deszcz, to jakby świat odwrócił się do góry nogami i strząsał morza i oceany, już po kolana brodzili, pieskiem płynęły psy, nie umiem pływać, jęknęła Jadzia. A kto umi? Modesta Ćwiek zasapała, bibliotekarkę Olę ścięła z nóg fala wody, która nie wiadomo, czy spadła z nieba, czy spłynęła z gór; inżynier Jerzy ustawił ją do pionu męsko. Jacyś inni ludzie biegli, potykając się i wrzeszcząc, że potop, że tama puści, uciekajmy, zahuczało, jakby coś wielkiego chciało ruszyć z miejsca; ratuj się, kto może! Dopadli samochodu, stał

do połowy kół w wodzie, inżynier odpalił, ruszyli; ruszyliśmy, ucieszyła się Jadzia, po stu metrach parsknęło, zgasło; stoimy, zauważyła Modesta Ćwiek. Za nimi tama w gęstniejącej ciemności jak czarna fala tsunami, rąbnęło, zadrżała, przebrała się miarka; Matko Boska, żeby nie pękła, przeżegnała się Jadzia. Nie pęknie, uspokoił

ją inżynier, to solidna niemiecka robota, taka tama, pani Jadziu, to postoi do końca świata; wtedy woda ze szczeliny wytrysnęła z sykiem, poszło. I nie poszło bokiem, samochód zatrzęsł się jak na wybojach, płyniemy! krzyknęła żona Ćwiek z mężem Ćwiekiem unisono, powoli skoda inżyniera zaczęła unosić się na falach jak arka.

Zakręciło ich w koło, co wrzasku było, potopimy się!

Matko Boska! odkręciło, płyną, ludzie z dachów do nich machają, zabierzcie nas, zabierzcie, ale wszyscy się nie pomieszczą, lajf is brutal, mówi inżynier po angielsku, and fuli of zasadzka. Płyną przez wioski i lasy, ponad polami, miasteczka mijają podwodne, tylko szyby górnicze wystają nad powierzchnię jak szkielety przedpotopowych zwierząt; potop, prawdziwy potop, wzdycha Jadzia i sama sobie się dziwi, że nie czuje strachu. A to 480

mamy przygodę, pani Jadwigo, rejs mamy najprawdziwszy, będzie pani mogła córce opowiadać a opowiadać, Jeremiasz Mucha też nadrabia miną, chociaż ziemi nie widać na zalanym deszczem horyzoncie. ja, poważną nutę bierze inżynier Jerzy, chciałbym wiedzieć, kto za to zapłaci; ach, panie inżynierze, rozmarza się bibliotekarka, pieniądze szczęścia nie dają.

Nagle jakichś troje, młodych, chudych, do drzwi skody podpływa, państwo samochodem, w okna stukają, zabierzcie nas, proszą, jesteśmy studentami. Inżynier okno odkręcił, widzi, że chudziny, płotki, drobiazg taki, dużo miejsca nie zajmą, ano wchodźcie; jedno Jeremiasz wciągnął za kołnierz, drugie inżynier za włosy, trzecie wgramoliło się samo. Patrza, pierwsze i drugie to dziewczyny i każda zza pazuchy po kocie mokrym wyjmując, dachowce najzwyklejsze, pręgowany i ryży, parskają, kichają. Na wycieczkę się wybrali, w jakiejś chałupie w Zagórze kocięta zobaczyli, takie chude, głodne, do wzięcia były, zlitowały się dziewczyny i wzięły parkę, powiedziało trzecie, i okazało się chłopakiem. Podziak gdzie się to trzecie nie miało, i wylądowało na kolanach u Jeremiasza Muchy; też kotka wziąć chciałem, powiedziało, ale stancji dopiero szukam, bo w Wałbrzychu na filii Politechniki Wrocławskiej inżynierię studiować będę od października. Stancji? z wiktem i opierunkiem? zainteresował się stary aktor, nie zwa-

zając na to, że skoda, ponad miarę obciążona, coraz bardziej nabiera wody, i dyskretnie poprawił fryzurę.

A stancja w Szczawnie Zdroju szanownego pana by interesowała, bo myślałem właśnie, by podnając pokoik od ogrodu z osobnym wejściem? Arka Noego, zaśmiała się 481

bibliotekarka i coś by może więcej powiedziała, bo była czytana, ale skodę pchnęła z tyłu kolejna fala i kobieta wyrznęła głową w okno. Inżynier ramieniem ją otoczył

i jedną ręką jak rajdowiec skodę przez fale prowadzi. jak rajdowiec pan prowadzi, panie inżynierze, no naprawdę, bibliotekarka Ola zyskała w tej podróży guza i nadzieję.

Niestety woda podchodziła im już pod kolana.

Jak ginąć, to z fantazją! Zaśpiewajmy, zaproponował pan Ćwiek, weterynarz, jak ginąć, to z pieśnią na ustach, pan nutę poda, bo pan artysta, zwrócił się do Jeremiasza, i zaśpiewali, hej, sokoły, niech żyje nam górniczy stan, szła dziewczeczka do laseczka, deszcze niespokojne, co było wyjątkowo na miejscu, i na koniec, jeszcze Polska nie zginęła, bo im się wyczerpały pomysły, a to każ-

dy znał, przynajmniej pierwszą zwrotkę. Dał nam przykład Bonaparte, darli się na dziewięć gardeł, nie licząc zwierząt, jak zwyciężać mamy, aż tu nagle zachręściło, zaszurało, szarpnęło i osiedli na jakimś łądzie. Ziemia!

Łąd nie łąd, ziemia nie ziemia, w każdym razie nie toną i kawałek gruntu widać, a właściwie asfaltu, pierwszym odważnym okazał się Aresik, wyszedł, powąchał, siknął, za nim Perełka wyszła, siknęła, potem nastroszone koty i reszta. Gdzie my jesteśmy? Nic nie widać, poczekajmy, aż się przetrze! Usiedli na kawałku ziemi, skupili się i przytulili, żeby było cieplej. Względem tej stancji, to najlepiej przyjść i obejrzeć na własne oczy, kontynuował Jeremiasz Mucha, a student chuchał w zmarznięte dłonie; pokoik osobny, ale łazieneczka, kuchnia wspólne. Ulewa słabła i z jednej strony nieba ukazała się nagle smuga seledynowego światła jak pęknięcie w materiale; światło, panie Jeremiaszu, światło! przytomnie zauważy-482

ła Jadzia. Więcej światła! krzyknął inżynier, bo mu się to z czymś książkowo kojarzyło, a chciał zaimponować bibliotekarce; ach, panie inżynierze. Jak pięknie! wzruszył się student i stary aktor

popatrzył na niego nie mniej wzruszony; pięknie, a zobaczyłby pan, jakie w Szczawnie są słońca wschody i zachody, ucza duchowa dla takiego jak pan estety. W półmroku gęstej mgły zaczęły pojawiać się jakieś kształty na horyzoncie, domy nie domy, góry nie góry; przez seledynową szczelinę przedarł się blask słońca, jakby wylała się lawa, ludzie i zwierzęta patrzyli.

Matko Boska, Piaskowa Góra! Jadzi w końcu udało się dostrzec coś konkretnego. Piaskowa Góra jak w pysk, potwierdził pan Ćwiek, ojczyzna nasza, ziemia! Piaskowa Góra! Piaskowa Góra! Powódź zaniósła ich na Wzgó-

rze Gedymina i osiedli tam, gdzie długo przed upadkiem komunizmu zaczęto budować drogę i nie ukończono za demokracji. Asfalt, na którym utknęła skoda, urywał się na szczycie wzgórza jak pas startowy. Ze Wzgórza Gedymina Piaskową Górę widać było jak na dłoni i jeśli skądś wyglądała ładnie, jak na makiecie osiedla sprzed trzydziestu lat, to stąd. Miasto na wzgórzu, dumnie wieżami w niebo strzelające, jak w jakiejś Toskanii; nagłe słońce, wyszorowane do czysta, osypało się na nie. Pięknie, westchnęła Jadzia.

Woda cofała się z Piaskowej Góry i zabierała ze sobą tony śmieci z piwnic, niosła stare zabawki, zbu-twiałe wersalki, wystane kiedyś w nocnych kolejkach do meblowego, zepsute narty, niezjedzone przetwory, urzą-

dzenia do pędzenia bimbru, szklane banie pełne wina z porzeczek i wiśni, zniszczone buty kupione jeszcze na talony, nieprzeczytane książki, niepotrzebne roczniki 483

gazet, znaczki z napisem przodownik pracy, nieużywane sprzęty kuchenne, stare zlewy schowane na zaś, niedzia-

łające grzejniki, popękane doniczki, spleśniałe ziemniaki i cebule; oczyszczała place zabaw i kwietniki, zapyzia-

łe komory zsypane, zaplute chodniki. Płynęły też żywe stworzenia, cudem uratowane jak oni, kundle, dachowce, mieszańce, jakaś wielka czerwona papuga w klatce wstawionej do miski wrzeszcząca merde!, tchórzo-fretka, dwie kury, cała ławica karpi, babinka w chustce z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej przy piersi jak z tarczą i obok młódka z magnetowidem w objęciach.

Na drzwiach kościoła wyrwanych przez powódź dryfowała grupa rozbitków, w których Jadzia rozpoznała znajomych z pielgrzymki do Częstochowy, ahój! krzyknął do nich pan z wąsem, przeżegnał się, zaintonował, nie rzu-cim ziemi, skąd nasz ród, i wraz ze swoimi kłęczącymi towarzyszkami zniknął w oddali. Głębiej spod ziemi, na której zbudowano Piaskową Górę, na fali czarnej jak wę-

giel wypływały książki pisane gotykiem, wyblakłe land-szafty, płonący znicz Walhalli, całe serwisy z napisem Bavaria, zdjęcia Herty, Jtirgena i Gertrud, skrzynie pełne niemieckiej amunicji, niemieckie czołgi i myśliwce. Koś-

ciotrupy w mundurach SS płynęły kraulem za nimi w szyku bojowym, jeden zabalgotał, heil Hitler, nim porwała go woda; w toczącym się po falach czarnym samochodzie z tamtych czasów, lśniącym

jak nowy, siedział jakiś mężczyzna z wąsikami. Może mi się to wszystko śni, po-myślała Jadzia i nagle ją olśniło.

Wie pan, panie Jeremiaszu, to może nie najlepsza chwila, ale mnie z tego szoku tak jakoś olśniło i przypomniałam sobie o tym leku Kacu, co pan mówił, że szukał

484

Grażynki po wojnie. Moja Dominika w Nowym Jorku pracowała u takiej jednej żydowskiej ciotki naszej, Eulalii Barron, co już nie żyje, mówiłam panu, książki jej czytała, co ona jej się naczytała. Mądra kobieta była, panie Jeremiasz, a ile ona przeżyła, ta ciotka Eulalia. I teraz, panie Jeremiaszu, żebym tylko nie pokićkała, ta Eulalia, co z Krakowa, pan sobie wyobrazi, przez Japonie przed hitlerowcami w wojnę uciekała, знаła jednego Icka Kaca.

Pewna jestem teraz, że przysiąc się mogę, Icek Kac mu było, nie inaczej. W jakimś muzeum się spotykali w Nowym Jorku, wspominali, bo oboje lubili w przeszłości się grzebać, jak moja Dominika, i jak to było, aha, ten Icek Kac ciotce Eulalii zostawił w spadku nocnik Napoleona, zanim się zabił. Bo zabił się, panie Jeremiaszu, ze smutku podobno i beznadziei. A Eulalia Barron ten nocnik od Icka zostawiła Dominice i szczerze mówiąc, myślałam, że coś więcej wart będzie, panie Jeremiaszu. Mówiłam Dominice, daj, odszoruję, wypoleruję, do antykwariatu zaniemiemy, ale nie, do Ameryki ze sobą go wywiozła.

Ale o czym ja, aha, już wiem, Icek Kac. Panie Jeremiaszu, myśli pan, że ten Icek Kac od nocnika Napoleona to ten sam Icek Kac, co wtedy pana o Grażynkę pytał?

XII

W Diafani na wyspie Karpathos jest taka pora dnia, za którą przez trzydzieści lat tęskniła Maria Angelopoulos; słońce zatrzymuje się wówczas tuż nad szczytami gór, jakby się o nie zaczepiło, pęka i rozlewa się płynnym 485

złotem. Kaskady światła spływają z nagich wierzchołków tonących w chmurach, przez sosnowe lasy, pachnące tak, że kręci się w głowie, przez kolczaste zarośla, wiosną za-kwitające na żółto i fioletowo; pod nogami znieruchomia-

łych kóz, dalej w dół, ścieżkami, które od wieków wy-deptywały zwierzęta i ludzie, przez ogródki, w których arbuzy dojrzewają tak wielkie, że w skorupce ukryłoby się dziecko, docierają do małego portu. Miękka fala uderza w ściany starych białych domów, wlewa się przez otwierane właśnie okiennice do wnętrza tonących w mroku, spływa po białych schodach, białych jak kości, jak stopy Matki Boskiej w niedzielę, jak prześcieradła suszące się na wietrze; dalej złote światło słońca schodzi ku wodzie, po jej powierzchni miękko rozpływa się i nie tonie.

To pora, gdy w Diafani kąpią się stare kobiety; powoli wchodzą do wody i zanurzają się do wysokości piersi, tylko niektóre mają kostiumy kąpielowe, inne wchodzą w morze w koszulach i długich bawełnianych pantalo-nach, tak jak robiły to ich matki i babki. Stają blisko siebie i rozmawiają, plotkują i swatają, ich dłonie poruszają się tuż pod powierzchnią wody jak ryby, śmiech

nie się daleko, odbija od wybrzeży bezludnej wysepki Sarii, gdzie żyją tylko pszczoły i foki, i czasem odpoczywają syreny, jak opowiada stary kapitan Manolis, gdy wypije za dużo wina. Kobiety w morzu mówią o córkach, bo tu, w dwóch wioskach odciętych od świata, portowym Diafani i Olymbos zawieszonym na górskiej przełęczy, panuje matriarchat i córki dziedziczą po matkach. Piękny dom, wzdychają nieraz mężczyźni w kafenionie, taki piękny dom tuż przy morzu odziedziczyła moja starsza siostra. Karpatki są niewysokie i ciemnowłose, mocno 486

zbudowane, mają zrosnięte gęste brwi i wąsik jak Fri-da Kahlo: potrafią nosić na głowie ciężary jak kobiety z Afryki, do której stąd jest bliżej niż do Europy, męż-

czyźni nie wyręczają ich przy cięższych pracach. W języku starym jak świat, którym mówią kobiety zanurzone w morzu, językoznawcy z Aten i Salonik rozpoznają do-rycki dialekt, przechowany świetnie jak najśłodszy miód w glinianym dzbanie z wysepki Sarii, gdzie w czasach bizantyjskich produkowano słynną w całym Śródziemno-morzu ceramikę. Kto by się tu przejmował językoznawcami; Foula opowiada właśnie, że jej wnuczka Popi lubi sikać na stojąco jak chłopak, a inne kobiety śmieją się, śmiech rozlewa się po ozłoconej słońcem wodzie, odbijają się w niej chmury, horyzont jest błękitny i czysty; nie ona pierwsza, ta twoja Popi. Nie takie rzeczy potrafiły-

śmy, jak byłyśmy młode!

Za parę dni odbędzie się święto Jana Chrzciciela, jedno z najważniejszych panigiri w roku, cała wioska z objuczonymi osiołkami pójdzie wtedy przez góry do wykutej w skale świątyni na cyplu Vrokunda. Kobiety ubiorą się w tradycyjne stroje, kwieciste ozdobne chusty z dzwoneczkami, haftowane gorsety, szerokie spódnice, buty czerwone na dole, z cholewką w kolorze przypię-czonej skórki; pop poświęci chleby wielkie jak młyńskie koła, upieką parę kozłat i jagniąt, muzycy nastroją instru-menty, po północy zaczną się tańce i będą trwały do po-

łowy następnego dnia. Starsze kobiety pomogą wystroić się i uczesać wypachnionym młodzieńcom, którzy latem przyjeżdżają na Karpathos z różnych stron świata, by spotkać swatane im na odległość dziewczyny. Niektórzy zabiorą stąd do Londynu, Nowego Jorku, na Florydę, do 487

Kanady żony; dzieci tych kobiet nieskorych do uśmiecha-nia się bez powodu, surowych i silnych, z mlekiem wypiją tęsknotę za słońcem, które nigdzie nie świeci tak jak tu, i morzem, jakiego nigdzie indziej nie ma. To piękno budzi jednocześnie radość i melancholię, i gdy nad cyplem Vrokunda wstanie świt, śpiewający mężczyźni jeden po drugim zaczną płakać, rozszlochają się tańczące wokół

stołu Karpatki. Będzie o czym mówić w wietrzne zimowe miesiące, zwłaszcza jeśli swatany córce kuzynki Fouli syn kuzyna Wasilisa, Adonis, zamiast z nią, wyjedzie z turystą, cudzoziemskim cukiernikiem podobnym do Micha-ela Jacksona. Na obchody święta trafi kilkoro turystów, zostaną zaproszeni do stołu, nakarmieni i napojeni, poza tym nikt nie będzie na nich zwracał uwagi, bo sam pomysł, że można by tańczyć i śpiewać dla turystów, wydaje się na cyplu Vrokunda nieprzyzwoity i śmieszny.

Kobiety w morzu mówią o obcych przybyłych w tym roku do Diafani, obgadują garstkę dziwaków, którzy ze wszystkich miejsc na ziemi wybrali właśnie tę wioskę zupełnie pozbawioną turystycznych rozrywek i odludną; niektórzy przyjeżdżają tutaj nawet od dwudziestu lat, uparciuchy, chociaż tu jak

świat światem nikomu obcemu nie sprzedano jeszcze domu i nikt nie zamierza tego robić, co to, to nie. Jedna pisarka z Polski pyta o to co roku! Ale oprócz przybywających każdego lata obcych obcych, są też obcy swoi, nowy gatunek w Diafani; jeszcze nie wiadomo, jak postępować z całą tą zgrają, któ-

ra ściągnęła tu w ślad za rodziną Angelopoulos. Nie tylko stara Foula, spokrewniona z ciociebabcią Foulą, zna drzewo genealogiczne Dimitriego Angelopoulosa i jego rodziny, bo tu wszyscy są spokrewnieni, a wiele kobiet 488

nosi imię Foula. Tego lata jest tu Dimitri ze swoim Tedem, do których w Diafani już się przyzwyczajono; jest z nim też jego nowa towarzyszka, Dominika, która cią-

gle robi zdjęcia; dziś na przykład przez godzinę fotografowała pieczenie chleba we wspólnym piecu przy porcie, aż jej, mówi stara Eugenia, dałam bochenek, bo myśla-

łam, że głodna, a zdjęciem się nie naje. Maria opowiada, jak nauczyła Dominikę łowić ośmiornice, miastowa dziewczyna, trochę za chuda, ale, trzeba przyznać, że pływa jak ryba i rozumie morze. Dwa tygodnie temu do Angelopoulosów przyплыnęła promem z Rodos doktorka, tak, o niej przyjemnie się plotkuje. Wygląda i zachowuje się jak chłopak, ale trzeba przyznać, umiała nastawić złamaną rękę Wasilisa i grosza nie chciała, a przy okazji wyleczyła kota Fouli. Jakby się przyjrzeć, to nawet trochę wygląda na Karpatkę, mocna baba i nie szczyrzy zębów bez powodu. Przydałaby im się taka doktorka, bo to chuchro na blond farbowane, co je z Aten przysła-li, uciekło po trzech miesiącach. Kina nie ma, wszędzie daleko, naśladuje miastową lekarzkę Eugenia, nikt tu za nią płakać nie będzie. Równie przyjemnie się plotkuje o czarnej kobiecie z żółtymi włosami, za której tyłkiem oglądają się wszyscy mężczyźni w kafenionie i doktorka z Londynu; kobiety stojące w morzu chichoczą. Tak, ta Sara to jest przynajmniej kawał baby. Dziś, mówi Foula, która wszystko widzi ze swojego domu w centrum wioski, o świcie razem poszły w góry w stronę zatoki Tristomo, czarna z doktorką, z plecakami. Kobiety stojące w morzu zastanawiają się, czy wrócą tą samą drogą, czy zrobią kółko przez Avlonę, i czy dadzą sobie radę, czy trzeba będzie ich szukać po nieoznakowanych 489

ścieżkach wśród ostów jak tych pięciu przemądrzałych Francuzów w zeszłym roku. Poza tym już od miesiąca siedzi u Dimitriego i Dominiki młody mężczyzna o bla-dej cerze i czarnych włosach, który wieczorami chodzi po głównej ulicy, a dodajmy, że jest tylko jedna ulica, i częstuje wszystkich słodyczami własnej roboty. Torebki z poczęstunkiem rozdaje się tu, by pamiętać zmar-

łego, i na początku nikt nie wiedział, o co temu obcemu chodzi, umarł mu kto, czy co. Foula śmieje się, że widziała, jak gadał z Adonisem, synem kuzyna Wasilisa, który przyjechał na wakacje z San Francisco; jeden wart drugiego! W nowym domu Dimitriego tego lata mieszka jeszcze matka Dominiki, Jadzia, którą stare kobiety z Diafani są skłonne zaakceptować najszybciej, bo po pierwsze jest matką, do tego matką córki, po drugie ma w sobie coś, co sprawia, że czują pokrewieństwo tak bliskie, że wstyd byłoby się go wyprzeć, mimo iż nie rozumieją jej języka. Jadzia pewnie zaraz do nich dołączy w morzu, zawsze przychodzi później i na początku tak wstydziła się rozebrać, że wchodziła do wody owinięta ręcznikiem, a potem rzucała go na brzeg. A przecież cał-

Idem, całkiem z niej baba, mówi Eugenia; nie tylko ty tak sądzisz, śmieje się Foula, kapitan Manolis chyba znalazł

swoją syrenę.

Stary Manolis, zwany kapitanem Manolisern, dziadek bez rodziny, który mieszka w rozpadającym się domu koło kościoła, żyje z łowienia ryb i krewetek, coraz częściej rozmawia z Jadzią i nieraz widziano ich rano na przystani. Rozmawia to może nie najlepsze określenie; stary Manolis opowiada coś po grecku, czyszcząc sieci na swojej małej czerwonej łódce, i czasem tłumaczy Ja-490

dzi w mieszaniu greckiego, niemieckiego i angielskiego, taka łódka to varka; a Jadzia na brzegu powtarza, varka, varka, i odpowiada po polsku, o, Matko Boska, żeby taką łupinką, taką varką w morze wypływać, to trzeba mieć odwagę, panie Manolis. Jeszcze ryby łowić, panie Mariolis. to ja rozumiem, ale te małe różowe robaczki, fuj, tego do ust bym nie wzięła. Matko Boska, ni to zła-pać, ni to nabić na widelec. Pan by lepiej o dom zadbał, że dwa pokoiki odpicował, podnajął turystom, radzi Ma-nolisowi praktyczna Jadzia, ogród panu wysechł, aż żal patrzeć. ja, panie Manolis, kiedyś miałam piękny ogród, co to był za ogród, takiego nawet tu pan nie zobaczy.

Manolis patrzy wtedy na szczupłe kostki Jadzi w skórzanych sandałach i kiwa głową. Jadzia zeszcupiała, a Dominika obciąła jej zniszczone tlenione kosmyki; okazało się, że mysie włosy, skazane przez tyle lat na życie podziemne, ściemniały i niewidoczne dotąd podobieństwo matki i córki zaczyna wychodzić na jaw. Gdy kapitan Manolis mówi, że nie ma już nikogo na świecie, umarli rodzice, syn, umarła żona, Jadzia, używając kilku słów niemieckich, angielskich i wielu dramatycznych gestów, odpowiada, że też nie ma już rodziców ani męża, ale jest w posiadaniu kilku sztuk krewnych w Ameryce; Manolis rozumie, że Jadzia pisze do nich listy i że może przyjadą w odwiedziny do Diafani. Ruth, David, Joshua, powtarza; tak, tak, cieszy się Jadzia, Ruth, David, Joshua. Gdy Manolis pyta, czy Jadzia przyjdzie rano na przystań, matka Dominiki kiwa głową, ne, odpowiada po grecku, a kapitan Manolis powtarza uśmiechając się, ne, ne.

Jadzia Chmura odwija się z ręcznika, poprawia ra-miączka kostiumu i zanurza się w morze; staje w wo-491

dzie niedaleko starych Greczynek i gdy Foula kiwa do niej głową, mówi kalispera! jak nauczyli ją Dominika i Dimitri, a stare kobiety z Diafani śmieją się i odpowiadają, kalispera! kalispera! kalispera! Słońce tańczy wo-kół kobiet zanurzonych w morzu, tańczą chmury odbite w wodzie, po falach niesie się kobiecy śmiech i z daleka można by pomyśleć, że to syreny, syreny o głosie słodkopląnym, o których marzył Wałław Pająk z Kamieńska i tylu innych przed nim i po nim, bo one nie śpiewały ani o miłości, ani o władzy, tylko kusily opowieściami i wprawiały w obłęd, pokazując, że wystarczy morze, chmura, dal i już się toczy, już płynie.

Dominika długo namawiała matkę, by w końcu przyjechała na Karpathos, może zostać, ile chce, a jeśli nie będzie jej się podobało, trudno, odtransportuje się ją z powrotem na Piaskową Górę. Dopiero wielka powódź

sprawiła, że jadzia nabrała odwagi, bo uratowana z po-topu, zdała sobie sprawę, że już nie jest taka sama; jakoś nie ta sama jestem, wzdychała i były dni, gdy wyłania-nie się czegoś nowego odczuwała jak przyjemność, ale były też takie, gdy piekła ją zgaga, buchał na nią gorąc i kręciło jej się w głowie. Któregoś razu skołowana Jadzia przewróciła się na drodze do łazienki i złamała nogę, co na parę tygodni unieruchomiło ją na zniechęconym bocianim gnieździe, wtedy jedyny jej kontakt ze

światem polegał na codziennych rozmowach telefonicznych z córką, sącząca jej w ucho kuszące opowieści o podróży, w którą muszą się udać, gdy zdejmą Jadzi gips. Gdy znów stała się mobilna, Jadzia chodziła o wiele wolniej, by oszczędzać wciąż bolącą nogę, i ze zdziwieniem patrzy-

ła na zmiany, jakie zachodziły na Piaskowej Górze, którą 492

w czasie jej unieruchomienia zaczęto przemaalowywać na wesołe kolory; na rusztowaniach, którymi obudowano bloki, uwijali się robotnicy i tak chlapali farbami w papu-zich kolorach, że przy okazji wielu przechodniów nabra-

ło jaśniejszych barw. Ale to nie wszystko. Krysia Śledź

ściągnęła do siebie do Niemiec starego Śledzia i Iwonę z Pati, bo udało jej się założyć firmę sprzątającą PoInis-che Putzhilfe i zatrudniała teraz dwadzieścia osób; ach, dostać tak zaproszenie od Śledziowej, dorobić se trochę, wzdychają kobiety. Lepka dowiedziała się o śmierci syna Zbyszka, ale w nią nie uwierzyła i nadal stała na balkonie, patrzyła na południe, a Lepki, to dopiero niespodzianka, podczas handlowych podróży samochodem poznał kobietę, właścicielkę kiosku z galanterią z Kamieńska. i porzucił ślubną małżonkę, którą by to załamało, gdyby nie była złamana większym nieszczęściem. Jeremiasz Mucha wynajął pokój studentowi wałbrzyskiej filii Politechniki, wyłowionemu z wody w Zagórze, Oskarowi Ziębie, i okazało się, że chłopak jest muzykalny i może przygry-wać swojemu gospodarzowi na keyboardzie do starych przebojów. Założyli zespół Zięba&Mucha, ludzie z podwałbrzyskich wiosek wynajmują ich na wesela, a dzien-likarka z Warszawy przyjechała zrobić z nimi wywiad, w gazecie byli ze zdjęciami. Na Piaskowej Górze już nie mówią na nich homoniewiadomo, tylko gajowi, przyszły nowe czasy. Matko Boska, dziwiła się Jadzia, bo chodniki podmyte przez powódź zastąpiono elegancką kostką; plotka poszła, że ponoć Japończycy jakieś zakłady mają niedaleko pobudować, gdzie pracy będzie a pracy, i po-grążone w rozpacz miasto odżyje. Dziwna tęsknota za czymś innym, za czymś hen, daleko, która obudziła się 493

w Jadzi i rosła, przybrała w końcu konkretną postać; raz kozie śmierć, pojedzie na tę wyspę, której nazwę ciągle kićkała. Skoro Piaskowa Góra się zmienia, to co, ona, Jadzia Chmura, nie może?

Uparła się jednak, że nie polecą samolotem, co to, to nie, wszystko ma swoje granice, i Dominika powiedzia-

ła, w porządku, mamó, nie polecimy. Spakowały rzeczy potrzebne i całą masę niepotrzebnych, które za koniecz-ne uważała Jadzia, bo przecież nie mogły zostawić na przykład tych dwóch kryształowych pater, idealnych na prezenty; polskie kryształy wszędzie docenią, a z pustą łapą jechać nie wypada, tego Jadzia była pewna i owinięte ręcznikami wpakowała do wielkiej walizki na kół-

kach. Poczekaj, poprosiła Dominika, zanim zatrzasnęły drzwi mieszkania na Piaskowej Górze i ruszyły w świat, i zrobiła Jadzi portret na tle meblościanki. Jadzia po raz pierwszy na zdjęciu zrobionym przez córkę była cała, i całkiem do siebie nowej, podróżnej i światowej, podobna. W drogę! To zupełne fiksum-dyr dum tak się na stare lata w świat wyrwać, wzdychała co rusz z udawaną zgrozą starsza pani Chmura, ale wyglądała na dość zadowoloną z siebie, jej agrestowe oczy świeciły młodzieńczym blaskiem, choć z przejęcia ciągle miała kłopoty żołądkowe. Dominika kupiła

jej sportową kurtkę i Jadzia z uwagą przeczytała powoli, no-rth-face, język sobie można połamać, ale miła kurteczka, leciutka. Jechały samochodem, pociągiem i autokarem, płynęły promem, który Jadzię przeraził rozwartą gardzielią połykają-

ca z hukiem ciężarówki, jak toto po wodzie pływa takie wielkie i ciężkie? Podczas rejsu z Pireusu na Karpathos, po jakichś dwudziestu godzinach kołysania w wielkim 494

błękanie między morzem i niebem, Jadzia Chmura przestała się bać, że utoną, zgubią się i zostaną okradzione przez podejrzenie, jej zdaniem, wyglądającą grupę greckich Romów. Wciągnęła w płuca powietrze przesycone zapachem słońca i wody, poluzowała uścisk na torebce wtulonej w brzuch, przetarła zasolone okulary i spojrze-

ła za burtę w kierunku horyzontu, na którym majaczył

szary zarys brzegu; ty wiesz, córcia, powiedziała matka Chmura, to całkiem nieźle wygląda i chyba tu mają dobry klimat.

ł nadal tak myśli, gdy stoi po piersi w wodzie i patrzy, jak jej córka z nożem przypiętym do łydki nurkuje i znika pod powierzchnią morza, płetwy mignęły srebrzyście jak rybi ogon, i już jej nie było; Dominika uparła się, że może zjeść morskie stworzenie tylko wtedy, gdy je sama upoluje. Kiedyś Jadzia umierałaby z niepokoju, teraz poczuła tylko lekkie szarpnięcie w okolicy pępka.

Miesiące lata spędzone w tym dziwnym domu, wbrew obawom, że będzie inaczej, uspokoiły Jadzię, wyciszył

się nawet jej impet matkowania i karmienia, tym bardziej że w tej kuchni królowali mężczyźni, Dimitri i Ivo, a kobiety zaglądały tam tylko po to, by coś przekąsić. Pierwsze trudne tygodnie strawiła Jadzia Chmura na próbach zrozumienia, jakie relacje łączą mieszkańców domu na skarpie, było to tak wyczerpujące, że na nic więcej nie miała energii. Dominika i Dimitri, to w miarę oczywiste, ale czy on ma poważne zamiary wobec Jadzinej córki?

zadeklarował się już czy, nie daj Boże, będą tak zawsze na kocią łapę? A mały Ted, czy Dominika nie mogłaby go traktować bardziej po matczynemu zamiast tarzać się z nim po plaży jak pomyłona starsza siostra? Jedyne 495

Sara w tym towarzystwie wie, jak postępować z dzieckiem, i widać, że jednak porządna z niej dziewczyna, za mężczyznami oczami nie świeci; albo się z małym bawi, albo znika gdzieś na całe dni z Małgosią. Ach, gdyby tak ten chudzielec Ivo się przemógł i spiknął z Małgosią, to wtedy jeszcze tylko Sarze trzeba by kogoś znaleźć odpowiedniego, kombinowała Jadzia i wzdychała, bo po szklaneczce ouzo przychodziły jej do głowy kombinacje tak niebywałe, że wszystko jej się kićkało. nalewa sobie wtedy jeszcze odrobinę i greckim zwyczajem rozcień-

cza wodą.

Gdzie to moje dziecko? Jadzia rozejrzała się po ciemniejącym morzu, wiatr przynosił znad Avlony coraz więcej chmur. jest! Dominika, parszając, wynurza się z wody, zdejmuje maskę do nurkowania i

staje koło matki; upolowałam ośmiornicę, mówi, chłopcy zrobią dziś z niej kolację, ośmiornicę w occie. Faj, Jadzia nie jest przekonana, w occie to można grzybki, a nie jakieś morskie paskudztwa. Córka uśmiecha się i przysuwa do niej, nie martw się, mam, dla ciebie Dimitri zrobi sałatkę.

Jeszcze nie dziś, ale już niedługo będzie musiała powiedzieć Jadzi i Dimitriemu, że jesienią wyrusza w podróż i nie wie, kiedy znów odwiedzi Diafani na wyspie Karpathos. Czasem pragnienie podróży słabnie, ale potem przychodzi noc, gdy Dominika nie może zasnąć i by nie przeszkadzać śpiącym, wychodzi z domu; siada na skarpie i patrzy na morze, czuje wtedy, że tego pragnienia nie da się oszukać. Uderza ją nagle odór spalonego mięsa, widzi popioły zaleskiego domu swojej babki Zofii, puste wypalone miejsce, na którym będzie musiała coś zbudować. Gdy słyszy cotygodniowe buczenie promu, który 496

zawija do portu Diafani, Dominika wie, że jest gotowa do dalszej drogi; ginący na horyzoncie statek, który od-pływa bez niej, napełnia ją tęsknotą. Powie to wszystko swojej rodzinie, ale jeszcze nie teraz, niech ta chwila trwa. Matka Chmura i córka Chmura patrzą, jak na wieczorny połów wypływają z portu łódki, te małe nazywają się varka, mówi Jadzia, racja, varka, uśmiecha się Dominika; słońce znika za górami, wydłużają się cienie.

Dominika oddycha głęboko i w powietrzu przesyconym morzem czuje obok jadzie zasoloną i ciepłą; oto jedna z chwil, których wspomnienie zabierze ze sobą w drogę.

A wiesz, córcia, ta ośmiornica mnie chyba tak oświeciła czy co, wzdycha Jadzia, co ja mam za głowę dziurawą.

Przed wyjazdem dzwonił do mnie wuj Kazimierz, zapomniałam ci powiedzieć; z Japonii wrócił, wysłali go tam w sprawach jakichś politycznych, bo teraz jest konsul-tantem do spraw specjalnych przy prezydencie w Wał-

brzychu czy coś podobnego, i mówił, że wyobraź sobie, tylko żebyś nie pokićkała, Grażynkę naszą widział w To-kio, z jakimś Japończykiem, za gejszę przebraną. Ta Gra-

żynka, śmieje się Dominika, gejsza Grażynka, można się było tego po niej spodziewać.

Słoneczne złoto ciemnieje, po wodzie niesie się szept, może to wracają na falach głosy kobiet, może syreni śpiew, już tylko brzeżek złotej tarczy wystaje ponad szczyty gór, które otaczają to malutkie miejsce na Ziemi, gdzie Dominika Chmura z Piaskowej Góry bierze swoją matkę pod wodą za rękę i mówi, chodź, zachodzi słońce.

Jest tak spokojnie, tak spokojnie.

...i koniec

Andrew Mopsinsky, absolwent polonistyki i dokto-rant na jednym z nowojorskich uniwersytetów, kolekcjo-nuje pamiątki napoleońskie. Młody człowiek bardzo za-

luje, że nie dano mu pięknego imienia Napoleon, które nosili jego dziadek i ojciec, choć ten drugi, praktyczny biznesmen, używa skróconej wersji Nap. Andrew nic nie fascynuje tak bardzo jak

opowieści o francuskim wodzu i żałuje również, że nie zdążył poznać Antoniego Mopsińskiego, swojego pradziadka, który ponoć posiadał

jakąś cenną napoleońską pamiątkę. Andrew dobrze pamięta, kiedy wszystko się zaczęło. Gdy był mały, rodzice zmuszali go do odwiedzin w domu dwóch niezamężnych ciotek, sióstr jego ojca, Lili Rose i Violet Rose.

Kobiety mieszkały na parterze zaniedbanego domu na Brooklynie i wydawały mu się bardzo stare, jak wszystkie osoby powyżej trzydziestego roku życia. Na początku Andrew nie lubił tam chodzić, bo przytłaczał

go zapach, coś jak wata cukrowa i cięte kwiaty, słodka wilgoć podszyta rozkładem. W rodzinie Andrew zawsze mówiono o ciotkach, używając ich obu imion, mimo iż na co dzień jego rodzice, zapracowani ludzie prowadzą-

499

cy dużą firmę cateringową, używali skrótów i nawet na niego dla wygody mówili po prostu A, jego młodsza siostra, Barbara, była B, a pies Cedrik C. O ciotkach jednak zawsze, Lilia Rose to, Violet Rose tamto, i mały Andrew czasem miał wrażenie, że jest ich więcej niż dwie, ciotka Lilia, ciotka Fiołek i dwie Róże. Gdy miał kilka lat, ję-

czał, maamo, taato, czemu znów muszę tam iść, ciotki są takie nudne, są staare, każą mi pić mleko z maasłern, ale ojciec, Nap Mopsinsky, czochrał mu niesforne włosy w kolorze zgniłego siana, wsadzał w samochód i wiozł

na Brooklyn. Aż przyszedł dzień, gdy przyjechał go odebrać, a Andrew był rozczarowany, że musi już wracać do domu, i ociągał się z ubieraniem, wymieniając z ciotkami porozumiewawcze spojrzenia.

Ciotki zaczęły mu opowiadać, gdy miał siedem lat.

Skończyło się pojenie mlekiem z masłem, jakby uznały, że ma już odpowiedni podkład, niczym wytrawny polski pijak, który przed libacją karmi się bigosem i tłustym barszczykiem, by zbyt szybko się nie upić. Usiądź sobie, podsuwały mu bujany fotel o skrzypiących płozach i zaczynały. Jak one pięknie opowiadały! Był w opowieś-

ciach Lili Rose i Violet Rose polski dwór, bogaty jak pa-

łac, z podjazdem, na którym swobodnie mijały się cztery powozy, każdy w sześć koni zaprzężony, hej, wišta wio!

Miasteczko było, nazywało się Karnieńsk, tak pięknych miasteczek nie ma w całej Ameryce, a w Kamieńsku cukiernik, Mateusz Suliga, robił najlepsze na świecie napoleonki, z kremem tak puszystym, jakby nie krem to był, ale obłok ze śmietanki i cukru, i najważniejsze - Napoleon. Ciotka Lilia Rose opowiadała, że zatrzymał się we dworze, żeby tam zatrzymał tylko, z prababką Mop-500

sińską romans miał, i niech się przy elegancji i urodzie prababki Mopsińskiej chowa Pani Walewska.

Ciotka Violet Rose wchodziła jej w słowo, że nie we dworze, tylko w sąsiadującej z nią chałupie, i nie z prababką, ale z jej dwiema kuzynkami. Dwiema? upewniał się Andrew, pod-ekscytowany tym nadmiarem romansowości i kobiecości; dwiema, potwierdzała Violet Rose i różano płonęły jej policzki, a pobladła Lilia Rose dodawała pokonana w tej rozgrywce, to już jak wolicie, niech będzie z kuzynkami.

Andrew Mopsinsky nie ma wątpliwości, że to zaczęło się wtedy, w dziwnie pachnącym domu koło brooklyńskiego Prospect Park; on siedział na bujanym fotelu, Lilia Rose i Violet Rose opowiadały, a im szybciej mówiły, tym szybciej on się bujał, skrzypiały płozy fotela, Napoleon zaję-
dzał saniami, spod płóz strzelały iskry.

Andrew Mopsinsky opublikował niedawno esej pod tytułem Nocnik Napoleona w prestiżowym piśmie akade-mickim, w numerze poświęconym najnowszemu technikom narracyjnym. Właściwie Andrew Mopsinsky marzy o napisaniu powieści, ale tymczasem historię swoich ciotek streścił w obszernym przypisie, gdzie opowiada też, jak w nowojorskim antykwariacie kupił przedmiot, co do którego antykwariusz przysięgał, że jest naj-autentyczniejszym nocnikiem Napoleona spod Austerlitz. To perła kolekcji napoleoników zgromadzonych przez Andrew Mopsinsky'ego, prawnuka Fabrykanta.

Andrew właśnie wybiera się po raz drugi do Polski, bo ksiądz z Karnieńska, z którym koresponduje od czasu pierwszej wizyty, wpadł ponoć na nowy trop dotyczą-

cy Napoleonówki. Najstarsza mieszkanka miasteczka, Marianna Gwóźdz, która właśnie zmarła, zostawiła mu 501

w spadku pamiętnik, który pisała przez całe życie; dziewięćdziesiąt sześć zeszytów zapisanych maczkiem. Ileż tam jest ciekawych opowieści!

Od autorki

W tworzeniu postaci Eulalii Barron wykorzystałam kilka motywów z biograficznych opowieści profesora Feliksa Grossa (1906-2006), którego mądrości i dobroci, pamiętając jego historię, składam hołd.

W książce wykorzystano fragmenty Odysei Homera w przekładzie

Lucjana Siemieńskiego.

Redaktor serii: Dariusz Sośnicki

Redakcja: Dariusz Sośnicki

Korekta: Magdalena Stajewska, Marianna Sokołowska Redakcja techniczna: Anna Gajewska

Projekt okładki i stron tytułowych: Sylwia Grzadzka i Jacek Szewczyk

Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Zena Holloway/

Photographer's Choice/Getty Images/Flash Press Media Fotografia wykorzystana na I wyklejce:
Wikipedia Commons,

repozytorium wolnych zasobów

(www.commons.wikimedia.org/wiki/File:Baartman.jpg) Fotografie wykorzystane we wnętrzu książki, na II wyklejce i na IV stronie okładki pochodzą z archiwum autorki.

Wydawnictwo W.A.B.

02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5

tel/fax (22) 646 01 74,64601 75,64605 10,64605 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne Piaseczno, Żółkiewskiego 7a

Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza

im. w.L. Anczyca S.A., Kraków

ISBN 978-83-7414-737-8

Table of Contents

[Rozpoczni](#)